ŻYCIE
VIOLETTE
VALÉRIE
PERRIN
ALBATROS

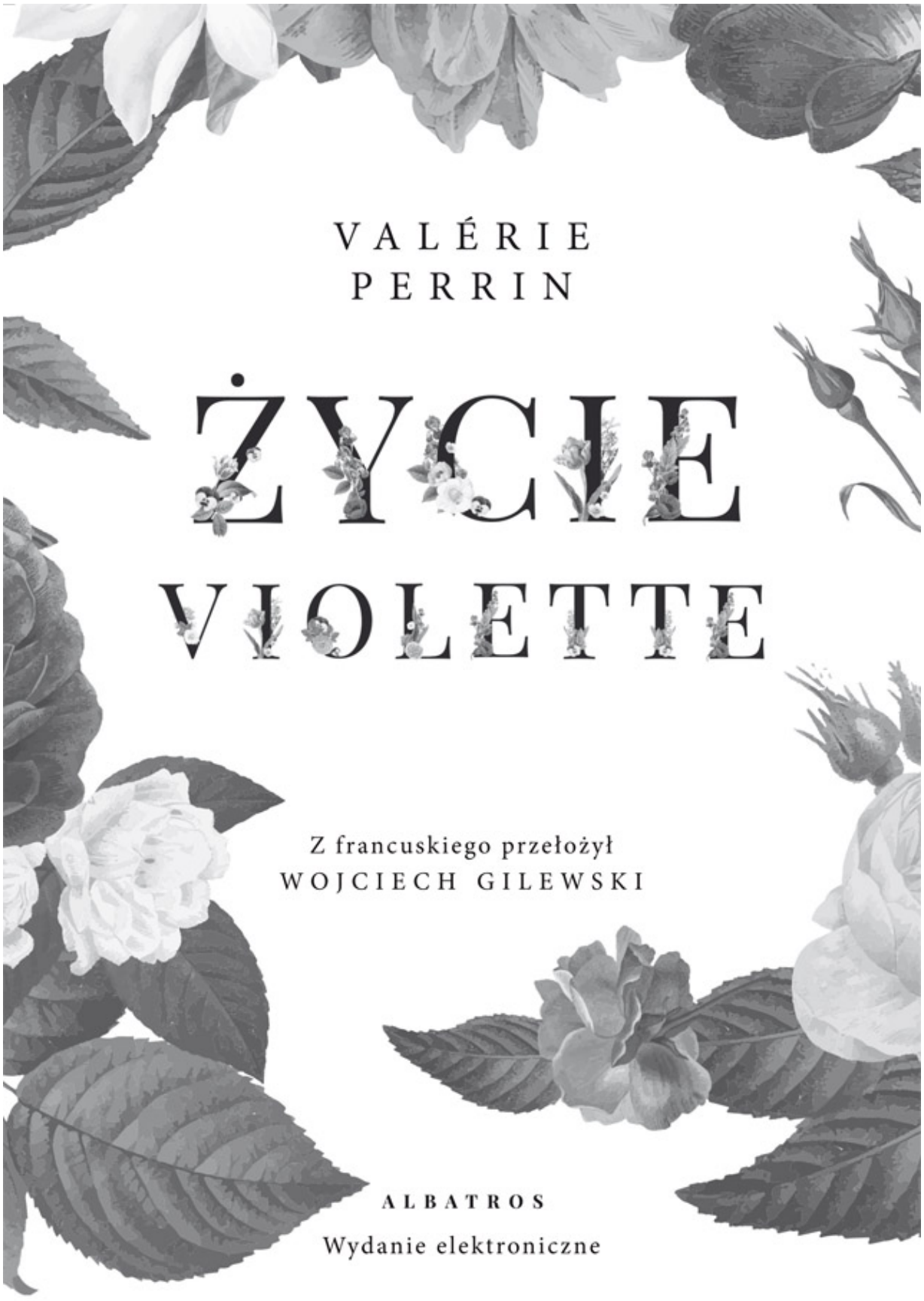

VALÉRIE
PERRIN

ŻYCIE VIOLETTE

Z francuskiego przełożył
WOJCIECH GILEWSKI

ALBATROS
Wydanie elektroniczne

FRANCUSKI BESTSELLER!

PONAD MILION SPRZEDANYCH EGZEMPLARZY.

NAJLEPIEJ SPRZEDAJĄCA SIĘ KSIĄŻKA WE WŁOSZECH W CIĄGU OSTATNICH DWÓCH LAT.

Oda do życia we wszystkich jego odcieniach i do radości z małych rzeczy.

Niezwykła historia zwykłej kobiety, którą los zaprowadził do miejsca, gdzie niewielu chciałoby się znaleźć. A jednak to właśnie tam Violette rozkwita na nowo… jak kwiaty, którym zmienia wodę.

Wzruszająca opowieść o wyjątkowości ukrytej w zwykłym życiu, o zakończeniach, które rozdzierają serce, i o nowych początkach, które kiełkują na gruzach przeszłości.

O nadziei i niezłomnej wierze w szczęście… wbrew wszystkiemu.

Tytuł oryginału:
CHANGER L’EAU DES FLEURS

Copyright © Éditions Albin Michel, Paris 2018
All rights reserved
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022
Polish translation copyright © Wojciech Gilewski 2022

Redakcja: Aleksandra Żdan
Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka
Liternictwo tytułu: Designed by rawpixel.com/Freepik
Ilustracja (kwiaty): Designed by rawpixel.com/Freepik

ISBN 978-83-8215-933-2

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie,

kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI
Katarzyna Rek
woblink
woblink.com

Spis treści:

Okładka
Karta tytułowa
Karta redakcyjna
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17

Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45

Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Rozdział 53
Rozdział 54
Rozdział 55
Rozdział 56
Rozdział 57
Rozdział 58
Rozdział 59
Rozdział 60
Rozdział 61
Rozdział 62
Rozdział 63
Rozdział 64
Rozdział 65
Rozdział 66
Rozdział 67
Rozdział 68
Rozdział 69
Rozdział 70
Rozdział 71
Rozdział 72
Rozdział 73

Rozdział 74
Rozdział 75
Rozdział 76
Rozdział 77
Rozdział 78
Rozdział 79
Rozdział 80
Rozdział 81
Rozdział 82
Rozdział 83
Rozdział 84
Rozdział 85
Rozdział 86
Rozdział 87
Rozdział 88
Rozdział 89
Rozdział 90
Rozdział 91
Rozdział 92
Rozdział 93
Rozdział 94

Moim Rodzicom, Francine oraz Yvanowi Perrinom

Patricii „Paquicie” Lopez
i Sophie Daull

1

Jednej istoty brak i taka pustka

Moi najbliżsi sąsiedzi niczego się nie boją. Nie mają kłopotów, nie zakochują się, nie obgryzają paznokci, nie wierzą w przypadki, nie składają obietnic, nie hałasują, nie mają ubezpieczenia społecznego, nie płaczą, nie szukają kluczy, okularów, pilota, dzieci, szczęścia.

Nie czytają, nie płacą podatków, nie są na diecie, nie mają żadnych preferencji, nie zmieniają zdania, nie ścielą łóżek, nie palą, nie robią list zakupów, nie zastanawiają się, zanim coś powiedzą. Nie mają zastępców.

Żadni z nich wazeliniarze, nie są ambitni, nie zachowują uraz, nie bywają kokieteryjni, małostkowi, szczodrzy, zazdrośni, zaniedbani, czyści, egzaltowani, śmieszni, nie są ćpunami, sknerami, nie możemy powiedzieć o nich: uśmiechnięci, cwani, brutalni, zakochani; nie bywają zrzędami, hipokrytami; nie scharakteryzujemy ich jako łagodnych, twardych, miękkich czy złośliwych, nie są kłamczuchami, złodziejami, hazardzistami, chojrakami, leniuchami, w nic nie wierzą, nie są zboczeńcami czy optymistami.

Nie żyją.

Jedyne, co ich różni, to drewno, z którego wykonane zostały ich trumny: dębowe, sosnowe lub mahoniowe.

2

Kim mam zostać, jeśli nie słyszę już Twoich kroków,
nie wiem, czy to Twoje życie odchodzi, czy moje

Nazywam się Violette Toussaint. Byłam dróżniczką, a teraz jestem dozorczynią na cmentarzu.

Delektuję się życiem, piję je małymi łyczkami niczym herbatę jaśminową z miodem. A gdy nadchodzi wieczór, kiedy cmentarne bramy są zamknięte, a klucz wisi w moim mieszkaniu na drzwiach do łazienki, jestem w raju.

Nie w tym samym raju co moi najbliżsi sąsiedzi. Nie.

W raju dla żywych: łyczek porto – rocznik 1983 – które José-Luis Fernandez podrzuca mi każdego roku pierwszego września. Resztka wakacji w małym kryształowym kieliszku, babie lato. Niezależnie od tego, czy pada deszcz, sypie śnieg, czy wieje wiatr, około siódmej otwieram butelkę.

Dwa naparstki krwistego, rubinowego trunku z winnic Porto. Zamykam oczy. Delektuję się. Jeden łyczek wystarczy, żeby umilić mi wieczór. Dwa naparstki, bo lubię upojenie, ale nie alkohol.

José-Luis Fernandez składa kwiaty na grobie Marii Fernandez, z domu Pinto (1956–2007), raz w tygodniu, ale nie w lipcu, wtedy robię to ja. Stąd

to porto, żeby mi podziękować.

Każdy mój dzień to prezent od niebios. Tak też sobie mówię codziennie rano, gdy otwieram oczy.

Byłam bardzo nieszczęśliwa, załamana nawet. Nie istniałam. W środku pustka. Czułam się jak moi najbliżsi sąsiedzi, nawet gorzej. Funkcje życiowe działały, ale beze mnie. Nie czułam ciężaru swojej duszy, która waży – zdaje się – niezależnie od tego, czy ktoś jest gruby, czy chudy, duży czy mały, młody czy stary, dwadzieścia jeden gramów.

Ale ponieważ nigdy nie miałam skłonności do dramatyzmu, postanowiłam, że tak dalej być nie może. To nieszczęście musi się przecież kiedyś skończyć.

*

Życie zaczęło się dla mnie bardzo źle. Urodziłam się jako X w Ardenach, na północy departamentu, w zakątku, który graniczy z Belgią, tam gdzie klimat określa się jako „kontynentalny surowy” (silne opady jesienią i częste przymrozki zimą), tam gdzie – jak to sobie wyobrażam – powiesił się kanał Jacques’a Brela[1].

W dniu, w którym się urodziłam, nie wydałam z siebie głosu. Odłożono mnie na bok niczym paczkę. Waga: dwa kilogramy sześćset siedemdziesiąt gramów, brak znaczka, brak adresata. Tak czekałam, aż wypełnione zostaną papiery administracyjne potrzebne do zgłoszenia, że odeszłam, zanim się pojawiłam.

Narodziny martwego dziecka, bez życia i bez rodziny.

Akuszerka musiała mi naprędce znaleźć jakieś imię, żeby móc coś wpisać do papierów, wybrała więc Violette[2].

Wyobrażam sobie, że taka właśnie byłam – cała sina.

Kiedy nabrałam kolorów i jednak się zaróżowiłam, a ona musiała wypełnić akt urodzenia, nie zmieniła mi już tego imienia.

Położono mnie na kaloryferze. Skóra się rozgrzała. Łono matki, która mnie nie chciała, musiało mnie zmrozić. Ciepło przywróciło mi życie. I zapewne dlatego tak bardzo lubię lato – nigdy nie przepuszczam okazji, żeby się wystawiać na pierwsze promienie słońca, jestem jak kwiat słonecznika.

Moje nazwisko panieńskie to Trenet – jak Charles Trenet. Nadała mi je ta sama akuszerka, która wybrała moje imię. Zdaje się, że lubiła słuchać jego piosenek. Tak jak ja je potem lubiłam. Przez długi czas uważałam go za swojego dalekiego kuzyna, kogoś w rodzaju wujka z Ameryki, którego nigdy nie widziałam. Kiedy się lubi jakiegoś piosenkarza, śpiewa jego piosenki, to trochę tak, jakby się było z nim spokrewnionym.

Toussaint[3] pojawiło się później. Kiedy wyszłam za Philippe’a Toussainta. Z takim nazwiskiem powinnam była mieć się na baczności. Ale istnieją przecież i mężczyźni o nazwisku Printemps[4], którzy biją żony. Ładne nazwisko jeszcze nikomu nie przeszkodziło w tym, by zostać draniem.

Nigdy nie brakowało mi matki. Z wyjątkiem tych momentów, kiedy miałam gorączkę. Ciesząc się dobrym zdrowiem, rosłam. Piełam się w górę, tak jakby brak rodziców prostował mi kręgosłup. Noszę się prosto. To moja cecha szczególna. Nigdy się nie garbię. Nawet kiedy mam wielkie zmartwienie. Często mnie pytają, czy uczyłam się tańca klasycznego. Odpowiadam, że nie. Że to codzienne życie zmusiło mnie do takiej dyscypliny, jakbym godzinami ćwiczyła przy poręczy i każdego dnia chodziła na czubkach palców.

[1] Aluzja do słów piosenki *Le Plat Pays* Jacques’a Brela. Ardeny to region na granicy Belgii i Francji. W piosence Brela niebo nad Belgią jest tak smutne i wisi tak nisko, że nawet kanał się na nim powiesił.

[2] *Violet* (fr.) – fioletowy (także siny).

[3] *Toussaint* (fr.) – Wszystkich Świętych.

[4] *Printemps* (fr.) – wiosna.

3

Nieważne, czy zabiorą mnie, czy moich bliskich, skoro i tak pewnego dnia każdy cmentarz staje się ogrodem

W 1997 roku, kiedy przejazd kolejowy zautomatyzowano, mąż i ja straciliśmy zatrudnienie. Pisali o nas w gazecie. Reprezentowaliśmy grono ostatnich pobocznych ofiar postępu – dróżnicy, pracownicy, którzy uruchamiali ostatni ręczny szlaban kolejowy we Francji. Dziennikarz zrobił nam zdjęcie, które zamieścił jako ilustrację do artykułu. Philippe Toussaint objął mnie nawet w pasie, przybierając odpowiednią pozę. Uśmiecham się, ale Boże, jakie ja mam na tym zdjęciu smutne oczy!

W dniu, w którym ukazał się ten artykuł, Philippe Toussaint wrócił z ANPE, agencji pośrednictwa pracy, która dziś już nie istnieje, w ponurym nastroju: uświadomił sobie, że będzie musiał w końcu coś robić. Przywykł do tego, że to ja we wszystkim go wyręczam. Jeśli chodzi o lenistwo, nikt go nie przebije. Gdybym mogła je spieniężyć, byłoby niczym szóstka w totka i jackpot w jednym.

Chcąc podnieść go na duchu, podsunęłam mu artykuł: *Dozorca cmentarny, zawód z przyszłością*. Spojrzał na mnie jak na wariatkę. W 1997

roku codziennie patrzył na mnie w taki sposób. Czy to właśnie takim wzrokiem mężczyzna patrzy na kobietę, której już nie kocha?

Wyjaśniłam mu, że znalazłam to ogłoszenie przez przypadek. Że merostwo w Brancion-en-Chalon szuka małżeństwa, które mogłoby się zająć cmentarzem. Że zmarłych obowiązują sztywne godziny i że robią mniej hałasu niż pociągi. Że rozmawiałam już z merem, który gotów jest nas zatrudnić natychmiast.

Mąż mi nie uwierzył. Powiedział, że nie wierzy w przypadki. Że woli zdechnąć, niż iść „tam" i zajmować się truposzami.

Włączył telewizor i zaczął grać w *Super Mario 64*. W tej grze chodzi o to, żeby złapać wszystkie gwiazdy z każdego ze światów. Ja chciałam złapać tylko jedną gwiazdę: tę dobrą. I tak też sobie pomyślałam, kiedy zobaczyłam, jak Mario biega bez ustanku, by uratować księżniczkę Peach, którą porwał Bowser.

Zaczęłam nalegać. Powiedziałam mężowi, że jak dostaniemy tę pracę, każde z nas będzie otrzymywać swoje wynagrodzenie, i to o wiele lepsze niż na przejeździe, że ze zmarłych da się wyciągnąć więcej niż z pociągów. Że dostaniemy śliczne służbowe mieszkanko, i to bez żadnych opłat. Że w końcu zmienimy tę ruderę, w której żyjemy od lat, na coś przyzwoitego, co zimą nie nabiera wody niczym sklecona z kilku desek łódka i gdzie nawet latem nie bywa cieplej niż na biegunie północnym. Że zaczniemy wszystko od początku i że właśnie tego nam potrzeba, że powiesimy śliczne firanki w oknach, żeby nie patrzeć na sąsiadów, krzyże, wdowy i całą tę resztę. Że te firanki to będzie taka granica pomiędzy naszym życiem a smutkiem innych. Mogłabym powiedzieć mu prawdę i wyznać, że te firanki byłyby granicą pomiędzy moim smutkiem a smutkiem innych. Co to, to nie. Niczego nie mówić. Niech wierzy w nowy początek. Będę udawać. Wszystko, żeby tylko się zgodził.

Chcąc go ostatecznie przekonać, obiecałam mu, że nie będzie musiał nic robić. Że trzej grabarze zajmują się już utrzymaniem porządku, grobami i wyglądem cmentarza. Że ta praca polega tylko na otwieraniu i zamykaniu bramy. Na obecności. A godziny nie są uciążliwe. Urlopy i weekendy równie długie jak wiadukt nad rzeką Valserine. I że ja zajmę się resztą. Całą resztą.

Super Mario przestał biegać. Księżniczka spadła w przepaść.

Przed snem Philippe Toussaint raz jeszcze przeczytał artykuł: *Dozorca cmentarny, zawód z przyszłością*.

Nasz przejazd kolejowy znajdował się w Malgrange-sur-Nancy. W tamtym okresie mojego życia nie miałam żadnego życia. Słuszniej byłoby powiedzieć: „W tamtym okresie mojej śmierci”. Wstawałam, ubierałam się, pracowałam, robiłam zakupy, spałam. Brałam tabletkę nasenną. A nawet dwie. I więcej. I widziałam, że mąż patrzy na mnie tak, jakbym postradała zmysły.

Godziny pracy były potwornie uciążliwe. W dni powszednie jakieś piętnaście razy dziennie opuszczałam i podnosiłam szlaban. Pierwszy pociąg przejeżdżał o godzinie czwartej pięćdziesiąt, a ostatni o dwudziestej trzeciej zero cztery. Automatyczny sygnał dźwiękowy szlabanu wrył się w moją pamięć. Słyszałam go, jeszcze zanim się włączył. Ten piekielny ciąg należałoby jakoś podzielić, obsługiwać przejazd na zmianę. Ale jedyne, co Philippe Toussaint obsługiwał, to motocykl i ciała kochanek.

Oj tak, widok ludzi w wagonach wprawiał mnie w rozmarzenie. Chociaż to były tylko małe pociągi regionalne, łączące Nancy z Épinalem, które na tej trasie zatrzymywały się wyłącznie w zabitych dechami wiochach, zazdrościłam tym mężczyznom i kobietom. Wyobrażałam sobie, że są umówieni na jakieś spotkanie, takie, jakie ja też bym chciała mieć.

*

Wyruszyliśmy do Burgundii trzy tygodnie po ukazaniu się artykułu o dozorcach cmentarnych. Szarzyznę zamieniliśmy na zieleń. Asfalt na łąki, zapach smoły na przejeździe kolejowym na woń pól.

Dotarliśmy na cmentarz w Brancion-en-Chalon piętnastego sierpnia 1997 roku. Francja była na wakacjach. Wszyscy mieszkańcy wyjechali. Ptaszki szybujące zazwyczaj pomiędzy grobami przestały latać. Koty przemykające pomiędzy doniczkami kwiatów znikły. Było za gorąco nawet dla mrówek i jaszczurek, rozgrzane marmury parzyły. Grabarze wykorzystywali urlopy, nowi zmarli nie spieszyli się do grobów. Przechadzałam się samotnie alejkami, czytając nazwiska ludzi, których nigdy nie poznam. A jednak od razu poczułam się tu dobrze. Na swoim miejscu.

4

Byt jest wieczny, życie ulotne, nieprzemijająca pamięć będzie jego przekazem

Jeśli nastolatki nie wcisną gumy do żucia w dziurkę zamka, otwieram i zamykam ciężką bramę cmentarną.

Godziny otwarcia zmieniają się w zależności od pory roku.

Od godziny ósmej do dziewiętnastej w dniach od pierwszego marca do trzydziestego pierwszego października.

Od godziny dziewiątej do siedemnastej w dniach od drugiego listopada do dwudziestego ósmego lutego.

Nikt niczego nie postanowił w sprawie dwudziestego dziewiątego lutego.

Od godziny siódmej do dwudziestej pierwszego listopada.

Po odejściu męża – a dokładniej po jego zniknięciu – pozostałam na stanowisku sama. Nazwisko Philippe’a Toussainta zostało wpisane w ogólnokrajowym rejestrze żandarmerii jako „niepokojące zniknięcie”.

Horyzont wytycza mi paru innych mężczyzn. Trzej grabarze, Nono, Gaston i Elvis. Trzej właściciele zakładu pogrzebowego, bracia Lucchini, noszący imiona Pierre, Paul, Jacques. I ksiądz Cédric Duras. Zaglądają do mnie parę razy dziennie. Przychodzą wychylić kielicha albo coś przegryźć.

Pomagają mi również przy warzywniaku, jak trzeba przenieść worki z ziemią próchniczą czy zreperować cieknący kran. Uważam ich za przyjaciół, a nie za kolegów z pracy. Nawet kiedy nie ma mnie w domu, mogą wchodzić do mojej kuchni, zrobić sobie kawę, wymyć filiżankę i wyjść.

Grabarz to zawód, który wzbudza odrazę, niechęć. A przecież ci z mojego cmentarza to najłagodniejsi i najzabawniejsi ludzie, jakich znam.

Nono jest osobą, do której mam największe zaufanie. To człowiek prawy, który radość życia ma we krwi. Wszystko go bawi i nigdy nie mówi „nie”. Z wyjątkiem sytuacji, kiedy trzeba wziąć udział w pochówku dziecka. Zostawia „to” innym. „Tym, którzy mają do tego serce”, jak powiada. Nono podobny jest do Georges’a Brassensa i bawi go to, że jestem jedyną osobą na świecie, która mu mówi, że przypomina Georges’a Brassensa.

Gaston, ten to urodzony niezguła. Nieskładne ruchy. Wygląd pijaczyny, chociaż nie tyka alkoholu. W czasie pochówków staje pomiędzy Nonem i Elvisem, którzy ubezpieczają go, na wypadek gdyby stracił równowagę. Pod jego nogami ziemia stale się trzęsie. Gaston przewraca ludzi, sam upada, potrąca innych, następuje im na nogę. Kiedy do mnie wchodzi, zawsze się boję, że coś stłucze albo że się zrani. A ponieważ strach nie zażegnuje niebezpieczeństwa, nie było razu, by Gaston nie stłukł kieliszka albo się nie skaleczył.

Elvis, nazywają go tak po Elvisie Presleyu. Nie umie ani czytać, ani pisać, ale zna na pamięć wszystkie piosenki swojego idola. Bardzo źle wymawia słowa, nigdy nie wiadomo, czy śpiewa po angielsku, czy po francusku, ale wkłada w to całe serce. *Love mi tendeur, love mi trou…*

Różnica wieku dzieląca braci Lucchinich to niecały rok – trzydzieści osiem, trzydzieści dziewięć i czterdzieści lat. Już od wielu pokoleń zakład

pogrzebowy przejmuje po ojcu syn. Bracia są też szczęśliwymi właścicielami znajdującej się w Brancion kostnicy, która przylega do budynku ich zakładu. Nono powiedział mi, że tylko jedna śluza oddziela część usługowo-handlową od trupiarni. Pogrążone w żałobie rodziny przyjmuje Pierre, najstarszy. Paul jest tanatopraktykiem; urządził się w podziemiu. A Jacques kierowcą karawanu; ostatnia droga to on. Nono nazywa ich „apostołami”.

No i jest nasz ksiądz, Cédric Duras. Bóg ma dobry gust, choć nie zawsze jest sprawiedliwy. Od kiedy pojawił się ksiądz Cédric, wiele kobiet z okolicy doznało, zdaje się, boskiego objawienia. W niedzielne poranki ponoć coraz więcej wierzących pań siedzi w kościelnych ławkach.

Ja nigdy nie chodzę do kościoła. To jakbym sypiała z kolegą z pracy. Sądzę jednak, że więcej osób zwierza się mnie niż księdzu Cédricowi w konfesjonale. To w moim skromnym domu i na cmentarnych alejkach rodziny wylewają potoki słów. Po przyjeździe, przed wyjazdem, czasem i wtedy, i wtedy. Trochę tak jak zmarli. Oni – to ich milczenie, tablice nagrobne, wizyty, kwiaty, fotografie, sposób, w jaki zachowują się odwiedzający przed ich grobami – opowiadają mi różne rzeczy ze swego dawnego życia. Z czasów, kiedy żyli. Kiedy się ruszali.

W moim fachu ważna jest dyskrecja, umiejętność nawiązywania kontaktu, brak współczucia. Tylko że dla takiej kobiety jak ja wyzbycie się współczucia jest równie osiągalne jak zostanie astronautką, chirurgiem, wulkanolożką czy genetyczką. Nie umiem sobie tego wyobrazić, a co dopiero naprawdę zdobyć się na nieokazywanie współczucia. Ale nigdy nie płaczę w obecności odwiedzających. Zdarza mi się to przed pochówkiem albo po nim, nigdy w trakcie. Mój cmentarz ma trzysta lat. Osoba, którą pochowano tu jako pierwszą, była kobietą. Diane de Vigneron (1756–1773) zmarła w połogu w wieku siedemnastu lat. Opuszkami palców można

jeszcze wyczuć litery jej nazwiska wyryte w surowym kamieniu płyty nagrobnej. Nie została ekshumowana, chociaż na moim cmentarzu brak miejsc. Żaden z kolejnych merów nie odważył się podjąć decyzji o zakłóceniu spokoju pierwszej pochowanej tu nieboszczki. Tym bardziej że postać Diane osnuta jest legendą. Według mieszkańców Brancion miała się ona jakoby ukazać kilkakrotnie w „świetlistych szatach” w środku miasta w witrynach sklepowych i na cmentarzu. Kiedy szperam na strychach w okolicy, znajduję czasem ryciny pochodzące z osiemnastego wieku i stare pocztówki, na których Diane została przebrana za zwyczajną, tandetną zjawę.

Wiele jest legend o grobach. Ludzie często wymyślają umarłym życie.

Brancion ma jeszcze drugą legendę, o wiele młodszą od tej o Diane de Vigneron. Dotyczy Reine Duchy (1961–1982) pochowanej na moim cmentarzu w alejce numer piętnaście, w kwartale Cedrów. Przystojna młoda brunetka uśmiechająca się ze zdjęcia umieszczonego na steli. Zginęła w wypadku samochodowym przy wyjeździe z miasta. Młodzi ludzie widywali ją jakoby na poboczu drogi, w miejscu wypadku, ubraną na biało.

Mit „białych dam” znany jest na całym świecie. Zjawy kobiet, które zginęły w jakimś wypadku, nawiedzają ponoć świat żywych, a ich nieznające spokoju dusze błąkają się po zamkach i cmentarzach.

Popularność tej legendy podbiło przemieszczenie się grobu Reine. Zdaniem Nona i braci Lucchinich doszło do tego wskutek osunięcia się ziemi. Dzieje się tak często, kiedy w komorze grobowej zbierze się zbyt dużo wody.

W ciągu dwudziestu lat widziałam dużo rzeczy na moim cmentarzu. Bywają noce, podczas których na grobach albo pomiędzy nimi można dostrzec cienie uprawiające seks, ale nie należą one do zjaw.

Oprócz legend nic nie jest wieczne, nawet prawo do dysponowania grobem. Można wykupić miejsce na piętnaście, trzydzieści, pięćdziesiąt lat albo na zawsze. Ale do tego „zawsze” trzeba podchodzić nieufnie: jeżeli po trzydziestu latach o nabyte bezterminowo miejsce przestanie się dbać (na przykład nagrobek popadnie w ruinę) i od dawna nikogo na nim nie pochowano, gmina może je odzyskać; szczątki zostają wówczas złożone w ossuarium, w głębi cmentarza.

Od kiedy tu przyjechałam, widziałam niejedno takie przejęcie. I nigdy nikt nic nie powiedział. Takich nieboszczyków traktuje się jak rzeczy znalezione, o które nikt się nie upomniał.

Tak to już bywa po śmierci. Im odleglejsza w czasie, tym mniej obchodzi żyjących. Czas pozbawia życie blasku. Czas pozbawia blasku śmierć.

Razem z grabarzami robię wszystko, żeby nigdy żaden grób nie wyglądał na zaniedbany. Nie możemy znieść widoku zawiadomienia władz miasta: *Grób ten zostanie przejęty. Uprasza się o pilny kontakt z merostwem*. A przecież nazwisko nieboszczyka, który tam spoczywa, wciąż się na nim znajduje.

I dlatego też zapewne na cmentarzach pełno jest epitafiów. Mają one zaklinać czas. Pomagają uczepić się wspomnień. Najbardziej lubię to: *Śmierć zaczyna się wtedy, kiedy już dla nikogo nie możesz być obiektem marzeń*. Znajduje się na grobie młodej pielęgniarki, Marie Deschamps, zmarłej w 1917 roku. Zdaje się, że to jakiś żołnierz umieścił tę tablicę w 1919 roku. Za każdym razem, kiedy przechodzę obok, zastanawiam się, czy długo o niej marzył.

Cokolwiek robię, gdziekolwiek jestem, zawsze mam Cię przed oczyma, myślę o Tobie na grobie Jeana-Jacques’a Goldmana i *Gwiazdy rozmawiają*

między sobą jedynie o Tobie na grobie Francisa Cabrela to słowa piosenek najczęściej pojawiające się na tabliczkach nagrobnych.

Mój cmentarz jest bardzo piękny. Alejki snują się w cieniu stuletnich lip. Groby są w znacznej części ukwiecone.

Przed moim skromnym domkiem stoi parę doniczek z kwiatami, które sprzedaję. A kiedy kwiaty nie nadają się już na sprzedaż, zanoszę je na zaniedbane groby.

Posadziłam też trochę sosen. Ze względu na ich zapach w lecie. Jest to moja ulubiona woń.

Posadziłam je w roku 1997, kiedy tu przyjechaliśmy. Bardzo się rozrosły i dzięki nim mój cmentarz wygląda pięknie. Utrzymywanie cmentarza to doglądanie zmarłych, którzy tu spoczywają. Okazywanie im szacunku. Jeśli nie doświadczyli go za życia, to przynajmniej cieszą się nim po śmierci.

Jestem pewna, że leży tu wielu łajdaków. Ale śmierć nie wybiera pomiędzy dobrymi i złymi. No i kto nie dopuścił się łajdactwa chociaż raz w życiu?

*

W przeciwieństwie do mnie Philippe Toussaint od razu znienawidził ten cmentarz, to miasteczko, Burgundię, wieś, stare kamienie, białe krowy, tutejszych ludzi.

Jeszcze nie zdążyłam rozpakować kartonów po przeprowadzce, a on już zaczął wyjeżdżać motorem rano i wracać wieczorem. Po paru miesiącach zdarzało mu się znikać na całe tygodnie. Aż do dnia, kiedy już więcej nie wrócił. Żandarmi nie rozumieli, dlaczego nie zgłosiłam jego zaginięcia wcześniej. Nie powiedziałam im, że już lata temu zniknął, nawet jeśli jadał jeszcze kolację przy moim stole. Gdy jednak po upływie miesiąca

zrozumiałam, że nie wróci, poczułam się równie opuszczona jak te groby, o które regularnie dbam. Równie szara, bez wyrazu i rozchwiana. Gotowa do rozbiórki i przeprowadzki do ossuarium.

5

Księga życia to najważniejsza księga, której nie można ani zamknąć, ani otworzyć, kiedy się chce; chciałoby się wrócić do ulubionych fragmentów, a tu pod palcami już pojawia się strona, na której przychodzi śmierć

Philippe’a Toussainta poznałam w Tibourinie, klubie nocnym w Charleville-Mézières, w 1985 roku.

Siedział przy barze wsparty na łokciach. A ja byłam barmanką. Imałam się każdego zajęcia, oszukując w sprawie wieku. Kumpel z ośrodka, w którym mieszkałam, sfałszował moje papiery, żeby zrobić ze mnie pełnoletnią.

Trudno było mi przypisać jakiś wiek. Mogłam mieć równie dobrze czternaście jak dwadzieścia pięć lat. Nie nosiłam dżinsów ani T-shirtów, miałam krótkie włosy i mnóstwo kolczyków. Nawet w nosie. Byłam drobnej budowy i malowałam oczy na czarno, żeby wyglądać jak Nina Hagen. Niedawno przestałam chodzić do szkoły. Nie umiałam dobrze czytać ani pisać. Ale umiałam liczyć. Wiele już przeszłam w życiu i moim

jedynym celem było pracować, żeby móc opłacić czynsz za mieszkanie i jak najszybciej opuścić ośrodek. Potem się zobaczy.

W 1985 roku tylko uzębienie miałam bez zarzutu. Przez całe dzieciństwo obsesyjnie chciałam mieć piękne białe zęby, jak te dziewczyny z kolorowych magazynów. Kiedy pracownice socjalne odwiedzały moje rodziny zastępcze i pytały mnie, czy czegoś potrzebuję, systematycznie domagałam się wizyty u dentysty, jak gdyby mój los i całe życie zależały od uśmiechu.

Nie miałam kumpelek, za bardzo przypominałam chłopaka. Przywiązywałam się do zastępczych sióstr, więc kolejne rozstania i zmiany rodzin były dla mnie ciężkim przeżyciem. Nigdy się nie przywiązywać! Mówiłam sobie, że krótko ostrzyżone włosy zapewnią mi ochronę, dadzą odwagę i butę chłopaka. Tak więc dziewczyny mnie unikały. Zdążyłam się już przespać z paroma chłopakami, żeby nie odstawać od reszty, ale bez żadnych uniesień; byłam raczej rozczarowana, nie pociągało mnie to. Robiłam to dla niepoznaki albo żeby dostać ciuchy, praskę haszu, jakąś wejściówkę, albo żeby mnie ktoś potrzymał za rękę. Wolałam miłość z bajek dla dzieci, których mi nigdy nie opowiadano. *Pobrali się i mieli dużo, dużo, dużo…*

Wsparty łokciami o bar Philippe Toussaint przyglądał się tańczącym na parkiecie kumplom, sącząc ze szklaneczki whisky z coca-colą bez lodu. Wyglądał jak anioł. Jak Michel Berger w kolorze. Długie, kręcone blond włosy, niebieskie oczy, jasna cera, orli nos, usta koloru lipcowych dojrzałych truskawek… Nic, tylko jeść. Miał na sobie dżinsy, biały T-shirt i czarną ramoneskę. Był wysoki, dobrze zbudowany, doskonały. Gdy tylko go zobaczyłam, serce mocniej mi zabiło, jak w piosence mojego przyszywanego wuja, Charles’a Treneta. U mnie Philippe Toussaint miałby wszystko za darmo, nawet whisky z coca-colą.

Wcale nie musiał się starać, żeby obcałowywać te śliczne blondynki, które się wokół niego kręciły. Były jak muchy latające wokół kawałka mięcha. Philippe Toussaint sprawiał jednak wrażenie, jakby niewiele go to obchodziło. Nie musiał nawet kiwnąć palcem, żeby dostać, co chciał. Od czasu do czasu, między jednym a drugim fluorescencyjnym pocałunkiem, jedynie podnosił szklankę do ust.

Stał odwrócony do mnie plecami. Widziałam tylko te jego blond loki, które w świetle projektorów zmieniały kolor z zielonego na czerwony, z czerwonego na niebieski. Minęła dobra godzina, od kiedy jego włosy mnie zahipnotyzowały. Czasami pochylał się ku ustom którejś z dziewczyn, gdy ta szeptała mu coś do ucha, a ja przyglądałam się jego doskonałemu profilowi.

W końcu odwrócił się twarzą do baru, spojrzał na mnie i już nie mógł oderwać wzroku. Od tej chwili stałam się jego ulubioną zabawką.

Początkowo sądziłam, że interesuje się mną z powodu darmowych drinków, które mu zapewniałam. Zadbałam o to, żeby w czasie, kiedy go obsługiwałam, nie widział moich poobgryzanych paznokci, tylko białe równiusieńkie zęby. Pomyślałam sobie, że wygląda na chłopca z dobrego domu, ale dla mnie każdy poza ośrodkiem sprawiał takie wrażenie.

Za nim kłębił się rój adoratorek. Powstał korek jak przy wjeździe na autostradę w pierwszy dzień wakacji. Ale on dalej patrzył na mnie pełnym pożądania wzrokiem. Stanęłam na wprost niego i oparłam się o bar, żeby zyskać pewność, że patrzy właśnie na mnie. Włożyłam do jego szklanki słomkę i podniosłam wzrok. Tak, patrzył na mnie.

Spytałam go: „Chce się pan napić czegoś innego?”. Nie usłyszałam jego odpowiedzi, więc przysunęłam się do niego, krzycząc: „Czego?!”. „Ciebie”, powiedział mi do ucha.

Nalałam sobie szklaneczkę burbona na koszt szefa. Po pierwszym łyku przestałam się czerwienić, po drugim dobrze się poczułam, po trzecim doznałam przypływu odwagi. Znów pochyliłam się nad jego uchem i powiedziałam: „Po pracy będziemy się mogli czegoś napić”.

Uśmiechnął się. Miał takie same zęby jak ja, białe i równe.

Kiedy Philippe Toussaint wysunął rękę przez bar, żeby dotknąć mojej, pomyślałam, że moje życie niedługo się zmieni. Poczułam, jak skóra cierpnie mi pod jego dotykiem – to było przeczucie. Miał dziesięć lat więcej niż ja. Ta różnica wieku powiększała dzielący nas dystans. Czułam się jak motyl wpatrujący się w gwiazdę.

6

Nadchodzi bowiem godzina, kiedy w grobowcach komemoratywnych wszyscy usłyszą Jego głos i wyjdą

Delikatne pukanie do drzwi. Nikogo się nie spodziewam, od dawna już zresztą na nikogo nie czekam.

Dom ma dwa wejścia, jedno od strony cmentarza, drugie od ulicy. Éliane szczeka, podbiegając do drzwi od strony ulicy. Jej pani, Marianne Ferry (1953–2007), spoczywa w kwartale Trzmielin. Éliane zjawiła się w dniu jej pogrzebu i już nie odeszła. Przez pierwsze tygodnie karmiłam ją na grobie jej pani i powoli zaczęła za mną chodzić, w końcu przyszła do domu. Nono dał jej imię Éliane, które nosiła Isabelle Adjani w *Morderczym lecie*, bo suczka ma śliczne niebieskie oczy, a jej pani umarła w sierpniu.

W ciągu dwudziestu lat miałam już trzy psy. Pojawiały się u mnie w tym samym czasie, co ich pan czy pani, i siłą rzeczy stawały się moimi psami. Jednak została mi tylko ona.

Znowu pukanie. Waham się, czy otworzyć. Dopiero siódma rano. Popijam herbatę, smarując grzanki solonym masłem i konfiturą z truskawek, którą dostałam w prezencie od Suzanne Clerc; jej mąż (1933–2007) leży w kwartale Cedrów. Słucham muzyki. Poza godzinami otwarcia cmentarza zawsze słucham muzyki.

Wstaję i wyłączam radio.

– Kto tam?

– Przepraszam panią, zobaczyłem światło – odpowiada mi męski głos, pełen wahania.

Słyszę, jak gość szura nogami po wycieraczce.

– Mam parę pytań na temat kogoś, kto leży na cmentarzu.

Mogłabym mu powiedzieć, żeby wrócił po ósmej, jak otworzę.

– Dwie minuty, zaraz wracam!

Wchodzę do pokoju na piętrze i otwieram szafę zimową, żeby włożyć szlafrok. Mam dwie szafy. Jedną, którą nazywam „zimową”, drugą „letnią”. To nie ma nic wspólnego z porami roku, ale z okolicznościami. W szafie zimowej trzymam tylko ubrania klasyczne, ciemne, takie dla innych. W szafie letniej – stroje jasne i kolorowe, takie dla mnie. Noszę lato pod zimą i zdejmuję zimę, kiedy jestem sama.

Wkładam więc szary pikowany szlafrok na szlafroczek z różowego jedwabiu. Schodzę otworzyć drzwi i widzę mężczyznę w wieku około czterdziestu lat. Początkowo dostrzegam tylko jego wlepione we mnie ciemne oczy.

– Dzień dobry, przepraszam, że tak wcześnie zakłócam pani spokój.

Jest jeszcze ciemno i zimno. Za nim widzę, że noc pokryła wszystko warstwą szronu. Z ust buchają mu kłęby pary, jakby wypuszczał dym papierosowy. Pachnie tytoniem, cynamonem i wanilią.

Nie jestem w stanie powiedzieć słowa. Tak jakbym zobaczyła kogoś, kogo dawno już nie widziałam. Myślę, że za późno do mnie przychodzi. Że gdyby się pojawił w moim progu dwadzieścia lat temu, wszystko wyglądałoby inaczej. Dlaczego tak myślę? Bo przez tyle już lat nikt, nie licząc nawalonych małolatów, nie zapukał do moich drzwi od ulicy? Dlatego że wszyscy goście przychodzą od strony cmentarza?

Zapraszam go do środka; dziękuje, wygląda na skrępowanego. Częstuję go kawą.

W Brancion-en-Chalon znam wszystkich. Nawet tych mieszkańców, którzy jeszcze nie mają u mnie swoich zmarłych. Każdy z nich chociaż raz szedł cmentarnymi alejkami, odprowadzając przyjaciela, sąsiada czy matkę kolegi.

Ale jego nigdy jeszcze nie widziałam. Wyczuwa się u niego lekki akcent, ma taki śródziemnomorski sposób akcentowania zdań. Jest ciemnym brunetem, tak ciemnym, że jego nieliczne siwe włosy widać wyraźnie w mierzwie pozostałych. Długi nos, grube wargi, worki pod oczami. Podobny trochę do Gainsbourga. Widać, że golenie nie wychodzi mu najlepiej, ale za to ma wdzięk. Ma piękne dłonie, długie palce. Gorącą kawę pije małymi łyczkami, dmucha na nią i grzeje sobie dłonie od porcelany.

Wciąż nie wiem, dlaczego tu jest. Pozwoliłam mu wejść do domu, bo ta część tak naprawdę nie jest moim domem. To pomieszczenie należy do wszystkich. Coś jak miejska poczekalnia, z której zrobiłam kuchnię z salonem. Należy do wszystkich przygodnych gości i bywalców.

Mężczyzna sprawia wrażenie, jakby lustrował ściany. To wnętrze o powierzchni dwudziestu pięciu metrów kwadratowych wygląda tak samo jak moja zimowa szafa. Puste ściany. Żadnego kolorowego obrusa czy niebieskiej kanapy. Tylko sklejka i krzesła, żeby było na czym usiąść. Nic wystawnego. Ekspres do kawy zawsze gotowy do użycia, białe filiżanki i mocne alkohole dla zrozpaczonych. To tutaj grabarze przychodzą się wypłakać, zwierzyć, wyładować gniew, powzdychać, tu rozpaczają i tu się śmieją.

Na pierwszym piętrze mam sypialnię. Takie sekretne zaplecze, własne pielesze. Sypialnia i łazienka, dwie pastelowe bombonierki. Pudrowy róż,

migdałowa zieleń i lazurowy błękit – moja własna interpretacja kolorów wiosny. Gdy tylko pojawia się promyczek słońca, otwieram na oścież okna. Z zewnątrz niczego nie widać, chyba żeby ktoś wszedł na drabinę.

Nikt nigdy nie przekroczył progu mojej sypialni, takiej jaką mam teraz. Zaraz po zniknięciu Philippe’a Toussainta całą ją odmalowałam, dołożyłam firanki, koronki, białe meble i wielkie łóżko ze szwajcarskim materacem, który dostosowuje się do kształtu ciała. Nie chciałam już spać w miejscu, gdzie dawniej odciśnięty był kształt ciała Philippe’a Toussainta.

Nieznajomy ciągle dmucha w filiżankę.

– Przybywam z Marsylii – odzywa się w końcu. – Zna pani Marsylię?

– Każdego roku jeżdżę do Sormiou.

– Do zatoczki?

– Tak.

– Zabawny przypadek.

– Nie wierzę w przypadki.

Chyba czegoś szuka w kieszeni dżinsów. Moi mężczyźni nie noszą dżinsów. Nono, Elvis i Gaston chodzą zawsze w strojach roboczych, bracia Lucchini i ksiądz Cédric w spodniach z tergalu. Nieznajomy zdejmuje szalik i odsłania szyję, odstawia pustą filiżankę na stół.

– Jestem taki jak pani, racjonalny… No i jestem komisarzem.

– Jak Columbo?

Po raz pierwszy odpowiada mi z uśmiechem na twarzy:

– Nie. On był inspektorem.

Opuszką palca wskazującego zbiera rozsypane na stole kryształki cukru.

– Moja matka chciała spocząć na tym cmentarzu, a ja nie wiem dlaczego.

– Mieszkała w okolicy?

– Nie, w Marsylii. Zmarła dwa miesiące temu. Spocząć tutaj to życzenie stanowiące część jej ostatniej woli.

– Przykro mi. Nalać panu kropelkę alkoholu do kawy?

– Ma pani w zwyczaju upijać ludzi tak wcześnie rano?

– Zdarza mi się. Jak się nazywa pana matka?

– Irène Fayolle. Chciała, żeby ją skremować… i żeby jej prochy złożyć na grobie niejakiego Gabriela Prudenta.

– Gabriel Prudent? Gabriel Prudent, tysiąc dziewięćset trzydzieści jeden–dwa tysiące dziewięć. Pochowany w alejce dziewiętnastej, w kwartale Cedrów.

– Zna pani na pamięć nazwiska wszystkich nieboszczyków?

– Prawie.

– Datę zgonu, miejsce i tak dalej?

– Prawie.

– Kim był Gabriel Prudent?

– Jakaś kobieta przychodzi na jego grób od czasu do czasu… Jego córka, jak sądzę. Był adwokatem. Na czarnej marmurowej płycie jego pomnika nie ma żadnego epitafium ani zdjęcia. Nie przypominam już sobie dnia pochówku. Ale jeśli pan chce, mogę zajrzeć do rejestrów.

– Do rejestrów?

– Odnotowuję każdy pochówek i każdą ekshumację.

– Nie wiedziałem, że to należy do pani obowiązków.

– Bo nie należy. Ale gdyby tak robić tylko to, co należy, życie byłoby smutne.

– To zabawne usłyszeć coś takiego z ust… jak się ten pani zawód nazywa? Dozorca cmentarny?

– Dlaczego tak to pana dziwi? Myśli pan, że płaczę od rana do wieczora? Że mam w sobie tylko łzy i smutek?

Podaję mu drugą kawę, a on dwukrotnie zadaje mi to samo pytanie:

– Mieszka pani sama?

W końcu odpowiadam, że tak.

Otwieram szuflady z rejestrami i zaglądam do zeszytu z 2009 roku. Szukam według nazwisk rodowych i od razu znajduję Prudenta Gabriela. Zaczynam czytać:

18 lutego 2009 roku, pogrzeb Gabriela Prudenta, ulewny deszcz.

Przy składaniu ciała do grobu było obecnych sto dwadzieścia osiem osób, a wśród nich jego była żona i dwie córki – Marthe Dubreuil i Cloé Prudent.

Zgodnie z wolą nieboszczyka żadnych kwiatów, żadnych wieńców.

Rodzina kazała umieścić na nagrobku tabliczkę, na której można przeczytać:

W hołdzie Gabrielowi Prudentowi, odważnemu adwokatowi. „Odwaga, w przypadku adwokata, to rzecz zasadnicza, bo bez niej reszta się nie liczy; talent, kultura, znajomość prawa, adwokatowi przydaje się wszystko. Lecz bez odwagi w decydującym momencie są tylko słowa, następujące po sobie zdania, błyskotliwe, ale ulotne” (Robert Badinter).

Bez księdza. Bez krzyża. Cała ceremonia trwała pół godziny. Kiedy dwaj pracownicy zakładu pogrzebowego umieścili trumnę w grobie, wszyscy sobie poszli. Ciągle taki sam ulewny deszcz.

Zamykam rejestr. Komisarz wygląda na oszołomionego, zamyślonego. Przeczesuje ręką włosy.

– Zastanawiam się, dlaczego moja matka chce leżeć blisko tego człowieka.

Przez pewien czas uważnie lustruje moje białe ściany, na których nie ma absolutnie nic do oglądania, po czym spogląda na mnie, jak gdyby mi nie dowierzał. Wzrokiem wskazuje rejestr z 2009 roku.

– Mogę przeczytać?

Zazwyczaj pokazuję swoje notatki tylko zainteresowanym rodzinom. Po kilku sekundach wahania w końcu podaję mu zeszyt. Zaczyna kartkować, a przewracając kolejne strony, patrzy na mnie, jak gdyby to na moim czole umieszczone były te słowa z 2009 roku. Jak gdyby ten zeszyt, który trzyma w ręce, był tylko pretekstem, żeby na mnie patrzeć.

– I robi pani tak samo przy każdym pogrzebie?

– Nie zawsze, ale prawie. Dzięki temu kiedy ci, którzy nie mogli wziąć udziału w pochówku, przychodzą do mnie, mogę opowiedzieć im wszystko, korzystając z notatek… Zabił już pan kogoś? Znaczy… w związku z pana pracą…

– Nie.

– Ma pan broń?

– Zdarza mi się, czasami. Ale teraz… dziś rano… nie.

– Przywiózł pan prochy matki?

– Nie. Na razie są w krematorium… Nie złożę tych prochów na grobie kogoś nieznajomego.

– Dla pana to nieznajomy, ale nie dla niej.

Wstał.

– Chciałbym obejrzeć grób tego człowieka.

– Dobrze. Czy może pan wrócić za jakieś pół godziny? Nigdy nie wchodzę na cmentarz w szlafroku.

Uśmiecha się po raz drugi, wychodzi z mojej połączonej z salonem kuchni. Odruchowo zapalam górne światło. Nigdy tego nie robię, kiedy ktoś się zjawia; zapalam dopiero wtedy, gdy wychodzi. W ten sposób zastępuję jego obecność światłem. Dawne przyzwyczajenie dziecka urodzonego jako X.

*

Pół godziny później czeka na mnie w swoim samochodzie zaparkowanym przed bramą. Trzynastka na tablicy rejestracyjnej, departament Bouches-du-Rhône. Musiał przysnąć, złożywszy głowę na szaliku; ma ślad na policzku, który wygląda teraz na zmięty.

Na karminową sukienkę włożyłam granatowy płaszcz i zapięłam go pod samą szyję. Wyglądałam jak noc, a przecież pod spodem nosiłam dzień, by zamigotał; wystarczyłoby rozpiąć płaszcz.

Szliśmy alejkami. Powiedziałam mu, że mój cmentarz ma czte- ry kwartały: Oleandry, Trzmieliny, Cedry i Cisy, dwa kolumbaria i dwie kwatery pamięci. Spytał mnie, czy już długo „to” robię, powiedziałam mu, że dwadzieścia lat i że przedtem byłam dróżniczką. Zapytał, jak to jest, kiedy się przechodzi od pociągów do karawanów. Nie za bardzo wiedziałam, co mu powiedzieć. Zbyt dużo się wydarzyło pomiędzy tymi dwoma odsłonami mojego życia. Pomyślałam tylko, że zadaje dziwne pytania jak na racjonalnego komisarza.

Kiedy stanęliśmy na wysokości grobu Gabriela Prudenta, pobladł. Tak jakby przyszedł odwiedzić grób człowieka, o którym nigdy nie słyszał, ale który mógłby być jego ojcem, wujem, bratem. Trwaliśmy w bezruchu przez długą chwilę. W końcu zaczęłam chuchać w dłonie. Było bardzo zimno.

Zazwyczaj nie zostaję przy grobie. Prowadzę tych, którzy o to proszą, na miejsce i wycofuję się. Ale tym razem, nie wiem czemu, nie mogłam

zostawić tego mężczyzny samego. Po chwili, która wydawała mi się wiecznością, powiedział, że już pojedzie. Wróci do Marsylii. Gdy zapytałam, kiedy przyjedzie, żeby złożyć prochy matki na grobie pana Prudenta, nie odpowiedział.

7

Zawsze kogoś brak będzie. By w moim życiu pojawił się uśmiech – Ciebie

Przesadzam kwiaty na grobie Jacqueline Dancoisne, z domu Victor (1928–2008), oraz pochowanego z nią Maurice’a René Dancoisne’a (1911–1997). Są to dwa piękne białe wrzosy, rzekłbyś – dwa kawałki nadmorskiego klifu w doniczkach. Jedne z nielicznych roślin, które wytrzymują zimę, oprócz chryzantem i sukulentów. Pani Dancoisne lubiła białe kwiaty. Raz w tygodniu przychodziła na grób męża. Gawędziłyśmy… no, tak pod koniec, jak już się trochę przyzwyczaiła do utraty Maurice’a. W pierwszych latach była zdruzgotana. Nieszczęście odbiera człowiekowi mowę. Albo sprawia, że się mówi byle co. Później powoli odnalazła drogę powrotną do ludzi, zaczęła budować proste zdania, odzyskała zainteresowanie żywymi i nauczyła się zadawać im pytania.

Nie wiem, dlaczego się mówi „na grobie”. Powinno się raczej mówić „obok grobu” lub „przy grobie”. Oprócz bluszczu, jaszczurek, kotów czy psów nikt nie wchodzi na grób. Pani Dancoisne dołączyła do męża z dnia na dzień. W poniedziałek uprzątnęła stelę swojego ukochanego, a w czwartek to już jej sadziłam kwiaty. Od pogrzebu jej dzieci

przyjeżdżają raz w roku i proszą mnie, żebym zajmowała się grobem przez resztę czasu.

Lubię wkładać ręce we wrzosową ziemię, którą blademu słońcu dzisiejszego październikowego dnia trudno ogrzać, chociaż to już południe. I moje palce, choć zmarznięte, rozkoszują się nią. Całkiem tak samo jak wtedy, kiedy wkładam je w ziemię swojego ogródka.

Parę metrów ode mnie Gaston i Nono kopią grób, opowiadając sobie, co robili wieczorem. Z miejsca, w którym się znajduję, w zależności od kierunku wiatru, słyszę strzępy ich rozmowy. „Żona mi powiedziała… w telewizji… swędzenie… niedobrze byłoby, gdyby… szef się napatoczy… omlet u Violette… poznałem go… to był równy facet… taki kędzierzawy, tak?… Tak, był chyba w naszym wieku… to było miłe… jego żona… damulka… piosenka Brela… nie ma co udawać bogacza, jak się nie ma grosza przy duszy… tak mi się chciało lać… strach… prostata… kupić coś, zanim zamkną… jajka dla Violette… co za nieszczęście…”

Jutro o godzinie szesnastej jest pogrzeb. Na moim cmentarzu pojawi się nowy rezydent. Mężczyzna, pięćdziesiąt pięć lat, umarł, bo za dużo palił. No, tak powiedzieli lekarze. Nigdy nie mówią, że pięćdziesięciopięcioletni mężczyzna może umrzeć, bo nikt go nie kochał, nie chciał wysłuchać, bo dostał za dużo faktur, zaciągnął za dużo kredytów konsumpcyjnych, bo dzieci dorosły i opuściły dom, właściwie się nie pożegnawszy. Życie pełne wymówek, niesnasek. No więc lubił sobie zajarać i walnąć kielicha, żeby zalać robaka.

Nigdy się nie mówi o tym, że można umrzeć, bo zbyt często ma się już tego wszystkiego dość.

Trochę dalej dwie drobne kobiety, pani Pinto i pani Degrange, sprzątają groby mężów. A jako że przychodzą codziennie, wymyślają, co by tu

jeszcze zrobić. Wokół ich grobów czysto jak na stoisku z wykładzinami w markecie budowlanym.

Ludzie, którzy przychodzą codziennie odwiedzać swoich zmarłych, są podobni do duchów. Tacy ni to żywi, ni to martwi.

Pani Pinto i pani Degrange są lekkie jak wróbelki na przednówku. Tak jakby to mężowie je karmili, kiedy jeszcze pozostawali przy życiu. Znam je, odkąd tylko zaczęłam tu pracować. Od ponad dwudziestu lat każdego ranka zaglądają na cmentarz w drodze po zakupy, taki obowiązkowy przystanek. Nie wiem, czy to miłość, czy uzależnienie. Albo i jedno, i drugie. Czy robią to dla pozoru, czy z czułości.

Pani Pinto jest Portugalką. I jak większość swoich rodaków mieszkających w Brancion latem wraca do kraju ojczystego. No i ma co robić po wakacjach. W początkach września wraca, zawsze tak samo chuda, ale cerę ma ogorzałą, a kolana zdarte od porządkowania grobów tych, którzy umarli w Portugalii. Ja w czasie jej nieobecności podlewam francuskie kwiaty. I żeby mi podziękować, przywozi mi w prezencie lalkę w stroju ludowym w plastikowym pudełku. Każdego roku dostaję taką lalkę. I co roku mówię: „Dziękuję, pani Pinto, dziękuję, nie trzeba było, dla mnie kwiaty to przyjemność, a nie praca”.

W Portugalii są całe setki strojów ludowych. Jeżeli więc pani Pinto pożyje jeszcze ze trzydzieści lat, a ja razem z nią, dostanę jeszcze ze trzydzieści nowych upiornych lalek zamykających oczy, kiedy się je kładzie do służących im za sarkofagi pudełek, które chronią je przed kurzem.

Pani Pinto od czasu do czasu do mnie wpada, więc nie mogę schować tych lalek. Nie chcę ich jednak mieć w sypialni, no i nie mogę też postawić ich tam, gdzie przychodzą ludzie w poszukiwaniu pociechy. Są zbyt brzydkie. „Wystawiam” je na prowadzących do sypialni schodach, które znajdują się za przeszklonymi drzwiami, tak że widać je z kuchni. Kiedy

pani Pinto przychodzi do mnie napić się kawy, patrzy na nie, sprawdza, czy stoją na swoim miejscu. Zimą, gdy robi się ciemno o siedemnastej, patrząc na nie, widzę te ich błyszczące czarne oczy i szeleszczące stroje i wyobrażam sobie, że zaraz otworzą pudełko i podłożą mi nogę, żebym spadła ze schodów.

Zauważyłam, że w przeciwieństwie do wielu innych pani Pinto i pani Degrange nigdy nie rozmawiają z mężami. Porządkują grób w milczeniu. Tak jakby przestały się do nich odzywać jeszcze na długo, zanim odeszli. Jakby to milczenie stanowiło jakiś ciąg dalszy. Nigdy też nie płaczą. Oczy mają suche już od dawna. Czasami, jak na komendę, zaczynają rozmawiać o pogodzie, o dzieciach, o wnukach, a już niedługo – kto by pomyślał – będą sobie opowiadać o prawnukach.

Raz widziałam, jak się śmiały. Jeden jedyny raz, krótko. Kiedy pani Pinto powiedziała tej drugiej, że wnuczka zadała jej takie oto pytanie: „Babciu, a co to jest ten dzień Wszystkich Świętych? To takie wakacje?”.

8

Niechaj wieczne spoczywanie równie słodkim Ci będzie, jak dobreś miał serce

Dwudziesty drugi listopada 2016 roku, niebieskie niebo, dziesięć stopni, godzina szesnasta. Pogrzeb Thierry’ego Teissiera (1960–2016). Trumna mahoniowa. Żadnych marmurów. Grób wykopany w ziemi. Pojedynczy.

Obecnych około trzydziestu osób. W tym Nono, Elvis, Pierre Lucchini i ja.

Kilkanaścioro kolegów i koleżanek z pracy Thierry’ego Teissiera z zakładów DIM złożyło wiązankę z lilii: *Naszemu Drogiemu Koledze*.

Jedna z pracownic oddziału onkologicznego w Mâcon, o imieniu Claire, trzyma w ręce bukiet białych róż.

Żona zmarłego jest obecna, jak również oboje ich dzieci, syn i córka w wieku trzydziestu i dwudziestu sześciu lat. Na tabliczce napis: *Naszemu Ojcu*.

Thierry Teissier nie ma fotografii.

Na innej tabliczce: *Mężowi*. Z malutką gajówką namalowaną nad tym słowem.

W ziemię wkopano wielki krzyż z drewna oliwnego.

Trzej koledzy z gimnazjum czytają na zmianę poemat Jacques’a Préverta.

Wioska słyszy zrozpaczona
Śpiew ptaszyny co zraniona
Jedyny to ptak w tej wiosce
I jedyny kot w tej wiosce
Który ptaszka prawie zeżarł
I ptaszyna już nie śpiewa
Kot mruczeć przestaje
Już się nie oblizuje
I wioska robi ptaszynie
Wspaniały pochówek
A zaproszony kot
Za słomianą trumienką bieży
Gdzie martwa ptaszyna leży
Niesiona przez małą dziewczynkę
Która bez przerwy płacze
Gdybym wiedział że tak Cię to zasmuci
Mówi do niej kot
Zjadłbym go całego
A potem Ci powiedział
Żem widział jak odleciał
Odleciał na sam kraj świata
Tam dokąd daleko bardzo jest tak
Że nigdy się stamtąd nie wraca
Mniej byś cierpiała

Żalu tylko trochę i smutku doznała
Jak się coś zaczęło trzeba skończyć.

Przed opuszczeniem trumny do dołu zabiera głos ksiądz Cédric:

– Wspomnijmy słowa Jezusa do siostry właśnie zmarłego Łazarza: *Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie*[5].

Claire kładzie bukiet białych róż obok krzyża. Wszyscy rozchodzą się jednocześnie.

Nie znałam zmarłego. Jednak sposób, w jaki niektóre osoby patrzyły na grób, pozwala sądzić, że był on dobrym człowiekiem.

---

[5] Biblia Tysiąclecia, J 11, 25. Wszystkie cytaty pochodzą z tego wydania.

9

Jego uroda, młodość radośnie witały świat, w którym mógłby żyć. A potem z rąk wypadła mu książka, której nie zdążył przeczytać

Na moim cmentarzu można znaleźć ponad tysiąc fotografii – czarno-białych, w sepii, w żywych lub wyblakłych kolorach.

Kiedy zdjęcia te były robione, nikt z tych pozujących niewinnie przed obiektywem mężczyzn, dzieci i kobiet nie mógł przypuszczać, że to właśnie ujęcie będzie go reprezentowało po wsze czasy. Dzień urodzin czy obiad w rodzinnym gronie, niedzielna przechadzka po parku, ślub, bal maturalny, zabawa sylwestrowa. Dzień, kiedy wyglądali ładniej niż zwykle, byli z bliskimi, dzień szczególny, gdy włożyli najlepsze stroje, jakie mieli: mundur, ubranko do chrztu czy do komunii. Jakaż niewinność wyziera z oczu każdej z tych uśmiechniętych twarzy na grobach!

Często, w przeddzień pogrzebu, w gazecie pojawia się wzmianka – nekrolog, w którym w paru zdaniach podsumowuje się życie zmarłego. Krótko. W gazecie regionalnej życie nie zajmuje wiele miejsca. Trochę więcej, kiedy należało do jakiegoś biznesmena, lekarza czy trenera piłki nożnej.

Umieszczenie zdjęcia na grobie to ważna rzecz. Inaczej jest się tylko nazwiskiem. Śmierć zabiera również twarze.

Najpiękniejsze małżeństwo z cmentarza to Anna Dahan, z domu Lave (1914–1987), i Benjamin Dahan (1912–1992). Podkolorowane zdjęcie wykonano w dniu ślubu, w latach trzydziestych. Dwie uśmiechające się do fotografa cudowne twarze. Ona – jasna jak słońce blondynka ze śnieżnobiałą cerą; on – delikatne rysy twarzy, jakby rzeźbione. Szafirowe, lśniące niczym gwiazdy oczy. Dwa ofiarowane wieczności uśmiechy.

W styczniu przecieram fotografie. Robię to tylko na grobach zaniedbanych albo bardzo rzadko odwiedzanych. Używam szmatki nasączonej wodą, do której dodaję odrobinę denaturatu. Czyszczę też tablice, ale do tego nasączam szmatkę białym octem.

Zajmuje mi to mniej więcej sześć tygodni. Kiedy Nono, Gaston i Elvis chcą mi pomóc, odmawiam. I tak mają dosyć pracy przy dbaniu o należyty wygląd cmentarza.

*

Nie usłyszałam, jak podszedł. Rzadko mi się to zdarza. Zazwyczaj od razu rejestruję kroki stawiane na żwirowych alejkach. Wiem nawet, czy idzie mężczyzna, kobieta, czy dziecko. Spacerowicz czy odwiedzający. Ten tutaj przemieszcza się bezszelestnie.

Czyszczę właśnie dziewięć twarzy rodziny Hesme’ów: – Étienne (1876–1915), Lorraine (1887–1928), Françoise (1949–2000), Gilles (1947–2002), Nathalie (1959–1970), Théo (1961–1993), Isabelle (1969–2001), Fabrice (1972–2003), Sébastien (1974–2011) – kiedy wyczuwam na plecach jego wzrok. Odwracam się. Stoi pod światło, więc nie od razu go rozpoznaję.

Dopiero gdy słyszę „Dzień dobry”, orientuję się, że to on. A zaraz potem, z dwu- lub trzysekundowym opóźnieniem, czuję jego zapach: cynamon i wanilia. Nie sądziłam, że wróci. Upłynęły ponad dwa miesiące, od kiedy zapukał do moich drzwi od strony ulicy. Serce zaczyna mi bić trochę szybciej. Czuję, jak mi podszeptuje: Uwaga!

Od zniknięcia Philippe’a Toussainta żaden mężczyzna nie przyprawił mnie o szybsze bicie serca. Od czasów Philippe’a Toussainta moje serce nie zmienia rytmu, tyka niewzruszenie niczym stary zegar.

Przyspiesza wyłącznie w dniu Wszystkich Świętych, kiedy udaje mi się sprzedać nawet sto doniczek z chryzantemami, no i muszę wskazywać kierunek okazyjnym odwiedzającym, którzy zgubili drogę w alejkach. Ale dzisiaj rano, chociaż nie jest to Święto Zmarłych, serce wali mi jak oszalałe. I to z jego powodu. Czuję jakby strach, swój własny.

Ciągle trzymam w ręce ściereczkę. Komisarz spogląda na twarze, które akurat pucuję, i uśmiecha się do mnie nieśmiało.

– Ci ludzie to pani rodzina?

– Nie. Doglądam grobów, i tyle. – Nie za bardzo wiedząc, co zrobić z natłokiem myśli w głowie, dodaję: – W rodzinie Hesme’ów ludzie umierają młodo. Jak gdyby mieli alergię na życie albo jakby to ono ich nie chciało.

Kiwa głową, rozpina nieco płaszcz i mówi z uśmiechem:

– Ziąb w tych pani stronach.

– No pewno, że tu zimniej niż w Marsylii.

– Jedzie tam pani tego lata?

– Tak, jak co roku. Jadę tam odwiedzić córkę.

– Mieszka w Marsylii?

– Nie, raz tu, raz tam.

– Co robi?

– Uprawia magię, zawodowo.

Jakby chcąc nam przerwać, młody kos siada na grobie Hesme’ów i zaczyna głośne trele. Odeszła mi ochota na pucowanie twarzy. Wylałam wodę z wiaderka na żwir i wrzuciłam do środka ściereczki oraz denaturat. Kiedy się pochyliłam, mój długi szary płaszcz odsłonił śliczną karminową sukienkę w kwiaty, którą miałam pod nim. Nie umknęło to uwadze komisarza. Nie patrzy na mnie tak jak inni. Ma w sobie coś innego.

Chcąc odwrócić jego uwagę, przypominam mu, że aby móc złożyć prochy matki na grobie Gabriela Prudenta, będzie musiał uzyskać zgodę rodziny.

– Nie potrzeba. Zanim zmarł, Gabriel Prudent poinformował merostwo, że moja matka będzie z nim leżeć… Wszystko przewidzieli.

Wydawał się skrępowany. Przeciągnął dłonią po nieogolonych policzkach. Miał rękawiczki, więc nie mogłam zobaczyć jego rąk. Wpatrywał się we mnie trochę zbyt długo.

– Chciałbym, żeby pani coś zorganizowała na dzień złożenia prochów. No, coś takiego, żeby wyglądało odświętnie, choć to żadne święto.

Kos odleciał. Wystraszył się Éliane, która szturchnęła mnie łebkiem, domagając się pieszczoty.

– Nie zajmuję się takimi rzeczami. Musi pan skontaktować się z Pierre’em Lucchinim z zakładu pogrzebowego Le Tourneurs du Val przy rue de la République.

– Zakład pogrzebowy organizuje pogrzeby. A ja chcę tylko, żeby mi pani pomogła przygotować króciutkie przemówienie na okazję złożenia prochów mojej matki na grobie tego faceta. Nikogo nie będzie. Tylko ona i ja… Pragnę powiedzieć jej parę słów, przeznaczonych tylko dla niej.

Przykucnął, żeby pogłaskać Éliane. Mówiąc do mnie, patrzy na nią.

– Widziałem, że w tych pani… rejestrach, w tych zeszytach z opisami pochówków… nie wiem, jak je pani nazywa… zanotowała pani przemówienia. Może mógłbym wziąć po kawałku z jednego czy drugiego… żeby napisać coś dla mojej matki.

Przeczesał ręką włosy. Ma trochę więcej siwizny niż ostatnim razem. Może dlatego, że światło jest inne. Dzisiaj niebo jest niebieskie, światło białe. Kiedy widziałam tego człowieka po raz pierwszy, chmury wisiały nisko.

Minęła nas pani Pinto. „Dzień dobry, Violette”, powiedziała i obrzuciła komisarza nieufnym spojrzeniem. W tych stronach, gdy ktoś obcy stanie w progu, ludzie patrzą na niego nieufnie.

– Mam pogrzeb o szesnastej, proszę przyjść do mnie po dziewiętnastej. Napiszemy razem parę linijek.

Przyjął to z widoczną ulgą. Jakby zdjęto z niego jakieś brzemię. Wyjął paczkę papierosów i włożył jednego do ust, ale go nie zapalił. Spytał, gdzie znajduje się najbliższy hotel.

– Dwadzieścia pięć kilometrów stąd. A jak nie, to zaraz za kościołem zobaczy pan malutki domek z czerwonymi okiennicami. Mieszka tam pani Bréant, ma pokój gościnny na wynajem. Tylko jeden, ale nigdy nie jest zajęty.

Już mnie nie słucha. Wzrokiem powędrował gdzieś indziej. Ruszył do wyjścia zagubiony w myślach. Lecz po chwili zawrócił.

– Brancion-en-Chalon… Czy tu nie doszło do jakiejś tragedii?

– Wokół nas jest pełno tragedii. Każdy zmarły to czyjaś tragedia.

Wygląda, jakby szperał w pamięci, ale nie znalazł tego, czego szukał. Chuchnął w ręce. „Do zobaczenia” i „Dziękuję bardzo”, wymamrotał. Wrócił do bramy główną alejką. Ciągle nie słyszałam jego kroków.

Znowu minęła mnie pani Pinto, tym razem, żeby napełnić konewkę. Za nią dostrzegłam Claire z oddziału onkologicznego w Mâcon. Z doniczką różyczek w ręce zmierzała w kierunku grobu Thierry’ego Teissiera. Dołączam do niej.

– Dzień dobry pani – mówi. – Chciałabym posadzić te różyczki na grobie pana Teissiera.

Wołam Nona. Jest w kanciapie grabarzy. To miejsce, w którym się przebierają, biorą prysznic w południe i wieczorem i piorą ubrania robocze. Nono mówi, że nie chce przesiąknąć zapachem śmierci. Jednak nie istnieje detergent, który powstrzymałby śmierć przed zanieczyszczeniem głowy.

Nono zabrał się do kopania dołka w miejscu wskazanym przez Claire; towarzyszył mu śpiew Elvisa: *Always on my mind, always on my mind…*[6]. Położył na dnie trochę próchnicy i ustawił paliki, by różyczki rosły prosto. Powiedział Claire, że znał Thierry’ego i że to był równy facet.

*

Claire chciała mi dać pieniądze, żebym od czasu do czasu podlała różyczki Thierry’ego. Powiedziałam jej, że będę to robić, ale nigdy nie biorę pieniędzy za takie usługi. Dodałam, że może wrzucić jakieś drobne do skarbonki w kształcie biedronki, która stoi u mnie w kuchni, na lodówce, i że te datki przeznaczam na zakup karmy dla cmentarnych zwierząt.

„Dobrze”, rzuciła. Wytłumaczyła, że zazwyczaj nie chodzi na pogrzeby pacjentów ze swojego oddziału. Że to pierwszy raz. Że Thierry Teissier nie zasłużył sobie na to, żeby go tak po prostu położyć do ziemi i niczego nie posadzić wokół. Że wybrała te czerwone różyczki, bo one same z siebie wszystko mówią, i że chciałaby, żeby Thierry dalej dzięki nim istniał. Dodała, że kwiaty będą dotrzymywać mu towarzystwa.

Zaprowadziłam ją do jednego z najpiękniejszych na cmentarzu grobów, gdzie leży Juliette Montrachet (1898–1962). Wyrosły na nim różne kwiaty i krzewy, tworząc harmonijny zestaw kolorów i liści, chociaż nikt nie dogląda tego miejsca. Grób-ogród. Jak gdyby przypadek i przyroda załatwiły to ze sobą polubownie.

„Te kwiaty to jakby schody do nieba”, powiedziała Claire i mi podziękowała. Wypiła u mnie szklankę wody, wsunęła parę banknotów do skarbonki w kształcie biedronki i poszła.

---

[6] Zawsze w mojej pamięci, zawsze w mojej pamięci…

10

Mówić o Tobie to przedłużać Twe istnienie; niczego nie powiedzieć znaczyłoby o Tobie zapomnieć

Philippe’a Toussainta poznałam dwudziestego ósmego lipca 1985 roku, w dniu śmierci Michela Audiarda, tego wielkiego scenarzysty. Być może dlatego Philippe Toussaint i ja nigdy nie mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Dlatego nasze dialogi były płaskie jak encefalogram Tutanchamona. Gdy spytał: „Napijemy się u mnie?”, od razu odpowiedziałam: „Tak”.

Zanim wyszliśmy z Tibourina, czułam na sobie wzrok innych dziewczyn. Tych, które wystawały bezsensownie w kolejce ciągnącej się za nim w nieskończoność, od chwili kiedy odwrócił się do nich plecami, żeby spojrzeć na mnie. Nim muzyka ucichła za nami w oddali, czułam, jak ich spowite tuszem i cieniami oczy wiercą mi dziurę w plecach, jak mordują mnie, przeklinają, skazują na śmierć.

Ledwo zdążyłam powiedzieć „Tak”, a już siedzieliśmy na jego motocyklu, miałam na głowie za duży kask i jego rękę na lewym kolanie. Zamknęłam oczy. Zaczął padać deszcz. Czułam na twarzy jego krople.

Rodzice wynajmowali mu kawalerkę w centrum Charleville-Mézières. Kiedy wchodziliśmy schodami na górę, ciągle chowałam w rękawach

poobgryzane paznokcie.

Jak tylko znaleźliśmy się u niego, rzucił się na mnie bez jednego słowa. Ja też nic nie mówiłam. Philippe Toussaint był tak przystojny, że aż mnie zatkało. Podobnie jak wtedy, kiedy pani pod koniec podstawówki opowiedziała nam o Picassie i okresie błękitnym. Na widok obrazów, które nam pokazywała linijką w książce, zatkało mnie i postanowiłam, że reszta mojego życia będzie błękitna.

Spałam u niego oszołomiona rozkoszą, jaką dał mojemu ciału. Po raz pierwszy seks sprawił mi przyjemność, po raz pierwszy nie robiłam tego w zamian za coś. Zaczęłam wyczekiwać, aż zacznie się znowu. No i zaczęliśmy od nowa. Nie poszłam sobie, dalej u niego sypiałam. Jeden dzień, dwa dni, potem trzy. Później dni posklejały się ze sobą w mojej pamięci. Zostało wspomnienie podróży, ale zatarły się kształty i zapachy wagonów pociągu, którym ją odbyłam.

Philippe Toussaint wywoływał we mnie skłonności do kontemplacji. Spoglądałam na tego blondyna o niebieskich oczach niczym rozanielone dziewczę na fotografię w kolorowym magazynie i mówiłam sobie: „Ten obrazek należy do mnie, mogę go schować do kieszeni”. Całe godziny spędzałam na pieszczeniu go. Zawsze, w ten czy inny sposób, gdzieś tam go dotykałam. Mówi się, że uroda przemija i nie należy się do niej przywiązywać, ale ja chciałam go pić jak wino, jeść jak najlepsze desery i brać dokładkę za dokładką. Pozwalał mi na to. Podobało mu się to – ja i moje gesty. Brał mnie i tylko to się liczyło.

Byłam zakochana. Jakie szczęście, że nigdy nie miałam rodziny, bo niechybnie bym ją porzuciła. Philippe Toussaint stał się dla mnie jedynym obiektem zainteresowania. Na nim oparłam to, kim byłam, a on był wszystkim, co miałam. Całe moje jestestwo dla jednej tylko osoby.

Gdybym mogła wówczas w nim zamieszkać, wewnątrz niego, nie zawahałabym się ani przez chwilę.

Któregoś dnia powiedział rano: „Wprowadź się tutaj”. Niczego więcej nie dodał. Tylko tak właśnie powiedział: „Wprowadź się tutaj”. Uciekłam z ośrodka, bo nie byłam jeszcze pełnoletnia. Zjawiłam się u Philippe’a Toussainta z walizką, w której miałam cały swój dobytek. Czyli niewiele. Parę ubrań i moją pierwszą lalkę, Caroline. Kiedy mi ją podarowano, mówiła „Dzień dobry, mamo, mam na imię Caroline, chodź, pobawimy się”, a potem wybuchała śmiechem, ale nieodpowiednie baterie, zamoczone obwody, przeprowadzki, rodziny zastępcze, asystentki społeczne, wyspecjalizowane edukatorki i jej zamknęły usta. Poza tym szkolne zdjęcia, cztery płyty, dwie Étienne’a Daho (*Mythomane* i *La Notte, la Notte*), jedna zespołu Indochine (*3*) i jedna Charles’a Treneta (*La Mer*), pięć komiksów z serii przygód Tintina (*Błękitny lotos, Klejnoty Bianki Castafiore, Berło Ottokara, Tintin i Picarosi, Świątynia Słońca*), piórnik, który służył mi przez wszystkie szkolne lata i nosił podpisy pozostałych zesłańców z oślej ławki (Lolo, Sika, So, Stéph, Manon, Isa, Angelo) złożone długopisem marki Bic.

Philippe Toussaint przesunął parę rzeczy, żeby zrobić trochę miejsca dla moich. Po czym powiedział:

– Ty naprawdę jesteś dziwną dziewczyną.

Na co odparłam:

– Będziemy się kochać?

Nie miałam ochoty zaczynać rozmowy. Nigdy nie miałam ochoty zaczynać z nim rozmowy.

11

Kołysz go do snu śpiewem swym najsłodszym

W moim kieliszku porto pływa mucha. Wyjmuję ją i wyrzucam przez okno. Kiedy je zamykam, widzę, jak komisarz idzie ulicą, a światło lamp pada na jego płaszcz. Droga wiodąca na cmentarz obsadzona jest drzewami. W dole znajduje się kościół księdza Cédrica, a za kościołem parę śródmiejskich uliczek. Komisarz idzie szybko. Chyba zmarzł.

Chcę być sama. Jak każdego wieczoru. Do nikogo nie mówić. Czytać, słuchać radia, wziąć kąpiel. Zamknąć okiennice. Narzucić na siebie kimono z różowego jedwabiu. Po prostu poczuć się dobrze.

Po zamknięciu cmentarnej bramy mam czas dla siebie. Mam go na wyłączność. To luksus być właścicielem swojego czasu. Sądzę, że to jeden z największych luksusów, jakie człowiek może sobie zafundować.

Mam na sobie zimę na lecie, chociaż normalnie o tej porze noszę lato. Trochę sobie wyrzucam, że zaproponowałam komisarzowi, żeby do mnie wpadł, że zaoferowałam mu pomoc.

Puka do drzwi jak za pierwszym razem. Éliane nawet nie drgnęła. Dla niej zaczęła się już noc; leży zwinięta w kłębek na mnóstwie kocyków wyścielających jej legowisko.

Komisarz uśmiecha się do mnie, mówi „Dobry wieczór”. Suche zimno wpada do środka razem z nim. Szybko zamykam drzwi. Przyciągam krzesło, żeby usiadł. Nie zdejmuje płaszcza. To dobry znak. To znaczy, że długo nie zabawi.

Nie pytając go o nic, wyjmuję kryształowy kieliszek i nalewam mu porto – rocznik 1983 – które przywozi mi José-Luis Fernandez. Na widok kolekcji butelek w szafce, która służy mi za barek, mój gość wybałuszył te swoje wielkie czarne oczy. Mam całe setki butelek. Wina deserowe, szkockie whisky, likiery, bimbry, wódki.

– Nie handluję alkoholem, to prezenty. Ludzie nie mają serca dawać mi kwiatów. Nie daje się kwiatów dozorcom cmentarnym, a już na pewno nie tym, którzy je sprzedają, tak jak nie daje się kwiatów kwiaciarkom. Oprócz pani Pinto, która przywozi mi lalki, inni ludzie dają mi butelki trunków lub słoiczki z konfiturami. Musiałabym mieć niejedno życie, żeby to wszystko spożyć. Toteż dużo oddaję grabarzom.

Zdjął rękawiczki i upił pierwszy łyk porto.

– To najlepszy alkohol w moich zbiorach – mówię.

– Boskie.

Nie wiem dlaczego, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że może powiedzieć „boskie”, sącząc porto. Nie licząc potarganych włosów, nie ma w nim żadnej fantazji. Wygląda tak samo smętnie jak ubrania, które ma na sobie.

Biorę coś do notowania, siadam na wprost niego i proszę, żeby opowiedział mi o matce. Przez dłuższą chwilę się zastanawia, po czym bierze oddech i odpowiada:

– Była blondynką. Naturalną blondynką.

A potem już nic. Znów przygląda się gołym ścianom, jak gdyby wisiały na nich obrazy wielkich mistrzów. Od czasu do czasu podnosi kryształowy

kieliszek do ust i upija trunek małymi łyczkami. Widzę, że się nim delektuje. I że odpręża się, w miarę jak pije.

– Nigdy nie umiałem przemawiać. Myślę i mówię w taki sposób, w jaki sporządza się policyjny raport czy rysopis. Potrafię pani powiedzieć, czy taka to a taka osoba ma bliznę, pieprzyk, narośl… czy utyka, jaki nosi numer buta… Wystarczy mi rzut oka, by określić wzrost, wagę, kolor oczu, skóry, znaki szczególne człowieka. Ale jeśli chodzi o określenie, co ten ktoś może czuć… nie potrafię. Chyba że ma coś do ukrycia.

Opróżnił kieliszek. Od razu mu dolewam, kroję parę kawałków sera i układam je na porcelanowym talerzyku.

– Jeśli chodzi o sekrety, mam nosa. Istny psi węch… Natychmiast dostrzegam gest, którym ktoś się zdradza. No, przynajmniej tak mi się wydawało… zanim odkryłem ostatnią wolę matki.

Moje porto działa na wszystkich. To serum prawdy.

– A pani? Nie napije się pani?

Nalewam sobie kropelkę i stukam się z nim kieliszkiem.

– Tylko tyle?

– Pilnuję cmentarza, piję tylko odrobinę… A może porozmawiamy o zamiłowaniach pana matki. Kiedy mówię „zamiłowania”, niekoniecznie mam na myśli teatr czy pociąg do skoków na bungee. Po prostu niech się pan zastanowi, jaki był jej ulubiony kolor, gdzie lubiła spacerować, jakiej muzyki słuchała, jakie filmy oglądała, czy wolała koty, czy psy, czy miała ulubione drzewa, jak organizowała sobie wolny czas, czy lubiła deszcz, wiatr lub słońce, którą z pór roku lubiła najbardziej…

Szuka słów długo i w milczeniu niczym zbłąkany spacerowicz rozglądający się za właściwą drogą. Dopił porto i oznajmił:

– Lubiła śnieg i róże.

I to wszystko. Nie miał o niej niczego innego do powiedzenia. Sprawiał wrażenie zawstydzonego i zakłopotanego. Jak gdyby właśnie przed chwilą wyznał mi, że cierpi na chorobę sierocą. Że nie potrafi mówić o kimś bliskim.

Podnoszę się i zmierzam w kierunku szafy z rejestrami. Sięgam po ten z 2015 roku i otwieram go na pierwszej stronie.

– To przemowa napisana pierwszego stycznia dwa tysiące piętnastego roku dla Marie Géant. Jej wnuczka nie mogła przyjechać na pogrzeb, bo była służbowo za granicą. Przysłała mi ją i poprosiła, żebym odczytała w czasie pochówku. Myślę, że to panu pomoże. Proszę wziąć ten rejestr, przeczytać przemowę, zrobić sobie notatki i oddać mi go jutro rano.

Od razu wstał i włożył zeszyt pod pachę. Po raz pierwszy jeden z rejestrów opuści mój dom.

– Dziękuję, dziękuję za wszystko.

– Śpi pan u pani Bréant?

– Tak.

– Jadł pan kolację?

– Coś mi przyszykowała.

– Wraca pan jutro do Marsylii?

– Bladym świtem. Odniosę rejestr przed wyjazdem.

– Proszę go zostawić na parapecie okiennym, za niebieską żardinierą.

12

Śpij, babciu, śpij, tylko usłysz nasz dziecięcy śmiech nawet ze szczytów firmamentu

Przemowa dla Marie Géant

Nie potrafiła chodzić, biegała. Nie potrafiła ustać w miejscu. Stale się wierciła, jak to się mówi na wschodzie Francji. „Przestań się wiercić”, to znaczy: „Usiądźże wreszcie”. No i stało się, w końcu usiadła.

Kładła się spać wcześnie i wstawała o godzinie piątej rano. W sklepie zawsze była pierwsza, żeby nie stać w kolejce. Nienawidziła wystawania w kolejkach. O dziewiątej miała już w swojej siatce zakupy na cały dzień.

Zmarła w nocy z trzydziestego pierwszego grudnia na pierwszego stycznia, w dzień świąteczny, ona, która przez całe życie ciężko pracowała. Mam nadzieję, że nie musiała długo stać przed bramami do raju ze wszystkimi tymi hulakami i ofiarami wypadków drogowych.

Na wakacje przygotowywała mi, sama ją o to prosiłam, druty i kłębek wełny. Nigdy nie zrobiłam więcej niż dziesięć rządków. Gdyby złożyć mój urobek z tych lat, może wyszedłby z tego szalik. Taki, który mogłaby założyć mi na szyję, kiedy spotkam się z nią w raju. Jeśli na ten raj zasłużę.

Odbierając telefon, mówiła: „Tu babcia”, i śmiała się.

Co tydzień wysyłała listy do dzieci. Dzieci, które wyjechały daleko. Pisała wszystko, co jej przychodziło do głowy.

Przysyłała tym swoim „pociechom” paczki i czeki na każde urodziny, święto, Boże Narodzenie, Wielkanoc. Dla niej każde dziecko było „pociechą”.

Lubiła piwo i wino.

Kreśliła znak krzyża na chlebie, zanim go napoczęła.

Mówiła: „Jezus, Maria”. Często. Zamiast przecinków. Zamiast kropki na końcu zdania.

Na jej kredensie zawsze stał wielki odbiornik radiowy, który od samego rana był włączony. Bardzo wcześnie owdowiała, więc zawsze myślałam, że głosy spikerów dotrzymują jej towarzystwa.

W południe pałeczkę przejmowała telewizja. Zagłuszała ciszę. Oglądała jak leci wszystkie te debilne teleturnieje, dopóki nie usnęła przy Żarze młodości. *Komentowała każdą replikę postaci filmowych, jakby te osoby istniały w prawdziwym życiu.*

Dwa, trzy lata przed tym, zanim podupadła na zdrowiu i musiała przeprowadzić się ze swojego mieszkania do domu starców, ktoś ukradł jej z piwnicy łańcuchy i bombki na choinkę. Zadzwoniła do mnie z płaczem, jakby pozbawiono ją wszystkich świąt Bożego Narodzenia w życiu.

Często śpiewała. Bardzo często. Nawet pod koniec życia mówiła: „Chcę śpiewać”. Mówiła również: „Chcę umrzeć”.

W każdą niedzielę szła na mszę.

Niczego nie wyrzucała. Głównie resztek. Podgrzewała je i dojadała. Czasami zdarzało jej się rozchorować od tego, że jadła ciągle to samo, aż skończyła. Wolała jednak zwymiotować, niż wyrzucić kawałek chleba do kosza. Pozostałości wojny.

Kupowała musztardę w słoiczkach, na których były rysunki, i przechowywała je dla wnuków – pociech – kiedy przyjadą do niej na wakacje.

Zawsze coś dobrego pykało u niej na kuchence gazowej w żeliwnym naczyniu. Kurczak z ryżem starczał jej na tydzień. A wieczorem zjadała rosół. W piekarniku miała często trochę smażonej cebuli w brytfance albo jakiś pyszny sos.

Mieszkanie wynajmowała. Nigdy nie miała żadnego na własność. Jedyne miejsce, które ma na własność, to jej rodzinny grób.

Kiedy wiedziała, że przyjeżdżamy na wakacje, czekała na nas w kuchennym oknie. Wyglądała samochodów zatrzymujących się na niewielkim parkingu pod domem. Przez szybę widać było jej siwe włosy. Ledwo co się do niej przyjechało, a już się dopytywała: „To kiedy znów do babci przyjedziecie?". Jakby chciała, żebyśmy sobie od razu pojechali.

W ostatnich latach już na nas nie czekała. Jeśli komuś zdarzyło się to nieszczęście, że się spóźnił pięć minut do domu starców, żeby ją zabrać na obiad do restauracji, znajdował ją w jadalni ze wszystkimi innymi starymi ludźmi.

Spała w siateczce na głowie, żeby fryzura się trzymała.

Codziennie rano wypijała sok z cytryny rozcieńczony ciepłą wodą.

Miała czerwoną narzutę na łóżko.

Była wojenną matką chrzestną[7] mojego dziadka Luciena. Kiedy wrócił z Buchenwaldu, nie poznała go. Na stoliku nocnym stało zdjęcie Luciena. Potem zabrano to zdjęcie razem z nią do domu starców.

Uwielbiałam wkładać jej nylonowe halki. Wszystko zamawiała korespondencyjnie, więc dostawała dużo prezentów, różnego rodzaju gadżetów. Gdy tylko do niej przyjeżdżałam, pytałam, czy mogę pójść poszperać w jej szafie. Mówiła: „No pewno, idź". I szperałam całymi

godzinami. Znajdowałam książeczki do nabożeństwa, kremy marki Yves Rocher, prześcieradła, ołowiane żołnierzyki, kłębki wełny, suknie, szaliki, broszki, porcelanowe laleczki.

Skórę na rękach miała szorstką.

Czasami układałam jej włosy.

Dla oszczędności nie puszczała ciurkiem wody, spłukując umyte naczynia.

Pod koniec życia mawiała: „Co też ja temu Panu Bogu zrobiłam, że jestem tutaj?”. Miała na myśli dom starców.

Zaczęłam uciekać z jej niewielkiego mieszkanka, kiedy skończyłam siedemnaście lat, by chodzić spać do ciotki, która mieszkała trzysta metrów od niej. Miała piękne mieszkanie nad kawiarnią, gdzie były piłkarzyki, gry wideo i lody marki Esquimaux, i kinem, w którym zawsze było dużo młodzieży. Jeść jednak chodziłam do babci, ale sypiać wolałam u cioci z powodu papierosów, które można było palić po kryjomu, kina i baru.

U ciotki sprzątała i prasowała pani Fève, miła kobieta. Aż któregoś dnia wpadłam na odkurzającą pokoje babcię. Zastępowała panią Fève, kiedy tamta była chora albo na urlopie. Czasami się to zdarzało. Tego się dowiedziałam.

W dniu jej śmierci nie mogłam w nocy zmrużyć oka z powodu „tego”. Tej niezręcznej sytuacji, jaka się wtedy pomiędzy nami wydarzyła – kiedy otworzyłam rozradowana drzwi i natknęłam się na sprzątającą babcię, na wpół zgiętą nad odkurzaczem; w ten sposób sobie dorabiała. Próbowałam sobie przypomnieć, co też tego dnia do siebie mówiłyśmy. Nie dało mi to spać, na okrągło wracała do mnie ta scena. W końcu jednak całkiem o niej zapomniałam. Aż do dnia jej śmierci. Przez całą noc otwierałam tamte drzwi i widziałam ją za nimi, jak sprząta czyjeś mieszkanie. Przez całą noc śmiałam się z kuzynami, a ona odkurzała.

Następnym razem, gdy ją zobaczę, zadam jej pytanie: „Babciu, a pamiętasz ten dzień, kiedy zobaczyłam, jak sprzątasz mieszkanie cioci?”. Wzruszy na pewno ramionami i mi odpowie: „A jak pociechy, zdrowe?”.

---

[7] W czasie pierwszej wojny światowej nazywano tak młode kobiety, które pisywały listy do nieznanych im wcześniej walczących na froncie żołnierzy, którzy często stracili już swoich bliskich. W ten sposób udzielały im wsparcia.

13

Jest coś silniejszego od śmierci, to trwanie nieobecnych w pamięci żyjących

Znalazłam właśnie wsunięty za niebieską żardinierę rejestr z 2015 roku. Komisarz nagryzmolił: *Dziękuję bardzo. Zadzwonię*, na odwrocie broszury reklamowej jakiejś sali sportowej w ósmej dzielnicy Marsylii. Na pierwszej stronie zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny. Jej piękne jak marzenie ciało zostało oddarte na poziomie kolan.

Niczego więcej nie napisał, żadnego komentarza na temat przemowy dla Marie Géant, żadnego słowa o matce. Zastanawiam się, czy jest daleko od Marsylii. Czy już dojechał. O której wyruszył w drogę? Czy mieszka blisko morza? Patrzy na nie czy go nie zauważa? Jak ci, którzy żyją razem od tak dawna, że aż ich to już rozdziela.

Nono i Elvis nadchodzą w chwili, gdy otwieram bramę. „Cześć, Violette!”, rzucają i parkują furgonetkę w głównej alejce, żeby pójść do swojej kanciapy i przebrać się w kombinezony. Słyszę ich śmiechy z alejek, które przemierzam, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Czy wszystko jest na swoim miejscu.

Koty ocierają mi się o nogi. Aktualnie na cmentarzu jest ich jedenaście. Pięć należało do zmarłych, a przynajmniej tak mi się wydaje. Pojawiły się

w dniu pochówku Charlotte Boivin (1954–2010), Oliviera Feige’a (1965–2012), Virginie Teyssandier (1928–2004), Bertranda Witmana (1947–2003) i Florence Leroux (1931–2009). Charlotte jest biała, Olivier czarny, Virginie to dachowiec, Bertrand jest szary, a Florence (kocur) ma sierść w białe, czarne i brązowe łatki. Pozostała szóstka pojawiła się z czasem. Przychodzą i odchodzą. Ponieważ ludzie wiedzą, że na cmentarzu koty są karmione i sterylizowane, zostawiają je tutaj, a nawet przerzucają przez mur.

To Elvis nadaje im imiona, w miarę jak je znajduje. Jest więc Spanish Eyes, Kentucky Rain, Moody Blue, Love Me, Tutti Frutti i My Way. My Way zostawiono mi na wycieraczce w pudełku po męskich butach numer czterdzieści trzy.

Kiedy Nono zobaczy, że jakiś nowy maluch pojawił się na cmentarzu, od razu mu mówi: „Uprzedzam cię, specjalnością gospodyni jest wycinanie jaj”. Co nie przeszkadza kotom u mnie zostawać.

Nono zainstalował mi w drzwiach specjalne wejście dla kotów, żeby mogły się swobodnie poruszać. Ale większość i tak wybiera grobowe kapliczki. Mają swoje przyzwyczajenia i preferencje. Oprócz My Way i Florence, które zawsze leżą gdzieś w pokoju zwinięte w kłębek, pozostałe odprowadzają mnie do drzwi, ale nie wchodzą. Jak gdyby Philippe Toussaint ciągle tu był, wewnątrz. Czy one widzą jego ducha? Powiadają, że koty rozmawiają z duchami. Philippe Toussaint nie lubił zwierząt. Ja lubiłam je zawsze, szczególnie w dzieciństwie, kiedy było mi tak bardzo ciężko.

Na ogół odwiedzający lubią, kiedy koty pałętają im się między nogami na cmentarzu. Wielu z nich sądzi, że ich nieboszczyk używa kotów do tego, żeby im przekazać jakiś znak. Na grobie Micheline Clément (1957–2013)

napisano: *Jeżeli raj istnieje, będzie prawdziwym rajem tylko wtedy, gdy mnie tam przywitają wszystkie moje psy i koty*.

Wracam do domu, a za mną idą Moody Blue i Virginie. Kiedy otwieram drzwi, Nono plotkuje właśnie z księdzem Cédrikiem o Gastonie. Opowiada mu o tej jego legendarnej niezdarności, o trzęsieniu ziemi, które Gaston zdaje się stale przeżywać. O tym dniu, w którym w czasie ekshumacji wywrócił pośrodku cmentarza taczki pełne kości i jakaś czaszka potoczyła się pod jedną z ławek, a on tego nie zauważył. I że dopiero Nono go zawołał, żeby mu powiedzieć, że zostawił pod ławką jedną „kulę bilardową”.

W przeciwieństwie do poprzednich księży Cédric zagląda do mnie codziennie rano. Słuchając opowieści Nona, ksiądz powtarza w kółko: „Mój Boże, to niemożliwe, mój Boże, to niemożliwe”. I każdego dnia rano wraca po nowe opowieści Nona. Po każdym zdaniu wybucha śmiechem, a my razem z nim. Ja pierwsza.

Uwielbiam śmiać się ze śmierci, naigrawać się z niej. To taki mój sposób na poskromienie jej. Wtedy przestaje być taka ważna. Drwiąc z niej, pozwalam życiu wziąć nad nią górę, zapanować.

Nono jest z księdzem Cédrikiem po imieniu, ale mówi do niego „proszę księdza”.

– A innym razem wyjęliśmy ciało w stanie prawie że nienaruszonym. Po więcej niż siedemdziesięciu latach, proszę księdza, nienaruszone!… Ale problem w tym, że otwór do wkładania nieboszczyków do ossuarium jest niewielki. Elvis, jak zwykle zasmarkany, przyleciał po mnie i mi mówi: „Nono, chodź szybko, chodź szybko!”. A ja mu na to: „Ale co jest?”. A Elvis ryczy: „Ano to, że nieboszczyk się Gastonowi zaklinował!”. A ja pytam: „Ale gdzie?”. Lecę biegiem do ossuarium i widzę, jak Gaston wpycha ciało, żeby wlazło do środka! No to im powiedziałem: „Do kurwy

nędzy, chłopaki, nie jesteśmy w Niemczech, to nie wojna…”. A najlepsze było… tak, to było najlepsze… zawsze o tym opowiadam merowi, a mer tylko się śmieje, no nie… To było tak, że miasto nam dało, na takim małym czterokołowym wózeczku, butlę z gazem i palnikiem na końcu, żeby wypalać chwasty. No i ten, ten Elvis, no, zapala palnik, a Gaston odkręca butlę… tyle tylko, że… muszę księdzu powiedzieć, proszę księdza… że ten gaz to trzeba odkręcać powolutku, a Gaston go odkręcił do końca, i kiedy Elvis przysunął zapalniczkę, to na całym cmentarzu słychać było tylko BUM! Zupełnie jakby tu była wojna… No i… proszę posłuchać! Udało im się nawet…

Nono śmieje się do rozpuku. Ciągnie opowieść, przykładając chusteczkę do nosa:

– Jakaś baba sprzątała właśnie grób i postawiła na nim torebkę, i oni jej tę torebkę podpalili… klnę się na głowę wnuka, proszę księdza, że to prawda! Niech mnie szlag na miejscu trafi, jak kłamię. No i Elvis zaczął skakać po torebce tej baby, żeby ugasić ogień. Skakał po tej jej torebce!

Siedzący pod oknem z My Way na kolanach Elvis zaczął cichutko nucić: *I feel my temperature rising, higher, higher, it’s burning through to my soul…*[8].

– Elvis, ale powiedz jeszcze księdzu, że w tej torebce były okulary tej baby i że potłukłeś jej szkła! To trzeba było zobaczyć, proszę księdza! Elvis się wydarł: „Gaston podpalił torebkę!”. A ta starowina na to: „Roztrzaskał mi szkła! Roztrzaskał mi szkła!”.

Ksiądz Cédric nie może powstrzymać się od śmiechu, aż łzy skapują mu do filiżanki.

– Mój Boże, to niemożliwe, mój Boże, to niemożliwe!

Nono dostrzegł przez okno szefa i zerwał się w try miga. Elvis za nim.

– O fiucie mowa, a fiut tuż. Przepraszam, proszę księdza! Bóg mi odpuści, a jak nie odpuści, mówi się trudno. No to do widzenia wszystkim!

Nono i Elvis wyszli ode mnie i ruszyli w kierunku szefa. Jako kierownik służb technicznych Jean-Louis Darmonville nadzoruje pracę grabarzy.

Zdaje się, że ma na moim cmentarzu tyle samo kochanek, co chodzi po głównej ulicy w Brancion. A przecież żaden z niego przystojniak. Od czasu do czasu, zadzierając nosa, przychodzi pospacerować po alejkach. Czy pamięta wszystkie te kobiety, które ledwo co objął? Te, które mu robiły loda? Czy patrzy na ich zdjęcia? Przypomina sobie ich nazwiska? Twarze? Głosy? Śmiech? Zapachy? Cóż pozostaje z tych jego niemiłości? Nigdy nie widziałam, żeby przy którymś grobie się zadumał. Tylko spaceruje, z zadartym nosem. Czy przychodzi się upewnić, że żadna z nich nigdy nikomu o nim nie opowie?

Ja szefa nie mam. Tylko mera. Tego samego od dwudziestu lat. I mera oglądam tylko na pogrzebach, tych, które organizuje. Sklepikarzy, wojskowych, pracowników urzędu miasta i osób wpływowych, „grubych ryb”, jak się ich tu nazywa. Raz nawet chował przyjaciela z dzieciństwa i na twarzy miał taki smutek, że go nie poznałam.

Ksiądz Cédric wstał, szykując się do wyjścia.

– Dobrego dnia, Violette. Dziękuję za kawę i dobry humor. Za dużo tego dobrego.

– Dobrego dnia, proszę księdza.

Już położył rękę na klamce, ale nagle się odwrócił.

– Violette, ogarnia panią czasem zwątpienie?

Ważę słowa, zanim mu odpowiadam. Zawsze ważę słowa. Nigdy nic nie wiadomo. Zwłaszcza kiedy rozmawiam z namiestnikiem Boga.

– Od paru lat rzadziej. Ale to dlatego, że czuję się tu na swoim miejscu.

Minęła dłuższa chwila, zanim znów się odezwał:

– Boję się, że nie podołam. Spowiadam, daję śluby, chrzczę, wygłaszam kazania, uczę katechizmu. To duża odpowiedzialność. Często mam poczucie, że zdradzam tych, którzy obdarzają mnie zaufaniem. Również Boga.

Tu już niczego nie ważąc, odpowiedziałam:

– Nie sądzi ksiądz, że to Bóg pierwszy zdradził ludzi?

Ksiądz Cédric wydawał się zszokowany moim zapytaniem.

– Bóg jest tylko miłością.

– Jeśli Bóg jest tylko miłością, siłą rzeczy zdradza: miłość jest zdradą.

– Violette, pani naprawdę myśli to, co mówi?

– Zawsze myślę to, co mówię, proszę księdza. Bóg stworzył człowieka na swoje podobieństwo. A to znaczy, że i On kłamie, daje, kocha, odbiera i zdradza. Jest jak każdy.

– Bóg jest powszechną miłością. Poprzez to, co stworzył, Bóg zmienia się dzięki pani, dzięki nam, odczuwa i przeżywa wszystko to, co jest przeżywane, i pragnie stworzyć zawsze więcej doskonałości, piękna… Powątpiewam w siebie, nigdy w niego.

– Dlaczego ksiądz wątpi?

Nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Patrzył na mnie, wyraźnie przybity.

– Może ksiądz mówić, proszę księdza. W Brancion są dwa konfesjonały, jeden u księdza w kościele, drugi w tym pokoju. Musi ksiądz wiedzieć, że dowiaduję się tu różnych rzeczy.

Uśmiechnął się smutno.

– Czuję, jak coraz bardziej pragnę ojcostwa… Budzi mnie to w nocy… Początkowo brałem to pragnienie za przejaw pychy, próżności. Ale…

Podchodzi do stołu, machinalnie otwiera i zamyka cukierniczkę. My Way zaczyna łasić się do jego nóg. Ksiądz pochyla się, by pogłaskać kota.

– Myślał ksiądz o adopcji?

– Absolutnie nie mam do tego prawa, Violette. Wszystkie przepisy mi tego zabraniają. Ziemskie i boskie.

Odwraca się i odruchowo spogląda w okno. Nastąpiła chwila krępującego milczenia.

– Proszę księdza, przepraszam, ale czy był już ksiądz kiedyś zakochany?

– Kocham tylko Boga.

---

[8] Czuję, jak rośnie mi temperatura, wyżej, wyżej, przepala moją duszę…

14

W dniu, w którym ktoś obdarza Cię miłością, wszystko wydaje się piękne

Przez pierwsze miesiące naszego wspólnego życia w Charleville-Mézières każdy dzień opatrywałam zapisem kreślonym czerwonym mazakiem: SZALONA MIŁOŚĆ. Aż do trzydziestego pierwszego grudnia 1985 roku. Nie odstępowałam Philippe’a Toussainta na krok. Chyba że pracowałam. Chłonął mnie. Pił. Zewsząd otaczał. Z szaleńczą zmysłowością. Rozpływał mi się w ustach niczym karmelek, cukier puder. Byłam w stanie ciągłej euforii. Kiedy myślę o tym okresie swojego życia, widzę się, jak gdybym była na kiermaszu.

Zawsze wiedział, gdzie dotknąć ręką, ustami, gdzie pocałować. Nigdy się nie mylił. Jakby posiadał mapę mojego ciała, znał na pamięć szlaki, o których istnieniu sama nie wiedziałam.

Kiedy kończyliśmy się kochać, nasze nogi i usta drżały zgodnie. Gorące uczucie stapiało nas w jedno. Philippe Toussaint bez przerwy powtarzał: „Violette, kurwa, o kurwa, Violette, nigdy czegoś podobnego nie przeżyłem! Czarownica z ciebie, bez dwóch zdań, czarownica!”.

Sądzę, że zdradzał mnie od pierwszego roku. Sądzę, że zawsze mnie zdradzał. Okłamywał. Że jechał do innych, jak tylko się odwróciłam.

Philippe Toussaint był jak ten łabędź, który pięknie wygląda na wodzie, a po ziemi chodzi, utykając. Nasze łóżko zamieniał w raj, był pełen wdzięku i zmysłowości w czasie aktu, ale gdy tylko wstawał, kiedy się podnosił, zmieniał pozycję na inną niż te, które przyjmował, gdy się kochaliśmy, sporo tracił. Nie dało się z nim o niczym porozmawiać, interesowały go tylko gry wideo i motocykl.

Nie chciał, żebym dalej pracowała jako barmanka w Tibourinie, za bardzo był zazdrosny o mężczyzn, którzy się przy mnie kręcili. Musiałam zrezygnować z tej fuchy zaraz po tym, jak się poznaliśmy. Zaczęłam pracować jako kelnerka w restauracji. Zaczynałam o dziesiątej nakrywać stoły do obiadu, a kończyłam koło osiemnastej.

Kiedy wychodziłam rano z naszej kawalerki, Philippe Toussaint jeszcze spał. Bardzo cierpiałam, opuszczając nasze mięciutkie gniazdko i wychodząc na zimną ulicę. Mówił mi, że w ciągu dnia robi sobie wycieczki motocyklowe. Gdy wracałam wieczorem, leżał przed telewizorem. Otwierałam drzwi i kładłam się na nim. Dokładnie tak, jak gdybym po pracy zanurzała się w skąpanym w słońcu ogromnym ciepłym basenie. Ja, która chciałam wieść życie pod znakiem błękitu, miałam to, czego chciałam.

Zrobiłabym wszystko, byle mnie dotknął. Tylko tyle. Żeby dotknął. Czułam, że do niego należę, ciałem i duszą, i ubóstwiałam należeć do niego ciałem i duszą. Miałam siedemnaście lat i – w moim wyobrażeniu – wiele spóźnionego szczęścia, które musiałam teraz nadrobić. Gdyby mnie wtedy rzucił, moje ciało zapewne nie wytrzymałoby tego ciosu. Po rozstaniu z matką kolejne byłoby nie do zniesienia.

Philippe Toussaint pracował tylko dorywczo – kiedy rodzice mieli już dosyć jego nieróbstwa. Ojciec zawsze znajdował jakiegoś przyjaciela, który go zatrudniał. Philippe robił wszystko: był malarzem pokojowym,

mechanikiem, dostawcą, stróżem nocnym, złotą rączką. Pierwszego dnia stawiał się w pracy o wyznaczonej godzinie, ale nie zdarzało mu się na ogół dotrwać do końca tygodnia. Zawsze znajdował jakiś pretekst, żeby już nie wrócić. Żyliśmy z mojej pensji, którą kazałam wpłacać na jego konto; byłam nieletnia i tak było prościej. Dla siebie zachowywałam jedynie napiwki.

Czasem jego rodzice zjawiali się bez uprzedzenia w ciągu dnia. Mieli zapasowe klucze. Przyjeżdżali, żeby przemówić do rozsądku dwudziestosiedmioletniemu jedynakowi bez pracy i napełnić mu lodówkę.

Nigdy ich nie widywałam, bo kiedy się pojawiali, byłam w pracy. Ale pewnego dnia wpadli niespodziewanie, gdy miałam wolne. Właśnie skończyliśmy się kochać. Leżałam goła na kanapie. Philippe Toussaint brał prysznic. Nie usłyszałam, kiedy weszli. Śpiewałam głośno piosenkę Lio: *No, powiedz mi, że mnie kochasz! Nawet jak skłamiesz! Bo wiem, że kłamiesz! Jakie to życie smutne jest! Powiedz, że mnie kochasz! Dzień do dnia podobny! Chce mi się śpiewaaać!* Ujrzałam ich i pomyślałam: Philippe Toussaint wcale nie jest podobny do rodziców.

Nigdy nie zapomnę tego spojrzenia, jakim obrzuciła mnie jego matka, tego grymasu. Nigdy nie zapomnę wzgardy malującej się w jej oczach. Choć ledwie umiałam czytać i z trudem przychodziło mi sklecenie jednego zdania, od razu zrozumiałam, co przekazywało jej spojrzenie. Jak krzywe zwierciadło odbijało obraz zdeprawowanej młodej dziewczyny, która się nie szanuje, nie przedstawia sobą żadnej wartości. Śmieć, szmata, złe nasienie, dziwka z rynsztoka.

Była rudawą szatynką. Włosy miała tak mocno ściągnięte w kok, że spod delikatnej skóry na skroniach przezierały żyły. Zaciśnięte usta układały się w pełną dezaprobaty kreskę. Pomalowane na zielono powieki okalające niebieskie oczy świadczyły o nieuleczalnym bezguściu. Nos

miała szpiczasty niczym dziób ptaka gatunku skazanego na zagładę, jej bardzo jasna skóra zdawała się nigdy nie widzieć słońca. Kiedy spojrzenie jej umalowanych oczu zeszło niżej, gdy zobaczyła mój zaokrąglony brzuszek, musiała przysunąć sobie kuchenny taboret, żeby usiąść.

Tatuś Toussaint, przygarbiony i uległy od dzieciństwa, zaczął mi prawić kazanie, jakbyśmy byli na lekcji religii. Przypominam sobie słowa takie jak „nieodpowiedzialność”, „lekkomyślność”. Myślę, że mówił nawet o Jezusie Chrystusie. Zastanawiałam się, po co ten Jezus miałby w ogóle zaglądać do tej kawalerki. Co by powiedział, gdyby zobaczył przyzwoicie ubranych, wołających o pomstę do nieba rodziców Toussainta i mnie, całkiem nagą, zawiniętą w koc zadrukowany na czerwono nowojorskimi wieżowcami?

Kiedy Philippe Toussaint wyszedł z łazienki z ręcznikiem na biodrach, nie spojrzał na mnie. Zachowywał się, jakbym nie istniała. Jak gdyby tylko jego matka była w pokoju. Patrzył wyłącznie na nią. Poczułam się jeszcze gorzej. Jak psiak. Nikt. Jak tatuś Toussaint. Matka i syn zaczęli o mnie mówić, tak jakbym ich nie słyszała. Głównie mówiła matka:

– I to ty jesteś ojcem? A masz pewność? Dałeś się wrobić, co? Gdzieżeś ty spotkał tę dziewczynę? Chyba chcesz nas posłać do grobu? A o aborcji słyszałeś? Czy tobie już zupełnie się poprzewracało w głowie, mój biedny chłopcze?

Tatuś natomiast dalej głosił dobrą nowinę:

– Wszystko jest możliwe, nie ma rzeczy niemożliwych, wszystko możemy jeszcze zmienić, wystarczy w to wierzyć, nigdy nie należy opuszczać rąk…

Zawinięta w wieżowce, miałam ochotę śmiać się i płakać jednocześnie. Czułam się, jakbym występowała we włoskiej komedii, z tym że bez włoskiego piękna. Dzięki kontaktom z opiekunami społecznymi i edukatorkami, przyzwyczaiłam się już do rozmów o mnie, o moim życiu,

przyszłości, prowadzonych, jak gdyby mnie nie dotyczyły. Jakbym w całej tej historii nie była wcale obecna. Jakbym była problemem do rozwiązania, a nie człowiekiem.

Rodzice Toussainta wyglądali, jakby wybierali się na ślub. Matka rzucała mi tylko przelotne spojrzenia, jakby dłuższy kontakt wzrokowy ze mną mógł sprawić, że się pobrudzi.

Kiedy wyszli, nie pożegnawszy się ze mną, Philippe Toussaint zaczął się wydzierać – „Kurwa! Ja pierdolę!” – i kopać w ściany. Poprosił mnie, żebym wyszła, dopóki się nie uspokoi. Bo jak nie, to w końcu i mnie przywali. Wyglądał jak sparaliżowany ze strachu, a to przecież ja powinnam była być przerażona. Przemoc to dla mnie nic nowego. Dorastałam w kontakcie z nią, chociaż nigdy fizycznie jej nie odczułam. Zawsze udawało mi się wyjść z opresji cało.

Opuściłam kawalerkę. Na ulicy było zimno, więc szłam szybko, żeby się rozgrzać. Wiedliśmy beztroski żywot, ale wystarczyło, żeby ojciec i matka Toussainta przekroczyli próg naszego domu, a wszystko poszło w drzazgi. Wróciłam godzinę później. Philippe Toussaint spał. Nie budziłam go.

Następnego dnia skończyłam osiemnaście lat. Nie dostałam prezentu urodzinowego, za to Philippe Toussaint powiadomił mnie, że jego ojciec znalazł nam obojgu pracę. Trzeba tylko poczekać, aż się zwolni miejsce, niedługo, koło Nancy.

15

Motylku miły, rozłóż skrzydełka i leć na grób
powiedzieć mu, że go kocham

Gaston znowu wpadł do grobu. Sama nie wiem, który to już raz mu się zdarza. Dwa lata temu, w czasie ekshumacji, wpadł na cztery łapy do trumny i rozpłaszczył się na kościach. Ileż to razy w czasie pochówku zaplątały mu się nogi?

Nono zostawił go na parę minut samego, żeby zawieźć taczkę z ziemią czterdzieści metrów dalej, Gaston rozmawiał w tym czasie z hrabiną de Darrieux. Kiedy Nono wrócił, Gastona nie było. Ziemia się osunęła, a on taplał się na dnie dołu w wodzie i krzyczał: „Trzeba zawołać Violette!”. Na co Nono mu odpowiedział: „Violette nie jest ratowniczką!”. A przecież uprzedzał Gastona, że ziemia jest grząska o tej porze roku. Podczas gdy mu pomagał wydostać się z dołu, Elvis śpiewał *In the Ghetto*. Czasami odnoszę wrażenie, że mam obok siebie braci Marx. Jednak każdego dnia dogania mnie rzeczywistość.

Jutro pogrzeb. Doktor Guyennot. Nawet lekarze w końcu umierają. Śmierć naturalna w wieku dziewięćdziesięciu jeden lat, w łóżku. Przez pięćdziesiąt lat leczył wszystkich z Brancion-en-Chalon i okolic. Na pogrzebie powinno być dużo ludzi.

Hrabina de Darrieux wróciła do siebie po przeżytych emocjach, pociągnąwszy z kieliszka śliwowicę, którą podarowała mi panna Brulier. Jej rodzice spoczywają w kwartale Cedrów. Hrabina bardzo się przelękła, widząc, jak Gaston daje nura do dołu. „Stanęły mi przed oczami mistrzostwa świata w pływaniu”, wyznała z uśmieszkiem na ustach. Uwielbiam tę kobietę. Należy do grona tych, których odwiedziny dobrze mi robią.

Na moim cmentarzu leżą jej mąż i kochanek. Od wiosny do jesieni hrabina de Darrieux przystraja kwiatami oba groby. Sukulenty dla męża i bukiet słoneczników w wazonie dla kochanka, którego nazywa swoją „prawdziwą miłością”. Problem w tym, że ta jej prawdziwa miłość była żonata. I kiedy wdowa po prawdziwej miłości znajduje słoneczniki hrabiny w wazonie, wyrzuca je do śmieci.

Próbowałam już odzyskać te nieszczęsne kwiaty, żeby je zanieść na inny grób, ale nic z tego, bo wdowa obrywa im wszystkie płatki. I bynajmniej nie szepcze przy tym: „Kocha, lubi, szanuje, nie chce, nie dba, żartuje…”.

Na przestrzeni dwudziestu lat widywałam wdowy tonące we łzach w dniu pogrzebu, których noga już nigdy później nie postała na cmentarzu. Spotykałam też wielu wdowców, którzy żenili się ponownie, podczas gdy ciało poprzedniej żony jeszcze dobrze nie ostygło. Na początku wrzucają parę groszy do biedronki, żebym zajmowała się kwiatami.

Znam w Brancion parę pań, które specjalizują się we wdowcach. Chodzą alejkami ubrane na czarno i wyszukują samotnych mężczyzn, którzy podlewają kwiaty na grobie nieboszczki żony. Przez długi czas obserwowałam strategię jednej z nich, Clotilde C.; co tydzień wymyślała sobie na moim cmentarzu nowych umarlaków, których kiedyś jakoby kochała. I osaczała pierwszego niepocieszonego wdowca, którego

dostrzegła, nawiązując rozmowę o pogodzie, o życiu, a w końcu doprowadzała do tego, żeby się dać zaprosić „któregoś wieczoru na aperitif”. Aż wreszcie wyszła za Armanda Bernigala, którego żona (Marie-Pierre Bernigal, z domu Vernier, 1967–2002) spoczywa w kwartale Cisów.

Odzyskiwałam dziesiątki nowych tabliczek nagrobnych. Wyjmowałam je z kosza na śmieci, zbierałam po krzakach, gdzie chowały je oburzone rodziny. Można było odnaleźć na nich słowa typu: *Mojej jedynej miłości po wsze czasy*. Składali je zmarłym pozostawieni wśród żywych kochankowie.

Każdego dnia widzę, jak przychodzą tu dyskretnie na chwilę zadumy. Głównie kochanki. Cmentarze odwiedzane są w większości przez kobiety, bo one żyją dłużej. Kochankowie nigdy nie pojawiają się w weekendy, w godzinach, kiedy mogliby się na kogoś natknąć. Zawsze tuż po otwarciu lub tuż przed zamknięciem bramy. Iluż ja ich zamknęłam na cmentarzu? Jak przycupną przy grobie, nie dostrzegam ich i muszą przyjść zapukać do moich drzwi, żebym ich wypuściła.

Pamiętam Émilie B. Odkąd jej kochanek, Laurent D., oddał ducha Bogu, zawsze zjawiała się pół godziny przed otwarciem. Widząc, że czeka przed bramą, wkładałam czarny płaszcz na koszulę nocną i wychodziłam jej otworzyć w kapciach. To jedyna osoba, dla której to robiłam, ale było mi jej za bardzo żal. Codziennie rano częstowałam ją filiżanką kawy z cukrem i odrobiną mleka. Zamieniałyśmy parę słów. Opowiadała mi o swej szalonej miłości do Laurenta. Mówiła o nim, jakby wciąż żył. „Wspomnienia są silniejsze od śmierci. Ciągle jeszcze czuję na sobie jego ręce. Wiem, że patrzy na mnie stamtąd, gdzie jest”, mówiła. Przed odejściem odstawiała na parapet pustą filiżankę. Kiedy odwiedzający przychodzili na grób Laurenta – jego żona, rodzice lub dzieci – Émilie zmieniała grób i czekała przyczajona w jakimś kąciku. Gdy tylko tamci znikali, wracała do Laurenta, żeby się pomodlić, porozmawiać z nim.

Pewnego dnia nie przyszła. Sądziłam, że to oznacza koniec żałoby, gdyż każda żałoba kiedyś się kończy. Czas koi smutek. Nawet ten największy. Z wyjątkiem smutku matki czy ojca po stracie dziecka.

Myliłam się. Żałoba Émilie B. nigdy się nie skończyła. Wróciła na mój cmentarz w trumnie. W otoczeniu bliskich. Myślę, że nikt nigdy nie dowiedział się, że Laurent i ona byli kiedyś zakochani. Émilie oczywiście nie została pochowana przy nim.

W dniu jej pogrzebu, gdy już wszyscy sobie poszli, zrobiłam dla niej roślinny przeszczep, podobnie jak sadzi się drzewko w dniu czyichś narodzin. Émilie posadziła na grobie Laurenta lawendę. Uciełam z niej długą łodygę, porobiłam pełno delikatnych nacięć, żeby szybciej się ukorzeniła, i wsadziłam do butelki z podziurawionym dnem, do której nasypałam ziemi i trochę nawozu. Miesiąc potem łodyga się ukorzeniła.

Lawenda Laurenta stała się też lawendą Émilie. Przez lata całe będą dzielić ten kwiat, to będzie ich dziecko. Przez całą zimę doglądałam tego przeszczepu, a na wiosnę posadziłam go na grobie Émilie. Jak to śpiewa Barbara, *Wiosna, piękny to czas, by mówić sobie „kocham”*. Jeszcze dzisiaj krzaki lawendy Laurenta i Émilie rosną bujnie i rozsiewają swój zapach na wszystkie okoliczne groby.

16

Ludzi nigdy nie spotyka się przez przypadek. Pisane im było, żeby drogi ich przecięły się z jakiegoś powodu

– Léonine.

– Jak mówisz?

– Léonine.

– Nie, chyba cię pogięło… Co to za imię? Jak nazwa proszku do prania!

– Uwielbiam to imię. No i ludzie będą na nią mówić Léo. Lubię dziewczyny, które mają męskie imiona.

– No to daj jej na imię Henri.

– Léonine Toussaint… to bardzo ładnie brzmi.

– Mamy rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty szósty! Mogłabyś wymyślić coś nowocześniejszego, na przykład… Jennifer lub Jessica.

– Nie, proszę cię, Léonine…

– Wszystko mi jedno, rób, co chcesz. Jak będzie dziewczynka, wybierasz ty. Jak będzie chłopak, ja.

– A jak byś dał na imię naszemu synkowi?

– Jason.

– Mam nadzieję, że to będzie dziewczynka.

– Ja nie.

– Pokochamy się?

17

Słyszę Twój głos w każdym dźwięku tego świata

Dziewiętnasty stycznia 2017, niebo szare, osiem stopni, godzina piętnasta. Pogrzeb doktora Philippe’a Guyennota (1924–2017). Trumna dębowa, na niej żółte i białe róże. Czarny marmur. Na steli malutki złoty krzyżyk.

Kilkadziesiąt wiązanek kwiatów, wieńce, stroiki, bukiety (lilie, róże, cyklameny, chryzantemy, storczyki).

Szarfy żałobne, na których można przeczytać: *Naszemu kochanemu Tacie*, *Drogiemu Mężowi*, *Kochanemu Dziadkowi*, *Koledzy z klasy, rocznik 1924*, *Handlowcy z Brancion-en-Chalon*, *Naszemu Przyjacielowi*, *Naszemu Przyjacielowi*, *Naszemu Przyjacielowi*.

Na nagrobnych tabliczkach: *Czas płynie, wspomnienie pozostaje*; *Najdroższemu Mężowi*; *Przyjaciele, którzy nigdy Cię nie zapomną*; *Naszemu Ojcu, Dziadkowi, Pradziadkowi*; *Mojemu Chrzestnemu*; *Tak więc wszystko ma swój czas tu, na ziemi, duch, uroda, wdzięk i talent, jak ten kruchy kwiat, co to go poryw wiatru łamie*.

Wokół mogiły zgromadzonych około stu osób. W tym Nono, Gaston, Elvis i ja. Przed złożeniem trumny do grobu w malutkim kościółku księdza Cédrica zebrało się ponad czterysta osób. Nie wszyscy mogli wejść do

środka, usiąść w ławkach; najpierw pozwolono, żeby zajęły w nich miejsca starsze osoby, jedna obok drugiej. Wielu ludzi stało w skupieniu na niewielkim dziedzińcu przed kościołem.

Hrabina de Darrieux powiedziała mi, że pamięta, jak ten dzielny lekarz zaglądał do niej po północy w pogniecionej koszuli, żeby – wracając z terenu – sprawdzić, czy jej najmłodszemu dziecku spadła od rana gorączka. Powiedziała mi też: „Każdy z nas pamięta, jak przychodził zaradzić dławicy piersiowej, śwince, grypie czy jak wypisywał akt zgonu pochylony nad kuchennym stołem, bo kiedy doktor Guyennot zaczynał, to się jeszcze umierało w swoim łóżku, a nie w szpitalu”.

Philippe Guyennot pozostawił po sobie wiele pięknych wspomnień. W czasie mowy pogrzebowej jego syn powiedział: „Ojciec był człowiekiem kochającym swój zawód, kazał sobie płacić tylko za jedną wizytę, nawet jeżeli przychodził do kogoś kilka razy w ciągu tego samego dnia czy osłuchiwał stetoskopem serce całej rodzinie. To był wielki lekarz: wystarczyło mu obejrzeć dno oka chorego, zadać mu trzy pytania, żeby postawić właściwą diagnozę. I to w czasach, kiedy świat nie wymyślił jeszcze generyków”.

Na steli umieszczono przedstawiający Philippe’a Guyennota medalion. Rodzina wybrała zdjęcie z wakacji, na którym lekarz ma jakieś pięćdziesiąt lat. Uśmiecha się szeroko, jest opalony; człowiek domyśla się, że z tyłu, za nim, rozciąga się morze. Tego lata, żeby móc się wyciągnąć z zamkniętymi oczami na słońcu, musiał postarać się o zastępstwo, nie jeździł w teren i nie leczył napadów kaszlu.

Przed pobłogosławieniem trumny ksiądz Cédric powiedział takie oto ostatnie słowa: „Philippie Guyennot, jak Ojciec ukochał mnie, tak i ja ciebie ukochałem. Nie masz większej miłości od tej, kiedy ktoś oddaje swoje życie tym, których kocha”.

Merostwo zorganizowało poczęstunek w sali konferencyjnej, by oddać hołd zmarłemu. Zawsze mnie zapraszają, ale nigdy tam nie chodzę. Wszyscy odeszli od grobu, z wyjątkiem Pierre’a Lucchiniego i mnie.

Podczas gdy kamieniarze zamykali rodzinny grobowiec, Pierre opowiedział mi, że zmarły spotkał swoją przyszłą żonę w dniu jej ślubu z innym mężczyzną. W czasie pierwszego tańca skręciła sobie nogę w kostce. Wezwano Philippe’a, żeby się nią zajął. Kiedy lekarz zobaczył swoją przyszłą żonę w sukni ślubnej, z kostką obłożoną lodem, zakochał się w niej. Zaniósł ją na rękach do szpitala, żeby zrobić rentgen, i już nigdy jej nie oddał świeżo upieczonemu mężowi, który był nim krótko. „Poprosił ją o rękę, gdy zajmował się jej kostką”, dodał Pierre z uśmiechem na ustach.

Przed zamknięciem bramy dzieci Philippe’a wracają, by obejrzeć pracę kamieniarzy. Odczepiają dołączone do wiązanek kartki z kondolencjami. Machają mi na pożegnanie, po czym wsiadają do samochodu, by wrócić do Paryża.

18

Martwe liście wyrzuca się do śmieci, wspomnienia i żale też

Rozmawiam ze sobą. Rozmawiam ze zmarłymi, z kotami, jaszczurkami, kwiatami, z Bogiem (nie zawsze grzecznie). Mówię sama do siebie. Stawiam sobie pytania. Zastanawiam się. Dodaję sobie otuchy.

Nie sposób mnie zaszufladkować. Nigdy nie dawałam się zaszufladkować. Kiedy robię sobie test z jednego z magazynów dla kobiet – *Czy znasz samą siebie?* lub *Poznaj się lepiej!* – nie znajduję dla siebie odpowiedzi. Wszędzie czuję się ex aequo.

W Brancion-en-Chalon nie ma takich ludzi, którzy by mnie nie lubili, nie mieli do mnie zaufania czy się mnie bali. Być może dlatego, że stale jestem jakby w żałobie. Gdyby wiedzieli, że pod spodem skrywam lato, toby mnie może spalili na stosie. Wszystkie zawody, które mają coś wspólnego ze śmiercią, wydają się podejrzane.

No i mój mąż zniknął. Ot tak, z dnia na dzień. „Przyzna pani, że to jednak dziwne. Wyjeżdża motocyklem i przepada, jak kamień w wodę. Więcej się nie pojawił. Taki przystojny mężczyzna, co za nieszczęście. A ci żandarmi nic nie robią. Nigdy jej nie niepokoili, nie przesłuchali. A ona wcale nie wygląda na zasmuconą. Oczy ma suche. Na pewno coś ukrywa.

Ciągle nosi się na czarno, dobrze ubrana… ta kobieta przejmuje grozą. Na cmentarzu dzieją się dziwne rzeczy, nie ufam jej. Grabarze ciągle u niej przesiadują. No i proszę sobie wyobrazić, że mówi sama do siebie. I niech mi tu pani nie opowiada, że to normalne, jak ktoś sam do siebie mówi”.

Są też inni. „Dzielna kobieta. Taka serdeczna, oddana. Uśmiechnięta, dyskretna. Taki trudny zawód. Nikt już nie chce takiego zawodu wykonywać. I w dodatku sama. Mąż ją rzucił. Jest taka uczynna. Zawsze poda kieliszeczek tym najbardziej nieszczęśliwym. Zawsze miłe słowo. I dba o siebie, elegancka… Uprzejma, uśmiechnięta, umie okazać współczucie. Bez zarzutu. A jaka robotna. Cmentarz w nienagannym stanie. Kobieta zwyczajna, nie robi wokół siebie dużo szumu. Trochę jakby bujała w obłokach, ale od tego jeszcze nikt nie zginął”.

Jestem głównym powodem ich wojny domowej.

Pewnego razu mer dostał list z żądaniem, żeby mnie usunąć z cmentarza. Grzecznie odpowiedział, że nigdy nie popełniam błędów.

Zdarza się, że małolaty rzucają kamieniami w moje okiennice, żeby mnie przestraszyć, albo przychodzą w środku nocy łomotać do drzwi. Z łóżka słyszę ich chichoty. Kiedy Éliane zaszczeka albo zaczynam potrząsać dzwonkiem, którego dźwięk jest przeraźliwy, biorą nogi za pas.

Te dzieciaki to ja wolę oglądać żywe – choć trudno je znieść, bywają hałaśliwe, pijane, głupie – niż patrzeć, jak za ich trumnami podążają ludzie zdjęci smutkiem.

Latem zdarza się też, że przeskakują przez cmentarny mur. Czekają, aż wybije północ. Przychodzą w parę osób i zabawiają się, próbując nawzajem się przestraszyć. Chowają się za krzyże, wydając z siebie różne odgłosy lub trzaskając kratami nagrobnych kapliczek. Są też tacy, którzy urządzają sobie seanse spirytystyczne, by wystraszyć swoje dziewczyny lub im zaimponować. „Duchu, jesteś tu?” W czasie tych seansów słyszę, jak

dziewczyny piszczą wniebogłosy i uciekają, gdy tylko zauważą jakikolwiek przejaw „odwiedzin z zaświatów”. A przejawy te są dziełem kotów polujących na ćmy między grobami, jeży przewracających miski z suchą karmą lub wynikiem moich działań, kiedy zza jakiegoś grobu strzelam do nich z pistoletu na wodę zabarwioną eozyną.

Nie potrafię znieść braku szacunku do miejsca spoczynku zmarłych. Najpierw zapalam światło przed domem i potrząsam dzwonkiem. Jak to nie pomaga, sięgam po pistolet na eozynę i uganiam się za nimi po alejkach. Na cmentarzu nie ma oświetlenia. Mogę się przemieszczać tak, żeby nikt mnie nie zauważył. Znam przecież to miejsce na pamięć. Mogę po nim chodzić z zamkniętymi oczami.

Są tacy, którzy przychodzą się tutaj kochać, a pewnej nocy znalazłam nawet takich, co oglądali horror na grobie Diane de Vigneron, którą jako pierwszą na tym cmentarzu ekshumowano. Tej, której ducha mieszkańcy Brancion jakoby od wieków widywali. Podeszłam do nich po cichutku od tyłu i ze wszystkich sił zagwizdałam. Zerwali się na równe nogi i już ich nie było. Nawet zostawili na grobie laptopa.

W roku 2007 miałam poważne problemy z grupą małolatów, letników. Ludzie przyjezdni. Paryżanie czy coś takiego. Od pierwszego do trzydziestego pierwszego lipca przeskakiwali co wieczór przez mur cmentarza, żeby spędzić noc pod gołym niebem, na grobach. Parokrotnie wzywałam żandarmów, Nono skopał tyłek paru z tych gówniarzy i wyjaśnił im, że cmentarz to nie miejsce do zabawy, ale i tak wracali. Na próżno zapalałam światło przed domem, potrząsałam dzwonkiem, oblewałam ich eozyną; nie dawało się ich przegonić. Nic nie robiło na nich wrażenia.

Na szczęście trzydziestego pierwszego lipca odjechali. W następnym roku jednak wrócili. Pierwszego lipca wieczorem już byli. Usłyszałam ich koło północy. Rozgościli się na grobie Cécile Delaserbe (1956–2003). I tym

razem dużo palili i pili, zaśmiecając przy tym butelkami cały cmentarz. Każdego ranka trzeba było zbierać porozgniatane w doniczkach niedopałki.

No i zdarzył się cud: w nocy z ósmego na dziewiątego lipca zniknęli. Nigdy nie zapomnę ich przeraźliwych krzyków. Opowiadali, że „coś” zobaczyli.

Następnego dnia Nono powiedział mi, że w pobliżu ossuarium znalazł niebieskie „proszki”. Narkotyk sprawił, że wzięli jakiś błędny ognik za zjawę. Nie wiem, czy to duch Diane de Vigneron, czy Reine Duchy, ale byłam wdzięczna tej białej damie za uwolnienie mnie od tych młodych palantów.

19

Gdyby za każdym razem, kiedy o Tobie myślę, wyrastał kwiat, ziemia byłaby jednym wielkim ogrodem

Miałam właśnie otworzyć drzwi do budynku, w którym znajdowała się nasza kawalerka, kiedy zobaczyłam w witrynie czerwone jabłko na okładce książki *Regulamin tłoczni win* Johna Irvinga. Nie umiałam zinterpretować tego tytułu. To było dla mnie zbyt skomplikowane. W roku 1986 miałam osiemnaście lat, poziom szkolnej wiedzy sześcioletniego dziecka. Pa-ni, szko-ła, ja i-dę, ty masz, wra-cam do do-mu, to jest, dzień do-bry pa-ni, Panzani, Babybel, Boursin, Skip, Oasis, Ballantine’s.

Kupiłam tę liczącą osiemset dwadzieścia jeden stron książkę, chociaż przeczytanie jednego zdania i jego zrozumienie mogło trwać godzinami. To trochę tak, jakbym nosiła rozmiar pięćdziesiąt i zafundowała sobie dżinsy w rozmiarze trzydzieści sześć. Ale ją kupiłam, bo to jabłko sprawiało, że ciekła mi ślinka. A od paru miesięcy przestało mi się chcieć. Zaczęło się to od oddechu Philippe’a Toussainta na moim karku. Tego oddechu, który znaczył, że jest gotowy, że mnie chce. Philippe Toussaint zawsze mnie chciał, nie pragnął. Ani drgnęłam. Udałam, że śpię. Że głęboko oddycham.

Po raz pierwszy zdarzyło się, że moje ciało nie odpowiedziało na zew jego ciała. Ale to minęło. Pożądanie pojawiło się najpierw raz, potem drugi, po czym wracało jak szron pokrywający wszystko od czasu do czasu.

Zawsze jakoś układałam sobie życie, dostrzegałam dobre strony rzeczy, rzadziej te ciemne. To tak jak w przypadku domów stojących nad brzegiem wody, których fasady są oświetlane przez słońce. Z pokładu statku widać olśniewające kolory ścian, białe jak zwierciadła płoty i zielone ogrody. Rzadko zdarzało mi się dostrzec tyły tych budynków, które odkrywa się dopiero, przechodząc drogą. Wówczas widać stojące w cieniu kosze na śmieci i szambo.

Przed Philippe’em Toussaintem, pomimo rodzin zastępczych i obgryzionych paznokci, widywałam słońce na fasadach, rzadko cienie. Będąc z nim, zrozumiałam, że to tylko ułuda. Że nie wystarczy, że mężczyzna daje rozkosz, żeby go kochać. Obraz pięknego chłopaka z lakierowanej okładki magazynu dla dziewczyn przybladł. Jego nieróbstwo, brak odwagi przy rodzicach, utajona przemoc i zapach innych dziewczyn na końcach palców coś mi skradły.

To on chciał mieć ze mną dziecko. To on mi powiedział: „Zrobimy sobie dzieci”. Ten sam mężczyzna dziesięć lat ode mnie starszy, który szeptem powiedział matce, że mnie „zgarnął”, że jestem „zagubioną dziewczyną” i że mu „przykro”. A gdy tylko matka się odwróciła, zostawiwszy mu kolejny czek, pocałował mnie w szyję, mówiąc, że on zawsze opowiada „starym” byle co, żeby się ich pozbyć. Ale te słowa padły, zostały wypowiedziane.

Ja również tego dnia udawałam. Uśmiechnęłam się, powiedziałam: „Jasne, oczywiście, rozumiem”. Ta ułuda sprawiła, że narodziło się we mnie coś innego. Coś silnego. W miarę jak zaokrąglał się mój brzuch, miałam ochotę znów wrócić do nauki. Dowiedzieć się, co tak naprawdę

znaczy chcieć. Nie od kogoś, ale ze słów. Tych, które są w książkach, a od których uciekałam, bo się ich bałam.

Żeby przeczytać tył okładki *Regulaminu tłoczni win*, zaczekałam, aż Philippe Toussaint wsiądzie na motocykl. Musiałam czytać na głos – żeby rozumieć sens słów, musiałam je słyszeć. Jakbym sobie samej coś opowiadała. Byłam sobowtórem samej siebie: tą, która chce się uczyć, i tą, która się nauczy. Swoją teraźniejszością i swoją przyszłością, ślęczącymi nad tą samą książką.

Dlaczego człowieka ciągnie do książek, tak jak go ciągnie do ludzi? Dlaczego lubimy okładki, tak jak lubimy czyjeś spojrzenie, głos, który wydaje nam się znajomy, już słyszany, głos, który sprawia, że zbaczamy z obranej drogi, że podnosimy oczy, który przykuwa naszą uwagę i być może zmieni bieg naszego życia?

Po dwóch godzinach z okładem byłam dopiero na dziesiątej stronie i udało mi się zrozumieć może co piąte słowo. Czytałam w kółko to samo zdanie: *Osierocone dziecko jest bardziej dzieckiem niż inne dzieci, bo lubi to, co zdarza się każdego dnia o tej samej godzinie. Wszystko to, co składa obietnicę, że będzie trwać, że zostanie. Osierocone dziecko jest złaknione… Złaknione…* Cóż też to słowo może znaczyć? Postanowiłam kupić słownik i nauczyć się nim posługiwać.

Do tej pory znałam słowa piosenek zapisanych na tych moich kilku płytach. Słuchałam piosenek i usiłowałam jednocześnie czytać ich słowa, ale nie rozumiałam.

I to właśnie wtedy, gdy pomyślałam sobie, żeby kupić słownik, poczułam, jak Léonine po raz pierwszy się poruszyła. To te słowa, które czytałam na głos, musiały ją obudzić. Wzięłam te powolne ruchy za zachętę.

Następnego dnia przeprowadziliśmy się do Malgrange-sur-Nancy, żeby zostać dróżnikami. Przedtem jednak poszłam kupić słownik, żeby znaleźć w nim słowo „złakniony”: *taki, który zachłannie czegoś pragnie*.

20

Choć życie przeminie, obraz Twój trwać będzie w naszej pamięci

Przecieram ściereczką plastikowe pudełka z portugalskimi lalkami. Układam je poziomo, żeby nie oglądać tych ich oczu przypominających malutkie czarne główki od szpilek.

Słyszałam, że z prywatnych ogrodów znikają krasnale… A jakbym tak powiedziała pani Pinto, że ukradziono mi wszystkie lalki?

Nono i ksiądz Cédric prowadzą za moimi plecami ożywioną rozmowę. Słychać głównie Nona. Elvis wygląda przez okno kuchenne i obserwuje odwiedzających, nucąc cichutko *Tutti Frutti*. Przez jego śpiew przebija się jednak głos Nona:

– Byłem malarzem. Malarzem pokojowym, nie takim jak Picasso. No i żona zostawiła mnie samego z trójką małych dzieci… i zostałem bez roboty. Zwolnili mnie z powodów ekonomicznych. No i w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątych drugim roku miasto zatrudniło mnie jako grabarza.

– Ile lat miały dzieci? – dopytuje się ksiądz Cédric.

– Nie były takie duże. Starsi siedem i pięć lat, a najmłodszy sześć miesięcy. Sam ich wychowywałem. Potem miałem jeszcze jedną

dziewczynę… Urodziłem się niedaleko stąd, za tym pierwszym osiedlem domów koło kościoła. W tamtych czasach do domu przychodziła akuszerka. A ksiądz? Gdzie się ksiądz urodził?

– W Bretanii.

– Tam zawsze leje.

– Może i tak, ale dzieci i tak się rodzą. Nie mieszkałem tam długo, ojciec był wojskowym. Co chwila go przenosili.

– Żeby wojskowy zrobił księdza! To się nieczęsto zdarza.

Śmiech Cédrica zadudnił w moich czterech ścianach. Elvis nie przerywał śpiewu. Nigdy nie słyszałam, żeby miał jakąś kochanicę, on, który całymi dniami śpiewa tyko piosenki o miłości.

Słyszę, jak Nono mówi: „Violette! Przestań się bawić tymi lalkami, ktoś puka do drzwi”.

Rzucam ściereczkę na schody i idę otworzyć. Ktoś zapewne szuka jakiegoś grobu.

Otwieram drzwi od strony cmentarza. To komisarz. Po raz pierwszy od tej strony. Nie przywiózł urny. Ciągle ma potargane włosy. I znów ten zapach cynamonu i wanilii. Oczy błyszczą mu, jakby niedawno płakał, chyba ze zmęczenia. Uśmiechnął się do mnie nieśmiało. Elvis zamknął okno, a hałas, jaki przy tym zrobił, zagłuszył moje „Dzień dobry”.

Komisarz dostrzegł siedzących przy stole Nona i księdza Cédrica. „Przeszkadzam pani? Może wrócę później?”, zapytał. Odpowiedziałam, że nie. Że za dwie godziny jest pochówek i nie będę już miała czasu.

Wchodzi. Przywitał się z Nonem, Elvisem i księdzem Cédrikiem męskim uściskiem dłoni.

– To Norbert i Elvis, moi koledzy, a to nasz ksiądz, Cédric Duras.

Komisarz przedstawił się i w ten sposób poznałam jego imię i nazwisko: Julien Seul. Moi trzej akolici wstali jednocześnie, jakby się

wystraszyli nazwiska[9] komisarza. „Do zobaczenia, Violette!”, krzyknął Nono.

I ja postanowiłam w końcu się przedstawić:

– Nazywam się Violette. Violette Toussaint.

– Wiem – odpowiedział komisarz.

– Ach tak, wie pan?

– Początkowo myślałem, że to przezwisko, takie żartobliwe…

– Żartobliwe?

– Przyzna pani, że to niecodzienne. Jest pani dozorczynią na cmentarzu i nazywa się Toussaint.

– Tak naprawdę nazywam się Trenet. Violette Trenet.

– Trenet bardziej do pani pasuje niż Toussaint.

– Toussaint to było nazwisko po mężu.

– Dlaczego „było”?

– Zniknął. Wyparował z dnia na dzień. No, może nie aż tak z dnia na dzień… Powiedzmy, że przedłużył sobie jeden z wyjazdów.

– To też już wiem – odpowiedział skrępowany.

– Wie pan?

– Pani Bréant ma czerwone okiennice i długi język.

Idę sobie umyć ręce, w zagłębienie dłoni biorę trochę mydła w płynie; delikatnie pachnie różą. U mnie wszystko ma różany zapach: świece, perfumy, bielizna, herbata, ciasteczka, które maczam w kawie. Na dłonie nakładam różany krem. Całymi godzinami trzymam ręce w ziemi, podczas pracy w ogrodzie. Muszę więc je chronić. Lubię mieć piękne dłonie. Już od lat nie obgryzam paznokci.

Przez ten czas Julien Seul znów się przygląda moim białym ścianom. Wygląda na strapionego. Éliane ociera się o niego pyskiem. Komisarz

głaszcze ją z uśmiechem na twarzy.

Częstując go filiżanką kawy, zastanawiam się, co też pani Bréant mogła mu naopowiadać.

– Napisałem przemowę dla matki.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni kopertę i oparł ją o skarbonkę w kształcie biedronki.

– I przejechał pan czterysta kilometrów, żeby mi przywieźć przemowę dla matki? Dlaczego mi jej pan nie przysłał pocztą?

– Nie, nie przyjechałem tylko dlatego.

– Ma pan prochy?

– Nie mam.

Milczy przez chwilę. Wygląda na coraz bardziej skrępowanego.

– Czy mogę zapalić przy oknie?

– Tak.

Wyciągnął z kieszeni pomiętą paczkę, a z niej papierosa. Zanim potrze zapałkę o draskę, mówi:

– Jest coś innego.

Podszedł do okna i uchylił je. Stał odwrócony do mnie plecami. Zaciągnął się i wypuścił dym na zewnątrz.

Słyszę jego słowa, ale nie rozumiem, kiedy – puszczając kółka z dymu – mówi:

– Wiem, gdzie jest pani mąż.

– Przepraszam?

Gasi papierosa o zewnętrzny parapet i wkłada niedopałek do kieszeni. Odwraca się do mnie i powtarza:

– Wiem, gdzie jest pani mąż.

– Jaki mąż?

Słabo mi. Zupełnie nie chcę zrozumieć tego, co powiedział. To tak, jakby wszedł do mojej sypialni bez pozwolenia i zaczął otwierać wszystkie szuflady, grzebać w nich i wyjmować ich zawartość, a ja nie mogłabym mu w tym przeszkodzić. Spuszcza oczy i ledwo słyszalnym głosem szepcze:

– Philippe Toussaint… wiem, gdzie on jest.

---

[9] *Seul* (fr.) – sam, samotny.

21

Ciemności nigdy nie są całkowite, u kresu drogi
zawsze pojawia się jakieś otwarte okno

Jedyne duchy, w jakie wierzę, to moje wspomnienia. Rzeczywiste lub wyimaginowane. Dla mnie te wszystkie istoty, zjawy, duchy, te nadprzyrodzone rzeczy istnieją jedynie w umysłach żyjących.

Niektórzy utrzymują, że komunikują się ze zmarłymi, i myślę, że szczerze w to wierzą, ale jak ktoś umarł, to umarł. Jeżeli powraca, to w myślach żyjących. Jeżeli mówi, to głosem żywej osoby; jeśli się pojawia, to jako projekcja kogoś żywego, jak hologram albo wytwór drukarki trójwymiarowej.

Brak, ból, to, czego nie można znieść, mogą sprawić, że przeżywa się i odczuwa rzeczy, które nie mieszczą się w głowie. Kiedy ktoś odszedł, to odszedł. Ale nie z umysłu tych, którzy pozostali. A umysł jednego człowieka może być o wiele większy od całego wszechświata.

Początkowo sądziłam, że najtrudniejszą częścią będzie nauka jazdy na monocyklu. Ale nie. Najtrudniejszy był strach. Zdołałam pokonać go nocą. Musiałam spowolnić bicie serca. Przestać drżeć. Nie bać się. Zamknąć oczy i pruć przed siebie. Musiałam poradzić sobie z tym problemem. W przeciwnym razie to nigdy by się nie skończyło.

Próbowałam wszystkiego. Załatwić to ze sobą po dobroci, strachem, ucząc się na przykładzie innych. Przestałam sypiać. Myślałam tylko o tym: załatwić ten problem. Ale jak to zrobić?

Nie ma znaczenia, czy rower jest dwu-, czy jednokołowy, to kwestia równowagi. Postanowiłam poćwiczyć na żwirowych cmentarnych alejkach. Wybrałam do tego noc. Nikt nie powinien widzieć dozorczyni cmentarnej jeżdżącej pomiędzy grobami na monocyklu. Trenowałam więc przez parę nocy z rzędu po zapadnięciu zmroku, kiedy bramy były już zamknięte. Musiałam poćwiczyć zwalnianie i przyspieszanie. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że w najmniej spodziewanym momencie mogę upaść.

Najdłuższe i najżmudniejsze było szycie całunu, tego kawałka materiału, którym owija się zwłoki. Użyłam do tego długich metrów białych tkanin: muślinu, jedwabiu, bawełnianych prześcieradeł, tiulu. Wiele czasu spędziłam, zszywając to wszystko razem, żeby nadać całości wygląd realistyczny i surrealistyczny zarazem. W owe noce, kiedy „to” szykowałam, dla zabawy myślałam sobie, że to suknia ślubna, której nie miałam w dniu ślubu z Philippe’em Toussaintem. Myślę, że człowiek potrafi w końcu śmiać się ze wszystkiego.

Potem wrzuciłam całun do pralki i dosypawszy pięćset gramów dwuwęglanu sodu, żeby materiał nabrał właściwości fluorescencyjnych, włączyłam płukanie na zimno. Zanim przyszyłam podszewkę, dokleiłam do niej kawałki taśmy luminescencyjnej, która ładuje się pod wpływem światła. Podwędziłam kilka dobrych metrów takiej taśmy z samochodu pracowników zarządu dróg. Zwykle używają jej do oznakowania zewnętrznego. Daje bardzo silny efekt luminescencyjny. Wystarczy tuż przed użyciem wystawić ją na działanie światła. Wystarczy słońce czy lampa.

Musiałam całkowicie zasłonić twarz i włosy. Z pomieszczenia grabarzy wzięłam sobie jedną z czarnych czapek Nona. Wycięłam otwory na wysokości oczu, a na wierzch założyłam welon. Jeden z przyjezdnych grabarzy podarował mi breloczek w kształcie aniołka. Kiedy się nacisnęło na oba jego końce, zaczynał świecić dosyć mocnym światłem. Taka awaryjna kieszonkowa latarka, tyle że malutka i elastyczna. Wsunęłam sobie breloczek między wargi.

Gdy zobaczyłam się w lustrze, pomyślałam, że można się mnie bać. Naprawdę przestraszyć. Przypominałam postać z horroru, który oglądały na grobie Diane de Vigneron te małolaty, co zostawiły laptopa przestraszone moim gwizdem. W takim przebraniu – długa fantasmagoryjna biała suknia, twarz przesłonięta welonem, ciało skrzące się jak śnieg w blasku reflektorów, twarz świecąca, kiedy tylko zaciskałam usta – w szczególnym kontekście, to znaczy na cmentarzu, w środku nocy, gdy trzask najdrobniejszej gałązki może przybierać nieracjonalne proporcje, mogłam przyprawić kogoś o atak serca.

Brakowało mi dźwięku. Miałam obraz, ale brakowało oryginalnej ścieżki dźwiękowej. Tak sobie pomyślałam, gdy w końcu przestałam się śmiać. Jest parę takich dźwięków, które każdego mogą przerazić na cmentarzu nocą. Jęki, łkania, odgłos skrzypiących drzwi, kroków, szum wiatru, muzyka puszczana na wolniejszych obrotach. Wybór padł na niewielkie radyjko i szum sygnalizujący brak kanału na danej częstotliwości. Zawiesiłam je na monocyklu. Gdy nadejdzie odpowiedni moment, włączę je.

Koło dwudziestej drugiej schowałam się wewnątrz jednej z kapliczek, serce pod przebraniem waliło mi jak młotem. Ściskałam monocykl w rękach.

Nie musiałam czekać zbyt długo. Najpierw usłyszałam ich głosy, a potem kroki. Przeskoczyli przez mur po wschodniej stronie cmentarza. Tego wieczoru było ich pięcioro. Trzech chłopaków i dwie dziewczyny. Ale to się mogło zmienić.

Zaczekałam, aż się rozsiądą. Aż zaczną otwierać puszki piwa i traktować doniczki z kwiatami jak popielniczki. Rozłożyli się na grobie pani Cedilleau, zacnej kobiety, którą dobrze poznałam, gdy przychodziła doglądać kwiatów na grobie córki. Leżeli na matce i córce, i to dodało mi sił.

Najpierw wsiadłam na monocykl i ułożyłam poły sukni, tak żeby mi się nie zaplątały w koło. Mój strój widać było z bardzo daleka; przez dwie godziny trzymałam taśmy pod światłem lampy halogenowej. Otwierając drzwi nagrobnej kapliczki, narobiłam dużo hałasu, trzasku. Ich głosy zamilkły. Znajdowałam się paręset metrów od nich. Zaczęłam pedałować. Powoli. Jakby to wiatr mnie niósł.

Byłam może czterysta metrów od nich, kiedy zauważył mnie jeden z chłopaków. Dopadł mnie strach. Czułam, że mam wilgotne ręce, nogi jak z waty, rozpaloną głowę. Chłopak nie był w stanie wykrztusić z siebie słowa. Ale widząc wyraz jego twarzy, jego przerażenie, jedna z dziewczyn odwróciła się w moją stronę, z petem w gębie, i ona, ona dopiero się rozdarła. Krzyknęła tak głośno, że aż zrobiło mi się sucho w ustach, bardzo sucho. Jej wrzask poderwał na równe nogi pozostałą trójkę. Ci, którzy śmiali się dotąd na całe gardło, przestali rechotać.

Cała piątka nie mogła oderwać ode mnie wzroku. Trwało to sekundę, może dwie, nie dłużej. Zatrzymałam się raptownie dwieście metrów od nich. Zacisnęłam wargi, posyłając w ich stronę wiązkę światła. Rozwarłam ramiona i znowu zaczęłam się do nich zbliżać, ale tym razem o wiele szybciej, groźniej.

W mojej pamięci wszystko to odbywało się jak w spowolnionym filmie, miałam czas dokładnie prześledzić każdą sekundę. Gdyby nie wypaliło, gdyby mnie zdemaskowali, byłabym skończona, nie daliby mi żyć. Ale nie mieli czasu na zastanowienie. Kiedy sobie uświadomili, że jakaś zjawa leci prosto na nich, unosząc się w powietrzu, coraz szybciej, z rozpostartymi ramionami, dali czym prędzej drapaka. Troje z nich wrzeszcząc wniebogłosy, pobiegło w stronę bramy, dwoje w głąb cmentarza.

Postanowiłam gonić tę trójkę. Jedno upadło, ale zaraz się podniosło.

Sama nie wiem, w jaki sposób udało im się przejść przez bramę, wysoką przecież na trzy i pół metra. To dowodzi, że strach dodaje skrzydeł.

Nigdy więcej już ich nie zobaczyłam. Wiem, że rozpowiadali wokół, że na cmentarzu straszy. Pozbierałam niedopałki i puste puszki. Umyłam grób pani Cedilleau ciepłą wodą.

Długo nie mogłam zasnąć, co chwila wybuchałam śmiechem. Jak tylko zamykałam oczy, znów ich widziałam, czmychających niczym króliki.

Następnego dnia rano zaniosłam na strych monocykl i przebranie, w którym udawałam zjawę. Zanim schowałam je do kufra, chciałam im się jakoś odwdzięczyć. Ułożyłam wszystko starannie, tak jak się układa suknię ślubną, którą od czasu do czasu wyjmuje się, żeby sprawdzić, czy wciąż pasuje.

22

Kwiatuszku życia. Zapach Twój wieczny, choć ludzkość za wcześnie Cię zerwała

– Philippe Toussaint umarł. Jedyna różnica pomiędzy nim a nieboszczykami z cmentarza polega na tym, że nad ich grobami zdarza mi się zadumać.

– Philippe Toussaint jest w książce telefonicznej. To znaczy nazwa jego warsztatu samochodowego znajduje się w książce telefonicznej.

Od ponad dziewiętnastu lat nikt nie wypowiedział na głos jego imienia czy nazwiska w mojej obecności. Philippe Toussaint zniknął nawet ze słów innych ludzi.

– Jego warsztatu?

– Myślałem, że będzie chciała pani to wiedzieć, że go pani szukała.

Nie czułam się na siłach, żeby udzielić komisarzowi odpowiedzi. Nie szukałam Philippe’a Toussainta. Zbyt długo na niego czekałam, a to co innego.

– Zauważyłem, że na koncie bankowym pana Toussainta dokonywano pewnych operacji.

– Jego konto bankowe…

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku z jego konta wycofane zostały wszystkie środki. Pojechałem sprawdzić na miejscu, tam gdzie wypłacono te pieniądze, żeby się dowiedzieć, czy nie chodzi o jakieś oszustwo, przywłaszczenie sobie tożsamości, czy to sam Toussaint kazał sobie wypłacić te pieniądze.

Poczułam przejmujące mnie od stóp do głów zimno. Za każdym razem, gdy wymawiał jego nazwisko, chciałam, żeby zamilkł. Wolałabym, żeby ten mężczyzna nigdy nie przekroczył progu mojego domu.

– Pani mąż nie zniknął. Mieszka sto kilometrów stąd.

– Sto kilometrów…

A przecież ten dzień tak dobrze się zaczął, przyszli Nono, ksiądz Cédric i Elvis, który śpiewał przy oknie, taki dobry był nastrój, zapach kawy, śmiech mężczyzn, moje okropne lalki do odkurzenia, ściereczka, ciepło domu…

– Ale dlaczego szukał pan Philippe’a Toussainta?

– Kiedy pani Bréant powiedziała mi, że zniknął, chciałem się dowiedzieć, co się stało. Pomóc pani.

– Panie Seul, kiedy w drzwiach szafy jest klucz, to znaczy, że jej właściciel nie życzy sobie, żeby ktokolwiek ją otwierał.

23

Jeśli tak szybko przechodzimy przez życie, to chociaż siejmy po drodze kwiaty

Do Malgrange-sur-Nancy przyjechaliśmy wiosną 1986 roku. Wiosną wszystko wydaje się możliwe, świetlane, obiecujące. Czuć, że starcie pomiędzy zimą a latem zostało już wygrane, a karty były znaczone. Gra jest już przesądzona, nawet jeśli czasem jeszcze leje deszcz.

„Dziewczynkom z sierocińca niewiele potrzeba”. Tak właśnie powiedziała edukatorka mojej trzeciej rodzinie zastępczej, kiedy miałam siedem lat, jakbym niczego nie słyszała, jakbym nie istniała. Jakby bycie porzuconą po urodzeniu dawało mi status niewidzialnej. No i co to znaczy „niewiele”?

Czułam, że mam wszystko: młodość, chęć do tego, żeby nauczyć się czytać, ślęcząc nad lekturą *Regulaminu tłoczni win*, słownik, dziecko w brzuchu, dom, pracę oraz moją pierwszą rodzinę. Ułomną, ale mimo to rodzinę. Od urodzenia nie miałam niczego oprócz uśmiechu, paru ciuchów, lalki Caroline, płyt Étienne’a Daho, zespołu Indochine, Treneta i komiksów z przygodami Tintina. W wieku osiemnastu lat miałam dostać umowę o pracę, rachunek bankowy i klucz dla siebie, tylko dla siebie. Klucz, do

którego będę mogła sobie przyczepić masę breloczków; będą brzęczały, żeby mi przypominać, że mam klucz.

Nasz dom był wybudowany na planie kwadratu i miał dach pokryty dachówkami porośniętymi mchem jak na rysunkach przedszkolnych dzieci. Po obu jego stronach kwitły forsycje. Mógłby kto powiedzieć, że ten niewielki biały domek z pomalowanymi na czerwono oknami ma blond loki. Od linii kolejowej oddzielał go szpaler różanych krzewów, jeszcze w pąkach. Główna droga, przez którą przechodziły tory, biegła dwa metry od schodów, na których szczycie leżała sfatygowana wycieraczka.

Poprzedni dróżnicy, państwo Lestrille'owie, zostawili stare meble, linoleum i poczerniałe mydełka. Niedawno zdjęto ze ściany wiszące na niej ramy; kwiecistą tapetę znaczyły miejscami nieco jaśniejsze prostokąty. Przy kuchennym oknie zostawili kiepską reprodukcję *Mona Lisy*.

Kuchnia była nędzna – zatłuszczone pomieszczenie, w którym królowały stara kuchenka gazowa i trzy szafki na przerdzewiałych wkrętach. Kiedy otworzyłam malutką, jakby zapomnianą stojącą za drzwiami lodówkę, znalazłam w niej kawałek źle zawiniętego pożółkniętego masła.

Chociaż miejsce to wyglądało staro i brudno, potrafiłam sobie wyobrazić, co z niego zrobię. W jaki sposób zmieni się to wnętrze, kiedy je odmaluję. Potrafiłam się uśmiechnąć na myśl o kolorze, który nadam ścianom kryjącym się pod przedwojenną jeszcze tapetą w drobne kwiatki. Wszystko to odnowię. A przede wszystkim półki, dzięki którym będę mogła urządzić nasze przyszłe życie. Jak tylko Lestrille'owie się odwrócili, Philippe Toussaint obiecał mi na ucho, że odmaluje wszystkie ściany.

Stare małżeństwo zostawiło nam spis awaryjnych numerów telefonu, na wypadek gdyby szlaban się zablokował.

– Teraz już nie podnosi się szlabanu na korbę i parę razy do roku obwody nawalają, a przejazd jest zablokowany.

Zostawili nam rozkład przejazdu pociągów. Rozkład letni. Rozkład zimowy. Niewiele tu było do dodania. W dni świąteczne, podczas strajków i w niedziele mniej było ruchu i mniej pociągów. Wyrazili nadzieję, że uprzedzono nas, że rozkład jest kłopotliwy, a rytm pracy męczący. Dwie osoby to wcale nie za dużo. Ach tak, niewiele brakowało, a by zapomnieli: od chwili pojawienia się sygnału dźwiękowego do momentu, kiedy nadjedzie pociąg, mamy trzy minuty, żeby opuścić szlaban. Trzy minuty na to, żeby nacisnąć na pulpicie sterowania guzik, którym uruchamia się szlaban i blokuje ruch. Po przejeździe pociągu przepisy nakazują odczekać minutę, zanim rozpocznie się podnoszenie szlabanu.

Zakładając płaszcz, pan Lestrille powiedział:

– Jeden pociąg może przesłonić drugi, ale my przez trzydzieści lat służby nigdy nie widzieliśmy, żeby się tak stało.

Stojąc już na progu, pani Lestrille odwróciła się, żeby nas ostrzec:

– Proszę uważać na samochody, które będą chciały przejechać po opuszczeniu szlabanu. Zawsze się trafi jakiś szaleniec. No i są też pijani kierowcy.

Spieszno im było przejść na emeryturę, więc życzyli nam szczęścia i dodali z uśmiechem:

– Teraz przyszła nasza kolej, żeby wsiąść do pociągu.

I już nigdy więcej ich nie zobaczyliśmy.

Gdy tylko wyszli z domu, zamiast zabrać się do odmalowywania, Philippe Toussaint objął mnie i powiedział:

– Och, Violette, jak nam tu będzie dobrze, kiedy już wszystko urządzisz.

Nie wiem, czy to zasługa lektury *Regulaminu tłoczni win*, czy zakupu słownika, ale poczułam przypływ siły; zdobyłam się na odwagę, żeby po raz pierwszy poprosić go o trochę pieniędzy. Od półtora roku moje pensje przelewano na jego konto, a ja zadowalałam się napiwkami, ale teraz nie miałam już ani grosza.

Dał mi szczodrą ręką trzy banknoty dziesięciofrankowe, które z wielkim trudem udało mu się wyjąć z portfela. Portfela, do którego nigdy nie miałam dostępu. Codziennie przeliczał gotówkę, żeby sprawdzić, czy niczego nie brakuje. Kiedy to robił, za każdym razem trochę mnie tracił. Nie tyle mnie, ile miłość, którą w sobie miałam.

W umyśle Philippe'a Toussainta wszystko wyglądało prosto: byłam zagubioną dziewczyną, którą zgarnął w nocnym klubie, co oznaczało, że powinnam pracować w zamian za dach nad głową i jedzenie. Ponadto byłam młoda i ładna, niekłótliwa, dobrze zbudowana, raczej dzielna i ubóstwiał uprawiać ze mną seks. A w jakichś bardziej perwersyjnych zakamarkach swojego umysłu rozumiał, że panicznie obawiam się porzucenia, a więc nie odejdę. A że nosiłam jego dziecko, wiedział, że mnie usidlił, że zostanę tu, w zasięgu ręki.

Miałam godzinę i kwadrans do następnego pociągu. Przeszłam na drugą stronę drogi z tymi moimi trzydziestoma frankami i weszłam do sklepu Casino, żeby kupić wiaderko, ścierkę, gąbki i detergenty. Wybierałam to wszystko na chybił trafił, najtańsze. Miałam osiemnaście lat, nie wiedziałam niczego o środkach czystości. Normalnie w tym wieku kupuje się muzykę. Podeszłam do kasjerki.

– Dzień dobry, nazywam się Violette Trenet, jestem nową dróżniczką, następczynią państwa Lestrille'ów. Mieszkam naprzeciwko.

Kasjerka, której imię, Stéphanie, widniało na identyfikatorze, nie słuchała mnie. Gapiąc się na mój krągły brzuch, spytała:

– Jest pani córką nowych dróżników?

– Nie, nie jestem niczyją córką. Jestem nową dróżniczką.

Stéphanie wszystko miała krągłe: ciało, twarz, oczy. Wyglądała trochę jak postać z kreskówki, mało rozgarnięta, naiwna i grzeczna. Wytrzeszczone oczy sprawiały, że ciągle wyglądała na zdziwioną.

– A ile ma pani lat?

– Osiemnaście.

– Aha, dobra. A dziecko kiedy się urodzi?

– We wrześniu.

– Aha, dobra. No to będziemy się często widywać.

– Tak, będziemy się często widywać. Do widzenia.

Zaczęłam od umycia półek w sypialni, zanim ułożyłam na nich ubrania.

Zajrzałam pod zabrudzoną wykładzinę podłogową – płytki ceramiczne. Zaczęłam właśnie ją zdejmować, kiedy rozległ się sygnał alarmowy szlabanu. Nadjeżdżał pociąg z godziny piętnastej zero sześć.

Wybiegłam na przejazd. Nacisnęłam czerwony guzik, uruchamiając opuszczenie szlabanu. Poczułam ulgę, kiedy zobaczyłam, że opada. Samochód zwolnił i zatrzymał się na mojej wysokości. Długie białe auto, którego kierowca zmierzył mnie ponurym spojrzeniem, jak gdybym była odpowiedzialna za rozkład jazdy. Pociąg z piętnastej zero sześć przejechał. Szyny zadrżały. Wiózł sobotnich pasażerów. Tabuny dziewczyn, które jechały spędzić popołudnie w Nancy na zakupach lub flirtach.

Może to dziewczyny z sierocińca, te, którym niewiele potrzeba, pomyślałam. Nacisnęłam zielony guzik, żeby podnieść szlaban, i uśmiechnęłam się; miałam pracę, klucze, dom do odmalowania, dziecko w brzuchu, wykładzinę do zdjęcia, nędznego faceta, któremu nie mogłam zapomnieć oddać reszty z zakupów, słownik, muzykę i *Regulamin tłoczni win* do przeczytania.

24

Trzeba się nauczyć obdarzać nieobecnością tych, którzy nie zrozumieli znaczenia naszej obecności

Śmierć nie robi sobie przerwy. Nie wie, co to letnie wakacje czy dni świąteczne, czy też umówiona wizyta u dentysty. Godziny najmniejszego ruchu, okresy gremialnych wyjazdów, autostrada prowadząca z dużego miasta nad morze, trzydziestopięciogodzinny tydzień pracy, płatne urlopy, Wigilia i Nowy Rok, szczęście, młodość, beztroska, piękna pogoda… śmierć się tym wszystkim nie przejmuje. Jest tu, wszędzie, cały czas. Nikt o tym tak naprawdę nie myśli, inaczej byśmy oszaleli. Śmierć jest jak ten pałętający się nam ciągle pod nogami pies, którego obecność dostrzegamy, dopiero kiedy nas ugryzie. Albo, gorzej, ugryzie kogoś nam bliskiego.

Na moim cmentarzu jest kenotafium. Znajduje się w trzeciej alejce, w kwartale Cedrów. Kenotafium to grobowiec wzniesiony nad pustym dołem mogilnym. To symboliczne miejsce pochówku dla tych, którzy zginęli na morzu, w górach, w samolocie czy podczas jakiejś klęski żywiołowej. Dla ludzi, którzy wyparowali, ale niewątpliwie zostali zabrani przez śmierć. Na kenotafium w Brancion nie ma żadnej tablicy nagrobnej. Jest ono bardzo stare i nigdy się nie dowiedziałam, dla upamiętnienia kogo zostało zbudowane. Wczoraj na przykład Jacques Lucchini powiedział mi,

że wzniesiono je w roku 1967 dla pewnej młodej pary, która zaginęła w górach. Zanim wsiadł z powrotem do karawanu, dodał: „Młodzi poszli na wspinaczkę, prawdopodobnie odpadli od ściany”.

Często słyszę: „Stracić dziecko to najgorsze, co może się człowiekowi przydarzyć”. Ale słyszę również, że najgorsze to niczego nie wiedzieć. Że straszniejsza niż grób jest spoglądająca ze słupów, ścian domów, witryn, stron gazet, z ekranu telewizora twarz osoby zaginionej. Zdjęcia się starzeją, ale nie twarz, którą przedstawiają. Że czymś gorszym niż pogrzeb jest rocznica zaginięcia, dziennik telewizyjny, puszczanie balonów, milczący biały marsz.

Parę kilometrów od Brancion trzydzieści lat temu zniknęło dziecko. Jego matka, Camille Laforêt, przychodzi na cmentarz każdego tygodnia. Merostwo w drodze wyjątku sprzedało jej miejsce, w którym miała prawo umieścić tablicę z nazwiskiem swojego zaginionego syna: Denisa Laforêta. Nie ma żadnego dowodu, że Denis nie żyje. Miał jedenaście lat, kiedy zniknął między szkolną klasą a przystankiem autobusowym znajdującym się na wprost gimnazjum. Denis wyszedł z lekcji godzinę wcześniej niż jego koledzy. Miał pójść do świetlicy. A potem już nic więcej nie wiadomo. Matka szukała go wszędzie. Policja też. Każda rodzina z okolicy zna twarz Denisa. Jest tym, który „zaginął w 1985 roku”.

Camille Laforêt często mi mówiła, że umieszczenie imienia syna na tym prowizorycznym grobie uratowało jej życie. Że to imię wyryte w marmurze pozwala jej wytrwać pomiędzy tym, co możliwe, a tym, co niemożliwe: pozwala myśleć, że może syn jeszcze żyje, gdzieś tam, sam, bez miłości, w cierpieniu. I za każdym razem, kiedy otwiera drzwi, siada przy stole i pije kawę, mówi do mnie: „Co słychać, Violette?”. Po czym dodaje: „Zaginięcie jest gorsze niż śmierć”.

Ja natomiast naprawdę przywykłam do zniknięcia Philippe’a Toussainta. Nigdy nie chciałam się dowiedzieć niczego na ten temat.

Otwieram kopertę z przemową, którą Julien Seul napisał dla matki. Tę, którą odczyta w dniu, kiedy w końcu pogodzi się z tym, że złoży jej prochy w grobie Gabriela Prudenta. Przeklęte niechaj będzie spotkanie tych dwojga. Gdyby Irène Fayolle nie spotkała Gabriela Prudenta, noga Juliena Seula nigdy nie postałaby na moim cmentarzu.

Irène Fayolle była moją matką. Ładnie pachniała. Używała perfum L’Heure bleue.

Chociaż urodziła się w Marsylii, 27 kwietnia 1941 roku, nigdy nie miała południowego akcentu. Nie miała południa w genach. Zachowywała się z rezerwą, trzymała ludzi na dystans, niewiele mówiła. Zawsze wolała chłód od upału, zachmurzone niebo od słońca. Potwierdzała to nawet jej twarz. Miała bladą cerę, piegi i blond włosy.

Lubiła kolor beżowy. Nigdy nie widziałem, żeby nosiła kolorowe stroje czy chodziła boso, z wyjątkiem jednej żółtej sukienki na jakimś wakacyjnym zdjęciu ze Szwecji z czasów, zanim się jeszcze urodziłem. Tak jakby coś jej się z tą sukienką pomyliło.

Lubiła angielskie herbaty. Lubiła śnieg. Robiła mu zdjęcia. W rodzinnych albumach są wyłącznie zdjęcia ze śniegiem w tle.

Rzadko się uśmiechała. Często popadała w zadumę.

Wychodząc za mojego ojca, została panią Seul. Jako że – w swoim odczuciu – przyjąwszy to nazwisko, musiałaby pisać je z błędem ortograficznym[10], zachowała panieńskie nazwisko.

Miała tylko jedno dziecko, mnie. Przez długi czas zastanawiałem się, czy to z mojego powodu, czy też z powodu nazwiska rodowego moim rodzicom odeszła ochota na dalsze potomstwo.

Najpierw była fryzjerką, potem została ogrodniczką. Wyhodowała rozmaite odmiany róż, które nie boją się zimy. Róż podobnych do niej.

Pewnego dnia powiedziała mi, że lubi sprzedawać kwiaty, nawet jeśli mają służyć do udekorowania grobu. Że róża to róża, i to, czy jest przeznaczona na ślub, czy na cmentarz, nie ma żadnego znaczenia. Że we wszystkich witrynach kwiaciarni można przeczytać: Wiązanki ślubne i pogrzebowe. *Że jedno jest nieodłączne od drugiego.*

Nie wiem, czy w dniu, kiedy mi to powiedziała, myślała o tym nieznajomym, przy którym postanowiła spocząć po wsze czasy.

Szanuję jej wybór, podobnie jak ona zawsze szanowała moje wybory.

Spoczywaj w pokoju, droga Mamo.

---

[10] Aby utworzyć rodzaj żeński, należałoby dodać na końcu „e”. W języku francuskim, inaczej niż w polskim, nie tworzy się żeńskich form nazwisk.

25

Miłość matki to skarb, którym Bóg obdarza raz jeden

Léonine zaczekała ze swoim przyjściem na ten świat, aż odmaluję wszystkie ściany.

W nocy z drugiego na trzeciego września 1986 roku poczułam pierwszy skurcz, który mnie obudził. Philippe Toussaint spał przy mnie. Moja córka wybrała sobie dobrą noc na narodziny. To była sobota, dziewięciogodzinna przerwa pomiędzy ostatnim pociągiem a tym, który przejeżdżał w niedzielę rano. Obudziłam Philippe'a Toussainta. Miał cztery godziny, by odwieźć mnie na oddział położniczy i wrócić na opuszczenie szlabanu o siódmej dziesięć.

Léonine za bardzo się ociągała, żeby ojciec mógł być obecny w chwili, gdy po raz pierwszy wydała z siebie głos. Koło południa wyparłam ją z siebie ku życiu.

Pogrążałam się w miłości i strachu. To życie, za które byłam odpowiedzialna, miało mi ciążyć bardziej niż moje własne. Z trudem oddychałam. Mogę powiedzieć, że Léo odebrała mi dech. Zaczęłam drżeć na całym ciele, od stóp do głów. Z emocji i strachu aż szczękałam zębami.

Wyglądała jak malutka staruszka. Przez parę sekund odnosiłam wrażenie, że to ona jest stara, a ja jestem dzieckiem.

Dotyk jej skóry na moim ciele, usta szukające piersi. Jej niewielka główka w mojej dłoni. Ciemiączko, czarne włoski, zielony śluz na skórze, usteczka w kształcie serduszka. Określenie „trzęsienie ziemi” nie jest za mocne.

Kiedy pojawiła się Léonine, moja młodość rozprysła się równie gwałtownie jak porcelanowy wazon, który spadł na wykładaną płytkami podłogę. To ona pogrzebała moje dziewczęce życie. W parę minut śmiech zamieniał się we łzy, piękna pogoda w deszcz. Byłam jak deszczowe marcowe niebo, które od czasu do czasu przecinają błyskawice. Moje zmysły były wyostrzone niczym u ślepca.

Przez całe życie, przyglądając się sobie w lustrze, zastanawiałam się, do którego z rodziców jestem podobna. Kiedy ona spojrzała na mnie swoimi wielkimi oczami, pomyślałam, że jest podobna do nieba, przypomina wszechświat, potwora. Wydawała mi się brzydka i piękna. Zła i słodka. Bliska mojemu sercu i obca. Była cudem i jadem w jednej osobie. Rozmawiałam z nią tak, jakbyśmy ciągnęły rozmowę rozpoczętą bardzo dawno temu.

Powitałam ją na tym świecie. Głaskałam. Pożerałam oczami, oddychałam nią. Obejrzałam każdy centymetr jej ciałka, lizałam ją wzrokiem.

Kiedy mi ją zabrano, żeby zważyć, zmierzyć, umyć, zaciskałam palce. Jak tylko zniknęła mi z pola widzenia, poczułam się jak dziecko, malutka dziewczynka, bezbronna, bezczynna. Przyzywałam matkę. Nie miałam gorączki, a mimo to ją wołałam.

Przed oczami zaczęły mi się przewijać obrazy z dzieciństwa. Jak w przyspieszonym filmie. Co mogę zrobić, żeby moja córka nigdy nie

musiała przeżywać tego co ja? Czy mi ją zabiorą? Jak tylko Léo pojawiła się w moim życiu, zaczęłam się bać, że nas rozdzielą. Bałam się, że ona mnie opuści. I paradoksalnie chciałam, żeby zniknęła, żeby wróciła później, kiedy dorosnę.

Philippe Toussaint odwiedził nas po południu, od piętnastej zero siedem do osiemnastej zero dziewięć. Rozczarowałam go. Chciał syna. Nic nie powiedział. Popatrzył na nas. Uśmiechnął się. Pocałował mnie we włosy. Wydał mi się piękny z naszym dzieckiem na rękach. Prosiłam, żeby otoczył nas opieką, żeby robił to zawsze. Odpowiedział: „Oczywiście”.

No i przyszło drugie trzęsienie ziemi. Léo miała dwa dni. Właśnie sobie pojadła. Położyłam ją sobie na udach, maleńka główka wysoko na kolanach, nóżki na moim brzuchu, każda z piąstek zaciśnięta na moim palcu wskazującym. Patrzyłam na nią. Szukałam w jej twarzyczce przeszłości, tak jakby mieli mi się na niej objawić moi rodzice. Tak się w nią wpatrywałam, że aż położne zaczęły mówić, żebym jej nie zjadła tym wzrokiem. Ona też na mnie patrzyła, kiedy do niej mówiłam; już nie pamiętam, co jej opowiadałam. Mówią, że noworodki się nie uśmiechają, że uśmiechają się tylko do aniołków. Nie wiem, jakiego aniołka we mnie dostrzegła, ale bardzo wyraźnie na mnie spojrzała i uśmiechnęła się.

Jakby po to, żeby mnie uspokoić. Jakby chciała mi powiedzieć: „Wszystko będzie dobrze”. Nigdy nie doznałam bardziej przejmującego uczucia miłości.

W przeddzień wyjścia ze szpitala matka i ojciec Toussainta przyszli na oddział położniczy pięknie ubrani. Ona, z biżuterią na palcach, on w koszmarnie drogich butach z chwostami. Ojciec spytał, czy ochrzczę „dziecko”, matka wzięła ją na ręce z przezroczystego łóżeczka, w którym Léonine spała głębokim snem. Wzięła ją nieporadnie, nie pytając mnie o nic, tak jakby mała była jej własnością. Ciemiączko Léo zniknęło

w fałdach bluzki tej złej matki. Poczułam nagły przypływ nienawiści. Gwałtownie zagryzłam od środka policzki, żeby się nie rozpłakać z wściekłości.

Tego właśnie dnia zrozumiałam, że można mi zrobić i powiedzieć obojętnie co, że skóra i dusza Violette zostały zaimpregnowane przy urodzeniu na każdą formę unicestwienia. Jednocześnie wszystko to, co dotyczy mojej córki, będzie we mnie wnikać. Będę to wchłaniać, ja, porowata matka.

Kołysząc moją córeczkę, matka Toussainta przemówiła do niej, nazywając ją Catherine. Poprawiłam ją: „Ma na imię Léonine”. Matka Toussainta odpowiedziała: „Catherine jest o wiele ładniej”. W tej samej chwili ojciec zwrócił się do żony: „Chantal, przesadzasz”. W ten sposób dowiedziałam się, że matka Toussainta ma imię…

Léo zaczęła płakać, chyba z powodu zapachu tej starej, jej głosu, zaciśniętych palców, szorstkiej skóry. Poprosiłam matkę Toussainta, żeby mi ją oddała. Czego nie zrobiła. Odłożyła wrzeszczącą Léo do łóżeczka, ale nie dała mi jej do rąk.

A potem wróciłyśmy do „domu pociągów”, jak go później nazwała. Przytulałam ją do siebie w naszym łóżku, w naszym pokoju. Philippe Toussaint spał po prawej stronie, ja po lewej, a Léo jeszcze bardziej po lewej. Przez dwa pierwsze miesiące naszego wspólnego życia zostawiałam ją tylko po to, żeby pójść podnieść i opuścić szlaban. Przewijałam ją pod kocami. Codziennie nagrzewałam łazienkę, by ją wykąpać.

Później była zima, czapeczki, szaliki, ona otulona w wózeczku. Ząbkowanie, wybuchy śmiechu, pierwsze zapalenie ucha. Wychodziłam z nią na spacer między jednym a drugim pociągiem. Ludzie pochylali się nad nią, żeby ją zobaczyć. Mówili: „Podobna do pani”, a ja odpowiadałam: „Nie, do ojca”.

Potem była jej pierwsza wiosna, kocyk rozłożony na trawie, w zacienionym miejscu pomiędzy domem i szynami, zabawki. Zaczynała już dobrze siadać, wkładać wszystko do buzi między jednym uśmiechem a drugim; szlaban, który trzeba było opuszczać i podnosić; Philippe Toussaint, który wyjeżdżał na wyprawy motocyklowe, ale zawsze wracał na czas, żeby usiąść przy stole. I znowu wybierał się na przejażdżkę. Léo bardzo go bawiła, ale nie dłużej niż dziesięć minut.

Chyba nauczyłam się zajmować córeczką mimo młodego wieku. Potrafiłam znaleźć właściwy gest, głos, dotknięcie, wsłuchiwać się w nią. Wraz z upływem kolejnych lat strach, że ją utracę, ustąpił. W końcu zrozumiałam, że nie ma żadnego powodu, dla którego miałybyśmy się rozstać.

26

Nic nie sprzeciwia się nocy, nic jej nie usprawiedliwia

Jeśli wciąż przybywa cienia
Jeśli wiatr nie wieje z góry
Z wyżyn schodów zapomnienia
Jeśli uczyć się trzeba od natury
Choć trudno przychodzi to pojąć
Marzenia swe kończyć słowem „amen”
I skoro uważasz za swoją
Niewątpliwą oczywistość
Że czasem nawet dać wszystko
Niekoniecznie oznacza dać zadość
Gdzie indziej naprędce
Bić będzie twe serce
Skoro nazbyt cię kochamy by cię zatrzymać
Gdy odchodzisz…

Tę właśnie piosenkę najczęściej daje się słyszeć na pogrzebach. W kościele i na cmentarzu.

W ciągu dwudziestu lat słyszałam wszystko. Od *Ave Maria* aż po *L'envie d'avoir envie* Johnny'ego Hallydaya. Na jeden pogrzeb rodzina zamówiła piosenkę Pierre'a Perreta *Le zizi*[11], bo był to ulubiony utwór zmarłego. Pierre Lucchini i nasz dawny ksiądz odmówili. Pierre wyjaśnił, że nie każdą ostatnią wolę można zrealizować w domu Boga, ani nawet w „ogrodzie dusz", jak nazywa mój cmentarz. Rodzina nie zrozumiała tego braku miejsca na poczucie humoru w protokole pogrzebowym.

Regularnie zdarza się, że jakiś odwiedzający stawia na grobie odtwarzacz. Nigdy jednak nie nastawia go głośno, żeby nie przeszkadzać sąsiadom.

Widziałam też, jak pewna dama stawiała na grobie męża radyjko, „żeby posłuchał wiadomości". Oraz jak młodziutka dziewczyna zawieszała słuchawki na krzyż na grobie pewnego licealisty, żeby dawny kolega posłuchał sobie ostatniego albumu Coldplay.

Odwiedza się też cmentarz, żeby obchodzić urodziny, składając kwiaty na grobie lub puszczając muzykę z telefonu.

Dwudziestego piątego czerwca każdego roku kobieta o imieniu Olivia przychodzi zaśpiewać jednemu z nieboszczyków, którego prochy zostały rozrzucone w ogrodzie pamięci. Zjawia się w momencie otwarcia bramy. Wypija w mojej kuchni herbatę bez cukru i nie odzywa się słowem, może z wyjątkiem jakiejś uwagi na temat pogody. Koło dziewiątej dziesięć rusza w kierunku ogrodu pamięci. Nigdy jej nie towarzyszę, doskonale zna drogę. Kiedy jest ładnie i mam otwarte okna, słyszę jej głos u siebie. Zawsze śpiewa tę samą piosenkę, *Blue Room* Cheta Bakera: *We'll have a blue room, a new room for two room, where ev'ry day's a holiday because you're married to me…*[12].

Śpiewa ją niespiesznie. Głośno, ale wolno, żeby trwała dłużej. Po każdym fragmencie następuje chwila ciszy, jakby ktoś jej odpowiadał, jak

gdyby wracało do niej echo. Później siada bezpośrednio na ziemi.

W czerwcu tego roku musiałam jej pożyczyć parasolkę, bo lało jak z cebra. Kiedy zajrzała do domu, żeby mi ją oddać, spytałam, czy jest śpiewaczką, bo ma taki piękny głos. Zdjęła płaszcz, po czym usiadła obok mnie. Zaczęła do mnie mówić tak, jakbym jej postawiła masę pytań, chociaż przez dwadzieścia lat zadałam tylko jedno.

Opowiedziała mi o tym człowieku o imieniu François, dla którego każdego roku śpiewa. Chodziła do liceum w Mâcon. Kiedy go poznała, był jej profesorem od francuskiego. Zakochała się w nim, od razu, już na pierwszej lekcji. Straciła od tego apetyt. Żyła tylko po to, żeby znów go zobaczyć. W czasie szkolnych wakacji czuła się tak, jakby zapadała się w studnię bez dna. Oczywiście zawsze robiła wszystko, żeby usiąść z przodu, w pierwszej ławce. Uczyła się tylko francuskiego i była z tego przedmiotu doskonała. Na powrót odkrywała ojczysty język. Dostała dziewiętnaście na dwadzieścia punktów z pracy rocznej. Na jej temat wybrała: „Czy miłość to ułuda?”. Na dziesięciu stronach napisała błyskotliwe opowiadanie na temat miłości, którą pewien mężczyzna, nauczyciel z zawodu, poczuł do jednej ze swoich uczennic. Miłości, którą całkowicie odrzucił. Była to opowieść w konwencji kryminału, a winna okazywała się oczywiście ona. Pozmieniała imiona wszystkich postaci (uczniów z jej klasy) i miejsce akcji. Przeniosła wszystko do angielskiego college’u. Bezczelnie spytała François:

– Panie profesorze, dlaczego dziewiętnaście? Czemu nie dwadzieścia?

– Bo doskonałość nie istnieje – odparł.

– No to dlaczego – nie dawała za wygraną – dlaczego wymyślono dwadzieścia, skoro doskonałość nie istnieje?

– Bo jest potrzebne w matematyce do rozwiązywania zadań. W języku francuskim jest bardzo mało rozwiązań bez skazy.

Obok oceny dziewiętnaście na dwadzieścia nakreślił czerwonym długopisem taką oto uwagę: *Styl bezpośredni, doskonały. Potrafiłaś zaprząc swoją cudowną wyobraźnię do stworzenia nienagannej formy literackiej. Temat pasjonujący, błyskotliwie potraktowany, z lekkością, humorem i powagą. Brawo, dowiodłaś wielkiej dojrzałości pisarskiej*.

Tysiące razy zauważyła, że na nią patrzy, kiedy pochylała się nad zeszytem. Ileż się w tym roku nagryzła skuwek od długopisów, wpatrując się w niego, gdy wyjaśniał uczucia Emmy Bovary.

Była pewna, że ta miłość jest wzajemna. I, dziwna rzecz, nosili takie samo nazwisko. Poruszyło ją to, chociaż nazwisko Leroy jest przecież dość popularne.

Kilka dni przed maturą z francuskiego, podczas powtórki materiału zorganizowanej dla grupy zainteresowanych, Olivia ośmieliła się powiedzieć:

– Profesorze Leroy, jeślibyśmy się pobrali, nic by się nie zmieniło. Nie musielibyśmy przedsiębrać jakichkolwiek kroków urzędowych, jeśli chodzi o dokumenty tożsamości czy rachunki.

Grupa gruchnęła śmiechem, a François poczerwieniał.

Olivia zdała maturę z francuskiego, uzyskując ocenę dziewiętnaście z egzaminu ustnego i dziewiętnaście z pisemnego. Wysłała François list: *Szanowny Panie, nie dostałam dwudziestki, bo ciągle jeszcze nie znalazł Pan rozwiązania naszego problemu*.

Poczekał, aż zda maturę, żeby się z nią umówić na rozmowę sam na sam. Po dłuższej chwili milczenia, którą złożyła na karb miłosnego oszołomienia, powiedział jej:

– Olivio, brat i siostra nie zawierają małżeństwa.

W pierwszej chwili się zaśmiała. Zaśmiała się, bo wymówił jej imię, chociaż przedtem zawsze zwracał się do niej per mademoiselle. Potem

przestała się śmiać, a on nie odrywał od niej oczu. Odebrało jej głos, kiedy dowiedziała się od François, że mają tego samego ojca. François był dzieckiem z poprzedniego związku i urodził się koło Nicei dwadzieścia lat przed Olivią. Ich ojciec i matka François żyli razem przez dwa lata, po czym nastąpiło bolesne rozstanie. Mijały lata.

Dużo później François rozpoczął poszukiwania i odkrył, że ojciec ponownie się ożenił i ma córkę – Olivię.

Ojciec ukrył przed drugą rodziną informację o istnieniu syna. Spotkali się. François dołożył starań, by dostać przeniesienie do Mâcon, żeby być bliżej niego.

Bardzo poruszyło go odkrycie, że będzie nauczycielem siostry. Przeczytawszy jej nazwisko w dniu rozpoczęcia roku szkolnego, sądził, że to jakiś złośliwy zbieg okoliczności. Jednak gdy odkleiła usta od ucha koleżanki, po czym podniosła palec, kiedy wyczytał ją na liście, i patrząc mu prosto w oczy, powiedziała cicho: „Obecna”, rozpoznał ją. Byli do siebie podobni. On to zauważył, bo wiedział, ona nie, bo wiedzieć o niczym nie mogła.

Początkowo Olivia nie chciała w to uwierzyć. Uwierzyć, że ojciec mógł ukryć istnienie François. Sądziła, że nauczyciel zmyślił całą tę historię, by położyć kres uwodzicielskim poczynaniom rozkapryszonej dziewuchy. Ale potem, kiedy zrozumiała, że to prawdziwa historia, rzuciła mu w twarz z udawanym lekceważeniem:

– Nie wyszliśmy z tego samego brzucha, więc to się nie liczy. Jestem w panu naprawdę zakochana.

Odpowiedział jej, tłumiąc w sobie zimny gniew:

– Nie, zapomnij, zapomnij o tym natychmiast.

To był ostatni rok w liceum. Mijali się jeszcze na korytarzach. Za każdym razem, kiedy go widziała, miała ochotę paść mu w ramiona. Ale nie

jak siostra bratu.

On jej unikał, spuszczał głowę. Rozwścieczona, podchodziła do niego z drugiej strony, żeby stanąć naprzeciw i niemal wykrzyczeć:

– Dzień dobry, profesorze Leroy.

– Dzień dobry, panno Leroy – odpowiadał nieśmiało.

Nie ośmieliła się zapytać o nic ojca. Nie było takiej potrzeby. Widziała, jak patrzył na François w dniu rozdania świadectw.

Zauważyła, że syn i ojciec wymienili uśmiechy. Miała ochotę posłużyć się jednym, by zabić drugiego. Nie mogła opanować łez ani wściekłości. Nie widziała innego wyjścia, jak tylko zapomnieć.

Po rozdaniu świadectw nastąpiła część artystyczna. Uczniowie i profesorowie prezentowali się po kolei. Wykonywano głównie piosenki grup takich jak Trust i Telephone, ale François zaśpiewał a capella właśnie *Blue Room*. Zrobił to równie emocjonalnie, co Chet Baker: *We'll have a blue room, a new room for two room, where ev'ry day's a holiday because you're married to me…*

Zaśpiewał to dla niej, patrząc jej prosto w oczy. Zrozumiała, że nigdy nie pokocha innego mężczyzny. I że ta niemożliwa miłość jest wzajemna.

Wtedy wyjechała. Jeździła po całym świecie, studiowała na różnych uczelniach, zdobywała tytuły i w końcu też została profesorem literatury. Zmieniła nazwisko.

Siedem lat później, w wieku dwudziestu pięciu lat, wróciła, żeby rozpocząć życie u boku François. Pewnego dnia zadzwoniła do jego drzwi i powiedziała: „Teraz możemy żyć razem, nie noszę już tego samego nazwiska co pan. Nie pobierzemy się, nie będziemy mieć dzieci, ale przynajmniej będziemy razem". „Zgoda", odparł.

Ciągle zwracali się do siebie per pan, pani. Tak jakby chcąc zachować dystans. Żeby dalej było jak na początku, na pierwszej randce. Los dał im

dwadzieścia lat wspólnego życia. Tyle, ile ich od siebie dzieliło.

Pociągnąwszy łyczek porto, Olivia powiedziała mi: „Rodzina się nas wyrzekła, ale nie cierpieliśmy za bardzo z tego powodu, sami byliśmy sobie rodziną. Po śmierci François, jakby chcąc nas ukarać, jego matka kazała skremować ciało tutaj, w Brancion-en-Chalon, jej rodzinnym mieście. Żeby ślad po nim całkowicie zniknął, kazała rozrzucić jego prochy w ogrodzie pamięci. Ale on nigdy nie zniknie, zawsze będę go nosić w sobie. Był moją bratnią duszą”.

---

[11] *Le zizi* (fr.) – siusiak.

[12] Będziemy mieć niebieski pokój, nowy pokój dla dwojga, gdzie każdy dzień to święto, bo jesteśmy sobie poślubieni…

27

Słabnący poranek rozlewa po polach melancholię zachodzącego słońca

Jak tylko Léonine się urodziła, kupiłam elementarz, żeby na nowo nauczyć się czytać: *La Journée des Tout Petits. Méthode Boscher*[13], autorstwa M. Boschera, V. Boschera, J. Chaprona, nauczycieli, i M.J. Carré. Pod koniec ciąży słyszałam, jak jedna nauczycielka mówiła w radiu o metodzie Boschera. Powiedziała, że miała ucznia, który musiał powtarzać pierwszą klasę, bo nie nauczył się czytać. Że nie próbował czytać, tylko zgadywał. Uczył się tekstów na pamięć i recytował je tak, żeby wyglądało, że czyta. Dokładnie tak samo robiłam ja, od zawsze. Nauczycielka zastosowała z nim tę właśnie metodę czytania i w ciągu pół roku jej uczeń czytał prawie tak samo jak reszta klasy. To dawna, wyłącznie sylabowa metoda czytania. Zabrania scalania: nie pozwala na oszukiwanie, rozpoznawanie słów czy domyślanie się zdań.

Całymi godzinami, kiedy Léonine była jeszcze niemowlakiem wożonym w wózku, czytałam jej głośno pojedyncze słowa: *U-li-ca w po-łu-dnie, so-wa, księ-życ, pa-ty-ki, kul-ki. Przy-ję-cie bo-żo-na-ro-dze-nio-we; u o a i o u a o, o-liw-ki, sa-mo-lot, do-mi-no, fa-so-la, mo-re-le. To-to był u-par-ty. Twój. Ty. Ta. Ten. Tę. Ty-mi. E-mil. Księ-życ. Lo-te-ria, O-strze. Li-*

mon-ka. E-mil był u-przej-my w szko-le. Szy-ja. Ka-pu-sta. U-sta. Ło-kieć. Klej-not. Spo-dek. Wilk. Szy-cie. O-szust. E-wa ku-pu-je za-baw-kę, ja od-kor-ku-ję ka-raf-kę, ma-ma zro-bi zu-pę.

Léonine otwierała szeroko oczy i słuchała mnie, nie osądzając powolności czytania, powtórzeń, błędów wymowy, potknięć czy braku sensu. Każdego dnia powtarzałam jej te same sylaby, aż zaczęły płynąć gładko.

Ilustracje były bardzo kolorowe, zabawne i naiwne. Szybko zaczęła kłaść na nich paluszki, a następnie chwytać i miąć kartki, tak że pokrywały się kolejnymi plamami. Ślina, czekolada, sos pomidorowy, mazaki. Okładka pomogła jej w ząbkowaniu – wkładała elementarz do buzi, jakby chciała go zjeść.

Przez pierwsze lata chowałam tę książkę. Nie chciałam, żeby Philippe Toussaint wpadł na nią przypadkiem. Gdyby się dowiedział, że znów zaczęłam się uczyć poprawnie czytać, byłoby to dla mnie nie do zniesienia. Bo znaczyłoby, że naprawdę jestem tą biedną, wzgardzoną przez matkę, niedouczoną dziewuchą.

Wyjmowałam ją, gdy tylko wsiadał na motor. Na widok podręcznika Léonine krzyczała z radości, bo wiedziała, że zacznie się czytanie. Lubiła słuchać mego głosu i przyglądać się obrazkom, które znała na pamięć. Małe dziewczynki o blond włosach, w czerwonych sukienkach, kaczki, choinki, zieleń, kwiaty, sceny z życia codziennego przeznaczone dla bardzo małych dzieci. Życie proste, szczęśliwe.

Mówiłam sobie, że mam trzy lata, żeby się nauczyć płynnie czytać, że jak pójdzie do przedszkola, już będę umieć. Udało mi się to o wiele wcześniej. Kiedy Léonine zdmuchnęła pierwszą świeczkę, byłam już na sześćdziesiątej stronie.

Nauczyłam się czytać od nowa, poprawnie. Dzięki metodzie Boschera już nie dukałam. Chciałabym móc powiedzieć tej nauczycielce z radia, że jej słowa zmieniły moje życie. Zadzwoniłam do RTL, powiedziałam telefonistce z centrali, że w sierpniu 1986 roku usłyszałam słowa nauczycielki występującej w programie Fabrice'a, ale usłyszałam, że nie da się jej odnaleźć, jeżeli nie mam dokładnej daty, a ja jej nie miałam.

Nauczyć się czytać to jak nauczyć się pływać. Kiedy już się opanuje ruchy żabki, ustępuje strach, że człowiek się utopi, i pokonanie basenu czy oceanu wydaje się osiągalne. To wyłącznie kwestia oddechu i treningu.

Bardzo szybko doszłam do przedostatniej strony, a znajdująca się na niej opowieść stała się ulubioną czytanką Léonine. Wzorowana jest na jednej z baśni Andersena, *Choince*.

Rosła raz w lesie najpiękniejsza choinka, jaką można sobie wyobrazić. W dobrym miejscu, gdzie słońce mogło ją ogrzać, w towarzystwie dobrych kolegów: świerków i sosen. Myślała tylko o jednym: żeby jak najszybciej podrosnąć. Siadały przy niej dzieci, patrzyły na nią i mówiły: „Jaka ładna ta choinka". A ona nie mogła tego znieść. Podrosnąć, podrosnąć; wyrosnąć i zmężnieć, to jedyne szczęście na ziemi – mówiła sobie w duchu… Pod koniec roku drwale przychodzili zawsze ściąć parę najpiękniejszych drzew. Dokąd je zabierają? – zachodziła w głowę choinka… „Wydaje mi się, że je widziałem; stoją, wyprostowane, na pięknych nowych statkach i pływają po świecie", powiedział jej bocian. Kiedy zbliżało się Boże Narodzenie, ścinano też całkiem młode drzewka wybrane spośród najpiękniejszych i najzgrabniejszych. Dokąd je zabierają? – zastanawiała się choinka. Aż w końcu przyszła jej kolej. Zabrano ją do wielkiej i pięknej sali, gdzie stały śliczne fotele; na wszystkich jej gałązkach wisiały błyskotki, lśniły lampki. Jaki blask! Jaki szyk! Jaka radość! Następnego dnia choinkę postawiono w kącie i o niej zapomniano. Miała czas, by wszystko przemyśleć.

Wspominając szczęśliwą młodość w lesie, radosną noc bożonarodzeniową, westchnęła. Było, minęło, pomyślała. Należało się cieszyć świeżym powietrzem i ciepłym słonkiem, kiedy jeszcze był czas po temu!

Nakupowałam książek dla dzieci, takich prawdziwych. Czytywałam je Léonine na okrągło. Nie ma chyba takiej dziewczynki, której by czytano więcej opowieści. Stało się to rytuałem każdego dnia, nigdy nie zasnęła, dopóki nie wysłuchała bajki. Nawet w ciągu dnia biegała za mną z książeczką w ręce i bez przerwy powtarzała: „Bajka, bajka”. Brałam ją wtedy na kolana i otwierałyśmy razem książkę, a ona nieruchomiała zafascynowana słowami.

*

Zamknęłam *Regulamin tłoczni win* na stronie dwudziestej piątej. Schowałam go do szuflady, tak jak się chowa obietnicę. Odłożone wakacje. Otworzyłam go znowu, kiedy Léonine skończyła dwa latka. I już więcej nie zamknęłam. Jeszcze dzisiaj ciągle do niego zaglądam parę razy w roku. Wracam do tych postaci jak do członków rodziny. Doktora Wilbura Larcha traktuję jak ojca. Z sierocińca Saint Cloud’s w stanie Maine uczyniłam dom swego dzieciństwa.

Będący sierotą Homer Wells jest moim starszym bratem, a siostra Edna i siostra Angela to moje wyimaginowane ciocie.

Taki jest wybór króla sierot. Robi, co chce. Może też zdecydować, kim są jego rodzice.

Regulamin tłoczni win to książka, która mnie adoptowała. Nie wiem, dlaczego nie zrobiła tego nigdy żadna rodzina. Dlaczego byłam odsyłana od jednej rodziny zastępczej do drugiej. Czy moja biologiczna matka

upominała się od czasu do czasu o mnie, skoro nigdy nie zostałam adoptowana?

W roku 2003 wróciłam do Charleville-Mézières, żeby przejrzeć swoją teczkę dziecka urodzonego jako X. Tak jak się spodziewałam, była pusta. Żadnego listu, żadnej cennej rzeczy, żadnego zdjęcia, żadnych przeprosin. Do tej teczki mogła również zajrzeć moja matka, gdyby chciała. Włożyłam do środka swój egzemplarz *Regulaminu tłoczni win*.

---

[13] Dzień malucha. Metoda Boschera.

28

Nie ma takiej samotności, którą nie sposób się podzielić

Dziś rano pochowano Victora Benjamina (1937–2017).

Księdza Cédrica nie było. Victor Benjamin chciał mieć pogrzeb świecki. Jacques Lucchini ustawił koło grobu głośniki i bliscy żegnali zmarłego przy dźwiękach piosenki *Mon vieux*[14] Daniela Guicharda.

W swoim starym wytartym płaszczu chodził latem, chodził zimą, w zimne poranki, mój przyjaciel…

Żadnego krzyża ani kwiatów czy wieńców. Taka była prośba Victora. Tylko parę tabliczek złożonych przez przyjaciół i kolegów, żonę i dzieci. Jedno z dzieci Victora trzymało na smyczy ich psa. Uczestniczył w pogrzebie pana; usiadł, kiedy Daniel Guichard śpiewał:

Znaliśmy tę piosenkę z moim przyjacielem, było tu wszystko, burżuje, szefowie, lewica, prawica, a nawet sam Bóg.

Rodzina wracała do domu na piechotę i podążał za nią pies, który chyba przypadł do gustu Éliane. Szła za nimi kawałek, a potem zawróciła, by zwinąć się w kłębek w swoim koszyku. Zbyt wiekowa na chwilę miłości.

Kiedy wróciłam do siebie, naszła mnie straszna chandra. Nono to wyczuł. Poszedł kupić chrupiącą bagietkę i parę jaj od kur z wolnego

chowu i zrobiliśmy sobie przepyszny omlet z żółtym serem. W radiu znaleźliśmy jazz.

Na moim stole, na wierzchu sterty broszur reklamujących nasiona różnych odmian sałaty i cyprysów do rozsady, faktur za zakup roślin, katalogów Willem & Jardins, listonosz zostawił kopertę ze znaczkiem, na którym rozpoznałam zamek d'If. List nadano w Marsylii.

Violette Trenet-Toussaint
Cmentarz Brancion-en-Chalon (71)
Saona i Loara

Zaczekałam, aż Nono pójdzie, zanim go otworzyłam.

Żadnego *Droga Violette* ani *Szanowna Pani*. Julien Seul zaczynał list bez formuły grzecznościowej.

Notariusz otworzył adresowany do mnie list. Matka pewnie mi nie ufała. Chciała załatwić te sprawy „oficjalnie". Chciała, żeby to on odczytał mi jej ostatnią wolę, żebym nie mógł jej nie wykonać, tak sądzę.

Było w nim jedno życzenie. Żeby spocząć obok Gabriela Prudenta na Pani cmentarzu. Poprosiłem notariusza, żeby powtórzył mi nazwisko tego człowieka, którego nie znam. Gabriel Prudent.

Powiedziałem mu, że musiał się pomylić. Że mężem mojej matki był mój ojciec, Paul Seul, pochowany na cmentarzu Saint-Pierre w Marsylii. Notariusz powiedział, że nie ma błędu. Że taka jest ostatnia wola Irène Fayolle, urodzonej 27 kwietnia 1941 roku w Marsylii.

Wsiadłem do samochodu i wprowadziłem dane do GPS-u: Brancion-en-Chalon, droga na cmentarz, *bo cmentarz nie figurował w wyświetlonym spisie. Trzysta dziewięćdziesiąt siedem kilometrów.*

Trzeba było jechać na północ Francji, prostą drogą. Żadnych objazdów, autostrada aż do Mâcon. Zjazd na wysokości Sancé i dziesięć kilometrów lokalnymi drogami. Czego też moja matka mogła tam szukać?

Przez resztę dnia usiłowałem pracować; na próżno. Ruszyłem w drogę koło dziewiątej wieczorem. Jechałem przez parę godzin. Zrobiłem postój na wysokości Lyonu, żeby napić się kawy, zatankować i wpisać Gabriel Prudent *w przeglądarce. Jedyną rzeczą, jaką znalazłem, była definicja słowa „prudence" w Wikipedii:* Ostrożność wynikająca z obawy przed podejmowaniem ryzyka, niebezpieczeństwem.

Kiedy tak jechałem do tego człowieka, umarłego i pochowanego, próbowałem wspominać matkę, chwile spędzone z nią w ostatnich latach. Parę niedzielnych obiadów, od czasu do czasu wspólna kawa, w mieszkaniu przy rue Paradis, kiedy odwiedzałem jej dzielnicę. Komentowała bieżące wydarzenia, nigdy mnie nie pytała, czy jestem szczęśliwy. Ja też nigdy jej nie pytałem, czy jest szczęśliwa. Wypytywała mnie o sprawy zawodowe. Chyba była rozczarowana moimi odpowiedziami; spodziewała się krwi i opowieści o zbrodniach w afekcie, a ja jej opowiadałem wyłącznie o sprawach związanych z handlem narkotykami, ohydnych zbrodniach i rozbojach. Kiedy zbierałem się do wyjazdu, całowała mnie w korytarzu i zawsze mówiła: „Tylko uważaj na siebie". Miała wtedy na myśli moją pracę.

Próbowałem sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wyjawiła mi coś ze swojego życia prywatnego – nic. Nie znalazłem najmniejszego śladu tego człowieka w swoich wspomnieniach, ani cienia.

Przyjechałem do Brancion-en-Chalon o drugiej w nocy. Zaparkowałem przed zamkniętym cmentarzem i usnąłem. Miałem

koszmary. Zmarzłem. Uruchomiłem silnik, żeby się rozgrzać. Znowu usnąłem. Otworzyłem oczy koło siódmej.

Zobaczyłem światło w Pani domu. Zapukałem do drzwi. Zupełnie się Pani nie spodziewałem. Kiedy pukałem do drzwi dozorcy cmentarnego, spodziewałem się zobaczyć gderliwego starca o przekrwionej twarzy. Wiem, uprzedzenia są idiotyczne. Ale kto by mógł się Pani spodziewać? Tego przejmującego, zalęknionego, ciepłego i nieufnego spojrzenia?

Wpuściła mnie Pani do środka i poczęstowała kawą. Dobrze się u Pani czułem, ładnie pachniało, i Pani ładnie pachniała. Miała Pani na sobie szary szlafrok, taki jakie noszą starsze damy, a wokół roztaczała Pani aurę młodości. Trudno mi to nazwać. Była to pewna energia, coś, czego czas nie zdążył jeszcze zrujnować. Można by powiedzieć, że w tym szlafroku wyglądała Pani jak w przebraniu. Tak, można by powiedzieć: dziecko przebrane w strój dorosłego.

Włosy miała Pani upięte w kok. Nie wiem, czy to skutek wstrząsu przeżytego u notariusza, jazda nocą, czy zmęczenie, ale wydała mi się Pani niewiarygodnie nierealna. Trochę jak zjawa, duch…

Na Pani widok poczułem, że po raz pierwszy matka dzieli się ze mną swoim równoległym życiem, że sprowadziła mnie tu, gdzie tak naprawdę można go doświadczyć.

No a potem wyjęła Pani te swoje rejestry z pochówkami. I w tej właśnie chwili zrozumiałem, że jest Pani kimś osobliwym. Że są kobiety niepodobne do żadnej innej. Że nie jest Pani niczyją kopią, jest Pani kimś.

W czasie kiedy Pani się szykowała, wróciłem do samochodu, uruchomiłem silnik i zamknąłem oczy. Nie mogłem usnąć. Widziałem Panią za tymi drzwiami. Otworzyła je Pani dla mnie na całą godzinę.

Czułem się, jakbym oglądał w kółko ten sam odcinek serialu, żeby znów usłyszeć muzykę z dopiero co minionej sceny.

Kiedy wysiadłem z samochodu i zobaczyłem Panią w tym długim granatowym płaszczu, czekającą na mnie przy bramie, pomyślałem: Muszę się dowiedzieć, skąd ona jest i co tu robi.

Potem zaprowadziła mnie Pani na grób Gabriela Prudenta. Szła Pani wyprostowana, widziałem Pani piękny profil. Za każdym razem, gdy stawiała Pani krok, domyślałem się pod Pani płaszczem czerwieni. Domyśliłem się skrywanego sekretu. I znowu sobie pomyślałem: Muszę się dowiedzieć, skąd ona jest i co tu robi. Powinienem był być smutny tego październikowego poranka na Pani ponurym, zimnym cmentarzu, ale czułem coś zupełnie odwrotnego.

Przed grobem Gabriela Prudenta wyglądałem w swoich własnych oczach na człowieka, który w dniu ślubu zakochuje się w kobiecie zaproszonej na tę uroczystość.

Podczas drugiej wizyty długo Panią obserwowałem. Czyściła Pani portrety zmarłych na grobach, rozmawiając z nimi. I po raz trzeci pomyślałem: Muszę się dowiedzieć, skąd ona jest i co tu robi.

Nie potrzebowałem wypytywać Pani Bréant, właścicielki pokoju gościnnego; powiedziała mi, że mieszka Pani sama, że Pani mąż „odszedł”. Sądziłem, że „odszedł” znaczy „zmarł”. I, przyznaję, poczułem wtedy radość. Smętną radość na myśl: Ona jest sama. Kiedy pani Bréant uściśliła, że Pani mąż zniknął z dnia na dzień dwadzieścia lat temu, poczułem obawę, że może wrócić. Że ten stan nierealności, w jakim Panią zastałem, stojącą za drzwiami, w czasie pierwszej wizyty, być może wynika właśnie z tego. Z tych godzin życia w zawieszeniu, w których zniknięcie męża zamknęło Panią pomiędzy jednym życiem a drugim. Pomyślałem, że to tak, jakby od lat siedziała Pani

w poczekalni, gdzie nikt nigdy po Panią nie przychodzi, nikt nie wypowiada Pani nazwiska. Tak jakby Toussaint i Trenet odbijali między sobą piłeczkę. Stąd też zapewne to uczucie maskarady, Pani młodość przebrana w szary szlafrok.

Chciałem się dowiedzieć dla Pani. Chciałem uwolnić księżniczkę. Zabawić się w bohatera z bajek. Zdjąć ten granatowy płaszcz i zobaczyć panią w czerwonej sukni. Czy odkrywając Pani tajemnice, próbowałem wypełnić brak, który stworzyło we mnie to, czego nie wiedziałem o własnej matce, a więc o swoim życiu? Bez wątpienia. Włamałem się do Pani prywatnego życia, żeby moje wydało mi się lżejsze. I za to Panią przepraszam.

Przepraszam.

W jeden dzień dowiedziałem się tego, o czym zdawała się Pani nie wiedzieć od dwudziestu lat. Nie było trudno dostać kopię zgłoszenia złożonego przez Panią w żandarmerii. Doczytałem się w notatkach brygadiera, który Panią przyjął w 1998 roku, że Pani mąż znikał regularnie. Że nierzadko zdarzało mu się wyjechać na parę dni, a nawet kilka tygodni i nie informował Pani o tym, gdzie przebywa w czasie tych okresów nieobecności. Nie podjęto żadnych poszukiwań. Jego zniknięcie nie zostało uznane za niepokojące. Profil psychologiczny oraz stan zdrowia pozwalały domniemywać, że wyjechał z własnej woli. Odkryłem, że to zniknięcie nie jest niczym więcej jak legendą. Legendą Pani i mieszkańców Brancion.

Dorosła osoba ma prawo podjąć decyzję, że nie będzie kontaktować się ze swoimi bliskimi, a jeśli jej adres zostanie znaleziony, nie powinno się go nikomu ujawniać bez jej zgody. Nie mam prawa przekazać Pani danych Philippe'a Toussainta, ale udzielam go sobie. Pani sama mi

powiedziała: „Gdyby tak robić tylko to, co należy, życie byłoby smutne”.

Zrobi Pani z tym adresem, co zechce. Zapisałem go i włożyłem do załączonej koperty. Proszę ją otworzyć, jeśli takie będzie Pani życzenie.

Oddany

Julien Seul

To pierwszy list miłosny, jaki dostałam w życiu. Dziwny jak na list miłosny, ale mimo wszystko list miłosny. Matce napisał ledwie parę linijek. Parę słów, które przyszły mu, zdaje się, z wielkim trudem. A do mnie pisze całe strony. Zdecydowanie łatwiej powiedzieć, co człowiekowi leży na sercu, komuś, kogo się zupełnie nie zna, niż w czasie rodzinnego spotkania.

Przyglądam się dołączonej i zaklejonej kopercie, która zawiera adres Philippe’a Toussainta. Wsuwam ją do „Roses Magazine”. Jeszcze nie wiem, co z nim zrobię. Zostawię w tej zamkniętej kopercie, wyrzucę kopertę czy ją otworzę. Philippe Toussaint mieszka sto kilometrów od mojego cmentarza, nie mogę w to uwierzyć. Wyobrażałam go sobie za granicą, na końcu świata. Świata, który już od bardzo dawna przestał być moim światem.

---

[14] *Mon vieux* (fr.) – mój przyjaciel.

29

Liście spadają, pory roku mijają, tylko wspomnienie trwa wiecznie

Philippe Toussaint poślubił mnie trzeciego września 1989 roku, w dniu, kiedy Léonine skończyła trzy latka. Nie poprosił mnie o rękę, uklęknąwszy przede mną i takie tam. Któregoś wieczoru, po zwyczajowym „Jadę się przejechać” dorzucił: „Dobrze byłoby dla małej, jakbyśmy się pobrali”. Koniec kropka.

Parę tygodni później spytał mnie, czy zadzwoniłam do merostwa, żeby ustalić datę. Dokładnie tak powiedział: „ustalić datę”. „Ustalić” nie wchodziło w zakres jego słownictwa. Dlatego też zrozumiałam, że tylko powtórzył zdanie, które mu podpowiedziano. Philippe Toussaint poślubił mnie, bo tak chciała jego matka. Żebym nie mogła dostać opieki nad dzieckiem, gdybyśmy się rozstali. Ani ulotnić się z dnia na dzień bez śladu, tak jak to robią „takie dziewczyny”. Tak, dla matki Toussainta zawsze będę „tą”, „nią”, „tą dziewczyną”. Nigdy nie będę mieć imienia. Tak jak ona nigdy dla mnie nie będzie Chantal.

Po południu w dniu ślubu załatwiliśmy sobie zastępstwo przy szlabanie, po raz pierwszy, odkąd przyjechaliśmy do Malgrange-sur-Nancy. Urlop braliśmy jedno po drugim, zawsze któreś z nas zostawało na przejeździe.

Philippe Toussaint był zadowolony z takiego stanu rzeczy, bo w ten sposób nigdy nie mogliśmy wyjechać na wakacje. A w czasie swojego urlopu, jako że on nie zmieniał przyzwyczajeń, pracowałam.

Merostwo znajdowało się trzysta metrów od naszego przejazdu kolejowego, przy Grand-Rue. Poszliśmy tam na piechotę: Philippe Toussaint, jego rodzice, Stéphanie – kasjerka z Casino – Léonine i ja. Matka Toussainta była świadkową syna, Stéphanie moją.

Od urodzenia Léo rodzice Toussainta odwiedzali nas dwa razy w roku. Kiedy parkowali swoje wielkie auto, nasz malutki domek znikał. Ich dobrobyt przesłaniał nasze ubóstwo. Nie byliśmy biedni, ale też nie byliśmy bogaci. Przynajmniej razem. Z upływem lat dowiedziałam się, że Philippe Toussaint miał dużo pieniędzy, ale były zdeponowane na osobnym koncie i jego matka miała wszelkie pełnomocnictwa. Pobraliśmy się, ale zachowaliśmy oczywiście rozdzielność majątkową. I nie wzięliśmy ślubu kościelnego, ku wielkiej rozpaczy ojca. Ale Philippe Toussaint nie chciał iść na ustępstwa.

Jego matka dzwoniła do nas regularnie, na ogół w złych momentach: w czasie kąpania małej, kiedy siadaliśmy do stołu, gdy trzeba było wyjść z domu, żeby opuścić szlaban, a Léo właśnie siedziała w wannie. Dzwoniła parę razy dziennie, usiłując złapać syna, którego często nie było, bo wychodził, żeby „się przejechać”. To ja zwykle podnosiłam słuchawkę i słyszałam jej oddech i zdenerwowany głos, jakby ktoś strzelał z bata: „Proszę zawołać Philippe’a”. Nie ma czasu. Zbyt zajęta. Kiedy zdołała wreszcie dodzwonić się do syna i rozmowa w końcu schodziła na mnie, Philippe Toussaint wychodził z pokoju. Słyszałam, jak ścisza głos, jakbym była wrogiem, jakby nie można mi było ufać. Co też on mógł o mnie opowiadać? Jeszcze dzisiaj zastanawiam się czasem, co mógł mówić matce. Jak mnie postrzegał? Czy w ogóle mnie dostrzegał? Byłam tą, która go

żywiła, pracowała za niego, prała, malowała ściany, wychowywała jego córkę. Czy wymyślił sobie jakąś inną Violette Trenet? Przypisywał mi jej przyzwyczajenia? Manie? Czy każda z jego kochanek służyła mu do tego, żeby mówić tylko o jednej kobiecie, swojej żonie? Czy brał trochę z jednej, trochę z drugiej, trochę z jednej i drugiej, żeby mnie na nowo stworzyć?

Ślubu udzielił nam zastępca zastępcy mera, który przeczytał trzy zdania z Kodeksu cywilnego. Kiedy wymawiał słowa „Ślubuję ci wierność i że cię nie opuszczę aż do śmierci”, pociąg przejeżdżający o godzinie czternastej zero siedem zagłuszył jego głos, a Léonine krzyknęła: „Mamo, pociąg!”. Nie zrozumiała, dlaczego nie wychodzę, by opuścić szlaban. Philippe Toussaint powiedział „Tak”. Ja powiedziałam „Tak”. Pochylił się w moją stronę, żeby mnie pocałować. Zastępca zastępcy mera, zakładając już marynarkę, bo oczekiwany był gdzie indziej, powiedział: „Ogłaszam, że zostaliście połączeni związkiem małżeńskim”. Widocznie kiedy panna młoda nie jest ubrana na biało, zastępcy zastępców ograniczają swoje zawodowe obowiązki do minimum… Z całego tego związku zostało mi jedynie zrobione przez Stéphanie zdjęcie. Philippe Toussaint i ja wyglądaliśmy ładnie.

Poszliśmy wszyscy na obiad do Gino, pizzerii prowadzonej przez Alzatczyków, którzy nigdy nie byli we Włoszech. Léonine zdmuchnęła trzy świeczki między jedną salwą śmiechu a drugą. W oczach miała ogniki. Ten jej rozanielony wyraz twarzy na widok ogromnego tortu urodzinowego, który dla niej zamówiłam! Jeszcze dzisiaj na zawołanie mogę przywołać te obrazy, zapachy i smaki, jakby to wszystko wydarzyło się wczoraj. Widzę córeczkę i jej loki, zupełnie jak u ojca.

Léo sprawiła, że stałam się kochającą matką. Ciągle nosiłam ją na rękach. Philippe Toussaint często mi mówił: „Nie możesz choć na chwilę zostawić tego dziecka?”.

Pomieszały nam się prezenty ze ślubu i urodzinowe, otwierałyśmy je z Léonine na chybił trafił. Było sporo zabawy. Ja w każdym razie się bawiłam. Nie byłam ubrana na biało w dniu ślubu, ale – dzięki uśmiechowi Léo – miałam na sobie najpiękniejszą suknię, tę utkaną z dzieciństwa mojej córki.

W paczkach z prezentami były lalka, komplet garnków kuchennych, plastelina, książka kucharska, kredki, roczny abonament France Loisirs[15], strój księżniczki i czarodziejska różdżka.

Pożyczyłam od Léo czarodziejską różdżkę i zwróciłam się do wąskiego grona zebranych, którzy z nosami w talerzach pałaszowali danie główne: „Niech czarodziejka Léonine pobłogosławi to małżeństwo”. Nikt mnie nie usłyszał, z wyjątkiem Léo, która wybuchnęła śmiechem i wyciągnęła rączkę po swoją czarodziejską różdżkę, wołając: „Teraz ja, teraz ja, teraz ja!”.

---

[15] France Loisirs – klub książki działający na zasadzie abonamentu.

30

U brzegu tej rzeki, gdzieżeś kochał marzyć, rybki srebrne tak lekko śmigały, zachowaj nasze wspomnienia, co nie mogą umrzeć

Sporo ludzi mam u siebie dziś rano. Nono bawi księdza Cédrica i trzech apostołów swoimi opowieściami. Rzadko się zdarza widzieć razem wszystkich trzech braci Lucchinich. Zawsze jeden z nich obsługuje klientów w zakładzie, ale od dziesięciu dni nikt nie umarł.

My Way śpi zwinięty w kłębek na kolanach u Elvisa, który – jak zwykle – wygląda przez okno, podśpiewując.

Nono bawi całe towarzystwo:

– A jak się pompowało wodę, czasami otwierało się dół mogilny czy grobowiec, a tam pełno wody, aż po same brzegi. Wkładało się wąż do środka, żeby ją wypompować. O, ale taki wąż!

Nono gestykuluje, żeby zobrazować przekrój węża.

– Jak się uruchamiało pompę, to trzeba było ten wąż trzymać! No ale ten cały Gaston zostawił wąż w alejce… ot tak, zwyczajnie, na ziemi… wąż napęczniał no i, CHLUST, wszędzie pełno wody! Strumień wystrzelił jak z armaty, no i Gaston i Elvis trafili tą wodą w jakąś panią! Przemoczyli ją od stóp do głów! Calusieńką! Wszystko poleciało! Okulary, treska i torebka

z krokodylej skóry! Trzeba to było widzieć! Pierwszy raz od trzech lat przyszła odwiedzić nieboszczyka męża, no i już nigdy więcej się nie pokazała!

Elvis odwraca się, śpiewając: *With the rain in my shoes, rain in my shoes, searchin' for you*[16].

– Pamiętam! Byłem przy tym! Ale się uśmiałem, ożeż ty! – zabrał głos Pierre Lucchini. – To była żona jakiegoś majstra! Taka nieprzystępna, co to się śmieje, jak się sparzy. Sztywna jak tyka. Mąż za życia nazywał ją Mary Poppins, bo marzyło mu się, żeby zniknęła, a ona nigdy nie zniknęła, zawsze ją miał na głowie.

– Każdy pogrzeb jest inny – powiedział Nono.

– *Jak zachód słońca nad brzegiem morza* – zanucił Elvis.

– A ty byłeś już nad morzem? – zapytał Nono.

Elvis odwraca się, by wyjrzeć na zewnątrz.

– Ja – wtrącił się Jacques Lucchini – widywałem już takie pogrzeby, gdzie był tłum ludzi, no i takie, gdzie było pięć, sześć osób. No ale, jak mówię, i tak trzeba pochować… Choć co prawda, to prawda, bywało, że w czasie pogrzebów dochodziło do pyskówek, kłócili się nad trumną o spadek… Najgorsze, co widziałem, to dwie baby, które trzeba było rozdzielać, bo się wzięły za łby… Dwie rozhisteryzowane wariatki… A i mojemu ojcu, pokój jego duszy, się tego dnia dostało… „Dlaczegoś to wzięła, ty złodziejko, po co ci to!?", wydzierały się. Wyzywały się… że aż wstyd.

– Na pogrzebie… a to dopiero… – skomentował Nono.

– To było przed panią, Violette – dorzuca Jacques Lucchini. – Za czasów dawnego dozorcy, Sashy.

Gdy usłyszałam to imię, aż przysiadłam. Od lat nikt nie wypowiedział go przy mnie głośno.

– A co się z tym Sashą stało? – zastanawia się Paul Lucchini. – Ktoś coś wie?

Nono zareagował od razu, zmieniając temat rozmowy.

– Jakieś dziesięć lat temu odkupiony został bardzo stary grób… Trzeba było uprzątnąć wszystko, co tam było. No to uprzątnęliśmy, włożyliśmy wszystko do pojemników na gruz, chociaż zazwyczaj to się takie rzeczy daje ludziom, jak chcą. Ale to było naprawdę bardzo stare, syf, kiła, mogiła… Znalazłem starą tabliczkę nagrobną z napisem: *Moim drogim nieobecnym*. No to wrzuciłem do pojemnika. I co widzę: jakaś damulka, schludnie bardzo ubrana… nie powiem, jak się nazywa, przez szacunek, bo to miła, dzielna kobieta… sięga po tę tablicę z napisem *Moim drogim nieobecnym* do tego pojemnika i ładuje do plastikowej torby. No to mówię: „I co też pani z tym zrobi?”. A ona mi na to z miejsca: „Mąż nie ma jaj, to mu zrobię prezent!”.

Mężczyźni tak głośno rechoczą, że My Way wystraszył się i czmychnął na górę do mojej sypialni.

– A gdzie w tym wszystkim Bóg? – zapytał ksiądz Cédric. – Czy ci ludzie wierzą w Boga?

Po chwili wahania Nono odpowiedział:

– Są tacy, co zaczynają wierzyć w dniu, w którym Bóg uwalnia ich od idiotów. Widywałem już rozanielone wdówki i szczęśliwych wdowców i mogę księdzu powiedzieć, że w takich przypadkach to Bóg zbiera same podziękowania, proszę księdza… No dobra, żartowałem, proszę nie robić takiej miny. Ten księdza Bóg niejednemu już przyniósł ulgę. Sprawa jest prosta, jakby Go nie było, trzeba by Go było wymyślić.

Ksiądz Cédric uśmiecha się do Nona.

– W naszym fachu wszystko można zobaczyć – podjął Paul Lucchini. – Nieszczęście, szczęście, wierzących, upływ czasu, to, na co trudno

przychodzi patrzeć, niesprawiedliwość, to, co nie do zniesienia… No cóż, samo życie. W gruncie rzeczy to my, pracownicy zakładów pogrzebowych, tkwimy w samym środku życia. Może jeszcze bardziej niż ludzie w jakimkolwiek innym zawodzie. Bo do nas zwracają się ci, co zostają, pozostają przy życiu… Nasz ojciec, pokój jego duszy, zawsze mówił: „Synowie moi, my jesteśmy akuszerami śmierci. Towarzyszymy jej narodzinom, więc korzystajcie z życia i na nie zasługujcie”.

---

[16] Z deszczem w butach szukam ciebie, deszcz w moich butach, a ja szukam ciebie.

31

Dwoje nas było do kochania, opłakuję Cię sama

Motocykl Philippe’a Toussainta nie powiózł go daleko od Brancion. Mieszka dokładnie sto kilometrów od mojego cmentarza. Zmienił tylko departament.

Stawiałam sobie mnóstwo pytań: Co sprawiło, że zasiedział się w tym drugim życiu i w nim pozostał? Czy coś się w nim popsuło, czy się zakochał? Dlaczego mnie nie uprzedził? Dlaczego nie napisał do mnie listu, że mnie zwalnia, dymisjonuje, porzuca? Co się stało w dniu, kiedy odjechał? Czy wiedział, że nie wróci? Czy powiedziałam coś nie tak? Czy też, wprost przeciwnie, nie powiedziałam niczego? Pod koniec nie mówiłam już wiele. Przygotowywałam posiłki.

Nie spakował torby podróżnej. Niczego nie zabrał. Żadnego ubrania, bibelotu, żadnego zdjęcia naszej córki.

Początkowo sądziłam, że trudno mu zostawić łóżko innej kobiety. Kobiety, która mówi.

Po miesiącu pomyślałam, że miał wypadek. Po dwóch miesiącach zgłosiłam jego zniknięcie. Skąd mogłam wiedzieć, że Philippe Toussaint wyjął wszystkie pieniądze z kont bankowych? Przecież nie miałam do nich wglądu. To matka była jego pełnomocniczką we wszystkim.

Po sześciu miesiącach, kiedy już się przyzwyczaiłam do jego nieobecności i złapałam oddech, zaczęłam się bać, że wróci. Jakbym przedtem długo była pod wodą, na dnie basenu. Jego wyjazd pozwolił mi odepchnąć się od dna i wypłynąć na wierzch, złapać oddech.

Po roku powiedziałam sobie: Jak wróci, to go zabiję.

Po dwóch latach powiedziałam sobie: Jak wróci, nie dam mu wrócić.

Po trzech latach: Jak wróci, zadzwonię na policję.

Po czterech latach: Jak wróci, wezwę Nona.

Po pięciu latach: Jak wróci, wezwę braci Lucchinich.

A dokładniej Paula, który jest tanatopraktykiem.

Po sześciu latach: Jak wróci, zadam mu parę pytań, a potem go zabiję.

Po siedmiu latach: Jak wróci, sama odejdę.

Po ośmiu latach: Nie wróci.

*

Odwiedziłam kancelarię Rouaulta, notariusza w Brancion. Chciałam, żeby wysłał list do Philippe’a Toussainta. Powiedział mi, że nie może niczego zrobić. Że muszę się zwrócić do adwokata od prawa rodzinnego i że na takie przypadki jest specjalna procedura.

Znam dobrze notariusza Rouaulta, więc pozwoliłam sobie poprosić go, żeby zrobił to za mnie. Żeby zadzwonił do jakiegoś znajomego adwokata i napisał ten list za mnie, żebym nie musiała niczego wyjaśniać, uzasadniać, o nic prosić czy czegokolwiek nakazywać. Wystarczy powiadomić Philippe’a Toussainta, że chcę powrócić do panieńskiego nazwiska, Trenet. Powiedziałam notariuszowi Rouaultowi, że nie zamierzam domagać się alimentów czy czegoś w tym rodzaju, że tu chodzi o zwykłą formalność. Notariusz Rouault zaczął mi mówić o „świadczeniu kompensacyjnym za porzucenie gospodarstwa domowego”. „Nie”, odparłam.

Nie chcę niczego.

Notariusz Rouault powiedział mi, że na stare lata to mogłoby być dla mnie lepsze, wygodniejsze. Stare lata to ja spędzę na moim cmentarzu. Nie będę potrzebować żadnych wygód prócz tego, co już mam. Nalegał.

– Wie pani, droga Violette, może któregoś dnia nie będzie już pani w stanie dalej pracować, trzeba będzie przejść na emeryturę, odpocząć – powiedział.

– Nie, nic.

– Dobrze, zajmę się wszystkim.

Zanotował adres Philippe'a Toussainta, ten, który przysłał mi Julien Seul w zaklejonej kopercie – w końcu ją otworzyłam.

Philippe Toussaint c/o Françoise Pelletier
avenue Franklin-Roosevelt 13
69500 Bron

– Pozwoli pani, że spytam, jak go pani odnalazła? Sądziłem, że pani mąż zaginął. Przez tyle czasu musiał przecież gdzieś pracować, mieć ubezpieczenie społeczne!

To prawda. Merostwo przestało wypłacać mu wynagrodzenie jako dozorcy cmentarnemu parę miesięcy po jego zniknięciu. O tym również dowiedziałam się dopiero dużo później. Rodzice Toussainta dostawali jego rozliczenia i składali za niego oświadczenia podatkowe. Jako dozorcy nigdy nie płaciliśmy czynszu ani rachunków. Z mojej pensji pokrywałam wszystkie codzienne wydatki. Philippe Toussaint mówił: „Dzięki mnie masz dach nad głową, ogrzewanie, światło, a w zamian za to ty mnie utrzymujesz".

Z wyjątkiem opłat za naprawy motocykla przez wszystkie lata naszego wspólnego życia nigdy nie sięgał po pieniądze z wynagrodzenia. To zawsze ja kupowałam ubrania jemu i Léonine.

– Jest pani pewna, że to on? Toussaint to popularne nazwisko. Może to po prostu ktoś o takim samym nazwisku? Albo ktoś, kto jest do niego podobny?

Wyjaśniłam notariuszowi Rouaultowi, że zawsze można się pomylić, ale nie wówczas, kiedy się widzi człowieka, z którym dzieliło się tyle lat wspólnego życia. Że nawet jakby wypadły mu włosy i przytył, nigdy nie pomyliłabym Philippe’a Toussainta z kimś innym.

Powiedziałam notariuszowi Rouaultowi o komisarzu Julienie Seulu, który naprawdę nazywa się Julien Seul, i o tym, jak zjawił się na moim cmentarzu, o prochach jego matki, o Gabrielu Prudencie, dochodzeniu, które komisarz przeprowadził w sprawie Philippe’a Toussainta, nie pytając mnie o pozwolenie, i że zrobił to z powodu mojej czerwonej sukni, która wystawała spod płaszcza, i o powrocie do świata żywych Philippe’a Toussainta, który mieszka ledwie sto kilometrów od mojego cmentarza. Że pożyczyłam samochód od Nona – „Norbert Jolivet, grabarz”, uściśliłam – że pojechałam do Bron, zaparkowałam w pobliżu numeru trzynastego na avenue Franklin-Roosevelt, że pod trzynastką stoi dom całkiem podobny do tego, w którym mieszkałam w Malgrange-sur-Nancy, kiedy byłam dróżniczką na wschodzie Francji, ale że ma ładne zasłonki w oknach, dodatkowe piętro i dębowe dubeltowe okna. Że na wprost jest piwiarnia Carnot. Że wypiłam trzy kawy, kiedy czekałam. Sama nie wiem na co. No i że potem go zobaczyłam, jak przechodzi przez ulicę.

Był w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Uśmiechali się do siebie. Szli w moją stronę. Weszli do piwiarni. Spuściłam głowę.

Musiałam przylgnąć do kontuaru, kiedy Philippe Toussaint za mną przechodził. Rozpoznałam jego zapach, który jest szczególny, mieszanka Pour un Homme Carona i perfum innych kobiet. Zawsze nosił na sobie ich woń niczym odór znienawidzonego ubrania. Zapach dawnych kochanek, który się do niego przykleił niczym złe wspomnienie i który tylko ja rozpoznawałam. Nawet po tylu latach.

Obaj zamówili danie dnia. Widziałam, jak je obiad, w lustrze, które wisiało na wprost mnie. Powiedziałam sobie, że wszystko jest możliwe, że się uśmiecha i że każdy może sobie od nowa urządzić życie, że ani Léonine, ani ja od dawna nie mamy od niego żadnych wiadomości i że nikt w jego obecnym życiu o tym nie wie. Że każdy może zniknąć z jednego życia i pojawić się w drugim. Tu czy gdzie indziej, każdy jest w stanie się odbudować, zacząć wszystko na nowo. Każdy może być Philippe'em Toussaintem, który wyszedł się przejechać i nie wrócił.

Philippe Toussaint przytył, ale śmiał się pełną gębą. Nigdy nie widziałam, żeby tak się śmiał w czasach, kiedy żyliśmy razem. W jego spojrzeniu nadal nie było ciekawości. Mieszkał przy avenue Franklin-Roosevelt i wiedziałam, że nawet w tej teraźniejszości, w której uśmiecha się szczerzej niż przedtem, nie wie, kim był Roosevelt, że chociaż zmienił życie, to gdyby w tym życiu ktoś go zapytał o Franklina Roosevelta, odparłby: „Tak się nazywa moja ulica".

Przylgnąwszy do kontuaru, zrozumiałam, że mam wielkie szczęście, że wyjechał i nigdy więcej nie wrócił. Ani drgnęłam. Nie odwróciłam się. Stałam do niego plecami. Widziałam tylko jego uśmiechnięte odbicie w lustrze.

Kelner mówił do niego „panie Pelletier", ale ten, którego wzięłam za jego przyjaciela, dwukrotnie powiedział do niego „szefie", a potem kelner

spytał: „Robimy jak zawsze? Zapisać wszystko na rachunek, panie Pelletier?”. A Philippe Toussaint odpowiedział: „Tak”.

Poszłam za nim ulicą. Szli obok siebie. Weszli do warsztatu samochodowego Pelletier usytuowanego w odległości dwustu metrów od piwiarni.

Schowałam się za samochodem, który wyglądał równie mizernie jak ja wtedy, kiedy Philippe Toussaint zniknął. Zepsuty, poobijany, porysowany, stał zaparkowany bokiem, zastanawiając się, co też z nim zrobią. Na pewno parę części z silnika było do odzyskania. Resztki paliwa pod pływakiem. Wystarczy, żeby ruszyć. Zakończyć podróż.

Philippe Toussaint skierował się w stronę biura za przeszklonymi ścianami. Rozmawiał przez telefon. Wyglądał na szefa. Ale kiedy dziesięć minut później pojawiła się Françoise Pelletier, wyglądał na męża szefowej. Spojrzał na nią z uśmiechem. Spojrzał na nią z miłością. Spojrzał na nią.

Odeszłam.

Wróciłam do samochodu Nona. Pod wycieraczkę wsunięto mandat – sto trzydzieści pięć euro – bo zaparkowałam w złym miejscu.

– Oto historia mojego życia – powiedziałam z uśmiechem notariuszowi.

Notariusz Rouault przez parę sekund nie mógł wydusić z siebie słowa.

– Droga Violette, wszystko już widziałem w swoim zawodzie notariusza. Stryjów, którzy podają się za synów, siostry, które się siebie wypierają, fałszywe wdowy, fałszywych wdowców, fałszywe dzieci, fałszywych rodziców, fałszywe aresztowania, sfałszowane testamenty, ale nigdy jeszcze nie opowiedziano mi podobnej historii.

Po tych słowach odprowadził mnie do wyjścia.

Zanim wyszłam z kancelarii, obiecał mi, że wszystkim się zajmie. Adwokatem, listem, formalnościami rozwodowymi.

Notariusz Rouault jest mi życzliwy, bo za każdym razem, kiedy zapowiadają przymrozek, zadaję sobie ten trud, żeby przykryć pochodzące z Afryki kwiaty, które posadził na grobie żony, Marie Rouault, z domu Dardenne (1949–1999).

32

Przyjaciele mili, jak umrę, posadźcie wierzbę na cmentarzu. Lubię jej płaczące listowie. Jej jasny kolor jest mi bliski i drogi, cień zaś lekko kłaść się będzie na ziemi, gdzie spać będę

W kwietniu kładę larwy biedronek na moich krzewach różanych, a także tych rosnących na grobach zmarłych, żeby zwalczać mszyce. Sama rozkładam małym pędzelkiem te larwy, jedną po drugiej, na roślinach. To tak jakbym na wiosnę odmalowywała cmentarz. Jakbym stawiała schody łączące ziemię z niebem. Nie wierzę ani w duchy, ani w zjawy, ale wierzę w biedronki.

Mam pewność, że kiedy biedronka na mnie siada, to jakaś dusza daje mi znak. Kiedy byłam dzieckiem, wyobrażałam sobie, że ojciec przychodzi do mnie w odwiedziny. Że matka mnie porzuciła, bo on umarł. A ponieważ była to historia, którą opowiadałam sobie samej dla przyjemności, na pocieszenie, w mojej wyobraźni ojciec był podobny do Roberta Conrada, bohatera *Bardzo dzikiego Zachodu*. Był piękny, silny, czuły i ubóstwiał mnie tam, w niebie. I zapewniał mi stamtąd ochronę.

Wyobrażałam sobie swojego anioła stróża. Tego, który się spóźnił w dniu moich urodzin. No a potem wyrosłam. I zrozumiałam, że mój anioł

stróż nigdy nie będzie miał umowy na czas nieokreślony. Że często będzie chodził się rejestrować do pośredniaka i jak śpiewa Brel, będzie się upijał „noc w noc tanim winem”. Mój Robert Conrad źle się zestarzał.

Z tym rozkładaniem larw biedronek, jedna po drugiej, schodzi mi z dziesięć dni, jeżeli zajmuję się tylko tym. Jeśli nie ma w tym czasie pogrzebu. Umieszczanie ich na krzakach róż sprawia, że czuję się tak, jakbym otwierała bramy słońcu, pozwalała mu wejść na mój cmentarz. To jakby zezwolenie. Przepustka. Co nikomu nie przeszkadza umrzeć w kwietniu czy mnie wtedy odwiedzić.

I znów nie usłyszałam, jak przyszedł. Stoi za mną. Julien Seul. Nieruchomo, obserwuje mnie. Od jak dawna już tu jest? Przyciska do piersi urnę z prochami matki. Oczy mu błyszczą jak czarny marmur pokryty szronem, kiedy zimowe słońce lekko się w nim odbija. Odjęło mi mowę.

Jego widok działa na mnie podobnie jak szafy: czarna wełniana suknia nałożona na różową jedwabną halkę. Nie uśmiechnęłam się do niego, serce wali mi jak dziecku, kiedy, spóźnione, staje przed drzwiami ulubionej ciastkarni.

– Wróciłem powiedzieć pani, dlaczego matka chciała spocząć w grobie Gabriela Prudenta.

– Przyzwyczaiłam się do znikających mężczyzn.

To jedyne, co byłam w stanie z siebie wydusić.

– Zechce mnie pani odprowadzić?

Kładę delikatnie pędzelek na pomniku rodziny Monfortów i ruszam w stronę grobu Gabriela Prudenta.

Julien Seul podąża za mną.

– Nie mam najmniejszego zmysłu orientacji, więc na cmentarzu… – odzywa się po chwili.

Idziemy obok siebie w milczeniu w kierunku alejki numer dziewiętnaście. Kiedy dochodzimy do grobu Gabriela Prudenta, Julien Seul stawia urnę i przesuwa ją kilkakrotnie, jakby źle stała, jakby próbował znaleźć odpowiednie miejsce dla elementu układanki. W końcu umieszcza ją przy steli, w cieniu.

– Skoro matka zawsze wolała cień od słońca…

– Chce pan odczytać swoją przemowę? Woli pan zostać sam?

– Nie, wolałbym, żeby to pani ją przeczytała. Później, kiedy cmentarz będzie już zamknięty. Jestem pewien, że potrafi pani to robić bardzo dobrze.

Urna ma kolor świerkowej zieleni. *Irène Fayolle (1941–2016)* napisano na niej złotymi literami. Przez dłuższą chwilę Julien Seul trwa w skupieniu, a ja stoję obok niego.

– Nigdy nie potrafiłem się modlić… Zapomniałem o kwiatach. Ciągle je pani sprzedaje?

– Tak.

*

Wybrał doniczkę żonkili i mówi mi, że chce pojechać do miasta, żeby kupić tabliczkę nagrobną. Pyta, czy chcę mu towarzyszyć w drodze do Le Tourneurs du Val, zakładu pogrzebowego braci Lucchinich. Godzę się bez chwili zastanowienia. Nigdy nie byłam w Le Tourneurs du Val. Od dwudziestu lat tylko wskazuję drogę, którą mają pójść inni, a sama nigdy nie postawiłam tam nogi.

Wsiadam do samochodu komisarza. W środku pachnie zwietrzałym tytoniem. Milczy. Ja też. Kiedy przekręca kluczyk w stacyjce, odtwarzacz zaczyna wyć jak oszalały *Elsass Blues* Alaina Bashunga. Oboje aż podskakujemy. Wyłącza głos. Wybuchamy śmiechem. Po raz pierwszy

Alainowi Bashungowi udaje się kogoś rozśmieszyć tą piosenką, wspaniałą, ale smutną jak śmierć.

Parkujemy przed Le Tourneurs du Val. Zakład braci Lucchinich przylega do kostnicy i do Phénixa, chińskiej restauracji. To ulubiony temat kawałów wszystkich mieszkańców Brancion-en-Chalon. Co nie zmienia faktu, że w południe Phénix pęka w szwach.

Popychamy drzwi. W witrynie stoją tabliczki nagrobne i bukiety sztucznych kwiatów. Nienawidzę sztucznych kwiatów. Plastikowa lub syntetyczna róża jest jak lampka nocna w stosunku do słońca. W środku znajduje się ekspozycja drewna, podobnie jak w sklepach dla majsterkowiczów, gdzie można sobie wybrać kolor parkietu, tyle że tu chodzi o trumnę. Są też cenne gatunki drewna na wyjątkowe trumny. No i te podrzędnej jakości: drewno miękkie, twarde, egzotyczne, sklejka. Mam nadzieję, że miłość, jaką darzy się kogoś za życia, nie jest mierzona jakością drewna, które wybiera się, by tego kogoś pogrzebać.

Na większości tabliczek stojących w witrynie można przeczytać: *Ptaszyno, jeśli na ten grób przylecisz, zaśpiewaj najpiękniejszą piosenkę*. Po przeczytaniu paru tekstów, które zaprezentował mu Pierre Lucchini, Julien Seul wybrał: *Mojej matce* napisane mosiężnymi literami na czarnym tle. Bez wiersza czy epitafium.

Pierre dziwi się, widząc mnie w swoim sklepie. Nie wie, co powiedzieć, chociaż sam od wielu lat wpada do mnie parę razy w tygodniu i pewnie nigdy by mu do głowy nie przyszło, żeby pojawić się na cmentarzu i nie przyjść się ze mną przywitać.

Wiem o nim niemal wszystko – worki otoczaków, pierwsza miłość, żona, anginy dzieci, smutek po śmierci ojca, środki, jakie sobie aplikuje na głowę na porost wypadających włosów – a tu, jakbym była kimś

nieznajomym pośród tych jego plastikowych kwiatów i tablic, które mówią jedynie o wieczności.

Julien Seul płaci i wracamy.

W czasie drogi powrotnej na cmentarz pyta, czy może mnie zaprosić na kolację. Chce mi opowiedzieć historię matki i Gabriela Prudenta.

I podziękować mi za wszystko. No i poprosić, żebym spróbowała mu wybaczyć, że zaczął szukać Philippe’a Toussainta bez mojej zgody. „Dobrze, ale wolę, żebyśmy zjedli tę kolację u mnie”, odpowiedziałam.

Będziemy mieć czas i kelner nie będzie nam przeszkadzał między jednym a drugim daniem. Nie zjemy mięsa na kolację, ale mimo to będzie dobra. Mówi mi, że pójdzie zarezerwować pokój u pani Bréant, chociaż i tak nigdy nie jest zajęty, i że przyjdzie do mnie o dwudziestej.

33

Z czasem, cóż, wszystko przemija, idą w niepamięć namiętności i głosy, co wymawiały cichutko słowa biednych ludzi: nie wracaj za późno, no i tylko się nie przezięb

Irène Fayolle i Gabriel Prudent poznali się w Aix-en-Provence w 1981 roku. Ona miała czterdzieści lat, a on pięćdziesiąt. Bronił jakiegoś osadzonego, który pomógł innemu uciec. Irène Fayolle znalazła się w sądzie na prośbę swojej pracownicy i przyjaciółki, Nadii Ramirès, która była żoną jednego ze wspólników oskarżonego. „Nie wybiera się obiektu miłości – powiedziała kiedyś Irène pomiędzy jednym a drugim seansem wzmacniania cebulek włosów i brushingiem. – To byłoby zbyt proste”.

Brała udział w procesie w dniu, kiedy mecenas Prudent wygłosił mowę obronną. Mówił o brzęku kluczy, wolności, o potrzebie wyjścia zza murów niezależnie od wieku, o możliwości ponownego ujrzenia nieba, zapomnianego horyzontu, o zapachu kawy w bistrze. Mówił o solidarności pomiędzy osadzonymi. Powiedział, że przymusowe sąsiedztwo w zamknięciu może rodzić prawdziwe braterstwo między mężczyznami, że prowadzone wówczas rozmowy i przyjaźń, która się z nich rodzi, to rodzaj wolności – wyjście awaryjne. Że utracić wolność to jak stracić kogoś

drogiego naszemu sercu. Jak nosić żałobę. Że nikt tego nie zrozumie, jeśli tego nie przeżył.

Niczym w *24 godzinach z życia kobiety* Stefana Zweiga w czasie mowy obronnej Irène Fayolle patrzyła tylko na dłonie mecenasa Prudenta. Wielkie dłonie, które otwierały się i zamykały. Białe, doskonale opiłowane paznokcie. Powiedziała sobie w duchu: „Dziwna rzecz, dłonie tego człowieka się nie postarzały. Pozostały w wieku dziecięcym, to są dłonie młodzieńca. Dłonie pianisty”. Kiedy Gabriel Prudent zwracał się do składu sędziowskiego, jego dłonie otwierały się w takim napięciu, że wydawały się wątłe, jakby odzyskiwały swój prawdziwy wiek. Kiedy skupiał spojrzenie na przewodniczącym, dłonie zastygały; gdy przenosił uwagę na publikę, miotały się niczym dwie podekscytowane nastolatki; a kiedy znów zwracał się do oskarżonego, łączyły się ze sobą, lgnęły jedna do drugiej jak kocięta szukające ciepła. W ciągu paru sekund jego dłonie przechodziły od stanu samotności do stanu radości, od zamknięcia do swobody, po czym znów składały się błagalnie jak do modlitwy. W rzeczywistości jego dłonie naśladowały tylko wypowiadane przez niego słowa.

Po mowie obronnej trzeba było opuścić salę rozpraw i wyjść na miasto, żeby się czegoś napić w czasie narady sądu. Była piękna pogoda, jak zawsze w Aix, i to akurat ani nie cieszyło Irène, ani jej nie smuciło. Ładna pogoda nigdy nie robiła na niej żadnego wrażenia. Zupełnie jej to nie obchodziło.

Nadia Ramirès poszła do kościoła Saint-Esprit, żeby zapalić świeczkę. Irène weszła do pierwszej lepszej kawiarni. Nie miała ochoty siadać na tarasie jak wszyscy inni, więc weszła na pierwsze piętro, żeby mieć spokój. Chciała poczytać. Poprzedniego dnia wieczorem, kiedy Paul, jej mąż, już spał, zaczęła powieść; teraz miała ochotę powrócić do lektury.

Mecenas Prudent, który lubił słońce, ale nie tłum, już tam był, sam; siedział w rogu. Czekał na werdykt w sprawie swojego klienta naprzeciwko zamkniętego okna. Nieobecny wzrokiem, palił jednego papierosa za drugim. Chociaż był na piętrze sam, gęsty dym wypełniał pomieszczenie aż po sam sufit. Zanim zgasił jednego papierosa, już wyjmował następnego i przypalał. Raz jeszcze Irène zastygła. Powodem był widok jego prawej dłoni, którą rozgniatał niedopałek w popielniczce.

Poprzedniego dnia wyczytała w książce, że ludzi, których przeznaczeniem jest się spotkać, łączy niewidzialna nić, że ta nić może się poplątać, ale nigdy się nie zerwie.

Kiedy Gabriel Prudent ujrzał Irène Fayolle u szczytu schodów, powiedział do niej: „Przed chwilą widziałem panią na sali”. Nie zapytał jej o to, tylko zauważył. Na sali sądowej było bardzo dużo osób. A ona siedziała w głębi, w przedostatnim rzędzie. Jak ją wypatrzył? Nie spytała. Usiadła w rogu, bez słowa.

Jakby czytając w jej myślach, zaczął opisywać strój każdego z członków składu sędziowskiego i dwóch zastępców, oskarżonych i wszystkich osób siedzących w ławkach dla publiczności. Jednej za drugą. Używał śmiesznych słów do nazwania kolorów spodni, spódnic czy swetrów, „amarant”, „ultramaryna”, „biel hiszpańska”, *chartreuse*, „koral”. Jak malarz lub sprzedawca sukna na targu Saint-Pierre. Zauważył nawet, że kobieta siedząca z brzegu po lewej w trzecim rzędzie, „ta z kokiem, z czerwoną apaszką i w szarym lnianym kostiumie”, miała broszkę w kształcie skarabeusza. Przedstawiając ten imponujący opis strojów, gestykulował. Żywiej wtedy, kiedy miał powiedzieć słowo „zielony”, którego jednak nie wypowiedział. Jakby było zakazane, używał zamiast niego słów „szmaragd”, „mięta”, „pistacja” czy „oliwka”.

Irène Fayolle zastanawiała się, jaki adwokat ma interes w tym, żeby zapamiętywać, jak kto jest ubrany.

Mecenas, ponownie jakby czytając w jej myślach, powiedział, że w sądzie wszystko wpisane jest w strój. Niewinność, żal, wina, nienawiść czy przebaczenie. Że w dniu ogłoszenia wyroku każdy dokładnie dobiera to, w co się ubierze. Jak na pogrzeb czy ślub. Że tu nie ma miejsca na przypadek. I że dzięki ubiorowi on jest w stanie odgadnąć, czy ten ktoś reprezentuje stronę powoda, czy stronę pozwaną, oskarżonego czy oskarżyciela, jest ojcem, bratem, matką, sąsiadem, świadkiem, kochanką, przyjacielem, wrogiem czy kimś przypadkowym. I że on dostosowuje swoje wystąpienie do stroju i zachowania każdego, do kogo jego słowa i spojrzenie trafiają. Na przykład w jej przypadku, sądząc po tym, jak się dzisiaj ubrała, jasne jest, że nie ma związku z tym procesem. Że nie ma zdania na temat tej sprawy. Że jej obecność ma charakter dyletancki.

„Charakter dyletancki”, naprawdę użył takich słów.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo dołączyła do niej właśnie Nadia Ramirès. Powiedziała Irène, że to przesada zamykać się w budynku w taką pogodę, że jej facetowi marzyłoby się usiąść na tarasie. I że jak zostanie uniewinniony, to będą odwiedzać wszystkie knajpy w Aix po kolei, żeby to uczcić. A Irène Fayolle pomyślała: A moim marzeniem byłoby czytać powieść, którą mam w torebce… albo wyjechać na Islandię z mężczyzną z tymi dłońmi, który pali szluga za szlugiem w kącie sali.

Nadia przywitała się z mecenasem Prudentem, powiedziała mu, że jego mowa obronna była wyjątkowa, że jak zostało ustalone, płacić mu będzie po trochu każdego miesiąca, że dzięki niemu jej Jules zostanie na pewno uniewinniony. Na co między jednym sztachem a drugim z powagą w głosie adwokat odpowiedział:

– Dowiemy się już zaraz, po naradzie. Ślicznie pani wygląda, bardzo mi się podoba ta suknia w kolorze pudrowego różu, którą ma pani na sobie. To, że ją pani włożyła, z pewnością podniosło pani męża na duchu.

Irène wypiła herbatę, Nadia sok morelowy, a Gabriel Prudent piwo bez pianki. Uregulował należność za wszystkie zamówienia i wyszedł przed nimi. Irène spojrzała po raz ostatni na jego ręce, zaciśnięte na teczkach. Dwie wielkie dłonie ściskające akta spraw sądowych.

Irène Fayolle nie mogła wejść na salę rozpraw, bo na ogłoszenie wyroku wpuszczono wyłącznie rodziny. Czekała jednak przed sądem, obserwując kolory strojów ludzi, którzy wychodzili z budynku. Zauważyła sweter w kolorze ultramaryny, koralową sukienkę, miętową spódnicę i skarabeusza kobiety z kokiem. Zobaczyła każdą z tych osób, jedną po drugiej.

Wróciła do Marsylii sama. Nadia Ramirès została w Aix, żeby świętować uniewinnienie swojego Jules’a, chodząc od knajpy do knajpy.

*

Kilka tygodni później Irène zamknęła salon fryzjerski i zaczęła zajmować się ogrodnictwem. Mówiła, że chce dać swoim rękom jakieś inne zajęcie, dosyć już miała przycinania włosów, produktów na bazie amoniaku, mycia głów, a przede wszystkim paplaniny. Irène Fayolle z natury nie była zbyt wylewna, za bardzo skryta jak na fryzjerkę. Dobra fryzjerka powinna być ciekawska, zabawna i otwarta. Irène sądziła, że nie posiada żadnego z tych atrybutów.

Od wielu już lat ciągle tylko myślała o ziemi i różach. Za pieniądze ze sprzedaży salonu kupiła w siódmej dzielnicy Marsylii kawałek gruntu, gdzie urządziła rozarium. Nauczyła się sadzić, pielęgnować, podlewać, zbierać. Nauczyła się też hodować nowe odmiany róż koloru karminowego,

malinowego, soku z owoców granatu, a także bladoróżowe. Wszystko z myślą o dłoniach Gabriela Prudenta.

Hodowała i pielęgnowała nowe odmiany kwiatów. Kwiaty były dla niej trochę jak dłonie, tyle że otwierają się i zamykają w zależności od warunków meteorologicznych.

Rok później znów pojechała z Nadią Ramirès do Aix-en-Provence na drugi proces. Mąż Nadii ponownie został aresztowany, tym razem za handel narkotykami. Przed wyjazdem Irène długo myślała, jak się ubrać, żeby nie wyglądać jak „dyletantka”.

Spotkało ją rozczarowanie, mecenasa Prudenta już tu nie było. Opuścił ten region.

Dowiedziała się o tym podczas drogi z Marsylii do Aix, w samochodzie, kiedy Nadia powiedziała jej, że się niepokoi, bo tym razem to już nie mecenas Prudent będzie bronił jej Jules’a, lecz jego kolega.

– Ale dlaczego? – dopytywała się Irène niczym dziecko, które w drodze na wakacje dowiaduje się, że nie będzie morza.

Jakaś historia rozwodowa, przeprowadził się. Nadia wiedziała tylko tyle.

Parę miesięcy później w rozarium Irène Fayolle pojawiła się kobieta, która życzyła sobie zamówić wiązankę białych róż z dostawą do Aix-en-Provence. W formularzu dostawy Irène zanotowała, że róże należy złożyć na cmentarzu Saint-Pierre w Aix na grób pani Martine Robin, małżonki Gabriela Prudenta.

Piątego lutego 1984 roku Irène po raz pierwszy dostarczyła kwiaty do Aix-en-Provence, gdzie w nocy był przymrozek. Wiązankę przygotowała ze szczególną starannością. Zajęła ona całe tylne siedzenie jej furgonetki marki Peugeot.

Urzędnik miejski pozwolił jej wjechać na cmentarz Saint-Pierre samochodem, żeby złożyć kwiaty przy grobie Martine Robin, której jeszcze nie pochowano. Była dopiero godzina dziesiąta, a pogrzeb miał się odbyć po południu.

W marmurze wyryto: *Martine Prudent, z domu Robin (1932–1984)*. Pod nazwiskiem wmurowano już zdjęcie: przystojna brunetka uśmiechająca się do obiektywu; zdjęcie musiało być zrobione, kiedy miała około trzydziestu lat.

Irène postanowiła zaczekać. Chciała raz jeszcze zobaczyć Gabriela Prudenta. Choćby z daleka. Nawet z ukrycia. Chciała się dowiedzieć, czy to on jest tym wdowcem, czy to jego żonę wkładano do ziemi. Zaczęła szukać w nekrologach, ale nie znalazła niczego, co by dotyczyło właśnie jego.

> *Z wielkim smutkiem zawiadamiamy o nagłym odejściu Martine Robin, która zmarła w Aix-en-Provence w wieku pięćdziesięciu dwóch lat. Martine była córką świętej pamięci Gastona Robina i Micheline Bolduc. Pozostawia w żałobie córkę, Marthe Dubreuil, brata Richarda i siostrę Mauricette, ciocię Claudine Bolduc-Babé, teściową Louise, liczne grono kuzynów, siostrzeńców i siostrzenic, bratanków i bratanic oraz przyjaciół, Nathalie, Stéphane'a, Mathiasa, Ninon i innych.*

Ani śladu Gabriela Prudenta. Tak jakby został wykreślony z listy żałobników.

Irène wyszła z cmentarza i podjechała do pobliskiego lokalu, który znajdował się jakieś trzysta metrów od cmentarza. Restauracja dla tirowców. Po zastanowieniu stwierdziła: To dziwne, że ta restauracja dla tirowców została jakby wciśnięta pomiędzy cmentarz i basen miejski w Aix; wygląda, jakby się zgubiła.

Zaparkowała i już chciała zawrócić, bo szyby były brudne, a wiszące w oknach zasłonki przedpotopowe. Powstrzymał ją przed tym pewien cień. Tam, w środku, pochylona sylwetka. Poznała go mimo brudnych szyb. On tam był. Naprawdę tam był. Wsparty o zamknięte okno, palił papierosa, nieobecny wzrokiem.

Przez parę sekund wydawało jej się, że ma przywidzenia, że się pomyliła, że bierze swe pragnienia za rzeczywistość, że takie rzeczy może i zdarzają się w powieściach, ale nie w życiu. Życie rzadko bywa równie optymistyczne, co obietnice składane sobie nawzajem w liceum. No i przecież widziała go tylko raz jeden, trzy lata temu.

Podniósł głowę, kiedy weszła. Trzech mężczyzn stało przy kontuarze i tylko Gabriel Prudent siedział przy stole.

– Była pani w Aix na procesie Jean-Pierre’a Reymana i Jules’a Ramirèsa w roku, kiedy Mitterrand został wybrany… Pani dyletantka – powiedział.

Nie zdziwiła się, że ją poznał. Jakby to było całkiem oczywiste.

– Tak, dzień dobry, jestem przyjaciółką Nadii Ramirès.

Kiwnął głową, zapalił nowego papierosa od tlącego się jeszcze niedopałka i odparł:

– Pamiętam.

Nie zaprosił jej do swojego stolika, ale jak gdyby to było z góry przesądzone, że usiądą razem, podniósł rękę z wyprostowanym palcem wskazującym wymierzonym najpierw w sufit, a potem w kelnerkę i zamówił dwie kawy oraz dwa calvadosy. Raz jeszcze Irène Fayolle, która nigdy w życiu nie piła kawy – tylko herbatę – a tym bardziej nie pijała o dziesiątej rano calvadosu, wlepiła oczy w wielkie dłonie Gabriela i usiadła na wprost niego. Jego ręce się nie postarzały.

To on najpierw zaczął mówić, dużo. Powiedział, że wrócił do Aix, żeby pochować Martine, swoją żonę, no, byłą żonę, że nie znosi kościołów, klechów i odpowiedzialności. No więc nie pójdzie na uroczystość kościelną, a tylko na pochówek, że zaczeka tutaj, że od dwóch lat żyje z inną kobietą w Mâcon, że nie widział się z Martine, swoją żoną, no, byłą żoną, odkąd wyjechał, że ponieważ ją opuścił, bo spotkał kogoś innego, jego mała, która już nie jest wcale taka mała, pogniewała się na niego, że przybiła go ta wiadomość – Martine umarła! – ale nikt tego nie zrozumie, i że to on zawsze będzie tym dyżurnym draniem, który rzucił żonę. A w akcie zemsty post mortem Martine, jego żona, no, była żona, albo córka, już nie za bardzo wie która, kazała wygrawerować na płycie grobowej jego nazwisko. Zabrała go ze sobą do swojej wieczności.

– A pani? Pani by tak zrobiła?

– Nie wiem.

– Mieszka pani w Aix?

– Nie, w Marsylii. Dziś rano dostarczyłam kwiaty na cmentarz, dla pańskiej żony, no, byłej żony. Przed wyjazdem chciałam się napić herbaty, bo jest zimno, nie żeby mi to przeszkadzało, wprost przeciwnie, ale zziębłam. A teraz rozgrzał mnie calvados, chyba mi się kręci w głowie… myślę, że nie będę mogła od razu wyruszyć w drogę, mocny ten calvados… Wybaczy pan, że jestem niedyskretna, zazwyczaj taka nie jestem, ale jak pan poznał swoją nową żonę?

– Och, nic oryginalnego, z powodu mężczyzny, którego broniłem przez wiele lat. Organizowałem jego obronę, wyjaśniałem linię obrony jego żonie, przyjeżdżałem rok w rok do więzienia i w końcu się w sobie zakochaliśmy. Pani też się coś takiego przydarzyło?

– Co?

– Że się pani zakochała?

– Tak, w mężu, Paulu Seulu, mamy syna, Juliena, który ma dziesięć lat.

– Pracuje pani?

– Jako kwiaciarka, przedtem jako fryzjerka, ale nie tylko sprzedaję kwiaty, również je hoduję, uzyskuję odmiany hybrydowe.

– Jakie?

– Hybrydowe. Krzyżuję ze sobą różne odmiany róż, tworząc nowe.

– Po co?

– Bo to lubię… Krzyżowanie.

– I jakie pani wychodzą kolory? Jeszcze dwa razy kawa i calvados, poproszę!

– Karminowy, malinowy, kolor soku z granatu czy bladoróżowy. Uzyskuję też odmiany białe.

– Jaki rodzaj bieli?

– Jak śnieg. Bardzo lubię śnieg. Moje róże mają też tę cechę szczególną, że są odporne na przymrozki.

– A pani? Nigdy nie nosi się pani kolorowo? Już w Aix, podczas procesu, była pani cała beżowa.

– Wolę oglądać żywe kolory, patrząc na kwiaty i śliczne dziewczyny.

– Ale pani jest bardziej niż śliczna. Pani twarz ma jeszcze całe życie przed sobą. Dlaczego się pani uśmiecha?

– Nie uśmiecham się. Jestem pijana.

Koło południa zamówili dwa omlety, sałatę i talerz frytek dla dwóch osób. I herbatę dla niej. Powiedział: „Nie jestem pewien, czy herbata pasuje do omletu”, na co ona odparła: „Herbata pasuje do wszystkiego, to jak biały i czarny, te dwa kolory pasują do wszystkiego”.

W czasie posiłku oblizywał palce, zlizywał sól z frytek. Wypił piwo. Kiedy ona mieszała ze sobą herbatę i kolejny kieliszek calvadosu,

powiedział: „Normandia i Anglia są jak biały i czarny kolor, pasują do siebie”.

Podniósł się dwa razy. Patrzyła na kurz, elektrostatyczne drobiny wokół jego sylwetki, w promieniach słońca – wyglądało to jak śnieg. I znowu zamówili frytki, herbatę i calvados. Zazwyczaj, w takim obskurnym miejscu, Irène wytarłaby kieliszki podszewką od żakietu, ale tym razem tego nie zrobiła.

Kiedy karawan przejechał przed restauracją tirowców, była godzina piętnasta dziewięć. Nie zdawała sobie sprawy z upływu czasu. Czuła się, jakby weszła do środka dziesięć minut wcześniej. Od pięciu godzin byli razem.

Wstali w pośpiechu, szybko zapłacił, a Irène powiedziała, żeby wsiadł do jej furgonetki, zawiezie go. Wiedziała, gdzie znajduje się grób Martine Robin.

W samochodzie spytał, jak ma na imię. Powiedział, że ma już dosyć mówienia jej per pani.

– Irène.

– A ja jestem Gabriel.

Stanęli na wysokości bramy wiodącej do grobu Martine Robin, ale nie wysiadł.

– Zaczekamy tutaj – powiedział. – Liczy się tylko to, żeby Martine wiedziała, że tu jestem. Tę całą resztę to ja chromolę.

Spytał, czy może zapalić w samochodzie, odpowiedziała, że oczywiście; opuścił szybę, oparł głowę na zagłówku, wziął lewą dłoń Irène i przymknął oczy. Czekali w milczeniu. Patrzyli, jak ludzie chodzą tam i z powrotem po alejkach. W pewnej chwili wydało im się, że słychać muzykę.

Kiedy wszyscy się rozeszli, gdy przejechał koło nich pusty karawan, Gabriel wysiadł z samochodu. Poprosił Irène, żeby z nim poszła, a kiedy się zawahała, powiedział: „Proszę”. Szli obok siebie.

– Powiedziałem Martine, że ją opuszczam dla innej kobiety, skłamałem. Pani, Irène, mogę powiedzieć prawdę, opuściłem Martine z powodu Martine. Cała reszta, ci, dla których się kogoś zostawia, to pretekst, alibi. Opuszcza się ludzi z ich powodu, tu nie trzeba daleko szukać. Oczywiście, nigdy jej tego nie powiem. A już na pewno nie dzisiaj.

Kiedy podeszli do grobu, Gabriel ucałował zdjęcie. Objął dłońmi krzyż wieńczący stelę. Wyszeptał jakieś słowa, których Irène nie słyszała i których nie próbowała usłyszeć.

Jej białe róże leżały pośrodku grobu. Było na nim bardzo dużo kwiatów, słów miłości i stał tam nawet granitowy ptaszek.

*

– Kto panu to wszystko powiedział?

– Przeczytałem to w jej dzienniku.

– Prowadziła dziennik?

– Tak. Znalazłem go w ubiegłym tygodniu w kartonach, porządkując jej rzeczy.

Julien Seul wstał.

– Jest druga w nocy, będę wracał. Jestem zmęczony. Jutro bardzo wcześnie ruszam w drogę powrotną. Dziękuję za kolację, była przepyszna. Dziękuję. Już dawno tak dobrze sobie nie podjadłem. Ani nie spędziłem tak przyjemnych chwil. Powtarzam się, ale kiedy dobrze się czuję, to się powtarzam.

– Ale… co oni zrobili po pogrzebie? Musi mi pan dokończyć tę opowieść.

– A może ta opowieść nie ma końca.

Ujął moją dłoń i złożył na niej pocałunek. Nic mnie tak nie porusza jak męska galanteria.

– Ciągle pani ładnie pachnie.

– Eau du Ciel Annick Goutal.

Uśmiechnął się.

– No to proszę nigdy nie zmieniać. Dobranoc.

Włożył płaszcz i wyszedł z domu na ulicę. Zanim zamknął za sobą drzwi, powiedział:

– Wrócę, żeby pani dokończyć tę opowieść. Jakbym opowiedział teraz, toby pani nie miała ochoty więcej mnie widzieć.

*

Kładąc się, myślałam, że nie chciałabym umrzeć w połowie lektury powieści, która mi się podoba.

34

W sercach naszych pozostaniesz na zawsze

Trzy lata po naszym ślubie, w czerwcu 1992 roku, ruch kolejowy we Francji został sparaliżowany. W Malgrange pociąg z szóstej dwadzieścia dziewięć stał się pociągiem z dziesiątej dwadzieścia, który stał się tym z dwunastej zero pięć, a pociąg z trzynastej trzydzieści zatrzymał się na trasie o godzinie szesnastej i przez czterdzieści osiem godzin się nie ruszył. Strajkujący zablokowali tory dwieście metrów od naszego przejazdu. W pociągu było pełno ludzi. Tego dnia upał szczególnie dawał się we znaki. Podróżujący bardzo szybko musieli pootwierać okna i drzwi pociągu z Nancy do Épinalu.

Nigdy jeszcze nie widziałam w Casino tylu ludzi. Zapasy wody butelkowanej wyczerpały się w ciągu paru godzin. Pod koniec dnia Stéphanie opuściła sklep, by sprzedawać wodę bezpośrednio przy wejściu do pociągu. Zatarły się różnice pomiędzy pierwszą i drugą klasą. Wszyscy wylegli na zewnątrz, stali w cieniu pociągu, przy torach. Konduktorzy i maszynista zniknęli.

Kiedy podróżni zrozumieli, że pociąg nie pojedzie dalej, zaczęli po nich podjeżdżać samochodami sąsiedzi czy przyjaciele. Niektórzy podróżni dzwonili od nas z domu, żeby ktoś ich odebrał. Inni z budki telefonicznej. W ciągu paru godzin wagony i okolice pociągu opustoszały.

Cały ruch w Malgrange-sur-Nancy został wstrzymany. Ludzie podjeżdżali do zamkniętego szlabanu, odbierali podróżnych i zawracali. O godzinie dwudziestej pierwszej na Grand-Rue było cicho. Kiedy Stéphanie zamknęła sklep i opuściła zabezpieczające wejście kraty, była purpurowa. Z oddali dochodziły już tylko głosy strajkujących. Zamierzali spać na miejscu, za blokadą.

Zapadła noc, a Philippe'a Toussainta nie było już od dłuższego czasu. Zauważyłam wówczas, że w pierwszym wagonie składu ciągle są pasażerowie: kobieta z dziewczynką, która była w wieku Léonine. Spytałam kobietę, czy ktoś po nią przyjedzie, ale odpowiedziała mi, że mieszka siedemset kilometrów od Malgrange, że to bardzo skomplikowane, że wraca z Niemiec, dokąd pojechała po wnuczkę, i że jedzie do Paryża. Że będzie mogła kogoś powiadomić dopiero jutro, a i to wcale nie takie pewne.

Zaprosiłam ją na kolację do domu. Odmówiła. Nalegałam. Wzięłam ich walizki, nie pytając jej o zdanie, i za mną poszły.

Léo spała już jak suseł.

Otworzyłam wszystkie okna, żeby przewietrzyć mieszkanie.

Podałam kolację małej Emmy, która padała z nóg. W czasie posiłku bawiła się jedną z lalek Léo. Potem położyłam dziewczynki razem. Patrząc, jak śpią obok siebie, pomyślałam, że chciałabym mieć drugie dziecko. Ale Philippe Toussaint na pewno się na to nie zgodzi; już słyszałam, jak mówi, że mamy za małe mieszkanie, żeby mieć drugie dziecko. Pomyślałam, że to nie mieszkanie jest za małe, tylko że za mało między nami miłości, żeby przyjąć drugie dziecko.

Babci Emmy, która miała na imię Célia, powiedziałam, że musi spać u mnie, że nie pozwolę jej wrócić do pustego wagonu, że to zbyt niebezpieczne. I powiedziałam jej też, że po raz pierwszy od wielu lat, dzięki temu strajkowi, mam wolne, gościa i nadzieję, że ta linia kolejowa

będzie wyłączona z ruchu jak najdłużej, że wreszcie będę mogła sobie pospać ciurkiem dłużej niż osiem godzin i nie będzie mi przeszkadzał sygnał szlabanu.

Célia spytała mnie, czy mieszkam sama z córką. Skwitowałam to uśmiechem. Zamiast odpowiedzieć, otworzyłam butelkę bardzo dobrego czerwonego wina, którą trzymałam, „aż zdarzy się okazja”, tyle tylko, że się do tego dnia nie zdarzyła.

Po dwóch kieliszkach Célia zgodziła się przyjąć zaproszenie, żeby przespać się u mnie. Powiedziałam, że pościelę jej w naszej sypialni, a my, mąż i ja, prześpimy się na kanapie. Sypiamy na niej, kiedy odwiedzają nas rodzice Toussainta – dwa razy do roku od ślubu. Przyjeżdżają po Léo, żeby zabrać ją na wakacje. Na tydzień pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem i dziesięć dni latem, kiedy jadą nad morze.

Po trzecim kieliszku Célia powiedziała, że przyjmie moje zaproszenie, pod warunkiem że to ona będzie spać na kanapie.

Miała jakieś pięćdziesiąt lat. Piękne niebieskie oczy o bardzo łagodnym spojrzeniu. Mówiła wolno, spokojnie, z pięknym południowym akcentem.

Powiedziałam: „Zgoda na tę kanapę”, i dobrze zrobiłam, bo kiedy Philippe Toussaint w końcu wrócił, poszedł prosto do sypialni i zwalił się na łóżko. Nawet na nas nie spojrzał.

Gdy przechodził obok nas, powiedziałam Célii: „To mój mąż”. Uśmiechnęła się bez słowa.

Siedziałyśmy w salonie, rozmawiając aż do pierwszej w nocy. Okna wciąż były otwarte. Po raz pierwszy, odkąd tu przyjechaliśmy, w mieszkaniu było tak gorąco. Célia mieszkała w Marsylii, powiedziałam jej, że to na pewno ona przywiozła ze sobą słońce do naszego domu. Że zazwyczaj upał nie wchodzi do środka, bo jest taki niewidoczny szlaban, który go zatrzymuje.

Kiedy skończyłyśmy butelkę wina, powiedziałam jej, że godzę się na to, żeby spała na kanapie, pod warunkiem że będziemy spać razem, bo nigdy nie miałam przyjaciółki ani siostry, i że oprócz mojej córki, kiedy była jeszcze dzidziusiem, nigdy nie spałam z jakąś kumpelką, a wiem, że prawdziwe kumpelki tak robią. „Dobrze, kumpelko, śpimy razem”, odparła.

Tej nocy zrealizowałam jedno ze swych pragnień, odrobiłam zaległości, jakie miałam w dziedzinie przyjaźni. Wszystkie te noce, kiedy chciałam przenocować w domu najlepszej przyjaciółki, z jej rodzicami obok, wszystkie te noce, gdy chciałam uciec z ośrodka razem z nią, żeby pójść do chłopaków siedzących na motorowerach na końcu ulicy, wszystko to jakby trochę nadrobiłam.

*

Rozmawiałyśmy chyba do szóstej rano. Kiedy w końcu usnęłam, było już widno. O dziewiątej Léo przyszła mnie obudzić, żeby mi powiedzieć, że w jej łóżku jest jakaś mała dziewczynka, która nie umie mówić. Emmy była Niemką, nie mówiła ani słowa po francusku. Potem Léo zarzuciła mnie pytaniami:

– A dlaczego śpisz w salonie? Dlaczego tatuś śpi w łóżku w ubraniu? Kto to jest ta pani? Dlaczego nie ma już pociągów? Kim są, mamo, ci ludzie? Kto to jest ta mała dziewczynka? To ktoś z rodziny? Zostaną tutaj?

Niestety, nie. Célia i Emmy wyjechały dwa dni później.

Kiedy wróciły do pociągu, myślałam, że umrę ze smutku. Tak jakbym je znała od zawsze. Każdy strajk się kiedyś kończy. Wakacje też. Ale kogoś poznałam, swoją pierwszą przyjaciółkę. Przez uchylone okno pociągu, wagon numer siedem, Célia powiedziała mi:

– Przyjedź mieszkać z nami w Marsylii. Będzie ci tam dobrze, znajdę ci pracę… Zazwyczaj nie oceniam nikogo, ale Francja strajkuje, powiedzmy,

że ja też strajkuję, dlatego powiem ci, co tak sobie w głębi duszy myślę: Violette, to oczywiste, że twój mąż to nie jest człowiek dla ciebie. Zostaw go.

Odpowiedziałam, że pozbawiono mnie rodziców, dlatego nigdy nie pozbawię Léonine ojca. Nawet jeżeli Philippe Toussaint jest ojcem w cudzysłowie, to mimo wszystko ojciec.

Tydzień po ich wyjeździe dostałam długi list od Célii. Włożyła do koperty trzy bilety na pociąg tam i z powrotem Malgrange-sur-Nancy–Marsylia.

Miała letni domek w zatoczce Sormiou, oddawała go nam do dyspozycji. Lodówka będzie pełna. To była prawdziwa okazja. *Nie możesz z tego nie skorzystać. Będziesz miała prawdziwe wakacje, Violette, i będziesz mogła oglądać morze razem z córką,* napisała i dodała, że nigdy nie zapomni, że zaoferowałam jej nocleg i utrzymanie. Że w zamian za te dwa dni gościny będę mieć wakacje w Marsylii co roku.

Philippe Toussaint powiedział, że nie pojedzie. Że ma „co innego do roboty, niż jechać do jakiejś lesby". Tak mówił o wszystkich kobietach, z którymi nie sypiał, „lesby".

A ja odpowiedziałam, że dobrze się składa, że nie pojedzie, bo wtedy będzie mógł pilnować szlabanu w czasie naszej nieobecności, Léo i mojej. Nie za bardzo musiało mu przypaść do gustu to, że będziemy miło spędzać czas bez niego. Nastąpił nagły przypływ miłości i po raz pierwszy od sześciu lat na jego wniosek koleje francuskie w ciągu paru godzin znalazły nam zastępstwo.

Dwa tygodnie później, pierwszego sierpnia 1992 roku, odkryliśmy Marsylię. Célia czekała na nas przy końcu peronu na dworcu Saint-Charles. Padłam jej w ramiona. Było ładnie, już na peronie, pamiętam, że tak właśnie powiedziałam Célii: „Ładnie tu, już na peronie…".

Kiedy po raz pierwszy ujrzałam Morze Śródziemne, siedziałam na tylnym siedzeniu w samochodzie Célii; opuściłam szybę i płakałam jak dziecko. Myślę, że przeżyłam wtedy szok mojego życia. Szok majestatu.

35

Wszystko się zaciera, wszystko przemija prócz wspomnień

Listy miłosne, zegarek, szminka, naszyjnik, powieść, bajki dla dzieci, telefon komórkowy, płaszcz, rodzinne zdjęcia, kalendarz z 1966 roku, lalka, butelka rumu, para butów, długopis, bukiet zasuszonych kwiatów, harmonijka ustna, srebrny medal, torebka damska, okulary słoneczne, filiżanka do kawy, strzelba myśliwska, amulet, płyta długogrająca, magazyn z Johnnym Hallydayem na okładce. W trumnie znaleźć można wszystko.

Dzisiaj pochowano Jeanne Ferney (1968–2017). Paul Lucchini powiedział mi, że do środka trumny włożył portret jej dzieci, jak sobie tego zażyczyła. Ostatnia wola często jest spełniana. Żeby nie rozgniewać zmarłych; za bardzo się boimy, że przyniosą nam nieszczęście z zaświatów, jeżeli jej nie wykonamy.

Właśnie zamknęłam bramę cmentarną. Przechodzę przed świeżo udekorowanym kwiatami grobem Jeanne. Zdejmuję celofanowe opakowania z kwiatów, żeby mogły oddychać.

Spoczywaj w pokoju, droga Jeanne.

Może już się narodziłaś gdzie indziej, w innym mieście, z drugiej strony świata. Wokół siebie masz członków swojej nowej rodziny. Oblewacie Twoje

narodziny. Patrzą na Ciebie, całują Cię, obrzucają prezentami, mówią, że jesteś podobna do matki, a tutaj Cię opłakują. Ty zaś śpisz, przygotowujesz się na to nowe życie, kiedy trzeba będzie wszystko zrobić od nowa, a tutaj jesteś martwa. Tu jesteś wspomnieniem, tam przyszłość to Ty.

*

Kiedy samochód Célii wjechał na stromą dróżkę schodzącą do zatoczki Sormiou, ujrzałam najprawdziwsze piękno. Léo marudziła, że się nudzi, wzięłam ją na kolana i powiedziałam: „Popatrz, widzisz morze, tam w dole? Już dojeżdżamy”.

Otworzyliśmy w domku okiennice, pozwalając wejść do środka słońcu, światłu i zapachom.

Grały cykady. Wcześniej słyszałam je tylko w telewizji. Zagłuszały nasze głosy.

Włożyliśmy kostiumy kąpielowe, nie rozpakowawszy nawet walizek. Mieliśmy się upajać morzem! Przeszliśmy może sto metrów i już zamoczyliśmy nogi w przejrzystej, jasnozielonej wodzie. Z daleka Morze Śródziemne było niebieskie, z bliska kryształowe. Ja znałam tylko chlorowaną wodę miejskich basenów.

Nadmuchałam Léo gumowego łabędzia i weszliśmy do chłodnej wody, radośnie pokrzykując.

Philippe Toussaint rozśmieszał nas, chlapał wodą. Pocałował mnie. Zostawił mi na ustach sól. Léo powiedziała: „Tatuś pocałował mamusię”.

Śmiejąca się Léo na ramionach ojca, cykady, rześkość wody i słońce… kręciło mi się w głowie. Jak na szybko obracającej się karuzeli. Zanurzyłam głowę w wodzie i otworzyłam oczy. Zaszczypało od soli. Chciałam krzyczeć z radości.

Zostaliśmy tam przez dziesięć dni. Prawie nie spałam. Coś we mnie nie dawało mi zmrużyć oka, zbytek szczęścia, mój uczuciomierz osiągnął górny pułap skali. Nigdy jeszcze nie widziałam córki w stanie takiej euforii.

O każdej porze było widno. O każdej porze się kąpaliśmy. Albo jedliśmy. Albo słuchaliśmy. Albo kontemplowaliśmy. Albo oddychaliśmy. Na ustach mieliśmy tylko trzy zdania: „Ładnie pachnie”, „Ciepła woda”, „Jak dobrze!”. Od szczęścia człowiek idiocieje. Tak jakbyśmy znaleźli się w innym świecie, na nowo się narodzili gdzieś indziej, w olśniewającym świetle.

Przez te dziesięć dni Philippe Toussaint nie wybierał się na „przejażdżki”. Pozostawał z nami. Kochał mnie, a ja mu to chętnie odwzajemniałam. Raczyliśmy nasze tryskające słońcem ciała chwilami udawanego szczęścia. Przypominało to nasze początki, tyle że bez miłości. Dla samej rozkoszy sycenia się wszystkim. Wszystko odeszło w dal. Niebo ze wschodu i cała reszta.

Léo wyrywała się, kiedy ją smarowałam kremem przeciwsłonecznym. Wyrywała się, gdy chciałam, żeby pozostała w cieniu. Postanowiła, że wejdzie do wody nago. Postanowiła zamienić się w małą syrenkę. Jak w kreskówkach.

Myślę, że w ciągu dziesięciu dni ani razu nie włożyliśmy butów. Zrozumiałam, że wakacje to właśnie to: chodzenie boso.

Wakacje to jak nagroda, trofeum, złoty medal. Trzeba na nie zasłużyć. A Célia zdecydowała, że sobie zasłużyłam. Życiem w rodzinie zastępczej i życiem z Philippe’em Toussaintem.

Od czasu do czasu wpadała w odwiedziny. Dokonywała inspekcji naszego szczęścia. I niczym majster zadowolony z postępu prac na budowie odjeżdżała z uśmiechem na ustach, wypiwszy ze mną kawę.

Obsypywałam ją podziękowaniami, jak inni obsypują żony klejnotami. Plotłam jej girlandy podziękowań. I ciągle daleko mi było do końca. To nie ja pozamykałam okiennice w domku w dniu, kiedy wyjechaliśmy. Poprosiłam Philippe'a Toussainta, żeby to zrobił. Jakbym sama pozamykała te okiennice, miałabym uczucie, że grzebię się żywcem, zamykam w grobie. Jak to śpiewa Jacques Brel: *Wymyślał ci będę słowa bezsensowne, które zrozumiesz*. To właśnie zrobiłam, żeby Léo nie płakała w chwili odjazdu, żeby się nie czepiała drzwi domku i nie wyła. Wymyśliłam jej bezsensowne słowa. Słowa dziecinne, najprostsze.

– Kochanie, trzeba jechać, bo za sto trzydzieści dni Gwiazdka, a sto trzydzieści dni szybko minie. Więc od razu trzeba będzie zacząć pisać list do Świętego Mikołaja. Tu nie ma ani długopisu, ani kredek, ani papieru. Tylko morze. Dlatego trzeba wracać do domu. A potem trzeba będzie zająć się choinką, pozawieszać kolorowe bombki na gałązkach, a w tym roku założymy jeszcze papierowe łańcuchy, które same zrobimy, tak, same! I dlatego trzeba bardzo szybko wracać, nie ma czasu do stracenia. A jak będziesz grzeczna, to odmalujemy ściany w twoim pokoju. Na różowo? Jak chcesz. A potem, przed Gwiazdką… co jest przed Gwiazdką? Twoje URODZINY! A to już prawie, tuż-tuż. Będziemy nadmuchiwać baloniki, oj, szybko, szybko, szybko, trzeba wracać do domu! Za dużo mamy fajnych rzeczy do zrobienia w domu. Wkładaj buciki, kochanie. Szybko, szybko, szybko, pakujemy się! I zobaczymy znów pociągi, i może nawet będą się zatrzymywać! I Célia będzie w środku. Szybko, szybko, szybko, wracamy do domu! No a poza tym, to i tak wrócimy do Marsylii w przyszłym roku. I przywieziesz prezenty.

36

Wszyscy, którzy Cię znali, z żalem Cię żegnają i opłakują

Irène Fayolle i Gabriel Prudent odeszli od grobu Martine Prudent, z domu Robin. Przedtem jednak Gabriel pogładził swoje nazwisko wygrawerowane w kamieniu. Powiedział do Irène: „To jednak dziwne uczucie zobaczyć swoje nazwisko na grobie”.

Szli alejkami cmentarza Saint-Pierre i zatrzymywali się od czasu do czasu przy innych grobach. Nieznanych. Żeby obejrzeć zdjęcia czy daty.

– Ja to chciałabym zostać skremowana – odezwała się Irène.

Na parkingu przed cmentarzem Gabriel spytał:

– Co chce pani robić?

– A co można robić po czymś takim?

– Kochać się. Chciałbym zdjąć z pani te beże i dać pani wiele wspaniałych doznań, Irène Fayolle.

Nie odpowiedziała. Wsiedli do furgonetki, jechali, a w sercach buzowały im cała ta miłość, alkohol i smutek. Irène odwiozła Gabriela na dworzec w Aix.

– Nie chce się pani kochać?

– W hotelowym pokoju, jak dwoje złodziei… Czy nie zasługujemy na coś więcej? A poza tym, kogo okradniemy prócz siebie samych?

– Chce pani za mnie wyjść?

– Jestem już zamężna.

– Zjawiam się więc za późno.

– Tak.

– Dlaczego nie nosi pani nazwiska męża?

– Bo nazywa się Seul. Paul Seul. Gdybym nosiła jego nazwisko, nazywałabym się Irène Seul i musiałabym robić błąd ortograficzny we własnym nazwisku.

Padli sobie w ramiona i uściskali się. Nie pocałowali się. Nie powiedzieli sobie „Do widzenia”. Gdy wysiadł z furgonetki, Irène zobaczyła, że jego garnitur jest pognieciony. Spojrzała po raz ostatni na jego dłonie. Pomachał do niej, po czym odwrócił się i poszedł na peron.

Ruszyła drogą w kierunku Marsylii. Wjazd na autostradę znajdował się niedaleko dworca. Ruch był płynny. Za niecałą godzinę zaparkuje przed domem, w którym czeka na nią Paul. I miną lata.

Irène zobaczy Gabriela w telewizji; będzie się wypowiadał w sprawie kryminalnej kogoś, kogo będzie bronił i co do kogo miał pewność, że jest niewinny. Powie: „Cała ta sprawa została zbudowana na niesprawiedliwości, którą rozmontuję fragment po fragmencie”. Powie: „Dowiodę tego!”. Będzie wyglądał na poruszonego, niewinność klienta będzie go w sposób widoczny gnębić. Wyda jej się zmęczony, a z tymi podkrążonymi oczami może stary.

W radiu Irène usłyszy piosenkę Nicole Croisille, *Wesół był jak Włoch, który dowiedział się, że będzie miłość i wino*. Wówczas będzie musiała usiąść. Słowa te zetną ją z nóg, przeniosą nagle do restauracji dla tirowców piątego lutego 1984 roku. Przypomni sobie urywki rozmowy przy frytkach,

ohydnych zasłonkach, piwie, omletach i calvadosie, rozmowy o pogrzebie, białych różach.

– Co pani lubi najbardziej?

– Śnieg.

– Śnieg?

– Tak, to piękne. Taka cisza. Jak spadnie śnieg, świat staje. Biały puch spowija go niczym wielkie prześcieradło… Mnie się to wydaje nadzwyczajne. Jakby magia, rozumie pan? A pan? Co pan lubi najbardziej?

– Panią. No, uważam, że kocham panią nade wszystko. Dziwna to rzecz spotkać kobietę swego życia w dniu pogrzebu żony. Chyba że ona umarła po to, żebym panią spotkał…

– To straszne, co pan mówi.

– Może. A może nie. Zawsze kochałem życie. Kocham jeść, kocham się pieprzyć. Lubię ruch, zadziwienie. Jeżeli ma pani ochotę dzielić ze mną moją nędzną egzystencję, żeby ją rozświetlić, to witam.

Kiedy Irène Fayolle będzie myśleć o Gabrielu Prudencie, na usta będzie jej przychodzić jedno słowo: brawura.

Irène pomyślała, że nie chce żyć w czasie przyszłym, lecz w teraźniejszym. Włączyła migacz. Zmieniła kierunek jazdy. Zjechała z autostrady w Luynes, przejechała przez parkingi centrów handlowych i zaczęła bardzo szybko jechać w stronę Aix. Szybciej niż pociągi.

Kiedy dotarła przed dworzec w Aix, zaparkowała furgonetkę na miejscu zarezerwowanym dla personelu. Pobiegła na peron. Pociąg do Lyonu już odjechał, ale Gabriel do niego nie wsiadł. Palił w piwiarni o nazwie Au départ, a jako że było to niedozwolone, kelnerka dwukrotnie zwróciła mu uwagę: „Tu się nie pali, proszę pana”. „Rozumiem tylko formy osobowe”, odparł.

Na jej widok uśmiechnął się i powiedział:

– Oskubię panią, Irène Fayolle.

37

Kochałem Cię, kocham i kochać będę

Elvis śpiewa dla Jeanne Ferney (1968–2017) *Don’t Be Cruel*[17]. Słyszę go z daleka. Gaston poszedł na zakupy. Jest godzina piętnasta, cmentarz pusty, tylko ta piosenka Elvisa w alejkach: *Don’t be cruel to a heart that’s true, I don’t want no other love, baby, it’s just you I’m thinking of…*[18].

Często mu się zdarza taki przypływ przyjaźni wobec niedawno pochowanego zmarłego, tak jakby czuł się w obowiązku mu towarzyszyć.

Jest bardzo ładna pogoda. Korzystam z tego, żeby posadzić chryzantemy. Mają pięć miesięcy, żeby wyrosnąć, pięć miesięcy, żeby obsypać się kolorowym kwieciem na Wszystkich Świętych.

Nie słyszę, kiedy wchodzi i zamyka za sobą drzwi. Przechodzi przez kuchnię, wspina się na piętro do sypialni, kładzie się na moim łóżku, idzie na dół, kopiąc moje lalki, i wychodzi do ogródka za domem, mojego prywatnego ogródka, tam gdzie hoduję kwiaty, które każdego dnia sprzedaję, żeby starczało na życie, o które on nigdy nie dbał.

– Baby, if I made you mad, for something I might have said, please, let’s forget the past…[19].

Czy wiedział, że Nona dziś nie będzie? Czy wiedział, że w tym tygodniu bracia Lucchini się nie pojawią? Że nikt nie umarł? Że będzie ze

mną sam?

– *The future looks bright ahead…*[20].

Nie mam czasu, żeby zareagować, podnoszę się z rękami pobrudzonymi ziemią, sadzonkami i konewką przy nogach, odwracam się w jego cieniu, ogromnym, groźnym… przeszywa mnie sopel lodu. Sztywnieję. Philippe Toussaint tu jest, w motocyklowym kasku na głowie, z podniesioną przyłbicą, patrzy mi prosto w oczy.

Mówię sobie w duchu, że jest tu, żeby mnie zabić, wykończyć. Mówię sobie w duchu, że wrócił. Mówię sobie w duchu, że nie, że nie będę już więcej cierpieć.

Mam czas, żeby sobie to wszystko powiedzieć. Myślę o Léo. Nie chcę, żeby to widziała. Nie wydaję żadnego dźwięku.

Koszmar czy rzeczywistość?

– *Don’t be cruel to a heart that’s true, I don’t want no other love, baby, it’s just you I’m thinking of…*

Jego spojrzenie. Nie potrafię powiedzieć, czy to pogarda, strach, czy nienawiść. Odnoszę wrażenie, że mierzy mnie wzrokiem, jakbym była mniej niż niczym. Jakbym z czasem skarłowaciała. Podobnie jak mierzyli mnie wzrokiem jego rodzice, zwłaszcza matka. Zapomniałam, że tak na mnie patrzono.

Chwyta mnie za ramię i bardzo mocno ściska. Boli. Nie wyrywam się. Nie krzyczę. Jestem sztywna. Nie sądziłam, że któregoś dnia jego ręka jeszcze na mnie spocznie.

– *Don’t stop thinking of me, don’t make me feel this way, come on over here and love me…*[21].

Dopiero gdy człowiek przeżywa to, co ja wówczas, wie, że wszystko idzie dobrze, że się układa, że istota ludzka ma niesłychaną zdolność do rekonstrukcji, do zabliźniania ran, jakby miała kilka warstw skóry jedną na

drugiej. Jedno życie nakładające się na drugie. Jeszcze inne życie w magazynie. Że zapominanie jest bezkresne.

– *You know what I want you to say, don't be cruel to a heart that's true…*[22].

Zamknęłam oczy. Nie chciałam go widzieć. Wystarczyło, że go słyszałam. Czułam jego nieznośny zapach. Ściska moje ramię coraz mocniej i sączy do ucha:

– Dostałem list od adwokata, przywiozłem ci go… Posłuchaj mnie uważnie, posłuchaj mnie uważnie: NIGDY więcej do mnie nie pisz na ten adres, słyszysz? Ani ty, ani twój adwokat, NIGDY. Nie chcę już więcej nigdzie widzieć twojego nazwiska, bo jak nie, to cię… to cię…

– *Why should we be apart? I really love you, baby, cross my heart…*[23].

Wsuwa mi kopertę do kieszeni fartucha i od razu odchodzi. Padam na kolana. Słyszę, jak odpala motocykl. Odjechał. Więcej nie wróci. Teraz jestem pewna, nie wróci. Właśnie powiedział mi „Żegnaj". To koniec, skończone.

Oglądam list; jest wymiętoszony, adwokat wynajęty przez notariusza Rouaulta nazywa się Gilles Legardinier, jak ten pisarz. List powiadamia Philippe'a Toussainta, że Violette Toussaint, z domu Trenet, wniosła pozew o rozwód za obopólną zgodą w sądzie rodzinnym w Mâcon.

Idę na górę wziąć prysznic. Wyskrobuję ziemię spod paznokci. Nienawiść Philippe'a Toussainta przeszła z niego na mnie. Zaraził mnie nią jak wirusem, zapaleniem. Zbieram lalki, a narzutę na łóżko wkładam do plastikowego worka, żeby oddać ją do prania. Jakby w moim domu doszło do zbrodni, chciałam zatrzeć ślady.

Zbrodnia to on. Nie odstępuje mnie na krok. Czuję jego obecność w całym mieszkaniu. Powietrze, którym oddychał i które zostawił w moich murach. Wietrzę wszystkie pomieszczenia. Rozpylam zapach róż.

W lustrze łazienkowym widzę swoją bladą twarz, prawie przezroczystą. Można by powiedzieć, że ustało we mnie krążenie krwi. Że skoncentrowało się na ramieniu, które zsiniało. Zostawił mi na skórze ślady palców. Oto co mi po nim pozostanie: siniaki. Szybko nakładam drugą skórę. Jak zawsze to robiłam.

Proszę Elvisa, żeby mnie przez godzinkę zastąpił. Patrzy na mnie, jakby mnie nie słyszał.

– Słyszysz, Elvis?

– Jesteś cała biała, Violette. Bardzo biała.

Myślę o tych młodych ludziach, których wystraszyłam parę lat temu. Dzisiaj nie potrzebowałabym się przebierać, żeby ich przegonić.

---

[17] Nie bądź okrutna.

[18] Nie bądź okrutna dla szczerego serca. Nie chcę żadnej innej miłości, kochanie, myślę tylko o tobie…

[19] Kochanie, jeśli czymś cię rozgniewałem, pozwól mi powiedzieć, zapomnijmy o przeszłości…

[20] Przed nami świetlana przyszłość…

[21] Nie wymazuj mnie ze swoich myśli, nie sprawiaj, że tak się poczuję, chodź tu i kochaj mnie…

[22] Ty wiesz, co chcę ci powiedzieć, nie bądź okrutna dla szczerego serca…

[23] Dlaczego mielibyśmy się rozdzielać? Naprawdę kocham cię, kochanie, przysięgam…

38

Wspomnienie szczęśliwych dni koi ból

No więc wróciliśmy, żeby w połowie sierpnia szykować łańcuchy na bożonarodzeniową choinkę, robić wycinanki z kartonu. Odwróciliśmy się do morza plecami, przemierzyliśmy drogę w drugą stronę.

W pociągach, które nas dowiozły do naszego przejazdu w Malgrange-sur-Nancy, Léo i ja rysowałyśmy statki na morzu turkusowymi mazakami kupionymi na dworcu, słońce, ryby i cykady, Philippe Toussaint testował natomiast swoją opaleniznę na dziewczynach mijanych na kolejnych peronach, w wagonie restauracyjnym, w jednym przedziale, drugim. Zdawał się nie posiadać z radości, kiedy ich spojrzenia zatrzymywały się na nim dłużej.

Gdy dojechaliśmy na miejsce, nasi zastępcy czekali w progu. Ledwo co się z nami przywitali, nie dali nam czasu rozpakować walizek. Powiedzieli, że wszystko poszło dobrze, że nie mają nic do przekazania, i ulotnili się, zostawiając po sobie nieprawdopodobny burdel.

Na szczęście nie weszli do pokoiku Léo. Usiadła na swoim łóżeczku i zrobiła dwie listy prezentów: jedną na urodziny, drugą na Gwiazdkę.

Wzięłam się do sprzątania, a Philippe Toussaint wybrał się na przejażdżkę. Miał sporo czasu do odrobienia. Czasu, który stracił ze mną

w łóżku w letnim domku.

Następnego dnia wszystko już było posprzątane i życie powróciło do dawnego rytmu. Podnosiłam i opuszczałam szlaban w rytm nadjeżdżających pociągów, Philippe Toussaint ciągle wybierał się na przejażdżki, a ja chodziłam po zakupy.

Léo i ja znowu brałyśmy razem kąpiele w wannie pełnej piany i setki razy oglądałyśmy zdjęcia z wakacji. Żeby nie zapomnieć i żeby tam wrócić od czasu do czasu, chociaż spojrzeniem.

We wrześniu odmalowałam jej ściany na różowo, między przejazdami pociągów. Pomagała mi, chciała malować listwy. Musiałam po niej poprawiać, tak żeby nie widziała.

Léo poszła do szkoły i bardzo szybko zaczęłyśmy zakładać wełniane swetry.

Przyszykowałyśmy papierowe łańcuchy i kupiłyśmy sztuczną choinkę, bo wtedy będzie ją można mieć na następną Gwiazdkę i nie trzeba będzie każdego roku pozbawiać życia takiej prawdziwej.

Pomyślałam sobie, że to już chyba ostatni rok, kiedy wierzy jeszcze w Świętego Mikołaja, za rok to już nie przejdzie. Ktoś starszy jej powie, że nie ma Mikołaja. Przez całe nasze życie spotykamy takich starszych, którzy nam mówią, że jakiś Święty Mikołaj nie istnieje, i przeżywamy kolejne rozczarowanie.

*

Mogłam nie godzić się na to, że Philippe Toussaint lata za spódniczkami, ale mnie to pasowało. Odeszła mi ochota, żeby mnie dotykał. Potrzebowałam snu. Czas pomiędzy ostatnim pociągiem wieczornym i pierwszym porannym był dla mnie za krótki. Potrzebowałam

spokoju. A jego ciało na moim to kotłowanina, którą kiedyś lubiłam, ale to już minęło.

Czasem marzył mi się książę z bajki, kiedy słuchałam piosenek w radiu. Męskich i kobiecych głosów pełnych słów ciepłych, szalonych, szorstkich. Głosów pełnych obietnic. Albo kiedy wieczorem opowiadałam Léonine bajki. Jej pokój był ostoją, rajem na ziemi, gdzie spały, pomieszane ze sobą, poskręcane w jednym wielkim bajkowym bałaganie, lalki, miśki, sukienki, naszyjniki z przezroczystych perełek, mazaki i książki.

Mogłam nie godzić się na to, że nie rozmawiam z nikim innym oprócz córki i Stéphanie, kasjerki z Casino. Stéphanie, która komentowała moje zakupy, zawsze takie same. Polecała mi nowy płyn do zmywania naczyń albo mówiła: „Widziałaś reklamę w telewizji? Spryskujesz lekko wannę, czekasz pięć minut i cały brud schodzi, wystarczy polać wodą. No, mówię ci, to działa, powinnaś spróbować”.

Nie miałyśmy sobie absolutnie nic do powiedzenia. Nigdy nie zostaniemy przyjaciółkami. Dwie odrębne egzystencje, ocierające się o siebie każdego dnia. Czasem przychodziła do mnie na kawę, kiedy miała przerwę obiadową. Lubiłam, jak przychodziła, było miło. Przynosiła mi w prezencie próbki szamponów i balsamów do ciała. Często mówiła: „Dobra z ciebie matka, no nie, naprawdę fajna matka”. I odchodziła w bluzie kasjerki do sklepu z półkami, które ciągle trzeba było zapełniać.

Co tydzień Célia pisała do mnie długi list. Spod słów wyzierał jej uśmiech. A kiedy nie miałyśmy czasu pisać, dzwoniłyśmy do siebie w sobotnie wieczory.

Philippe Toussaint jadał ze mną kolację, po tym jak kładłam spać Léo, która zasypiała bardzo wcześnie. Nasze stosunki były serdeczne i żadne zarazem. Nasze stosunki były raczej milczące, nigdy gwałtowne. Chociaż… Pary, które nie krzyczą, nigdy się nie złoszczą, a jedno pozostaje obojętne

drugiemu, są czasem w najbardziej przemocowej relacji ze wszystkich możliwych. U nas nie było tłuczenia talerzy. Ani zamykania okien, żeby nie przeszkadzać sąsiadom. Wyłącznie cisza.

Po kolacji, kiedy nie wychodził się przejechać, włączał telewizor, a ja otwierałam *Regulamin tłoczni win.* Przez dziesięć lat wspólnego życia Philippe Toussaint nigdy nie zauważył, że czytam wciąż jedną i tę samą powieść. Jeśli nie czytałam, oglądaliśmy razem film, ale bardzo rzadko nas to zbliżało. Nawet telewizji ze sobą nie dzieliliśmy. Często zasypiał przed ekranem.

Ja czekałam na ostatni pociąg, Nancy–Strasburg, o dwudziestej trzeciej zero cztery, a potem spałam aż do przejazdu pociągu Strasburg–Nancy o czwartej pięćdziesiąt. Po podniesieniu szlabanu o czwartej pięćdziesiąt wchodziłam do pokoju Léo, żeby popatrzeć, jak śpi. To była moja ulubiona chwila. Niektórzy fundują sobie widok na morze, ja miałam córkę.

Przez te wszystkie lata nie miałam za złe Philippe’owi Toussaintowi samotności, w jakiej kazał mi żyć, bo jej nie odczuwałam, nie przeżywałam, nie imała się mnie. Sądzę, że samotność i nuda dotykają pustych ludzi. Ja byłam spełniona. Żyłam w kilku różnych światach, z których każdy wypełniał mi życie: córka, lektura, muzyka i świat marzeń. Kiedy Léo szła do szkoły, a książka była zamknięta, nigdy nie zabierałam się do prania, sprzątania, gotowania, nie słuchając muzyki i nie oddając się marzeniom. Wymyśliłam sobie z tysiąc różnych światów przez całe życie w Malgrange-sur-Nancy.

Léonine była dodatkiem do codzienności. Dokładka życia. Philippe Toussaint dał mi najpiękniejszy prezent. No i, wisienka na torcie, obdarzył ją swoją urodą. Léo była prześliczna, jak ojciec. A przy tym miała wiele wdzięku i radości. Pożerałam ją oczami, niezależnie od tego, czy stała, czy leżała.

Philippe Toussaint miał do córki taki sam stosunek jak do mnie. Nigdy nie usłyszałam, żeby podniósł na nią głos. Ale Léo szybko przestała go interesować. Potrafiła go zabawić na pięć minut, zaraz jednak przenosił uwagę na coś innego. Kiedy zadawała mu jakieś pytanie, to ja na nie odpowiadałam. Kończyłam zdania, których ojciec nie miał czasu dokończyć. Nie miał do niej podejścia ojcowskiego, lecz kumplowskie. Jedyną rzeczą, którą lubił się ze swoim dzieckiem dzielić, był jego motor. Sadzał ją na tylnym siedzeniu i objeżdżał powolutku okolicę, żeby jej na dziesięć minut zrobić frajdę. Ale gdy tylko trochę przyspieszał, bała się, krzyczała.

Może łatwiej by mu przyszło znaleźć odpowiedni sposób zachowania w przypadku chłopca. Dla Philippe'a Toussainta baba to baba. Wszystko jedno, czy ma sześć, czy trzydzieści lat. I nigdy nie będzie lepsza od faceta, prawdziwego. Takiego, co gra w piłkarzyki i bawi się samochodem na pilota. Takiego, co się nie maże, jak upadnie, chodzi z brudnymi kolanami i potrafi kręcić padem i kierownicą. Całkowite przeciwieństwo Léonine, która była stuprocentową lukrowaną dziewczynką.

Zapisałam ją do biblioteki w Malgrange-sur-Nancy. Przylegającą do merostwa salkę otwierano dwa razy w tygodniu, w tym w środę po południu. W każdą środę, pomiędzy pociągiem z godziny trzynastej dwadzieścia siedem i tym z szesnastej zero pięć pędziłyśmy, trzymając się za ręce, wypożyczyć dla Léo książki na cały tydzień i oddać te wypożyczone tydzień wcześniej. Wracając z biblioteki, zatrzymywałyśmy się w Casino, gdzie Stéphanie dawała Léo w prezencie lizaka, a my kupowałyśmy babkę piaskową Savane dziadka Brossarda. Maczałam ją w herbacie lub naparze z kwiatów pomarańczy po podniesieniu szlabanu o szesnastej zero pięć.

Ledwo Léo skończyła trzy latka, gdy tylko słychać było nadjeżdżający skład, wychodziła przed drzwi, by pozdrowić podróżnych w pociągach, które przejeżdżały przed naszym domem. Machała rączką. Stało się to jej ulubioną zabawą. I niektórzy podróżni czekali na tę chwilę. Wiedzieli, że zobaczą „tę małą”.

W Malgrange-sur-Nancy był tylko szlaban, pociągi przejeżdżały, ale się nie zatrzymywały, trzeba było jechać siedem kilometrów, żeby dotrzeć do pierwszej stacji, w Brangy. Kilka razy Stéphanie zawiozła nas samochodem, żebyśmy się obie przejechały z Brangy do Nancy, tam i z powrotem. Léo chciała wsiąść do pociągu, którego przejazd codziennie oglądała, chciała wsiąść na tę karuzelę.

Za pierwszym razem, kiedy odbyłyśmy tę śmieszną podróż bez celu, tak wrzeszczała z radości, że nigdy tego nie zapomnę. Jeszcze dziś bywa, że mi się to śni. Nawet wesołe miasteczko by jej tak nie cieszyło. Oczywiście, wybrałyśmy linię przechodzącą przed naszym domem, gdzie na podjeździe czekał na nią ojciec, żeby do niej pomachać. Zabawne, że dzieci tak bardzo się cieszą, kiedy role się odwracają.

*

Boże Narodzenie w roku 1992 obchodziliśmy we trójkę. Jak każdego roku Philippe Toussaint dał mi czek, żebym sobie kupiła, „co chcesz, byleby nie było za drogie”. Ja podarowałam mu wodę toaletową Pour un Homme Carona i parę ładnych ubrań.

Czasami miałam takie uczucie, że go perfumuję i ubieram dla innych, żeby dalej podobał się gdzie indziej. A zwłaszcza żeby się podobał sam sobie. Bo dopóki podobał się sobie samemu, dopóki widział swoje odbicie w lustrze lub w oczach innych kobiet, nie zwracał na mnie uwagi. A ja chciałam, żeby nie zwracał na mnie uwagi. Nie opuszcza się kobiety, którą

się przestało dostrzegać, która nie urządza scen, nie hałasuje, nie trzaska drzwiami. Taka kobieta to bardzo praktyczna sprawa.

Dla Philippe’a Toussainta byłam kobietą idealną, kobietą, która nie przeszkadza. Nie opuściłby mnie z powodu namiętności. Nie zakochiwał się w swoich zdobyczach, czułam to. Pozostawał mu na palcach ich zapach, lecz nie miłość.

Myślę, że zawsze miałam taki odruch, żeby nie przeszkadzać. Jako dziecko w rodzinach zastępczych mówiłam sobie: Nie hałasuj, to wtedy zostaniesz, zatrzymają cię. Wiedziałam, że miłość pomiędzy nami dawno minęła i że poszła sobie gdzie indziej, w inne cztery ściany, które nigdy nie będą naszymi. Domek letni to był taki nawias dla naszych dwóch słonych od morskiej wody ciał. Zajmowałam się Philippe’em Toussaintem, jakbym się zajmowała współlokatorem, którego trzeba dopieszczać z obawy, by któregoś dnia nie zniknął, zabierając ze sobą Léo.

Na Gwiazdkę Léo dostała wszystko, co umieściła na liście. Książki tylko dla niej, w tym *Niebieskiego psa* Nadji. Sukienkę księżniczki, kasety wideo, lalkę z rudymi włosami i nowe przybory magiczki. O wiele lepsze niż te z poprzedniej Gwiazdki. Dwie nowe czarodziejskie różdżki, magiczne karty do gry i karty mityczne. Léo zawsze lubiła bawić się w czary. Już jako mała dziewczynka chciała zostać magiczką. Chciała, żeby wszystko znikało w kapeluszu.

Następnego dnia rano, jako że był to dzień świąteczny, przejeżdżało mniej pociągów. Tylko co czwarty. Mogłam odpocząć, pobawić się z nią; zaczarowywała swoje ręce, które znikały w fałdach różnokolorowych chust.

Wieczorem spakowałam jej walizkę. Dwudziestego szóstego grudnia rano, jak w poprzednie lata, rodzice Philippe’a Toussainta przyjechali po moją córkę, żeby zabrać ją na tydzień w Alpy. Nie zabawili długo, ale matka i syn mieli czas na to, żeby zamknąć się w kuchni i porozmawiać

ściszonym głosem. Musiała dać mu czek na Gwiazdkę, ja natomiast, jak co roku, dostałam ciemne czekoladki z wiśniami w alkoholu w środku. Nie Mon Chéri, ale podróbkę w różowym pudełku, pod nazwą Mon Trésor.

Tym razem to ja wyszłam na podjazd, żeby pomachać Léo, kiedy samochód rodziców Toussainta ruszył. Miała uśmiech na ustach i przybory magiczki na kolanach. Opuściła szybę i powiedziałyśmy sobie: „Do zobaczenia za tydzień”. Posłała mi parę całusów. Zachowałam je.

Za każdym razem, kiedy patrzyłam, jak zabierają moją córeczkę tym swoim wielkim samochodem, bałam się, że mi jej nie oddadzą. Starałam się o tym nie myśleć, ale ciało myślało za mnie, byłam chora, rozgorączkowana.

Jak zawsze, kiedy Léo wyjeżdżała, cały ten tydzień sprzątałam jej pokój. Przebywanie w towarzystwie jej lalek wśród pomalowanych na różowo ścian mnie uspokajało.

Trzydziestego pierwszego grudnia Philippe Toussaint i ja spędziliśmy sylwestra przed telewizorem. Podobnie jak co roku Stéphanie dała nam w prezencie kosze z wiktuałami, które się nie sprzedały. „Violette, tylko to trzeba zjeść do jutra, bo inaczej będzie do wyrzucenia, no nie”.

Léonine zadzwoniła do nas pierwszego stycznia rano.

– Szczęśliwego Nowego Roku, mamo. Szczęśliwego Nowego Roku, tato. Szczęśliwego Nowego Roku wam życzę. Jutro będę próbowała zdobyć pierwszą gwiazdkę narciarską!

Wróciła trzeciego stycznia cała rozpromieniona. Gorączka mi spadła. Rodzice Toussainta zostali na godzinę. Léo przypięła swoją pierwszą gwiazdkę do swetra.

– Mamo, zdobyłam pierwszą gwiazdkę!

– Brawo, kochanie.

– Umiem zjeżdżać slalomem!

– Brawo, kochanie.

– Mamo, mogę pojechać na wakacje z Anaïs?

– Kim jest Anaïs?

39

Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu

– Nikt teraz nie umiera.

Ksiądz Cédric, Nono, Elvis, Gaston, Pierre, Paul i Jacques głośno rozprawiają w mojej kuchni. U braci Lucchinich zastój, już od ponad miesiąca nikt nie zajrzał do ich zakładu. Wszyscy mężczyźni raczą się kawą przy moim stole. Upiekłam im babkę piaskową z czekoladą; dzielą się nią, plotąc co ślina na język przyniesie niczym małe dziewczynki przy torcie urodzinowym.

Posadziłam w końcu chryzantemy w ogródku. Drzwi są pootwierane. Głosy mężczyzn dochodzą aż do mnie.

– To dlatego, że jest ładna pogoda. Mniej ludzi umiera, jak jest ładnie.

– Dziś wieczorem mam zebranie rodziców. Nienawidzę tego. Dowiem się znowu, że chłopak się leni. Że tylko wygłupy mu w głowie.

– Zakład pogrzebowy to praca z ludźmi. Przychodzą do nas ludzie zagubieni, którzy przywiązują dużą wagę do ceremonii, do tego, żeby wszystko było jak należy, bo to im pozwoli przeżyć żałobę, jest to więc prawdziwy fach usługowy, człowiek nie ma prawa popełnić błędu.

– Ochrzciłem w ostatnią niedzielę dwójkę dzieci, bliźniąt, bardzo wzruszająca uroczystość.

– Nasz fach tym się różni od wszystkich innych, że my pracujemy w sferze afektywnej, a nie racjonalnej.

– No, uśmialiśmy się jak norki!

– To znaczy?

– Że człowiek nie ma prawa do błędu. Dla każdej rodziny jakaś inna sprawa może mieć bardzo duże znaczenie. To, co pasuje jednej, niekoniecznie będzie pasować drugiej. Tu wchodzą w grę szczegóły. Przykładowo, w przypadku ostatniego nieboszczyka najważniejsze było to, żeby zegarek miał na prawym nadgarstku.

– Oglądałem piękny film wczoraj wieczorem w telewizji, z tym aktorem… no, co to taki z lekka blondyn jest… mam jego nazwisko na końcu języka…

– Nie ma się również prawa do robienia błędów ortograficznych w nekrologach, zawsze trafi się taki, co będzie miał na imię Kristof pisane przez K czy Chrystine przez Y.

– O której to zamykają Bricomarché? Trza iść kupić część do kosiarki.

– No i wszystko to jest kwestia stosunku do zmarłego. Męża do żony, dzieci do rodziców. Krótko mówiąc, ludzka rzecz.

– Wiesz co? Minąłem się z tą, no, jak jej tam… Panią Degrange, jej mąż pracował u Toutagriego.

– Gaston, spójrz tylko, rozlewasz wszędzie kawę.

– No i trzeba mieć na uwadze kwestie religijne i aspekty emocjonalne.

– I fryzjer też. Ten Jeannot, powiedział mi, że boi się o zdrowie żony.

– Paradoksalnie bardzo mało ludzi wchodzi do naszego zakładu z płaczem, w głowie im tylko trumna, kościół, cmentarz.

– Éliane, a ty co o tym myślisz, staruszko? Chcesz kawałeczek ciasta czy wolisz, żeby cię pogłaskać?

– A jak im się mówi, że trzeba wybrać muzykę, tekst, o tym, co możemy zrobić, żeby oddać hołd, uczcić pamięć, bo mnóstwo rzeczy możemy zrobić, to nam dają wolną rękę.

– To już kawałek czasu, jak się nie pojawił ten komisarz Violette.

– Ja tam się zawsze dziwnie czuję, jak przychodzą mi dziękować i mówią: „Było bardzo ładnie”. Przecież w końcu tu chodzi o pogrzeb.

– A ja wam mówię, że ten glina za nią lata. Nie zwróciłeś uwagi, jak on patrzy na naszą Violette?

– Od pięciu tysięcy lat ludzie grzebią zmarłych, ale rynek jest całkiem nowy. My odkurzamy ten zawód.

– Wczoraj wieczorem Odile zrobiła nam kurczaka w karmelu.

– Zmieniły się rytuały pogrzebowe, przedtem zawsze dekorowano groby kwiatami na Wszystkich Świętych, a teraz ludzie już nie mieszkają tam, gdzie żyją ich rodzice i dziadkowie.

– No i zastanawiam się, jakiego będziemy mieć następnego prezydenta… Byleby tylko nie ta blondynka…

– Teraz inaczej się zarządza pamięcią: kremuje się zmarłych. Zwyczaje się zmieniają, koszty też, ludzie sami sobie organizują pochówki.

– Wszystko to jedno i to samo. Lewica, prawica, oni myślą tylko o tym, żeby sobie napchać kieszenie… Liczy się tylko to, co na koniec miesiąca zostaje w portfelu, a dla reszty z nas nigdy nic się nie zmieni.

– Czy ty wiesz, że w roku dwa tysiące czterdziestym co czwarty Francuz sam sobie zorganizuje pochówek?

– Nie zgadzam się, nigdy nie trzeba zapominać o tym, że to oni zmieniają prawo.

– Ale to przecież zależy od rodziny, a są takie, w których nie rozmawia się o śmierci. Ani o dupie, temat tabu.

– A ja tam mówię, proszę księdza, że to jedno i to samo.

– Jesteśmy przedstawicielami śmierci na tej ziemi. A więc ludzie mają nas za smutasów.

– Z pyszną sałatką z podsmażanym kozim serem, z orzeszkami piniowymi i odrobiną miodu.

– Mówi się „zakład pogrzebowy” na prywatne pomieszczenie, a „kostnica” na pomieszczenie publiczne.

– A ja tam już uruchomiłem rożen.

– Toaleta, ubieranie, pakiet zabiegów konserwujących. Ustawa jeszcze tego nie nakazuje, ale to tylko kwestia czasu, wprowadzą z powodów sanitarnych.

– Otwierają nowy sklep na miejscu dawnego Carnata. Piekarnię, zdaje się.

– Projekt ustawy: zakaz przetrzymywania zmarłych w mieszkaniu.

– Wczoraj wieczorem wyskoczyły wszystkie korki, myślę, że to pralka dogorywa i robi zwarcie.

– Ja tam mówię, że jest miejsce dla żyjących i jest miejsce dla zmarłych. Trzymanie umarlaka w domu nie pozwala należycie przeżyć żałoby.

– A jaka zgrabna, z łóżka bym jej nie wygonił.

– Według mnie reguła jest jedna: iść za głosem serca.

– Jedziesz gdzieś na wakacje w tym roku?

– Jak się tu osiedliłem, to sobie powiedziałem: Nie będę robił drogich trumien do kremacji. Błąd nowicjusza! Ojciec mawiał: „Dlaczego? Myślisz, że miejsce drogiej trumny może być tylko trzy metry pod ziemią? Jeśli jakaś rodzina chce wydać fortunę na trumnę, która idzie do ognia, to ma do tego prawo. Jasne, że to nieracjonalne, ale nie możesz ich pozbawić

możliwości wyboru bardzo drogiej trumny. Nie znasz życia tych ludzi, nie ty o tym decydujesz”.

– A ja tam mówię, że emerytura to początek końca.

– Wraz z upływem czasu, jak się tak spotykam z rodzinami, to zdaję sobie sprawę, że nasz ojciec miał rację… Dużo jest takich ludzi, którzy chcą wyłożyć astronomiczną kwotę na trumnę. Z jakiego powodu? Nie wiem…

– Jedziemy do Bretanii, do szwagra.

– Organizują to chłopaki z miasta, to będzie na początku lipca. Lubię łowić ryby, nikomu to nie przeszkadza, z wyjątkiem ryb, ale ja i tak je wyrzucam z powrotem do rzeki.

– Jest sześć dni na pochowanie zmarłego, tak stanowi prawo.

– Uczy gry na fortepianie. Będzie już ze trzy lata, jak tu jest. Taki dryblas, zawsze lekko wysztyftowany, jakby miał występować w telewizji.

– Zabronione jest rozsypywanie prochów, bo w rozumieniu prawa są ciałem.

– Trochę cebulki podsmażasz z grzybkami i podajesz w śmietanie, pychota.

– Rozsypywanie prochów na morzu widuje się tylko w kinie, statek się rusza, wieje wiatr, prochy wypływają na wierzch. Tak naprawdę to powinno się wyrzucić prochy w biodegradowalnej urnie kilometr od brzegu.

– Ile jeszcze dzieci przychodzi na religię, proszę księdza? Chyba nie za wiele.

– Z tymi umowami pogrzebowymi to jest tak, że ludzie nie chcą już wydawać tysięcy euro na rodzinny grobowiec. Zwłaszcza jeśli dzieci mieszkają w Lyonie czy w Marsylii. Często nam mówią: „Nie byliśmy zwolennikami kremacji, ale, po namyśle, wolimy, żeby dzieci skorzystały

z pieniędzy jeszcze za naszego życia”. A ja im mówię, że mają całkowitą rację.

– Mam zaplanowane trzy śluby w lipcu i dwa w sierpniu.

– To jednak dziwne organizować sobie samemu pogrzeb. Widzieć swoje nazwisko na nagrobku, chociaż człowiek jeszcze nie wylądował w skrzynce.

– Powiedziałem merowi, że jeśli chodzi o pasy ruchu, to tutaj trzeba będzie coś zrobić. Dziś jest tak, jutro będzie inaczej.

– Ludzie, którzy przygotowują swój pochówek, nie są pogrążeni w bólu, nie ma tu brutalnego odejścia. I z miejsca wydają dwa razy mniej pieniędzy.

– Za to weterynarz będzie zadowolony!

– W branży pogrzebowej mamy zakaz zakazywania. Ale odradzam rodzinom uczestniczenie w ekshumacjach.

– Widział pan? Ten drugi gol, majstersztyk… Prosto w bramkę.

– Trzeba zachować piękny obraz kogoś, kogo się kochało. I tak jest ciężko, jak się straci kogoś bliskiego, pochowa… Na szczęście tanatopraksja poszła naprzód, w dziewięciu przypadkach na dziesięć daje naprawdę bardzo ładne wyniki, wydaje się, że zmarły po prostu śpi. Trochę makijażu, przywracam skórze naturalny wygląd, ubieram i perfumuję używanym zazwyczaj przez zmarłego zapachem, o który proszę rodzinę.

– Kto wie, trzeba sprawdzić, może to uszczelka głowicy. Jeżeli tak, to przyjdzie mi nieźle zabulić.

– Poważna sprawa, ale nie aż taka bardzo poważna, bo co to jest poważna sprawa, to ja już teraz wiem. Dwa tygodnie temu urwałem zderzak karawanu, stłukłem ekran w telefonie, miałem przeciek wody w domu… wkurzające, ale to nie jest poważna sprawa.

– Parę dni temu Elvis otwiera drzwi od pomieszczenia technicznego i wpada na szefa, Darmonville’a, który posuwa panią Rémy. Przepraszam, proszę księdza. Więc Elvis odwraca się czym prędzej na pięcie.

– Mówić ludziom, że się ich kocha, cieszyć się nimi, póki żyją. Mam może w sobie więcej radości życia niż przedtem. Trzeba umieć się zdystansować.

– *Love me tender*…

– Mówię, że trzeba stać się zimnokrwistym zwierzęciem. Rozumiem ból, lecz nie jestem w żałobie. Nie znam zmarłych.

– Ciężej jest, kiedy pamięta się zmarłego. Jak znało się go osobiście.

40

Babcia bardzo wcześnie mnie nauczyła zbierać gwiazdy: nocą wystarczy postawić pośrodku podwórka miskę z wodą, żeby je mieć u swoich nóg

Poszłam do notariusza Rouaulta, żeby zakończył sprawę. Powiedziałam mu, że zapewne ma rację, że Philippe Toussaint zniknął, że poprzestaniemy na tym. Że nie chcę rozgrzebywać przeszłości.

Notariusz Rouault o nic nie pytał. Zadzwonił przy mnie do mecenasa Legardiniera, aby mu powiedzieć, że ma wstrzymać całą procedurę. Nie nadawać biegu mojemu pozwowi. Czy ja dzisiaj nazywam się Trenet, czy Toussaint, to nie ma znaczenia. Ludzie mówią do mnie Violette lub „mademoiselle Violette”. Słowo „mademoiselle” zostało już może wykreślone z języka francuskiego, ale nie na moim cmentarzu.

W drodze powrotnej zahaczyłam o grób Gabriela Prudenta. Jedna z sosen ocieniała urnę Irène Fayolle. Éliane podbiegła do mnie, warknęła coś i usiadła przy moich nogach. Potem, sama nie wiem skąd, zjawiły się Moody Blue i Florence, które chwilę ocierały się o moje nogi, a potem wyciągnęły się na całą długość na kamieniu nagrobnym. Schyliłam się, żeby je pogłaskać. Ich brzuchy i marmur były ciepłe.

Zaczęłam się zastanawiać, czy Gabriel i Irène posługują się kotami, żeby dać mi jakiś znak. Podobnie jak Léo wychodząca na podjazd, by pomachać pasażerom w pociągach. Wyobrażałam ich sobie w tym momencie, kiedy Irène wróciła do Gabriela na dworzec w Aix. Zastanawiałam się, dlaczego nie rzuciła Paula Seula, dlaczego do niego wróciła. I co znaczy ta jej ostatnia wola, żeby spocząć przy tym człowieku. Czyżby wyobrażała sobie, że nie będą mieć dla siebie życia, tylko wieczność? Czy Julien Seul wróci, żeby opowiedzieć mi ciąg dalszy tej historii? Myśli te wywołały we mnie wspomnienie Sashy, zawiodły mnie do niego.

Obok mnie pojawił się Nono.

– Marzysz o czymś, Violette?

– Może…

– Stało się, bracia Lucchini mają klienta.

– Kogo?

– Zginął w wypadku drogowym… zdaje się, że paskudnie wygląda.

– Kto to? Znałeś go?

– Nikt nie wie, kto to jest. Nie miał przy sobie papierów.

– Dziwne.

– Chłopaki z miasta znalazły go w rowie, leżał tam już ze trzy dni.

– Trzy dni?

– Tak, motocyklista.

*

W zakładzie pogrzebowym Pierre i Paul Lucchini wyjaśniają mi, że czekają właśnie na policyjny nakaz. Za parę godzin ciało motocyklisty pojedzie do Mâcon. Lekarz sądowy nie wyraził zgody na autopsję.

Jak w kiepskim serialu, przy słabym świetle, w obecności miernych aktorów Paul pokazuje mi ciało. Samo ciało, nie twarz. „Z twarzy nic nie zostało”, mówi Paul i dodaje, że nie ma prawa pokazywać mi zmarłego.

– Ale jeśli o ciebie chodzi, Violette, to inna sprawa. Nic nie powiemy. Sądzisz, że go znasz?

– Nie.

– To czemu chcesz go zobaczyć?

– Żeby mieć spokojne serce. Nie miał kasku?

– Miał, ale go nie zapiął.

Mężczyzna jest nagi. Paul przykrył mu prześcieradłem przyrodzenie i głowę. Na ciele pełno siniaków. Po raz pierwszy oglądam trupa. Zazwyczaj, kiedy mam z nimi do czynienia, leżą już „w skrzynce”, jak mówi Nono. Słabo mi, uginają się pode mną kolana, na moje oczy opada czarna zasłona.

41

Ziemia Cię skrywa, lecz serce me wciąż Cię widzi

Trzeciego stycznia 1993 roku matka Toussainta dała mi przed wyjazdem broszurę. Anaïs to przyjaciółka Catherine (teściowa nigdy nie używała imienia Léonine), córka „bardzo zacnych ludzi”, z którymi się zaprzyjaźnili w czasie pobytu w Alpach. Ojciec był lekarzem, a matka radiolożką. Wypowiadając słowa takie jak „lekarz” czy „adwokat”, matka Toussainta nie posiadała się z radości. Podobnej do tej, którą ja odczuwałam, kąpiąc się w Morzu Śródziemnym czy pływając w masce do nurkowania. Był to dla niej szczyt szczęścia móc „bywać” u lekarzy czy adwokatów.

Anaïs i Léo jeździły na nartach w tej samej grupie. Razem zdobyły swoją pierwszą gwiazdkę. Rodzice Anaïs szczęśliwym trafem mieszkali w Maxeville, koło Nancy.

Każdego roku mała Anaïs spędzała wakacje w La Clayette, w departamencie Saona i Loara, i dobrze by było, żeby Léonine pojechała tam z nią w lipcu; rodzice Anaïs zaproponowali nawet, że zabiorą Léonine po drodze, i matka Toussainta zgodziła się na to, nie pytając nas o zdanie, bo „ta biedna mała Catherine spędza cały czas uziemiona przy torach kolejowych…”. Matka Toussainta zawsze mówiła o Léo tak, jakby się nad

nią użalała. Jakby musiała brać sprawy w swoje ręce, żeby ją wydostać z tego nieszczęścia, że jest moją córką.

Nie odpowiedziałam, że „biedna mała” wcale nie jest nieszczęśliwa przy tych torach kolejowych, niezależnie od pory roku. Że między jednym pociągiem a drugim robimy latem wiele rzeczy, że nadmuchujemy basenik w ogródku, oczywiście nasz basenik jest malutki, ale mimo wszystko można się w nim kąpać i jest w nim naprawdę wesoło. Że mamy dużo śmiechu w tym naszym plastikowym baseniku. Śmiech jednakże nie wchodził w zakres słownictwa rodziców Philippe’a Toussainta.

Powiedziałam tylko, że w sierpniu znowu pojedziemy do Sormiou i że – czemu nie? – w lipcu, jeśli Léo będzie chciała, może pojechać z koleżanką.

Kiedy rodzice Toussainta wyszli, rozłożyłam broszurę kolonii letnich w zamku Notre-Dame-des-Prés w La Clayette. *Tylko powaga naszej firmy nigdy nie ma urlopu*. Pod tym hasłem wydrukowane były ogólne warunki zapisów na tle zdjęcia niebieskiego nieba. Deszcz pewnie został zakazany przez osobę, która zredagowała tę broszurę. Na pierwszej stronie widać było bardzo ładny zamek i wielkie jezioro. Na stronie następnej jadalnię, w której siedziały dzieci w wieku około dziesięciu lat, pracownię, w której te same dzieci malowały, plażę nad jeziorem, gdzie te same dzieci się kąpały, i wreszcie widać było, na największym zdjęciu, wspaniałe łąki, a na nich te same dzieci na kucykach.

Dlaczego marzeniem każdej dziewczynki jest dosiąść kucyka?

Nie miałam zaufania do kucyków od czasu, kiedy obejrzałam film *Przeminęło z wiatrem*. Więcej obaw wzbudzał we mnie widok Léo dosiadającej kucyka niż Léo siedzącej na tylnym siedzeniu motocykla Philippe’a Toussainta.

Matka Toussainta powtarzała Léo na okrągło: „Latem tego roku pojedziesz na wieś i razem z Anaïs będziecie jeździć na kucykach”.

Magiczne zdanie, zdanie, które pobudza do marzeń wszystkie siedmioletnie dziewczynki.

*

Mijały miesiące, pociągi jeździły. Léonine nauczyła się odróżniać od siebie bajki, gazety, słowniki, wiersze czy wypracowania. Rozwiązywała zadania matematyczne: „Mam trzydzieści franków na Gwiazdkę, kupuję sweter za dziesięć franków, ciastko za dwa franki, a potem mama daje mi pięć franków kieszonkowego, ile mi zostaje na Wielkanoc?”. Uczyła się o Francji, usytuowaniu kraju na mapie, wielkich miastach, miejscu Francji w Europie i na świecie. Czerwoną kropką zaznaczyła Marsylię. Pokazywała magiczne sztuczki. Znikało wszystko oprócz bałaganu w jej pokoju.

W dzienniczku ucznia pokazała mi z dumą wzmiankę: *Promocja do następnej klasy*.

Trzynastego lipca 1993 roku rodzice Anaïs przyjechali do nas, żeby zabrać moją córkę.

Wyglądali uroczo. Jak ta broszura z reklamą kolonii letnich. W ich oczach odbijał się błękit nieba. Léo padła Anaïs w ramiona. Dziewczynki śmiały się radośnie. Aż pomyślałam: Ze mną to Léo tak się nie śmieje.

*

– Zmęczona jestem, chciałabym odpocząć…

Julien Seul stoi przede mną. Wygląda blado. Może z powodu tego jasnego koloru ścian w szpitalnej sali. To Nono do niego zadzwonił, kiedy pogotowie zabrało mnie z zakładu braci Lucchinich, gdzie zemdlałam. Nono myśli, że jesteśmy kochankami, że Julien Seul się mną zajmie. Myli się, nikt się mną nie zajmie oprócz mnie samej.

Jedyne, co jestem w stanie powiedzieć komisarzowi, który wydaje się zaniepokojony moim stanem, to: „Zmęczona jestem, chciałabym odpocząć”.

Gdyby Irène Fayolle nie zawróciła, żeby złapać jeszcze Gabriela Prudenta na dworcu, Julien Seul nigdy by nie przyszedł na mój cmentarz. Gdyby Julien Seul tego ranka, kiedy go zaprowadziłam na grób Gabriela Prudenta, nie zauważył, że spod płaszcza wystaje mi czerwona sukienka, nigdy nie zacząłby się mieszać do mojego życia. Gdyby Julien Seul nie zaczął mieszać się do mojego życia, nie odnalazłby Philippe’a Toussainta. A gdyby Philippe Toussaint nie dostał mojego pozwu o rozwód, nie wróciłby do Brancion. Tak to się potoczyło.

Nikomu nie powiedziałam, że Philippe Toussaint przyjechał do mnie w ubiegłym tygodniu, nawet Nonowi.

Pierwszym, co Julien Seul zauważył, kiedy wszedł do mojego pokoju w szpitalu, było moje ramię. Prawdziwy z niego pies myśliwski. Niczego nie powiedział, ale poczułam jego natarczywe spojrzenie na moich sińcach.

Ale jest jeszcze inny, bardziej wariacki zbieg okoliczności: po wyjściu ode mnie Philippe Toussaint zabił się dokładnie w tym samym miejscu co Reine Ducha (1961–1982), młoda kobieta, która straciła życie w wypadku drogowym trzysta metrów od mojego cmentarza, ta, która podobno pojawia się na poboczu drogi w letnie noce.

Czy Philippe Toussaint należy do tych, którzy ją widzieli? Dlaczego nie zapiął kasku, skoro go nie zdjął, wchodząc do mojego domu i z niego wychodząc? Dlaczego nie miał dokumentów tożsamości?

Julien Seul podnosi się, mówiąc, że wróci później. Przed wyjściem pyta, czy czegoś potrzebuję. Kręcę głową i zamykam oczy. I po raz tysiączny zatapiam się we wspomnieniach.

*

Rodzice Anaïs nie odjechali od razu. Chcieli, żebyśmy „się poznali”. Mówili, że trzeba dziewczynkom dać trochę czasu, żeby ochłonęły. Poszliśmy do Gino, pizzerii prowadzonej przez Alzatczyków, którzy nigdy nie byli we Włoszech. Philippe Toussaint został w domu, żeby pilnować szlabanu i „południowych pociągów”: dwunasta czternaście, trzynasta zero osiem i czternasta zero sześć. Pasowało mu to. Nienawidził rozmów z nieznajomymi, a w dodatku tematy takie jak wakacje, dzieci i kucyki to były dla niego babskie sprawy.

Dziewczynki jadły pizzę z jajkiem sadzonym, rozprawiając o kucykach, kostiumach kąpielowych, szkole, pierwszej gwiazdce narciarskiej, magicznych sztuczkach i kremach przeciwsłonecznych.

Rodzice Anaïs, Armelle i Jean-Louis Caussinowie, zamówili danie dnia. Poszłam w ich ślady. Pomyślałam, że to ja powinnam uregulować rachunek. Że tak wypada, bo oni fundują Léonine podróż. A że niedawno zapłaciłam za kolonie, to pewnie będę mieć debet na koncie.

Myślałam o tym przez cały czas w trakcie obiadu, między jednym kęsem a drugim; zastanawiałam się, w jaki sposób poradzę sobie z debetem w banku. Liczyłam w głowie: Trzy dania dnia plus dwa menu dla dzieci plus pięć napojów. Pamiętam, że sobie pomyślałam: Całe szczęście, że ruszają w drogę, nie będzie wina. Philippe Toussaint nadal niczego mi nie dawał. Żyliśmy we trójkę z mojej pensji. Miałam wszystko dokładnie wyliczone.

Pamiętam, że zapytali mnie: „Pani jest taka młoda, w jakim wieku urodziła pani Catherine?”. Nie wiedzieli, że Léonine ma na imię Léonine. I pamiętam, że Léo maczała ciasto pizzy w żółtku jajka, mówiąc ze śmiechem: „Rozgniatam jajko”.

I pamiętam też, że pomyślałam: No tak, już jest duża, ma prawdziwą przyjaciółkę. A w moim przypadku trzeba było dwudziestu czterech lat i strajku na kolei, żebym spotkała swoją.

„Tak… nie… och… ach… zgoda… to wspaniale”, mówiłam, spoglądając od czasu do czasu w niebieskie oczy Caussinów, ale ich nie słuchałam. Nie potrafiłam oderwać wzroku od Léo. I liczyłam: Trzy dania dnia plus dwa menu dla dzieci plus pięć napojów.

Léo kończyła zdania wybuchami śmiechu. Niedawno wypadły jej dwa mleczaki. Jej uśmiech przypominał dziurawą klawiaturę wyrzuconego na strych pianina. Zaplotłam jej dwa warkoczyki, będą praktyczniejsze w czasie podróży.

Zanim wyszliśmy z restauracji, magiczną sztuczką sprawiła, że serwetki zniknęły ze stołu. Wolałabym, żeby to był rachunek. Z drżeniem wystawiłam czek. Pomyślałam, że jak się okaże bez pokrycia, to chyba umrę ze wstydu. Śmieszna sprawa: zdawałam sobie sprawę, że wszyscy w Malgrange wiedzą, że mąż mnie zdradza, ale spojrzenia ludzi na Grand-Rue nie robiły na mnie wrażenia. Gdyby się jednak dowiedziano, że wystawiam czeki bez pokrycia, przestałabym wychodzić z domu.

Wróciliśmy na przejazd. Léo wsiadła do samochodu Caussinów, z tyłu, obok Anaïs. Niewiele brakowało, a zapomniałaby zabrać swoją przytulankę; schowała ją do mojej torebki, żeby Anaïs się nie dowiedziała, że jej będzie potrzebować w czasie podróży. Kazałam jej zażyć cocculine, bo cierpiała na chorobę lokomocyjną, a mieli do przejechania trzysta czterdzieści osiem kilometrów. Włożyłam jej do kieszeni fiolkę na drogę powrotną.

Będą na miejscu po południu, zadzwonią do mnie.

Po południu, przy porządkowaniu rzeczy Léo znalazłam listę, którą zrobiłam dwa tygodnie wcześniej, żeby niczego nie zapomnieć, jak będę

pakować jej walizkę.

Kieszonkowe, 2 kostiumy kąpielowe, 7 podkoszulków, 7 par majtek, sandałki, tenisówki (buty do jazdy konnej w cenie), krem przeciwsłoneczny, czapeczka, okulary przeciwsłoneczne, 3 sukienki, 2 pary ogrodniczek, 2 pary szortów, 3 pary spodni, 5 T-shirtów (pościel i ręczniki w cenie), 2 ręczniki plażowe, 3 komiksy, szampon łagodny + środek przeciw wszawicy, szczoteczka do zębów, pasta do zębów o smaku truskawkowym, 1 ciepły sweter i 1 kamizelka na wieczór + wiatrówka + 1 długopis i brulion. Aparat fotograficzny jednorazowego użytku + przybory do magicznych sztuczek.

Przytulanka.

Około dwudziestej pierwszej Léo zadzwoniła do mnie cała rozgorączkowana, wszystko było BARDZO. Kiedy dojeżdżali na miejsce kolonii, zobaczyła bardzo ładne kucyki, karmiła je chlebem i marchewkami, bardzo to było fajne, pogoda bardzo piękna, pokoje bardzo śliczne, w każdym piętrowe łóżka, Anaïs zajmie dolne, a ona górne. Po jedzeniu pokazywała magiczne sztuczki, było bardzo dużo śmiechu. Wychowawczynie były bardzo miłe, jedna z nich bardzo do mnie podobna. Nie, nie mogę podać słuchawki tatusiowi, bo wybrał się na przejażdżkę. „Kocham cię, mamo, buzi. Ucałuj tatę”.

Odłożyłam słuchawkę i wyszłam do swojego malutkiego ogródka. Zobaczyłam Barbie pływającą na plecach w plastikowym baseniku. Woda zzieleniała. Wylałam ją. Popłynęła w stronę róż. Napełnię basenik w przyszłym tygodniu, jak Léo wróci.

42

Miłość jest wtedy, kiedy spotyka się kogoś, kto sprawia, że wszystko jest nowe

Julien Seul przyjechał po mnie do szpitala. W samochodzie nie zamieniliśmy ani słowa. Ruszył w drogę powrotną do Marsylii, jak tylko wysadził mnie przed domem. Powiedział mi, że wróci szybko. Ujął mą prawą dłoń i złożył na niej pocałunek. Po raz drugi, odkąd się poznaliśmy.

Wróciłam na swój cmentarz z receptą na środek wzmacniający i witaminę D. I z wynikami badań, które były dobre. Éliane czekała na mnie przed domem. W środku Elvis, Gaston i Nono też na mnie czekali. Żona Gastona przygotowała mi jedzenie do podgrzania. Podkpiwali sobie trochę, że zemdlałam na widok trupa i że „jak na dozorczynię cmentarną, to już szczyt!”.

Spytałam, co stało się z tym nieboszczykiem, tak jak się pyta, co słychać u kolegi, który odszedł na emeryturę. Ciało „nieznanego motocyklisty” zabrano do Mâcon. Nikt nie potrafił go zidentyfikować. Motocykl nie miał rejestracji. Maszyna to popularny model, z którego usunięto numer seryjny. Zapewne motocykl został ukradziony. Wszczęto śledztwo.

Nono pokazał mi artykuł w „Journal de Saône-et-Loire” zatytułowany: *Przeklęty zakręt.*

> *Tragiczny wypadek zdarzył się w tym samym miejscu, w którym w 1982 roku zginęła Reine Ducha. Motocyklista miał niezapięty kask i jechał szybko. Jego tożsamość pozostaje nieznana, a stopień zniekształcenia ciała uniemożliwia zamieszczenie zdjęcia. Podstawą identyfikacji będzie zrekonstruowany portret.*

Patrzę na ten odtworzony portret. Philippe Toussaint jest nie do poznania. W podpisie jest:

> *Mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat, jasna karnacja, blondyn, oczy niebieskie, wzrost 1,88 m, brak tatuaży i znaków szczególnych. Brak cennych ozdób. Biały T-shirt. Dżinsy marki Levi’s. Wysokie czarne skórzane buty i kurtka ze skóry marki Furygan. Posiadaczy jakichkolwiek informacji uprasza się o kontakt z najbliższym komisariatem policji lub o telefon pod numer 17 (policja drogowa i żandarmeria).*

Kto go będzie szukał? Françoise Pelletier, myślę. Czy miał jakichś przyjaciół prócz niej? Kiedy żyliśmy razem, miał kochanki, ale nie przyjaciół. Paru kumpli motocyklistów z Charleville i Malgrange. I rodziców. Ale rodzice już umarli.

Nie przeglądam całej gazety. Idę na górę, żeby wziąć prysznic i przebrać się. Otwieram szafę lato i szafę zima. Zastanawiam się, czy włożyć pod płaszcz przeciwdeszczowy różową, czy czarną sukienkę. Jestem wdową i nikt o tym nie wie.

Rozpoznałam go w kostnicy. Rozpoznałam jego ciało. Sądzę, że po chwili przerażenia upadłam z powodu uczucia wstrętu. Wstrętu do niego.

Nienawiści, która narodziła się, kiedy przyszedł do ogrodu i mnie sterroryzował, nienawiści, którą zaraził mnie, zbyt mocno ściskając moje ramię. Tak mocno, że wciąż jeszcze mam ślady.

Zawsze nosiłam coś kolorowego pod ciemnymi ubraniami, na przekór śmierci. Podobnie jak kobiety, które się malują i zakładają burkę. Dzisiaj mam ochotę zrobić coś odwrotnego. Mam chęć włożyć czarną suknię i na wierzch różowy płaszcz. Nie zrobię tego jednak nigdy ze względu na szacunek dla innych, dla tych, którzy tu przychodzą i przemierzają alejki cmentarza. No a poza tym nigdy nie miałam różowego płaszcza.

*

Schodzę do kuchni, starając się omijać pudełka z lalkami, nalewam sobie naparsteczek porto do kieliszka i piję za swoje zdrowie.

Wyruszam na obchód cmentarza. Éliane podąża za mną. Odwiedzam wszystkie cztery kwartały: Oleandry, Trzmieliny, Cedry i Cisy. Wszystko w nienagannym stanie. Zaczynają się pojawiać biedronki. Grób Juliette Montrachet (1898–1962) ciągle tak samo piękny.

Co jakiś czas podnoszę doniczki z kwiatami, które się poprzewracały. José-Luis Fernandez jest na miejscu. Podlewa kwiaty żony. Tutti Frutti dotrzymuje mu towarzystwa. Panie Pinto i Degrange również. Każda z nich pieli w milczeniu grób męża. Pielą ziemię, która już ma dosyć tego ciągłego pielenia. Wszystkie chwasty padły tu już wieki temu.

Mijam małżeństwo, które znam z widzenia. Kobieta odwiedza od czasu do czasu grób siostry, Nadine Ribeau (1954–2007). Kłaniamy się sobie.

Przestało padać. Jest ładnie. Czuję głód. Śmierć Philippe’a Toussainta nie pozbawiła mnie apetytu. Czuję, jak jedwab sukienki ociera się o moje uda. Mówię sobie, że Léo nie będzie musiała tego przeżywać. Pochówku ojca. Ja też nie.

Dokonując wyboru, by zniknąć z mojego życia, Philippe Toussaint dokonał też wyboru, żeby wykpić się od śmierci. Nie będę musiała pielić jego grobu ani kupować mu kwiatów. Myślę o tym, jak uprawialiśmy seks, kiedy byliśmy młodzi. Od lat już nie uprawiałam seksu. W kwartale Cisów kieruję się w stronę kwater dzieci.

Groby są w większości białe. Wszędzie aniołki, na tablicach, na rabatach kwiatów, na płytach nagrobnych. Różowe serduszka i pluszowe misie, dużo świec i mnóstwo wierszy.

Nie ma dzisiaj rodziców. Przychodzą zazwyczaj po pracy, po piątej, szóstej, często ci sami. Początkowo spędzają tu całe dnie. Przybici, pogrążeni w smutku, pijani w sztok. Żywe trupy. Po kilku latach przychodzą rzadziej, i tak jest lepiej, bo życie biegnie dalej. A śmierć jest gdzie indziej.

Są tu też dzieci, które mają chyba ze sto pięćdziesiąt lat.

A za lat sto pięćdziesiąt kto o tym pomyśli
Co kochał, co stracił, nawet mu się nie przyśni
Za ulicznych złodziei wypijmy więc piwo!
Pójdziemy do piachu, Boże, marny ten żywot!
Popatrz, jak się tu na nas boczy każdy szkielet
Nie przejmuj się, nie oddawaj im wet za wet
Nic z nas nie pozostanie, ni z żadnego z tych wokół
Dam sobie rękę uciąć lub dam jej zgorzeć na popiół
Więc się uśmiechnij.

Przykucam przy grobach:

Anaïs Caussin (1986–1993)
Nadège Gardon (1985–1993)

Océane Degas (1984–1993)

Léonine Toussaint (1986–1993)

43

Niczym kwiecie, co powiew burzy zmiecie, śmierć
wzięła ją do siebie w wiośnie życia

Nawet nie wiesz, córeczko, jak bardzo miałam sobie za złe, że dałam ci w prezencie na Gwiazdkę te przybory do magii; udała ci się magiczna sztuczka, naprawdę zniknęłaś. Wraz z trzema koleżankami, w tym z Anaïs.

Inne pokoje w zamku pozostały nietknięte. Lub zdołano na czas ewakuować z nich dzieci. Już sama nie wiem, zapomniałam.

Tylko ten twój. Tylko ten wasz. Wasz pokój znajdował się najbliżej kuchni.

Zwarcie. Albo niewyłączona płyta grzewcza.

Albo jedzenie, które zapaliło się w kuchence.

Albo nieszczelny przewód gazowy.

Albo niedopałek papierosa.

Później, dowiem się później.

Brak przyboru w twoim zestawie do magii. Brak włazu w podłodze, brak oklasków, nie pojawiłaś się ponownie wśród okrzyków i przy ogłuszających dźwiękach muzyki.

Nicość, popioły, koniec świata.

Cztery malutkie życia unicestwione, spopielone. Wszystkie razem, jakby was położyć w jednym rzędzie, nie mierzyłybyście nawet trzech metrów, trzydzieści jeden lat życia małych dziewczynek.

Po tej nocy uleciałyście.

Zawsze to jakaś pociecha, nie cierpiałyście. Zaczadziałyście podczas snu. Kiedy płomienie zaczęły was lizać, już odeszłyście w senne marzenia. I tam pozostałyście.

Mam nadzieję, że śniło ci się, że jedziesz na kucyku, najdroższa, albo że pływasz w zatoczce jako syrena.

*

Po pociągu o piątej pięćdziesiąt położyłam się na kanapie i z trudem znów zasnęłam. Kiedy zadzwonił telefon, serce zaczęło mi łomotać w popłochu; myślałam, że zapomniałam o pociągu z siódmej zero cztery. Podniosłam słuchawkę. Śniło mi się przed chwilą, że matka Toussainta podarowała mi pluszowego misia bez oczu i pyszczka i że mu je namalowałam jednym z twoich mazaków.

Odezwał się żandarm, poprosił mnie o podanie tożsamości, usłyszałam twoje imię, „zamek Notre-Dame-des-Prés… La Clayette… cztery niezidentyfikowane ciała”.

Usłyszałam słowa „tragedia”, „pożar”, „dzieci”.

Usłyszałam: „Przykro mi”, znowu twoje imię, „przyjechali za późno… strażacy niczego nie mogli zrobić”.

Znów zobaczyłam, jak rozgniatasz żółtko ciastem pizzy i sprawiasz, że magicznym sposobem znikają serwetki, w czasie kiedy ja liczę: Trzy dania dnia plus dwa menu dla dzieci plus pięć napojów.

Mogłam nie uwierzyć mężczyźnie, który do mnie mówił przez telefon. Mogłam mu powiedzieć: „Pan się myli, Léonine to magiczka, ona się

znowu pojawi”, mogłam mu powiedzieć: „To jakiś numer matki Toussainta, zabrała mi ją i zastąpiła szmacianą lalką, która spłonęła w łóżku”, mogłam zażądać dowodów, odłożyć słuchawkę, powiedzieć mu: „Pański żart jest w bardzo złym guście”, mogłam mu powiedzieć… Ale od razu wiedziałam, że to, co mi mówi, jest prawdą.

Od czasów dzieciństwa nigdy nie robiłam dużo hałasu. Miałam nadzieję, że dzięki temu mnie zatrzymają, że mnie już z powrotem nie oddadzą. Z twojego dzieciństwa wyszłam z krzykiem.

Pojawił się Philippe Toussaint, wziął telefon, rozmawiał jeszcze trochę z żandarmem i zaczął krzyczeć, on też. Ale nie tak jak ja. Zwyzywał go. Twój ojciec powiedział wszystkie te brzydkie słowa, których zabranialiśmy ci mówić. W jednym zdaniu. Mnie twoja śmierć unicestwiła; po krzyku na długi czas przestałam mówić. Jego – zdenerwowała.

W czasie przejazdu pociągu z siódmej zero cztery żadne z nas nie wyszło opuścić szlabanu.

Bóg, którego tamtej nocy nie było w zamku Notre-Dame-des-Prés, raczył pojawić się koło naszego szlabanu, bo jedna tragedia na liście naszego życia to wystarczająco dużo. Żaden samochód nie przejeżdżał, żaden nie zderzył się z pociągiem z siódmej zero cztery. Normalnie o tej porze na drodze był duży ruch.

Żeby obsłużyć następne pociągi, Philippe Toussaint poszedł kogoś uprzedzić, poprosił o pomoc. Nigdy się nie dowiem, kto przyszedł.

Poszłam się położyć do sypialni i już nie wstałam.

*

Przyjechał doktor Prudhomme… wiem, nie lubiłaś go, mówiłaś o nim, że „niełądnie pachnie”, kiedy cię leczył z anginy, ospy wietrznej, zapalenia ucha.

Zrobił mi zastrzyk.

A potem drugi. I jeszcze jeden.

Ale nie tego samego dnia.

Philippe Toussaint zadzwonił do Célii po pomoc. Nie umiał sobie poradzić z moim bólem. Odstąpił go komuś innemu.

Zdaje się, że przyjechali jego rodzice. Nie przyszli przywitać się ze mną do sypialni. Dobrze zrobili. Po raz pierwszy i ostatni dobrze zrobili. Zostawili mnie samą. Wszyscy troje pojechali do La Clayette. Pojechali do ciebie, twoich nikłych resztek.

Célia przyjechała potem, później, nie wiem, straciłam poczucie czasu.

Pamiętam, że było ciemno, otworzyła drzwi i powiedziała: „To ja, jestem tu, jestem tu, Violette”. Jej głos utracił cały swój słoneczny blask. Tak, nawet głos Célii stał się mroczny, jak umarłaś.

Nie ośmieliła się mnie dotknąć. A ja leżałam jak zewłok na twoim łóżku. Bez ruchu. Célia powoli nakłoniła mnie, żebym coś zjadła. Zwymiotowałam. Żebym coś wypiła. Zwymiotowałam.

Philippe Toussaint zadzwonił, by powiedzieć jej, że z czterech ciał nic nie pozostało. Że to obraz nędzy i rozpaczy. Że tylko z was popiół został. Że nie da się żadnej zidentyfikować. Że złoży pozew. Że dostaniemy odszkodowanie. Że wszystkie inne dzieci wróciły do siebie. Że na miejscu wszędzie gliny. Że zostaniecie pochowane razem, jeśli się zgodzimy. I powtórzył to: „pochowane razem”. A żeby uniknąć dziennikarzy, tłumu, chaosu, zorganizowane to zostanie w najściślejszym gronie, na malutkim cmentarzu w Brancion-en-Chalon, parę kilometrów od La Clayette.

Poprosiłam Célię, aby oddzwoniła do Philippe’a Toussainta, żeby przywiózł twoją walizkę.

Powiedziała mi, że walizka spłonęła. „Nie cierpiały, umarły we śnie”, powtarzała. „My za nie będziemy cierpieć”, odparłam. Célia spytała mnie,

czy chcę, żeby włożono coś, jakiś przedmiot czy część ubioru, do trumny. Odpowiedziałam: „Mnie”.

*

Minęły trzy dni. Célia powiedziała mi, że następnego dnia wyjedziemy wcześnie. Że musi mnie zabrać do Brancion-en-Chalon na uroczystość pogrzebową. Spytała, co chcę włożyć, czy chcę, żeby poszła kupić jakieś ubranie. Nie zgodziłam się na zakupy i na wyjazd na pogrzeb. Célia powiedziała mi, że to niemożliwe. Że to nie do pomyślenia. Odparłam, że owszem, możliwe, że nie pojadę na pogrzeb popiołów mojej córki. Że ona już jest daleko, gdzie indziej. „Jak chcesz przejść po niej żałobę, to nieodzowne, musisz pożegnać się z Léonine”, tłumaczyła mi Célia. Odpowiedziałam, że nie, nie pojadę, że chcę pojechać do Sormiou, do zatoczki. Że tam cię pożegnam. Morze mnie z tobą połączy, po raz ostatni.

Pojechałyśmy z Célią jej samochodem. Nie pamiętam podróży. Byłam otumaniona, na lekach. Nie spałam, nie byłam też przytomna. Znajdowałam się jakby w gęstej mgle, w dziwnym stanie permanentnego koszmaru, kiedy wszystkie zmysły są znieczulone, wszystko z wyjątkiem bólu jest przytłumione. Jak w przypadku ludzi, których się unieruchamia na czas operacji, ale którzy czują każdy z gestów chirurga. Smutek rozgniatał mi kości. Oddychanie sprawiało mi ból.

„W skali od jednego do dziesięciu jak scharakteryzowałaby pani ten ból?” Jako „nieokreślony, nieskończony, wieczny”.

Czułam się tak, jakby przez cały dzień amputowano mi po kawałku ciała.

Serce mi wysiądzie, myślałam i miałam nadzieję, że wysiądzie już zaraz. Chciałam umrzeć.

Przyciskałam do ciała dwie butelki starej śliwowicy. Butelki, które Philippe Toussaint przywiózł do domu przy przejeździe kolejowym jeszcze ze swojej kawalerki. Od czasu do czasu pociągałam łyczek trunku, który mnie palił tam w środku, gdzie cię nosiłam.

Wjechałyśmy na krętą drogę prowadzącą do zatoczki w Sormiou. Nazywa się ona Drogą Ognia. Poprzedniego roku nie zwróciłam na to uwagi.

Nie rozebrałam się przed wejściem do morza. Zanurzyłam się, zamknęłam oczy i usłyszałam ciszę, i usłyszałam nasze ostatnie wakacje, szczęście, łzy radości.

Od razu cię poczułam, poczułam twoją obecność. Jak pieszczotę delfina ocierającego się o mój brzuch, o uda, ramiona, twarz. Coś delikatnego, co mnie opływało wokół z prądem wody. Poczułam, że jesteś tam, gdzie jesteś. Poczułam, że się nie boisz. Poczułam, że nie jesteś sama.

Zanim Célia chwyciła mnie za ramiona i wyciągnęła na powierzchnię, wyraźnie usłyszałam twój głos. Miałaś głos kobiecy, głos, którego nigdy już nie usłyszę. Wydaje mi się, że usłyszałam: „Mamo, musisz się dowiedzieć, co się stało tej nocy”. Nie zdążyłam ci odpowiedzieć.

– Violette, Violette!!! – wrzeszczała Célia.

Ludzie, plażowicze w strojach kąpielowych, takich jak my w ubiegłym roku, pomogli jej doholować mnie do brzegu, tylko do brzegu.

44

Ptaszyno, jeśli na ten grób przylecisz, zaśpiewaj najpiękniejszą piosenkę

Pogoda jest wspaniała. Majowe słońce pieści ziemię, którą skopuję łopatą. Trzy stare kocury przypominają sobie młode lata wśród liści nasturcji i uganiają się razem za wyimaginowanymi myszami. Parę nieufnych kosów śpiewa trochę dalej. Éliane śpi na grzbiecie, z łapkami w górze.

Przykucnąwszy w ogródku, kończę wysadzanie do gruntu pomidorów, słuchając audycji o Fryderyku Chopinie. Postawiłam swoje radyjko na baterie na drewnianej ławce, którą parę lat temu kupiłam na bazarze. Od czasu do czasu maluję ją na niebiesko albo na zielono. Z upływem lat powlekła się śliczną patyną.

Nono, Gaston i Elvis poszli na obiad. Cmentarz wydaje się opustoszały. Chociaż usytuowany jest niżej niż mój ogródek, są jednak takie alejki, których nie widzę przez kamienny murek.

Zdjęłam szarą bluzę, by uwolnić kwiaty z bawełnianej sukienki. Włożyłam stare gumowce.

Lubię dawać życie. Siać, podlewać, zbierać. Każdego roku na nowo. Lubię życie takie jak dzisiaj. Rozsłonecznione. Lubię zajmować się

rzeczami zasadniczymi. To Sasha mnie tego nauczył.

Nakryłam w ogródku do stołu. Zrobiłam sałatkę z różnokolorowych pomidorów i sałatkę z soczewicy, kupiłam trochę serów różnego rodzaju i porządną bagietkę. Otworzyłam butelkę białego wina i wstawiłam ją do wiaderka z lodem.

Lubię porcelanowe zastawy i bawełniane obrusy. Lubię kryształowe kieliszki i srebrne sztućce. Lubię piękno rzeczy, bo nie wierzę w piękno dusz. Lubię życie takie jak dzisiaj, ale życie warto przeżyć tylko wówczas, gdy można je przeżyć z przyjacielem. Podlewając rozsady, myślę o księdzu Cédricu, moim przyjacielu, na którego właśnie czekam. Jemy razem obiad w każdy wtorek. To taki nasz rytuał. Chyba że wypadnie pogrzeb.

Ksiądz Cédric nie wie, że moja córka spoczywa na moim cmentarzu. Oprócz Nona nie wie nikt. Nawet mer tego nie wie.

Często opowiadam o Léonine, bo nie mówić o niej znaczyłoby na nowo ją uśmiercić. Nie wymawiać jej imienia znaczyłoby usprawiedliwiać milczenie. Żyję z jej wspomnieniem, ale nikomu nie mówię, że jest wspomnieniem. Żyje dla mnie gdzie indziej.

Kiedy mnie proszą o jej zdjęcie, pokazuję ją jako dziecko, z tym dziurawym uśmiechem. Mówią, że jest do mnie podobna. Nie, Léonine jest podobna do Philippe’a Toussainta. Ze mnie nie miała w sobie niczego.

*

– Dzień dobry, Violette.

Ksiądz Cédric właśnie przyszedł. Trzyma pudełko z ciastkami i mówi mi z uśmiechem:

– Łakomstwo to paskudna przywara, ale nie grzech.

Ma na ubraniu zapach kadzidła z kościoła, a ja białych róż.

Nigdy nie witamy się uściskiem dłoni ani się nie całujemy, ale stukamy się kieliszkami.

Idę umyć ręce i do niego wracam. Nalał nam wina. Siadamy twarzą do warzywniaka i, jak zazwyczaj, najpierw mówimy o Bogu jak o starym wspólnym kumplu, którego straciło się z oka: dla mnie łotr, którego nie darzę zaufaniem, a dla niego ktoś nadzwyczajny, przykładny i oddany. Po czym komentujemy aktualne wydarzenia w skali międzynarodowej i burgundzkiej. Na koniec zostawiamy sobie zawsze to, co najlepsze, powieści i muzykę.

Zwykle nie przekraczamy bariery intymności. Nawet po dwóch kieliszkach wina. Nie wiem, czy kiedykolwiek był w kimś zakochany. Nie wiem, czy kiedykolwiek uprawiał seks. A on nie wie niczego o moim życiu prywatnym.

Tym razem, kiedy głaszcze My Way, po raz pierwszy w ciągu naszej znajomości ośmiela się zapytać mnie, czy Julien Seul to „tylko przyjaciel", czy też jest między nami coś innego. Odpowiadam mu, że nie ma między nami niczego innego prócz historii, którą zaczął mi opowiadać i na której koniec czekam. Opowieści o Irène Fayolle i Gabrielu Prudencie. Nie wymieniam ich z imienia i nazwiska. Mówię tylko, że czekam, aż Julien Seul opowie mi koniec tej historii.

– Chce pani powiedzieć, że jak skończy opowiadać tę historię, to go pani więcej nie zobaczy?

– Tak, zapewne.

Idę po talerzyki deserowe. Jest ciepło. Od wina kręci mi się w głowie.

– Ciągle chce ksiądz mieć dziecko?

Dolewa sobie wina do kieliszka i stawia My Way przy swoich nogach.

– Nie daje mi to spać. Wczoraj wieczorem oglądałem w telewizji *Córkę studniarza*, a ponieważ w tym filmie w gruncie rzeczy nie mówi się

o niczym innym jak o ojcostwie, miłości i pokrewieństwie, przepłakałem cały wieczór.

– Proszę księdza, przystojny z księdza mężczyzna. Mógłby ksiądz kogoś spotkać i mieć dziecko.

– I opuścić Boga? Nigdy.

Nasze widelczyki zagłębiają się w lukier i posypkę migdałową, którymi pokryte jest jedno z ciastek. Słyszy ode mnie słowa dezaprobaty, ale nic nie mówi. Tylko się uśmiecha.

Często powtarza mi: „Violette, nie wiem, co wy tam sobie oboje z Panem Bogiem naopowiadaliście dzisiaj rano przy śniadaniu, ale wydaje mi się pani bardzo na Niego zagniewana”. A ja mu zawsze odpowiadam: „No bo On nigdy nie wyciera nóg, kiedy do mnie przychodzi”.

– Czuję się związany z Bogiem. Poszedłem Jego drogą. Jestem na tej ziemi po to, by Mu służyć, ale pani, Violette… Dlaczego nie ułoży sobie pani życia na nowo?

– Bo życia nigdy nie da się ułożyć na nowo. Proszę wziąć kawałek papieru i go porwać, próżno by sklejać każdy ze skrawków, zawsze będzie widać rozdarcia, zagięcia i taśmę.

– Zgoda, ale jak się te kawałki poskleja, to da się dalej na tym papierze pisać.

– Tak, jeśli się ma dobry mazak.

Wybuchamy śmiechem.

– Co ksiądz zrobi z tym pragnieniem ojcostwa?

– Zapomnę o nim.

– O pragnieniu nie da się zapomnieć, zwłaszcza tak głębokim.

– Zestarzeję się, jak każdy, i mi przejdzie.

– A jak nie przejdzie? To nie dlatego, że się starzejemy, zapominamy.

Ksiądz Cédric zaczyna śpiewać:

– *Z czasem, z czasem wszystko ulatuje. Ta, którą kochałeś, której szukałeś w deszczu strugach, ta, której się domyślałeś, muskając spojrzeniem…*

– Ubóstwiał już ksiądz kogoś?

– Boga.

– Kogoś.

Odpowiada mi z ustami pełnymi kremu:

– Boga.

45

Myśli się, że śmierć to nieobecność, a to tajemna obecność

Léonine nie przestała sprawiać, że rzeczy jedna po drugiej znikały. Pokój powoli pustoszał. Ubrania i zabawki poszły do Ruchu Emmaüs. Za każdym razem, kiedy Paulo, bo tak miał na imię, parkował przed moim domem ciężarówkę z namalowaną podobizną ojca Pierre’a, gdy podawałam mu worki pełne różowych rzeczy, miałam uczucie, jakbym oddawała jeden z organów Léo, żeby skorzystało z niego jakieś inne dziecko. By życie toczyło się dalej dzięki jej lalkom, spódniczkom, bucikom, zamkom, perłom, pluszakom, kredkom.

Zniknęła Gwiazdka. Już nigdy więcej nie było choinki. Wspaniała sztuczna choinka, dzięki której miałyśmy ocalić prawdziwe drzewka, pozostanie chyba najgorszą inwestycją w moim życiu. Wielkanoc, Nowy Rok, Dzień Matki, Dzień Ojca, daty urodzin… Po jej śmierci już nigdy więcej nie zdmuchiwałam świeczek na torcie.

Żyłam w czymś w rodzaju stałej etylowej śpiączki. Jak gdyby moje ciało, chcąc uniknąć bólu, wprawiało się w stan upojenia, chociaż nie wypiłam ani kropli alkoholu… No, nie zawsze. Czasem piłam na umór. Żyłam jakby w kokonie z waty, ruchy miałam niezgrabne, spowolnione. Jak

Tintin, kiedy wisiał jeszcze przyczepiony do drzwi pokoju Léonine, chodziłam po Księżycu.

Skończyłam sok z owoców granatu. Skończyłam Prince, Savane, muszelki, syrop Advil podawany pipetą. W tym samym czasie wstawałam, opuszczałam szlaban, znów się kładłam spać, wstawałam, robiłam jedzenie Philippe'owi Toussaintowi, podnosiłam szlaban, na powrót kładłam się spać.

Odpowiadałam na „szczere kondolencje" na Grand-Rue. Dziękowałam za nie w licznych listach. Powkładałam niezliczone rysunki koleżanek z klasy do koszulki w kolorze niebieskim. Tak jakby Léo była chłopcem. Jakby tak naprawdę nie istniała.

Najgorsze w najgorszym było natknąć się na przerażone spojrzenie Stéphanie siedzącej za kasą, za każdym razem, kiedy wchodziłam do Casino. To i noce, tego najbardziej się obawiałam. Przygotowywałam się godzinami, żeby mi się udało wyjść z domu, przejść przez drogę i otworzyć drzwi marketu. Spuszczałam oczy, pchając przed sobą niewielki wózek wąskimi alejkami, aż w końcu napotykałam spojrzenie Stéphanie. Jak tylko mnie dostrzegała, smutek i rozpacz malowały się na jej twarzy, przesłaniały mgłą oczy. To już nie było nawet moje odbicie, istny obraz nędzy i rozpaczy. Nie reagowała, widząc, co stawiam na ladzie. Butelki alkoholu. Mówiła, ile razem, i dodawała „Proszę". Podawałam kartę bankową, wstukiwałam PIN, do widzenia, do jutra.

Nie proponowała mi już nowości, „produktów topowych", jak wcześniej mówiła. Wszystkich tych specyfików, które sama testowała. Płynu do zmywania wygładzającego dłonie, proszku do prania, który ładnie pachnie i sprawdza się już w temperaturze trzydziestu stopni, nawet w zimnej wodzie, pysznego kuskusu z warzywami z działu mrożonek, magicznej miotełki do kurzu, oleju omega trzy. Matce, która straciła

dziecko, nie proponuje się już niczego. Ani promocji, ani kuponów zniżkowych. Pozwala jej się bez słowa kupować whisky. Kiedy otwierałam drzwi do swojego mieszkania, wciąż czułam wzrok Stéphanie na plecach.

Przyszedł czas rozmów z ubezpieczycielami, z adwokatami. Miał być proces – dyrekcja zamku Notre-Dame-des-Prés miała stanąć przed sądem, miejsce miało zostać zamknięte na zawsze. Oczywiście, mieliśmy dostać odszkodowanie.

Ile kosztuje życie, które waży siedem i pół roku?

Każdej nocy słyszałam głos Léo, ten kobiecy głos, jak mi mówi: „Mamo, musisz się dowiedzieć, co się stało tej nocy, musisz się dowiedzieć, dlaczego mój pokój spłonął”. I te właśnie słowa pozwalały mi wytrwać. Potrzebowałam jednak wielu lat, żeby wykonać to polecenie. Nie nadawałam się do tego fizycznie. Ból był zbyt silny, żebym zdołała się do tego zmobilizować.

Potrzebowałam czasu. Nie tyle czasu, żeby lepiej się poczuć, bo już nigdy nie będę się dobrze czuła. Czasu, by znowu móc się ruszać, działać.

*

Każdego roku, od trzeciego do szesnastego sierpnia, SNCF, koleje francuskie, przysyłały nam zastępców. Philippe Toussaint, który nie wspierał mnie w moim „chorobliwym delirium”, wyruszał motorem do kumpli w Charleville, a ja do Sormiou. Célia wychodziła po mnie na dworzec w Saint-Charles, zawoziła do domku letniego, po czym zostawiała mnie samą z moimi wspomnieniami. Od czasu do czasu wpadała i piłyśmy wino, patrząc na morze.

Święto Zmarłych obchodziłam w sierpniu. Zanurzałam się i czułam córkę, której już nie było.

Nie otrzymałam żadnej wiadomości od Armelle i Jean-Louisa Caussinów, rodziców Anaïs. Ani telefonu, ani listu, żadnego znaku życia. Musieli mieć mi za złe, że nie pojechałam na pogrzeb popiołów naszych dzieci.

Starzy Toussaintowie kilkakrotnie odwiedzili cmentarz. Za każdym razem zabierali ze sobą syna. Ich również nigdy więcej po śmierci Léonine nie widziałam. Już do mnie nie przychodzili. Taka była między nami cicha umowa.

Wściekłość i obietnica dużego odszkodowania dodawały sił Philippe'owi Toussaintowi. Jego obsesją było, żeby sprawcy pożaru zapłacili za swoje. Powtarzano mu jednak ciągle, że „sprawców" nie ma, że to był wypadek. Co doprowadzało go do jeszcze większej wściekłości. Milczącej wściekłości. Chciał dostać odszkodowanie. Myślał, że za prochy naszej córki należy mu się ich równowartość w złocie.

Zaczął się zmieniać fizycznie – posiwiał, a rysy mu stężały.

Kiedy dwa razy do roku wracał z cmentarza w Brancion-en-Chalon, gdy rodzice zostawiali go przed domem i odjeżdżali, nigdy nie zajrzawszy do środka, nie mówił mi nic. Wstając rano, nie mówił mi nic. Kiedy ruszał na przejażdżkę, nie mówił mi nic. Przy stole nie mówił mi nic. Hałasowały tylko piekielnie te jego gry wideo, w które grywał, siedząc przed telewizorem z padem w ręce. I od czasu do czasu, kiedy dzwonili żandarmi, adwokaci czy ubezpieczyciele, wrzeszczał i domagał się rozliczeń.

Sypialiśmy ciągle razem, ale ja już nie mogłam zasnąć. Nawiedzały mnie koszmary. Nocą wtulał się we mnie. A ja wyobrażałam sobie, że to moja córka leży tam za mną.

Raz czy dwa powiedział mi: „Zrobimy sobie drugie dziecko", a ja odparłam „Tak", ale oprócz antydepresantów i środków uspokajających brałam też środek antykoncepcyjny. Łono miałam martwe. Nosić życie

w martwym ciele? Nigdy. Razem z Léo to również zniknęło: możliwość posiadania drugiego dziecka.

Mogłam była odejść, opuścić Philippe’a Toussainta po śmierci córki, ale nie miałam na to ani siły, ani odwagi. Philippe Toussaint był jedyną rodziną, jaka mi została. Pozostać przy tym człowieku znaczyło również pozostać przy Léonine. Patrzeć codziennie na rysy twarzy jej ojca to patrzeć na jej rysy. Przejść przed drzwiami do jej pokoju to otrzeć się o jej świat, odciski, ślady na ziemi. Już do końca będę kobietą, która nigdy nie rzuci, która będzie porzucana.

*

We wrześniu 1995 roku dostałam paczkę, na której nie było nazwiska nadawcy. Wysłana została z Brancion-en-Chalon. Początkowo sądziłam, że może pochodzić wyłącznie od mojej drogiej Célii. Że pojechała tam, na cmentarz. Jednak nie rozpoznałam jej pisma.

Kiedy otworzyłam paczkę, musiałam usiąść. Trzymałam w dłoniach białą tablicę nagrobną, z pięknie wygrawerowanym białym delfinem z boku, ze słowami: *Moja najdroższa, urodziłaś się 3 września, dokonałaś żywota 13 lipca, ale dla mnie zawsze będziesz 15 sierpnia*.

Ja sama mogłam napisać te słowa. Kto mi przysłał tę tablicę? Ktoś chciał, żebym pojechała ją położyć na grobie Léonine, ale kto?

Włożyłam ją z powrotem do pudełka i schowałam do szafy w sypialni, pod stosem ręczników, których nigdy nie używaliśmy.

Gdy składałam pranie, odkryłam listę nazwisk opatrzonych opisami funkcji:

Édith Croquevieille, dyrektorka

Swan Letellier, kucharz

Geneviève Magnan, sprzątaczka

Éloïse Petit i Lucie Lindon, wychowawczynie

Alain Fontanel, konserwator

Spis personelu zamku Notre-Dame-des-Prés, sporządzony przez Philippe’a Toussainta. Musiał zanotować ich nazwiska w ciągu tego tygodnia, kiedy odbywał się proces. Lista znajdowała się na odwrotnej stronie rachunku za posiłek dla trzech osób w Café du Palais z roku, w którym odbył się proces. Trzy osoby: Philippe Toussaint i prawdopodobnie jego rodzice.

Wzięłam to jako znak pochodzący od Léonine. Tego samego dnia, którego dostałam tablicę, w ręce wpadła mi lista osób, które widziały ją po raz ostatni.

Poczynając od tego dnia, zaczęłam wychodzić z domu i machać do pasażerów w pociągach, stojąc przy szlabanie. I poczynając od tego dnia, Philippe Toussaint zaczął na mnie patrzyć tak, jakbym postradała zmysły. Ale mnie nie zrozumiał, ja je odzyskiwałam.

Zaczęłam od tego, że zniszczyłam swoją ochronę chemiczną. Powoli odstawiłam lekarstwa. Alkohol całkowicie. Ogarnął mnie ból, ale wiedziałam, że po raz drugi nie umrę.

Wyszłam z domu, przez szybę spojrzałam w oczy siedzącej za kasą Stéphanie, która się do mnie smętnie uśmiechnęła. Szłam dobre dziesięć minut, myśląc o tym, że ostatnim razem, kiedy pokonywałam tę trasę, miałam w kieszeni rączkę córki. Teraz moje kieszenie już zawsze będą puste, ale rączka mojej córki nie przestanie mnie prowadzić. Popchnęłam drzwi wejściowe z napisem *Szkoła jazdy Bernard*, żeby zapisać się na kurs prawa jazdy.

46

Nie ma Cię już tam, gdzie byłaś, ale jesteś wszędzie tam, gdzie ja jestem

Powoli się rozbudzam, popijając małymi łyczkami gorącą herbatę. Promienie porannego słońca przedostają się nieśmiało przez zasłonki w kuchni. W środku unosi się trochę kurzu, ładnie to wygląda, wręcz feerycznie. Nastawiłam cicho muzykę, Georges'a Delerue, temat z filmu *Noc amerykańska*. Trzymam filiżankę w prawej ręce, a lewą głaszczę Éliane, która wyciąga do mnie łebek, mrużąc oczy. Uwielbiam czuć jej ciepło pod palcami.

Nono puka i wchodzi. Podobnie jak ksiądz Cédric nigdy mnie nie całuje ani nie podaje mi ręki. Tylko „Dzień dobry" lub „Dobranoc, moja Violette". Zanim naleje sobie kawy, kładzie „Journal de Saône-et-Loire" na stole, żebym mogła przeczytać nagłówek: *Brancion-en-Chalon: wypadek na drodze, motocyklista zidentyfikowany*. Słyszę, jak mówię do Nona matowym głosem:

– Czy możesz mi przeczytać ten artykuł? Proszę, nie mam okularów.

Éliane, która wyczuwa nerwowość w moich palcach, łasi się przez chwilę do Nona, jakby go pozdrawiała, po czym drapiąc w drzwi pazurkami, prosi, żeby ją wypuścić na dwór. Nono głaszcze ją, otwiera

i wraca. Przysuwa sobie krzesło, by siąść na wprost mnie, grzebie w kieszeni, zakłada okulary, za które z ubezpieczenia społecznego dostaje się sto procent zwrotu, i zaczyna czytać, sylabizując, trochę jak dziecko w szkole podstawowej. Tak jak ja, wtedy gdy Léonine była dzieckiem i czytałam jej z elementarza Boschera: *Gdyby wszystkie dziewczynki na świecie podały sobie ręce, mogłyby utworzyć krąg wokół morza*. Ale słowa nie są takie same jak w mojej kolorowej książce.

> *Ofiara śmiertelnego wypadku w Brancion-en-Chalon została zidentyfikowana przez partnerkę. Chodzi o mieszkańca regionu lyońskiego. Mężczyzna został znaleziony martwy 23 kwietnia tego roku w Brancion-en-Chalon. Z pierwszych ustaleń żandarmerii wynika, że motocyklista stracił panowanie nad pojazdem i zmarł w wyniku poniesionych obrażeń. Jego motocykl – potężna maszyna marki Hyosung Aquila koloru czarnego o pojemności 650 cm^3 – nie miała numeru rejestracyjnego. Partnerka kierowcy zgłosiła zaginięcie, dzięki czemu można było powiązać ze sobą oba zdarzenia.*

Przerywają nam członkowie rodziny jakiegoś zmarłego, którzy wchodzą grupkami na cmentarz. Niektórzy z nich grają na gitarach akustycznych. Każdy trzyma w ręce nadmuchany balon.

Nono odkłada gazetę i mówi mi:

– Pójdę tam.

– Ja też.

Wkładając czarny płaszcz, zastanawiam się, czy powinnam powiedzieć policji, że Philippe Toussaint wyszedł ode mnie.

„Tylko cisza”, mawiał często Sasha.

Czy jeszcze za mało się nacierpiałam? Czy nie zasługuję na spokój?

Nawet martwy Philippe Toussaint wciąż mnie nęka. Przypominam sobie jego ostatnie słowa i siniaki, które zostawił na moim ramieniu.

Chcę wieść spokojny żywot. Chcę żyć tak, jak uczył mnie Sasha. Tu i teraz. Chcę Życia. Chcę zapomnieć o tym bezużytecznym człowieku, którego rodzice zabrali mi moje jedyne słońce.

*

Karawan wjeżdża na cmentarz i dociera do grobu rodziny Gambinich. To pogrzeb słynnego właściciela objazdowego wesołego miasteczka, Marcela Gambiniego, który przyszedł na świat pewnego dnia w 1942 roku w gminie Brancion-en-Chalon. Rodzice ledwo zdążyli go zostawić w wiejskim kościółku, zanim wywieziono ich do obozu koncentracyjnego.

Byłam niemal gotowa wyrazić życzenie, ażeby ludzie na skraju rozpaczy przychodzili oddawać dzieci księdzu Cédricowi. Loteria życia czasami kiepsko działa. Tak bardzo bym chciała być wychowana raczej przez człowieka takiego jak ksiądz Cédric niż odsyłana od jednej rodziny do drugiej.

Na pogrzebie Marcela jest ponad trzysta osób, wliczając w to gitarzystów, skrzypków i basistę, którzy grają nad trumną utwory Django Reinhardta. Ich muzyka kontrastuje ze smutkiem, łzami płynącymi z oczu, posępnymi spojrzeniami i przygarbionymi sylwetkami tych zagubionych ludzi. Wszyscy milkną, kiedy głos zabiera wnuczka Marcela, Marie Gambini, szesnastoletnia dziewczyna.

– Dziadek lubił watę cukrową, soczyste jabłka w karmelu, zapach naleśników i gofrów, pianki marshmallow, nugat i churros. Frytki przyprawiane solą życia, brudne paluchy prostego szczęścia. Zawsze będzie mieć na twarzy uśmiech dziecka trzymającego z miną zwycięzcy czerwoną rybkę w torebce z wodą. Wędka w jednej ręce, nadmuchany balon

w drugiej, siedzi na drewnianym koniku. Oto co było ważne w jego życiu: dać nam możliwość strzelania z wiatrówki, godziny spędzone na wołaniu „A kuku!” do dzieci wyglądających przez okienko makiety samolotu, pluszowe tygrysy wręczane dzieciom jako trofeum, wozy strażackie czy samochody wyścigowe, karuzela. Mój dziadek to ulotne chwile szczęścia i pierwszych wzruszeń, pocałowanie po raz pierwszy gąsienicy, wejście do zamku, w którym straszy, do labiryntu. To posypywane cukrem pudrem rurki z kremem, których smak już zawsze kojarzyć nam się będzie ze szczęściem. Mój dziadek to też głos, muzyka, bożyszcze przepowiadających przyszłość z ręki Cyganek. Cygański jazz miał we krwi, a teraz szuka nowych akordów tam, gdzie nie możemy go już usłyszeć. Linia życia na jego dłoni dobiegła końca. Nie mówię ci: Spoczywaj w pokoju, drogi dziadku, bo to nie dla ciebie. Mówię ci po prostu: Baw się dobrze i do zobaczenia.

Składa na trumnie pocałunek. Reszta rodziny za nią.

W czasie gdy Pierre i Jacques Lucchini opuszczają trumnę Marcela Gambiniego do grobowca, muzycy znowu zaczynają grać *Minor Swing* Django Reinhardta. Każdy z żałobników wypuszcza balon, który leci do nieba. Po czym członkowie rodziny rzucają na trumnę loteryjne losy i pluszaki.

Dziś wieczorem nie zamknę bramy cmentarnej o dziewiętnastej; rodzina Gambinich zwróciła się do mnie o pozwolenie, by zostać przy grobie na kolację. Dałam im zgodę do północy. W geście podziękowania podarowali mi kilkadziesiąt biletów na karuzelę w wesołym miasteczku, które rozstawią w Mâcon za dwa tygodnie. Nie ośmieliłam się odmówić. Dam je wnukom Nona.

Nie wiem, czy życie człowieka można oceniać po pogrzebie, jaki mu wyprawiono, ale pogrzeb Marcela Gambiniego jest jednym

z najpiękniejszych, w jakich dane mi było uczestniczyć.

47

Mrok musi zgęstnieć, by pojawiła się pierwsza gwiazda

W styczniu 1996 roku, cztery miesiące po otrzymaniu tabliczki nagrobnej, włożyłam ją do torebki i powiedziałam Philippe’owi Toussaintowi, że chociaż raz przyjdzie mu popracować – miał popilnować przejazdu przez dwa dni. Nie dałam mu czasu na odpowiedź, od razu odjechałam samochodem Stéphanie, czerwoną pandą, w której towarzystwa dotrzymywał mi biały pluszowy tygrys wiszący na lusterku wstecznym.

Miałam przed sobą trzy i pół godziny drogi. Jechałam sześć godzin. Nic już nie będzie normalne. Kilka razy musiałam się zatrzymać. Podczas podróży słuchałam radia. Śpiewałam Léonine, wyobrażałam sobie, jak – dwa i pół roku wcześniej – siedzi na tylnym siedzeniu w samochodzie Caussinów, z fiolką cocculine w kieszeni i przytulanką w rączkach.

– *Niczym pszczółka, niczym ptaszek, senne marzenie ulatuje niby chmurka czy wietrzyk; w blasku księżyca noc zapada, ogień w kominku przygasa, żar szarzeje, kwiat płatki tuli od rosy, tylko mgła się podnosi*…

Patrząc na domy, drzewa, drogi, wszystkie te widoki, próbowałam sobie wyobrazić, co przyciągnęło wtedy jej uwagę. Czy zmorzył ją sen? Czy robiła czarodziejskie sztuczki?

Rzadko nam się zdarzało jechać razem samochodem, a jeśli już, to z Célią lub Stéphanie. Zwykle jeździłyśmy pociągiem. Nie mieliśmy samochodu, Philippe'owi Toussaintowi wystarczał motocykl. Dzięki temu nie musiał nas nigdzie wozić. A nawet gdyby miał samochód, to gdzie mógłby nas zawieźć?

Przyjechałam do Brancion-en-Chalon koło szesnastej. Pora na podwieczorek, pomyślałam. Drzwi domku dozorcy cmentarnego były uchylone. Nikogo nie zobaczyłam. O nic nie pytałam. Chciałam znaleźć Léonine sama.

Cmentarz przypominał mapę miejsca, w którym ukryto skarb, jak we śnie. A na jawie – horror.

Po półgodzinnym błądzeniu pomiędzy grobami, z białą tabliczką w rękach, znalazłam w końcu kwatery dzieci w kwartale Cisów. Powinnam teraz szykować dla Léonine wyprawkę do szkoły, pomyślałam, kupować przybory szkolne, wypełniać formularze, zakazywać jej malowania oczu, a tymczasem, szukając na grobie jej nazwiska, błąkam się niczym smętna dusza, bardziej martwa od tych, którzy tam leżeli.

Długo zastanawiałam się, co ja takiego złego zrobiłam, żeby na to zasłużyć. Długo zastanawiałam się, za co chciano mnie ukarać. Dokonałam przeglądu wszystkich popełnionych błędów. Kiedy nie potrafiłam jej zrozumieć, kiedy się na nią denerwowałam, kiedy jej nie słuchałam, kiedy jej nie uwierzyłam, kiedy nie zrozumiałam, że jej zimno lub gorąco albo naprawdę boli ją gardło.

Ucałowałam jej imię i nazwisko wyryte w białym marmurze. Nie prosiłam o wybaczenie, że nie pojawiłam się wcześniej. Nie obiecałam, że będę przyjeżdżać częściej. Powiedziałam jej, że wolę się z nią spotykać w Morzu Śródziemnym w sierpniu, że to o wiele lepiej do niej pasuje niż to

miejsce ciszy i łez. Obiecałam, że się dowiem, co się wydarzyło tamtej nocy, dlaczego jej pokój się spalił.

I postawiłam tabliczkę nagrobną, *Moja najdroższa, urodziłaś się 3 września, dokonałaś żywota 13 lipca, ale dla mnie zawsze będziesz 15 sierpnia*. Pośród kwiatów, wierszy, serduszek i aniołków. Obok innej tablicy, na której było napisane: *Słońce zaszło zbyt wcześnie*.

Nie potrafię powiedzieć, ile czasu tam zostałam, ale gdy odchodziłam, brama cmentarna była już zamknięta na klucz.

Musiałam zapukać do dozorcy. W domu widać było światło. Ciepłe i przyciemnione. Próbowałam zajrzeć przez okno, ale zaciągnięte firanki nie pozwoliły mi niczego zobaczyć. Musiałam zapukać jeszcze raz, i znowu, do drzwi, w okno. Nikt się jednak nie pojawił. W końcu popchnęłam uchylone drzwi wejściowe. Weszłam, głośno pytając: „Jest tu kto?”. Nikt mi nie odpowiedział.

Usłyszałam hałas na piętrze, kroki nad głową i muzykę, Bacha. Przebijał się przez nią głos spikera radiowego.

Od razu polubiłam ten dom. Ściany i zapachy. Zamknęłam za sobą drzwi i czekałam, oglądając meble wokół siebie. Kuchnia została urządzona jak herbaciarnia. Na półkach stało z pięćdziesiąt oznaczonych etykietkami puszek. Nazwy były napisane odręcznie długopisem. Gliniane czajniczki, również z etykietkami, z takimi samymi nazwami jak na puszkach z herbatą. Zapalone świece zapachowe.

Chwilę wcześniej stałam nad prochami córki, a wystarczyło pchnąć drzwi, by znaleźć się na innym kontynencie.

Myślę, że czekałam długo, zanim usłyszałam kroki na schodach. Zobaczyłam czarne kapcie, czarne lniane spodnie i białą koszulę. Mężczyzna mógł mieć jakieś sześćdziesiąt pięć lat. Wyglądał na człowieka

o wietnamsko-francuskich korzeniach. Nie zdziwił się, widząc mnie przy drzwiach, powiedział tylko:

– Przepraszam panią, brałem prysznic, proszę usiąść.

Miał głos podobny do Jean-Louisa Trintignanta. Przytłumiony, melancholijny, ciepły i zmysłowy. I tym głosem powiedział: „Przepraszam panią, brałem prysznic, proszę usiąść”, jakbyśmy byli umówieni. Myślałam, że bierze mnie za kogoś innego. Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo zaraz dodał:

– Przygotuję pani kubek mleka sojowego z mielonymi migdałami i kwiatami pomarańczy.

Wolałabym kieliszek wódki, ale nie zareagowałam. Patrzyłam, jak nalewa do miksera mleka, dodaje kwiatów pomarańczy i mielonych migdałów, po czym napełnia tym napojem duży kubek. Następnie włożył do niego różnokolorową słomkę, jakbyśmy byli na urodzinach jakiegoś dziecka, i mi podał. Uśmiechnął się przy tym do mnie tak, jak nikt inny się jeszcze do mnie nie uśmiechnął, nawet Célia.

Wszystko miał długie. Nogi, ramiona, dłonie, szyję, oczy, usta. Jakby jego członki i rysy twarzy skrojone zostały podwójną miarką. Taką, jakiej się używa w podstawówkach do mierzenia świata na mapach geograficznych.

Zaczęłam pić przez słomkę; bardzo mi smakowało – przypominało mi dzieciństwo, którego nie miałam, potem dzieciństwo Léonine, przypominało mi coś nieskończenie dobrego. Łzy trysnęły mi z oczu. Po raz pierwszy w życiu odczuwałam taką przyjemność, coś przełykając. Czternastego lipca 1993 roku straciłam smak. Zniknął, tak jak znikały wszystkie zaczarowane przez Léonine rzeczy.

Powiedziałam: „Przepraszam, brama była zamknięta”. „Nic nie szkodzi. Proszę usiąść”, odparł. Sięgnął po krzesło i mi je podsunął.

Nie mogłam zostać. Nie mogłam wyjechać. Nie mogłam mówić. Nie byłam w stanie. Śmierć Léo pozbawiła mnie również słów. Czytałam, ale nie byłam w stanie mówić. Słowa dochodziły do mnie, lecz nic nie wychodziło ze mnie. Moje wypowiedzi sprowadzały się do: „Dziękuję… dzień dobry… do widzenia… gotowe… przepraszam, pójdę spać”. Nawet żeby zdać egzamin z przepisów drogowych i dostać prawo jazdy, nie musiałam mówić, wystarczyło wypełnić test i zaparkować samochód przy chodniku w luce pomiędzy innymi pojazdami.

Ciągle stałam. Łzy skapywały mi z oczu do kubka z mlekiem. Mężczyzna nasączył płócienną chusteczkę perfumami Rêve d’Ossian i dał mi ją do powąchania. Dalej płakałam, jakby puściły we mnie jakieś tamy, ale te wylane łzy dobrze mi zrobiły. Oczyściły mnie ze złych rzeczy, jak z niedobrego potu, z wydobywających się ze mnie toksyn. Wydawało mi się, że wypłakałam już wszystkie łzy, ale ciągle ich trochę zostawało. Tych nieczystych, zbrukanych. Jak zatęchła woda, która stoi w głębi dołu, kiedy już dawno przestało padać.

Mężczyzna poprosił, żebym usiadła, a gdy poczułam dotyk jego dłoni, przeszedł mnie jakby prąd. Dozorca cmentarny stanął za moim krzesłem i zaczął masować mi ramiona, kark, szyję i głowę. Dotykał mnie jak pielęgniarz, jakby kładł gorące plastry wzdłuż moich pleców i na głowie. „Ma pani plecy twardsze od muru. Można by się po linie wspinać”, szepnął.

Nigdy mnie tak nie dotykano. Jego dłonie były gorące i wydzielały niepojętą energię, która przenikała moje ciało, jakby mnie lekko parzyły. Nie wzbraniałam się. Nie rozumiałam. Byłam w domu znajdującym się na cmentarzu, na cmentarzu, na którym pochowano prochy mojej córki. W domu przypominającym mi podróż, której nigdy nie odbyłam. Później dowiedziałam się, że jest znachorem. „Takim guślarzem”, jak mawiał.

Ucisk jego palców sprawił, że przymknęłam oczy i zasnęłam. Snem głębokim, czarnym, bez bolesnych obrazów, przesiąkniętych potem prześcieradeł, bez koszmarów, bez pożerających mnie szczurów, bez Léonine, która szepcze mi do ucha: „Mamo, obudź się, ja nie umarłam”.

Obudziłam się następnego dnia rano na kanapie, pod grubym i delikatnym kocem. Kiedy otworzyłam oczy, trudno mi było dojść do siebie, uświadomić sobie, gdzie jestem. Zobaczyłam puszki z herbatą. Krzesło, na którym siedziałam i które ciągle stało pośrodku pomieszczenia.

W domu nikogo nie było. Na niskim stoliku na wprost kanapy stał gorący czajniczek. Nalałam sobie herbaty jaśminowej i zaczęłam pić małymi łyczkami; była przepyszna. Obok czajniczka, na porcelanowym talerzyku, gospodarz zostawił trochę migdałowych ciasteczek, które maczałam w filiżance.

Za dnia od razu zauważyłam, że dom na cmentarzu jest równie skromny jak mój. Ale mężczyzna, który mnie poprzedniego dnia ugościł, zamieniał go w pałac swoim uśmiechem, uprzejmością, mlekiem sojowym, świecami i perfumami.

Wszedł do domu. Powiesił gruby płaszcz na wieszaku ściennym i zaczął chuchać w ręce. Odwrócił głowę w moją stronę i uśmiechnął się.

– Dzień dobry.

– Muszę jechać.

– Dokąd?

– Do siebie.

– A gdzie to?

– Na wschodzie Francji, koło Nancy.

– Jest pani matką Léonine?

– …

– Widziałem panią na jej grobie wczoraj po południu. Znam matki Anaïs, Nadège i Océane. Pani… to pierwszy raz…

– Mojej córki nie ma na pańskim cmentarzu. Tutaj są tylko jej prochy.

– Nie jestem właścicielem tego cmentarza, jestem tu dozorcą.

– Nie wiem, jak pan może to robić… Wykonywać ten zawód. Ma pan niewesoły fach, całkiem niewesoły. Absolutnie.

Znowu się uśmiechnął. W jego wzroku nie było osądu. Później dowiem się, że dostosowywał się do poziomu ludzi, z którymi rozmawiał.

– A pani co robi?

– Jestem dróżniczką.

– No to pani nie daje ludziom przechodzić na drugą stronę, ja natomiast trochę im w tym pomagam.

Z trudem próbowałam odwdzięczyć mu się uśmiechem. Nie umiałam się już uśmiechać. Wszystko w nim było dobrem, we mnie wszystko było zdruzgotane. Czułam się jak ruina.

– Przyjedzie pani jeszcze?

– Tak. Muszę się dowiedzieć, dlaczego pokój dzieci spalił się tamtej nocy… Zna ich pan?

Wyjęłam i podałam mu listę z nazwiskami personelu zamku Notre-Dame-des-Prés, sporządzoną na odwrocie rachunku przez Philippe’a Toussainta.

Édith Croquevieille, dyrektorka; Swan Letellier, kucharz; Geneviève Magnan, sprzątaczka; Éloïse Petit i Lucie Lindon, wychowawczynie; Alain Fontanel, konserwator.

Przeczytał z uwagą nazwiska. Po czym na mnie spojrzał.

– Na grób Léonine, przyjedzie pani jeszcze?

– Nie wiem.

*

Osiem dni po naszym spotkaniu dostałam od niego list:

Szanowna Pani Violette Toussaint,
w załączeniu przesyłam spis nazwisk, który zostawiła Pani u mnie na stole. Prócz tego przygotowałem dla Pani saszetkę z herbacianą mieszanką: herbata zielona z migdałami, płatki jaśminu i róży. Jeśliby mnie nie było, proszę się poczęstować, drzwi są zawsze otwarte, zostawiłem ją na żółtej etażerce, na prawo od żeliwnego czajnika. Jest podpisana Pani imieniem: „Herbata dla Violette”.

Pani wierny sługa

Sasha H.

Ten mężczyzna był jak postać prosto z powieści albo ktoś, kto urwał się z domu wariatów. Co na jedno wychodzi. Co on robi na tym cmentarzu? Nawet nie wiedziałam, że istnieje taki zawód jak dozorca cmentarny. Dla mnie obcowanie ze śmiercią sprowadzało się do roli grabarza, woskowej cery i czarnych strojów, kruka na ramieniu i trumny.

Ale było coś o wiele bardziej niepokojącego. Rozpoznałam pismo na kopercie i w liście. To on przysłał mi tablicę *Moja najdroższa, urodziłaś się 3 września, dokonałaś żywota 13 lipca, ale dla mnie zawsze będziesz 15 sierpnia*, którą złożyłam na grobie małej Léo.

Jak się dowiedział o moim istnieniu? Skąd znał te daty, przede wszystkim tę szczęśliwą? Czy był już na tym cmentarzu, kiedy chowano dzieci? Dlaczego się nimi zainteresował? Mną? Dlaczego mnie tam ściągnął? Dlaczego się miesza? Zaczynałam się nawet zastanawiać, czy nie zamknął mnie na cmentarzu świadomie, żebym do niego weszła.

Moje życie było jedną wielką ruiną, kiedy pojawił się pewien nieznany żołnierz, który przysłał mi tabliczkę nagrobną i list.

Tak, wojna dobiegała końca. Czułam to. Nigdy się nie podniosę po śmierci córki, ale bomby już nie spadają. Teraz przyjdzie mi żyć w okresie powojennym. Najdłuższym, najtrudniejszym, najniebezpieczniejszym… Podnosisz się i stajesz oko w oko z dziewczynką w jej wieku. Wróg odszedł i nie pozostało nic oprócz tych, którzy przeżyli. Rozpacz. Puste szuflady. Zdjęcia z jej dzieciństwa. Wszystko inne rośnie, nawet drzewa, nawet kwiaty, ona nie.

W styczniu 1996 roku zapowiedziałam Philippe'owi Toussaintowi, że od tej pory będę jeździła na cmentarz w Brancion-en-Chalon w co drugą niedzielę miesiąca, wyjazd rano, powrót wieczorem.

Westchnął. Podniósł oczy ku niebu, jakby chciał powiedzieć: „Będę musiał pracować dwa dni w miesiącu". Dodał, że nie rozumie. Najpierw nie pojechałam na pogrzeb, a teraz raptem mam jakieś zachcianki. Nie odpowiedziałam. Bo co na to odpowiedzieć? Na te „zachcianki"? Jego zdaniem odwiedzanie grobu córki to kaprys, fantazja.

Christian Bobin napisał: *Słowa niewypowiedziane wyją w głębi nas*.

Nie tak dokładnie to powiedział. Ale ja byłam przepełniona wyjącymi we mnie chwilami milczenia, które budziło mnie nocami. Przez które tyłam, chudłam, starzałam się, płakałam, spałam przez cały dzień, piłam na umór, biłam głową w drzwi i ściany.

Prosper Crébillon napisał: *Im większe nieszczęście, tym większą zasługą jest żyć*. Umierając, Léonine magiczną sztuczką sprawiła, że wszystko wokół mnie zniknęło, tylko nie ja.

48

Niczym stadko jaskółek u progu zimy, dusza Twa bezpowrotnie odleciała

Julien Seul stoi w progu drzwi. Tych wychodzących na warzywniak, z tyłu domu.

– Pierwszy raz widzę pana w T-shircie. Wygląda pan na młodzieniaszka.

– A ja pierwszy raz widzę panią w kolorach.

– Bo jestem u siebie w ogródku. Za tym murem nikt mnie nie widzi. Długo pan zostaje?

– Do jutra rana. Jak się pani czuje?

– Jak dozorczyni cmentarza.

Uśmiecha się do mnie.

– Ładny ten pani ogródek.

– Bo dobrze nawożony. Koło cmentarzy wszystko bardzo szybko rośnie.

– Nie wiedziałem, że potrafi pani być taka sardoniczna.

– Bo mnie pan nie zna.

– Być może znam panią lepiej, niż pani myśli.

– Grzebanie w cudzym życiu, panie komisarzu, nie sprawia, że poznajemy ludzi.

– Mogę panią zaprosić na kolację?

– Pod warunkiem że mi pan opowie koniec tej historii.

– Której?

– Tej o Gabrielu Prudencie i pańskiej matce.

– Przyjdę po panią o dwudziestej. Proszę się tylko nie przebierać, proszę zostać w tych kolorach.

49

Tych parę kwiatów na pamiątkę dawnych czasów

Weszłam do Sashy. Otworzyłam saszetkę z herbatą, zamknęłam oczy i wciągnęłam zapach. Czy w tym domku przy cmentarzu powrócę na nowo do życia? Weszłam do środka już po raz drugi i znowu czułam ten zapach, który wyrywał mnie niemal siłą z mroków, gdzie tliła się jeszcze we mnie resztka życia pozostała po śmierci Léo.

Tak jak Sasha napisał w liście, saszetka z herbatą leżała na żółtej etażerce, obok żeliwnych czajniczków. Na wierzchu była naklejka, jak na dziecięcych zeszytach: *Herbata dla Violette*. W liście nie napisał jednak, że pod saszetką z herbatą będzie również adresowana do mnie koperta z kraftowego papieru. Nie była zaklejona. Zobaczyłam, że włożył do środka parę kartek.

W pierwszej chwili myślałam, że to lista niedawno zmarłych osób i że *Toussaint* napisane na kopercie dotyczy grobów, które trzeba ozdobić kwiatami na Wszystkich Świętych. Potem zrozumiałam.

Sasha zebrał dane członków personelu obecnych w zamku Notre-Dame-des-Prés w nocy z trzynastego na czternastego lipca 1993 roku. Dyrektorka Édith Croquevieille, kucharz Swan Letellier, sprzątaczka Geneviève Magnan, dwie wychowawczynie – Éloïse Petit i Lucie Lindon, konserwator Alain Fontanel.

Po raz pierwszy zobaczyłam twarze wszystkich tych, którzy widzieli moją córkę po raz ostatni. Wcześniej znałam tylko twarz dyrektorki.

Mówiono o tej tragedii w dzienniku telewizyjnym o dwudziestej. Na wszystkich kanałach. Pokazywano zdjęcie zamku Notre-Dame-des-Prés, jezioro, kucyki. I bez przerwy mielono te same kluczowe słowa: tragedia, wypadek, pożar, czworo dzieci nie żyje, kolonie letnie. Przez parę dni temat nie schodził z pierwszych stron „Journal de Saône-et-Loire”. Przejrzałam pobieżnie artykuły, które Philippe Toussaint przywiózł mi następnego dnia po pogrzebie. Zdjęcia dzieci, szczerbate uśmiechy, bo ząbki zabrała myszka, szczęściara. Nam, rodzicom, nie zostało już nic. Życie bym oddała, żeby się dowiedzieć, gdzie ma swoją norkę, odzyskać mleczaki Léo, trochę jej uśmiechu. Ale w tych artykułach nie pojawiło się ani jedno zdjęcie personelu zamku.

Dyrektorka Édith Croquevieille miała siwiejące włosy upięte z tyłu w kok i okulary; grzecznie uśmiechała się do obiektywu. Wyczuwało się, że fotograf musiał jej wcześniej dać wskazówki: „Proszę się uśmiechnąć, ale nie za szeroko, ma pani mieć sympatyczny wygląd, wzbudzać zaufanie, uspokajać”. Znałam to zdjęcie, znajdowało się na tylnej okładce broszury, którą dała mi matka Toussainta parę lat wcześniej. Broszury pełnej zdjęć lazurowego nieba. Trochę jak w siedzibie zakładu pogrzebowego.

Tylko powaga naszej firmy nigdy nie ma urlopu. Ileż to razy wyrzucałam sobie, że nie potrafiłam tu niczego wyczytać między wierszami!

Pod zdjęciem Édith Croquevieille znajdował się jej adres.

Fotografia Swana Letelliera została zrobiona w kabinie fotograficznej. Jak Sasha je zdobył? Podobnie jak w przypadku dyrektorki Sasha zanotował adres kucharza. Ale nie wyglądało to na jego adres prywatny. Nazwa restauracji w Mâcon, Le Terroir des Souches. Swan powinien mieć

jakieś trzydzieści pięć lat, wyglądał na chudego, miał oczy o kształcie migdałów, przystojny, ale było w nim coś niepokojącego, dziwna twarz, cienkie wargi, przebiegłe spojrzenie.

Zdjęcie Geneviève Magnan, sprzątaczki, musiało zostać zrobione w czasie jakiegoś ślubu. Na głowie miała śmieszny kapelusz, w rodzaju takich, jakie czasami zakładają matki państwa młodych. Umalowała się za mocno i źle. Geneviève Magnan mogła mieć jakieś pięćdziesiąt lat. I to pewnie ta mała grubaska, wbita w kostiumik w niebieskie kwiaty, podała mojej córce ostatni posiłek. Jestem pewna, że Léo powiedziała „Dziękuję”, bo była dobrze wychowana. Nauczyłam ją tego. To był mój priorytet. Zawsze mów „Dzień dobry”, „Do widzenia”, „Dziękuję”.

Wychowawczynie, Éloïse Petit i Lucie Lindon, pozowały razem przed swoim liceum. Na fotografii mogły mieć po szesnaście lat. Dwie dziewczyny o kpiarskim i beztroskim wyglądzie. Czy jadły kolację przy tym samym stole co dzieci? Przez telefon Léo powiedziała mi, że jedna z wychowawczyń jest „bardzo” do mnie podobna. A przecież żadna z nich, ani Éloïse, ani Lucie, obie niebieskookie blondynki, nie była do mnie podobna.

Twarz konserwatora Alaina Fontanela wycięta została z gazety. Miał na sobie piłkarską koszulkę. Musiał pozować, przykucnąwszy wśród innych graczy, przed piłką. Z wyglądu miał w sobie coś z Eddy’ego Mitchella.

I pod każdym zdjęciem napisany niebieskim długopisem adres. W przypadku Geneviève Magnan i Alaina Fontanela ten sam. I ciągle to samo pismo co na opakowaniu paczki z tabliczką nagrobną, na liście i na etykietkach puszek z herbatą.

Kim jest ten dozorca cmentarza, który ściągnął mnie aż tutaj? I dlaczego to zrobił?

Czekałam na niego, lecz nie wrócił. Włożyłam herbatę do torebki, podobnie jak kopertę ze zdjęciami i nazwiskami tych, którzy byli obecni w zamku tamtego wieczoru. Obeszłam cały cmentarz, żeby znaleźć Sashę. Mijałam nieznajomych, którzy podlewali rośliny, spacerowiczów. Zastanawiałam się, kogo tu mają pochowanego. Usiłowałam zgadywać, patrząc na ich twarze. Matkę? Kuzyna? Brata? Męża?

Po godzinie chodzenia po alejkach w poszukiwaniu Sashy znalazłam się w kwartale dzieci. Minęłam aniołki i dotarłam do grobu Léo. Znowu zobaczyłam imię mojej córki na steli – to imię, które jej ponaszywałam na wewnętrznej stronie kołnierzyków ubrań, zanim je zapakowałam do walizki. Tak napisali w regulaminie, w przeciwnym razie dyrekcja kolonii miała nie ponosić odpowiedzialności w przypadku kradzieży lub zagubienia rzeczy. Od ostatniego razu na marmurze, w zacienionych miejscach, pojawiło się trochę mchu. Przyklękłam, żeby go zetrzeć rękawem.

50

Dla mnie od lat już, od zawsze Twój olśniewający uśmiech przedłuża życie róży i jej pięknego lata

Irène Fayolle i Gabriel Prudent weszli do pierwszego hotelu, który zobaczyli, parę kilometrów od dworca w Aix. Hotelu Passage. Wybrali pokój błękitny. Jak w tytule książki Georges’a Simenona. Były inne: pokój Joséphine, pokój Amadeus, pokój Renoir.

W recepcji Gabriel Prudent zamówił spaghetti i czerwone wino dla czterech osób, do podania w pokoju. Pomyślał, że od uprawiania miłości zgłodnieją.

– Dlaczego dla czterech osób? – spytała go Irène Fayolle. – Jesteśmy tylko we dwoje.

– Pani na pewno będzie myśleć o mężu, ja o żonie, więc lepiej od razu zaprosić ich do stołu. W ten sposób unikniemy niedomówień, ckliwienia i całej reszty.

– Co to jest „ckliwienie”?

– To takie słowo, którego używam, żeby wyrazić zarazem melancholię, poczucie winy, żal i sytuację, kiedy człowiekowi przychodzi na coś chęć i odchodzi. Po prostu wszystko to, co nas w życiu wkurza. Co nie daje nam iść do przodu.

Zaczęli się całować. Rozebrali się, ona chciała kochać się po ciemku, on powiedział, że przecież odkąd zobaczył ją na sali sądowej, parokrotnie rozebrał ją wzrokiem, zna już jej kształty i ciało.

Nie nalegała.

– Ładnie pan mówi – powiedziała.

– No pewnie.

Zasunął błękitne zasłony w błękitnym pokoju.

Zapukano do drzwi, room service. Jedzenie, picie, seks, jedzenie, picie, seks, jedzenie, picie, seks. Sycili się nawzajem jedno drugim, wino wprawiło ich w wesoły nastrój, szczytowali, śmiali się, płakali.

Razem postanowili, że już nigdzie się nie ruszą z tego pokoju. Powiedzieli sobie, że umrzeć razem, tutaj, teraz, to mogłoby być ROZWIĄZANIE. Brali pod uwagę ucieczkę, zniknięcie, kradzież samochodu, pociąg, samolot. Szli na całość.

Postanowili wyjechać do Argentyny. Jak zbrodniarze wojenni. Usnęła. On nie, palił papierosy, zamówił drugą butelkę wina, białego, i pięć deserów.

Otworzyła oczy, spytała, kim jest piąty gość oprócz jej męża i jego żony, odpowiedział: „Nasza miłość”.

Poszli do łazienki. Wracając do łóżka, postanowili zatańczyć. Włączyli budzik z wbudowanym radiem i dowiedzieli się, że Klaus Barbie ma zostać ekstradowany do Francji i osądzony. Gabriel Prudent wypowiedział te słowa: „Wreszcie, sprawiedliwość, to trzeba oblać”. Zamówił szampana. „Znam pana od dwudziestu czterech godzin i jeszcze nie wytrzeźwiałam. Może dobrze byłoby spotkać się na trzeźwo?”, powiedziała.

Tańczyli przy dźwiękach piosenki *Je reviens te chercher* Gilberta Bécauda.

Zasnęła około czwartej i otworzyła oczy koło szóstej. On dopiero co usnął.

Pokój pachniał dymem papierosowym i alkoholem. Usłyszała, że ptaki śpiewają. Ich śpiew wcale się jej nie podobał.

Retiens la nuit. To słowa, które przyszły jej do głowy. Johnny Hallyday o szóstej rano w błękitnym pokoju. Usiłowała sobie przypomnieć, jak to idzie dalej: *Retiens la nuit, pour nous deux jusqu'à la fin du monde, retiens la nuit*…[24]. I nie pamiętała.

Był odwrócony do niej plecami, pogłaskała go, wdychała jego zapach. Obudziło go to i kochali się. Potem zasnęli.

Zadzwoniono do nich o dziesiątej, by zapytać go, czy zatrzymują pokój, czy go oddają. Jeżeli oddają, to trzeba go opuścić do południa.

---

[24] Zatrzymaj noc, dziś, aż do końca świata, zatrzymaj noc…

51

Każdy dzień, który mija, tka niewidzialną nić
pamięci o Tobie

Na parterze, w lewym skrzydle, główny korytarz, trzy przylegające do siebie pokoje z dwoma piętrowymi łóżkami w każdym, toaletą i umywalką dla pensjonariuszy oraz pokój zarezerwowany dla personelu. Na pierwszym piętrze trzy przylegające do siebie pokoje z dwoma piętrowymi łóżkami w każdym, toaletą i umywalką dla pensjonariuszy oraz pięć pokoi zarezerwowanych dla personelu.

W nocy z 13 na 14 lipca 1993 roku wszystkie pokoje były zajęte.

Pokoje Édith Croquevieille (dyrektorki i nadzorczyni), Swana Letelliera (obsługa), Geneviève Magnan (obsługa i nadzór), Alaina Fontanela (obsługa), Éloïse Petit (nadzór) znajdowały się na pierwszym piętrze. Pokój Lucie Lindon (nadzór) na parterze.

Anaïs Caussin (lat siedem), Léonine Toussaint (lat siedem), Nadège Gardon (lat osiem) i Océane Degas (lat dziewięć) zajmowały pokój numer jeden usytuowany na parterze. Wyszły z niego bez pozwolenia i nie robiąc hałasu, żeby nie obudzić wychowawczyni (Lucie Lindon), która spała w jednym z pokoi na tym samym poziomie. Poszły w kierunku kuchni znajdującej się pięć metrów od ich pokoju, na końcu głównego korytarza.

Otworzyły jedną z lodówek i nalały mleka do dwulitrowego rondla ze stali nierdzewnej, żeby je zagotować. Użyły do tego ośmiopalnikowej kuchenki gazowej (dwa palniki elektryczne, sześć gazowych). Zapaliły jeden z palników gazowych zapałkami. Przeszukały zaplecze kuchenne i znalazły kakao. Z kredensu wyjęły cztery miseczki, do których nalały gorącego mleka.

Każda z nich zabrała swoją z gorącym mlekiem do pokoju. (Cztery miseczki zostały znalezione w pokoju numer jeden – niepalna ceramika).

Cztery ofiary postawiły rondel z nierdzewnej stali na palnik gazowy, który przez nieuwagę nie został zgaszony i palił się najmniejszym płomieniem.

Plastikowa rączka rondla ze stali nierdzewnej zaczęła się topić, a następnie się zapaliła. (Rondel znaleziony, niepalna stal nierdzewna).

Dziesięć minut później (ocena czasu przybliżona) od płomieni palącej się plastikowej rączki zajęły się elementy znajdujące się nad kuchenką gazową.

Plastikowe okładziny pokrywające elementy kuchenne okazały się wysoce toksyczne. Składniki organiczne (lakier i politura) bardzo lotne.

Zostało również stwierdzone, że dzieci nie zamknęły drzwi kuchennych ani drzwi do swojego pokoju.

Od momentu, kiedy cztery ofiary opuściły kuchnię, do chwili, kiedy toksyczne gazy wypełniły kuchnię, korytarz i ich pokój, upłynęło dwadzieścia pięć do trzydziestu minut.

Jak już zostało stwierdzone, pokój numer jeden znajdował się pięć metrów od kuchni. Wyziewy gazów toksycznych spowodowane paleniem się elementów kuchennych musiały szybko doprowadzić dzieci do utraty przytomności i spowodować ich śmierć wskutek uduszenia i zatrucia.

Ciała czterech ofiar zostały znalezione w łóżkach. Spały, kiedy zaczęły wdychać toksyczne gazy, co okazało się fatalne w skutkach.

Pokój numer jeden stanął w płomieniach, kiedy szyby w jednym z okien tego pokoju eksplodowały wskutek gorąca, co spowodowało powstanie ciągu powietrza.

Z powodu eksplozji i skrajnie wysokiej temperatury wszystkie szyby w pokoju eksplodowały, co pozwoliło gazom toksycznym częściowo ulotnić się na zewnątrz. Pozostałe pokoje na parterze (we wszystkich drzwi były pozamykane) nie spłonęły.

Wychowawczyni (Lucie Lindon), która zajmowała pokój przylegający do pokoju czterech ofiar, od razu nakazała ewakuację obu pokojów na parterze, gdzie spało ośmioro dzieci (nie odniosły żadnych obrażeń). Ogień nie dotarł do tych pomieszczeń.

Lucie Lindon nie miała możliwości wejścia do pokoju numer jeden.

Upewniwszy się, że wszystkie osoby zajmujące pierwsze piętro (dwanaścioro dzieci i pięcioro dorosłych) są całe i zdrowe, Lucie Lindon zawiadomiła straż pożarną.

Kontakt ze strażą był utrudniony, ponieważ strażacy zostali wezwani do zapewnienia bezpieczeństwa w czasie pokazu fajerwerków, który zorganizowano dziesięć kilometrów od miejsca zwanego La Clayette.

Alain Fontanel i Swan Letellier wszelkimi sposobami usiłowali dostać się do pokoju numer jeden, ale na próżno. Wysoka temperatura i płomienie uniemożliwiły im to.

Od zgłoszenia telefonicznego Lucie Lindon do przyjazdu strażaków upłynęło dwadzieścia pięć minut. Zgłoszenia dokonano o godzinie dwudziestej trzeciej dwadzieścia pięć, a strażacy przybyli na miejsce pożaru o godzinie dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt.

Duża część lewego skrzydła została zniszczona przez płomienie.

Na ugaszenie pożaru potrzeba było trzech godzin.

Zważywszy na młody wiek czterech ofiar i zaawansowany stan spopielenia ciał, nie można było dokonać identyfikacji z wykorzystaniem wycisków stomatologicznych.

Oto co zostało ustalone podczas dochodzenia.

Tyle mniej więcej napisano w raporcie sporządzonym dla prokuratury.

I to zostało powiedziane w czasie procesu (w którym nie brałam udziału) i powtórzone mi przez Philippe’a Toussainta.

To samo też zostało napisane w gazetach (których nie czytałam).

Zwięzłe, precyzyjne sformułowania, brak patosu. *Bez dramatyzowania, bez łez, nikłe to i śmieszne oręże, gdyż bywa tak, że z bólu płacze człowiek tylko w sobie*.

Édith Croquevieille dostała dwa lata więzienia, w tym rok bez możliwości ubiegania się o wcześniejsze zwolnienie, ponieważ wejście do kuchni nie zostało zaryglowane, a wykładziny podłóg, ścian i sufitów w Notre-Dame-des-Prés nie spełniały standardów bezpieczeństwa. Nie zostało wyraźnie powiedziane czy napisane, że dzieci ponoszą odpowiedzialność. Nie oskarża się czterech małych ofiar w wieku siedmiu, ośmiu i dziewięciu lat. Jednak biorąc pod uwagę wymiar kary dla dyrektorki, był to po prostu przemilczany fakt.

Dla mnie wersja rzeczoznawców była problematyczna, Léonine bowiem nie piła mleka, nie brała go do ust. Wystarczył łyk i wymiotowała.

52

Tu spoczywa najpiękniejszy kwiat w mym ogrodzie

Przyglądając się kolorowym rybkom w ogromnym akwarium przesłaniającym całą ścianę w chińskiej restauracji Phénix, myślę o zatoczce w Sormiou. O słońcu, o pławiącym się w świetle pięknie.

– Często kąpie się pan w morzu w Marsylii?

– Robiłem to, kiedy byłem dzieckiem.

Julien Seul dolewa mi wina do kieliszka.

– Hotel Passage, błękitny pokój, wino, spaghetti, miłość z Gabrielem Prudentem… Wszystko to zostało zapisane w dzienniku pańskiej matki?

– Tak.

Z wewnętrznej kieszeni wyjmuje notatnik. Sztywna okładka w kolorze ciemnoniebieskim przywodzi mi na myśl książkę wyróżnioną Nagrodą Goncourtów w 1990 roku, *Les Champs d’honneur*, którą dostałam w prezencie od Célii.

– Przywiozłem go pani. Zaznaczyłem kolorowymi kartkami miejsca, gdzie mowa o pani.

– Jak to?

– Moja matka pisze o pani w swoim dzienniku. Widziała panią, parokrotnie.

Otwieram notatnik na chybił trafił, rzucam okiem na pismo, niebieski tusz.

– Proszę go wziąć, odda mi pani później.

Wkładam zeszyt na dno torebki.

– Będę go pilnować… Jak pan zareagował, kiedy dowiedział się pan z dziennika matki, że prowadziła podwójne życie?

– Jakbym czytał opowieść o kimś innym, kogo nie znam. Mój ojciec zmarł już dawno temu. „Przedawniło się”, jak to się mówi.

– Nie przeszkadza panu, że ona nie leży przy pańskim ojcu?

– Początkowo mnie to bolało. Teraz już nie. No a poza tym, gdyby nie to, nigdy bym pani nie poznał.

– Jeszcze raz: nie jestem pewna, że się znamy. Spotkaliśmy się, i tyle.

– No to się poznajmy.

– Myślę, że mam ochotę się napić.

Wypijam jednym haustem wino, które mi nalał.

– Zwykle piję niewiele, ale teraz to niemożliwe. No i to, w jaki sposób pan na mnie patrzy. Nigdy nie wiem, czy chce mnie pan posłać na dołek, czy poślubić.

Wybucha śmiechem.

– Poślubić lub posłać na dołek… wychodzi na to samo, no nie?

– Jest pan żonaty?

– Rozwiedziony.

– Ma pan dzieci?

– Syna.

– Ile ma lat?

– Siedem.

Zapada cisza.

– Chce pan, żebyśmy się poznali w hotelu?

Odniosłam wrażenie, że moje pytanie go zaskoczyło. Gładzi bawełniany obrus opuszkami palców. Znowu się do mnie uśmiecha.

– Hotel, pani i ja, to był jeden z moich planów średnio- i długoterminowych… Ale skoro pani proponuje, możemy zawęzić horyzont.

– Hotel to początek podróży.

– Nie, hotel to już podróż.

53

Nie opłakujcie mnie po śmierci. Sławcie za życia

Kiedy po raz drugi zobaczyłam Sashę, był w swoim ogródku.

Weszłam do jego zabałaganionego domku. Ze zlewu wystawały rondle, wszędzie walały się filiżanki i puste czajniczki. Na niskim stoliku leżało wiele papierów. Puszki z herbatą były zakurzone. Ale ściany ciągle pachniały tak samo ładnie.

Usłyszałam hałas za domem. Dźwięki muzyki klasycznej dochodzące z zewnątrz. W kuchni drzwi wychodzące na warzywniak otwarte były na oścież. Zobaczyłam światło słoneczne.

Sasha stał na szczycie drabiny przystawionej do mirabelki. Zbierał słodkie owoce do jutowego worka po kartoflach. Zobaczył mnie i obdarzył swoim niezrównanym uśmiechem. Zachodziłam w głowę, jak to możliwe, żeby wyglądać na tak szczęśliwego w miejscu równie smutnym.

Podziękowałam mu od razu za saszetkę z herbatą i spis personelu Notre-Dame-des-Prés.

– Och, nie ma za co – odparł.

– Jak pan zdobył zdjęcia i adresy tych ludzi?

– Całkiem łatwo.

– Zna pan Édith Croquevieille i pozostałych?

– Znam wszystkich.

Miałam ochotę wypytać go o tych ludzi. Nie zdobyłam się na to.

Schodząc z drabiny, powiedział:

– Wygląda pani jak wróbelek, pisklak, który wypadł z gniazda. Smutno na panią patrzeć. Proszę podejść bliżej, coś pani powiem.

– Jak pan zdobył mój adres? Dlaczego przysłał mi pan tabliczkę?

– To pani przyjaciółka, Célia, mi ją dała.

– Zna pan Célię?

– Parę miesięcy temu pojawiła się na cmentarzu, żeby złożyć tabliczkę na grobie pani córki. Spytała mnie, gdzie to jest, więc zaprowadziłem ją. Powiedziała mi, że wymyśliła, jakie słowa umieściłaby pani na grobie, gdyby pani tu wtedy przyjechała osobiście. Wybrała je za panią. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego nigdy nie pojawiła się pani na cmentarzu. Mówiła, że zapewne dobrze by to pani zrobiło. Dużo mi o pani opowiadała. Że się pani nie może pozbierać. No i przyszła mi wtedy do głowy ta myśl. Spytałem, czy pozwoli mi wysłać do pani tę tabliczkę, żeby przyjechała pani sama ją tu położyć. Długo się wahała i w końcu się zgodziła.

Sięgnął po termos stojący na ścieżce warzywniaka i nalał mi herbaty do szklanki, szeptem dodając: „Jaśmin i miód”.

– Swój pierwszy ogródek miałem w wieku dziewięciu lat. Jeden metr kwadratowy kwiatów. Matka nauczyła mnie je wysiewać, podlewać, ścinać. Poczułem, że to lubię. Ciągle mi mówiła: „Nie oceniaj każdego dnia po tym, co zbierzesz, ale po tym, co wysiejesz”.

Zamilkł na dłuższą chwilę, chwycił mnie za ręce i spojrzał mi w oczy.

– Widzi pani ten ogród? Mam go już od dwudziestu lat. Widzi pani, jaki jest piękny? Widzi pani te wszystkie warzywa? Te kolory? Ten ogród ma siedemset metrów kwadratowych, to jest siedemset metrów kwadratowych radości, miłości, potu, hartu ducha, woli i cierpliwości. Nauczę panią, jak

się nim zajmować, a jak już pani będzie to umieć, powierzę pani opiekę nad nim.

Odpowiedziałam, że nie rozumiem. Zdjął rękawiczki i pokazał mi obrączkę, którą miał na palcu.

– Widzi pani tę obrączkę? Znalazłem ją w swoim pierwszym warzywniaku.

Zaciągnął mnie pod oplecioną pnączami bluszczu pergolę i posadził na starym krześle. Sam usiadł na wprost mnie.

– To było w niedzielę, miałem ze dwadzieścia lat, spacerowałem z pieskiem koło bloków, gdzie mieszkałem na przedmieściach Lyonu. Minąłem parkingi i poszedłem pierwszą lepszą dróżką. Na niewielkim wzniesieniu było jak na wsi, trochę zieleni pośrodku betonu, wysuszona trawa, nie najładniej to wyglądało, i kilka starych drzew. U końca dróżki natknąłem się na grupkę siedzących pod dębem ludzi, którzy przebierali fasolkę szparagową na starym stole pokrytym ceratą. Uderzyło mnie to, że wyglądali na szczęśliwych. To byli sąsiedzi, mieszkańcy okolicznych bloków, znałem ich z widzenia. Ci ludzie nie uśmiechali się w ten sposób, kiedy mijaliśmy się na klatce schodowej. Wokół zobaczyłem ich improwizowane ogródki. Uprawiali warzywa i owoce. Zrozumiałem, że to ta ziemia i studnia sprawiają, że się tak uśmiechają. Spytałem ich, czy ja też mogę mieć taki ogródek jak oni. Powiedzieli, żebym zadzwonił do merostwa, że wynajmują te parcele za parę groszy i że tam z tyłu zostało jeszcze kilka.

W październiku nie bez dumy przekopałem swoją parcelę i rozrzuciłem obornik. W zimie wysiałem nasiona do pustych pojemników po jogurcie. Dynie potimarron, bazylię, paprykę, bakłażany, pomidory, cukinię. Miałem wielkie plany. Podszedłem do uprawy warzyw ambitnie. Wysadziłem je wiosną do gruntu. Postępowałem zgodnie ze wskazówkami z podręczników

ogrodnictwa, uprawiałem ten mój ogródek, słuchając tego, co podpowiadała mi głowa, a nie serce. Nie przejmując się kwadrami Księżyca, przymrozkami, deszczem, słońcem. Wysiałem też marchewkę i posadziłem ziemniaki. Czekałem, aż wszystko wzejdzie. Od czasu do czasu przychodziłem podlewać. Liczyłem na deszcz.

I oczywiście nic nie wyrosło. Nie rozumiałem, że trzeba spędzać całe dnie w ogrodzie, żeby ta magia zadziałała. Nie rozumiałem, że jeśli codziennie nie będzie się plewić chwastów, które wyrastają wokół warzyw, wypiją całą wodę, pozbawiając warzywa życia.

Wstał, żeby pójść do kuchni, po czym wrócił z porcelanowym talerzykiem pełnym migdałowych ciasteczek.

– Proszę, taka pani chudziutka.

Powiedziałam, że nie jestem głodna. „Jak pani chce”, odparł. Spróbowaliśmy tych jego ciasteczek, wymieniając uśmiechy, po czym wrócił do przerwanej opowieści:

– Mój ogródek zakpił sobie ze mnie. We wrześniu wyrosła tylko jedna marchewka. Jedna jedyna! Zauważyłem jej pożółkłą łodygę, wyrastającą samotnie z suchej i źle napowietrzonej ziemi. Ziemi, której wcale nie rozumiałem. Wyciągnąłem ją, umierając ze wstydu, gotów wyrzucić marchewkę do kurnika. Wtedy zobaczyłem srebrną obrączkę okalającą moją biedną zdeformowaną roślinę. Prawdziwą srebrną obrączkę, którą ktoś musiał zgubić lata temu w ziemi mojego ogródka. Uznałem to za dobry znak. To tak jakbym stracił cały pierwszy rok małżeństwa, bo nie rozumiałem żony, ale przecież zostawało mi dziesiątki dalszych lat życia, by ją uszczęśliwić.

54

Skrywała łzy, lecz dzieliła się uśmiechem

Uprać mu bieliznę przy użyciu proszku do prania, rozwiesić, żeby wyschła, ale nie swetry, poskładać wszystko jeszcze ciepłe, schować do szafy, umieszczając na półkach kolorami. Zrobić zakupy, pasta do zębów z fluorem, magazyn „Auto-moto”, żyletki Gillette, rumiankowy szampon przeciwłupieżowy, pianka do golenia do twardego zarostu, pasta do pielęgnacji wyrobów skórzanych, mydło marki Dove, parę zgrzewek jasnego piwa, kakao, jogurty o smaku waniliowym.

Rzeczy, które lubi. Ulubione marki.

W łazience – czysta szczotka do włosów i grzebienie. Pinceta do depilacji i obcinacz do paznokci gotowe do użycia.

Bagietka – chrupiąca. Wszystkie aromaty czereśniowe. Mięso kroić, nie oddychając przez nos. Obsmażyć i dusić na wolnym ogniu w żeliwnym rondlu. Podnosić pokrywkę i pilnować tych kawałków martwych zwierząt, oprószyć mąką, wyłożyć na talerz w sosie cebulowym z listkami laurowymi.

Podać.

Jeść wyłącznie warzywa, makaron, purée. Jeść tylko dodatki. Tym jestem. Dodatkiem.

Uprzątnąć stół.

Umyć podłogę, kuchnię. Odkurzyć mieszkanie. Wywietrzyć. Powycierać kurze. Zmienić natychmiast kanał w telewizji, kiedy program mu się nie podoba. Wyłączyć muzykę. Żadnej muzyki, kiedy jest w domu: ci moi „gówniani” śpiewacy przyprawiają go o ból głowy.

On idzie się przejechać, ja zostaję. Kładę się spać. On wraca późno. Budzi mnie, gdy hałasuje, nie przejmuje się wodą lejącą się do umywalki, hałasem strumienia moczu w toalecie, trzaskającymi drzwiami. Przykleja się do moich pleców. Ma na sobie zapach innej. Udaję, że śpię. Ale czasem mimo wszystko mnie chce. Pomimo tej innej, z którą dopiero co się rozstał. Wsuwa się we mnie, forsuje, stęka, zamykam oczy. Myślami jestem gdzie indziej, idę się wykąpać w Morzu Śródziemnym.

Tylko to poznałam. Tylko ten zapach. Tylko ten głos, jego słowa i jego przyzwyczajenia. Ostatnie lata życia z nim zajmują więcej miejsca w moich wspomnieniach niż pierwsze, które szybko minęły, krótkie, lekkie i beztroskie lata miłości, kiedy napawaliśmy się swoją młodością.

Philippe Toussaint sprawił, że się zestarzałam. Być kochanym to zachować młodość.

Po raz pierwszy kocham się z mężczyzną, który jest delikatny. Przed Philippe’em Toussaintem było paru chłopaków z ośrodka w Charleville. Samo niezgrabstwo, miotające się, poobtłukiwane życia. Robią dużo hałasu, nie potrafią pieścić. Nie nauczyli się dobrze słów, nie nauczyli się miłości.

Julien Seul potrafi kochać.

Śpi. Słyszę, jak oddycha, to nowy oddech. Słyszę jego skórę, chłonę gesty, jego dłonie na mnie, jedna na lewym ramieniu, druga na prawym biodrze. Czuję go całym ciałem, wszędzie. Poza mną. Ale nie we mnie.

Śpi. Ile przyjdzie mi żyć, zanim będę mogła przy kimś usnąć? Mieć wystarczająco dużo ufności, by zamknąć oczy i wypuścić z siebie nękające mnie dusze? Leżę naga pod prześcieradłem. Od niepamiętnych czasów nie leżałam naga w pościeli.

Wielką radość sprawiła mi ta chwila miłości, ten przejaw życia.

Teraz chciałabym wrócić do siebie. Do Éliane, do samotności we własnym łóżku. Chciałabym wyjść z tego hotelowego pokoju, nie budząc go, uciec.

Powiedzieć jutro „Do widzenia” wydaje mi się niewykonalne. Takie sam na sam będzie równie nie do zniesienia jak spojrzenie Stéphanie, kiedy straciłam Léonine.

Co ja mu powiem?

Wypiliśmy butelkę szampana dla kurażu, żeby się w końcu zacząć dotykać. Czuliśmy się nawzajem sterroryzowani. Niczym ludzie, którzy się sobie naprawdę podobają. Jak Irène Fayolle i Gabriel Prudent.

Nie chcę romansu. To już nie na moje lata. Za późno. Moje ubogie życie miłosne schowałam do szuflady niczym parę starych skarpetek. Których nigdy nie wyrzucę, ale też już więcej nie włożę. Nieważne. Nic nie jest ważne wobec śmierci dziecka.

Mam przed sobą życie, ale nie miłość mężczyzny. Kiedy się przyzwyczaiło do samotnego życia, nie da się już żyć we dwoje. Tego jestem pewna.

Jesteśmy dwadzieścia kilometrów od Brancion-en-Chalon, tuż obok Cluny, w hotelu Armance. Nie będę wracać na piechotę. Zamówię taksówkę. Zejść do recepcji i zadzwonić po taksówkę.

Myśl ta działa na mnie jak impuls. Wyślizguję się spod pościeli, najwolniej jak się da. Jak wtedy, kiedy sypiałam z Philippe’em Toussaintem i nie chciałam, żeby się obudził.

Wkładam sukienkę, biorę torebkę i wychodzę z pokoju z butami w ręce. Wiem, że widzi, jak odchodzę. Zachowuje się na tyle elegancko, by nic nie powiedzieć, a ja na tyle nieelegancko, by się nie odwrócić.

Nietaktowna, oto co o sobie myślę.

W taksówce usiłuję czytać otwierany na chybił trafił dziennik Irène Fayolle, ale nie daję rady. Jest za ciemno. Kiedy przejeżdżamy obok jakiegoś osiedla, w świetle lamp widzę co dziesiąte słowo.

Gabriel… ręce… światło… papieros… róże…

55

Jej życie to piękne wspomnienie. Jej brak to bolesna cisza

Kiedy ruszyłam z cmentarza Sashy, była już osiemnasta. Jechałam w kierunku Mâcon, siedząc za kierownicą pandy, by dotrzeć do autostrady. Biały tygrys zawieszony na lusterku wstecznym obserwował mnie kątem oka, kiwając się nonszalancko.

Wracałam w myślach do Sashy, jego ogrodu, uśmiechu, słów. Pomyślałam sobie, że strajk przysłał mi Célię, a śmierć córki tego ogrodnika w słomianym kapeluszu. Takiego osobistego Wilbura Larcha. Człowieka zawieszonego pomiędzy żywymi a zmarłymi, ziemią i cmentarzem. *Regulamin tłoczni win.*

Myślę o personelu kolonijnym. To zapewne zacni ludzie. Znów stają mi przed oczami ich twarze – dyrektorki Édith Croquevieille, kucharza Swana Letelliera, sprzątaczki Geneviève Magnan, dwóch młodych wychowawczyń, Éloïse Petit i Lucie Lindon, konserwatora Alaina Fontanela. Nakładają się na siebie.

Co zrobię z ich adresami? Czy będę po kolei odwiedzać tych ludzi?

W czasie drogi przypomniałam sobie, że kucharz Swan Letellier pracuje w Le Terroir des Souches w Mâcon. Na mapie zobaczyłam, że restauracja

znajduje się w centrum, przy rue de l’Héritan.

Nie wjechałam na autostradę, skręciłam do Mâcon, zaparkowałam na parkingu usytuowanym jakieś dwieście metrów od restauracji, niedaleko ratusza. Kelnerka grzecznie mnie przywitała. W środku siedziały już dwie pary.

Ostatnia restauracja, w której byłam, to Gino, tego dnia, kiedy jadłam obiad z rodzicami Anaïs, a Léonine rozgniatała jajko, zanosząc się od śmiechu. Dzień ten przeżywałam ponownie tysiące razy, posiłek, sukienka, którą miała na sobie, warkocze, śmiech, magiczne sztuczki, wysokość rachunku, chwila, gdy wsiadła do samochodu Caussinów, jak pomachała mi na pożegnanie, trzymając na kolanach przytulankę, szarego królika, którego jedno oko już ledwo co się trzymało i którego tak często wrzucałam do pralki, że odpadło mu jedno ucho. Są takie godziny, o których trzeba by bardzo szybko zapomnieć. Ich uporczywa obecność bywa jednak niezależna od nas.

Nie zauważyłam Swana Letelliera. Musiał być w kuchni. Klientów obsługiwały same dziewczyny. Pomyślałam o bohaterkach książek Ann Brashares.

Wypiłam z pół butelki wina i prawie niczego nie zjadłam. Kelnerka zapytała, czy mi nie smakuje. Odpowiedziałam, że smakuje, ale nie jestem za bardzo głodna. Uśmiechnęła się do mnie ze zrozumieniem. Patrzyłam na wchodzących i wychodzących ludzi. Nie piłam alkoholu od paru miesięcy, ale czułam się zbyt samotna przy tym stole, żeby pić wodę.

Koło dziewiątej wieczorem w restauracji nie było już wolnych miejsc. Wyszłam chwiejnym krokiem, usiadłam na pobliskiej ławce i w półmroku czekałam na Swana Letelliera.

Tuż obok słyszałam płynącą Saonę. Miałam ochotę się do niej rzucić. Dołączyć do Léo. Czy ja ją odnajdę? Czy nie lepiej rzucić się do morza?

Czy ona tam jeszcze jest? Pod jaką postacią? A ja, czy ja jeszcze tu jestem? O co chodzi w tym moim życiu? Czemu służy? Komu? Dlaczego położono mnie na kaloryferze w dniu, kiedy się urodziłam? Ten kaloryfer zepsuł się czternastego lipca 1993 roku.

Co ja powiem temu biednemu Swanowi Letellierowi? Czego się właściwie chcę dowiedzieć? Pokój się spalił, po co do tego wracać? Rozgrzebywać gówno.

Nie miałam odwagi wsiąść do fiata Stéphanie, wrócić na swój przejazd kolejowy, jechać po nocy.

W chwili, kiedy chciałam wstać, przejść przez stojący za mną mur i skoczyć do czarnej wody, kot syjamski zaczął się łasić do moich nóg, pomrukując. Wlepiał we mnie swoje piękne niebieskie oczy. Pochyliłam się, żeby go dotknąć. Sierść miał delikatną, ciepłą, wspaniałą. Gdy wskoczył mi na kolana, wzdrygnęłam się. Bałam się ruszyć. Wyciągnął się na nich jak długi. Leżał na moich udach niczym kotwica, zabezpieczał mnie. Miałam się już pochylić nad otchłanią, ale mnie od tego powstrzymał. Sądzę, że tego wieczoru kot uratował mi życie, przynajmniej tę resztkę, która mi jeszcze z niego pozostała.

Kiedy wyszli ostatni klienci, a wszystkie światła w restauracji zgasły, Swan Letellier pojawił się pierwszy.

Nie ruszałam się z ławki.

Miał na sobie czarną kurtkę, która połyskiwała w świetle lamp, dżinsy i tenisówki; szedł rozkołysanym krokiem.

Zawołałam do niego. Nie poznałam własnego głosu. Jakby to jakaś inna kobieta go wołała. Mieszkająca we mnie nieznajoma. Zapewne z powodu alkoholu. Wszystko wydawało mi się abstrakcyjne.

– Swan Letellier!

Kot zeskoczył na ziemię i usiadł przy moich nogach. Swan Letellier odwrócił się twarzą w moją stronę i przez kilka sekund obserwował mnie, zanim odpowiedział niezbyt pewnym siebie głosem:

– Tak?

– Jestem matką Léonine Toussaint.

Cały zesztywniał. Miał takie samo spojrzenie, jakie widziałam u nastolatków, których nieźle postraszyłam wieczorem tego dnia, kiedy przebrałam się za białą damę. Czułam, jak wpatruje się we mnie przerażonym wzrokiem. Sama znajdując się w mroku, doskonale widziałam rysy jego twarzy.

Z Le Terroir des Souches wyszła jedna z czterech kelnerek. Podeszła do niego i wtuliła się w jego plecy. Powiedział do niej dosyć suchym głosem:

– Idź, dogonię cię.

Od razu zauważyła, że patrzy w moją stronę. Poznała mnie i szepnęła mu coś do ucha. Zapewne, że właśnie sama obaliłam półlitrową butelkę wina. Dziewczyna zmierzyła mnie wzrokiem, po czym odeszła.

– Czekam na ciebie w Titi! – zawołała do niego z pewnej już odległości.

Swan Letellier zbliżył się do mnie. Stanął na mojej wysokości i czekał, aż zacznę mówić:

– Wie pan, dlaczego tu jestem?

Pokręcił głową.

– Wie pan, kim jestem?

– Powiedziała pani: matką Léonine Toussaint – odparł zimnym głosem.

– Wie pan, kto to Léonine Toussaint?

Po chwili wahania odpowiedział:

– Nie było pani na pogrzebie ani na procesie.

Zupełnie nie spodziewałam się, że to powie. Poczułam się, jakby mnie spoliczkował. Zacisnęłam dłonie w pięści, wbijając paznokcie w skórę. Kot syjamski ciągle przy mnie siedział. Przy nogach, patrzył na mnie.

– Nie wierzę w to, że dzieci poszły do kuchni tej nocy.

– Dlaczego? – odpowiedział, jakby się bronił.

– Intuicja. Co pan widział?

Jego głos zmatowiał.

– Próbowaliśmy wejść do pokoju, ale było już za późno.

– Miał pan dobre stosunki z resztą personelu?

Sprawiał wrażenie, jak gdyby z trudem łapał oddech. Wyjął aplikator z ventolinem z kieszeni i zaaplikował sobie lek doustnie.

– Muszę iść, czekają na mnie.

Wyczułam jego strach. Ludzie, którzy się boją, są wyczuleni na strach innych. Tamtego wieczoru, siedząc na ławce, na wprost tego pełnego niepokoju i przejmującego niepokojem młodego człowieka, bałam się. Czułam, że ogień, który strawił moje dziecko, nie zgaśnie, jeżeli nie dojdę prawdy.

– Nie chcę już do tego wracać. I pani też nie powinna. To nieszczęście, ale takie jest życie. Czasami bywa okropne. Przykro mi.

Odwrócił się i szybkim krokiem ruszył przed siebie. Niemal biegł. Jego reakcja utwierdziła mnie w przekonaniu, że w raporcie, który dostał prokurator, nie było ani słowa prawdy.

Spojrzałam pod nogi; kot syjamski odszedł, a ja tego nie zauważyłam.

56

Słodkie to wspomnienia, co nigdy nie więdną

Jean-Louis i Armelle Caussinowie odwiedzają grób Anaïs, ale nigdy mnie nie rozpoznali. Nie kojarzą nieśmiałej i źle ubranej młodej kobiety, z którą zjedli obiad trzynastego lipca 1993 roku w Malgrange, z zadbaną pracownicą urzędu miasta, przemierzającą zdecydowanym krokiem alejki cmentarza w Brancion. Kupowali już u mnie kwiaty i mnie nie poznali.

Po śmierci córki schudłam piętnaście kilogramów, twarz mi się zapadła i stężała zarazem. Postarzałam się o sto lat. Miałam twarz i ciało dziecka z pomarszczoną skórą staruszki.

Stara dziewczynka.

Siedem lat z okładem.

Sasha mówił o mnie: „Stare pisklę, które wypadło z gniazda i zmokło”.

Spotkanie z Sashą mnie odmieniło. Zapuściłam włosy i zaczęłam się inaczej nosić. Przestałam lubić dżinsy i T-shirty.

Nabrałam ciała i kiedy zobaczyłam je w sklepowej witrynie, miało kształt kobiety. Zaczęłam je ubierać w sukienki i spódnice. Zmieniły mi się rysy twarzy. Gdybym była obrazem, można by było wyobrazić sobie moją przemianę jako przejście od wyraziście ciosanych owali Bernarda Buffeta w eteryczne kształty w stylu Auguste’a Renoira.

Dzięki Sashy stałam się jakby kobietą z innego wieku, cofnęłam się w czasie, by móc iść do przodu.

Ostatnim razem, kiedy zobaczyłam Paula w jego ciężarówce Emmaüs, oddałam mu ostatnie rzeczy Léonine, moją lalkę Caroline, spodnie i glany. Opiłowałam paznokcie, podmalowałam oczy i kupiłam szpilki.

Stéphanie, która zawsze widziała mnie w dżinsach i nieumalowaną, spojrzała na mnie podejrzliwie, kiedy kładłam na jej ladzie puder i róż do policzków. Jeszcze bardziej niż za czasów, kiedy stawiałam jej pod nosem butelki najróżniejszych alkoholi.

Ludzie są dziwni. Nie potrafią spojrzeć w oczy matce, która straciła dziecko, ale dziwią się jeszcze bardziej, widząc, że się podnosi, ubiera, stroi.

Nauczyłam się używać kremu na dzień, kremu na noc, różu, tak jak inni uczą się gotować.

Pani, która opiekuje się cmentarzem, ma smutny wygląd, ale zawsze uśmiecha się do odwiedzających. Ten smutny wygląd to, jak sądzę, wymóg zawodu. Przypomina mi pewną aktorkę, której nazwiska nie pamiętam. Jest ładna, ale nie sposób powiedzieć, ile ma lat. Zauważyłam, że zawsze jest dobrze ubrana. Wczoraj kupiłam u niej kwiaty dla Gabriela. Nie chciałam mu zanosić róż. Pani, która opiekuje się cmentarzem, sprzedała mi bardzo ładne fioletowe wrzosy. Porozmawiałyśmy o kwiatach, zdaje się, że ogród to jej pasja. Kiedy jej powiedziałam, że hoduję róże, rozpromieniła się. Już nie ta sama kobieta.

To właśnie napisała na mój temat Irène Fayolle w roku 2009 w swoim dzienniku. Miesiąc po pochówku Gabriela Prudenta. Lata po tym, jak zniknął Philippe Toussaint.

Gdyby Irène Fayolle wiedziała, że któregoś dnia *pani, która opiekuje się cmentarzem,* spędzi noc z jej synem…

Nie mam wieści od Juliena Seula. Najpewniej zjawi się tu któregoś dnia rano, po cichutku, jak zawsze. Jak ja, kiedy opuszczałam hotel Armance.

Rozmyślam o naszej nocy, stojąc przed trumną Marie Gaillard (1924–2017), którą wkładają do ziemi. Pani Gaillard była, zdaje się, bardzo złośliwa. Kobieta, która pracowała w jej domu, przed chwilą szepnęła mi na ucho, że przyszła na pogrzeb tej „starej", żeby się upewnić, że rzeczywiście umarła. Czym prędzej uszczypnęłam się w rękę, żeby się nie roześmiać. Przy grobie ani żywej duszy, nawet cmentarne koty poznikały. Żadnych kwiatów ani tabliczek. Marie Gaillard włożono do rodzinnego grobu. Mam nadzieję, że nie da się za bardzo we znaki tym, z którymi się tam spotka.

Nierzadko odwiedzający przychodzą, żeby na jakiś grób napluć. Nie sądziłam, że zdarza się to aż tak często. Kiedy zaczęłam tu pracować, myślałam, że wrogość umiera razem ze znienawidzoną osobą. Płyty grobowe nie powstrzymują jednak nienawiści. Uczestniczyłam w pogrzebach, w czasie których nie uroniono ani jednej łzy. A nawet w pogrzebach radosnych. Bywają tacy nieboszczycy, których śmierć wszystkich urządza.

Kiedy Marie Gaillard spoczęła już w ziemi, kobieta, która pracowała w jej domu, szepnęła, że „złe nasienie jest jak gnój: smród unosi się w powietrzu bardzo długo, nawet jak się je wypleni".

*

Od stycznia 1996 roku przyjeżdżałam do Sashy w co drugą niedzielę. Jak osoba, która nie ma pełni praw do opieki nad dzieckiem i widuje się z nim w co drugi weekend. Pożyczałam wtedy zawsze czerwonego fiata pandę od Stéphanie, która użyczała mi go bez szemrania. Wyjeżdżałam

o szóstej rano i wracałam wieczorem. Czułam, że to nie będzie mogło długo trwać. Że bardzo szybko Philippe Toussaint zacznie mi zadawać pytania, będzie się sprzeciwiał moim wyjazdom. Był bardzo nieufny.

Odwiedziny na cmentarzu w Brancion odmieniały mnie fizycznie. Jak kobietę, która ma kochanka. Moim jedynym kochankiem był obornik; Sasha nauczył mnie robić go z końskiego łajna. Nauczył mnie, że w październiku trzeba ogród skopać, zająć się nim znów na wiosnę, gdy nastanie odpowiednia ku temu pogoda. Oraz że trzeba uważać na dżdżownice, żeby ich nie przecinać, aby mogły „zrobić swoją robotę".

Nauczył mnie patrzeć na niebo i podejmować decyzję, czy sadzić w styczniu, czy później, jeśli chcę mieć zbiór we wrześniu.

Wyjaśniał, że przyroda jest niespieszna, że bakłażany zasadzone w styczniu będą gotowe do zbioru nie wcześniej niż we wrześniu i że na plantacjach przemysłowych podlewają warzywa dużą ilością nawozów chemicznych, żeby szybko rosły. Taka wydajność była zupełnie niepotrzebna w przypadku przycmentarnego ogródka warzywnego w Brancion. Nikt nie czekał na te warzywa oprócz niego, dozorcy, i mnie, jego „starego pisklęcia, które wypadło z gniazda". Mówił, że trzeba dać naturze wolną rękę, nie przeszkadzać jej. Żadnych nawozów innych niż naturalne. Nauczył mnie robić gnojowicę z pokrzyw i wywaru z szałwii do pielęgnacji warzyw i kwiatów. Żadnych sztucznych środków ochrony roślin.

– Violette, naturalna uprawa to o wiele więcej pracy, ale póki człowiek żyje, czas zawsze się znajdzie, przybywa go jak grzybów od porannej rosy – mówił.

Bardzo szybko zaczął zwracać się do mnie po imieniu; ja nigdy nie pozwoliłam sobie na to w stosunku do niego.

Gdy tylko mnie zobaczył, nie szczędził słów krytyki.

– Czy ty widzisz, w co się ubrałaś?! Dlaczego nie możesz wyglądać pięknie, jak przystało na piękną kobietę, którą jesteś? No i dlaczego masz krótkie włosy? Masz wszy?

Mówił mi to wszystko tak, jakby się zwracał do jednego ze swoich kotów. Lubił koty.

Przyjeżdżałam w niedzielę rano koło dziesiątej. Wchodziłam na cmentarz, szłam na grób Léonine. Wiedziałam, że jej już tu nie ma. Że pod marmurem jest pusto. Jak na nieużytkach, ziemia niczyja. Przychodziłam, żeby przeczytać jej imię i nazwisko. Ucałować je. Nie składałam kwiatów, Léonine nie przepadała za kwiatami. W wieku siedmiu lat woli się zabawki i czarodziejskie różdżki.

Gdy otwierałam drzwi do domu Sashy, zawsze czułam ten sam zapach – domowego jedzenia, podsmażanej na patelni cebuli, herbaty i perfum Rêve d'Ossian, którymi zraszał chusteczki, by rozkładać je tu i ówdzie w mieszkaniu. A mnie, gdy tylko znalazłam się w środku, lepiej się oddychało. Miałam wolne.

Obiad jadaliśmy, siedząc na wprost siebie. Jedzenie zawsze było kolorowe, doprawione, pachnące, smaczne i bez mięsa. Wiedział, że mnie od niego odrzuca.

Wypytywał mnie, jak wygląda mój tydzień, moja codzienność, życie w Malgrange-sur-Nancy, praca, lektury, pytał o muzykę, której słucham, o przejazdy pociągów. Nigdy nie wspominał o Philippie Toussaincie, a jeśli już się to zdarzyło, mówił „on".

Bardzo szybko wychodziliśmy do ogrodu, żeby razem popracować. Mróz czy piękna pogoda, zawsze było coś do zrobienia.

Sadzenie, wysiew nasion, pikowanie, podpieranie, spulchnianie, plewienie, odkłady, odchwaszczanie ścieżek – nieodmiennie pochylaliśmy się wspólnie nad ziemią. W pogodne dni wielką radość sprawiało mu

celowanie we mnie strumieniem wody z węża ogrodowego. Sasha miał dziecięce spojrzenie i takie zabawy.

Pilnował tego cmentarza już od wielu lat, nigdy nie mówił o swoim życiu prywatnym. Jedyną obrączką, którą nosił, była ta znaleziona na marchewce w jego pierwszym ogródku warzywnym.

Czasem wyjmował z kieszeni *Regain*, powieść Jeana Giono, i czytał mi parę fragmentów. Ja z kolei cytowałam mu *Regulamin tłoczni win*; znałam tę książkę na pamięć.

Czasem coś pilnego przerywało nam pracę – ktoś nabawił się lumbago czy skręcił nogę. Sasha mówił mi wtedy: „Pracuj dalej, zaraz wracam". Znikał na pół godziny, żeby się zająć swoim pacjentem, i wracał zawsze z filiżanką herbaty, uśmiechem na ustach i takim samym pytaniem: „No to co ty z tą naszą ziemią zrobiłaś?".

Bardzo mi się spodobał ten pierwszy raz. Ręce w ziemi, nos zadarty w niebo, żeby połączyć je ze sobą. Nauczyć się, że jednego nie ma bez drugiego. Wrócić dwa tygodnie po pierwszych nasadzeniach i zobaczyć zmianę, liczyć pory roku inaczej, poczuć moc życia.

Czas dzielący te niedziele wydawał mi się oczekiwaniem bez końca. Niedziela bez wyjazdu do Brancion była pustynią, gdzie liczyła się tylko przyszłość, linia horyzontu następnej niedzieli.

W wolnym czasie czytałam swoje notatki na temat tego, co posadziłam, w jaki sposób zrobiłam odkład tego czy tamtego, co zasiałam. Sasha dał mi parę magazynów o ogrodnictwie, które pożerałam jak kiedyś *Regulamin tłoczni win*.

Po upływie dziesięciu dni przypominałam więźniarkę, która liczy ostatnie godziny dzielące ją od wyjścia na wolność. Już w czwartek wieczorem zaczynałam przebierać nogami. W piątek i w sobotę, nie mogąc wprost wytrzymać, między kolejnymi przejazdami pociągów wychodziłam

pospacerować. Potrzebowałam tego, żeby dać upust rozpierającej mnie energii. Philippe Toussaint nic nie zauważył. Wybierałam ścieżki, którymi chodziło się na skróty, gdzie on się na swoim motorze nie zapuszczał. Jeżeli przypadkiem był w domu, mówiłam, że idę szybko coś załatwić. W sobotę pod wieczór szłam do Stéphanie po pandę, która stała przed jej domem.

Nigdy jeszcze nikt na świecie nie kochał tak samochodu, jak ja kochałam fiata pandę Stéphanie. Żaden kolekcjoner, żaden kierowca ferrari czy aston martina nie odczuwał tego, co ja czułam, kiedy kładłam drżące dłonie na kierownicy, przekręcałam kluczyk w stacyjce, wrzucałam pierwszy bieg i wciskałam pedał gazu.

Rozmawiałam z białym tygrysem. Wyobrażałam sobie, co też tym razem zastanę w naszej ziemi. Sadzonki, które urosły, rozsady do przepikowania, kolor listków, stan gleby – spulchniona, wysuszona lub tłusta – korę drzew owocowych, rozwój pączków, warzywa, kwiaty, obawę przed przymrozkami. Wyobrażałam sobie, co Sasha przygotował mi na obiad, zastanawiałam się, jaką herbatę będziemy pili, w nozdrzach czułam już zapach jego domu, w uszach jego głos. Jechałam do mojego Wilbura Larcha. Mojego osobistego lekarza.

Stéphanie sądziła, że z niecierpliwością wyczekuję chwili, gdy odwiedzę grób córki, lecz ja z niecierpliwością wyczekiwałam życia po śmierci córki. Innego życia niż moje. Życie, które nadawało sens mojemu, zgasło, a wulkan zamarł. Czułam jednak podziemne korytarze, tunele tworzące się w moim wnętrzu. Czułam to, co wysiewałam. Sama siebie unasienniałam. Ale przecież wyjałowiona gleba, z jakiej mnie ulepiono, była jeszcze uboższa niż ziemia w przycmentarnym ogrodzie. Kamienista. Źdźbło trawy może jednak wyrosnąć gdziekolwiek. Tak, nawet na asfalcie może coś wyrosnąć. Wystarczy mikroszczelina, a życie znajdzie sposób,

żeby się do niej przecisnąć. Trochę deszczu, słońce i, nie wiedzieć skąd, przyniesione z wiatrem szczepy zaczynają wzrastać.

Tego dnia, kiedy po raz pierwszy przykucnęłam, żeby zebrać pomidory, które posadziłam pół roku wcześniej, poczułam w tym ogrodzie obecność Léonine, tak jakby sprowadziła Morze Śródziemne aż do tego warzywniaka przy cmentarzu, na którym ją pochowano. Tego dnia zrozumiałam, że moja córka jest częścią każdego cudu, który wyrasta z tej ziemi.

57

Nasze losy potoczyły się swoją koleją, lecz nigdy nie rozdzieliły naszych serc

Czerwiec 1996 roku, Geneviève Magnan

Jestem tak wyczulona, że kiedy czytam albo słyszę słowo „kwas”, boli mnie język i szczypią oczy. Wszystko mnie piecze. Oto co sobie myślę, kiedy widzę reklamę kwaśnych cukierków w telewizji. „Jesteś przewrażliwiona”, wypluwała z siebie matka, waląc mnie w mordę raz za razem.

To musi być jak z naczyniami połączonymi: skoro duszę mam tak rozpierdoloną, że tylko rzucić psom na pożarcie, to i ciało.

Zmieniam kanał. Gdybym tylko mogła tak zmienić życie za pomocą pilota. Od kiedy straciłam pracę, jedyne, co mi zostało, to ten stary fotel. Co innego miałabym ze sobą zrobić. Nic nie jest ważne. To koniec. Tego się nie da odwrócić. Sprawa zamknięta. Martwe, pochowane.

Kiedy zadzwonił Swan Letellier, spałam. Zostawił mi wiadomość, której nie zrozumiałam; mówił niejasno, wyraźnie spanikowany, wszystko mu się w tej ptasiej główce plątało. Musiałam odsłuchać nagranie parokrotnie, żeby pojąć znaczenie jego słów: matka Léonine Toussaint czekała na niego przed restauracją, gdzie pracuje jako kucharz. Wygląda na

pokręconą, nie wierzy, że dziewczynki poszły tamtej nocy do kuchni, żeby zrobić sobie kakao.

Po procesie sądziłam, że już nigdy nie usłyszę o Léonine. Jak nie usłyszę o Anaïs, Océane ani o Nadège. Na szczęście tylko tamtej, dyrektorce, się dostało. Dwa lata pierdla. Burżuje też powinni czasami zjeść trochę gówna, tak jest sprawiedliwie. Nigdy nie podobała mi się ta jej świętoszkowata gęba.

Matka Léonine Toussaint… Oni nie są stąd. Tylko burżuje posyłają dzieci, żeby sobie mogły pomoczyć dupę w przyzamkowym jeziorze. Sądziłam, że przyjeżdżają tu do nas tylko po to, żeby złożyć kwiaty na cmentarzu, i zaraz wracają do siebie.

Czego ona szuka? Czego chce? Czy wróci? Czy będzie łazić za mną po knajpach? Letellier wpadł w panikę, ale ja już od dawna przestałam bać się kogokolwiek.

W zamku było nas sześcioro. Letellier, Croquevieille, Lindon, Fontanel, Petit i ja.

Jak myślę o tym wszystkim, przypomina mi się ten pierwszy raz, kiedy go zobaczyłam. Nie ostatni, tylko pierwszy. Zwykle myślę o tym ostatnim. I z nienawiści aż buzuje mi krew w żyłach, jakby w nich płynęły całe rzeki kwaśnych cukierków.

Ten pierwszy raz był w czasie uroczystości zakończenia roku w okolicznych przedszkolach. Miałam na bluzce plamę z mleka, mojemu najmłodszemu się ulało. Dziecko nie czuło się najlepiej z powodu upału. Rozpięłam ją trochę, ale tak, żeby nie było widać sutka. Nie spojrzał na mnie, ale rzucił okiem na mój biustonosz do karmienia. Przeszył mnie dreszcz. Spojrzenie napalonego psa. Miałam na niego ochotę. Straszną.

On mnie nie widział, a ja „widziałam tylko jego”, jak to mówią dziani ludzie.

Dwa miesiące wakacji letnich upłynęły pod znakiem dość podłego humoru.

Potem dostałam pracę sprzątaczki przedszkolnej. Pierwszego dnia czekałam na niego jak ten pies. Kiedy zobaczyłam, jak wchodzi na przedszkolny plac zabaw, żeby odebrać dziecko, cała zesztywniałam, moja skóra stwardniała, stała się zupełnie jak skóra jego kurtki. Chciałam być tym zwierzęciem, które pocięto na kawałki, żeby jemu było ciepło.

Pojawiał się rzadko. Najczęściej to matka przyprowadzała i odbierała małą.

Odezwał się do mnie dopiero po paru miesiącach. Pewnie nie miał tego dnia nic innego do roboty. Żadnej innej dziewczyny do wydupczenia. To był pies na baby. Diabelsko przystojny. Nosił T-shirty i opięte dżinsy. Lodowato niebieskim spojrzeniem rozbierał każdą spódniczkę, która pojawiła się w zasięgu, wszystkie te matki defilujące tam i z powrotem korytarzami śmierdzącymi amoniakiem.

Po zajęciach myłam szyby w oknach ajaxem… Zabierałam gówniarzy do toalety…

Któregoś dnia zagadałam do niego. Wymyśliłam historyjkę o okularach, które niby znalazłam w szufladzie jednego z dzieci. Czy to jego? Był zimny jak przedszkolna zamrażarka. Powiedział: „Nie, to nie moje”. Nawykł do tego, że baby go zaczepiają, to było widać, czuć. Miał wygląd wyklętego księcia, zdrajcy, łotra, amanta z dawnych filmów.

Pod koniec roku szkolnego, widząc, że ciągle wystaję w korytarzu, żeby go spotkać, dopaść, wreszcie się ze mną umówił. Nie na randkę, żeby sobie opowiadać jakieś dyrdymały, nie, wyznaczył mi godzinę i miejsce, bez ceregieli.

Podszedł blisko: „Jeden wieczór, i to szybki”. On był żonaty, a ja zamężna. Nie chciał problemów ani łóżka w hotelu. Posuwał laski

w klubach nocnych w kiblu, pod drzewami i na tylnych siedzeniach samochodów.

Parę godzin się szykowałam. Wydepilowałam sobie nogi, nasmarowałam się kremem Nivea, nałożyłam sobie na twarz, na tego swojego nochala, ściągającą maseczkę z glinki, wyperfumowałam się pod pachami i odstawiłam dzieci do kumpeli, która miała trzymać mordę na kłódkę. Kumpeli, która dawała na prawo i na lewo i którą sama już wcześniej kryłam. I której własne cudzołóstwo nie pozwoli otworzyć pyska.

Mieliśmy się spotkać przy „skałce”, bo tak miejscowi nazywali wielki głaz stojący przy wyjeździe z miasta, coś w rodzaju pękniętego menhiru, w ciemnym miejscu, gdzie dzieciaki już dawno temu potłukły uliczne latarnie.

Przyjechał motorem. Kask położył na siedzeniu. Jak ktoś, kto nie zostanie długo. Nie powiedział mi ani „Dzień dobry”, ani „Dobry wieczór”, nie zapytał, jak leci. Wydaje mi się, że ledwo się do niego uśmiechnęłam. Serce waliło mi jak młotem. Rozsadzało piersi. Moje nowe buty ślizgały się w błocie, narobiłam sobie od nich bąbli.

Odwrócił mnie. Nie patrzył na mnie. Ściągnął mi majtki i rajstopy, rozsunął uda. Żadnej pieszczoty, żadnych słodkich czy przykrych słów. W ogóle żadnego słowa. Tak mi dogodził, że mało co nie umarłam. Zaczęłam drżeć jak zwiędły liść, którego drzewo chce się jak najszybciej pozbyć.

Jak już odjechał, jednocześnie popękały mi bąble od niewygodnych butów i polały się łzy z oczu. Miłość – mówiła mi zawsze matka – to dobre dla bogaczy. „Nie dla takiej nieudacznicy”.

Za każdym razem, kiedy spotykaliśmy się przy skałce, rżnął mnie od tyłu, nawet na mnie nie patrząc. Czułam w sobie jego posuwiste ruchy, kwiczałam jak zarzynana maciora. Nigdy się nie dowiedział, że te moje

wrzaski to były i raj, i piekło zarazem, dobro i zło, rozkosz i ból, początek końca.

Czułam jego oddech na karku i uwielbiałam to. Chciałam jeszcze. Jak zapinał rozporek, mówiłam: „Widzimy się w przyszłym tygodniu? O tej samej godzinie?”. Odpowiadał: „Okej”.

I znowu tam byłam. Zawsze tam byłam. A on nie zawsze, nie za każdym razem. Czasem nie przyjeżdżał. Posuwał gdzie indziej. Ja czekałam, oparta plecami o zimną skałkę. Czekałam na światła jego motocykla. To trwało całe miesiące.

Ostatnim razem, kiedy go widziałam, przyjechał samochodem. Nie był sam. Obok niego ktoś siedział. Spanikowałam, chciałam odejść, ale złapał mnie za rękę, mocno ścisnął i wysyczał przez zęby: „Ty tu zostajesz, nie ruszasz się, jesteś moja”. Odwrócił mnie, zbrukał jak zazwyczaj, a ja kwiczałam, nie protestując. Słyszałam swoje krzyki. Usłyszałam trzaśnięcie drzwi samochodu. Usłyszałam słowa matki: „Miłość to dobre dla bogaczy”. Usłyszałam, jak mówi pasażerowi siedzącemu w samochodzie zaparkowanym tuż obok nas: „Jest twoja, obsłuż się”. Mówiłam „Nie”. Ale pozwoliłam.

Odjechali. Wciąż stałam odwrócona, z majtkami na kostkach. Koślawy pajac. Ustami dotykałam skałki. Miałam w nich smak kamienia, mchu, myślałam, że to krew.

Potem się przeprowadziłam, z dwójką dzieci. Nigdy więcej go nie widziałam.

*

Ktoś puka do drzwi, to musi być ona. Nie było jej na pogrzebie. Nie było jej na procesie. W końcu musiała się zjawić.

58

Trumny są takie ciężkie od słów niewypowiedzianych przez leżących w nich zmarłych

Czerwiec 1996 roku – już od sześciu miesięcy przyjeżdżam w co drugą niedzielę do Sashy. Dopiero co od niego wyjechałam, mam jeszcze ziemię pod paznokciami. Położyłam sobie ich adres na desce rozdzielczej. Miejsce nazywa się La Biche aux Chailles, to tuż za Mâcon. Jechałam z pół godziny, błąkałam się po dróżkach, w tę i we w tę. Aż w końcu znalazłam. Niewielki domek z poczerniałym sfatygowanym tynkiem, wciśnięty pomiędzy dwa inne, większe i bardziej okazałe budynki. Powiedziałby kto – biedna dziewczynka pomiędzy dwójką paradnie wystrojonych rodziców.

Ich nazwiska widniały na wiszącej na drzwiach skrzynce na listy: *G. Magnan. A. Fontanel*.

Serce zaczęło mi walić jak oszalałe. Poczułam, że mnie mdli.

Było już późno. Pomyślałam, że będę musiała jechać po nocy, żeby wrócić do Malgrange, a tego bardzo nie lubię. Ściskało mnie w dołku ze strachu, zapukałam parę razy do drzwi. Musiałam zapukać mocniej. Zabolały mnie od tego palce. Zobaczyłam ziemię pod paznokciami. Miałam suchą skórę.

To ona otworzyła drzwi; nie od razu skojarzyłam stojącą przede mną kobietę z tą pozującą w śmiesznym kapeluszu w dniu jakiegoś ślubu do zdjęcia, które było w liście od Sashy. Bardzo się postarzała i utyła od czasu, kiedy to zdjęcie zostało zrobione. Na fotografii była umalowana, źle, ale umalowana. W poświacie zapadającego zmierzchu przeżyte lata widocznie odznaczały się na jej twarzy. Miała podkrążone oczy, popękane naczynka na policzkach.

– Dzień dobry, nazywam się Violette Toussaint. Jestem matką Léonine. Léonine Toussaint.

Wypowiedzenie imienia i nazwiska córki przed tą kobietą zmroziło mi krew w żyłach. Pomyślałam: To pewnie ona jej podała ostatni posiłek. Pomyślałam, po raz tysiączny: Jak ja mogłam pozwolić mojej siedmioletniej córeczce tam pojechać?

Geneviève Magnan milczała. Stała zimna jak marmur i pozwoliła mi mówić dalej. Wszystko w niej było zamknięte na cztery spusty. Żadnego uśmiechu, wyrazu emocji na twarzy, tylko wpatrywała się we mnie tymi zaropiałymi i nabiegłymi krwią oczami.

– Chcę się dowiedzieć, co pani widziała tamtej nocy, tej nocy, kiedy wybuchł pożar.

– Po co?

Jej pytanie mnie zaskoczyło. Bez zastanowienia odparłam:

– Nie sądzę, żeby moja siedmioletnia córka poszła do kuchni, żeby sobie podgrzać mleko.

– Trzeba to było powiedzieć w czasie procesu.

Poczułam, że drżą mi nogi.

– A pani, pani Magnan, co pani powiedziała w czasie procesu?

– Nie miałam nic do powiedzenia.

Burknęła „Do widzenia” i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Zatkało mnie. Sądzę, że długo jeszcze stałam przed jej drzwiami, patrząc na łuszczącą się farbę i ich nazwiska napisane na plastikowej taśmie: *G. Magnan. A. Fontanel*.

Wsiadłam do pandy Stéphanie. Dłonie wciąż jeszcze mi drżały. Podczas rozmowy ze Swanem Letellierem wyczułam, że w przebiegu zdarzeń tamtej nocy coś nie jest jasne, a moje „spotkanie” z Geneviève Magnan tylko to potwierdziło. Dlaczego ci ludzie zdają się coś ukrywać? A może tylko coś sobie ubzdurałam? Czy tracę rozum? Zaczyna mi jeszcze bardziej odbijać?

*

Droga powrotna to była jazda ze strefy światła w strefę ciemności. Myślałam o Sashy i o personelu zamku Notre-Dame-des-Prés. Postanowiłam, że następnym razem, za dwa tygodnie, pojadę do zamku. Nigdy się nie ośmieliłam przed nim przejechać. A przecież znajdował się ledwie pięć kilometrów od cmentarza w Brancion. No i wrócę do Magnan i Fontanela, i będę dotąd kopać w ich drzwi, aż zaczną w końcu mówić.

Przed dom zajechałam o dwudziestej drugiej trzydzieści siedem. Ledwo co zdążyłam zaparkować przed zamknięciem przejazdu o dwudziestej drugiej czterdzieści. Kiedy popchnęłam drzwi, zobaczyłam Philippe’a Toussainta, który zasnął na kanapie. Patrzyłam na niego i myślałam o tym, że go kiedyś kochałam, dawno temu. Że gdybym miała osiemnaście lat i krótkie włosy, rzuciłabym się na niego i zapytała: „Będziemy się kochać?”. Ale miałam jedenaście lat więcej i włosy mi urosły.

Poszłam się położyć. Zamknęłam oczy, lecz nie znalazłam snu. Philippe Toussaint wślizgnął się do łóżka w środku nocy. Mruknął: „No to wróciłaś”. Pomyślałam: Całe szczęście, bo jak nie, to kto by opuścił szlaban o dwudziestej drugiej czterdzieści? Udałam, że śpię, że go nie słyszę.

Czułam, że mnie obwąchuje, szuka w moich włosach zapachu kogoś innego. Jedyne, co mógł poczuć, to syntetyczny odświeżacz powietrza z pandy. Bardzo szybko zaczął chrapać.

Myślałam o tej historii z nasionami, którą Sasha mi opowiedział. Usiłował wyhodować w swoim warzywniaku melony, ale nigdy nie wyrosły. Próbował dwa lata z rzędu, nic z tego, melony nie chciały rosnąć. Następnego roku wyrzucił resztki melona ptakom. Trochę dalej, na tył warzywniaka, gdzie stały doniczki, grabie, konewki i stary kocioł do prania. Jeden z ptaków, przez nieuwagę lub z psoty, musiał upuścić ziarenko na sam środek ogrodowej ścieżki. Parę miesięcy później wyrosła w tym miejscu piękna roślina i Sasha jej nie wyrwał, tylko ją opalikował. Wydała dwa dorodne melony. Duże i słodkie. I owocowała każdego roku, czasem dawała tylko jeden melon, innym razem bywało ich aż pięć. Sasha powiedział mi: „Widzisz, te melony to dar od nieba, taka jest natura, to ona decyduje”.

Usnęłam.

Przyśniło mi się pewne wspomnienie. Prowadziłam Léonine na lekcje. To był dzień rozpoczęcia roku szkolnego w podstawówce. Szłyśmy długim korytarzem. Trzymała mnie za rękę. Aż raptem ją puściła, bo jest już „teraz duża”.

Obudziłam się z krzykiem:

– Ja ją znam! Już ją widziałam!

Philippe Toussaint zapalił lampkę przy łóżku.

– Co? Co się dzieje?

Przetarł oczy i patrzył na mnie, jakbym była opętana.

– Ja ją znam! Ona pracowała w szkole. Nie w klasie Léonine, ale w tej obok.

– Że co?

– Widziałam się z nią. Po wizycie na cmentarzu pojechałam do Geneviève Magnan.

Philippe Toussaint zmienił się na twarzy.

– Co?

Spuściłam wzrok.

– Muszę zrozumieć. Powinnam porozmawiać z ludźmi, którzy byli w zamku Notre-Dame-des-Prés tamtej nocy.

Wstał, obszedł łóżko dookoła i złapał mnie za kark. Zabrakło mi powietrza. Podniósł mnie i zaczął wrzeszczeć:

– Wpakujesz nas w jakieś gówno! Jak tak dalej pójdzie, to cię zamknę! Słyszysz?! I uprzedzam cię, już tam więcej nie pojedziesz! Słyszysz?! Nigdy więcej twoja noga już tam nie postanie!

Z upływem lat pozwolił mi się zapaść w bezdenną samotność, w czarną czeluść. Stałam się kimś innym, kimś, kto opuszczał i podnosił szlaban, robił zakupy, obiad i kolację, prał bieliznę i spał po lewej stronie łóżka, a on nic nie czuł, niczego nie zauważał.

Nigdy ani mnie nie szturchnął, ani mi nie groził. Kiedy to w końcu zrobił, sprawił, że znów stałam się sobą, wróciłam do siebie.

*

Następnego dnia rano wpadłam do Stéphanie, żeby oddać jej kluczyki od pandy. W poniedziałek Casino było zamknięte. Mieszkała sama przy Grand-Rue, na pierwszym piętrze. Wpuściła mnie i podała mi wielki kubek kawy. Miała na sobie długi T-shirt z Claudią Schiffer i powiedziała: „Poniedziałek to dzień, kiedy w domu jest sprzątanie”. Dziwnie się poczułam, widząc jej twarz nad supermodelką, ale to przecież właśnie ta jej twarz wzruszyła mnie do łez, ta jej pyzata gęba, poczciwe czerwone policzki, te jej postrzępione włosy.

– Zatankowałam ci do pełna.

– Aha, dziękuję.

– Wygląda, że będzie ładny dzień.

– Aha, tak.

– Dobra ta twoja kawa… Mój mąż nie chce, żebym jeździła więcej na cmentarz w Brancion.

– Aha, no to… ale przecież… nie. Ale przecież to… żeby nie jechać do dziecka… no nie.

– Tak, wiem. Tak czy owak, dziękuję ci za wszystko.

– Aha, nie ma za co, to nic takiego.

– To dużo, Stéphanie.

Wzięłam ją w ramiona. Nie ważyła się nawet drgnąć. Jak gdyby nikt nigdy nie okazał jej dotąd żadnego przejawu uczucia. Oczy i usta zaokrągliły jej się jeszcze bardziej niż zazwyczaj. Trzy latające spodki. Stéphanie zawsze pozostanie tajemnicą, kosmitką z Casino. Zostawiłam ją, jak stała – pośrodku salonu, z opuszczonymi rękami.

Po czym wyszłam na Grand-Rue i ruszyłam w kierunku szkoły podstawowej. Jak w piosence *Du côté de chez Swann*[25] zrobiłam to samo, ale w drugą stronę. Drogą, którą przemierzałam z Léo każdego dnia rano. Pojemnik marki Tupperware zajmował w tornistrze więcej miejsca niż książki i zeszyty. Miałam obsesję szykowania ogromnego drugiego śniadania, żeby jej niczego nie brakowało. Bo wciąż pamiętałam tę pustkę z pobytów w rodzinach zastępczych. Kiedy gdzieś jechaliśmy na szkolną wycieczkę autokarem, gdy inne dzieci miały chipsy, czekoladowe batoniki, kanapki z wiejskiego chleba, cukierki i napoje gazowane w plecakach. Nie byłam głodna, ale w tym, co miałam w swojej śniadaniówce, nie było żadnej fantazji. „Dziewczynkom z sierocińca niewiele potrzeba”. Nie smuciło mnie to, że miałam mniej, ale to, że nie mogłam się z nikim

podzielić swoim skromnym drugim śniadaniem. Że miałam akurat tyle, żeby starczyło. Chciałam dać Léonine szansę dzielenia się z innymi.

To nie widok dzieci mnie poruszył, kiedy weszłam na szkolny dziedziniec, poruszyły mnie zapachy – ze stołówki, budynku przylegającego do szkoły – i przepełnione korytarze. Była pora obiadowa. Przychodziłam po Léonine w porze obiadu. Często mówiła mi: „Widzisz, ta stołówka nie pachnie ładnie, mamo, cieszę się, że wracamy do nas”.

Na skali bólu, jeżeli taka cholerna skala istnieje, wejście do szkoły Léonine było wyżej niż pójście na cmentarz. W Brancion moja córka była jedną zmarłą pośród wielu innych. W szkole – zmarłą pośród żywych.

Szkolni koledzy Léonine już opuścili te mury. Poszli do gimnazjum. Nie zniosłabym spotkania z nimi, gdybym ich rozpoznała. Te same sylwetki z opcją „życie” plus. Nóżki jak u pasikonika, twarzyczki trochę mniej pucołowate, metalowe aparaty ortodontyczne na zębach, sportowe buty w coraz większych rozmiarach na nogach.

Z rękami w kieszeniach szłam opustoszałymi korytarzami. Pomyślałam, że Léonine nie chciałaby, żebym prowadziła ją za rękę aż do samej klasy. Jedna z matek powiedziała mi, że jak dziecko idzie do gimnazjum, to się je traci po trochu z roku na rok. Tak, a jak jadą na kolonie letnie, to można je od razu całkiem stracić.

Léonine mówiła na swoją nauczycielkę z podstawówki „panna Claire”. Kiedy słodka Claire Berthier, ślęcząca nad zeszytami, podniosła głowę i zobaczyła, że wchodzę do klasy, pobladła na twarzy. Nie widziałyśmy się od śmierci mojej córki. Moja obecność nie była jej w smak. Gdyby mogła się schować do mysiej dziury, zrobiłaby to.

Śmierć dziecka krępuje dorosłych, tych innych, sąsiadów, sklepikarzy. Spuszczają wzrok, unikają człowieka, przechodzą na drugą stronę ulicy. Dla wielu osób, kiedy umiera dziecko, rodzice umierają razem z nim.

Wymieniłyśmy kurtuazyjne powitania. Nie dałam jej czasu na spławienie mnie, od razu wyjęłam zdjęcie Geneviève Magnan, to, na którym pozuje w tym śmiesznym kapeluszu.

– Zna ją pani?

Zaskoczona moim pytaniem nauczycielka zmarszczyła brwi i uważnie popatrzyła na zdjęcie. Powiedziała, że nie rozpoznaje tej osoby.

Nie dawałam za wygraną:

– Wydaje mi się, że ona tutaj pracowała.

– Tu? Chce pani powiedzieć: w szkole?

– Tak, w sąsiedniej klasie.

Claire Berthier znowu spojrzała swoimi pięknymi zielonymi oczami na zdjęcie; badawczo i długo wpatrywała się w twarz Geneviève Magnan.

– Ach… wydaje mi się, że sobie przypominam, ona była w klasie pani Piolet, u starszaków… Pojawiła się w trakcie roku szkolnego. Nie została długo.

– Dziękuję.

– Dlaczego pokazuje mi pani to zdjęcie? Szuka pani tej kobiety?

– Nie, nie, wiem, gdzie mieszka.

Claire uśmiechnęła się do mnie jak do wariatki, osoby chorej, wdowy, sieroty, alkoholiczki, ignorantki, matki-która-straciła-dziecko.

– Do widzenia, dziękuję.

---

[25] W stronę Swanna.

59

Dopiero gdy padnie na ziemię, można zmierzyć wielkość drzewa

Schowałam dziennik Irène Fayolle do szuflady w stoliku nocnym. Czytam fragmenty na swój temat jak popadnie, nigdy w porządku chronologicznym. Przyjeżdżała na mój cmentarz w latach 2009–2015, żeby zadumać się nad grobem Gabriela. W tych latach pisała na temat meteorologii, Gabriela, sąsiednich grobów, doniczek z kwiatami i o mnie.

Julien powkładał kolorowe zakładki między strony, gdzie jego matka pisała o *pani z cmentarza*. Są jak kwiaty wyrastające z linijek, gdzie o mnie wspomina. Od razu przywiodło mi to na myśl *List od nieznajomej* Stefana Zweiga.

3 stycznia 2010 roku

Dzisiaj zauważyłam, że ta pani z cmentarza płakała…

6 października 2009 roku

Wychodząc z cmentarza, spotkałam panią, która się nim zajmuje, uśmiechała się, towarzyszyli jej jeden z grabarzy, pies i dwa koty…

6 lipca 2013 roku

Pani z cmentarza często porządkuje groby, nie musi…

28 września 2015 roku

Spotkałam panią z cmentarza, uśmiechnęła się do mnie, ale wydawała się pochłonięta własnymi myślami…

7 kwietnia 2011 roku

Dowiedziałam się właśnie, że mąż tej pani z cmentarza zniknął…

3 września 2012 roku

Mieszkanie pani z cmentarza było zamknięte na klucz, okiennice również. Spytałam jednego z grabarzy dlaczego, odparł, że w Boże Narodzenie i trzeciego września dozorczyni nie chce widzieć nikogo. To są jedyne dni w roku, kiedy ktoś ją zastępuje, oprócz wakacji letnich…

7 czerwca 2014 roku

Podobno ta pani z cmentarza notuje w zeszycie mowy pogrzebowe wygłaszane nad grobami zmarłych…

10 sierpnia 2013 roku

Kupując kwiaty, dowiedziałam się, że pani z cmentarza wyjechała na wakacje do Marsylii. Może się minęłyśmy…

Kiedy kończę czytać linijki, które dotyczą mnie, i otwieram dziennik w miejscach niezaznaczonych przez Juliena kolorowymi zakładkami, mam wrażenie, jakbym wchodziła do sypialni Irène i szperała pod materacem. Tak jak jej syn, kiedy zaczął szukać Philippe’a Toussainta. Ja natomiast szukam Gabriela Prudenta.

Są takie słowa, których nie rozumiem, Irène pisała tak samo niewyraźnie jak niektórzy lekarze nazwy lekarstw na receptach. Drobnym

maczkiem, długopisem.

*

Po miłosnej nocy Gabriel Prudent i Irène Fayolle nie opuścili hotelu razem.

Mieli się wymeldować w południe. Gabriel zadzwonił do recepcji, żeby powiedzieć, że zostanie jeszcze na jeden dzień. Pieścił Irène opuszkami palców i szeptał jej, paląc kolejne papierosy:

– Muszę wytrzeźwieć od całego tego alkoholu, a przede wszystkim od pani, zanim stąd wyjdę.

Źle to przyjęła. To było tak, jakby jej powiedział: „Muszę się pani pozbyć, zanim stąd wyjdę”.

Wstała, wzięła prysznic i ubrała się. Od czasu zamążpójścia nigdy nie spędziła nocy poza domem. Kiedy wyszła z łazienki, Gabriel spał. Nad popielniczką unosił się tłusty dym ze źle zgaszonego niedopałka.

Otworzyła minibar w poszukiwaniu wody. Gabriel otworzył oczy i zobaczył, jak pije z butelki. Miała już na sobie płaszcz.

– Proszę jeszcze trochę zostać.

Wierzchem dłoni otarła usta. Bardzo mu się spodobał ten jej gest. Jej skóra, spojrzenie, włosy ściągnięte z tyłu czarną gumką.

– Wyjechałam wczoraj rano. Miałam dostarczyć kwiaty do Aix i wrócić zaraz potem… Jestem pewna, że mąż zgłosił już moje zaginięcie.

– Nie kusi pani, żeby zniknąć?

– Nie.

– Proszę przyjechać do mnie, będziemy żyć razem.

– Jestem zamężna i mam syna.

– Proszę się rozwieść i zabrać syna ze sobą. Mam z dziećmi raczej dobry kontakt.

– Nikt się nie rozwodzi ot tak, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Tylko panu się wydaje, że wszystko jest takie proste.

– Bo jest proste.

– Nie chcę iść na pogrzeb męża. Pan rzucił żonę i umarła.

– Staje się pani nieprzyjemna.

Sięgnęła po torebkę. Sprawdziła, że kluczyki od samochodu są w środku.

– Nie, realistyczna. Nie zostawia się ludzi ot, tak sobie. Jeżeli panu łatwo przychodzi wszystko rzucić i zacząć budować gdzie indziej, nie przejmując się innymi, ich smutkiem, no to… tym lepiej.

– Każdy żyje po swojemu.

– Nie. Życie innych też się liczy.

– Wiem, spędzam swoje, broniąc życia innych.

– To życie ludzi, których pan broni. Życie ludzi, których pan nie zna. A nie pańskie. Nie pana bliskich. To jest niemal… łatwe.

– Już czynimy sobie wyrzuty. Po jednej miłosnej nocy. Może za szybko nam to wszystko idzie.

– Prawda w oczy kole.

Podniósł głos.

– Nie znoszę prawdy! Ona nie istnieje, ta cała prawda! Jest jak Bóg… To wymysł ludzi!

Wzruszyła ramionami.

– Nie dziwi mnie to – powiedziała.

Spojrzał na nią smutno.

– Już… Nie wprawiam już pani w zadziwienie.

Skinęła głową. Uśmiechnęła się do niego lekko i zatrzasnęła za sobą drzwi, nie mówiąc „Do widzenia”.

Zeszła po schodach trzy piętra i zaczęła się rozglądać za swoją furgonetką. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie ją poprzedniego dnia zaparkowała. Szukała samochodu w uliczkach przylegających do hotelu, przed witrynami, gdzie zapowiadano ostatnie zimowe wyprzedaże, i o mało co nie wróciła do pokoju, by paść w ramiona Gabriela Prudenta. W chwili gdy już miała zawrócić, zobaczyła w głębi zaułka furgonetkę; stała jednym kołem na chodniku, zaparkowana trochę byle jak.

W głębi zaułka. Byle jak. Wszystko to było byle jakie. Trzeba wracać, do Paula i Juliena.

W furgonetce unosił się zapach tytoniu. Opuściła wszystkie szyby, nie bacząc na zimno. Dojechała do Marsylii. Nie zajrzała do rozarium. Wróciła bezpośrednio do domu.

Paul czekał na nią. Kiedy otworzyła drzwi, niemal krzyknął: „To ty?”. Zżerał go niepokój, ale nie zgłosił zaginięcia. Wiedział, że żona może zniknąć każdego dnia. Wiedział o tym od zawsze. Nazbyt piękna, nazbyt skryta, pełna sekretów.

Przeprosiła go. Powiedziała, że na cmentarzu doszło do niespodziewanego spotkania, z pewnym wdowcem opuszczonym przez rodzinę, jednym słowem, dziwna historia, musiała się wszystkim zająć.

– Jak to wszystkim?

– No, wszystkim.

Paul nigdy o nic nie pytał. Dla niego pytania należały do przeszłości. Paul żył dniem dzisiejszym.

– Następnym razem zadzwoń.

– Jadłeś?

– Nie.

– Gdzie jest Julien?

– W szkole.

– Głodny jesteś?

– Tak.

– Zrobię spaghetti.

– Dobrze.

Uśmiechnęła się, poszła do kuchni, wyjęła głęboki garnek, nalała do niego wody, postawiła go na palniku i dodała trochę soli oraz ziół. Przypomniało jej się spaghetti, które jadła dzień wcześniej z Gabrielem, kiedy się kochali.

Paul wszedł do kuchni, wtulił się w jej plecy i pocałował ją w kark.

Przymknęła oczy.

60

Wspomnienie nigdy nie umiera, po prostu zapada w sen

Czerwiec 1996 roku, Geneviève Magnan

Paryżanki przyjechały minibusem, walizki, kucyki, warkocze, kwieciste sukienki, torebki na wymiociny, krzyki radości. Paplanina, piski: przedział wiekowy od sześciu do dziewięciu lat. Są te, które poznałam już wcześniej, rok temu. Same dziewczynki. Cztery przyjadą samochodem później. Dwie z Calais i dwie z Nancy.

Nigdy nie przepadałam za siksami, przypominały mi moje siostry, których nie znosiłam. Na szczęście sama mam tylko dwóch chłopaków, zuchy. Chłopcy nie piszczą. Tłuką się, ale nie piszczą.

Nigdy nie byłam dobra z matmy. Zresztą z innych przedmiotów też nie. Ale wiem, co to znaczy rachunek prawdopodobieństwa, nauczyło mnie tego doskonale moje zasrane życie, coś jednak weszło do tego zakutego łba. Im większa liczba, tym większa szansa na to, że dojdzie do danego zdarzenia. Ale w tym przypadku ta liczba była malutka. Zabita dechami wiocha, trzysta dusz, gdzie przez dwa lata pracowałam na zastępstwie.

*

Kiedy zobaczyłam, jak wysiada z samochodu, cała bladziutka, najpierw pomyślałam nie o rachunku prawdopodobieństwa, ale o tym, że to jakieś przypadkowe podobieństwo. Pomyślałam sobie: Stara, odbija ci. Wszędzie widzisz zło.

Wróciłam do kuchni robić wszystkim tym milusińskim naleśniki. Siedziały w jadalni, przy stołach z karafkami z wodą i butelkami z syropem z owoców granatu. Przyniosłam im stertę naleśników z cukrem i w mig zniknęły.

Kiedy dyrektorka odczytywała listę obecności, a ta mała odpowiedziała: „Obecna”, myślałam, że zejdę na sam dźwięk jej nazwiska. Brzmiało tak samo jak Święto Zmarłych.

Jedna z wychowawczyń podała mi szklankę zimnej wody. „Geneviève, źle się pani poczuła z powodu tego upału?”, spytała. Odpowiedziałam: „Tak, chyba tak”.

W tej samej chwili zrozumiałam, że diabeł istnieje. Bóg to co innego, od zawsze wiedziałam, że to wymysł naiwniaków, ale nie diabeł. Tego dnia zdjęłabym chyba przed nim kapelusz, nakrycie głowy, którego nigdy nie miałam. U nas prawie nie nosiło się kapeluszy.

„Kapelusze to dobre dla burżujów”, mówiła matka, waląc mnie w mordę raz za razem.

Mała podobna była do ojca jak dwie krople wody. Patrzyłam, jak pożera naleśniki, i wspominałam ten ostatni raz, smak krwi w ustach. Od trzech lat go już nie widziałam, a cały czas o nim myślałam. Czasami nocą budziłam się zlana potem, śniąc o tym, jak mi go brak, o chęci zemsty, o tym, żeby tak mu dać do wiwatu, tak jak on dał mnie.

Po podwieczorku dzieci wyszły rozprostować nogi. Posprzątałam ze stołów, na dworze było ładnie, więc otworzyłam okna. Widziałam ją, jak się bawi, biega razem z innymi, krzycząc z radości. Pomyślałam, że nie dam

rady wytrzymać przez cały tydzień. Przez siedem dni widzieć go, patrząc na nią, podając do stołu rano, w południe i wieczorem. Muszę iść na zwolnienie. Ale potrzebowałam tej roboty. Praca w zamku pozwalała mi przeżyć rok. Poza tym nie mogłam dać ciała w pełni sezonu. Dyrektorka wszystkich nas uprzedzała: w lipcu i sierpniu nie będzie tolerowana żadna nieobecność, chyba że ktoś będzie umierający. Taka świnia, a sprawia wrażenie świętoszki.

Umyśliłam sobie, żeby podłożyć małej nogę, niech sobie złamie girę na schodach, to ją odeślą z miejsca do tatusia. Przesyłka wraca do nadawcy. Z karteczką przypiętą do sukienki: *Z moimi najgorszymi wspomnieniami*.

Przyszykowałam żarcie. Sałatka z pomidorów, panierowana ryba, pilaw i desery. Przygotowałam stół na dwadzieścia dziewięć nakryć. Pomógł mi Fontanel.

– Coś mi jesteś nie w sosie, grubasku.

Odpowiedziałam, żeby się zamknął. Zarechotał.

Wychylił się przez okno i patrzył łakomym wzrokiem na wychowawczynie, podczas gdy dziewczynki bawiły się w raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy.

Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy…

61

Wiemy, że byłabyś z nami dzisiaj, gdyby niebo nie było tak daleko

Kiedy przeprowadziliśmy się na cmentarz, w sierpniu 1997 roku, Sasha opuścił już dom. Drzwi, jak zwykle, były otwarte. Zostawił nam list i klucze na stole. Witał nas w nowym miejscu, wyjaśniał, gdzie znajdują się bojler, licznik prądu, żarówki na zmianę i korki.

Pudełka z herbatą zniknęły. Dom był czysty. Bez niego jednak smutny, bez duszy. Niczym dziewczyna porzucona przez miłość z czasów młodości. Odkryłam pierwsze piętro, pusty pokój.

Warzywniak został podlany dzień wcześniej.

Kierownik wydziału technicznego władz miejskich odwiedził nas późnym popołudniem, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście się wprowadziliśmy.

Początkowo odwiedzali nas ludzie, którzy chcieli, żeby im dać coś na zapalenie ścięgna czy na złagodzenie chronicznego bólu. Nie wiedzieli, że Sasha wyjechał. Z nikim się nie pożegnał.

*

Słychać kościelny dzwon. W niedzielę nigdy nie ma pogrzebów, jest tylko msza, żeby przywołać do porządku żyjących.

Na ogół w niedzielne południa Elvis przychodzi do mnie na obiad. Przynosi ptysie z kremem waniliowym, a ja mu robię penne z grzybami. Dodaję trochę świeżej pietruszki na wierzch. Pycha. Sięgam po to, co jest w warzywniaku, więc jemy to, co akurat jest dostępne o danej porze roku: pomidory, rzodkiewki lub sałatkę z fasolki szparagowej.

Elvis bardzo mało mówi. Nie przeszkadza mi to; z nim nie muszę się silić na prowadzenie rozmowy. Elvis podobnie jak ja nie ma rodziców. Do dwunastego roku życia wychowywał się w sierocińcu w Mâcon, potem został pomocnikiem w gospodarstwie rolnym w Brancion-en-Chalon. Znajduje się ono przy wjeździe do miasteczka, teraz to całkowita ruina.

Wszyscy członkowie tej rodziny pomarli i od dawna już leżą u mnie na cmentarzu. Elvis nigdy nie przechodzi koło ich grobu. Boi się ojca, Emiliena Fourriera (1909–1983), brutala, który nie szczędził razów każdemu, kto się nawinął. Alejki przy ich grobie nie są dobrze utrzymane. Zawsze mi mówił, że nie chce zostać pochowany razem z nimi. Kazał mi obiecać, że o to zadbam. Będę więc musiała umrzeć po nim. Toteż kazałam mu zawrzeć z braćmi Lucchinimi umowę, żeby mieli zezwolenie na pochowanie go ze zdjęciem Elvisa Presleya na płycie i słowami *Always on my mind* wypisanymi na złoto. Chociaż Elvis ma wygląd dziecka, jak to się często zdarza w przypadku chłopców, którzy nie zaznali pieszczoty od matki, niedługo przejdzie na emeryturę.

Nono i ja prowadzimy jego sprawy finansowe i wypełniamy urzędowe papiery. Tak naprawdę nazywa się Éric Delpierre, nigdy jednak nie słyszałam, żeby ktoś go tak nazwał. Myślę, że nikt z mieszkańców Brancion nie zna jego prawdziwego nazwiska. Od zawsze żyje pod swoim pseudonimem scenicznym. Polubił Elvisa Presleya, kiedy miał osiem lat. Są

tacy, którzy przyjmują do serca jakąś wiarę, on przyjął Elvisa, lub też pozwolił mu zamieszkać w swoim sercu. Piosenki Elvisa przenikały go i pozostawały w nim niczym modlitwy. Ksiądz Cédric odmawia *Ojcze nasz*, a Elvis śpiewa *Love Me Tender*. Nic nie wiem o tym, żeby kiedykolwiek był zakochany w jakiejś kobiecie. Nono też nie wie.

Kiedy szukam liści laurowych w szafce z przyprawami, znajduję list od Sashy, wsunięty pomiędzy butelkę z oliwą i ocet balsamiczny. Zostawiam listy od Sashy w różnych miejscach w domu, zapominam o nich i w końcu znów na nie przypadkiem wpadam. Ten nosi datę z marca 1997 roku.

Droga Violette,

mój ogródek wygląda teraz smętniej niż cmentarz. Dni przemijają jeden za drugim, a każdy z nich przypomina skromny pogrzeb.

Co mam zrobić, żeby móc Cię znów zobaczyć? Czy chcesz, żebym zorganizował Twoje porwanie stamtąd, z tego przejazdu kolejowego?

Dwie niedziele w miesiącu to przecież nie za wiele. Można wytrzymać.

Dlaczego się jego słuchasz? Wiesz, że czasami trzeba się zdobyć na nieposłuszeństwo. No i kto niby ma zadbać o moją rozsadę pomidorów?

Wczoraj pani Gordon przyszła, żebym się zajął jej półpaścem. Odchodziła z uśmiechem na ustach. Kiedy mnie spytała: „Co mogę zrobić, żeby panu podziękować?”, o mało co jej nie powiedziałem: „Niech mi pani sprowadzi Violette”.

Wysiewam marchewki. Do glinianych pojemników. Rozkładam te swoje sadzonki w salonie, obok pudełek z herbatą, tuż za szybą. Wtedy, jak świeci słońce, to prosto na nie. Kiedy jest ciepło, wszystko dobrze rośnie. Ciepło jest najważniejsze. Idealnie byłoby je porozstawiać przed kominkiem, ale go nie ma w moim malutkim domku. I dlatego niczego

nie dostaję od Świętego Mikołaja. Później, jak już podrosną, umieszczę je w inspekcie. Cebulę, szalotkę i groch można wysiewać bezpośrednio do gruntu. Ale nie marchewkę. No i pamiętaj zawsze o zimnych ogrodnikach, dwunasty, trzynasty i czternasty maja każdego roku. Wtedy wszystko się rozstrzyga, wtedy trzeba przepikować. Teoretycznie. Jak chcesz zapewnić ochronę młodym sadzonkom, nakrywasz je na noc doniczkami lub cienką folią.

Wracaj szybko. Nie baw się w Świętego Mikołaja.

Z całą moją przyjaźnią.

Sasha

Elvis puka do drzwi i wchodzi z ptysiami z kremem waniliowym zawiniętymi w biały papier. Składam list od Sashy i zostawiam go na swoim miejscu, żeby o nim zapomnieć i żeby znów przypadkiem wpadł mi w ręce.

– Wszystko w porządku, Elvis?

– Violette, ktoś cię szuka. Powiedziała: „Szukam żony Philippe’a Toussainta”.

Poczułam, jak krew mi zamarza. Za Elvisem majaczy jakiś cień. Wchodzi kobieta. Wpatruje się we mnie bez słowa. Omiata wnętrze spojrzeniem i zatrzymuje się na mnie. Widzę, że dużo płakała. Przywykłam do widoku ludzi, którzy długo płakali, nawet jeżeli miało to miejsce przed paroma dniami.

Elvis przywołuje Éliane, uderzając rękami w uda, i wyprowadza ją na zewnątrz, jakby chciał ją od czegoś uchronić. Suczka rusza za nim radośnie. Lubi chodzić z nim na spacery.

W domu zostajemy tylko my dwie.

– Wie pani, kim jestem?

– Tak. Françoise Pelletier.

– Wie pani, dlaczego tu jestem?

– Nie.

Bierze głęboki oddech, by powstrzymać łzy.

– Widziała się pani z Philippe’em tamtego dnia?

– Tak.

Kobieta przyjmuje cios.

– Po co tu przyjechał?

– Oddać mi pewien list.

Nie czuje się dobrze, zmienia się na twarzy, na jej czoło wystąpiły perliste kropelki potu. Stoi jak wryta, chociaż w jej ciemnoniebieskich oczach widzę burzę. Dłonie ma zaciśnięte. Paznokcie wrzynają jej się w ciało.

– Proszę usiąść – mówię.

Na jej twarzy pojawia się cień uśmiechu, przysuwa sobie krzesło. Nalewam jej dużą szklankę wody.

– Jaki list? – pyta.

– Zleciłam wysłanie mu listu z pozwem o rozwód, tam, do pani, do Bron.

Moja odpowiedź przynosi jej widomą ulgę.

– On już nie chciał o pani słyszeć.

– A ja nie chciałam słyszeć o nim

– Mówił, że doprowadzała go pani do szaleństwa. Nienawidził tego miejsca, tego cmentarza.

– …

– Dlaczego została pani tutaj po jego wyjeździe? Dlaczego się pani nie przeprowadziła? Nie zaczęła życia na nowo?

– …

– Jest pani piękną kobietą.

– …

Françoise Pelletier wypija duszkiem szklankę wody. Jest cała rozdygotana. Śmierć spowalnia życie tego lub tej, co pozostaje. Każdy z jej gestów wydaje się powolny. Dolewam jej wody. Uśmiecha się z trudem.

– Po raz pierwszy zobaczyłam Philippe’a w Charleville-Mézières, w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym, w dniu jego komunii. Miał dwanaście lat, a ja dziewiętnaście. Był ubrany w białą szatę, a na jego piersi spoczywał drewniany krzyż. Po raz pierwszy widziałam kogoś, do kogo strój tak bardzo nie pasował. Pamiętam, że powiedziałam: „I tak nikt nie uwierzy, że to ministrant”. Wyglądał na takiego, co to popija mszalne wino i podpala po kryjomu papierosy. Właśnie się zaręczyłam z Lukiem Pelletierem, bratem Chantal Toussaint, matki Philippe’a. Luc nalegał, żebyśmy poszli na poranną mszę i zjedli z nimi obiad. Nie potrafił znaleźć wspólnego języka z siostrą i szwagrem, mówił, że „to sztywniacy”, ale bardzo lubił siostrzeńca. Spędziliśmy dosyć nudny dzień. Zaczekaliśmy, aż Philippe rozpakuje prezenty, i o piętnastej już nas nie było. Matka Philippe’a przez cały czas patrzyła na mnie spode łba. Nie podobało jej się, że brat zadaje się z taką siksą. Miałam trzydzieści lat mniej niż mój narzeczony.

W tym samym roku pobraliśmy się z Lukiem w Lyonie, Philippe i jego rodzice przyjechali na ślub, ale nie kryli niechęci. Philippe upił się, opróżniając niedopite kieliszki dorosłych. Tak był ululany, że tuż przed pierwszym tańcem pocałował mnie w usta i wybełkotał: „Kocham cię, ciotka”. Rozbawił wszystkich gości. Resztę wieczoru spędził, wymiotując

w toalecie, podczas gdy matka trzymała wartę pod drzwiami, mówiąc: „Biedaczyna, od tygodnia już cierpi na niestrawność”. Stale go broniła, za wszelką cenę. Philippe bardzo mnie bawił, lubiłam tę jego śliczną buźkę.

Po ślubie Luc i ja otworzyliśmy warsztat w Bron. Najpierw wykonywaliśmy tylko same podstawowe naprawy, zajmowaliśmy się wymianą oleju, robiliśmy przeglądy, lakiernictwo, a potem się rozwinęliśmy. Biznes zawsze dobrze się kręcił. To była ciężka praca, ale nie orka. Nigdy. Minęły dwa lata i Luc zaprosił „małego Philippe’a”, jak go nazywał, żeby przyjechał do nas na wakacje letnie. Mieszkaliśmy w domu na wsi o dwadzieścia minut od warsztatu. Philippe obchodził z nami swoje czternaste urodziny i w prezencie dostał od Luca motocykl, pięćdziesiątkę. Aż się popłakał z radości. I wtedy Luc pokłócił się z siostrą. Chantal zwymyślała brata od najgorszych, wyrzucała mu, że jakim prawem daje w prezencie jej synowi motor, że to zbyt niebezpieczne, że pośle Philippe’a do grobu, on, ten niedojda, który nawet dziecka nie może zrobić. To prawda. Nigdy nie miał dzieci. Ani z pierwszą żoną, ani ze mną.

Tego dnia Chantal dotknęła czułego punktu. Luc już nigdy więcej nie odezwał się do siostry. Ale Philippe przyjeżdżał do nas co roku latem, choć jego rodzice nie byli z tego zadowoleni. I nigdy nie chciał odjeżdżać. Mówił, że chce z nami mieszkać przez cały rok. Błagał, żebyśmy go zatrzymali, ale Luc wyjaśniał mu, że to niemożliwe, że gdyby to zrobił, podpisałby na siebie wyrok śmierci, siostra by go zabiła. Chłopak był grzeczny, bałaganiarz, ale grzeczny. Luc z przyjemnością na niego patrzył, przeniósł na niego swoje ojcowskie uczucia. Przez długi czas Philippe zastępował mu syna. Dobrze się rozumieliśmy. Traktowałam go jak naszego, często mi to wypominał, mówił: „Nie jestem dzieckiem”.

W roku, w którym skończył siedemnaście lat, wyjechaliśmy latem na wakacje do Biot, niedaleko Cannes. Wynajęliśmy willę z widokiem na

morze. Codziennie chodziliśmy nad wodę. Wyruszaliśmy rano, jedliśmy obiad na plaży i wracaliśmy wieczorem. Philippe umawiał się z dziewczynami, każdego dnia z inną. Czasami któraś z nich przychodziła do nas na plażę w ciągu dnia. Całował się z nimi, leżąc na ręczniku plażowym. Wydawał mi się wtedy zdumiewająco dojrzały i zadziwiająco nonszalancki. Sprawiał takie wrażenie, jakby wszystko olewał. Każdego wieczoru szedł potańczyć, wracał w nocy. Przed wyjściem okupował łazienkę, w której zostawiał okrutny bałagan. Podkradał wujkowi żyletki, zostawiał niespłukaną piankę do golenia na umywalce, nigdy nie zakręcał tubki z pastą do zębów, a ręczniki kąpielowe rzucał na podłogę. Wszystko to denerwowało Luca. Denerwowało, ale i bawiło. A ja zbierałam i prałam rzeczy chłopaka, którego ja i Luc mieć nie mogliśmy. Lubiliśmy gościć u siebie Philippe'a, wnosił pod nasz dach młodość, beztroskę. Pomiędzy nim a mną było tylko siedem lat różnicy. Do dwudziestego roku życia ma to znaczenie, żyje się na innych planetach, z czasem jednak różnica się zaciera, planety zbliżają się do siebie: lubi się te same filmy, te same seriale, tę samą muzykę. Te same rzeczy człowieka śmieszą.

Podczas pobytu w Biot miałam romans z pewnym barmanem, nic wyjątkowego ani poważnego. Kochaliśmy się z Lukiem. Do szaleństwa. Często mi mówił: „Jestem starym dziadem, jak chcesz się zabawić z jakimś młodszym facetem, nie krępuj się, bylebym nie wiedział. No i żebyś mi się tylko nie zakochała, tego bym nie zniósł". Gdy myślę o tym z perspektywy czasu, jestem pewna, że popychając mnie z lekka w ramiona innych mężczyzn, miał nadzieję, że zajdę w ciążę. To było oczywiście podświadome, ale myślę, że długo czekał na to, że któregoś dnia wrócę zapłodniona, a on da dziecku swoje nazwisko. Ale do rzeczy, podczas tych letnich wakacji wydaliśmy w willi przyjęcie, przyszło ze dwadzieścia osób, wszyscy nieźle sobie podpiliśmy i Philippe przydybał mnie z moim

pięknym kochankiem w basenie. Nigdy nie zapomnę, jak wtedy na mnie spojrzał. W jego oczach dostrzegłam mieszaninę osłupienia i rozkoszy, pewien rodzaj zadowolenia. Myślę, że tej nocy po raz pierwszy zobaczył we mnie kobietę. Kobietę, a więc zdobycz. Philippe był groźnym drapieżnikiem. I tak przystojnym, że i święta by się nie oparła. Ale przecież pani nie muszę tego mówić…

Nie powiedział, oczywiście, niczego Lucowi, nie doniósł na mnie, jednak kiedy mijaliśmy się w willi, uśmiechał się do mnie porozumiewawczo. Jakby mi chciał powiedzieć: „Jesteśmy wspólnikami”. I to bardzo mi się nie podobało. Miałam ochotę sprać go za to po pysku. Stał się nieznośnie zarozumiały. I choć przedtem nieustannie śmialiśmy się razem, z dnia na dzień przestaliśmy. Zaczęła mi zawadzać jego obecność, zapach wody toaletowej, burdel, który wszędzie po sobie zostawiał, hałas, jaki robił, wracając o piątej nad ranem. Kiedy go posyłałam do wszystkich diabłów, Luc mówił: „Odzywaj się grzecznie do małego, wystarczy, że matka suszy mu głowę”. Przy stole, gdy tylko Luc się odwrócił, Philippe wlepiał we mnie oczy i uśmiechał się. Spuszczałam wzrok, ale czułam na sobie to jego pełne piekącej arogancji spojrzenie.

Ostatniego wieczoru wrócił wcześniej niż zazwyczaj i bez dziewczyny. Byłam na tarasie, sama, przysnęłam na leżaku. Przylgnął wargami do moich ust. Obudziłam się i dałam mu w twarz, powiedziałam: „Posłuchaj mnie dobrze, smarkaczu, jak się to powtórzy, to już nigdy więcej twoja noga nie postanie w naszym domu”. Bez słowa poszedł spać. Następnego dnia opuściliśmy willę. Odwieźliśmy go na dworzec. Miał bilet na pociąg do Charleville-Mézières. Na peronie uścisnął nas mocno na pożegnanie, Luca i mnie, obejmując każdego jednym ramieniem. Nie miałam ochoty na te uściski, ale cóż mogłam zrobić. Lucowi bardzo się nie podobało, że nie trawię już jego siostrzeńca. Był z tego powodu nieszczęśliwy. Znalazłam

się w potrzasku. Philippe po stokroć nam dziękował. I tak nas obejmując, zjechał dłonią po moich plecach w dół i położył mi ją na pośladkach, przyciskając mnie mocno do swojego uda. Nie mogłam zareagować, bo Luc był przy nas. Gest Philippe'a mnie zmroził. Pomyślałam, że ma niesamowity tupet i zachowuje się jak mężczyzna bardzo pewny siebie. W końcu powiedział: „Do widzenia, ciociu, do widzenia, wujku". Zarzucił plecak na ramię, wsiadł do wagonu i pomachał nam ręką z tym swoim anielskim uśmiechem na twarzy. Gdyby moje spojrzenie mogło zabijać, chłopak padłby trupem, ale on nic sobie z tego nie robił. Uśmiechał się, jakby mówił: „No i co?".

Wróciliśmy do Bron, do pracy. Wiosną następnego roku Philippe zadzwonił, żeby powiedzieć, że nie przyjedzie do nas latem, bo jedzie z kumplami do Hiszpanii obchodzić swoje osiemnaste urodziny. Przyznam, że mi ulżyło. Nie będę musiała go widywać ani unikać spojrzeń i niestosownych gestów. Luc był bardzo rozczarowany, ale po odłożeniu słuchawki powiedział: „W jego wieku to normalne". Pojechaliśmy znów do Biot, spędziliśmy miesiąc z przyjaciółmi, których tam spotkaliśmy, ale Lucowi brakowało obecności Philippe'a. Często mówił mi: „W domu taki porządek i nikt nie hałasuje". To nie Philippe'a mu brakowało tak naprawdę, nawet jeżeli Luc bardzo był do niego przywiązany, ale naszego własnego dziecka. Pamiętam, że w drodze powrotnej z tych wakacji zaproponowałam mu, żebyśmy adoptowali dziecko. Odpowiedział, że nie. Zapewne dlatego, że wcześniej długo już musiał nad tym rozmyślać. Odparł tylko, że dobrze nam razem we dwoje.

W styczniu następnego roku zmarła matka Luca i Chantal. Pojechaliśmy na pogrzeb. Pomimo okoliczności Luc i jego siostra nie odezwali się do siebie ani słowem. Philippe też tam był. Nie widzieliśmy go od półtora roku. Bardzo się zmienił. Luc trzymał go długo w ramionach, powiedział,

że teraz siostrzeniec przerasta go o głowę. Philippe w czasie całej uroczystości udawał, że mnie nie widzi. Kiedy już wsiadałam do samochodu i Luc poszedł pożegnać się z rodziną, Philippe przyparł mnie do drzwi i z wysokości metra osiemdziesięciu ośmiu centymetrów powiedział: „O, ciocia, byłaś tu, a ja cię nie widziałem”. I pocałował mnie w usta, zanim zdążyłam zareagować, po czym szepnął: „Do następnego lata”.

I nadeszło to następne lato. Lato jego dwudziestych urodzin. Wzięłam go za fraki, zanim zdążył przestąpić próg swojego pokoju. Wybałuszył gały, ale był rozbawiony. Sądzę, że wyglądało to śmiesznie. Stojąc na czubkach palców, ściskałam go z całej siły drżącymi rękami: ja, metr sześćdziesiąt wzrostu, i on, ogromny, przyciśnięty do ściany korytarza. „Uprzedzam cię – powiedziałam mu – jak chcesz mieć przyjemne wakacje, to przestań ze mną tak pogrywać. Nie zbliżaj się do mnie, nie patrz na mnie, nie rób żadnych aluzji, a wszystko dobrze się skończy”. Odpowiedział mi z ironią w głosie: „Zgoda, ciociu, obiecuję. Jakby mnie nie było”.

Od tej chwili udawał, że mnie nie widzi. Był grzeczny, dzień dobry, dobranoc, dziękuję, do zobaczenia – nasze kontakty ograniczały się do tych czterech formuł grzecznościowych. Rano jechaliśmy razem na plażę, on na tylnym siedzeniu, my dwoje z przodu. Wychodził zawsze spóźniony, jego rzeczy walały się po całym domu. Dziewczyny przychodziły do niego w nocy albo na ręcznik plażowy po południu, szedł czasem przelecieć którąś z nich za jakąś skałą, dzień w dzień defilada cycków. I te ciągłe umizgi, gdziekolwiek poszliśmy. Luca to śmieszyło. Philippe wyglądał bardzo przystojnie: ogorzały, anielska twarz, kręcone blond włosy. Zmężniał, był smukły i umięśniony, na plaży wszystkie dziewczyny się za nim oglądały, kobiety też. Mężczyźni mu zazdrościli. Dawało mu to wielką pewność siebie, wszystkie te wodzące za nim spojrzenia. Czasami Luc szeptał mi na ucho: „Moja siostra musiała przyprawić rogi tatusiowi

Toussaintowi, to niemożliwe, żeby takie dwa ogry spłodziły takiego ślicznego chłopaka”. Bardzo mi się z tego chciało śmiać. Luc zawsze mnie rozśmieszał. Miałam z nim naprawdę piękne życie. Nie szczędził mi miłości. Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi na świecie, nie przeżyłabym rozstania z nim. Był mi przyjacielem, ojcem, bratem. W naszym łóżku niewiele się działo, ale od czasu do czasu nadrabiałam te braki gdzie indziej. Wiem, co sobie pani myśli: Kiedy Philippe ją w końcu dostał?

Po długiej chwili ciszy Françoise wraca do swojego monologu. Wierzchem dłoni usuwa wyimaginowaną plamkę z dżinsów. Czas się zatrzymał. Jesteśmy same, twarzą w twarz. To tak jakby Philippe zmienił perfumy. Jakby Françoise wprowadziła do mojej kuchni kogoś obcego.

– Wieczorem w dniu jego dwudziestych urodzin zorganizowaliśmy Philippe’owi imprezę. Przyszli jego przyjaciele. Muzyka, alkohol i bufet ustawiony nad brzegiem małego basenu. Było ładnie, tańczyliśmy, nie wiem, co mnie podkusiło, ale zaczęłam podrywać jednego z przyjaciół Philippe’a, miał na imię Roland, młody kretyn, z którym Philippe spędzał całe dnie. Odeszliśmy na bok i zaczęliśmy się całować. W końcu dołączyliśmy do innych na krojenie tortu i otwieranie prezentów. Kiedy się pojawiliśmy, Philippe posłał mi zabójcze spojrzenie. Myślałam, że da mi w twarz. Zdmuchnął te swoje dwadzieścia świeczek z oczami tryskającymi wściekłością. W tej samej chwili z polecenia Luca przyprowadzono jego siostrzeńcowi przewiązany czerwoną wstęgą prezent: szarą hondę CB sto, z czekiem na tysiąc franków w kopercie przyczepionej do kasku. Uściski, szampan, okrzyki radości i zdumienia. Zauważyłam, że Philippe tylko udaje, że się uspokoił, uśmiecha się do wszystkich, ale zaciska szczękę. Jak zwykle oszukiwał. Strasznie był nie w sosie. Muzyka znów zaczęła grać, wróciliśmy do tańca i Roland znowu się do mnie przykleił. Wtedy Philippe złapał go za ramię i szepnął mu coś na ucho, Roland mu odpowiedział:

„Mówisz poważnie, stary?”. I posypały się ciosy. Luc, który poszedł się już położyć, usłyszał krzyki, wstał i wyrzucił Rolanda za drzwi, nie szczędząc mu kopniaków. Kiedy chodziło o siostrzeńca, Luc reagował tak samo jak siostra: nic się nie działo z jego winy. Spytał Philippe’a, co się stało, a ten odparł, już mocno podpity: „Roland odławia mi zwierzynę… na moim terenie łowieckim!!!”.

Impreza toczyła się dalej jakby nigdy nic. Tej nocy nie zmrużyłam oka. Philippe rozebrał i przyparł do parapetu okna naszej sypialni jedną ze swoich przyjaciółek. Widziałam cienie ich wygiętych w rozkoszy sylwetek. Słyszałam, jak dziewczyna jęczy, a Philippe nie szczędzi jej sprośnych uwag przeznaczonych oczywiście dla mnie. Mówił na tyle głośno, żebym go słyszała, ale nie na tyle, żeby obudzić Luca. Wiedział, że wuj bierze środki nasenne, żeby usnąć. Wiedział też, że ja tam jestem, obok nich, z głową na poduszce i szeroko otwartymi oczami, i że wszystko słyszę. Mścił się. Przez następnych kilka dni ledwo co go widywaliśmy. Wyjeżdżał motorem rano i wracał wieczorem. Nawet w ciągu dnia nie przychodził do nas na plażę. Jego ręcznik był suchy i nikt na nim nie leżał. Czasami morzył mnie sen i śniło mi się, że stoi tuż obok i kładzie się na mnie. Budziłam się, z trudem łapiąc oddech.

Z dziesięć dni po urodzinach znowu pojawił się na plaży. Weszłam do morza i odpłynęłam daleko od brzegu. Zauważyłam, że podszedł do Luca, rozpoznałam go po jasnych włosach i tym jego chodzie. Wylewnie się z nim przywitał i usiadł obok. W końcu Luc wskazał mnie palcem. Philippe zobaczył mnie i rozebrał się. Dogonił mnie, płynąc kraulem. Nie mogłam uciec. Znalazłam się w potrzasku, jak szczur. Widząc, że się do mnie zbliża, wpadłam w panikę, nie mogłam dalej płynąć. Nie wiem dlaczego, pomyślałam, że płynie, żeby mnie utopić, zrobić mi krzywdę. Tak bardzo spanikowałam, że zaczęłam płakać i krzyczeć. Ale z tej odległości nikt na

plaży nie mógł mnie usłyszeć. Wypłynęłam poza boje wytyczające kąpielisko. Dopłynął do mnie w kilka minut. Od razu spostrzegł, co się dzieje. Dalej wołałam o pomoc, ale na niego nie patrzyłam. Chciał mi pomóc, lecz uderzyłam go, wrzeszcząc: „Nie dotykaj mnie!”. Łyknęłam nieopatrznie sporo wody. Wziął mnie siłą na plecy i z trudem doholował do boi. Płynął, a ja nie szczędziłam mu razów. Oddawał mi, żebym się uspokoiła. W końcu dopłynęliśmy i uczepiłam się boi. On też był u kresu sił. Odzyskaliśmy oddech.

– A teraz się uspokój! – powiedział. – Oddychaj i wracamy na plażę!

– Nie dotykaj mnie! – wrzasnęłam.

– Ja mam cię nie dotykać, ale każdy z moich kumpli może cię przelecieć, tak?!

– Ty jesteś moim siostrzeńcem!

– Nie, jestem siostrzeńcem Luca.

– Jesteś tylko rozpuszczonym dzieciakiem!

– Kocham cię!

– Przestań tak mówić!

– Nie, nigdy nie przestanę!

Zaczęło mi być zimno, szczękałam zębami. Spojrzałam w kierunku plaży, wydawało mi się, że jest bardzo daleko. Zobaczyłam Luca. Chciałam się znaleźć w jego zapewniających ochronę dużych ramionach, w których czułam się pewnie. Powiedziałam Philippe’owi, żeby pomógł mi dotrzeć do brzegu. Znowu wziął mnie na plecy, chwyciłam go rękami za szyję i zaczął płynąć żabką. Dałam się odholować. Czułam jego mięśnie pod swoim ciałem, ale nie budziło to we mnie nic więcej oprócz strachu i niechęci.

Przez dwa następne lata nie widziałam go. Wyjechaliśmy z Lukiem do Maroka. Dzwonił do nas od czasu do czasu i zdawał relację, co u niego słychać. Odwiedził nas w maju, prawie trzy lata po tym wydarzeniu na

plaży. W tym roku kończył dwadzieścia trzy lata. Przyjechał podarowaną mu przez Luca hondą, z przyjaciółką na tylnym siedzeniu. Kiedy zdjął kask, zobaczyłam jego twarz, uśmiech, spojrzenie. Aż do śmierci będę pamiętać, że pomyślałam: Ja go kocham. Ładnie było tego dnia. Zjedliśmy kolację we czwórkę w ogrodzie. Długo siedzieliśmy przy stole, rozmawiając o wszystkim i o niczym. Ta dziewczyna, zapomniałam, jak miała na imię, była bardzo młoda. I strasznie onieśmielona. Luc ucieszył się ze spotkania z siostrzeńcem. Philippe od dawna już nie chodził do szkoły, imał się dorywczych prac. Serce zaczęło mi bić szybciej, kiedy Luc zaproponował, że zatrudni go w naszym warsztacie. Powiedział, że pośle go na przeszkolenie i jak wszystko dobrze pójdzie, to go zatrudni. Nigdy nie wierzyłam w Boga. Nie chodziłam na lekcje religii i rzadko bywałam w kościele, ale tego wieczoru modliłam się: Boże mój, spraw, żeby Philippe nigdy nie zaczął u nas pracować. I od razu poczułam na sobie spojrzenie Philippe'a. Odpowiedział wujowi: „Pozwól, że porozmawiam z ojcem, nie chciałbym, żeby zrobiła się z tego jakaś afera". Rozeszliśmy się do sypialni. Nie spałam przez całą noc. Następny dzień był wolny od pracy. Philippe i jego przyjaciółka wstali późno. Leniuchowaliśmy do obiadu. Po południu Luc uciął sobie drzemkę, a ja zostałam przed telewizorem z przyjaciółką Philippe'a, w czasie kiedy on wybrał się na przejażdżkę motocyklem.

Odkąd przyjechali, robiłam wszystko, żeby nie znaleźć się z nim sam na sam. No i stało się to w porze aperitifu. Zeszłam do piwnicy po butelkę szampana i poczułam jego zapach za plecami. Nie tracił czasu. „Nie przyjdę do was do pracy, ale dziś wieczorem, o północy, wyjdziesz do ogrodu, usiądziesz na murku i będziesz na mnie czekać", powiedział. Zanim zdążyłam otworzyć usta, dodał: „Nie tknę cię". I od razu wyszedł. Wzięłam butelkę i wróciłam do Luca i dziewczyny, którzy czekali przy stole. Philippe zjawił się pięć minut później, jak gdyby wracał z zewnątrz.

Zastanawiałam się, czego ode mnie oczekuje. W głębi ogrodu stała drewniana szopa, a za nią był stary murek, z którego jako nastolatek Philippe zjeżdżał na deskorolce. Luc nazywał go zresztą „murkiem Philippe'a": „Powinniśmy powiesić żardiniery na murku Philippe'a", „Trzeba by odmalować murek Philippe'a", „Parę dni temu widziałem pięknego kota, angorę, na murku Philippe'a"…

Wieczór pamiętam jak przez mgłę, ostro tankowałam. O dwudziestej trzeciej wszyscy się podnieśliśmy, żeby pójść spać. Philippe spojrzał na mnie, po czym odezwał się do Luca: „Wujku, myślę, że nie będę mógł u ciebie pracować, rozmawiałem dzisiaj z rodzicami, zrobili z tego wielką tragedię". „Nie ma sprawy, chłopcze", odparł Luc.

Położyliśmy się, ja otworzyłam książkę, a Luc usnął. Im później się robiło, tym mocniej biło mi serce. W domu zapadła głęboka cisza. O dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt pięć włożyłam płaszcz i poszłam usiąść na murku. Wokół egipskie ciemności. Ogród znajdował się z tyłu domu, nie dochodziło tu światło żadnej latarni. Pamiętam, że najcichszy dźwięk sprawiał, że podskakiwałam. No i bałam się, że Luc się obudzi, że mnie będzie wszędzie szukał. Nie wiem, ile czasu siedziałam tak bez ruchu. Sparaliżowana strachem. Nic się nie działo. Wokół mnie tylko cisza. Nie ośmieliłam się jednak ruszyć, myślałam, że jeśli się ruszę, Philippe zmieni zdanie: przyjdzie do nas pracować. Gdyby tak się stało, odeszłabym. Rozwiodłabym się, bez słowa wyjaśnienia. Jeśli Luc dowiedziałby się, że jego siostrzeniec mnie chce, to by go zabiło. Zabiłoby go, gdyby się dowiedział, że kocham Philippe'a.

W końcu pojawił się Philippe ze swoją przyjaciółką. Powiedział do niej: „Nic nie mów, nie opieraj się". Trzymał ją za rękę, szła, nic nie widząc, miała zawiązane oczy. W drugiej ręce miał latarkę, której światło skierował w moją stronę. Na mnie. To mnie oślepiło. Przed oczami majaczyły mi

tylko ich sylwetki. Oparł dziewczynę plecami o jakieś drzewo. Stał twarzą do mnie. Postawił latarkę przy nogach, ciągle była skierowana w moją stronę. Czułam się jak w pułapce, jakbym się dostała pod światła samochodu. „Chcę widzieć twoją twarz”, powiedział. Dziewczyna pomyślała, że zwraca się do niej. Zaczął jej wydawać jedno polecenie za drugim, a ona je wykonywała na moich oczach, nie wiedząc, że tu jestem, tuż obok. „Chcę chociaż ukochać twoją twarz”. Czego on tej dziewczynie nie robił! Nie widziałam go, byłam oślepiona, czułam jednak, że się we mnie wpatruje. W pewnej chwili powiedział: „Chodź, chodź, chodź”. Wstałam i do nich podeszłam. Ona ciągle była odwrócona do mnie plecami, Philippe stał przy niej, twarzą do mnie. Znajdowałam się tak blisko, że czułam zapach ich ciał. „Tak, o tak, patrz, jak cię kocham”. Patrzył mi prosto w oczy. Nigdy tego nie zapomnę. Ani jego uśmiechu. Tego, jak ją trzymał, wykonywanych przez niego posuwistych ruchów, rozkoszy, zwycięstwa nade mną.

Wróciłam do pokoju rozdygotana i usnęłam u boku Luca. Tej nocy śniłam o Philippie. W następne noce również. Dzień później Philippe i dziewczyna wyjechali. Nie widziałam ich odjazdu. Pod pretekstem bólu głowy zostałam w łóżku. Kiedy usłyszałam dźwięk uruchamianego motocykla, a potem niknący w oddali odgłos silnika, wstałam, obiecując sobie, że nigdy więcej go nie zobaczę. Ale o nim myślałam. Często. Następnego lata zorganizowałam wszystko tak, żeby wyjechać z Lukiem na Seszele. Powiedziałam mu, że mam ochotę raz jeszcze przeżyć z nim miesiąc miodowy, jak para zakochanych.

Philippe’a zobaczyłam znowu latem w roku jego dwudziestych piątych urodzin. Zjawił się bez uprzedzenia. Luc wiedział, ale chciał mi zrobić niespodziankę. Udawałam, że się cieszę, ale zbierało mi się na wymioty, zbyt wiele emocji, niechęci, pożądania. Wieczorem tego samego dnia

kochał się z dziewczyną pod oknem naszej sypialni, mrucząc: „Chodź, chodź, chodź, zobacz, jak cię kocham”. Trwało to przez cały miesiąc. W ciągu dnia usiłowałam go unikać. Kiedy się spotykaliśmy na śniadaniu, witał się ze mną z udawaną lekkością w głosie: „Dzień dobry, ciociu. Dobrze spałaś?”. Ale już się do mnie nie uśmiechał. Wyglądał na nieszczęśliwego. Coś się zmieniło. Każdej nocy zaczynał na nowo z inną dziewczyną. Ja też przestałam się uśmiechać. Też byłam nieszczęśliwa. Udało mu się zarazić mnie tą niezdrową miłością. To była bardziej choroba niż miłość.

Ostatniego dnia wakacji to ja odwiozłam go na dworzec. Powiedziałam mu, że nigdy więcej nie chcę go widzieć. Odparł: „Chodź, pojedziemy razem. Czuję, że z tobą wszystko jest możliwe, z tobą nic mi niestraszne. Jak odmówisz, zostanę niedojdą, byle kim”. Czułam, że pęka mi serce. Dałam mu delikatnie do zrozumienia, że nigdy nie zostawię Luca. Nigdy. Spytał, czy może mnie po raz ostatni pocałować, powiedziałam, że nie… Jeślibym mu pozwoliła się pocałować, tobym z nim pojechała.

Trzydziestego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku po odjeździe pociągu wiedziałam, że już więcej go nie zobaczę. Czułam to. W każdym razie nie w tym życiu. Wie pani, w czasie jednego życia przeżywa się kilka żywotów.

Straciliśmy Philippe’a z oczu. Początkowo do nas dzwonił, a później powoli przestał. Luc sądził, że w końcu posłuchał rodziców. Że stanął po ich stronie. My powróciliśmy do dawnych przyzwyczajeń, do naszego życia. Spokojnego i pogodnego. Rok później dowiedzieliśmy się, że Philippe poznał kogoś, panią, że ma dziecko, że się ożenił. Że się przeprowadził. Nigdy jednak do nas nie zadzwonił, żeby nam o tym powiedzieć. Wiedziałam, że to przeze mnie. Ale Luc bardzo cierpiał, że już nie ma od niego żadnych wiadomości. Myślę, że chciał panią poznać,

zobaczyć… Być może sprawy ułożyłyby się inaczej. Łatwiej. No a potem zdarzyła się ta tragedia. Dowiedzieliśmy się o tym niemal przypadkiem. Kolonie letnie. Coś strasznego. Luc chciał się skontaktować z Philippe’em. Zadzwonił do siostry, żeby dostać wasze namiary, odłożyła słuchawkę. Przestał dzwonić. Złożył to na karb smutku. „No i co by im można było powiedzieć? Biedny Philippe”, podsumował.

W październiku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku Luc umarł w moich ramionach, atak serca. Tego dnia była ładna pogoda. Rano śmialiśmy się w czasie śniadania. Tuż przed południem przestał oddychać. Darłam się, żeby otworzył oczy, darłam się, żeby zaczęło mu bić serce, ale na nic się to zdało. Luc mnie już nie słyszał. Czułam się winna. Przez długi czas wmawiałam sobie, że to z powodu Philippe’a. Tej śmiesznej skrywanej miłości… Wcale nie śmiesznej.

Pochowałam Luca samotnie. Nie zawiadomiłam rodziców Philippe’a. Po co? Luc nie zniósłby ich widoku na swoim pogrzebie. Zmartwychwstałby na pięć minut tylko po to, żeby dać im po pysku i ich pogonić. Philippe’a też nie powiadomiłam. Po co? Postanowiłam zachować warsztat, ale wynajęłam zarządcę i na kilka miesięcy wyjechałam z Bron. Potrzebowałam czasu, żeby pozbierać myśli, „przeżyć żałobę”, jak to się mówi.

Oddalenie niewiele mi pomogło. Wprost przeciwnie. Sama otarłam się o śmierć. Popadłam w depresję. Wylądowałam w szpitalu psychiatrycznym na prochach. Nie potrafiłam już nawet zliczyć do dziesięciu. O mało co nie przypłaciłam śmierci Luca własnym życiem. Jego odejście sprawiło, że straciłam wszystkie punkty odniesienia. Kiedy go poznałam, byłam taka młoda. W końcu zaczęłam dochodzić do siebie i postanowiłam wziąć sprawy w swoje ręce. Ten warsztat to było całe nasze życie, głównie moje. Sprzedałam dom na wsi, żeby kupić inny w mieście, o pięć minut drogi od

warsztatu. W dniu sprzedaży, kiedy oddawałam klucze do domu nowym właścicielom, na murku Philippe’a usiadł kos i zaczął głośno śpiewać.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku, kiedy robiłam kosztorys na naprawę samochodu, zauważyłam go, jak podjeżdża. Byłam w biurze i przez okno zobaczyłam wjeżdżający motocykl. Nie zdążył jeszcze zdjąć kasku, a ja i tak wiedziałam, że to on. Nie widziałam go od piętnastu lat. Sylwetka mu się zmieniła, ale sposób chodzenia pozostał ten sam. Myślałam, że padnę trupem na miejscu. Miałam wrażenie, że serce mi się zatrzyma, tak jak mojemu mężowi. Nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek go zobaczę. Rzadko o nim myślałam. Stanowił część moich nocy. Często mi się śnił, ale w ciągu dnia pojawiał się rzadko. Należał do wspomnień. Zdjął kask. Stał się częścią teraźniejszości. Kiepsko wyglądał. Nietęga mina. Szok. Zostawiłam dwudziestopięcioletniego chłopaka na peronie kolejowym, a teraz miałam przed sobą zmęczonego życiem mężczyznę. Wydał mi się niesamowicie przystojny. Z workami pod oczami, ale wciąż przystojny. Miałam ochotę paść mu w ramiona, jak w filmach Leloucha. Przypomniały mi się jego ostatnie słowa: „Chodź, pojedziemy razem. Czuję, że z tobą wszystko jest możliwe, z tobą nic mi niestraszne. Jak odmówisz, zostanę niedojdą, byle kim”.

Podeszłam do niego. A ja? Ja też się zmieniłam. Niedługo miałam skończyć czterdzieści siedem lat. Skóra i kości. Ziemista cera. Za dużo alkoholu i papierosów. Myślę, że miał to wszystko gdzieś, gdy mnie zobaczył. Rzucił mi się w ramiona. „Padł mi w ramiona” byłoby właściwsze. Zaczął szlochać. Długo to trwało. Na samym środku warsztatu. Zaprowadziłam go do siebie. Do nas. Wszystko mi opowiedział.

*

Françoise Pelletier wyszła już godzinę temu, ale jej głos wciąż rozbrzmiewa w moim domu. Myślałam, że przyjechała, żeby mnie zranić, a ona obdarowała mnie prawdą.

62

Już nie śnię, już nie palę, nie mam już nawet historii,
bez Ciebie jestem brudny, brzydki, jak sierota
w ochronce

Gabriel Prudent przydeptał niedopałek i wszedł do rozarium pięć minut przed zamknięciem. Irène Fayolle pogasiła już światła w sklepie i wyjście do ogrodu było zamknięte. Opuściła ciężkie żelazne kraty. Znajdowała się na zapleczu, gdy zobaczyła go przed kontuarem. Czekał niczym zapomniany przez sprzedawcę, pozostawiony samemu sobie klient.

Zobaczyli się w tej samej chwili, on ją skąpaną w białym świetle halogenów, ona jego w czerwonym świetle neonu znad drzwi wejściowych.

Ciągle tak samo piękna. Co on tu robi? Mam nadzieję, że to miła niespodzianka, pomyślała. Czy przyjechał, żeby mi coś powiedzieć? Nie zmieniła się. Nie zmienił się. Ile to już czasu? Trzy lata. Ostatnim razem trochę się pogniewała. Wygląda na zagubionego. Wyszła bez pożegnania. Mam nadzieję, że się na mnie nie gniewa. Nie, bo inaczej by go tu nie było. Czy ona ciągle jest z tym swoim mężem? Czy on urządził sobie życie na nowo? Chyba zmieniła kolor włosów, są jaśniejsze. Ciągle ten sam ciemnoniebieski płaszcz. Wciąż się nosi na beżowo. Ostatnim razem, w telewizji, wyglądał młodziej. Co też ona przez cały ten czas robiła? Co

też się z nim działo, kogo bronił, kogo poznał, co jadł, co przeżył? Tyle lat! Ile to wody upłynęło? Czy zgodzi się pójść ze mną na drinka? Dlaczego przyszedł tak późno? Czy ona mnie pamięta? Nie zapomniał o mnie. To dobrze, że jest. Mamy szczęście, zazwyczaj w czwartek wieczorem Paul po mnie przyjeżdża. Mógłbym wyjść, nic nie mówiąc. Czy mnie pocałuje? Czy ona znajdzie dla mnie czas? Dziś wieczorem jest zebranie w szkole. Może powinienem był za nią pójść. Czy za mną szedł? Udać, że to przypadkowe spotkanie na chodniku. Paul i Julien będą czekać na mnie o wpół do ósmej przed gimnazjum. Nauczycielka od francuskiego chce z nami porozmawiać. Pierwszy krok, chciałabym, żeby zrobił pierwszy krok. Jest taka piosenka: *I żyć, każdy jak chce*. Czy pójdziemy do hotelu? Czy mnie spije jak ostatnim razem? Na pewno ma mi coś do powiedzenia. No i nauczyciel od angielskiego też. Muszę jej dać prezent, nie mogę odjechać, dopóki nie dam jej prezentu. Co ja tu robię? Jego skóra, hotel. Jego oddech. Przestał palić. Niemożliwe, on nigdy nie przestanie palić. Tyle że teraz nie ma śmiałości. Jego dłonie…

Dziennik Irène Fayolle

2 czerwca 1987 roku

Wyszłam z zaplecza, Gabriel ruszył za mną, uśmiechał się nieśmiało, on, wielki adwokat, on, który miał w sobie tyle charyzmy, tak pięknie mówił, zapomniał języka w gębie, jak małe dziecko. On, który bronił kryminalistów i ludzi niewinnych, niczego nie potrafił powiedzieć w obronie naszej miłości.

Znaleźliśmy się na ulicy. Gabriel ciągle nie dał mi prezentu ani też nie zamieniliśmy ani jednego słowa. Zamknęłam sklep na klucz i poszliśmy do mojego samochodu. Jak trzy lata temu usiadł obok mnie, oparł kark na

zagłówku, a ja ruszyłam przed siebie. Nie miałam już ochoty się zatrzymywać, stanąć. Nie chciałam, żeby wysiadł z samochodu. Znalazłam się na autostradzie, pojechałam w kierunku Tulonu, po czym wzdłuż wybrzeża w stronę półwyspu Antibes. Była dziesiąta wieczorem, kiedy – z pustym bakiem – zaparkowałam nad brzegiem morza, obok hotelu La Baie Dorée. Podeszliśmy do witryny, gdzie wywieszone były ceny pokojów i menu w restauracji. Kobieta o blond włosach przywitała nas pięknym uśmiechem. Gabriel spytał, czy nie za późno na kolację.

Po raz pierwszy, odkąd wszedł do rozarium, usłyszałam dźwięk jego głosu. W samochodzie nie odezwał się słowem. Szukał tylko muzyki w radiu.

Kobieta z recepcji odparła, że o tej porze roku restauracja jest zamknięta w dni robocze. Każe nam podać do pokoju dwie sałatki i kanapki klubowe.

Nie poprosiliśmy o pokój.

Nie czekając na odpowiedź, podała nam klucz do pokoju numer siedem, i spytała, czy wolimy do kolacji wino białe, czerwone, czy różowe. Spojrzałam na Gabriela: to on wybierał alkohol.

Na koniec recepcjonistka spytała, na ile nocy zamierzamy tu zostać, i wtedy to ja odpowiedziałam: „Jeszcze nie wiemy". Zaprowadziła nas do pokoju numer siedem, żeby pokazać, jak włącza się światło i telewizor.

Na schodach Gabriel szepnął mi na ucho: „Musimy wyglądać na zakochanych, skoro zaproponowała nam pokój".

Pokój numer siedem był koloru jasnożółtego. Koloru południa. Zanim recepcjonistka wyszła, otworzyła przeszklone drzwi prowadzące na taras; morze było czarne, bryza ciepła. Zanim Gabriel powiesił płaszcz na oparciu krzesła, wyjął coś z jego kieszeni i mi podał. Niewielki przedmiot zapakowany w ozdobny papier.

– Przyjechałem, żeby to pani podarować. Kiedy wchodziłem do rozarium, nie myślałem, że znajdziemy się tutaj, w tym hotelu.

– Żałuje pan?

– Nigdy w życiu.

Rozwinęłam ozdobny papier. Znalazłam w nim szklaną śnieżną kulę. Odwróciłam ją parę razy.

Recepcjonistka zapukała, po czym wjechała do środka z tacą na kółkach, którą zostawiła pośrodku pokoju. Zniknęła równie szybko, jak weszła.

Gabriel ujął moją twarz w dłonie i mnie pocałował.

„Nigdy w życiu” to ostatnie słowa, jakie wypowiedział tego wieczoru. Nie tknęliśmy ani jedzenia, ani wina.

Następnego dnia rano zadzwoniłam do Paula, żeby mu powiedzieć, że na razie jeszcze nie wrócę, i odłożyłam słuchawkę. Uprzedziłam też swoją pracownicę; poprosiłam ją, żeby zajęła się rozarium przez parę dni. Trochę spanikowana, zapytała: „Mam się też zajmować kasą?”. Powiedziałam, że tak. I rozłączyłam się, nie powiedziawszy „Do widzenia”.

Myślałam, że nigdy już nie wrócę. Zniknąć raz a dobrze. Niczego nie musieć znosić, zwłaszcza spojrzenia Paula. Uciec jak tchórz. Odnaleźć Juliena, ale później, jak już dorośnie, kiedy zrozumie.

Ani Gabriel, ani ja nie mieliśmy ubrań na zmianę. Następnego dnia poszliśmy do sklepu, żeby sobie coś kupić. Nie pozwolił mi wybrać beżu. Znalazł dla mnie kolorowe sukienki ze złotymi akcentami. I klapki. Nigdy nie lubiłam klapek. Nie lubiłam pokazywać palców u nóg.

Przez tych parę dni czułam się, jakbym chodziła w przebraniu. Jakbym była kimś innym. Ubranym w ciuchy należące do innej kobiety.

Przez dłuższy czas zastanawiałam się, czy jestem przebrana, czy też po prostu odnalazłam samą siebie, odkryłam się po raz pierwszy.

Tydzień po naszym przyjeździe do Antibes Gabriel musiał pojechać do sądu w Lyonie, żeby bronić człowieka oskarżonego o zabójstwo. Był pewien jego niewinności. Błagał mnie, żebym z nim pojechała. Pomyślałam: Pewnie można porzucić róże i swoją rodzinę, ale nie człowieka oskarżonego o morderstwo.

Wróciliśmy do Marsylii po samochód Gabriela, który stał kilka ulic od rozarium. Miałam zostawić furgonetkę i kluczyki do niej na lewym przednim kole, jak to często robiłam, i mieliśmy pojechać razem do Lyonu.

Kiedy zobaczyłam samochód Gabriela, czerwony sportowy kabriolet, pomyślałam, że nie znam tego człowieka. Że niczego o nim nie wiem. Dopiero co spędziłam najpiękniejsze dni w życiu, no i co?

Nie wiem dlaczego, ale przypomniały mi się takie wakacyjne romanse. Przystojny nieznajomy na plaży. Zakochujesz się w nim bez pamięci, po czym spotykasz tę samą osobę w Paryżu, w szarej uliczce, we wrześniu. Letni urok pryska.

Pomyślałam o Paulu. Znałam go na wylot. Jego łagodność, urodę, delikatność, miłość, nieśmiałość. Pomyślałam o naszym synu.

W tej samej chwili zobaczyłam Paula za kierownicą jego samochodu. Musiał wyjeżdżać z rozarium. Musiał mnie wszędzie szukać. Był bardzo blady, zagubiony w myślach. Nie zauważył mnie. Chciałam, żeby nasze oczy się spotkały. Jeśli mnie nie zauważy, pozostanie mi wybór. Wrócić do niego czy wsiąść do samochodu Gabriela? Zobaczyłam się w witrynie jakiegoś sklepu. W zielono-złotej sukience. Zobaczyłam inną kobietę.

Powiedziałam Gabrielowi, który już siedział za kierownicą kabrioletu: „Zaczekaj na mnie” – i ruszyłam w stronę rozarium, przeszłam przed wejściem, nie było nikogo. Pracownica musiała być w ogrodzie, z tyłu.

Zaczęłam biec, jakby mnie ktoś gonił. Nigdy tak szybko nie biegłam. Weszłam do pierwszego hotelu, jaki znalazłam, i zamknęłam się w pokoju,

żeby się spokojnie wypłakać.

Następnego dnia otworzyłam rozarium sama, znowu ubrałam się na beżowo, postawiłam szklaną kulę śniegową na kontuarze i wróciłam do siebie.

Pracownica powiedziała mi, że pewien bardzo znany adwokat przyszedł poprzedniego dnia do rozarium, że wszędzie mnie szukał, jak szalony. Że w rzeczywistości wygląda gorzej niż w telewizji, że jest niższy.

Tydzień później gazety podały, że mecenas Gabriel Prudent doprowadził do uniewinnienia tego człowieka z Lyonu.

63

Brak ojca potęguje wspomnienie jego obecności

Oprócz Geneviève Magnan jeszcze jedna rzecz z procesu nie dawała mu spokoju: gęba Fontanela. Jego garnitur, gesty, postawa. Ze wszystkich osób, które stanęły przed sądem w charakterze świadków, zapamiętał tylko jego.

Alain Fontanel został wezwany przez adwokata oskarżenia jako ostatni. Po personelu wychowawczym, strażakach, biegłych, kucharzu. Kiedy Fontanel pewnym siebie głosem udzielał odpowiedzi na pytania sędziego, Philippe Toussaint spostrzegł, że Geneviève Magnan spuściła wzrok. Kiedy zauważył ją na korytarzu sądowym pierwszego dnia procesu i dowiedział się, że tamtej nocy była w Notre-Dame-des-Prés, od razu pomyślał: To ona podpaliła pokój, zemściła się.

Ale dopiero kiedy Fontanel zaczął zeznawać, Philippe Toussaint poczuł niepokój. Pomyślał, że to niemożliwe, żeby tylko on jeden wyczuwał kłamstwo. Spojrzał uważnie na innych rodziców, wypatrując, czy Fontanel na nich także robi takie wrażenie, ale nie. Pozostali rodzice byli martwi. Podobnie jak Violette. Jak dyrektorka na ławie oskarżonych, z pustką w oczach. Wszyscy słuchali Fontanela, nie słysząc go.

Raz jeszcze Philippe Toussaint pomyślał: Tylko ja jeszcze żyję. Zaczął się obwiniać. Śmierć Léonine nie powaliła go jak innych. Jak gdyby w ich

małżeństwie Violette sama wzięła to wszystko na siebie. Nie podzieliła się swoim smutkiem. W głębi duszy wiedział jednak, że to wściekłość kazała mu się pozbierać, utrzymać na powierzchni. Wściekłość głucha, przytłaczająca, gwałtowna, czarna, o której nigdy nikomu nie powiedział, bo Françoise już nie było. Nienawiść do rodziców, do własnej matki, do tych wszystkich ludzi, którzy nie zareagowali, kiedy ogień…

Nie był dobrym ojcem. Był ojcem nieobecnym, odległym, niby-ojcem. Był egoistą, zbyt zajętym samym sobą, żeby obdarzać miłością. Postanowił, że interesować go będą tylko kobiety i jego motor. Wszystkie kobiety, które stały w kolejce do konsumpcji niczym dojrzałe owoce na straganie. Z upływem lat zaliczył już całe sąsiedztwo. Jeden z kumpli powiedział mu o pewnym miejscu, gdzie można było zabawić się w parę osób. Baby się tu nie zakochiwały, nie odbijało im, nie wydzierały się, przychodziły po to samo co faceci.

Zapadł wyrok: dwa lata więzienia dla dyrektorki, w tym rok bez możliwości ubiegania się o wcześniejsze zwolnienie. I odszkodowanie, dużo pieniędzy, które zachowa dla siebie. Takie przyzwyczajenie. Tak wcielał w życie słowa swojej cholernej matki: „Bierz wszystko dla siebie, ona to tylko chce cię wycyckać z pieniędzy”.

Kiedy wyszedł z sądu, rodzice czekali na niego na zewnątrz, jeszcze sztywniejsi niż wymiar sprawiedliwości, którego dopiero co doświadczył. Miał chęć uciec, ulotnić się tylnym wyjściem, żeby nie musieć znosić ich spojrzeń. Od śmierci Léonine nie mógł już z nimi wytrzymać. Matka, która oskarżała Violette o całe zło, po tej tragedii nie mogła się już jej czepiać. Próbowała, oczywiście, ale przecież to w końcu ona nalegała, żeby Léonine pojechała na wakacje w to nieszczęsne miejsce. Poszedł z nimi na obiad, zgarbiony. Nie mógł niczego przełknąć, niczego powiedzieć. Na odwrocie rachunku zapisał długopisem ojca, który posłużył do wystawienia czeku:

Édith Croquevieille, dyrektorka; Swan Letellier, kucharz; Geneviève Magnan, sprzątaczka; Éloïse Petit i Lucie Lindon, wychowawczynie; Alain Fontanel, konserwator.

Wrócił do siebie, wioząc na motorze jako jedyny bagaż zeznania Fontanela: *Spałem na piętrze. Obudziły mnie krzyki Swana Letelliera. Kobiety zaczęły już wyprowadzać pozostałe dzieci. Pokój na dole stał w płomieniach, nie dało się tam wejść, to mogło skończyć się jeszcze gorzej*.

Violette nie zareagowała, kiedy powiedział, jaki zapadł wyrok. Powiedziała tylko „Aha” i wyszła opuścić szlaban. I wtedy pomyślał o Françoise, o letnich wakacjach w Biot. Często o nich myślał, wracał do tych wakacji we wspomnieniach, kiedy teraźniejszość zbyt mocno dawała mu się we znaki. Po czym grał na konsoli aż do otępienia, wydzierając się i złoszcząc, kiedy Mario omijał przeszkodę czy wjeżdżał w pole. Gdy wyłączył telewizor, Violette już od dawna spała. Nie położył się obok niej. Wsiadł na motor i pojechał posuwać kobiety, które czekały na to samo co on, na smutny seks, rozkosz, byleby tylko wyjść z domu. Ale słowa Fontanela go nie opuszczały: *Spałem na piętrze. Obudziły mnie krzyki Swana Letelliera. Kobiety zaczęły już wyprowadzać pozostałe dzieci. Pokój na dole stał w płomieniach, nie dało się tam wejść, to mogło skończyć się jeszcze gorzej*.

Co gorszego mogło się stać?

Śmierć Léonine sprawiła, że znikła pępowina łącząca go z matką, która zawsze mu mówiła: „Nie myśl o innych, myśl o sobie”.

Czasem mówił do Violette: „Zrobimy sobie jeszcze jedno dziecko”. Odpowiadała „Tak”, żeby go zbyć. Uwolnić się od mężczyzny, który porzucił ją już lata temu, który ją zdradzał, nie z tymi wszystkimi otaczającymi go kobietami, ale z Françoise, jedyną kobietą, którą

kiedykolwiek kochał. Nie ożenił się z Violette, żeby ją uszczęśliwić, zrobił to, żeby uwolnić się od niedającej mu spokoju matki.

Poczuł ogromny smutek z powodu Violette. Większy ból sprawiała mu rozpacz żony niż utrata własnego dziecka. Cierpiał, że nie może niczego dla niej zrobić. Że jest bezużyteczny. Milczał. Nigdy nie potrafił z nią porozmawiać o niczym innym jak tylko o marce szamponu czy o jakimś programie w telewizji. Nie umiał spytać żony: „Jak się czujesz?”. Z tego powodu również czuł się winny. Nawet nie nauczył się cierpieć. W gruncie rzeczy nie nauczył się niczego. Ani kochać, ani pracować, ani dawać. Niedojda.

Violette spodobała mu się, kiedy tylko zobaczył ją za barem. Czuł, jak go ciągnie do całego tego cukru, którym wydawała się obsypana. Jak do kolorowego lizaka z wozu kramarza. Nie miało to nic wspólnego z tym, co czuł i czuć będzie zawsze do Françoise, ale zapragnął tej dziewczyny. Jej głosu, ciała, uśmiechu, delikatności. Pociągał go jej wygląd chłopczycy, kruchość, sposób, w jaki nieustannie mu się oddawała. To dlatego bardzo szybko zrobił jej dziecko, chciał ją zachować dla siebie, tylko dla siebie. Jak ciastko, które kupuje się w sekrecie i zjada gdzieś w kąciku, brudząc sobie ubranie i palce. I matka przydybała go na gorącym uczynku, jego, królewskie dziecko, w pobrudzonym tłuszczem swetrze i z dziewczyną z brzuchem.

*

W sierpniu 1996 roku, a więc dziewięć miesięcy po procesie, w wyniku którego Édith Croquevieille wylądowała w więzieniu, Violette wyjechała na dziesięć dni do Marsylii, do domku Célii. Tej to po prostu nie trawił i czuł, że ona to odwzajemnia. Powiedział, że wybiera się w tym samym czasie na

motocyklową przejażdżkę z kumplami z Charleville, z dawnych lat. Kumpli to on nie miał już żadnych. Ani z dawnych lat, ani z tych teraz.

Pojechał do Chalon-sur-Saône, sam. Alain Fontanel pracował tam w szpitalu. W zbudowanym w 1979 roku szpitalu Świętej Teresy, gdzie wraz z dwoma innymi kolegami, odkąd stracił pracę w Notre-Dame-des-Prés, zajmował się instalacją elektryczną, hydrauliką i renowacją powłok malarskich. Philippe Toussaint nie wiedział, jak by tu się zabrać do rozmowy z nim. Czy trzeba grzecznie, czy dać mu wycisk, aż zacznie śpiewać? Fontanel miał ze dwadzieścia lat więcej od niego, łatwo go więc będzie unieruchomić, wykręcając mu rękę. Philippe Toussaint niczego nie zakładał, oprócz tego, że znajdzie się z nim sam na sam. Zada pytania, których nikt mu w czasie procesu nie postawił.

Wszedł na teren szpitala, w recepcji powiedział, że chce porozmawiać z Alainem Fontanelem, odpowiedziano mu: „Zna pan jego numer telefonu?”. Philippe Toussaint wymamrotał: „Nie, on tu pracuje”.

– To pielęgniarz? Lekarz?

– Nie, pracuje w obsłudze.

– Dowiem się.

Kiedy recepcjonistka sięgała po telefon, Philippe Toussaint zobaczył Fontanela wchodzącego do kafeterii na parterze budynku znajdującego się jakieś pięćdziesiąt metrów od niego. Miał na sobie kombinezon roboczy. Philippe Toussaint poczuł ten sam niepokój co w sądzie, nie leżał mu ten facet. Bez zastanowienia podszedł do niego bardzo szybko, zachodząc go od tyłu. Fontanel trzymał w ręce tacę i stał w kolejce do bufetu. Philippe Toussaint też wziął tacę i zamówił danie dnia. Fontanel poszedł w kierunku okna, sam. Philippe Toussaint dołączył do niego i usiadł na wprost, nie pytając, czy można.

– Znamy się?

– Nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy, ale się znamy.

– Mogę panu w czymś pomóc?

– Na pewno.

Fontanel zabrał się do krojenia mięsa, jakby nigdy nic.

– Nie potrafię przestać o panu myśleć – powiedział Philippe Toussaint.

– Zazwyczaj tak na mnie reagują kobiety.

Ugryzł się mocno w język, żeby zachować spokój, nie dać się ponieść.

– No więc tak, myślę, że nie powiedział pan w czasie procesu wszystkiego… Pana zeznania nie dają mi spokoju. Tłuką mi się po głowie jak dzika zwierzyna w klatce.

Fontanel nie okazał zdziwienia. Przyglądał się Philippe’owi Toussaintowi przez jakąś minutę, zapewne żeby go sobie przypomnieć z procesu, umiejscowić, po czym grubym kawałkiem chleba zebrał sos z talerza.

– I myśli pan, że coś dodam, ot tak, na pańskie piękne oczy?

– No.

– A dlaczego niby miałbym to zrobić?

– Bo mógłbym przestać być aż taki grzeczny.

– Może mnie pan nawet zabić, mam to gdzieś. A nawet panu powiem, że by mnie to urządzało. Nie lubię swojej roboty, nie kocham żony i nie przepadam za dziećmi.

Philippe Toussaint zacisnął pięści tak mocno, że zbielały mu dłonie.

– Gówno mnie obchodzi pańskie życie, chcę się dowiedzieć, co pan widział tamtej nocy… Kłamie pan jak z nut.

– Magnan… Wie pan która? To moja żona.

– …

– W czasie procesu za każdym razem, jak podnosiła na pana oczy, to aż popuszczała w majtki.

W chwili kiedy Fontanel wymówił jej nazwisko, Philippe Toussaint ją sobie przypomniał, Geneviève Magnan. Łaziła za nim jak suka w rui, wypatrywała go na szkolnym korytarzu. I to miejsce, w którym ją posuwał w świetle motocykla, brodząc w błocie. Poczuł mdłości. Fontanel, zapach żarcia i szpitala zmieszane ze sobą… Czy to ona podłożyła ogień w pokoju, żeby się zemścić? To pytanie nie dawało mu spokoju.

– Co się stało, do cholery?

– To był wypadek. Nic dodać, nic ująć. Kurewski wypadek. Niech pan nie szuka, niczego więcej pan nie znajdzie, mówię panu.

Philippe Toussaint zerwał się, chwycił go mocno i zaczął bić jak oszalały. Po twarzy, po brzuchu, walił gdzie popadło. Miał wrażenie, że okłada pięściami porzucony na ulicy materac. Tłukł, nie bacząc na krzyki wokół. Fontanel się nie bronił. Nie zareagował. Ktoś złapał Philippe’a za ramię, żeby w końcu przestał; usiłował go unieruchomić, powalić na ziemię, ale ten wyrwał się z nieludzką siłą i uciekł. Pięści go piekły i ociekały krwią, tak mocno bił.

Tak jak się spodziewał, Fontanel nawet nie pisnął, nie zgłosił napaści. Oświadczył, że nie zna tożsamości sprawcy.

64

Śpij, tatusiu, śpij, obyś tylko usłyszał nasze dziecięce śmiechy w niebiesiech

Cmentarz w Bron, drugi czerwca 2017 roku, lazurowe niebo, dwadzieścia pięć stopni, godzina piętnasta. Pochówek Philippe’a Toussainta (1958–2017). Trumna dębowa. Płyta nagrobna z szarego marmuru. Bez krzyża.

Trzy wieńce – *Piękne kwiaty, bo pięknych wspomnień nigdy się nie zapomina*, białe lilie, *Przyjmij te kwiaty na dowód mej głębokiej sympatii*.

Szarfy pogrzebowe, na których można przeczytać: *Kumplowi*, *Koledze z pracy*, *Przyjacielowi*. Na tablicy nagrobnej, obok pozłacanego motoru: *Odszedł, lecz pamięć po nim pozostanie na zawsze*.

Przy grobie zgromadziło się około dwudziestu osób. To ludzie z tego drugiego życia Philippe’a Toussainta.

Jako prawowita małżonka dałam Françoise Pelletier pozwolenie na pochowanie Philippe’a Toussainta w grobie Luca Pelletiera. Żeby był blisko wuja, o którego istnieniu nie wiedziałam. Podobnie jak nie wiedziałam o dużej części życia Philippe’a Toussainta.

Czekam, aż wszyscy się rozejdą, by podejść do grobu. Położyłam na nim tabliczkę od Léonine: *Mojemu ojcu*.

65

Dwa słowa tylko, by Ci powiedzieć, że Cię kocham.
Dwa słowa tylko, żeby Cię poprosić, abyś ciągle nas
wspierał w trudnych chwilach na tym padole

Sierpień 1996 roku, Geneviève Magnan

Długo na niego czekałam. Wiedziałam, że w końcu przyjdzie. Wiedziałam, jeszcze zanim zobaczyłam mordę Fontanela. Kiedy wrócił do domu, był nie do poznania. Szedł o kulach. Twarz opuchnięta i posiniaczona, wybite dwa zęby.

„Coś ty znowu zrobił?”, spytałam. Myślałam, że za dużo wypił, że się pobił z innymi ochlapusami. Zawsze łatwo się unosił, wściekał. Mnie też potrafił dać wciry, jak się schlał.

Ale on odparł: „Zapytaj tego faceta, co cię rżnął za moimi plecami”.

To zdanie zabolało mnie bardziej niż razy, których nie szczędzili mi matka i Fontanel. Ich uderzenia to kaszka z mleczkiem, a te słowa to cios. I to cios nożem prosto w bebechy.

On może i miał skasowaną mordę, ale prawdziwe uderzenie trafiło we mnie. Zamurowało mnie. Stałam jak wryta. Sterroryzowana.

Przypomniał mi się prosiak, którego zabito tydzień wcześniej u sąsiada. Jak on się bał, jak drżał, jak kwiczał. Ze strachu i z bólu. Coś okropnego! Mężczyźni, którzy go zaszlachtowali, ich śmiechy. Potem my, kobiety, zostałyśmy zagonione do robienia kaszanki. Zapach śmierci. Tego dnia miałam ochotę się powiesić. Po raz pierwszy naszła mnie chęć, żeby „z tym skończyć”, jak to się mówi u bogaczy. Nie, nie pierwszy. Ale teraz długo mi nie przechodziło. Dłużej niż zazwyczaj. Wzięłam nawet pieniądze, żeby pójść do Bricoramy i kupić powróz. Ale odłożyłam je na miejsce, kiedy pomyślałam o chłopcach. Cztery i pięć lat. Co oni by zrobili sami z Fontanelem?

Wiedziałam, że pewnego dnia wróci, żeby zadać mi parę pytań, kiedy poczułam na sobie jego wzrok w sądzie.

Ktoś zapukał, myślałam, że to listonosz, bo czekałam na dostawę z La Redoute. Ale to nie był listonosz, tylko on, stał za drzwiami. Miał zmęczone oczy. Zobaczyłam jego smutek. Jego piękno. A potem wzgardę. Spojrzał na mnie jak na kupę gówna.

Chciałam zatrzasnąć drzwi, ale zanim wykonałam ruch, kopnął w nie z całej siły. Jak wariat. Przyszło mi do głowy, żeby zadzwonić po policję, ale cóż ja bym im powiedziała? Bałam się ich od tamtej nocy. Nie tknął mnie palcem, zbyt wielki budziłam w nim wstręt. Czułam jego nienawiść i przerażenie zarazem. Mogłam powiedzieć tylko jedno: „To naprawdę był wypadek, nie zrobiłam niczego specjalnie, nigdy bym nie skrzywdziła dzieci”.

Przyglądał mi się uważnie, po czym zrobił coś, czego się nie spodziewałam. Usiadł przy kuchennym stole, oparł głowę na dłoniach i zaczął płakać. Szlochał jak dziecko, które zgubiło matkę w tłumie.

– Chce pan wiedzieć, co się stało?

Odpowiedział, że nie.

– Przysięgam, że to był wypadek.

Znajdował się metr ode mnie. Miałam ochotę go dotknąć, rozebrać, rozebrać siebie, żeby mnie wziął, aż będę kwiczeć tak jak dawniej pod skałką. Nigdy jeszcze nikt tak się nie nienawidził, jak ja nienawidziłam wtedy samej siebie.

On, zrozpaczony, zagubiony, siedzi w mojej kuchni, gdzie nie sprzątałam od niepamiętnych czasów. Odkąd jestem na bezrobociu, nic nie robię. Bo jestem odpowiedzialna. Winna.

Wstał i wyszedł, nawet na mnie nie spojrzawszy. Usiadłam na jego miejscu. Zostawił swój zapach.

Po szkole zawiozę dzieci do siostry. Ona jest ode mnie o wiele lepsza. Powiem im, żeby byli grzeczni. Żeby nigdzie nie wychodzili. Wezmę te pieniądze odłożone ostatnim razem i kupię powróz w Bricoramie.

66

Śmierć matki to pierwszy smutek, który się opłakuje bez niej

– Chce pan spróbować?

– Z przyjemnością.

Zrywam parę pomidorków koktajlowych i podaję notariuszowi Rouaultowi.

– Przepyszne. Zostanie pani tutaj?

– A gdzie miałabym jechać?

– Z pieniędzmi ze spadku mogłaby pani przestać pracować.

– Co to, to nie. Lubię swój dom, cmentarz, moją pracę. Mam tu przyjaciół. No a poza tym, kto by się zajmował moimi zwierzętami?

– No to niech chociaż sobie pani coś gdzieś kupi, jakąś małą nieruchomość.

– Nie. Potem będę zawsze musiała tam jeździć. Wie pan, takie letnie domy ograniczają inne podróże. Podróże, na które człowiek decyduje się w ostatniej chwili. No a tak w ogóle to pan sobie wyobraża, że mogłabym mieć dom letniskowy?

– W takim razie co pani chce zrobić z tymi wszystkimi pieniędzmi, jeśli mogę zapytać?

– Ile to jest sto podzielone na trzy?

– Trzydzieści trzy przecinek trzy, trzy, trzy w nieskończoność.

– No więc przekażę trzydzieści trzy procent i nieskończoność na zupę dla bezdomnych, Amnesty International i fundację Bardot. W ten sposób będę mogła uratować trochę ludzi, nie ruszając się z mojego cmentarza. Zapraszam do mnie na jednego.

Sięga po laskę i podąża za mną z uśmiechem na twarzy. Siadamy pod pergolą, by spróbować wspaniałego schłodzonego sauternes. Notariusz Rouault zdejmuje marynarkę od garnituru i wyciągnąwszy nogi, sięga po solone orzeszki arachidowe.

– Widzi pan, jaki piękny dzień dzisiaj mamy, upaja mnie piękno tego świata. Oczywiście, jest śmierć, smutek, słota, Święto Zmarłych, ale życie stale bierze górę. Zawsze w końcu przychodzi taki poranek, kiedy wstaje piękny dzień, a trawa odrasta na wypalonej ziemi.

– Powinienem do pani odsyłać wszystkie te rodzeństwa, które przychodzą do mojej kancelarii, żeby się wyzywać, mogłyby u pani odbywać staże mądrości.

– Tak sobie myślę, że spadki nie powinny istnieć. Myślę, że wszystkim należałoby obdarzać ludzi, których się lubi za życia. Czasem i pieniędzmi. Spadki to taki diabelski wynalazek, który sprawia, że rodziny się rozpadają. Wierzę tylko w to, co dajemy za życia, nie w to, co obiecujemy dać po swojej śmierci.

– Wiedziała pani, że mąż był bogaty?

– Mąż nie był bogaty. Za bardzo był samotny i nieszczęśliwy. Na szczęście pod koniec życia zaczął żyć z właściwą osobą.

– Ile ma pani lat, Violette?

– Nie mam pojęcia. Od lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku nie obchodzę już urodzin.

– Mogłaby pani ułożyć sobie życie na nowo.

– Dobrze mi z tym, jakie mam.

67

Na ruchomych piaskach, gdzie toczy się życie, rośnie słodki kwiat, który serce me wybrało

W sierpniu 1996 roku, rok przed objęciem posady dozorczyni cmentarza, wyjechałam z domku w Sormiou wcześniej niż zazwyczaj. Pojechałam pociągiem aż do Mâcon, a potem do Tournus autobusem, który zatrzymywał się po drodze w Brancion-en-Chalon. Autobus przejeżdżał przez La Clayette; przez okno zobaczyłam w oddali zamek Notre-Dame-des-Prés, po raz pierwszy w życiu. Parę minut później autobus zatrzymał się przed merostwem w Brancion-en-Chalon. Wysiadając z niego, drżałam od stóp do głów. Nogi z trudem doniosły mnie na cmentarz. Idąc, przypominałam sobie zamek, okna, białe ściany. Zauważone w głębi jezioro błyszczące niczym szafirowe morze. Było bardzo gorąco.

Drzwi do domku Sashy od strony cmentarza były uchylone, nie weszłam jednak do środka. Poszłam bezpośrednio na grób Léonine, ciągle mając przed oczami ściany zamku. Stanęłam przed stelą z wygrawerowanym nazwiskiem mojej córeczki i jej przyjaciółek; po raz pierwszy miałam sobie za złe, że nie pojechałam na pogrzeb, że pozwoliłam jej odejść samej, że nie złożyłam chociaż białego kamyczka na jej grobie. Jednak raz jeszcze tego dnia przekonałam się o tym, że Léonine bardziej

jest obecna w Morzu Śródziemnym, znad którego wracałam, i w kwiatach w ogródku Sashy niż pod tą nagrobną płytą. Doszłam do domku Sashy w żałobnym nastroju.

Nie wiedział, że się zjawię, nie uprzedziłam go. Nie widziałam go już od ponad dwóch miesięcy. Odkąd Philippe Toussaint zakazał mi wyjazdów na cmentarz. Dom był wysprzątany. Drzwi prowadzące do ogrodu warzywnego stały otworem. Nie zawołałam Sashy. Wyszłam i go zobaczyłam, wyciągniętego na ławce; odpoczywał, zakrywszy twarz słomkowym kapeluszem. Podeszłam do niego powolutku. Od razu wstał i mnie uściskał.

– Nie ma nic piękniejszego od nieba oglądanego przez słomkowy kapelusz. Lubię na nie patrzeć przez dziurki kapelusza, słońce mnie wtedy nie razi. Ptaszyno, co za piękna niespodzianka… Zostaniesz do końca dnia?

– Trochę dłużej.

– To wspaniale! Jadłaś?

– Nie jestem głodna.

– Zrobię spaghetti.

– Nie jestem głodna.

– Z masłem i utartym serem, no, chodź, trzeba się wziąć do roboty! Widziałaś, jak wszystko urosło? To urodzajny rok dla ogrodu! Urodzajny rok!

W tamtej chwili, kiedy zobaczyłam, jak się krząta z uśmiechem na ustach, poczułam przypływ ciepła w moim łonie, jakby szczęścia. Nie coś udawanego, nie jeden z tych spazmów życia trwający ledwie parę sekund, ale jakąś pełnię, uśmiech na twarzy, który nie od razu zniknął, pragnienie. Przebudziłam się.

Jakże bym chciała zachować tamto lato i tę chwilę, ogród i Sashę, na zawsze!

Zostałam z nim cztery dni. Zaczęliśmy od zbierania dojrzałych pomidorów, żeby porobić z nich przetwory. Najpierw wyparzyliśmy słoiki w kotle pełnym wody, którą Sasha doprowadził do wrzenia nad ogniskiem. Następnie pokroiliśmy pomidory i usunęliśmy z nich ziarenka, a potem powkładaliśmy je do słoików wraz ze świeżo zebranymi listkami bazylii. Od Sashy dowiedziałam się, jak ważne są nowe gumki, żeby pasteryzacja przebiegła prawidłowo. Gotowaliśmy je przez piętnaście minut.

– A teraz te słoiki można przechowywać co najmniej przez cztery lata. Ale widzisz, wszyscy ci ludzie, którzy spoczywają na tym cmentarzu, coś tam sobie odłożyli. I po co im to było? My nie będziemy na nic czekać i już dziś wieczorem otworzymy sobie jeden taki słoik.

To samo zrobiliśmy z fasolką. Poodcinaliśmy ogonki, powkładaliśmy strączki do słoików, zalaliśmy je słoną wodą, pozamykaliśmy i poddaliśmy pasteryzacji.

– W tym roku fasolka pojawiła się w ciągu jednej nocy, nie więcej jak dwa dni temu, musiała wyczuć, że przyjedziesz… Nigdy nie lekceważ zdolności ogródka do przewidywania zdarzeń.

Drugiego dnia był pogrzeb. Sasha poprosił mnie, żebym mu towarzyszyła. Nie będę musiała niczego robić, tylko przy nim być. Po raz pierwszy uczestniczyłam w pogrzebie. Widziałam twarze, smutek, bladość, piękne ciemne stroje. Widziałam uściski dłoni, ludzi trzymających się pod rękę, spuszczone głowy. Wciąż jeszcze mam w pamięci przemowę syna zmarłego, słowa wypowiadane przez łzy:

– Tato, tak jak to powiedział André Malraux, najpiękniejszym grobowcem jest ludzka pamięć. Kochałeś życie, kobiety, dobre wino i Mozarta. Za każdym razem, kiedy otworzę butelkę dobrego wina lub spotkam piękną kobietę, za każdym razem, kiedy upiję jego łyk w towarzystwie pięknej kobiety, będę wiedział, że jesteś w pobliżu. Za

każdym razem, kiedy winnice zmienią koloryt, gdy zieleń zostanie zastąpiona przez czerwień, kiedy niebo na parę godzin zajaśnieje słodkim światłem, będę wiedział, że jesteś w pobliżu. Słuchając koncertu na klarnet, będę wiedział, że jesteś. Spoczywaj w pokoju, tato, o wszystko tu zadbamy.

Kiedy żałobnicy się rozeszli i wróciliśmy do domu, spytałam Sashę, czy zdarza mu się zachowywać mowy pogrzebowe, które słyszy. Czy je gdzieś zapisuje.

– Po co?

– Chciałabym wiedzieć, co zostało powiedziane w dniu pogrzebu Léonine.

– Niczego nie zachowuję. Warzywa nie odrastają same rokrocznie. Każdego roku trzeba wszystko zaczynać na nowo. Z wyjątkiem pomidorków koktajlowych, które rosną same, trochę byle jak, trochę byle gdzie.

– Dlaczego mi pan to mówi?

– Życie jest jak sztafeta, Violette. Przekazujesz je komuś, kto je bierze i daje je komuś innemu. Ja tobie twoje przywróciłem i któregoś dnia je przekażesz.

– Przecież jestem sama na świecie.

– Nie, jestem tutaj, i po mnie będzie ktoś inny. Jeżeli chcesz wiedzieć, co zostało powiedziane w dniu pogrzebu Léonine, napisz to sama, napisz to teraz, zanim położysz się spać.

Trzeciego dnia przeczytałam Léonine moją żałobną modlitwę.

Odnalazłam Sashę na jednej z cmentarnych alejek. Gdy szliśmy wzdłuż grobów, opowiadał mi o zmarłych, o tych, co spoczywają w grobach od dawna, i o tych innych, co dopiero się tu wprowadzili.

– Ma pan dzieci, Sasha?

– Kiedy byłem młody, chciałem robić to, co wszyscy, i ożeniłem się. Co za głupota, idiotyczny pomysł: robić tak jak wszyscy inni. Dobre maniery, udawanie i uprzedzenia dobijają ludzi. Moja żona miała na imię Verena, była bardzo ładna, miała słodki głos, tak jak ty. Zresztą jesteś do niej trochę podobna. Byłem wtedy pretensjonalnym idiotą i sądziłem, że jej uroda sprawi, że mi stanie. W dniu ślubu, kiedy zobaczyłem ją w białych koronkach, nieśmiałą, z rumieńcem na twarzy, gdy podniosłem woalkę zakrywającą jej twarz, wiedziałem, że wszystkich okłamuję, poczynając od siebie. Złożyłem na jej ustach zimny pocałunek przy akompaniamencie oklasków zgromadzonych. Zrozumiałem, że jedyne, co mnie interesuje, to przykryte koszulą męskie muskuły. Upiłem się jeszcze przed weselem. Noc poślubna była koszmarna. Nie brakowało mi dobrej woli, myślałem o bracie mojej żony, brunecie o wielkich czarnych oczach. Ale to nie zadziałało, nie dałem rady się z nią kochać. Verena złożyła to na karb emocji i wypitego alkoholu. Po paru tygodniach, nocach spędzanych jedno przy drugim w końcu dopiąłem swego. Pozbawiłem ją dziewictwa. Nawet nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo się z tego powodu czułem nieszczęśliwy, widząc te jej rozkochane oczy, pełne czułości, a przecież udało mi się skutecznie ją posiąść tylko dzięki mojej paskudnej wyobraźni. Każdej nocy myślałem o innym mężczyźnie z wioski, po kolei dotykałem ich wszystkich, ją trzymając w ramionach.

Potem się przeprowadziliśmy. Następna głupota: obiektu pożądania nie zmienia się, zmieniając adres. To coś, co zabiera się ze sobą, jak walizki. Inaczej niż wędrowne ptaki czy chwasty, człowiek nie dostosowuje się do klimatu. Zmieniłem okna i wycieraczkę do butów, ale nadal oglądałem się za mężczyznami. Wielokrotnie zdradzałem żonę w publicznych toaletach. Co za wstyd… Od tego udawania aż się rozchorowałem. Nie udawałem, że kocham Verenę, szczerze ją kochałem. Pożerałem ją wzrokiem, ale tylko

wzrokiem. Lubiłem jej gesty, ciało, ruchy, ale w ślicznym kosmyku włosów opadającym jej na twarz widziałem trawiący mnie zakaz. W końcu zachorowałem na białaczkę. Leukocyty zaczęły zżerać czerwone krwinki. W tych białych ciałkach widziałem kobiety w stroju panny młodej namnażające się w moich żyłach, trawiło mnie poczucie hańby. Może się to wydać niecodzienne, ale pobyty w szpitalu przynosiły mi ulgę. Uwalniały mnie od obowiązku dogadzania Verenie w łóżku. Właściwie trzeba by było powiedzieć „niedogadzania”. Dalej przymykałem oczy i pieściłem jej ciało, myśląc o kimś innym, obojętnie kim. Nawet o prezenterach z telewizji.

Verena zaszła w ciążę. I to było dla mnie światełkiem w tunelu, jedyną jasną stroną trzech ciemnych lat naszego związku. Widziałem, jak rośnie jej brzuch, znowu zająłem się ogrodem. Stałem się niemal szczęśliwym mężczyzną. Marzyłem o tym dziecku. Przyszło na świat. Syn, któremu daliśmy na imię Émile. Verena rzadziej na mnie patrzyła, rzadziej mnie pożądała. Oddała się cała dziecku, a ja czułem się coraz lepiej. Miałem kochanków, słodką żonę, matkę mojego syna, prawie że nie posiadałem się ze szczęścia, skażonego, ale zawsze szczęścia. Jestem wspaniałym ojcem, wiesz? No bo przecież takie dziecko jest bardzo praktyczne, kiedy się już nie chce dotykać żony. Ona bywa zmęczona, drażliwa, często boli ją głowa, słyszy, jak w nocy dziecko płacze, przegrzewa się, za zimno mu, zęby mu się wyrzynają, co za koszmar, ma zapalenie ucha. Raz jeden znowu kochaliśmy się po zakrapianej zabawie sylwestrowej i to wystarczyło, by znowu zaszła w ciążę. Trzy lata po urodzeniu się Émile’a przyszła na świat Ninon. Prześliczna dziewczynka. Zmajstrowałem Verenie dwójkę dzieci. Dwójkę dzieci. Dwukrotnie dałem życie, takie prawdziwe, dwa razy. Czyli że Bóg naśmiewa się ze wszystkich, nawet z pedałów.

– To ile teraz mają lat?

– Tyle samo co moja żona.

– Nie rozumiem.

– Nie mają już żadnych lat. W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym zginęli w wypadku samochodowym. Na autostradzie. Miałem dojechać do nich pociągiem trzy dni później. Mieliśmy wynajęty apartament nad brzegiem morza. Wiesz dlaczego?

– Dlaczego co?

– Dlaczego miałem do nich dołączyć po trzech dniach?

– …

– Powiedziałem Verenie, że muszę nadrobić zaległości w pracy. Byłem wtedy inżynierem. A tak naprawdę miałem w planie trzy dni ruchania z kumplem z pracy. Kiedy się dowiedziałem o ich śmierci, oszalałem. Musiano mnie zamknąć w zakładzie, na długo. I to tam, wśród białych ścian, nauczyłem się leczyć innych dłońmi. Widzisz, Violette, ciebie i mnie… każde z nas spotkało nieszczęście, a jednak żyjemy. Obydwoje pasujemy jak ulał na bohaterów powieści Victora Hugo. Jesteśmy jak pryzma wielkich nieszczęść, małych szczęść i nadziei.

– Gdzie zostali pochowani?

– Niedaleko Valence, w grobie rodzinnym Vereny.

– A jak znalazł się pan tu, na tym cmentarzu?

– Po wyjściu z zakładu stałem się wyrzutkiem. Tutejszy mer zna mnie od zawsze, zatrudnił mnie do sprzątania. Facet w niebieskim kombinezonie roboczym, który gadał sam do siebie, obmiatając miejskie śmietniki, to byłem ja. Jak doszedłem do siebie, poprosiłem o stanowisko dozorcy cmentarza, które właśnie się zwolniło. Moje miejsce było przy zmarłych. Przy śmierci.

Sasha wziął mnie za rękę. Spotkaliśmy mężczyznę i kobietę, którzy spytali, gdzie się znajduje jakiś grób. Przyglądałam mu się, jak im tłumaczył, którędy mają pójść, w którą skręcić alejkę. W miarę jak mi

opowiadał o swojej nieżyjącej już rodzinie, coraz bardziej się garbił. Pomyślałam, że jesteśmy dwojgiem rozbitków, którzy jeszcze trzymają się na nogach. Dwojgiem rozbitków, których ocean nieszczęść nie zdołał jeszcze całkiem pochłonąć.

Mężczyzna i kobieta podziękowali mu, a ja wzięłam go za rękę i ruszyliśmy dalej.

– Początkowo mer się wahał. Ale moi bliscy nie żyli już od dawna, sprawa się przedawniła. Nie muszę ci chyba mówić, że po śmierci musi upłynąć jakiś czas, zawsze jest okres przedawnienia… Zobacz, jaka piękna pogoda. Dzisiaj nauczę cię sztuki szczepienia róż. Wiesz, jak wyglądają gałązki sierpniowe?

– Nie.

– To są takie gałązki, które od sierpnia zaczynają drewnieć. Na zielonych łodygach pojawiają się brązowe plamy, takie same jak na moich dłoniach. To oznaki starości. Mówi się na nie „gałązki sierpniowe”. No i wyobraź sobie, że to z tych starych gałązek wyrosną młode pędy. Aż się wierzyć nie chce. Co byś chciała zjeść dziś wieczorem? A jakbym ci zrobił awokado z cytryną? To dobre dla zdrowia, dużo witamin i kwasów tłuszczowych.

Czwartego dnia odwiózł mnie swoim starym peugeotem aż na dworzec w Mâcon. Do walizki nawkładał mi słoików z pomidorami i fasolką. Była taka ciężka, że z trudem udało mi się ją dotaszczyć do Malgrange.

W drodze, pomiędzy cmentarzem a dworcowym parkingiem, powiedział mi, że chce odejść na emeryturę. Że jest zmęczony, że czas już przekazać cmentarz komuś innemu i że tym kimś mogę być tylko ja.

68

O ich miłości bardziej błękitnej od nieba wokół

Nie zabierzesz młodości do grobu.

Nie będziesz świętować katarzynek.

Nie będziesz tańczyć wolnych kawałków.

Nie będziesz mieć torebki ani bolesnych miesiączek.

Nie będziesz nosić aparatu ortodontycznego.

Nie zobaczę, jak dorastasz, tyjesz, cierpisz, rozwodzisz się, stosujesz dietę, rodzisz dzieci, karmisz piersią, kochasz.

Nie będziesz mieć trądziku ani spirali.

Nie usłyszę, jak kłamiesz. Nie będę musiała cię chronić ani bronić.

Nie będziesz mi podbierać forsy z portfela. Nie założę ci książeczki oszczędnościowej, żeby cię zabezpieczyć.

Nie będziesz brać pigułek.

Nie zobaczę u ciebie zmarszczek ani plam na skórze, cellulitu, rozstępów.

Nie będę czuła zapachu tytoniu na twoich ubraniach, nie będę widziała, jak palisz ani jak rzucasz palenie.

Nigdy nie ujrzę cię pijanej ani naćpanej.

Nie będziesz się przygotowywać do matury z francuskiego przed turniejem Roland Garros, nie będziesz utyskiwać na panią Bovary, „tę biedną kobietę”, ani Marguerite Duras, ani nauczycieli.

Nie będziesz mieć skutera ani miłosnych rozterek.

Nie będziesz się całować z języczkiem, nie będziesz mieć orgazmów.

Nie będzie oblewania twojej matury.

Nie będziemy nigdy pić razem alkoholu.

Nie będziesz używać dezodorantów, nie będziesz mieć zapalenia wyrostka robaczkowego.

Nie będę się bać, że wsiadasz z byle kim do samochodu. Już to zrobiłaś.

Nie będą cię boleć zęby.

Nie będziemy jeździć na pogotowie w środku nocy.

Nie będziesz się rejestrować w urzędzie pracy.

Nie będziesz mieć konta w banku ani legitymacji studenckiej, ani biletu miesięcznego, ani numeru ubezpieczenia społecznego, ani kart lojalnościowych.

Nie poznam nigdy twojego gustu ani twoich upodobań. Nie dowiem się, jakie lubisz ciuchy, książki, jaką muzykę, jakie perfumy.

Nie będę widzieć, jak się wściekasz, trzaskasz drzwiami, chodzisz na wagary, czekasz na kogoś, wsiadasz do samolotu.

Nie wyjedziesz. Nie zmienisz adresu.

Nie dowiem się nigdy, czy obgryzasz paznokcie, czy lakierujesz, czy się malujesz.

Ani czy masz zdolności do języków.

Nigdy nie zmienisz koloru włosów.

W sercu zachowasz Alexandre’a, kolegę z klasy, którego lubiłaś.

Nikogo nie poślubisz.

Na zawsze pozostaniesz panną. Léonine Toussaint.

Będziesz lubić tylko tosty francuskie, omlety, frytki, makaron, naleśniki, ryby w panierce, bezy i bitą śmietanę.

Będziesz dorastać inaczej, w miłości, którą zawsze będę cię obdarzać. Będziesz dorastać gdzie indziej, wśród poszeptów świata, nad Morzem Śródziemnym, w ogrodzie Sashy, w locie ptaka, brzasku dnia, zmierzchu, w tej nastolatce, którą spotkam przez przypadek, w listowiu drzew, modlitwie kobiety, łzach mężczyzny, blasku świecy; odrodzisz się później, któregoś dnia, w formie kwiatu lub małego chłopczyka, u innej matki; będziesz wszędzie tam, gdzie spojrzę. Tam, gdzie ostanie się moje serce, twoje dalej będzie bić.

69

Nigdy nie opadnie, nigdy nie zwiędnie, ten cudowny kwiat zowie się wspomnieniem

– Dzień dobry pani.

– Dzień dobry panu.

Cudowny mały chłopczyk ssie słomkę, by wysączyć ostatnie krople soku jabłkowego z puszki. Siedzi przy moim kuchennym stole, sam.

– Gdzie są twoi rodzice?

Ruchem głowy pokazuje na cmentarz.

– Tata mi powiedział, żebym tu zaczekał, bo pada.

– Jak masz na imię?

– Nathan.

– Chcesz kawałek ciasta z czekoladą, Nathan?

Wybałusza oczy łakomczucha.

– Tak, bardzo proszę. To twój dom?

– Tak.

– Pracujesz tu?

– Tak.

Mruga. Ma długie czarne rzęsy.

– I śpisz też tutaj?

– Tak.

Patrzy na mnie, jak gdybym była jego ulubioną kreskówką.

– Nie boisz się w nocy?

– Nie. Dlaczego miałabym się bać?

– Z powodu zombie.

– A co to takiego zombie?

Pożera ogromny kawał ciasta z czekoladą.

– To takie zjawy, co straszą. Widziałem taki film, bardzo straszny.

– A nie jesteś za mały na oglądanie takich filmów?

– To było u Antoine’a, na jego komputerze. Nie obejrzeliśmy go całego, za bardzo się baliśmy. Ale ja już przecież mam siedem lat.

– Ach tak, to już coś.

– Widziałaś kiedyś zombie?

– Nie, nigdy.

Wygląda na bardzo rozczarowanego. Robi rozkoszną minkę. Tutti Frutti wchodzi przez drzwiczki dla kotów. Ma mokrą sierść. Idzie do koszyka Éliane, szuka jej ciepła. Suka otwiera jedno oko i znów zasypia. Nathan schodzi z krzesła, by pójść je pogłaskać. Oburącz podciąga spodnie i opuszcza rękawy bluzy. Na nogach ma sportowe buty, których podeszwy świecą przy każdym kroku. Przypomina mi to obrazy z teledysku *Billie Jean* Michaela Jacksona.

– To twój kot?

– Tak.

– Jak ma na imię?

– Tutti Frutti.

Wybucha śmiechem. Ma pełno czekolady na zębach.

– Jakie śmieszne imię!

Julien Seul puka do drzwi od strony cmentarza i wchodzi. Jest równie przemoczony jak kot.

– Dzień dobry.

Rzuca okiem w stronę dziecka i uśmiecha się do mnie czule. Wyczuwam, że chciałby podejść, dotknąć mnie, ale się nie rusza. Dotyka mnie wzrokiem i to mu wystarcza. Czuję, jak mnie rozbiera. Zdejmuje zimę, żeby zobaczyć lato.

– Jak tam, kochanie?

Sztywnieję.

– Tato, a wiesz, jak ma na imię ten kot?

Nathan jest synem Juliena. Serce bije mi jak młotem, jak mustangowi w galopie, jakbym przed chwilą parę razy zbiegła ze schodów i wbiegła na nie z powrotem.

Julien odpowiada natychmiast:

– Tutti Frutti.

– A skąd wiesz?

– Bo go znam. Nie po raz pierwszy tu jestem. Nathan, a powiedziałeś Violette „Dzień dobry”?

Chłopiec spogląda na mnie.

– Masz na imię Violette?

– Tak.

– Dziwne tu macie imiona!

Wraca do stołu, siada i kończy ciasto. Ojciec patrzy na niego z uśmiechem.

– Czas już na nas, kochanie.

Teraz ja z kolei czuję się bardzo rozczarowana. Tak jak Nathan, kiedy usłyszał, że nie widziałam zombie.

– Nie zostaniecie jeszcze trochę?

– Czekają na nas w Owernii. Kuzynka, która bierze ślub dziś po południu.

Spogląda na mnie uważnie, po czym zwraca się do syna:

– Kochanie, idź do samochodu i zaczekaj tam na mnie, jest otwarty.

– Ale przecież leje jak z cebra!

Odpowiedź dziecka tak bardzo nas zaskakuje, że wybuchamy razem śmiechem.

– Kto pierwszy w samochodzie, ten wybiera muzykę.

Nathan szybko podchodzi, żeby pocałować mnie w policzek.

– Jak zobaczysz zombie, zadzwoń do tatusia, on jest policjantem.

Wybiega przez drzwi od strony cmentarza i kieruje się w stronę parkingu.

– Jest absolutnie uroczy.

– Ma to po matce… Przeczytała pani dziennik?

– Jeszcze nie skończyłam. Chce pan kawy na drogę?

Kręci głową.

– Na drogę to wolałbym zabrać panią.

Tym razem podchodzi i bierze mnie w ramiona. Czuję, jak wącha moją szyję. Zamykam oczy. Kiedy je otwieram, stoi już przed drzwiami. Przemoczył mi ubranie.

– Violette, ja nie chcę, żeby któregoś dnia złożono pani prochy na moim grobie. W sumie mam to gdzieś. Chcę z panią żyć teraz, od zaraz. Kiedy jeszcze możemy razem spoglądać w niebo… Nawet kiedy pada tak jak dzisiaj.

– Żyć z panem?

– Chciałbym, żeby ta cała historia… to spotkanie między moją matką i tamtym mężczyzną, żeby to się na coś przydało, przysłużyło się nam, tak naprawdę.

– Ale ja nie jestem zdolna.

– Zdolna?

– Tak, zdolna.

– Ja nie mówię o służbie wojskowej.

– Jestem nieprzystosowana, złamana. Miłość to dla mnie rzecz niemożliwa. Nie nadaję się do życia. Jestem bardziej martwa niż rezydenci tego cmentarza. Nie rozumie pan? To niemożliwe.

– Nie ma rzeczy niemożliwych.

– A jednak.

Uśmiecha się do mnie smutno.

– Szkoda.

Zamyka za sobą drzwi i wraca bez pukania dwie minuty później.

– Zabieramy panią ze sobą.

– …

– Na ślub. To dwie godziny drogi.

– Ale ja…

– Daję pani dziesięć minut, żeby się pani przygotowała.

– Ale ja nie ma…

– Rozmawiałem z Nonem, za pięć minut będzie tu, żeby panią zastąpić.

70

Pewnego dnia przyjdziemy usiąść przy Tobie w domu Bożym

Sierpień 1996 roku

Philippe wyszedł od Geneviève Magnan smutny jak śmierć – dziwne wyrażenie, którego często używał jego wuj Luc. Pojechał na cmentarz. Tego dnia był pogrzeb. Ludzie stali w upale grupkami, z dala od grobu Léonine. Nie przyniósł kwiatów. Nigdy nie przynosił. Zazwyczaj to matka się tym zajmowała.

Po raz pierwszy zjawił się tu sam. Przyjeżdżał dwa razy do roku zawsze z rodzicami.

Ojciec i matka parkowali przed domem, nie wchodzili do środka, z obawy, że przyjdzie im spotkać się z Violette, stawić czoło jej rozpaczy. On, posłuszny syn, siadał na tylnym siedzeniu, jak wtedy gdy jako dziecko wyjeżdżał z nimi na wakacje; wówczas tylne siedzenie wydawało mu się ogromne, ale u kresu podróży było morze.

Philippe zawsze myślał, że jest jedynakiem, bo rodzice tylko raz uprawiali seks, przypadkiem – sądził, że jest dziełem przypadku.

Jego ojciec, którego smutek i lata spędzone u boku żony przygięły do ziemi, prowadził źle. Hamował, nie wiedzieć czemu, i przyspieszał, też nie

wiadomo dlaczego. Zjeżdżał na lewą stronę, a potem za bardzo na prawą. Wyprzedzał, kiedy nie powinno się tego robić, nie wyprzedzał na prostych drogach. Za często się gubił. Zdawał się ignorować znaki drogowe.

Droga z domu do cmentarza wydawała się Philippe'owi nieskończenie długa. Gdy przemierzali ją za pierwszym razem, poczuł swąd spalenizny, kiedy byli jeszcze wiele kilometrów od zamku. W powietrzu unosił się zapach wielkiego pogorzeliska.

Zatrzymali się przed bramą wjazdową do zamku. Nie ośmielili się od razu wjechać, siedzieli z opuszczonymi głowami w samochodzie. A potem przemierzyli tych dwieście metrów dzielących ich od okazałego budynku. Lewe skrzydło było zniszczone i osmalone. Straż pożarna, żandarmeria, otępiali ze smutku rodzice, radni. Dezorientacja i przerażenie. Długie chwile milczenia, stężałe, jakby usztywnione gesty. Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie, jak spowite w watę, widziane z daleka. Jak wówczas, kiedy ciało i umysł oddalają się od siebie, by przetrwać. Gdy wzajemność zbyt ciąży. Brzemię bólu.

Philippe nie mógł podejść do pokoju numer jeden. Wszystko wokół było zabezpieczone na potrzeby śledztwa – zdanie jak z amerykańskiego serialu, którego akcja rozgrywa się w Burgundii, i to w realu. Wydzielona plastikową czerwoną taśmą przestrzeń horroru. Eksperci uważnie oglądali podłogę i ściany, robili zdjęcia. Ustalali drogę przemieszczania się ognia, pisząc na nowo historię zdarzeń, badając punkty niebudzące wątpliwości, dowody, poszlaki, ślady. Prokurator czekał na szczegółowy raport – to nie żarty, zginęło czworo dzieci. Trzeba będzie kogoś ukarać, kogoś skazać.

Philippe wiele razy usłyszał: „Przykro mi, przykro nam, proszę przyjąć nasze kondolencje, dzieci nie cierpiały". Nie widział nikogo spośród zamkowego personelu, albo może po prostu tego nie pamiętał. Pozostałe

dziewczynki, te, które miały szczęście i ocalały, już opuściły zamek. Zostały natychmiast ewakuowane.

Nie musiał identyfikować ciała Léonine, bo już go nie było. Nie musiał wybierać trumny ani pisać mowy pogrzebowej, zajęli się tym jego rodzice. Nie będzie więc musiał niczego wybierać. Nigdy nie kupiłem córce ani jednej pary butów, sukienki, spinki do włosów, skarpetek, pomyślał. Robiła to Violette, lubiła to robić. Ale przy wyborze trumny nie będzie Violette. Violette już nigdy więcej nie będzie. Nie będzie więc musiał nikim się zajmować.

Zadzwonił do niej wieczorem z hotelu. Odebrała ta marsylianka. Tak właśnie nazywał Célię. Przypomniał sobie, że poprosił ją, żeby przyjechała. Violette spała. Lekarz przychodził parę razy, by podać jej środki uspokajające.

Pogrzeb odbył się osiemnastego lipca 1993 roku.

Pozostali rodzice trzymali się za ręce, pod ramię, wspierając się nawzajem. On ani nikogo nie dotknął, ani z nikim nie rozmawiał. Matka próbowała, lecz odrzuciło go, tak jak wtedy, gdy chciała go pocałować, kiedy miał czternaście lat.

Pozostali rodzice płakali, krzyczeli. Padali na ziemię. Trzeba było podnosić kobiety, które gięły się niczym trzciny w czasie wichury. Podczas pogrzebu odnosiło się wrażenie, jakby całe to zgromadzenie było pijane, wszyscy ledwo trzymali się na nogach. On stał prosto, nie płakał.

A potem, wśród ogromnego tłumu zgromadzonego wokół grobu, zobaczył ją. Całą w czerni. Bardzo bladą. Z nieobecnym wzrokiem. Po cholerę Geneviève Magnan tu przyszła? Zignorował to. Nie miał już serca do niczego. Jego serce należało do Françoise. Do Françoise i Léonine. I koniec.

Jedyne zdanie, które ciągle przychodziło mu na myśl w czasie tych czterech dni w Burgundii, brzmiało: Nawet nie potrafiłem zapewnić córce ochrony.

Potem pozostali rodzice wyjadą na wakacje. Albo zostaną tutaj, na tym nieszczęsnym cmentarzu. A on wróci samochodem rodziców, na ogromnym siedzeniu, i u kresu podróży nie będzie morza, ale Violette i jej bezmierny smutek.

Pusty pokój. Różowy pokój, do którego nigdy nie zaglądał. Skąd dobiegały śmiechy i słowa, które Violette czytała każdego wieczoru.

Trzy lata po tej tragedii, sam nad grobem córki, nie powiedział niczego. Żadnego słowa do niej ani modlitwy. A przecież znał wiele modlitw. Chodził na religię, przystąpił do sakramentów. Podczas jednego z nich po raz pierwszy zobaczył Françoise, szła pod rękę z jego wujem. Tego dnia, kiedy popijając mszalne wino, recytował po cichu ze starszym bratem jednego z kolegów:

Ojcze nasz, który pierdzisz w niebie
Niech śmierdzi dupa twoja
Bądź wola twoja jako dla gnid tak i dla wszy
Jabola naszego powszedniego daj nam dzisiaj
I odpuść nam nasze gadki
Jako i my odpuszczamy
Tym, co nas wyruchali
I nie wódź nas na obciąganie, ale nas zbaw od syfa.
Omen.

Aż płakali ze śmiechu, zwłaszcza kiedy włożyli komże na T-shirty i dżinsy. Naśmiewali się z siebie nawzajem:

– Wyglądasz jak ksiądz!

– A ty jak dziewczyna!

No i zobaczył Françoise. I potem widział już tylko ją.

Można by powiedzieć, że to córka wuja. Można by powiedzieć: starsza siostra. Można by powiedzieć: idealna matka. Można by powiedzieć: doskonałość. Można by powiedzieć: wielka miłość. Można by powiedzieć: jego wielka miłość.

Miał ochotę zobaczyć ją znowu. Widywali się co roku. Za każdym razem miał coraz większą ochotę, żeby zobaczyć ją znowu.

Trzy lata po tragedii, nad grobem córki, pomyślał, że nie wróci już do Brancion-en-Chalon, ponieważ nie przyszły mu do głowy żadne słowa. Nie był zdolny porozmawiać z Léonine. Chciał znów wsiąść na motor i pojechać do Françoise, paść jej w ramiona. Minęło jednak wiele lat i trzeba o tym zapomnieć.

Trzeba wrócić do Violette, paść przed nią na kolana, błagać, prosić o przebaczenie. Uwieść ją tak, jak ją uwiódł na początku. Przed przejazdem i pociągami. Spróbować się nią zająć, sprawić, żeby się uśmiechnęła. Zrobić jej jeszcze jedno dziecko. Violette jest przecież w końcu jeszcze taka młoda. Obiecać jej, że się dowie, co tak naprawdę się stało tamtej nocy w zamku, wyznać, że pobił Fontanela, a wcześniej pieprzył Magnan. Przyznać się, że jest do niczego, ale że dowie się prawdy. Tak, zrobić jej drugie dziecko i zająć się nim, może będą mieć synka, małego chłopczyka, jego marzenie. I sporządnieć. Nie łajdaczyć się na prawo i lewo. Może się przeprowadzić. Zmienić życie z Violette. Można zmienić życie, widział to w telewizji.

Najpierw trzeba znów pojechać do Magnan. „Nigdy bym nie skrzywdziła dzieci”. Dlaczego to powiedziała? Trzeba do niej wrócić, żeby wszystko wyśpiewała. Chciała mówić, ale się nie zgodził. Nie był gotów.

Spojrzał po raz ostatni na grób Léonine, ostatecznie utwierdził się w przekonaniu, że nie jest w stanie wydobyć z siebie ani słowa, tak jak wtedy, kiedy jeszcze żyła i gdy też niewiele jej mówił. Nigdy nie odpowiadał na jej pytania. „Tato, dlaczego księżyc świeci?”

Odszedł od grobu Léonine i ruszył szybkim krokiem w kierunku wyjścia, wtedy ich zobaczył. Violette i tego starego, szli alejką. Violette trzymała go za rękę. Philippe uświadomił sobie, że go okłamała. Przypomniał sobie słowa matki: „Nie ufaj nikomu, myśl tylko o sobie, o sobie”.

Sądził, że jest w Marsylii, w domku Célii. Myślał, że tam pojechała. A ona jest tutaj, z innym mężczyzną. Uśmiecha się. Philippe nie widział, żeby Violette uśmiechnęła się choć raz od śmierci Léonine.

Przez sześć miesięcy przyjeżdżała na ten cmentarz w co drugą niedzielę. A więc to po to. Pożyczała czerwony samochód od tej głupiej gęsi z Casino, a on sądził, że jedzie na grób Léonine. Dobrze to sobie wymyśliła. Ma kochanka? Tego starucha? Jak ona go poznała? Kiedy? Kochanek i Violette? Niemożliwe.

Schował się za wielkim kamiennym krzyżem i obserwował ich przez chwilę. Poszli, trzymając się za ręce, aż do domu, który znajdował się przy wejściu na cmentarz. Stary wyszedł z niego koło dziewiętnastej, żeby zamknąć bramę. A więc to tak, to on pilnował tego przeklętego miejsca. Jego żona sypia z człowiekiem pilnującym cmentarza, na którym leży ich córka. Philippe usłyszał własny śmiech, zły rechot. Ogarnęła go przemożna chęć zabicia, uderzenia, zmasakrowania.

Violette została w środku. Zobaczył przez okno, jak nakrywa do stołu dla dwóch osób, tak jak to robiła u nich, przepasana fartuchem. Tak bardzo go to zabolało, że przygryzł sobie palce aż do krwi. Tak jak w westernach, które oglądał jako mały chłopiec, kiedy kowboj zaciskał zęby na kawałku

drewna, podczas gdy wyjmowano mu kulę z brzucha. Violette prowadziła podwójne życie, a on nie zdawał sobie z niczego sprawy.

Zapadła noc. Stary i Violette pogasili światła. Pozamykali okiennice. I ona została w środku. Spała tu. A więc nie ma miejsca na wątpliwości.

Dwa miesiące wcześniej zakazał jej wracać do Burgundii. Kiedy powiedziała mu, że rozmawiała z Magnan, ogarnął go strach, że wszystko się wyda. Że Violette się dowie, że kobieta, która prowadziła w zamku kuchnię, była jego kochanką.

Ale historia jest całkiem inna, to ona ma kochanka. Dlatego wydawała się w lepszym nastroju w przeddzień każdego wyjazdu. Co druga niedziela. Ośmieliła się oznajmić mu: „Będę jeździć na cmentarz w co drugą niedzielę”. A on niczego nie zauważył, teraz zrozumiał, dlaczego żona zdawała się z tygodnia na tydzień odzyskiwać siły.

Zrobiło się już późno. Przeszedł przez mur, żeby wyjść. Kopnął mocno w drzwi od strony ulicy, wsiadł na motor i ruszył jak szalony.

*

Musiało już być koło dziesiątej, kiedy znalazł się na ulicy, przy której stał dom Magnan. W środku była policja, przed domem stał radiowóz. Sąsiadki w szlafrokach rozmawiały pod latarniami. Pomyślał, że Fontanel musiał jej za mocno przyłożyć.

Philippe odwrócił się na pięcie i ruszył na wschód. Nie zatrzymał się po drodze. Gdy dojechał na miejsce, poszedł od razu pod znajomy adres, tam gdzie kobiety oddawały mu swoje ciała.

71

Przez otwarte okno patrzyliśmy razem na życie, miłość, radość. Słuchaliśmy wiatru

Dziennik Irène Fayolle

22 października 1992 roku

Wczoraj wieczorem usłyszałam głos Gabriela w dzienniku telewizyjnym. Usłyszałam, jak mówi o „obronie kobiety, która mnie rzuciła”. On tego oczywiście tak nie powiedział, mój umysł przekręcił jego słowa.

Paul pomagał mi nakrywać do kolacji w kuchni, telewizor był włączony w pokoju obok. Tak mnie zaskoczył dźwięk głosu Gabriela, głosu z moich najpiękniejszych wspomnień, że upuściłam garnek z wrzącą wodą, który trzymałam w ręce. Upadł na terakotową posadzkę i poparzyłam sobie kostki. Huk był okropny, Paul się przestraszył. Myślał, że się trzęsę z powodu oparzeń.

Zaciągnął mnie do salonu i posadził na kanapie na wprost telewizora, na wprost Gabriela. Był tutaj, za tym szklanym prostokątem, którego nigdy nie oglądam. Podczas gdy Paul miotał się na wszystkie strony, kładł mokrą gazę na poparzoną skórę, ja oglądałam ujęcia Gabriela wewnątrz budynku sądowego. Jeden z dziennikarzy powiedział, że od tygodnia broni w Marsylii. Że doprowadził już do uniewinnienia trzech spośród pięciu

mężczyzn oskarżonych o współudział w ucieczce. Proces zakończył się wczoraj.

Gabriel był w Marsylii, tuż obok mojego życia, nie wiedziałam o tym. Tak czy inaczej, co mogłabym zrobić? Pojechać się z nim spotkać? Żeby mu powiedzieć co? „Pięć lat temu uciekłam, bo nie chciałam zostawić rodziny. Pięć lat temu przestraszyłam się pana i siebie. Musi pan jednak wiedzieć, że nigdy nie przestałam o panu myśleć”.

Julien, który wyszedł ze swojego pokoju, powiedział ojcu, że trzeba mnie zawieźć do szpitala. Odmówiłam. Podczas gdy mąż i syn przetrząsali domową apteczkę w poszukiwaniu maści na oparzenia, patrzyłam, jak Gabriel gestykuluje tymi swoimi pięknymi dłońmi przed dziennikarzami. Widziałam, z jaką pasją broni innych w tej swojej ciemnej todze. Chciałam, żeby wyszedł z ekranu, chciałam być jak Mia Farrow w Purpurowej róży z Kairu *Woody’ego Allena.*

A ja? Czy mnie też by bronił? Czy znalazłby okoliczności łagodzące? Jakieś usprawiedliwienie na dzień, w którym go zostawiłam?

Ile czasu na mnie czekał, siedząc za kierownicą w samochodzie? Kiedy w końcu odjechał? W którym momencie zrozumiał, że nie wrócę?

Łzy zaczęły płynąć mi po policzkach. Płynęły, choć nie chciałam.

Paul wyłączył telewizor.

Osunęłam się na podłogę przed czarnym ekranem.

Syn i mąż myśleli, że to z powodu bólu. Zadzwonili do lekarza rodzinnego, który obejrzał moje oparzenia i powiedział, że są powierzchowne.

Nie spałam przez całą noc.

Po tym, jak zobaczyłam ponownie Gabriela i usłyszałam jego głos, zrozumiałam, że za bardzo mi go brak.

*

Następnego dnia rano Irène znalazła numer telefonu do kancelarii Gabriela. Dalej znajdowała się w Mâcon, w departamencie Saona i Loara. Gdy poprosiła o spotkanie z nim, dowiedziała się, że przyjdzie jej parę miesięcy poczekać, że kalendarz mecenasa Prudenta jest wypełniony po brzegi, ale że może spotkać się szybciej z jednym z jego dwóch wspólników. Irène odparła, że ma czas, że zaczeka na mecenasa Prudenta. Podała swoje nazwisko i numer telefonu, nie do domu, tylko do rozarium. Kiedy zapytano, o jaką sprawę chodzi, zapadła cisza, po czym Irène odpowiedziała: „O sprawę już znaną mecenasowi Prudentowi”. Wyznaczono jej datę, miała czekać trzy miesiące.

Gabriel zadzwonił do niej dwa dni później rano. Irène właśnie otworzyła rozarium, kiedy zadzwonił telefon. Pomyślała, że ktoś chce zamówić kwiaty, i zaspana, pobiegła odebrać połączenie. Zdążyła już złapać bloczek do notowania zamówień i długopis, którego skuwka nosiła ślady zębów jej pracownicy. Powiedział: „To ty”. A ona: „Dzień dobry”.

– Dzwoniłaś do kancelarii.

– Tak.

– Przez cały tydzień bronię w Sedanie. Chcesz przyjechać?

– Tak.

– Do zobaczenia.

I odłożył słuchawkę.

Na bloczku z zamówieniami Irène zanotowała: „Sedan” w polu „Uwagi nadawcy”.

Tysiąc dwieście kilometrów do pokonania. Trzeba było przemierzyć całą Francję. Wzdłuż długiej linii prostej.

Wyjechała z Marsylii około dziesiątej, parę razy musiała się przesiadać do innego pociągu. Na stacji Lyon-Perrache upudrowała twarz i nałożyła trochę błyszczyku na usta, przeglądając się w lustrze w toalecie. Był kwiecień, miała na sobie beżowy płaszcz przeciwdeszczowy. Uśmiechnęła się. Ściągnęła blond włosy czarną gumką. Kupiła sobie tosta, szczoteczkę do zębów i pastę o smaku cytrynowym.

Dotarła do Sedanu około dwudziestej pierwszej. Wsiadła do taksówki i powiedziała kierowcy, żeby zawiózł ją pod sąd. Wiedziała, że znajdzie Gabriela w najbliższej kawiarni lub restauracji. Nie należał do tych, którzy wracają wcześnie do hotelu. Studiował akta przy byle stole, między kuflem piwa a talerzem frytek. Pomiędzy kieliszkiem wina a daniem dnia. Gabriel miał potrzebę czuć wokół siebie życie. Nienawidził ciszy hotelowych pokoi, narzut na łóżko, zasłon, telewizora, który się włącza, żeby nie czuć samotności.

Dostrzegła go przez okno; siedział przy stole w towarzystwie trzech mężczyzn. Gabriel mówił i palił jednocześnie. Zabrudzili obrus i porozpinali guziki pod szyją. Krawat każdego wisiał na oparciu krzesła.

Gdy zobaczył, że Irène wchodzi, podniósł rękę i zawołał:

– Irène! Chodź tu do nas!

Powiedział to tak, jakby przechodziła tędy przypadkowo, wracając do domu.

Przywitała się z pozostałymi mężczyznami.

– Poznaj moich kolegów. Laurent, Jean-Yves i David. Panowie, poznajcie Irène, kobietę mojego życia.

Mężczyźni się uśmiechnęli. Jak gdyby Gabriel żartował. Jak gdyby mógł mówić takie rzeczy tylko w żartach. Jak gdyby w jego życiu było wiele kobiet jego życia.

– Siadaj. Jesteś głodna? Ależ tak, trzeba coś zjeść. Panno Audrey, proszę nam przynieść kartę! Czego chcesz się napić? Herbaty? Ależ nie, w Sedanie nie pija się herbaty! Panno Audrey, proszę jeszcze raz taką samą butelkę! Volnay rocznik tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty drugi. Sama zobaczysz… napijesz się czegoś cudownego. Chodź tutaj, siądź koło mnie.

Jeden z kolegów Gabriela podniósł się, żeby ustąpić jej miejsca. Gabriel ujął dłoń Irène i złożył na niej pocałunek, przymykając oczy. Zauważyła, że nosi obrączkę. Kółko z białego złota.

– Cieszę się, że tu jesteś.

Irène zamówiła rybę i słuchała rozmowy, ale z oddali, bo była zajęta myślami o sobie. Zdała sobie sprawę, że wygląda jak fanka, która przyjechała z drugiego końca kraju, żeby spędzić wieczór z gwiazdą rocka, której niespieszno zostać z nią sam na sam, bo i tak ma już zaklepaną wspólną noc po koncercie.

Miała ochotę zniknąć. Żałowała. Zastanawiała się, jak uciec, chciała znaleźć wyjście awaryjne, drzwi na tyłach, żeby pobiec na dworzec i wrócić do domu, wślizgnąć się pod czystą pościel przesiąkniętą zapachem aloesu. Poprosiła dyskretnie kelnerkę o zieloną herbatę. Od czasu do czasu Gabriel zwracał się do niej, pytał, czy wszystko w porządku, czy jej nie zimno, czego chce się napić, co zjeść.

W końcu on i jego towarzysze wstali od stołu jednocześnie. Gabriel poszedł uregulować rachunek w barze. Irène bez słowa wodziła za nim oczami.

Na dworze zaczęło padać. A może padało już od dawna. Nie zwróciła na to uwagi. Jej nastrój pogarszał się z każdą chwilą. Pomyślała, że wyjechała, niczego ze sobą nie biorąc. Tylko torebkę, parę banknotów i książeczkę czekową. Uznała, że chyba zwariowała, że to wszystko

w ogóle do niej nie pasuje. Zazwyczaj była przecież tak poukładana. Teraz wydała się sobie żałosną, tandetną fanką.

Gabriel pożyczył parasol z restauracji; obiecał, że odniesie go następnego dnia. Wziął Irène pod ramię i ruszył za tamtymi trzema. Szli w tym samym kierunku. Bardzo mocno ścisnął jej dłoń.

W holu hotelu Ardennes wszyscy odebrali z recepcji klucze i wsiedli do windy. Dwóch kolegów Gabriela wysiadło na drugim piętrze. „Dobranoc, chłopaki, do jutra”. Trzeci na czwartym piętrze. „Dobranoc, Davidzie, do jutra”.

– O siódmej trzydzieści na śniadaniu.

– W porządku.

Pomiędzy czwartym a szóstym piętrem znaleźli się sami, twarzą w twarz. Gabriel nie spuszczał z niej oczu.

Drzwi windy otworzyły się na ciemny korytarz. Poszli do pokoju numer sześćdziesiąt jeden. Irène poczuła zapach tytoniu, gdy tylko otworzył drzwi. Ściany pomalowane na pomarańczowo, imitacja marokańskich stiuków.

Wszedł pierwszy, mówiąc: „Przepraszam”. Zapalił światło we wszystkich kątach pokoju i zniknął w łazience.

Irène nie wiedziała, co zrobić z płaszczem ani ze sobą. Stała nieruchomo w przedpokoju, jak marmurowy posąg, manekin na wystawie sklepowej. Zobaczyła otwartą walizkę Gabriela. Koszule, swetry, skarpetki. Zastanawiała się, kto wyprasował te kołnierzyki, poskładał bieliznę.

Gabriel wyszedł z łazienki uśmiechnięty.

– Wejdź do środka, rozbierz się.

Musiała zrobić dziwną minę, bo wybuchnął śmiechem.

– No, nie całkiem. Zdejmij płaszcz.

– …

– Jesteś bardzo małomówna.

– Po co poprosił mnie pan, żebym przyjechała?

– Bo tego chciałem. Chciałem cię zobaczyć. Zawsze chcę cię zobaczyć.

– A ta obrączka to co?

Usiadł na łóżku. Zdjęła płaszcz.

– Oświadczono mi się, nie mogłem powiedzieć „Nie”. Trudno jest powiedzieć „Nie” kobiecie, która się człowiekowi oświadcza. Poza tym to niestosowne. A ty? Ciągle zamężna?

– Tak.

– No to remis. Jeden do jednego.

– …

– Często o tobie śnię.

– A ja o panu.

– Brak mi cię. Podejdź bliżej.

Irène usiadła koło niego, ale nie tuż przy nim. Zostawiła pomiędzy nimi trochę miejsca, linię demarkacyjną.

– Czy zdradził już pan żonę?

– Z tobą jej nie zdradzę, zawiodę zaufanie.

– Dlaczego się pan znowu ożenił?

– Powiedziałem ci, żona mnie o to poprosiła.

– Kocha ją pan?

– Dlaczego zadajesz mi takie pytanie? Rzuciłabyś męża dla mnie? Nie muszę ci odpowiadać. Jesteś kobietą powściągliwą, Irène. Rozbierz się. Całkiem. Chcę cię zobaczyć.

– Proszę zgasić światło.

– Nie, chcę cię widzieć. Żadnej pruderii między nami.

– Sądzi pan, że pana trzej przyjaciele wzięli mnie za pana kurwę?

– To nie są przyjaciele, to są koledzy z pracy. Rozbierz się.

– No to proszę się rozbierać razem ze mną.

– Zgoda.

72

O Jezu, niechaj radość ma trwa. Niechaj wynalazca ptaków uczyni mnie bohaterem

Ciągle pada. Wycieraczki kładą się cieniem na naszych twarzach.

Nathan usnął na tylnym siedzeniu. Odwracam się często, by na niego popatrzeć. Dawno już nie patrzyłam na śpiące dziecko. Od czasu do czasu w radiu słychać jakąś piosenkę, po czym melodia niknie na zakrętach. Między jednym refrenem a drugim rozmawiamy o Irène i Gabrielu.

– Po epizodzie w Sedanie często się potem spotykali.

– Jak się pan czuje z tym wszystkim, czego się pan dowiedział o matce?

– Szczerze? Odnoszę wrażenie, jakbym przeczytał historię o kimś obcym. Zresztą ten jej dziennik… daję go pani, nie chcę go mieć. Położy go pani obok swoich rejestrów.

– Ale ja…

– Nalegam. Proszę go zachować.

– Przeczytał go pan w całości?

– Tak, parę razy. Głównie te fragmenty, w których mowa o pani. Dlaczego mi pani nie powiedziała, że się znałyście?

– Nie znałyśmy się tak naprawdę.

– Ma pani zwyczaj ukazywania rzeczy w zupełnie innym świetle, niż widzieliby je inni, Violette. Te gry słów… Zawsze mam ochotę pociągnąć panią za język. Pani jest gorsza od wszystkich tych ludzi, których zdarzyło mi się aresztować… Szczerze mówiąc, nie chciałbym pani aresztować… Oszalałbym, przesłuchując panią.

Wybucham śmiechem.

– Przypomina mi pan mojego przyjaciela.

– Przyjaciela?

– Miał na imię Sasha. Uratował mi życie… Doprowadzając mnie do śmiechu, tak jak pan.

– Poczytuję to sobie za komplement.

– Bo to jest komplement. Dokąd jedziemy?

– Na Les Pardons.

– …

– To nazwa ulicy w La Bourboule. To tam urodził się mój ojciec. I ciągle jeszcze mieszka tam część mojej rodziny… Czasem nawet zdarza się ślub.

– Będą się zastanawiać, kim jestem.

– Powiem im, że jest pani moją żoną.

– Wariat z pana.

– Nie aż taki.

– Co dostaną w prezencie nowożeńcy?

– Tak naprawdę wcale nie są tacy młodzi. Sporo już przeżyli, zanim się spotkali. Moja kuzynka ma sześćdziesiąt jeden lat, a jej przyszły mąż jakieś pięćdziesiąt. Za dwadzieścia kilometrów jest stacja benzynowa, znajdziemy dla nich odjazdowe prezenty. No i Nathan musi się przebrać.

– Ja już jestem przebrana.

– Pani cały czas się przebiera. Żyje pani w przebraniu… Zawsze jest pani ubrana odświętnie, jak na ślub czy pogrzeb.

Wybucham śmiechem po raz drugi.

– A pan się nie przebiera?

– Nie, ja nigdy. Dżinsy i sweter zimą, dżinsy i sweter latem.

Spogląda na mnie i uśmiecha się.

– Naprawdę kupi pan prezenty na stacji benzynowej?

– Naprawdę.

*

Podczas gdy Julien tankuje samochód, idę z Nathanem do sklepu na stacji. Trzymam go za rękę. Dawny zwyczaj. To gesty, których nigdy się nie zapomina. Stanowią część nas, nie wymagają zastanowienia. Jak kolor włosów, znajomy zapach, podobieństwo. Już tak dawno nie trzymałam dziecka za rękę. Jestem poruszona, czując, jak jego drobne paluszki ściskają moje. Nuci jakąś melodię, której nie znam.

Czuję się lekko, kiedy wchodzę do sklepu. Nathan wybałusza oczy na widok czekoladowych batonów i cukierków przy kasach.

Staję przed drzwiami prowadzącymi do męskiej toalety.

– Nie mogę tam wejść, zaczekam na ciebie przed drzwiami.

– Dobrze.

Chłopiec wchodzi do środka z plecakiem, w którym ma swoje rzeczy.

Wychodzi pięć minut później, dumny, w trzyczęściowym garniturze z jasnoszarego lnu i białej koszuli.

– Bardzo ładnie wyglądasz, Nathan.

– Masz żel?

– Żel?

– Do włosów.

– Zobaczę, czy mają tutaj w sprzedaży.

Podczas gdy szukamy żelu na rozlicznych półkach, Julien kupuje dwie powieści, książkę kucharską, pudełko ciastek, barometr, różnokolorowe serwetki i podkładki pod talerze, mapę Francji, trzy DVD, płytę z wyborem najpiękniejszej muzyki filmowej, globus, cukierki anyżowe, męską kurtkę przeciwdeszczową, słomiany kapelusz damski i pluszaka. Prosi kasjera, żeby mu to wszystko zawinął w ozdobny papier. Kasjer nie ma prezentowego papieru. Mówi z uśmiechem, że to nie Galeries Lafayette, tylko stacja przy autostradzie A89. Julien znajduje w końcu wielką torbę z naturalnych włókien, na której widnieje logo WWF, i ładuje wszystko do środka. Nathan prosi go, żeby kupił naklejki. Chce ozdobić nimi torbę, podkolorować pandę, dorobić palmy i niebieskie niebo wokół. „Genialny pomysł, chłopie”, chwali go ojciec.

Mam wrażenie, jakbym była inną kobietą, zmieniła życie. Znalazła się w życiu kogoś innego. Jak Irène, kiedy zamieniła beże na kolorowe stroje i klapki w Antibes.

Nathan i ja znajdujemy w końcu ostatni słoiczek żelu do włosów *sztywnego jak stal*, schowany pomiędzy dwoma maszynkami do golenia, trzema szczoteczkami do zębów i paczką chusteczek odświeżających. Wydajemy z siebie okrzyk zwycięstwa. Po raz trzeci wybucham śmiechem.

Nathan nie posiada się z radości i znów znika w toalecie, żeby ułożyć sobie włosy. Wychodzi z czupryną stojącą na baczność, musiał nałożyć na głowę cały słoiczek. Julien przygląda się synowi z powątpiewaniem, ale nic nie mówi.

– Myślicie, że ładnie wyglądam? – pyta chłopiec.

Julien i ja chórem odpowiadamy, że tak.

73

Żaden ekspres nie powiezie mnie ku szczęśliwości, żadna landara tam nie dojedzie, nie da rady żaden concorde, żaden statek nie dopłynie, tylko Ty

Wrzesień 1996 roku

Każdy dzień Philippe’a od zawsze wyglądał tak samo. Pobudka około dziewiątej. Śniadanie przygotowane przez Violette. Kawa z mlekiem, tosty, masło, dżem wiśniowy. Prysznic i golenie. Jazda na motorze do pierwszej. Po polnych dróżkach, igranie ze śmiercią każdego dnia, gdy przyspieszał tam, gdzie wiedział, że nigdy nie ma drogówki ani radarów. Obiad z Violette.

Mortal Kombat, gra wideo, na mega drivie do szesnastej lub siedemnastej. Jazda na motorze do dziewiętnastej. Kolacja z Violette. Potem wychodził z domu na Grand-Rue pod pretekstem, że musi się przewietrzyć. Szedł wtedy do jakiejś kochanki lub wziąć udział w rozpustnym wieczorze organizowanym pod wiadomym adresem. Jechał tam na motorze i nie wracał przed pierwszą lub drugą nad ranem. Jeżeli nie miał akurat ochoty na żadną z tych rzeczy, na przykład z powodu słotnej

pogody lub obezwładniającego zmęczenia, oglądał telewizję. Violette siadała obok. Czytała lub oglądała wybrany przez niego film.

Odkąd dwa tygodnie wcześniej nakrył ją z dozorcą cmentarza, nie patrzył już na Violette w taki sam sposób; obserwował ją kątem oka. Zastanawiał się, czy myśli o tym staruchu, czy do niego wydzwania w czasie jego nieobecności, czy do niego pisuje.

Od tygodnia po powrocie do domu naciskał klawisz „bis” w telefonie, ale systematycznie słyszał nieprzyjemny głos matki, do której dzwonił poprzedniego dnia lub dwa dni wcześniej, i odkładał słuchawkę.

Co drugi dzień musiał do niej zadzwonić. To był rytuał. I słowa ciągle były takie same: „Wszystko w porządku, synku? Dobrze się odżywiasz? Wysypiasz się? Jak zdrowie? Uważaj na drodze. Nie niszcz sobie oczu tymi grami wideo. A żona? Z pracą w porządku? W domu posprzątane? Pierze pościel co tydzień? Pilnuję twoich rachunków. Nie bój się, niczego ci nie brak. Ojciec zrobił przelew na twoje ubezpieczenie na życie w ubiegłym tygodniu. A ja mam znowu te moje bóle. Że też my nigdy nie mieliśmy szczęścia, no nie, naprawdę. Ludzie są tacy kłamliwi. Pilnuj się. Ojciec jest coraz bardziej zrezygnowany. Na szczęście macie mnie, ja się wami zajmę. Do usłyszenia, synku”. Za każdym razem, gdy odkładał słuchawkę, czuł się źle. Matka, niczym tępa żyletka, coraz bardziej go drażniła. Czasami zastanawiał się, czy wie, co słychać u jej brata, Luca. Tęsknił za wujem. A brak Françoise go unicestwiał. Ale na pytania o niego matka zawsze odpowiadała ze złością lub smutkiem w głosie, jakby chciała wzbudzić w nim poczucie winy: „Nie mów mi więcej o tych ludziach, proszę”. Dla niej miejsce Françoise i Luca było w koszu na śmieci.

Te irytujące rozmowy były jedyną skazą na jego pozornie doskonale naoliwionej machinie życia. Dalej był tym samym chłopcem, którego

Françoise w 1983 roku odprowadziła po raz ostatni na dworzec w Antibes: rozpuszczonym, nieszczęśliwym dzieckiem.

Gładki bieg jego dni został jednak zakłócony przez dwie wiadomości. Pierwsza przyszła pocztą.

Właśnie napoczynał ciepłego i chrupiącego tosta, tak jak lubił, kiedy Violette powiedziała, że w 1997 roku ich przejazd ma zostać zautomatyzowany. Mają sześć miesięcy na znalezienie sobie innej pracy. Położyła na stole adresowany do nich list, pomiędzy słoikiem z konfiturami i masłem, po czym poszła opuścić szlaban na przejazd pociągu z dziewiątej siedem.

Stracę Violette. To była pierwsza rzecz, o której pomyślał Philippe, kiedy przeczytał list. Nic już jej teraz nie powstrzyma. Mieszkanie pod jednym dachem i wspólna praca łączyły ich jeszcze ze sobą, sam nawet nie wiedział dlaczego. Łączyły ich tak nikłą nicią, że prawie niewidoczną. Oprócz pokoju Léonine, do którego drzwi ciągle były zamknięte, nie mieli już niczego wspólnego. Kiedy przejazd zostanie zautomatyzowany, Violette odejdzie na zawsze do tego starego z cmentarza.

Przez kuchenne okno zobaczył, że żona rozmawia z jakąś kobietą. Nie od razu ją poznał. Najpierw myślał, że to któraś z jego kochanek przyszła go podkablować, ale tylko przez chwilę. W końcu kobiety, z którymi się zadawał, nie należały do zazdrosnych. Nie podejmował żadnego ryzyka. Plugawił siebie, plugawił Violette, ale nie wdawał się w ryzykowne relacje.

Zauważył jednak, że z każdym słowem tej kobiety Violette coraz bardziej blednie.

Wyszedł i wtedy ją poznał, to była wychowawczyni Léonine. Jak ona się nazywa?

– Dzień dobry, panie Toussaint.

– Dzień dobry.

Ona też była blada. Wydawała się poruszona. Odwróciła się na pięcie i odeszła szybkim krokiem.

Pociąg z dziewiątej siedem przejechał. Philippe dostrzegł parę twarzy w jego oknach i stanęła mu przed oczami machająca do nich Léonine. Niczym cichy automat Violette podniosła szlaban i powiedziała:

– Geneviève Magnan popełniła samobójstwo.

Philippe przypomniał sobie radiowóz i kobiety w szlafrokach przed domem Magnan tego wieczoru przed dwoma tygodniami, kiedy przyjechał pod jej dom. Popełniła samobójstwo po spotkaniu z nim. Rozpłakał się przy niej. „Nigdy bym nie skrzywdziła dzieci”. Czy to ciężar odpowiedzialności popchnął ją ku śmierci?

– Proszę cię, zrób coś, żeby nie pochowano jej na tym samym cmentarzu co Léonine – dodała Violette.

Obiecał. Nawet jeśli przyjdzie mu wykopać ją własnymi rękami. Obiecał.

Violette powtórzyła kilkakrotnie:

– Nie chcę, żeby skalała ziemię na moim cmentarzu.

Philippe nie wziął tego dnia porannego prysznica. Umył pospiesznie zęby, wsiadł na motor i pojechał. Zostawił Violette z samą sobą, ogłupiałą, obok szlabanu, którego nie będzie musiała opuszczać przez dobre dwie godziny.

74

Zobaczysz, jak me słońcem lśniące pióro kreśli na papierze postać archanioła budziciela

Czemu gdy płynie czas
Patrzy i łamie nas
Czemu ze mną nie chcesz zostać
Czemu niknie twoja postać
Czemu życie i łodzie
Skrzydła mają na wodzie…

Weselna sala jest pusta. Tylko dwie kelnerki kończą sprzątać ze stołów, jedna zbiera ostatnie papierowe obrusy, druga zamiata białe konfetti.

Julien i ja tańczymy sami na improwizowanym parkiecie. Ostatnie błyski kuli dyskotekowej rysują na naszych pomiętych strojach maleńkie gwiazdki.

Wszyscy już poszli, nawet państwo młodzi, Nathan śpi w pokoju swojego kuzyna. Z głośników dochodzi głos Raphaëla. To ostatnia piosenka. Potem didżej, jakiś krewny z niewielkim brzuszkiem, zwinie manatki.

Chciałabym przedłużyć ten dzień. Chciałabym, żeby trwał dalej. Tak jak tego lata w Sormiou, gdy noc dawno już zapadła, a my nie mogliśmy się zdecydować na powrót do domku. Gdy nasze stopy nie potrafiły się rozstać z obmywającymi je falami morskimi.

Od tamtego czasu nigdy się tyle nie śmiałam. Nigdy wcześniej. Nigdy nie śmiałam się tak jak dzisiaj. Śmiałam się z Léonine, ale z dzieckiem człowiek nie śmieje się tak samo jak z innymi. To jest taki śmiech, który przychodzi z innego źródła. Śmiech, łzy, strach, radość kryją się w różnych miejscach naszego ciała.

I jeszcze jeden dzień mija
W tym małym życiu, byle nie umrzeć z nudy…

Piosenka się skończyła. Didżej życzy nam dobrego wieczoru. Julien odpowiada mu: „Dobranoc, Dédé!”.

Nigdy nie byłam na żadnym ślubie oprócz swojego własnego. Jeżeli za każdym razem jest tak wesoło, chętnie zmienię przyzwyczajenia.

Kiedy wkładam żakiet, Julien znika w kuchni. Wychodzi z butelką szampana i dwoma plastikowymi kieliszkami.

– Nie sądzi pan, że już dosyć wypiliśmy?

– Nie.

Na dworze jest ciepło. Idziemy jedno obok drugiego, Julien trzyma mnie pod rękę.

– Dokąd idziemy?

– Jest trzecia nad ranem, gdzie pani chce, żebyśmy poszli? Pragnąłbym zabrać panią do siebie, ale to jakieś pięćset kilometrów stąd, więc wrócimy do hotelu.

– Ale ja nie mam ochoty spędzić z panem nocy.

– No to bardzo, bardzo do dupy, bo ja bardzo bym chciał spędzić noc z panią. I tym razem mi pani nie ucieknie.

– Zamknie mnie pan?

– Tak, aż do końca pani dni. Proszę nie zapominać, że jestem gliną, wszystko mi wolno.

– Julien, wie pan, że jestem niezdolna do miłości

– Bredzi pani, Violette. Aż przykro słuchać.

I znów to samo. Jakby delikatne bańki szaleństwa, bańki radości, które podchodzą mi do gardła, pieszczą usta, przepełniają radością moje łono i sprawiają, że wybucham śmiechem. Nie wiedziałam, że mam w sobie takie tony, takie dźwięki. Czuję się jak instrument muzyczny, który ma jeden klawisz więcej. Zbawcza wada produkcyjna.

Czy to właśnie jest młodość? Czy można ją odkryć dopiero tuż przed pięćdziesiątką? Czy ja, która jej nigdy nie miałam, zachowałam ją bezwiednie w ukryciu niczym klejnot? Czy też nigdy mnie nie opuściła? I pojawia się dopiero dzisiaj, w sobotę? Na ślubie w Owernii? W rodzinie, która nie jest moją rodziną? Gdy obok mam faceta, który nie jest moim facetem?

Stajemy przed hotelem, którego drzwi są zamknięte na cztery spusty. Julien jest załamany.

– Violette, stoi przed panią idiota nad idiotami. Wczoraj rozmawiałem z recepcjonistką przez telefon i prosiła mnie, żeby po południu, jak przyjadę, przyjść po klucze i kod dostępu… Zapomniałem.

I znowu to samo. Nie mogę się już powstrzymać. Śmieję się w głos, a kaskady mojego śmiechu wydają się echem siebie samych, jak gdybym rozkręciła dźwięk na cały regulator. Tak się śmieję, że aż boli mnie brzuch. Brak mi tchu i im bardziej chcę go złapać, tym bardziej się śmieję.

Julien obserwuje mnie rozbawiony. Próbuję mu powiedzieć: „Trudno panu będzie zamknąć mnie do końca moich dni”, ale nie mogę już wydobyć z siebie ani słowa, śmiech zatrzymywał w moich ustach wszystko, co miałam do powiedzenia. Czuję, że płyną mi łzy, które Julien wyciera kciukami, śmiejąc się coraz głośniej wraz ze mną.

Idziemy do samochodu. Tworzymy zabawną parę – ja, zgięta wpół, i on, z butelką szampana w ręce i plastikowymi kieliszkami w obu kieszeniach spodni, usiłuje mnie nakłonić, żebym mimo wszystko szła.

Siadamy obok siebie na tylnym siedzeniu samochodu i Julien ucisza mój śmiech pocałunkiem. Cicha radość zaczyna rozpierać mnie od środka.

Mam wrażenie, że Sasha jest niedaleko. Że właśnie poinstruował Juliena, żeby przepikował do każdego z moich niezbędnych do życia organów sadzonki mnie samej.

75

Jestem spacerowiczem, cierpię na syndrom drugiego brzegu

Dzisiaj pochowany został Pierre Georges (1934–2017). Jego wnuczka pomalowała trumnę. Rysunki wzruszająco naiwne. Spędziła trzy dni, malując na surowym drewnie niebo i łąki. Myśląc zapewne przy tym, że dziadek będzie po nich w zaświatach spacerował.

Pierre nazywał się Elie Barouh, jak ten piosenkarz, ale przed wojną jego rodzice, obydwoje pochowani w Brancion, musieli zmienić mu imię i nazwisko. Aby odprawić ostatnią posługę, przyjechała rabinka z Paryża. To trzecia kobieta rabin we Francji. Odśpiewała modlitwy – to było przepiękne. Kiedy opuszczano trumnę do rodzinnego grobowca, gdzie spoczywają od dziesiątków lat rodzice Pierre’a, odmówiła kadysz. Potem każdy rzucił garść piachu na trumnę. W ten sposób do łąk i niebieskiego nieba rodzina i przyjaciele Pierre’a dodali również nadmorską plażę.

Jako że to nie o jego Boga w tym przypadku chodziło, ksiądz Cédric w czasie całej uroczystości siedział u mnie w kuchni.

Powiadają, że człowiek ma taką rodzinę, na jaką zasłużył. Patrząc na dzieci i wnuki otaczające grób Pierre’a, pomyślałam, że musiał być wspaniałym człowiekiem.

W salce merostwa zorganizowano poczęstunek. Rodzina i przyjaciele Pierre’a zebrali się w niej, by zaśpiewać mu parę pieśni. Drzwi były otwarte i słyszałam z domu ich głosy i muzykę.

Rabinka o imieniu Delphine przyszła do mnie na kawę. Cédric ciągle tu siedział. Miło było popatrzeć na męską reprezentację Kościoła i żeńską Synagogi, siedzące razem w mojej kuchni. Wiary obojga przemieszane ze sobą, podobnie jak ich śmiechy i młodość. Pomyślałam, że Sashy by się to bardzo podobało.

Jako że pogoda była ładna, wyszłam do ogrodu popracować. Delphine i Cédric usadowili się pod pergolą i przez dwie godziny z okładem wesoło gawędzili.

Delphine była oczarowana dorodnością moich sadzonek i drzewek owocowych. Cédric oprowadzał ją wszędzie tak, jakby to on był ich szczęśliwym właścicielem. Jak gdyby to za sprawą jego Boga właśnie, którego dom znajduje się nieopodal, pojawiły się te wszystkie cudeńka.

Sadząc bakłażany, usłyszałam jedną z piosenek, którą rodzina i przyjaciele Pierre’a Georges’a śpiewali na placu przed merostwem. Musieli wyjść z sali i rozsiąść się pod drzewami.

Nawet Delphine i Cédric zamilkli, żeby jej posłuchać.

Nie, nie w smak mi już samemu się zachwalać
Echem swego „Kocham cię” się zadowalać
Nie, nie chcę już serca swego ranić
Zabawy parodiując znane mi na pamięć…
Cudownym widokiem swym mnie wabisz
Snadnie mogłaś temu zaradzić…
Żadnej już nie widzę z pięknych jej tajemnic
Drżę, acz niestraszne, niespodziewane mi nic

Gdyż pomimo w duszy mej zawartych marzeń
Nigdy więcej kochać się już nie odważę…

Pochylona nad ziemią, zastanawiałam się, czy to Pierre’owi tak śpiewają, czy mnie.

Około osiemnastej trzydzieści wszyscy wsiedli do samochodów i odjechali do Paryża. Raz jeszcze usłyszałam dźwięk, którego tak nienawidzę, dźwięk zamykanych z trzaskiem drzwi samochodu.

Moi trzej mężczyźni zjedli ze mną kolację na dworze. Zrobiłam im improwizowaną sałatkę i podsmażane ziemniaki z jajkami sadzonymi. Prawdziwa uczta. Koty dołączyły do nas, żeby posłuchać naszych rozmów na rozmaite tematy, mało interesujących, ale radosnych.

Nono przez cały wieczór powtarzał w kółko: „Czy nie jest nam dobrze tu, u Violette?”. A pozostali dwaj zgodnym chórem odpowiadali: „Jak dobrze!”. Elvis zaś dodawał: *Donte live mi nao*[26].

Poszli sobie o dwudziestej pierwszej trzydzieści. W czerwcu dni są długie. Zostałam w ogrodzie i siedząc na ławce, słuchałam ciszy. Wrzawy, której Léonine nigdy już nie wywoła. Pozostała mi jedynie króciutka piosenka o miłości, którą noszę w sercu, jej melodię znam tylko ja jedna.

Przypomniał mi się Nathan na tylnym siedzeniu samochodu w czasie podróży powrotnej w niedzielę rano. Mieliśmy z Julienem kaca. Patrzyłam na tego chłopca i czułam się tak, jakby ktoś usiłował zaszczepić w moim ciele młody pęd, zielony listek, ledwo co wyrosły z ziemi, dwa, trzy korzonki przypominające nitki, które tak łatwo wyciągnąć. Początek miłości do dziecka, którą należy wyplenić. Raz-dwa i po wszystkim.

Żel na włosach Nathana skruszył się przez noc i pozostawił na nich biały pył. Jakby śnieg. Julien powiedział mu, że po przyjeździe do Marsylii

będzie musiał parę razy umyć głowę, zanim wróci do matki. Chłopiec się skrzywił, przyzywając mnie wzrokiem na pomoc.

Odwieźli mnie pod dom, pod drzwi od strony ulicy. Mieli zaraz odjechać, ale Nathan chciał zobaczyć zwierzęta. Florence i My Way podbiegły i zaczęły się łasić do jego nóżek. Nathan długo je głaskał.

– Ile właściwie masz kotów? – spytał mnie.

– Jak na razie jedenaście.

Zaczęłam wyliczać ich imiona, co brzmiało niemal niczym poemat Préverta.

Śmiał się do rozpuku. Nasypaliśmy suchej karmy do miseczek, a starą wyrzuciliśmy ptakom. Nalaliśmy świeżej wody. W tym czasie Julien poszedł na grób Gabriela, żeby zobaczyć urnę matki.

Kiedy wrócił, Nathan błagał go, żeby jeszcze trochę zostali. A ja miałam ochotę błagać jego ojca, żeby zostali jeszcze na bardzo długo. Nic jednak nie powiedziałam.

Zjedli w moim ogrodzie podwieczorek i odjechali. Odprowadziłam ich. Zanim Julien wsiadł do samochodu, próbował pocałować mnie w usta, lecz się cofnęłam. Nie chciałam się całować przy Nathanie.

Chłopiec nalegał, by usiąść z przodu, ale ojciec powiedział mu: „Nie, dopiero jak będziesz miał dziesięć lat”. Nathan zaprotestował, po czym pocałował mnie w policzek. „Do widzenia, Violette”.

Niemal się rozpłakałam. Drzwi do samochodu trzasnęły, narobili więcej hałasu niż inni. A jednak zachowywałam się tak, jakby było mi obojętne, że odjeżdżają. Jakby mi ulżyło. Jakbym miała tysiąc rzeczy do zrobienia.

Powspominawszy sobie to wszystko na ławeczce, wróciłam do domu i zamknęłam drzwi, od ulicy i od cmentarza. Éliane idzie za mną do sypialni i wyciąga się przy łóżku. Otwieram okna, żeby wpuścić do środka

wieczorne ciepło. Nakładam na twarz różany krem, otwieram szufladkę w stoliku nocnym i pogrążam się w lekturze dziennika Irène.

Zanim zaczęłam wertować strony zapisane jej pismem, pomyślałam, że przez parę lat widywała swojego wnuka. Ciekawe, jakiego rodzaju babcią była. Jak przyjęła przyjście na świat Nathana. Wyliczyłam sobie, że musiał się urodzić rok po śmierci Gabriela.

Miłość Irène i Gabriela przypomina mi zabawę w wisielca, w której trzeba zgadnąć jakieś słowo. A ja nie znalazłam jeszcze tego odpowiedniego, które by ich definiowało.

Przekraczając próg mojego domu, Julien wprowadził do środka swoją matkę i Gabriela.

Jak się te nasze spotkania zakończą?

---

[26] *Don’t leave me now* (ang.) – nie zostawiaj mnie teraz.

76

Rodzina się nie rozpada, ale się przekształca. Część jej staje się niewidoczna

Wrzesień 1996 roku

Tego ranka, obiecawszy Violette, że Geneviève Magnan nie zostanie pochowana na cmentarzu w Brancion, Philippe ruszył w kierunku Mâcon, a potem, w ostatniej chwili, pojechał dalej, aż do Lyonu, a następnie do Bron. Do celu dotarł już po południu. Przejechał obok warsztatu Pelletierów i zaparkował wystarczająco daleko, żeby nikt nie mógł go zobaczyć. Zakład był taki sam jak w jego wspomnieniach. Ściany pomalowane na biało i na żółto. Ostatni raz był tu trzynaście lat temu i chociaż stał daleko, wyczuwał zapach różnego rodzaju olejów silnikowych. Woń, którą tak bardzo lubił.

Zmieniły się tylko modele i kształty zaparkowanych przed warsztatem samochodów, które dostrzegał przez przyłbicę. Przez kilka godzin nie zdejmował kasku z głowy. Długo czekał, żeby ich zobaczyć.

Około dziewiętnastej, gdy dostrzegł Françoise i Luca jadących w mercedesie – ona za kierownicą, on przy niej – serce zaczęło mu walić szaleńczo jak bokserowi. Czuł jego bicie nawet w gardle. Tylne światła pojazdu dawno już zniknęły, gdy Philippe’owi stanęły przed oczami

najpiękniejsze chwile życia spędzone z ciotką i wujem. Te momenty, kiedy naprawdę czuł, że ktoś go kocha i się nim opiekuje. Te momenty, kiedy nikt niczego od niego nie oczekiwał. Nie pojechał za mercedesem. Chciał ich tylko zobaczyć, mieć pewność, że ciągle tu są, żyją. Tylko tyle, że żyją.

Ruszył w stronę La Biche-aux-Chailles. Tego przeklętego miejsca, gdzie mieszkali Geneviève Magnan i Alain Fontanel. Jechał nocą. Lubił jeździć motocyklem nocą, widzieć w świetle reflektorów krążące w powietrzu drobiny kurzu i ćmy.

Zaparkował przed ich domem. W jednym z pomieszczeń na parterze paliło się światło. Nie bacząc na okoliczności, Philippe bez wahania zapukał do drzwi. Alain Fontanel był sam, średnio wstawiony. Siniak, którego Philippe zostawił mu dwa tygodnie wcześniej, już prawie zniknął.

– Geneviève się zabiła. Nie podupczysz dziś wieczorem.

Oto co Fontanel powiedział, gdy zobaczył go w drzwiach. Słowa te ścięły Philippe’a z nóg, przyprawiając go o mdłości. O mało co nie zaczął rzygać. Jak mógł upaść tak nisko?

Człowiek, który przed nim stał, należał do ludzi najgorszego gatunku. Ale on sam też do nich należał. To on widywał się z Magnan. To on któregoś wieczoru bez żadnych skrupułów „wypożyczył” ją kumplowi.

Na myśl o tym Philippe poczuł zawrót głowy. Oparł się o framugę. Tego wieczoru, stojąc przed tym pijanym człowiekiem, który mierzył go wzrokiem, Philippe zrozumiał, jak wielkie cierpienie musiał sprawiać Magnan kontakt z dwoma łajdakami, jak on i Fontanel. I to cierpienie przeniknęło go niczym lodowaty wicher. Jak gdyby duch Geneviève Magnan przeszył go na wskroś niczym ostrze długiego noża. Zrobiło mu się czarno przed oczami.

Widząc, że Philippe słania się na nogach, Fontanel uśmiechnął się zjadliwie. Odwrócił się na pięcie, ale nie zamknął drzwi wejściowych.

Philippe poszedł za nim ciemnym korytarzem. W środku czuć było zapach stęchlizny, zjełczałego tłuszczu i kurzu, jak w miejscach, których nigdy się nie wietrzy. W których nikt nigdy nie sprząta, nie przeciera niczego szmatką. Philippe pomyślał o Violette, która wietrzyła mieszkanie nawet zimą. Violette. Idąc za Fontanelem, poczuł przemożną chęć, żeby wziąć ją w ramiona. Przytulić, jak nigdy dotąd jej nie przytulał. Ale jak pewnie przytulał ją ten staruch z cmentarza.

Usiedli przy stole w jadalni. Jadalni, w której nie było nic do jedzenia, tylko dziesiątki pustych puszek po piwie stojących na ceracie. Parę butelek po wódce i innych mocnych trunkach. Bez słowa zaczęli pić, zupełnie jakby sam diabeł wprosił się w te przeklęte mury, żeby im dotrzymać towarzystwa.

Dopiero długo później Fontanel się rozgadał, kiedy Philippe zapatrzył się na zdjęcie dwóch chłopców. Dwa uśmiechy w ramce, na półce okropnego kredensu o trudnym do określenia wieku. Szkolna fotografia, kiedy po zdjęciu grupowym bierze się rodzeństwa na bok, żeby zostawić rodzicom innego rodzaju pamiątkę.

– Dzieci są u siostry Geneviève. Lepiej im u niej niż ze mną. Nigdy nie byłem dobrym ojcem… A ty?

– …

– Geneviève nie była winna śmierci tych dziewczynek, twojej małej… To znaczy nie zrobiła niczego specjalnie. Ja znam tylko koniec tej całej historii. Przyszła mnie obudzić. Spałem, myślałem, że to jakiś koszmar. Trzęsła mną jak oszalała. Płakała i darła się jednocześnie, niczego nie rozumiałem z tego jej bełkotu… Powiedziała mi o tobie, o tym, że twoja córka jest tutaj, o zastępstwie w szkole w Malgrange, o przeznaczeniu, złym jak licho… Powiedziała mi o swojej matce, myślałem, że się schlała. Ciągnęła mnie za rękę, wrzeszcząc: „Chodź! Chodź szybko! To straszne…

straszne”. Nigdy przedtem nie mówiła takich rzeczy. Kiedy zszedłem do pokoju na dole, nie było już co robić…

Fontanel wypił duszkiem całą puszkę piwa, a potem kieliszek wódki. Siąknął mocno nosem i wrócił do swojej opowieści, ze wzrokiem utkwionym w przeciętej nożem ceracie, którą skrobał uparcie paznokciami.

– Dyrektorka nie płaciła mi regularnie za to, co robiłem na zamku. Elektryczność, hydraulika, prace malarskie, utrzymanie zieleni… Utrzymanie zieleni. Jakiej, kurwa, zieleni?! Chwasty i kamienie. Latem Geneviève robiła zakupy i zajmowała się kuchnią. Jak przyjeżdżały dzieci, dyrektorka przedłużała nam godziny pracy tak, żebyśmy obydwoje musieli sypiać na miejscu… Żeby był dodatkowy nadzór. Tego wieczoru Geneviève nie powinna była nic robić. Ale jak dzieci pokładły się spać, Lucie Lindon poprosiła ją o dwugodzinne zastępstwo przy pilnowaniu pokoi na parterze. Chciała iść na piętro, żeby zajarać jointa w pokoju Letelliera. Geneviève nie ośmieliła się powiedzieć „Nie”… Ta Lindon stale jej w czymś pomagała. Ale Geneviève nie została w zamku. Wyszła. Zostawiła dziewczynki same i poszła do siostry zobaczyć się z dziećmi, bo nasz najmłodszy był chory i nie dawało jej to spokoju. Latem świrowała, że musi zostawiać dzieci, kiedy inne wyjeżdżają na plażę… Miała o to do mnie pretensje: „Ale z ciebie niedorajda, nawet nie potrafisz nas zabrać gdzieś na plażę…”.

Fontanel poszedł się odlać, podśpiewując: *Gówniane życie*. Wrócił do jadalni i usiadł po drugiej stronie stołu, w innym miejscu. Jak gdyby tamto zostało zajęte przez kogoś innego, w czasie gdy go nie było.

– Geneviève była nieobecna nie dłużej niż przez godzinę. Kiedy wróciła, otworzyła drzwi do pokoju numer jeden, zaczęło jej się kręcić w głowie i upadła na pysk na podłogę… Już po południu o mało co nie zasłabła. Myślała, że jest chora… Że złapała jakiegoś wirusa od naszego małego. Ledwo co się podniosła… Otworzyła okno, żeby wziąć głęboki

oddech… To ją uratowało. I dopiero pięć minut później pomyślała, że coś tu nie gra… Że te małe śpią jak zabite. Geneviève nie od razu zrozumiała… Tlenek węgla to gaz, którego nie czuć… W każdym pokoju był osobny bojler, który pamiętał epokę lodowcową… Złom. Nie działały i nie mieliśmy prawa ich dotykać… A jednak ktoś to zrobił. Geneviève od razu zdała sobie z tego sprawę, bo te kurewskie ustrojstwa schowane były w takich niby-szafkach, a w tym pokoju drzwiczki były otwarte…

Alain Fontanel otworzył następną puszkę piwa przy użyciu leżącej na stole zapalniczki, nie przestając mówić:

– Wszyscy wiedzieliśmy, że instalacje w zamku to szmelc… Prawdziwa bomba z opóźnionym zapłonem. Nic nie mogłem zrobić. Było za późno. Zatruły się… Zaczadzenie tlenkiem węgla. Wszystkie cztery.

Jego głos zdradzał po raz pierwszy jakąś emocję. Zapalił papierosa, przymykając oczy.

– Od razu wyłączyłem ten bojler. Znalazłem nawet zapałkę, która posłużyła do jego uruchomienia. Geneviève nigdy nie umiała kłamać… Jak ją pieprzyłeś, wiedziałem. Miała takie rozkochane oczy. Wariatka. Widać było, że się kurwi, nakładała sobie na twarz różne rzeczy, chodziła w glanach, co jej rozpierdalały giry… Tego wieczoru w zamku zobaczyłem w jej oczach, że to nie ona, że nie ma z tym nic wspólnego. Naprawdę się bała. Wyglądała jak śmierć… No a oprócz tego, żeby uruchomić takie stare ustrojstwo, trzeba się trochę na tym znać. Nie byłaby do tego zdolna… Wydano oficjalny zakaz dotykania tych starych bojlerów w zamku. I cały personel dostał taką instrukcję. Powtarzano to wystarczająco długo. Nie umieszczono tego w regulaminie, bo dyrektorka od razu wylądowałaby w pierdlu, ale my o tym wiedzieliśmy… Trzeba było je wcześniej kazać usunąć… Croquevieille, żeby oskubać ludzi, to zawsze była pierwsza, ale

żeby kupić coś nowego, to już jej nie było. Tylko te bojlery od zbiorowych pryszniców były nowe.

Ktoś zapukał do drzwi. Fontanel nie otworzył. Mruknął tylko: „Skurwiele sąsiedzi” i nalał sobie znów do szklanki. Philippe ani drgnął w czasie tej opowieści. W regularnych odstępach czasu pił długimi łykami wódkę, wypalał ból, zalewał robaka.

– Geneviève wpadła w histerię. Powiedziała, że nie chce iść do pudła. Że jak się ktoś dowie, że poszła do swoich dzieci, dostanie jej się za wszystkich. Błagała mnie, żebym coś wymyślił. Początkowo się nie zgadzałem. „No a poza tym, jak mam ci niby pomóc? – spytałem. – Powiemy prawdę, że to był wypadek… Znajdą tego popaprańca, co to zrobił”. Dostała spazmów, zmieniła się na twarzy… Zaczęła mi wygrażać, bluzgać. Powiedziała, że opowie całej tej zgrai policjantów, jak podglądam wychowawczynie… że widziała, jak podprowadzam ich majtki z kosza na brudną bieliznę… że ma dowody. Przywaliłem jej w ryj, żeby ją uciszyć… A potem przypomniało mi się, że jak byłem w wojsku, to którejś nocy część koszarów się sfajczyła przez jakiegoś żołnierza, co zostawił na źle zgaszonym palniku garnek z żarciem… I wtedy przyszła mi do głowy pewna myśl… Jak jest ogień, to wszystko znika. Jak się wszystko spali, nikt nie idzie do pierdla… Zwłaszcza kiedy to małe dzieci zrobią takie głupstwo jak zostawienie na ogniu garnka z mlekiem.

W tym momencie Philippe chciał powiedzieć Fontanelowi, żeby się zamknął. Nie był jednak w stanie otworzyć ust, wymówić jednego słowa. Chciał się podnieść, szybko wyjść, uciec, zatkać sobie uszy. Siedział jednak sztywno, odrętwiały i bezsilny. Jak gdyby jakieś dwie lodowate ręce nie dawały mu wstać z krzesła.

– To ja podłożyłem ogień w kuchni… A Geneviève zaniosła miseczki do pokoju dziewczynek… Zostawiłem uchylone drzwi i czekałem na końcu

korytarza. Geneviève poszła na górę do naszego pokoju… Od tamtej nocy nigdy już nie przestała się mazać… No i też się bała… Mówiła, że ty albo twoja żona w końcu przyjedziecie ją załatwić…

Philippe wzdrygnął się parokrotnie. Jakby niewidzialnymi elektrodami zaaplikowano mu elektrowstrząsy.

– Kiedy płomienie doszły do pokoju, poleciałem na górę i przywaliłem parę razy w drzwi Letelliera… Sam schowałem się z Geneviève do naszego pokoju. Lindon się obudziła, zeszła na dół i zaczęła wrzeszczeć, jak zobaczyła ogień. Udawałem, że wyrwała mnie prosto z łóżka, że nie rozumiem, co się dzieje… Letellier chciał wejść do pokoju, ale było już za późno… Płomienie były za wysokie. Wszystkich ewakuowano… Zanim przyjechała straż, nie było już nic… Można by powiedzieć „piekło”, ale to było jeszcze gorsze… Lindon nigdy nie ważyła się spytać Geneviève, gdzie była tego wieczoru, dlaczego i jak doszło do tego, że małe powstawały, żeby pójść do kuchni, i nikt tego nie zauważył. Ostatecznie to wszystko była jej wina. Nigdy nie udało mi się ustalić, kto uruchomił ten bojler… Ani dlaczego… Ani kiedy… Poszedłem sprawdzić do innych pokoi, nikt ich nie dotykał… I nigdy nie pisnąłem ani słowa.

Philippe stracił przytomność. Kiedy po jakimś czasie uniósł powieki, głowa mu ciążyła, nie mógł otworzyć ust, w brzuchu czuł ogień.

Alain Fontanel wciąż siedział na tym samym miejscu, ze wzrokiem zawieszonym w próżni, oczy miał przekrwione, w ręce trzymał szklankę. Popiół z niedopalonego papierosa, którego ciągle ściskał w palcach, spadł na ceratę.

– Nie patrz tak na mnie, mogę ci zaręczyć, że Geneviève tego nie zrobiła. Nie patrz tak na mnie, mówię ci, jestem popaprańcem… ludzie mnie unikają, jak mnie widzą na ulicy, przechodzą na drugą stronę, ale nigdy żadnemu dziecku włos z głowy nie spadł z mojej winy.

*

Geneviève Magnan została pochowana trzeciego września 1996 roku. Ironia losu lub tragiczny przypadek – tego dnia Léonine obchodziłaby swoje dziesiąte urodziny.

Po tym, jak złożono ją do rodzinnego grobu na niewielkim cmentarzu w La Biche-aux-Chailles, trzysta metrów od jej domu, Philippe wrócił już na wschód, do pociągów.

Zimą, na przełomie 1996 i 1997 roku, nie jeździł pod wiadomy adres i pozwolił swojemu motocyklowi spać w garażu.

Rodzice przyjechali po niego raz, w styczniu, żeby zabrać go na cmentarz w Brancion, odwiedzić grób Léonine, ale nie chciał wsiąść do samochodu. Jak uparte dziecko. Jak wówczas, kiedy jeździł na wakacje z Lukiem i Françoise, mimo że jego matce się to nie podobało.

Spędził pół roku, grając na nintendo w ogłupiającą grę, która polegała na ratowaniu księżniczki. I uratował jej życie setki razy, chociaż nie zdołał uratować życia swojej księżniczki, tej prawdziwej.

Pewnego ranka, pomiędzy rytuałem gorących tostów i obiadem, Violette oznajmiła Philippe’owi, że w Brancion-en-Chalon zwalnia się stanowisko dozorcy cmentarza i że ona najbardziej na świecie pragnie dostać tę pracę. Opisała mu to niemal jako wakacje w pięciogwiazdkowym hotelu.

Spojrzał na nią, jakby postradała zmysły. Nie z powodu tej propozycji, ale dlatego, że zrozumiał, że proponuje mu dalsze życie razem. Na początku, odruchowo, powiedział „Nie”. Pomyślał, że wszystko to po to, żeby znaleźć się bliżej tego dozorcy cmentarnego, ale to się nie trzymało kupy. Gdyby chciała się zbliżyć do starucha, po prostu przeprowadziłaby się do niego i zostawiła Philippe’a. Zrozumiał, że chce być dalej z nim, że stanowi część jej planów, jej przyszłości.

Pomysł, żeby zostać dozorcą cmentarza, go przerażał. Ale nie musiałby robić więcej niż w Malgrange. Violette zajmie się wszystkim. A tak poza tym, to co on by mógł innego robić? Poprzedniego dnia miał spotkanie w pośredniaku; powiedziano mu, żeby dostarczył uaktualniony życiorys. Uaktualniony o co? Oprócz majstrowania przy motorach i uwodzenia łatwych kobiet nic nie potrafił. Zaproponowano mu szkolenie z mechaniki, żeby mógł podjąć pracę w warsztacie lub u dealera samochodowego. Ma dobrą prezencję, może też przeszkolić się i zostać sprzedawcą. Wizja gonienia za prowizją od sprzedaży i sporządzania umów gwarancyjnych napawała go obrzydzeniem. Dźwięk budzika, który jak dotąd nigdy nie dzwonił dla niego, konieczność przestrzegania godzin pracy, garnitur i krawat, trzydziestodziewięciogodzinny tydzień pracy… lepiej umrzeć. Niewyobrażalny koszmar. Nigdy nie miał ochoty pracować, nie licząc tego razu, kiedy w wieku osiemnastu lat chciał zatrudnić się w zakładzie Luca i Françoise.

Jeśli zgodzi się na tę robotę, dalej będzie dostawał pensję i odkładał ją na własnym koncie. Violette robiłaby zakupy z własnych pieniędzy, zajmowała się kuchnią, sprzątaniem. Będzie miał kobietę, która ogrzeje mu łóżko, zrobi tosty, upierze pościel i zmyje naczynia; przyjdzie mu tylko przenieść swoje przyzwyczajenia w inne miejsce, może zmienić markę ulubionych jogurtów. Dalej będzie wieść żywot wiecznego nastolatka. Violette ma rację: zawiesi się w oknach zasłonki i nie będą musieli oglądać pogrzebów. A on zamknie się z konsolą w swoim pokoju i będzie ratował kolejne księżniczki. Nie przeszkodzi mu w tym żaden grabarz czy ktoś szukający grobu.

No i w końcu byłaby okazja, żeby się dowiedzieć, co za skurwysyn w nocy z trzynastego na czternastego lipca 1993 roku uruchomił bojler w zamku Notre-Dame-des-Prés. Byłby na miejscu, mógłby zadać pytania,

wybić parę zębów, zmusić milczących do mówienia. Będzie mógł zająć się tym po cichu, żeby nikt nigdy nie mógł do niego przyjść czy zażądać zwrotu pieniędzy z ubezpieczenia, które dostał jako odszkodowanie po śmierci Léonine.

Ta mania, żeby wszystko odkładać, tak jak go nauczyła matka, przyprawiała go o mdłości, ale nie potrafił się powstrzymać. Choroba genetyczna. Wirus, śmiertelnie niebezpieczna bakteria. To sknerstwo przypominało coś w rodzaju wrodzonego upośledzenia. Przeklęta scheda, z którą nie potrafił walczyć. Odkładać, żeby wyjechać? Dokąd? Po co? Nie miał najmniejszego pojęcia.

Przeprowadzili się w sierpniu 1997 roku. Przejechali tę trasę półciężarówką o pojemności zaledwie dwudziestu metrów sześciennych; niewiele posiadali.

Starucha z cmentarza już nie było. Zostawił na stole list. Philippe udawał, że nie widzi, że Violette zna doskonale każdy kąt w tym domu. Jak tylko wysiadła z samochodu, od razu poszła do ogrodu. Zawołała go: „Chodź! Chodź szybko! Zobacz to”. Philippe nie słyszał tego uśmiechu w jej głosie od wielu lat. Kiedy ją ujrzał przykucniętą w głębi ogrodu warzywnego, zajętą zbieraniem wielkich pomidorów, czerwonych niczym policzki młodej dziewczyny, gdy zobaczył, jak zatapia zęby w jednym z nich, przypomniał mu się blask, jaki miała w oczach na oddziale położniczym w dniu przyjścia na świat Léonine. „Chodź, spróbuj”, powiedziała teraz. Najpierw go odrzuciło. Potem zauważył, że ogródek znajduje się zbyt wysoko, żeby dostały się tu odcieki z cmentarza. Uśmiechnął się do niej blado i zmusił się do ugryzienia pomidora, którego mu podała. Po rękach ciekł mu sok, Violette pochwyciła je i zaczęła oblizywać jego palce. W tej samej chwili zrozumiał, że nigdy nie przestał jej kochać, ale że jest za późno. Że nie da się zawrócić czasu.

Wyprowadził motocykl z samochodu i rzucił: „Pojadę się przejechać”.

77

Lepiej Cię opłakiwać, niż nigdy Cię nie spotkać

22 października 1996 roku

Najdroższa Violette,

mijają dwa miesiące od czasu, kiedy mąż zabronił Ci tu przyjeżdżać. Brak mi Cię. Powiedz: kiedy wrócisz?

Dziś rano słuchałem Barbary, to niepojęte, jak ten jej głos doskonale wpisuje się w tonację jesieni, zapach mokrej gleby, nie tej, w której odrastają korzenie, ale tej, gdzie powolutku zasypiają, by tym szybciej się potem obudzić, czerpiąc siły z zimy. Jesień to kołysanka dla życia, które powróci. Wszystkie te liście zmieniające kolor, rzec by można, pokaz mody, niczym nutki w głosie Barbary. Ja tam uważam, że Barbara jest zabawna. Jak się tak w nią wsłuchać, to się usłyszy, że według niej tak naprawdę nie ma spraw poważnych, choć jej głos sugeruje coś innego. Mógłbym się w niej na zabój zakochać, zwłaszcza gdyby była mężczyzną. Cóż, nie mam stałości uczuć jak żony marynarzy.

Jaki ten koniec lata jest ciepły! Jeszcze nie ma chłodów, dopiero co zebrałem ostatnie pomidory, papryki i cukinie. Święto Zmarłych za pasem, to taka niewidoczna bariera: jak się ją przekroczy, nie będzie już letnich warzyw. Sałata jeszcze ciągle jest piękna, ale za miesiąc nie

będzie już co zbierać. Kapusta wychodzi z ziemi. Przed pierwszymi przymrozkami zdążyłem już skopać niektóre grządki i rozrzucić obornik tam, gdzie zbieraliśmy razem ziemniaki i cebule w sierpniu tego roku. Mój przyjaciel ze wsi przywiózł mi pół tony gnoju, który nakryłem plandeką koło szopy. Przykrywam, bo jak będzie padać, woda wypłucze to, co w oborniku najlepsze, zostanie sama słoma. Trochę śmierdzi, ale nie aż tak (zawsze to lepsze od tego chemicznego świństwa). Nie sądzę, żeby to przeszkadzało sąsiadom. À propos, trzy dni temu pochowano Édouarda Chazela (1910–1996) – zmarł podczas snu. Czasami zastanawiam się, co też takiego można zobaczyć w nocy, żeby aż chciało się od tego umrzeć.

Dowiedziałem się o Geneviève Magnan – smutny koniec. Myślę, że trzeba zapomnieć, Violette. Trzeba dalej żyć, nie próbować dowiadywać się, jak, kto i dlaczego. Przeszłość nie jest taka życiodajna jak to łajno, które rozkładam na ziemi. Przypomina raczej lasowane wapno. Truciznę, co pali uprawy. Tak, Violette, przeszłość zatruwa teraźniejszość. Ciągłe wracanie do niej prowadzi powoli do śmierci.

Miesiąc temu zacząłem przycinać stare krzewy różane. Na grzyby była za ładna pogoda. Zazwyczaj pod koniec lata, tydzień po tym, jak przejdzie parę ulewnych burz, pojawiają się kurki. Wczoraj poszedłem do zagajnika, w to nikomu nieznane miejsce, gdzie zazwyczaj zbieram ich mnóstwo, a wróciłem jak paryżanin, z pustymi rękami. Tylko trzy kurki wyzierały na mnie kpiąco z głębi koszyka. Wyglądały jak pędraki. Ale i tak je zjadłem w omlecie. A dobrze im tak! W ubiegłym tygodniu widziałem się z merem, powiedziałem mu o Tobie, gorąco Cię polecałem. Chce się z Tobą zobaczyć, nie ma nic przeciwko, żebyś mnie zastąpiła. Uprzedziłem go, że nie będziesz sama, że masz męża. Najpierw się skrzywił, bo to jedna pensja więcej, ale wcześniej było

czterech grabarzy, a teraz jest tylko trzech, więc wy dwoje mieścicie się w budżecie. Na Twoim miejscu nie odwlekałbym tego. Trzeba zabrać się do rzeczy, zanim zjawi się ktoś inny i zacznie jęczeć – zawsze się znajdzie jakiś siostrzeniec, kuzynka czy sąsiad, co szuka stałej posady. Zgoda, ludzie nie stoją w kolejce, żeby zostać dozorcą cmentarza, ale mimo wszystko trzeba być czujnym! Nie ma mowy, żebym zostawił moje koty i ogródek komuś innemu niż Ty!

Wróć, żebym Ci mógł załatwić spotkanie z merem. Na ogół nie należy ufać samorządowcom, ale on jest dość porządnym facetem. Jak da słowo, że dostaniesz tę pracę, to będziesz mogła na nim polegać. Musisz więc pilnie wymyślić jakiekolwiek kłamstwo, żeby tu przyjechać jak najszybciej. Czy opowiadałem Ci kiedyś o cnotach kłamstwa? Jak zapomniałem, to zrób sobie węzełek na chusteczce.

Całuję Cię bardzo czule, najdroższa Violette.

Sasha

– Philippe, muszę pojechać do Marsylii!

– Ale to przecież nie sierpień.

– Nie jadę do domku nad morzem. Célia potrzebuje mnie na parę dni u siebie. Trzy, cztery dni najwyżej… Jak wszystko dobrze pójdzie. Nie licząc czasu podróży.

– Po co?

– Idzie do szpitala i potrzebuje kogoś, kto zajmie się Emmy.

– Kiedy?

– Już, to pilna sprawa.

– Już teraz?

– Tak, mówię, że to pilna sprawa!

– A co jej jest?

– Ma zapalenie wyrostka.

– W jej wieku?

– Zapalenie wyrostka można mieć w każdym wieku… Stéphanie zawiezie mnie do Nancy i pojadę pociągiem. Do mojego przyjazdu Emmy zostanie u sąsiadki… Célia bardzo mnie prosiła, ma tylko mnie, muszę tam pojechać, i to szybko. Zostawiłam ci rozkład jazdy pociągów na kartce koło telefonu. Zrobiłam zakupy, będziesz tylko musiał sobie podgrzać potrawkę cielęcą albo zapiekankę w mikrofalówce, w zamrażalniku są dwie pizze, takie jakie lubisz, a w lodówce jest pełno jogurtów i gotowych sałatek. W południe Stéphanie będzie ci przynosić świeżą bagietkę. Włożyłam ci parę paczek krakersów do szuflady, są pod podkładkami pod talerze. No to lecę, do zobaczenia za parę dni. Zadzwonię do ciebie, jak tylko dojadę do Célii.

*

Podczas jazdy samochodem, która trwała około dwudziestu pięciu minut, nie mówiłam za dużo i w dodatku nakłamałam Stéphanie. Sprzedałam jej tę samą opowieść co Philippe’owi Toussaintowi: Célia ma zapalenie wyrostka, muszę zająć się jej wnuczką, Emmy. Stéphanie nie umie kłamać. Gdybym powiedziała jej prawdę, od razu by się niechcący wygadała. Poczerwieniałaby na twarzy i wypaplała wszystko Philippe’owi Toussaintowi przy pierwszym spotkaniu.

Załatwiła sobie zastępstwo przy kasie, żeby mnie zawieźć do Nancy. Niewiele rozmawiałyśmy w samochodzie. Wydaje mi się, że opowiadała mi o nowej marce sucharków bio. Od paru miesięcy na półkach w Casino zaczęły się pojawiać produkty bio i Stéphanie mówiła mi o nich jak o Świętym Graalu. Nie słuchałam jej. Czytałam raz jeszcze w myślach list od Sashy. Już byłam w jego ogrodzie, domu, kuchni. Spieszyło mi się.

Obserwując białego tygrysa przyczepionego do lusterka wstecznego pandy, dobierałam już właściwe słowa, szukałam dobrych argumentów, żeby Philippe Toussaint zgodził się na przeprowadzkę, przyjął stanowisko dozorcy cmentarza.

Wsiadłam do pociągu do Lyonu, potem do Mâcon, a następnie do autobusu, który przejeżdżał obok zamku. Zamknęłam oczy, kiedy znaleźliśmy się na jego wysokości.

Otworzyłam drzwi do mojego przyszłego domu pod koniec popołudnia. Powoli zapadał już zmrok, było strasznie zimno. Miałam popękane usta. W środku było ciepło. Sasha pozapalał świece i znów poczułam ten cudowny zapach, płócienne chusteczki do nosa, które skrapiał perfumami Rêve d'Ossian. Kiedy mnie zobaczył, powiedział tylko z uśmiechem:

– Dzięki składam cnocie kłamstwa!

Obierał właśnie warzywa. W drżących lekko dłoniach trzymał nożyk niczym drogocenny kamień.

Zjedliśmy absolutnie przepyszne minestrone. Rozmawialiśmy o ogrodzie, grzybach, muzyce i książkach. Spytałam go, dokąd pójdzie, jeżeli my tu zamieszkamy. Odpowiedział mi, że już wszystko zaplanował. Że będzie podróżował i zatrzymywał się, gdzie zechce. Że emeryturę będzie miał równie chudą jak on sam, ale ponieważ nie jada za dużo, to wystarczy. Że będzie chodził piechotą, jeździł drugą klasą albo autostopem. Że tak właśnie chce przeżyć kolejne lata. Chce wyruszyć w nieznane. Zatrzymywać się u przyjaciół. Ma ich niewielu, ale prawdziwych. Zajmie się ich ogródkami. A jak któryś nie będzie miał ogródka, to mu go urządzi.

Dalekosiężnym celem podróży Sashy były Indie. Jego najlepszy przyjaciel, Sany, był Hindusem, Sasha spotkał go w dzieciństwie. Sany miał ojca ambasadora i od lat siedemdziesiątych mieszkał w Kerali. Sasha wielokrotnie go odwiedzał, również z Vereną, swoją żoną. Sany był

świeckim ojcem chrzestnym Émile’a i Ninon, ich dzieci. Sasha chciał umrzeć w Indiach. Nigdy nie mówił „dokonać żywota”, ale „doczekać śmierci”.

Na deser podał ryż na mleku, który przygotował poprzedniego dnia w słoiczkach po jogurcie. Włożyłam głęboko łyżeczkę w swój w poszukiwaniu karmelu, a Sasha obserwował moje poczynania.

– Śmierć moich bliskich zdjęła ze mnie również ogromne brzemię – powiedział nagle zmienionym głosem. – Strach, że zostawię ich samych po śmierci, że ich opuszczę. Tę okropną obawę, że może im być zimno, źle, że mogą być głodni, a mnie już nie będzie, by wziąć ich w ramiona, zapewnić im ochronę, wsparcie. Kiedy umrę, nikt nie będzie po mnie płakać. Nie będzie komu się smucić. A ja odejdę lekki, nie czując brzemienia ich życia. Tylko egoiści drżą ze strachu przed własną śmiercią. Inni drżą z obawy o tych, których zostawiają.

– Ale ja będę pana opłakiwała, Sasha.

– Nie będziesz mnie opłakiwać tak, jak opłakiwałaby mnie żona i dwójka dzieci. Będziesz mnie opłakiwać tak, jak się opłakuje przyjaciela. Nigdy w życiu nie będziesz już nikogo opłakiwać tak, jak opłakiwałaś Léonine. Dobrze o tym wiesz.

Nastawił wodę na herbatę. Powiedział, że jest szczęśliwy, że tu jestem. Że wśród tych prawdziwych przyjaciół, których odwiedzi na emeryturze, będę i ja. „Pod nieobecność męża”, uściślił.

Nastawił muzykę, sonaty Chopina. I zaczął mi opowiadać o żywych i o zmarłych. O tych, którzy przychodzą. O wdowach. Najgorsze będą pochówki dzieci. Ale nikt nikogo do niczego nie zmusza. Personel cmentarza i pracowników zakładu pogrzebowego łączy prawdziwa solidarność. Można dać się zastąpić. Grabarz może zastąpić tego, kto niesie trumnę, a ten może zastąpić kamieniarza, który może zastąpić pracownika

zakładu pogrzebowego, ten z kolei może zastąpić dozorcę cmentarza. Zawsze znajdzie się osoba, która zastąpi kogoś, kto nie będzie czuł się na siłach, żeby stawić czoło trudnej żałobie. Jedyną osobą, której nie da się zastąpić, jest ksiądz.

Będę tu mogła wszystko zobaczyć i wszystko usłyszeć. Przemoc i nienawiść, ulgę i nędzę, gniew i wyrzuty sumienia, smutek i radość, żal. Całe społeczeństwo, wszystkie narodowości i wszystkie religie na paru hektarach ziemi.

Tak na co dzień to trzeba pamiętać o dwóch rzeczach: nie zamykać odwiedzających na cmentarzu – niektórzy żałobnicy z rozpaczy tracą poczucie czasu – no i uważać na kradzieże, bo zdarza się, że ludzie zaglądający tu przejazdem sięgają po kwiaty znajdujące się na sąsiednich grobach, a nawet po tabliczki nagrobne (*Babci*, *Wujkowi* lub *Przyjacielowi* – to pasuje do każdej rodziny).

Zobaczę więcej ludzi starych niż młodych. Młodzi wyjeżdżają, żeby się uczyć, do pracy. Niezbyt często przychodzą na groby. A jak przychodzą, to zły znak, znaczy, że odwiedzają kolegę.

Następny dzień, pierwszego listopada, to najbardziej pracowity dzień w roku. Sama zobaczę, trzeba będzie udzielać informacji tym, którzy nie mają w zwyczaju tu przychodzić. Sasha pokazał mi służącą za biuro przybudówkę od strony cmentarza, gdzie leżą poukładane plany cmentarza i kartonowe fiszki z nazwiskami osób zmarłych w czasie ostatnich sześciu miesięcy. Uściślił, że spisy pozostałych, tych zmarłych wcześniej, ewidencjonowane są w merostwie.

Pomyślałam, że i Léonine tam jest. Taka młoda, a już zewidencjonowana.

Na fiszkach można znaleźć nazwisko zmarłego i datę zgonu, jak również usytuowanie grobu.

W dni ekshumacji, które rzadko się zdarzają, będę musiała uważać, żeby nie zostały uszkodzone groby położone obok. Jeden z trzech grabarzy to szczególny fajtłapa.

Niektórzy odwiedzający mają zezwolenia na wjazd samochodem. Szybko nauczę się ich rozpoznawać, już po warkocie silnika, zwłaszcza że w większości przypadków są to staruszkowie w citroenach, którzy nie potrafią zmieniać biegów bez zgrzytów.

Wszystkiego innego nauczę się później. Żaden dzień nie będzie podobny do poprzedniego. Któregoś dnia, gdy po raz setny skończę wreszcie czytać *Regulamin tłoczni win*, będę mogła napisać o tym powieść albo założyć księgę pamięci żywych i umarłych.

Sasha sporządził pierwszy spis w czystym szkolnym zeszycie. Spisał imiona kotów mieszkających na cmentarzu, ich cechy charakterystyczne, zanotował, co jedzą i jakie mają przyzwyczajenia. Wybudował z pomocą grabarzy budkę dla kotów, którą wymościł starymi ubraniami i kocami, w kwartale Trzmielin, w głębi, po lewej. Tam gdzie już nikt nie przychodzi się modlić, dziesięć metrów kwadratowych bez ścieżek. Suche i ciepłe miejsce na zimę. Zanotował dane weterynarzy w Tournus, ojca i syna, którzy nawet tu przyjeżdżali, żeby szczepić koty, sterylizować i leczyć za pół ceny. Może się też zdarzyć, że znajdę psa śpiącego na grobie pana; trzeba będzie się nim zająć.

Na innej stronie zanotował dane grabarzy, ich przezwiska, przyzwyczajenia, obowiązki. Dodał do tej listy braci Lucchinich z ich adresami i wymienił sprawy, którymi się zajmują. I wreszcie nazwisko osoby odpowiedzialnej za sporządzanie aktów zgonu w merostwie. Zakończył takimi oto słowami: „Od dwustu pięćdziesięciu lat kładzie się tutaj ludzi do ziemi i końca nie widać”.

Zapełnienie reszty zeszytu zajęło mu dwa dni. Zapiski dotyczyły ogrodu, warzyw, kwiatów, drzewek owocowych, pór roku, upraw.

Następnego dnia, we Wszystkich Świętych, ziemię w ogródku pokryła cienka warstwa szronu. Przed otwarciem bramy cmentarnej pomogłam Sashy pozbierać po ciemku ostatnie letnie warzywa. Zimnymi alejkami szliśmy tylko my dwoje – opatuleni w płaszcze, z kieszonkową latarką. Sasha zaczął mi mówić o Geneviève Magnan. Spytał mnie, co poczułam, gdy się dowiedziałam o jej samobójstwie.

– Zawsze myślałam, że dzieci nie zaprószyły ognia w kuchni. Że ktoś musiał źle zgasić niedopałek albo coś w tym stylu. Sądzę, że Geneviève Magnan znała prawdę i że sobie z tym nie poradziła.

– Chciałabyś się dowiedzieć?

– Po śmierci Léonine trzymało mnie przy życiu tylko to, że chciałam się dowiedzieć. Dzisiaj, dla niej, dla mnie, liczy się tylko to, żeby jej posadzić kwiatki.

Usłyszeliśmy, że pierwsi odwiedzający parkują samochód przed cmentarzem. Sasha poszedł otworzyć im bramę. Ja za nim. „Zobaczysz, nie będziesz rygorystycznie przestrzegać godzin otwarcia i zamknięcia cmentarza. Tak naprawdę dostosujesz się do smutku innych. Nie będziesz miała serca kazać czekać odwiedzającym, którzy przyjadą za wcześnie, a wieczorem czasem nie będziesz miała serca, żeby im powiedzieć, by odjechali”, powiedział Sasha.

Spędziłam cały dzień, obserwując odwiedzających, którzy chodzili po alejkach z chryzantemami w rękach. Kiedy poszłam odwiedzić koty, zaczęły mi się łasić do nóg. Głaskałam je. Dobrze mi to zrobiło. Poprzedniego dnia Sasha wyjaśnił mi, że wielu odwiedzających przysyła przelewem pieniądze na utrzymanie cmentarnych zwierząt. Że myślą, że to bliscy zmarli ukazują im się pod ich postacią.

Koło siedemnastej poszłam w stronę Léonine, nie jej, ale jej nazwiska napisanego na grobie. Krew zastygła mi w żyłach, gdy zobaczyłam, że matka Toussainta kładzie na mogile żółte chryzantemy. Nie widziałam jego rodziców od dnia tragedii. Gdy przyjeżdżali po syna, dwa razy do roku, i parkowali przed domem, nie chciałam ich widzieć nawet przez okno. Słyszałam tylko warkot silnika ich samochodu i Philippe'a, który krzyczał do mnie: „Jadę!". Posunęli się w latach. Jego przygięło do ziemi. Ona ciągle trzymała się sztywno, ale zmalała. Czas robi swoje.

Nie powinni mnie zobaczyć, bo zaraz by zawiadomili syna, który myślał, że jestem w Marsylii. Obserwowałam ich, chowając się jak złodziejka. Jakbym zrobiła coś złego.

Sasha podszedł mnie od tyłu, aż podskoczyłam. Wziął mnie pod ramię, o nic nie pytając, i rzucił: „Chodź, wracamy".

Wieczorem powiedziałam mu, że widziałam ojca i matkę Toussainta na grobie Léonine. Opowiedziałam o jej złośliwości. Pogardzie, jaką mi okazywała, patrząc na mnie i mnie nie widząc. To oni są zabójcami, to oni posłali moją córkę do tego nieszczęsnego zamku. To oni zorganizowali jej śmierć. Wyznałam Sashy, że może przyjazd do Brancion, mieszkanie tutaj i praca na tym cmentarzu nie jest dobrym pomysłem. Spotykać dwa razy do roku w alejce teściów, patrzeć, jak składają kwiaty, by odkupić swoje winy, to ponad moje siły. Dziś przywrócili mi mój smutek. Nie ma takiej minuty, takiej sekundy w moim życiu, bym nie myślała o Léonine, ale teraz to co innego. Poddałam transformacji jej obecność: jest gdzie indziej, lecz coraz bliżej mnie. A dzisiaj, widząc Toussaintów, poczułam, że się oddala.

Sasha odpowiedział mi, że w dniu, w którym się dowiedzą, że mój mąż i ja mieszkamy tutaj, przestaną się tu pojawiać, będą mnie unikać. Że zamieszkanie w Brancion to najlepszy sposób, żeby ich więcej nie widzieć. Żeby raz na zawsze ich od siebie oddalić.

Następnego dnia rano spotkałam się z merem. Ledwo przestąpiłam próg jego biura, od razu mi powiedział, że Philippe Toussaint i ja zostaniemy zatrudnieni od sierpnia 1997 roku jako dozorcy cmentarza. Że każde z nas będzie otrzymywać minimalne wynagrodzenie, że dostaniemy służbowe mieszkanie i że za zużytą wodę, elektryczność oraz odbiór śmieci będzie płacić merostwo. Czy mam jakieś inne pytania?

– Nie.

Zobaczyłam, że Sasha się uśmiechnął.

Zanim mer dał nam odejść, poczęstował nas herbatą waniliową z torebek i wyschniętymi herbatnikami, które maczał w filiżance niczym dziecko. Sasha nie ośmielił się zaprotestować, chociaż nie znosi herbaty w saszetkach. „Porowaty plastik doczepiony do zwykłego sznureczka, hańba naszej cywilizacji, Violette. A oni ośmielają się nazywać to »postępem«”.

Między jednym herbatnikiem a drugim mer rozmawiał ze mną, rzucając okiem na swój kalendarz.

– Sasha na pewno panią uprzedził, musi się tu pani spodziewać wszystkiego. Jakieś dwadzieścia lat temu mieliśmy na cmentarzu szczury, dużo szczurów. Wezwaliśmy deratyzatora, który porozkładał trutki arszenikowe między grobami, ale szczury dalej wyrządzały szkody i ludzie bali się przychodzić na cmentarz. Sytuacja jak z *Dżumy* Camusa. Deratyzator zwiększył dawki trutek i ciągle nic. Za trzecim razem rozłożył taką samą przynętę, ale zamiast odejść, schował się, żeby zrozumieć, zobaczyć, jak szczury będą się zachowywać. No i, nie uwierzy mi pani, pojawiła się staruszka z szufelką i zmiotką i zebrała trutki. Odsprzedawała je po cichu od miesięcy! Następnego dnia pojawiły się w prasie pisane wielkimi literami tytuły: HANDEL ARSZENIKIEM NA CMENTARZU W BRANCION-EN-CHALON!

78

Tyle jest pięknych rzeczy, o których nie wiesz. Wiara,
co obala góry, białe źródło bijące w Twej duszy.
Pomyśl o tym, gdy zasypiasz: miłość jest silniejsza
od śmierci

– Każdy grób to kosz na śmieci. Chowa się tu resztki, dusze są gdzie indziej.

Wymamrotawszy te słowa, hrabina de Darieux wypija jednym łykiem wódkę. Dopiero co pochowano Odette Marois (1941–2017), kobietę, która była żoną jej wielkiej miłości. Siedząc u mnie przy kuchennym stole, odzyskuje równowagę emocjonalną.

Hrabina uczestniczyła w tej uroczystości z daleka. Dzieci Odette wiedzą, że była kochanką ich ojca, rywalką matki, i traktują ją zimno.

Od tej pory hrabina będzie mogła składać słoneczniki na grobie kochanka, a ja nie będę ich znajdować z oberwanymi płatkami na dnie kosza na śmieci.

– Czuję się, jakbym straciła starą przyjaciółkę… A przecież się nienawidziłyśmy. No, ale cóż, w gruncie rzeczy stare przyjaciółki zawsze się trochę nienawidzą. W dodatku jestem zazdrosna, bo to ona dołączy do

mojego kochanka pierwsza. Przez całe życie miała pierwszeństwo, ta dziwka.

– Dalej będzie pani składać kwiaty na ich grobie?

– Nie. Teraz już nie, odkąd ona jest tam razem z nim. To byłoby z mojej strony zbyt niedelikatne.

– Jak pani poznała swoją wielką miłość?

– Pracował u mojego męża. Zajmował się stajniami. Był przystojnym mężczyzną. Jakby pani zobaczyła jego tyłek… Te muskuły, ciało, usta, oczy! Jeszcze dzisiaj przejmuje mnie dreszcz. Byliśmy kochankami przez dwadzieścia pięć lat.

– Dlaczego nie opuściliście swoich współmałżonków?

– Odette zaszantażowała go, że popełni samobójstwo: „Jak mnie rzucisz, to się zabiję”. No, a tak między nami, urządzało mnie to. Bo co ja bym robiła z tą swoją wielką miłością dwadzieścia cztery godziny na dobę? To jest przecież robota! A ja nigdy niczego nie potrafiłam sama zrobić oprócz czytania i gry na fortepianie, bardzo szybko bym mu się znudziła. A tak baraszkowaliśmy, kiedy przyszła nam na to ochota, byłam dopieszczona, nakremowana, odstawiona. Palce nigdy mi nie śmierdziały kuchnią czy kwaśnym mlekiem, a to, proszę mi wierzyć, mężczyźni uwielbiają. Przyzna pani, że to komfortowa sytuacja. Wiodłam światowe życie u boku męża: pałace, ekskluzywne baseny i kąpiele w południowych morzach. Wracałam opalona, chętna, wypoczęta do swojej wielkiej miłości i kochaliśmy się jeszcze namiętniej. Czułam się jak lady Chatterley. Oczywiście, że zawsze mu wmawiałam, że hrabia, o dwadzieścia lat ode mnie starszy, przestał mnie dotykać, że śpimy osobno. A on, że Odette nie jest zainteresowana seksem. Okłamywaliśmy się z miłości, żeby się nie ranić. Za każdym razem, kiedy słyszę *La chanson des vieux amants*, „piosenkę starych kochanków”, ronię łezkę… A skoro o łezce mowa, to

chętnie wypiłabym jeszcze ostatnią łezkę tej pani wódki, Violette. Dziś mi tego bardzo potrzeba… Za każdym razem, kiedy spotykałam Odette, patrzyła na mnie ze wzgardą. Uwielbiałam to… Uśmiechałam się do niej, specjalnie. Mój mąż i kochanek zmarli w odstępie jednego miesiąca. Obaj na atak serca. To było straszne. Z dnia na dzień straciłam wszystko. Ziemię i wodę. Ogień i lód. To tak, jakby Bóg i Odette połączyli swoje siły, by mnie unicestwić. No cóż, miałam swoje piękne lata, nie mogę narzekać… Teraz chcę, żeby mnie skremowano i wyrzucono prochy do morza. To moja ostatnia wola.

– Nie chce pani zostać pochowana u boku hrabiego?

– U boku męża na całą wieczność?! Nigdy! Za bardzo bym się bała umrzeć z nudów!

– Ale przed chwilą powiedziała mi pani, że tutaj chowane są same resztki.

– Nawet moje resztki mogłyby się zanudzić u boku hrabiego. Popadałam przy nim w depresję.

Nono i Gaston wchodzą, żeby zrobić sobie kawy. Wyglądają na zdziwionych, gdy słyszą, jak się śmieję. Nono poczerwieniał. Ma słabość do hrabiny. Za każdym razem, kiedy ją widzi, pąsowieje jak uczniak.

Ksiądz Cédric przychodzi parę minut później i całuje ją w rękę.

– I jak poszło, proszę księdza?

– To był pogrzeb, pani hrabino.

– Dzieci kazały jej coś zagrać?

– Nie.

– A to gnojki. Odette ubóstwiała Julia Iglesiasa.

– Skąd pani wie?

– Kobieta zawsze wie wszystko o swojej rywalce. Zna jej przyzwyczajenia, zapach perfum, upodobania. Kiedy kochanek odwiedza kochankę, powinien się czuć jak na wakacjach, a nie jak w baraku.

– Nie bardzo to wszystko po katolicku, pani hrabino.

– Proszę księdza, przecież ludzie muszą grzeszyć, bo inaczej księdza konfesjonał świeciłby pustkami. Grzech to księdza kapitał. Gdyby ludzie nie mieli sobie nic do zarzucenia, nie miałby ksiądz do kogo mówić w kościele.

Hrabina szuka wzrokiem Nona.

– Norbercie, czy byłby pan tak uprzejmy i mnie odprowadził?

Nono wygląda na zmieszanego i jeszcze bardziej czerwienieje.

– Oczywiście, pani hrabino.

Kiedy tylko ci dwoje wychodzą za drzwi, Gaston tłucze filiżankę. Schylam się z szufelką i zmiotką, żeby zebrać kawałki porcelany, a on szepcze mi na ucho: „Ciekawe, czy Nono przeleci hrabinę”.

79

Czas, który łączy niebo i ziemię, skrywa najpiękniejszą z tajemnic

Dziennik Irène Fayolle

29 maja 1993 roku

Paul jest chory. Zdaniem naszego lekarza rodzinnego ma kłopoty z wątrobą, żołądkiem i trzustką. Paul cierpi, ale się nie leczy. Co ciekawe, zamiast robić badania, chodzić na konsultacje do lekarzy specjalistów, w ciągu jednego tygodnia odwiedził trzy wróżki, które przepowiedziały mu długie i piękne życie. Nigdy nie interesował się wróżbiarstwem czy czymś w tym rodzaju; przywodzi mi na myśl tych ateistów, którzy zaczynają mówić o Bogu, gdy okręt tonie. Czuję, że podupadł na zdrowiu z mojego powodu. Że te moje kłamstwa, gdy jeździłam na spotkania z Gabrielem w pokojach hotelowych, w końcu go dosięgły.

Lyon, Avignon, Châteauroux, Amiens, Épinal. Od roku Gabriel i ja poznajemy coraz to nowe łóżka, tak jak inni obce kraje.

Zamówiłam Paulowi dwie wizyty, żeby zrobili mu tomografie w Instytucie Paoli-Calmettes, jednak się nie zgłosił. Gdy każdego wieczoru powtarzam mu, że nie ma na co czekać i trzeba się leczyć, uśmiecha się do mnie i mówi: „Nie bój się, wszystko będzie dobrze”.

Widzę, że cierpi, że chudnie. Nocą, w czasie snu, jęczy z bólu.

Jestem zrozpaczona. Co on chce zrobić? Czyżby oszalał i chce popełnić samobójstwo?

Nie mogę go zmusić, aby wsiadł do samochodu, żebym mogła go zawieźć do szpitala. Próbowałam wszystkiego, nakłaniałam go uśmiechem, łzami, gniewem, nie reaguje na nic. Pogodził się ze śmiercią, odpływa.

Błagałam go, żeby ze mną porozmawiał, wyjaśnił mi, dlaczego to robi. Skąd ta rezygnacja? Poszedł spać.

Czuję się zagubiona.

7 czerwca 1993 roku

Dziś rano Gabriel zadzwonił do rozarium. W jego głosie wyczuwałam, że jest szczęśliwy, broni w Aix przez cały tydzień, chce się ze mną zobaczyć, spędzić ze mną wszystkie noce. Mówi mi, że myśli tylko o mnie.

Powiedziałam mu, że to niemożliwe. Że nie mogę zostawić Paula samego.

Gabriel odłożył słuchawkę.

Chwyciłam szklaną kulę śniegową stojącą na kontuarze i cisnęłam nią z całej siły w ścianę, głośno krzycząc.

Nawet śnieg nieprawdziwy, tylko polistyrenowy. Nawet ta miłość nieprawdziwa, tylko noce w hotelu.

Powariowaliśmy.

3 września 1993 roku

Wsypałam coś do herbatki ziołowej: silny środek nasenny, żeby stracił przytomność i żebym mogła wezwać pogotowie.

Zastali go leżącego pośrodku salonu i zabrali na badania.

Paul ma raka.

Tak bardzo jest osłabiony od tej choroby i leków, że mu wcisnęłam, że lekarze postanowili go zatrzymać w szpitalu na czas nieokreślony.

Badania toksykologiczne wykazały, że przyjął dużą dawkę środków nasennych. Powiedział lekarzom, że sam je wziął, że chciał się pozbyć bólu. Potwierdził to, żebym nie miała kłopotów.

Wyjaśniłam mu, dlaczego to zrobiłam: nie miałam wyboru, to było jedyne rozwiązanie, jakie znalazłam, żeby w końcu zabrano go do szpitala. Odparł, że bardzo jest poruszony tym, że aż tak go kocham. Myślał, że już przestałam go kochać.

Czasami chciałabym zniknąć razem z Gabrielem. Ale tylko czasami.

6 grudnia 1993 roku

Zadzwoniłam do Gabriela, żeby mu opowiedzieć o operacji i chemioterapii męża. I oznajmić, że się na razie nie będziemy widywać.

Odparł „Rozumiem”, i odłożył słuchawkę.

20 kwietnia 1994 roku

Dzisiaj rano do rozarium weszła ładna kobieta w ciąży. Chciała kupić sadzonki róż i piwonii, żeby je posadzić w dniu przyjścia na świat dziecka. Zaczęłyśmy rozmawiać o tym i owym. Głównie o jej ogrodzie i domu, z ekspozycją na południowy zachód, najlepszą do sadzenia krzewów różanych i piwonii. Powiedziała mi, że spodziewa się córeczki, że to cudowne, ja jej, że mam syna i że to też jest cudowne. Zaśmiała się.

Tak rzadko mi się zdarza doprowadzić kogoś do śmiechu. Oprócz Gabriela. I mojego syna, kiedy był mały.

Gdy przyszło do płacenia, klientka wypisała czek, po czym podała mi dowód tożsamości, mówiąc:

– Przepraszam, to dowód męża. Ale nazwisko i adres są takie same.

Na czeku zobaczyłam, że nazywa się Karine Prudent i że mieszka pod numerem dziewiętnastym przy chemin des Contamines w Mâcon. A potem zobaczyłam, że w dowodzie tożsamości widnieje Gabriel. Jego zdjęcie, data urodzenia, miejsce urodzenia, ten sam adres, chemin des Contamines dziewiętnaście w Mâcon, jego odcisk palca. Potrzebowałam paru sekund, żeby zrozumieć. Powiązać ze sobą pewne rzeczy. Poczułam, że spiekłam raka, że jestem czerwona jak burak. Żona Gabriela patrzyła na mnie uważnie, po czym wyjęła mi z rąk dowód osobisty, by wsunąć go do wewnętrznej kieszeni kurtki, po stronie serca, tuż nad mającym przyjść na świat dzieckiem.

Wyszła, zabierając sadzonki zapakowane w kartonowe pudełko.

22 października 1995 roku

Paul czuje się lepiej. Poszliśmy to uczcić z Julienem. Mój syn mieszka niedaleko szkoły. Jestem teraz sama. Czuję się sama, jak przed jego urodzeniem. Dzieci wypełniają nasze życie, po czym zostawiają wielką pustkę, ogromną.

27 kwietnia 1996 roku

Od trzech lat nie mam wiadomości od Gabriela. Każdego roku w dzień urodzin myślę, że się odezwie. Myślę, wierzę czy mam nadzieję?

Brak mi go.

Wyobrażam go sobie w ogrodzie z żoną, córeczką, piwoniami i różami. Wyobrażam sobie, że nudzi się jak mops, on, który kocha tylko zadymione piwiarnie, sądy, przegrane sprawy. Mnie.

80

Mów do mnie tak jak zawsze Nie używaj innego tonu
Nie rób poważnej lub smutnej miny Śmiej się dalej
z tego, z czego śmialiśmy się razem

Wrzesień 1997 roku

Od czterech tygodni Philippe mieszkał w Brancion-en-Chalon. Codziennie rano, gdy tylko otwierał oczy, przytłaczała go cisza. W Malgrange był ruch; samochody i ciężarówki, które przejeżdżały przed domem, zatrzymywały się, kiedy Violette opuszczała szlaban, rozlegał się sygnał dźwiękowy, turkot przemykających pociągów. Tutaj, na tej smętnej wsi, grobowe milczenie zmarłych go przerażało. Nawet odwiedzający chodzili po cichutku. Tylko rozlegający się co godzinę głos kościelnego dzwonu przypominał mu swoim ponurym brzmieniem, że czas płynie i że nic się nie dzieje.

Philippe mieszkał tu od czterech tygodni i już nie cierpiał tego miejsca. Grobów, domu, ogródka, całej okolicy. Nawet grabarzy. Kiedy przejeżdżali samochodem przez bramę, Philippe ich unikał. Witał się z nimi z daleka. Nie chciał się kolegować z tymi trzema zwyrodnialcami. Jeden bezmózgowiec, który kazał na siebie mówić Elvis Presley, drugi, który nic

tylko się śmiał i przynosił potrącone koty lub inne zwierzęta do leczenia, i trzeci, który się przewracał, jak tylko odchodził gdzieś na bok, i wyglądał, jakby go dopiero co wypuścili z domu wariatów.

Philippe nigdy nie darzył zaufaniem mężczyzn, którzy interesowali się zwierzętami. To babskie zajęcie rozczulać się nad pokrytą sierścią kulą. Wiedział, że Violette marzyła o tym, żeby mieć koty i psy, ale się na to nie zgadzał. Wmówił jej, że ma alergię. A tak naprawdę to się ich bał, wydawały mu się wstrętne. Brzydził się zwierzętami. Problem w tym, że na cmentarzu było pełno kotów, bo Violette i dwóch spośród trzech zwyrodnialców je dokarmiali.

Po raz pierwszy, odkąd się tu przeprowadzili, miał się odbyć pogrzeb. Zaplanowany był na piętnastą. Philippe wyszedł z domu wcześnie rano, żeby się przejechać. Zazwyczaj wracał w południe, ale nie chciał natknąć się na pogrążoną w żałobie rodzinę i karawan. Jeździł bez celu po okolicy i w porze obiadowej dojechał do Mâcon.

Stojąc na czerwonym świetle, zobaczył wychodzące ze szkoły podstawowej dzieci. Zdawało mu się, że dojrzał w grupce dziewczynek Léonine. Takie same włosy, uczesanie, sylwetka, chód, a zwłaszcza sukienka. Różowo-czerwona w białe grochy. A jeżeli Léonine nie było w pokoju, kiedy wszystko się spaliło? – pomyślał. A jeśli ciągle żyje, gdzieś tam? Jeżeli nam ją ukradziono? Ludzie pokroju Magnan i Fontanela są zdolni do wszystkiego.

Zgasił silnik motocykla i ruszył w kierunku dziecka. Po czym, zbliżając się do dziewczynki, przypomniał sobie, że kiedy widział ją ostatni raz, miała siedem lat. I że dzisiaj nie znajdowałaby się w grupce krzyczących i podskakujących dzieci, ale gimnazjalistów. Że nie nosiłaby już różowo-czerwonej sukienki w białe grochy.

Wsiadając na motor, znów poczuł nienawiść. Z powodu śmierci córki. To przez nich mieszka tutaj, w tym przeklętym miejscu.

Wszedł do restauracji dla tirowców, zjadł stek z frytkami i raz jeszcze zanotował na serwetce:

Édith Croquevieille
Swan Letellier
Lucie Lindon
~~*Geneviève Magnan*~~
Éloïse Petit
~~*Alain Fontanel*~~

Co zrobi z tymi nazwiskami? Nazwiska winnych tego, że tam byli, winnych niedopatrzenia. Kto włączył ten bojler? I dlaczego? Czy Fontanel wcisnął mu kit? Ale jaki miałby w tym interes? Teraz, po śmierci Geneviève Magnan, mógł po prostu zwalić winę na nią. Mógł mu powiedzieć, że pożar to dzieło przypadku. Podtrzymywać oficjalną wersję. Mógł też w ogóle niczego nie mówić. Wtedy po raz pierwszy Alain Fontanel wydał mu się szczery, opowiadał jednym tchem, bez przerwy, bez namysłu. Ale jego słowa przesiąknięte były alkoholem. I percepcja Philippe’a również. Obaj byli zalani w sztok.

Raz jeszcze przeczytał spis nazwisk, które notował zbyt często. Trzeba dojść do końca. Spotkać się z każdym z pozostałych w cztery oczy. Za późno już, żeby skryć się w niewiedzy.

*

18 listopada 1997 roku

Zapraszając pacjentkę do poczekalni, Lucie Lindon od razu go poznała. Doskonale pamiętała twarz każdego z rodziców. Widziała ich w sądzie, nazywano ich „stroną cywilną”. Na ojca Léonine Toussaint zwróciła uwagę, bo był sam i był szczególnie przystojny. Sam, bez żony, pośród par, jakie tworzyli rodzice Anaïs, Nadège i Océane.

Zeznawała na ich oczach. Wyjaśniała, że nie mogła tej nocy zrobić niczego więcej, jak ewakuować osoby z pozostałych pokoi i zaalarmować resztę personelu. Że nie słyszała, żeby dzieci wstawały, by pójść do kuchni.

Od śmierci dziewczynek Lucie Lindon zawsze było zimno. Tak jakby ciągle żyła w przeciągu. Na próżno ciepło się ubierała, i tak czuła dreszcze. Ten dramat rzucił ją w objęcia lodowej pustyni, która pożerała ją tak jak ogień strawił dzieci. Tak jakby pod jej skórą powstała cieniutka warstewka szronu. Widząc ojca Léonine, skrzyżowała ramiona i pocierała je, jakby chciała się rozgrzać.

Co on tu robi? Żadna z rodzin nie mieszka w tej okolicy. Czy wie, kim ona jest? Czy znalazł się tu przypadkiem, czy przyjechał, żeby się z nią zobaczyć? Czy ma umówioną wizytę? Czy chce z nią porozmawiać?

Siedział na wprost okna i wyglądał, jakby czekał na swoją kolej; przy nogach położył kask motocyklowy. Toussaint. Lucie Lindon szukała tego nazwiska w kalendarzach trzech lekarzy obecnych tego dnia rano w gabinecie, gdzie pracowała jako sekretarka, ale nigdzie go nie zobaczyła. Przez ponad dwie godziny lekarze otwierali drzwi do poczekalni, ale żaden nie wywołał pana Toussainta. W południe nadal tu był, wciąż siedział na wprost okna. Wraz z dwoma pacjentami czekającymi na swoją kolej. Pół godziny później, kiedy poczekalnia opustoszała, Lucie Lindon weszła i zamknęła za sobą drzwi. Odwrócił się twarzą w jej stronę i zmierzył ją uważnie wzrokiem. Blondynka, delikatna, dość ładna. W innych

okolicznościach zacząłby ją podrywać. Chociaż nigdy nie podrywał, tylko zagadywał, resztę robiły za niego dziewczyny.

– Dzień dobry, jest pan umówiony?

– Chcę z panią porozmawiać.

– Ze mną?

– Tak.

Po raz pierwszy słyszała tembr jego głosu. Była rozczarowana. Pobrzmiewał w nim nieco przewlekły, wiejski sposób mówienia. Głos nie pasował do wyglądu. Myślała o tym dwie sekundy, a potem zaczęła panikować. Ręce jej się trzęsły. Położyła je znów na ramionach i potarła nimi nerwowo.

– Dlaczego ze mną?

– Fontanel mi powiedział, że poprosiła pani tamtego wieczoru Geneviève Magnan, żeby panią zastąpiła… To prawda?

W jego głosie nie było ani gniewu, ani nienawiści, ani pasji. Nawet się nie przedstawił; wiedział, że Lucie Lindon go zna, rozpoznał ją. Wiedział, że zrozumie znaczenie słów „tamtego wieczoru”.

Kłamstwo na nic by się tu nie zdało. Lucie poczuła, że nie ma wyboru. Fontanel… już samo brzmienie tego nazwiska napawało ją przerażeniem. Stary lubieżny pies patrzący spode łba. Nigdy nie rozumiała, dlaczego zatrudniono go do pracy w zamku przy dzieciach.

– Tak. Poprosiłam Geneviève, żeby mnie zastąpiła. Byłam ze Swanem Letellierem na piętrze. Usnęłam. Ktoś zapukał do drzwi, zeszłam na dół i zobaczyłam… płomienie… Nic nie mogłam zrobić, przykro mi, nic…

Philippe wstał i wyszedł bez pożegnania. Na razie wyglądało na to, że Fontanel nie skłamał.

*

12 grudnia 1997 roku

– Czy ktoś pani nienawidził?

– Nienawidził mnie?

– Przed pożarem. Czy ktoś mógł mieć pani coś za złe?

– Za złe?

– Mieć pani coś za złe do tego stopnia, żeby umyślnie popsuć sprzęt?

– Nie rozumiem, panie Toussaint.

– Czy bojlery zainstalowane w pokojach na parterze były popsute?

– Popsute?

Philippe złapał Édith Croquevieille za poły płaszcza. Czekał na nią na parkingu podziemnym w supermarkecie Cora w Épinalu. Tu właśnie osiadła razem z mężem po wyjściu z więzienia.

Długo czekał, aż kobieta wróci z wózkiem z zakupami, otworzy bagażnik samochodu i je załaduje. Musiała być sama.

Kiedy do niej podchodził, poczuła się zagrożona; minęło parę sekund, zanim go sobie przypomniała. Potem pomyślała, że ten człowiek jest tutaj, żeby ją zabić, a nie żeby zadawać jej pytania. A więc to koniec, to są moje ostatnie chwile, przemknęło jej przez głowę. Żyła z myślą, że pewnego dnia któryś z rodziców ją zabije.

Philippe dowiedział się, gdzie mieszka, i obserwował ją przez dwa dni. Nigdzie się nie ruszała bez męża. Wszędzie jej towarzyszył, cień jej cienia. Tego dnia rano po raz pierwszy wyjechała z domu sama, prowadząc samochód. Tym razem to Philippe ruszył za nią jak cień.

– Nigdy nie uderzyłem kobiety, ale jak dalej będzie pani odpowiadać na moje pytania pytaniami, rozkwaszę pani pysk… I proszę mi wierzyć, że nie mam nic do stracenia. Straciłem już wszystko.

Poluzował uścisk. Édith Croquevieille zauważyła, że niebieskie oczy Philippe’a ściemniały. Jakby pod wpływem gniewu poszerzyły mu się źrenice.

– Zapytam jaśniej. Czy to prawda, że dzieci myły sobie ręce w zimnej wodzie w pokojach, bo bojlery nie działały?

Po dwóch sekundach zastanowienia wyszeptała ledwo słyszalne „Tak”.

– Czy cały personel wiedział, że nie wolno dotykać tych bojlerów?

– Tak… Już od lat nie działały.

– Czy jakieś dziecko mogło uruchomić bojler samo?

Nerwowo pokręciła głową, zanim odpowiedziała:

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Znajdowały się ponad dwa metry nad podłogą i były schowane za drzwiczkami. Nie było żadnego ryzyka.

– Kto mógł mimo wszystko to zrobić?

– Zrobić co?

– Uruchomić jeden z tych bojlerów?

– Ależ nikt. Nikt.

– Magnan?

– Geneviève? Dlaczego miałaby to zrobić? Biedna Geneviève. Dlaczego mnie pan pyta o te bojlery?

– Fontanel… Mieliście dobre relacje?

– Tak. Nigdy nie miałam żadnych problemów z personelem. Nigdy.

– A z jakimś sąsiadem? Kochankiem?

Twarz Édith Croquevieille tężała coraz bardziej, w miarę jak Philippe bombardował ją pytaniami. Nie rozumiała, do czego on zmierza.

– Panie Toussaint, do trzynastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku moje życie było wyregulowane jak szwajcarski zegarek.

Philippe nie lubił tego wyrażenia. Używała go często jego matka. Miał ochotę zabić tę kobietę. Ale na co by się to zdało? Ona już jest martwa. Wystarczy na nią spojrzeć, opatuloną w ten smętny płaszcz. Smętna mina, smętne oczy. Nawet rysy jej twarzy stężały. Odwrócił się na pięcie i odszedł bez pożegnania.

– Panie Toussaint?! – krzyknęła Édith Croquevieille.

Odwrócił się bez przekonania. Nie miał już ochoty na nią patrzeć.

– Czego pan szuka?

Nie odpowiedział, wsiadł na motor i niechętnie ruszył w kierunku Brancion-en-Chalon. Było zimno, czuł się zmęczony. Wyjechał trzy dni wcześniej i nie odezwał się do Violette. Miał ochotę znaleźć się w czystej pościeli. Miał ochotę pograć, przestać myśleć, wrócić do dawnych przyzwyczajeń, przestać myśleć…

81

Nie wiem, czy to Ty jesteś we mnie, czy ja w Tobie,
czy do mnie należysz. Myślę, że obydwoje jesteśmy
w środku jakiejś innej istoty, którą stworzyliśmy
i której na imię „my”

Gabriel Prudent nie lubił oglądać tego, co wybierała żona. Niemal bez wyjątku zasypiał podczas oglądania filmów, które wypożyczała z Vidéo Futur, świątyni kaset wideo znajdującej się na rogu ich ulicy. To zawsze były komedie romantyczne. On wolał film *Przygoda jest przygodą* Claude’a Leloucha – znał na pamięć dialogi – albo Belmonda i Gabina w *Małpie w zimie*.

W sumie, oprócz Roberta De Niro, Amerykanie mu nie leżeli. Ale nie chciał robić przykrości Karine. No i lubił ten rytuał niedzielnych wieczorów, kiedy – siedząc na kanapie – przytulał się do żony i przymykał oczy, czując jej ciepło i korzenny zapach perfum. Angielskie dialogi z wolna przycichały. Usypiając, wyobrażał sobie pięknych aktorów, nienagannie uczesane pary kochanków, którzy się poznają, ranią, rozstają, znowu spotykają na rogu jakiejś ulicy, żeby sobie w końcu paść w ramiona i zatopić się w namiętnym pocałunku. Kiedy pojawiały się napisy, Karine budziła go delikatnie z oczyma zaczerwienionymi od filmowego

melodramatu. Mówiąc mu, rozbawiona i zła zarazem: „Kochanie, znowu usnąłeś”. Wstawali, przechodzili przez pokój dziecka, które szybko rosło, patrzyli rozanieleni na córeczkę, po czym kochali się, zanim w poniedziałek rano nie pojechał znowu do sądu, gdzie czekali na niego oskarżeni twierdzący, że są niewinni.

Wieczorem tego dnia w 1997 roku Gabriel nie zasnął. Jak tylko Karine wsunęła kasetę do odtwarzacza i pojawiły się pierwsze sceny, fabuła filmu go wciągnęła. Pożerał ekran wzrokiem. Nie widział mężczyzny i kobiety grających w komedii, lecz przeżywających, na jego oczach, wzajemne zauroczenie sobą. Miał wrażenie, jakby on, Gabriel, był tego uprzywilejowanym świadkiem. Jak w przypadku wszystkich tych przewijających się przed sądem nieznajomych, których odpytywał w poszukiwaniu dowodów. Wyczuł ciche spojrzenie, którym Karine wielokrotnie go obrzuciła, zaniepokojona, że nie zapadł w głęboki sen.

A kiedy w ostatnich minutach filmu bohaterka, siedząc u boku męża, nie otworzyła drzwi samochodu, by wsiąść do tego, w którym czekał na nią kochanek, i kiedy kochanek włączył kierunkowskaz, by odjechać na zawsze, Gabriel powoli zaczął zdawać sobie sprawę z uczuciowej bariery, którą budował od czterech lat, żeby zapomnieć o Irène. Zapora ta zdawała się ustępować pod naporem burzy, cyklonu, katastrofy naturalnej. Czuł, jakby deszcz padający w ostatnich ujęciach filmu lał się na niego. Zobaczył się raz jeszcze, w czasie powrotu z Antibes, jak czeka na Irène w swoim samochodzie. „Zaczekaj na mnie”. Czekał na nią wiele godzin, kurczowo uczepiony kierownicy. Przez pierwsze minuty wyobrażał sobie, jak będzie wyglądać życie z Irène. Marzyła mu się ich przyszłość we dwoje. A potem to trwające w nieskończoność oczekiwanie.

W końcu zdjął ręce z kierownicy. Wysiadł z samochodu, by wejść do rozarium. Wpadł na ekspedientkę, która nie widziała pracodawczyni od

paru dni. Szukał Irène, błądząc po ulicach, przypadkowo, rozpaczliwie, nie chcąc zrozumieć, że ona nie wróci, że dokonała wyboru, by pozostać w swoim życiu, że go dla niego nie zmieni. Zapewne z miłości do męża i syna. W obronie własnej – to wyrażenie często słyszał podczas procesów.

Wrócił do samochodu i przed sobą ujrzał w świetle reflektorów tylko noc, nic więcej.

Pewnego dnia rano w kancelarii powiedziano mu, że Irène Fayolle prosi o spotkanie. Najpierw pomyślał głupio, że to zbieżność nazwisk. Ale kiedy zobaczył numer telefonu rozarium – znał go na pamięć, choć nigdy nie ośmielił się wybrać – wiedział, że to ona.

No i był Sedan, inne hotele, inne miasta, przez cały rok, a potem choroba Paula i narodziny Cloé. Z jednej strony choroba, z drugiej – nadzieja.

Nie miał wiadomości od Irène od czterech lat. Co się z nią dzieje? Jak się miewa? Czy Paul wyzdrowiał? Czy ona ciągle mieszka w Marsylii? Czy nadal ma rozarium? Przypominały mu się jej uśmiech, sylwetka, zapach, delikatna skóra, piegi, ciało. Jej włosy, które tak bardzo lubił rozczesywać palcami. Z nią nigdy nie było tak jak z innymi, z nią było lepiej.

Oglądając ostatnią scenę filmu, kiedy dzieci rozsypują nad wodą z mostu prochy matki, Gabriel się rozpłakał. W jego świecie mężczyźni nie płakali. Nawet w chwili ogłaszania najbardziej wariackich, najbardziej nieoczekiwanych, najbardziej nieprawdopodobnych, najszczęśliwszych, najrozpaczliwszych orzeczeń. Kiedy płakał ostatnim razem, miał może osiem lat. Zszywano mu bez znieczulenia ranę na głowie po upadku z roweru.

Karine nie płakała. Normalnie, oglądając taki melodramat, musiałaby wyżymać chusteczkę do nosa, ale uwaga, z jaką Gabriel śledził film, nie dopuściła do niej innego uczucia oprócz strachu.

Przypomniała sobie Irène z rozarium. Delikatność jej dłoni, kolor włosów, jej jasną cerę, zapach perfum. Przypomniała sobie ten poranek, kiedy podała dowód tożsamości Gabriela, żeby ją zawiadomić o swoim istnieniu i o tym, że jest w ciąży.

Odkryła istnienie Irène, kiedy dostała wiadomość z kancelarii Gabriela: konsjerż hotelu Loges w Lyonie chciał zwrócić rzeczy, które Gabriel zostawił podczas niedawnego pobytu. Tydzień wcześniej jej mąż bronił kogoś przed sądem w Lyonie. Karine zadzwoniła do hotelu, odbyła rozmowę z konsjerżem, podała mu adres i dwa dni później dostała paczkę, w której znajdowały się dwie bluzki z białego jedwabiu, szalik marki Hermès i szczotka, a na niej parę długich blond włosów. Karine najpierw pomyślała, że to pomyłka, po czym przypomniała sobie Gabriela. Jego ponurą minę, kiedy wrócił z Lyonu, chociaż wygrał sprawę. Myślała, że jest chory, tak źle wyglądał. Gdy mu to powiedziała, machnął tylko ręką i odpowiedział ze zmęczonym uśmiechem, że jest po prostu skonany.

Następnej nocy kilkakrotnie wołał kogoś w czasie snu: Reine. Rano Karine zapytała go o to: „Kim jest Reine?”. Gabriel zastygł z nosem nad filiżanką kawy i poczerwieniał.

– Reine?

– Przez całą noc powtarzałeś to imię.

Wybuchnął śmiechem, tym, który tak lubiła, gromkim śmiechem, i powiedział: „To żona oskarżonego. Kiedy zrozumiała, że męża uniewinniono, zemdlała”. Kiepska ściema. Karine znała sprawę. Chodziło o Cédrica Pioleta, którego żona miała na imię Jeanne. Ale nie dała po sobie nic poznać. Można zmienić imię albo mieć dwa.

Przez parę nocy Gabriel ciągle przyzywał Reine w czasie snu. Karine złożyła to na karb pracy, napięcia. Mąż brał za dużo spraw.

Kiedy go poznała, był wdowcem i rozstał się ze swoją ostatnią partnerką. Spytała, czy jest ktoś w jego życiu, a on odpowiedział: „Od czasu do czasu”.

Gdy trzymała w ręce dwie jedwabne bluzki, które pachniały L’Heure bleue, perfumami Guerlaina, przypomniało jej się to. Karine wyrzuciła do kosza bluzki i szalik oraz szczotkę do włosów. Rzeczy te nie należały do przelotnej kurwy; to była o wiele poważniejsza sprawa. Od paru miesięcy Gabriel się zmienił. Kiedy wracał do domu, zdawał się błądzić myślami gdzie indziej. Coś go gnębiło. Zauważyła, że pije więcej wina. Kiedy zwróciła mu na to uwagę, zacytował Audiarda: *Gdyby mi miało czegoś brakować, to nie wina, lecz upojenia*. W kłamstwach Gabriela była jakaś inna kobieta.

Karine łatwo było odnaleźć numer – pojawiał się regularnie na ostatnich telefonicznych billingach jako połączenie wychodzące w tygodniach, kiedy Gabriel był w domu, pracował w kancelarii czy w swoim gabinecie w domu. Zawsze koło dziewiątej rano. Rozmowy rzadko trwały dłużej niż dwie minuty. Takie, żeby komuś życzyć dobrego dnia i rozłączyć się. Karine wybrała numer. Odebrała młoda dziewczyna.

– Rozarium, słucham.

Karine odłożyła słuchawkę. Zadzwoniła znowu tydzień później i zgłosiła się ta sama osoba.

– Rozarium, słucham.

– Dzień dobry, moje róże chorują, mają takie dziwne żółtawe plamki na czubkach płatków.

– Jakie odmiany?

– Nie wiem.

– Może pani wpaść do rozarium i przynieść parę tych płatków?

Karine zadzwoniła po raz trzeci. Ciągle ten sam głos.

– Rozarium, słucham.

– Reine?

– Proszę się nie rozłączać, już ją pani daję. Kto prosi?

– To sprawa osobista.

– Irène, telefon do pani!

Karine się pomyliła: Gabriel przywoływał w czasie snu nie Reine, ale Irène. Ktoś podniósł słuchawkę i tym razem Karine usłyszała głos kobiecy, niższy, zmysłowy:

– Halo!

– Irène?

– Tak.

Odłożyła słuchawkę. Tego dnia długo płakała. Te „od czasu do czasu” Gabriela to była ona.

Chcąc zakończyć sprawę, zadzwoniła czwarty i ostatni raz.

– Rozarium, słucham.

– Dzień dobry, czy mogłabym dostać wasz adres?

– Chemin du Mauvais-Pas sześćdziesiąt dziewięć, w siódmej dzielnicy Marsylii, w Rose.

*

Karine wyjęła kasetę wideo i włożyła ją do pudełka.

Gabriel wciąż siedział na kanapie; wstyd mu było, że się popłakał. Teraz on z kolei wyglądał jak jeden z tych oskarżonych, których przez całe życie bronił.

Włożyła film do torebki, żeby nie zapomnieć o nim, wychodząc do pracy następnego dnia rano, i powiedziała:

– Cztery i pół roku temu, kiedy byłam w ciąży z Cloé, zobaczyłam się z Irène.

Gabriel, przyzwyczajony przecież do konfrontacji, do najbardziej skomplikowanych i brudnych spraw, do obcowania z ludźmi wszelkiego pokroju, nie wiedział, co odpowiedzieć żonie. Zatkało go.

– Pojechałam do Marsylii. Kupiłam u niej sadzonki róż i białych piwonii. Przedstawiłam jej się przy płaceniu. Nie posadziłam tych kwiatów w naszym ogródku, wyrzuciłam je do morza… Jak czyjeś prochy.

Tego wieczoru nie przeszli przez pokój dziecinny w drodze do sypialni i nie kochali się. W łóżku położyli się plecami do siebie. Ona nie zmrużyła oka. Wyobrażała sobie Gabriela z szeroko otwartymi oczami, niemogącego zasnąć, przypominającego sobie sceny z filmu, który dopiero co oglądali, i te, które przeżył z Irène. Nigdy więcej nie wrócili do tego tematu. Kilka miesięcy po tej niedzieli postanowili się rozstać. Karine długo żałowała, że wypożyczyła *Co się wydarzyło w Madison County.* I w przeciwieństwie do Gabriela nigdy więcej już tego filmu nie obejrzała, chociaż często puszczano go w telewizji.

*

Dziennik Irène Fayolle

20 kwietnia 1997 roku

Przez cały rok nie dotykałam tego dziennika. Ale nie mogę się z nim rozstać. Chowam go głęboko w szufladzie, pod pościelą, jak nastolatka. Czasem go otwieram i zatracam się na parę godzin. W gruncie rzeczy wspomnienia to takie letnie wakacje, prywatne plaże. Nie prowadzi się dziennika, kiedy się przekroczy pewien wiek, a ja go przekroczyłam już

dawno temu – ten mój pewien wiek. Gabriel zawsze budzi we mnie nastolatkę.

Zaczął łysieć. Przytył nieco. W spojrzeniu jego pięknych czarnych oczu wciąż widać tę samą głębię, powagę. Jego głęboki głos, jedyny w swoim rodzaju. Cała symfonia. Moja ulubiona.

Znalazłam Gabriela w kawiarni koło rozarium. Pozwolił mi zamówić herbatę, nie czyniąc uwag w stylu „to smutny napój", i nie nalał mi do niej calvadosu. Wydał mi się spokojniejszy, mniej udręczony, rozzłoszczony. Chociaż zawsze był szarmancki, jest człowiekiem, który się złości. Prawdopodobnie z powodu oskarżeń kierowanych pod adresem tych, których przez całe życie broni, za których udziela odpowiedzi. Pewnego wieczoru, kiedy byliśmy w Antibes, powiedział mi, że któregoś dnia nie przeżyje niesprawiedliwego orzeczenia. Że niektóre wyroki skazujące nie dają mu spokoju. Zanim zaczął zamawiać kawę za kawą, żeby mi opowiedzieć o swoich ostatnich latach, o małej córeczce, starszej córce, która wyszła za mąż, o ostatniej żonie, o rozwodzie, o pracy, zapytał mnie, co z Paulem, co słychać u Juliena. Głównie wypytywał o Paula, o raka, o to, czy mój mąż czuje się lepiej. O te dni po wyjściu z choroby, kiedy się dowiedział, że go uratowano.

Gabriel powiedział mi, że mnie rozumie, że przestał palić, że widział film, który go poruszył, że nie ma dużo czasu, następnego dnia czeka na niego sprawa w sądzie w Lille, musi polecieć samolotem, jest umówiony z kolegami pod koniec dnia. Po raz pierwszy nie poprosił mnie, żebym z nim poleciała, żebym mu towarzyszyła. Spędziliśmy razem godzinę. Przez ostatnie dziesięć minut trzymał moje dłonie, a zanim odszedł, pocałował je, zamykając oczy.

– Chciałbym, żebyśmy razem leżeli na cmentarzu. Po tym nieudanym życiu chciałbym chociaż, żeby nasza śmierć była sukcesem. Zgadzasz się na

to, żeby spędzić wieczność obok mnie?

Powiedziałam, że tak, bez zastanowienia.

– Tym razem nie uciekniesz?

– Nie. Ale będzie pan miał tylko prochy.

– Nawet w formie prochów chcę cię mieć przy sobie po wsze czasy. Nasze nazwiska razem, Gabriel Prudent i Irène Fayolle… to jest równie piękne jak Jacques Prévert i Alexandre Trauner. Czy wiesz, że poeta i dekorator wnętrz zostali pochowani obok siebie? Uważam, że to genialne kazać się położyć do grobu ze swoim dekoratorem. Ty w gruncie rzeczy byłaś moją dekoratorką. Obdarzyłaś mnie najpiękniejszymi pejzażami.

– Czy ty umrzesz, Gabrielu? Jesteś chory?

– Po raz pierwszy powiedziałaś do mnie „ty”. Nie, nie umrę… no cóż, nie sądzę, nie mam tego w planach. To wszystko z powodu tego filmu, o którym ci przed chwilą mówiłem. Bardzo mnie poruszył. Muszę już iść. Dziękuję, do zobaczenia, Irène, kocham cię.

– Ja też pana kocham.

– No to chociaż tyle mamy ze sobą wspólnego.

82

Tu spoczywa moja miłość

Zdarzyło się to w pewien styczniowy poranek w 1998 roku. Zdołałam odczytać ich nazwiska. Te nieszczęsne nazwiska. Magnan, Fontanel, Letellier, Lindon, Croquevieille, Petit. Wsunięte były do tylnej kieszeni jednej z par dżinsów Philippe’a Toussainta, prawie nieczytelne. Zostały wyprane w pralce, tusz się rozmył, jakby ktoś długo płakał nad tym wyblakłym papierkiem. Powiesiłam spodnie na kaloryferze w łazience, żeby wyschły, a jak je zdjęłam, zauważyłam, że coś wystaje. Złożony we czworo kawałek serwetki, na którym Philippe Toussaint ponownie wypisał te nazwiska.

– Dlaczego?

Usiadłam na brzegu wanny i wypowiedziałam to słowo kilkakrotnie: „Dlaczego?”.

Mieszkaliśmy w Brancion-en-Chalon od pięciu miesięcy. Philippe Toussaint wymykał się codziennie na dwa sposoby: kiedy padało, oddawał się grom wideo; w dni bez deszczu odjeżdżał na motocyklu. Powrócił do przyzwyczajeń z Malgrange, ale jego nieobecności bywały dłuższe.

Unikał ludzi odwiedzających cmentarz, pogrzebów, otwierania i zamykania bram. O wiele bardziej bał się zmarłych niż pociągów.

Pogrążonych w żałobie odwiedzających niż pasażerów kolei państwowych. Jeździł spotkać się z takimi samymi jak on – z motocyklistami. Wspólnie odbywali rajdy po okolicy. Długie trasy, które – jak sądzę – kończyły się pozamałżeńskimi balecikami. Pod koniec roku 1997 nie było go przez cztery dni z rzędu. Wrócił z tej swojej wyprawy ledwo żywy i od razu zauważyłam, zrozumiałam, wyczułam, że nie spotkał się z jedną ze swoich kochanek, jak zazwyczaj.

Po powrocie powiedział mi: „Przepraszam cię, powinienem był zadzwonić, pojechaliśmy dalej, niż to było przewidziane, i po drodze nie było budki telefonicznej, głucha wieś”. Po raz pierwszy Philippe Toussaint się usprawiedliwiał. Po raz pierwszy przepraszał, że nie dał znaku życia.

Wrócił w dniu ekshumacji Henriego Ange’a, który zginął w wieku dwudziestu dwóch lat na polu chwały, w roku 1918 w Sancy, w departamencie Aisne. Na białej steli można jeszcze było domyślić się napisu: *Wieczny żal*. Wieczność w przypadku Henriego Ange’a dobiegła kresu w styczniu 1998 roku, gdy jego resztki zostały złożone w ossuarium. Moja pierwsza ekshumacja. Ani ja, ani grabarze niczego nie mogliśmy zrobić, żeby nie zakłócać mu spokoju. Jego grób był za bardzo zniszczony i przeżarty mchem od paru dziesiątków lat.

Podczas gdy grabarze otwierali nadszarpniętą przez czas, wilgoć i robactwo trumnę, usłyszałam motor Philippe’a Toussainta. Zostawiłam ich, by skończyli pracę. Ruszyłam w kierunku domu z przyzwyczajenia. Kiedy Philippe Toussaint wracał, ja go przyjmowałam… Niczym służba domowa powracającego pana.

Zdjął kask powoli; miał niewyraźną minę, zmęczone oczy. Długo siedział pod prysznicem, a potem zjadł obiad w milczeniu. Następnie poszedł na górę i spał do następnego dnia rano. Około dwudziestej trzeciej położyłam się koło niego w łóżku. Przylgnął do moich pleców.

Po śniadaniu wyjechał motorem tylko na parę godzin. Później przyznał mi się, że w ciągu tych czterech godzin nieobecności pojechał do Épinalu, żeby porozmawiać z Édith Croquevieille.

Już od pięciu miesięcy tu mieszkaliśmy, a ja nie wróciłam do Geneviève Magnan, żeby przepytać Fontanela, ani do restauracji, gdzie pracował Swan Letellier. Nie starałam się dowiedzieć, gdzie mieszkają wychowawczynie, żeby z nimi porozmawiać. Dyrektorka musiała już wyjść na wolność; odsiedziała w końcu tylko rok. Nigdy więcej nie przejeżdżałam obok zamku. Przestałam słyszeć głos Léonine, pytającej mnie, dlaczego wszystko tamtej nocy spłonęło. Sasha się nie pomylił: to miejsce mnie podreperowało.

Od razu znalazłam swój punkt oparcia w tym cmentarzu, domu, ogrodzie. Lubiłam towarzystwo grabarzy, braci Lucchinich i kotów, którzy coraz częściej przychodzili do mnie napić się kawy albo mleka z miseczki. Oczywiście, kiedy nie było mojego męża. Jeśli motor Philippe’a Toussainta stał przed drzwiami od strony ulicy, nie zaglądali nigdy. Nie było między nimi żadnej poufałości, tylko „Dzień dobry”, „Dobry wieczór”. Ludzie z cmentarza i Philippe Toussaint nie przejawiali żadnego zainteresowania sobą nawzajem. A koty unikały go jak dżumy.

Tylko mer, który odwiedzał nas raz na miesiąc, nie dbał o to, czy Philippe Toussaint jest w domu, czy też go nie ma, zawsze zwracał się do mnie. Wydawał się zadowolony z „naszej” pracy. Pierwszego listopada 1997 roku, jak już odwiedził grób rodzinny i obejrzał sosny, które posadziłam, poprosił mnie, żebym zaczęła hodować i sprzedawać jakieś kwiaty doniczkowe na cmentarzu – byłby to taki dodatek – i na to przystałam.

Pierwszy pogrzeb, w którym wzięłam udział jako dozorczyni cmentarza, miał miejsce we wrześniu 1997 roku. Od tego dnia zaczęłam

notować przemowy, opisywać ludzi, którzy przychodzili, kwiaty, kolor trumny, słowa, które umieszczono na tablicach nagrobnych, warunki meteorologiczne, zapisywać wybrane wiersze lub piosenki, zaznaczać, czy jakiś kot lub ptak zbliżył się do grobu. Od razu poczułam tę konieczność pozostawienia śladów ostatniej chwili, żeby nic nie uległo zatarciu. Dla wszystkich tych, którzy nie będą mogli wziąć udziału w uroczystości z powodu bólu, smutku, podróży, odrzucenia lub wykluczenia, będzie ktoś, kto o tym opowie, zaświadczy, opisze, zda sprawę. Tak jak pragnęłabym, żeby to było zrobione w przypadku pogrzebu mojej córki. Córko ma. Moja wielka miłości. Czy ja cię opuściłam?

Siedząc na brzegu wanny, z kawałkiem serwetki w rękach, z rozmytymi nazwiskami przed oczami, poczułam nieprzepartą chęć, żeby zrobić tak jak Philippe Toussaint: wyjechać na parę godzin. Wyjść stąd. Pochodzić gdzie indziej. Zobaczyć inne ulicy, inne twarze, witryny z ubraniami i książkami. Powrócić do życia, wejść w jego nurt. Oprócz zakupów, które robiłam w niewielkim centrum, od pięciu miesięcy nie opuściłam cmentarza.

Wyszłam na cmentarne alejki i poprosiłam Nona, żeby podrzucił mnie do Mâcon i wrócił po mnie pod koniec dnia. Spytał, czy mam ze sobą prawo jazdy.

– Tak.

Podał mi kluczyki od furgonetki merostwa.

– Mam prawo ją wziąć?

– Jesteś pracownikiem miejskim. Dziś rano zatankowałem do pełna. Dobrego dnia.

Ruszyłam w kierunku Mâcon. Od czasów fiata Stéphanie ani razu nie dotknęłam kierownicy, tej wolności. Jechałam, śpiewając: *Słodka Francjo, droga kraino młodości mej, jakże czule beztroskiej, zachowałem cię*

w sercu[27]. Czemu to zaśpiewałam? Piosenki mojego wyimaginowanego wuja zawsze zapadały mi w pamięć niczym wspomnienia, które nie istnieją.

Zaparkowałam w śródmieściu. Mogła być godzina dziesiąta, sklepy były już otwarte. Najpierw wypiłam kawę w bistrze; przyglądałam się żywym ludziom, jak wchodzą do środka i wychodzą, spacerują po chodnikach, ich samochodom zatrzymującym się na czerwonym świetle. Żywi ludzie, nienoszący żałoby.

Przeszłam na drugą stronę mostu Saint-Laurent, ruszyłam wzdłuż Saony i spacerowałam przypadkowymi ulicami. I to właśnie tego dnia narodziły się szafa zimowa i szafa letnia. Zafundowałam sobie szarą sukienkę i różowy sweter na wyprzedaży.

W porze obiadowej chciałam podejść do dzielnicy restauracyjnej, żeby kupić kanapkę. Było zimno, ale niebo było niebieskie. Naszła mnie ochota, żeby zjeść obiad na ławce, nad brzegiem wody, i wyrzucić okruchy chleba kaczkom. Przypomniał mi się kot syjamski, który uratował mi życie wieczorem tego dnia, kiedy czekałam na Swana Letelliera. Zgubiłam drogę – znalazłam się w dzielnicy, której nie znałam. Na skrzyżowaniu wydało mi się, że wiem, gdzie jestem, ale zamiast skręcić w dobrym kierunku, tylko oddaliłam się od centrum. Wzdłuż ulic ciągnęły się kamienice i domy jednorodzinne. Patrzyłam na ogrodzenia, puste huśtawki, tarasy ponakrywane plastikowymi plandekami, bo to przecież styczeń.

I nagle go zobaczyłam, opartego na nóżce, z zabezpieczeniem antykradzieżowym na kole. Motor Philippe’a Toussainta stał zaparkowany sto metrów ode mnie. Serce zaczęło mi walić jak małej dziewczynce, której rodzice zabronili wychodzić z domu. Miałam chęć zawrócić biegiem, ale coś mnie powstrzymało: chciałam się dowiedzieć, co on tu robi. Kiedy wyjeżdżał około jedenastej i wracał koło szesnastej, wyobrażałam sobie, że jeździ bardzo daleko. Czasami po powrocie opowiadał mi, co widział.

Nierzadko zdarzało mu się zrobić czterysta kilometrów w ciągu dnia. Patrząc na jego hondę, pomyślałam sobie, że zawsze widziałam ją zaparkowaną przed naszym domem; Philippe Toussaint nigdy mi nie zaproponował, że mnie gdzieś zawiezie. Nigdy nie było w domu dwóch kasków, tylko ten jego. Gdy kupował nowy, stary odsprzedawał.

Za ogrodzeniem zaszczekał pies, aż podskoczyłam. W tej samej chwili zauważyłam go za oknem w budynku po drugiej stronie ulicy. Przechodził przez pomieszczenie na parterze i poznałam go po sylwetce, po chodzie, po tym, jak naprędce zakłada kurtkę, po tym jego kunowatym pysku, szczupłej postaci: Swan Letellier. Poczułam mrowienie w dłoniach, tak jakbym opierała się na nich zbyt długo w tej samej pozycji. To był niewielki betonowy budynek, trzy piętra, wyblakłe pastelowe kolory. Wyraźnie nadgryzione zębem czasu balkony ze sfatygowanymi balustradami; wisiało na nich jeszcze parę pustych żardinier – wyglądało na to, że przeżyły wiele wiosen, ale mało kwiatów.

Swan Letellier pojawił się w holu, popchnął aluminiowe drzwi i ruszył chodnikiem po drugiej stronie ulicy. Szłam za nim do momentu, aż wszedł do narożnego baru. Skierował się w głąb pomieszczenia. Tam gdzie czekał na niego Philippe Toussaint. Letellier przysiadł się do jego stolika, zajął miejsce na wprost niego. Rozmawiali spokojnie, jak dwaj starzy znajomi.

Philippe Toussaint coś mówił, ale co? Kogoś, czegoś szukał. Stąd ten spis, ciągle ten sam, który robił na odwrocie rachunku czy serwetki, jakby chciał rozwiązać jakąś tajemnicę.

Przez szybę widziałam tylko jego włosy. Tak jak tego pierwszego wieczoru w Tibourinie, gdy stał odwrócony do mnie plecami. Kiedy patrzyłam zza baru na te jego jasne kędziory, które w świetle projektorów stawały się zielone, czerwone albo niebieskie. Trochę pobielały i tęcza młodości znikła. Świetlny pryzmat, przez który go podziwiałam, również.

Pomyślałam, że już od lat otacza go ta sama szara pogoda. Śliczne dziewczyny, szepczące mu czułości do ucha, w czasie gdy ja spoglądałam na jego doskonały profil, znikły. Pozostały pewnie tylko otyłe kobiety w jego przygodnych łóżkach. Zapach, który pozostawiały na jego skórze, zmienił się, wyrafinowane wonie zostały zastąpione tanimi.

Siedzieli sami w głębi ciemnej sali barowej. Rozmawiali przez kwadrans, po czym Philippe Toussaint nagle podniósł się, żeby wyjść. Ledwo zdążyłam schować się w przylegającym do baru zaułku. Uruchomił motocykl i odjechał.

Swan Letellier ciągle siedział w środku. Kończył kawę, kiedy do niego podeszłam. Nie rozpoznał mnie.

– Czego chciał? – rzuciłam.

– Przepraszam?

– Dlaczego pan rozmawiał z Philippe’em Toussaintem?

Kiedy zdał sobie sprawę, kim jestem, jego rysy stężały. Odpowiedział mi suchym tonem:

– Mówi, że dzieci zatruły się czadem. Że ktoś uruchomił bojler czy coś takiego. Pani mąż szuka winnego, ale winny nie istnieje. Jak chce pani poznać moje zdanie, to powinniście obydwoje pomyśleć o przyszłości.

– Wie pan, gdzie może pan sobie wsadzić to swoje zdanie?

Oczy Letelliera zrobiły się okrągłe jak spodki. Nie ośmielił się odpowiedzieć. Wyszłam na ulicę i zwymiotowałam żółcią na chodnik, jak pijaczka.

---

[27] Pierwsze słowa refrenu piosenki Charles’a Treneta z 1963 roku pod tytułem *Douce France*.

83

Ludzie nie patrzą na gwiazdy tak samo. Dla tych, którzy podróżują, gwiazdy pełnią funkcję przewodników, dla innych są tylko maleńkimi światełkami

– Czasem żałuję, że krzyczałam na Léonine, kiedy była nieposłuszna albo kapryśna. Żałuję, że wyciągałam ją z łóżka, żeby poszła do szkoły, kiedy ona chciała jeszcze trochę pospać. Żałuję, że nie wiedziałam, że jej czas tak szybko przeminie… Jednak ten żal nigdy nie trwa długo. Wolę przywoływać piękne wspomnienia, nadal żyć tym szczęściem, które mi zostawiła.

– Dlaczego nie miała pani innych dzieci?

– Bo już nie byłam matką, tylko sierotą. Bo już nie miałam ojca dla tych innych dzieci… No i to trudne dla dzieci, kiedy są „innymi dziećmi”, „tymi późniejszymi”.

– A teraz?

– Teraz jestem stara.

Julien wybucha śmiechem.

– Ciii!

Kładę mu rękę na ustach. Chwyta moje palce i je całuje. Boję się. Boję się rozgardiaszu, jaki mam w domu. Trzasku drzwi od samochodu, które zamkną się za parę godzin. Tego, że lecę prosto na ścianę z całą tą sprawą, której nie ma.

Nathan i jego kuzyn Valentin śpią na kanapie obok nas. Domyślamy się kształtów ich drobnych ciał w skłębionej pościeli i kocach. Ich czarne włoski na dwóch białych poduszkach wyglądają na tym tle niczym fragment wiejskiego pejzażu, pachnąca leszczyną dróżka. Włożyć dłoń we włosy dziecka to jak stąpać w lesie po zwiędłych liściach, kiedy zaczyna się przedwiośnie.

Julien, Nathan i Valentin przyjechali z Owernii wczoraj wieczorem. W czasie pobytu w Les Pardons Nathan nie dawał ojcu spokoju: „Nie wracajmy do Marsylii, jedźmy do Violette…”. Julien w końcu ustąpił i obrał kierunek na cmentarz. Przyjechali koło dwudziestej, już po zamknięciu bramy. Zapukali do drzwi od strony ulicy, ale ich nie usłyszałam. Byłam zajęta w ogródku pikowaniem ostatniej rozsady sałaty. Chłopcy podeszli mnie od tyłu na paluszkach: „Jesteśmy zombie!”. Éliane zaszczekała, a koty podeszły bliżej, tak jakby pamiętały Nathana.

Wczoraj wieczorem miałam ochotę być sama, czułam się zmęczona, chciałam się położyć wcześnie spać, obejrzeć serial w łóżku. Nic nie mówić. Przede wszystkim nic więcej nie mówić. Starałam się im nie pokazać, że nie mam ochoty ich widzieć. Chciałabym móc się cieszyć z tej niespodzianki. Ale nie mogłam. Pomyślałam, że Nathan za głośno mówi, pomyślałam, że Julien jest zbyt młody.

Julien czekał na nas w kuchni. Zażenowany powiedział: „Przepraszam, że tak się zjawiam bez zapowiedzi, ale mój syn panią kocha… Zabieramy panią na kolację!… Zarezerwowałem pokój u pani Bréant”.

Gdy tylko otworzył usta, poczułam, że samotność schodzi ze mnie jak liniejąca skóra. Jego głos podziałał na mnie niczym błyskawica, jak gdyby zapalił nad moją głową lampę. Tak jak wtedy, kiedy dzień zapowiada się kiepsko, gdy ołowiane niebo otwiera się i nie wiadomo skąd wychodzi słońce, by rozjaśnić niektóre szczegóły krajobrazu. Miałam ochotę zatrzymać ich na dłużej, wszystkich trzech.

Nie ma mowy o żadnej restauracji, zjedzą kolację u mnie. Nie ma mowy o pokoju u pani Bréant, prześpią się tutaj. Zrobiłam im tosty z zapiekanym serem, makaron kolanka, jajka sadzone i sałatkę z pomidorów. Julien pomógł mi nakryć do stołu. Na deser miałam w zamrażalniku sorbet truskawkowy. Mieć cukierki, lody, ciastka w czekoladzie, jogurty w lodówce. Stare nawyki, jak ten, żeby wziąć Nathana za rączkę.

Upoiłam Juliena białym winem, żeby nie mógł zmienić zdania, żeby nie poszedł spać do pani Bréant, lecz został u mnie, ze mną.

Uprzątnęłam brudne talerze ze stołu, po czym urządziłam chłopakom miejsce do spania na wielkiej kanapie, tej, na której spałam, kiedy odwiedzałam Sashę. Radośnie pokrzykując, chłopcy zaczęli skakać po biednych starych sprężynach, które skrzypiały pod ciężarem ich uciechy.

Przed pójściem spać błagali mnie, żebym wyszła z nimi na cmentarne alejki „zobaczyć duchy”. Zadawali mi mnóstwo pytań, czytali nazwiska na stelach. Pytali, dlaczego niektóre groby są bardzo ukwiecone, a inne nie. Odczytywali daty, powiedzieli, że w większości zmarli są naprawdę bardzo starzy.

Byli ogromnie rozczarowani, że nie zobaczyli ani jednego ducha, chcieli, żeby im opowiedzieć jakąś „straszną historię”. Uraczyłam ich opowieścią o Diane de Vigneron i Reine Duchy, które miały ukazywać się w pobliżu cmentarza, przy drodze czy na ulicach Brancion-en-Chalon.

Dzieci zaczęły blednąć na twarzy, więc żeby je uspokoić, powiedziałam, że to tylko legenda i że ja osobiście to nigdy nie widziałam duchów.

Julien czekał na nas na ławeczce w ogródku. Palił papierosa, obok Éliane, głaskał ją pogrążony w myślach. Uśmiechnął się, kiedy dzieci mu powiedziały, że nie zobaczyliśmy żadnego ducha, ale że ludzie je widują na cmentarzu i koło niego. Nalegały, żeby im pokazać zdjęcia Diane jako zjawy na starych pocztówkach. Wmówiłam im, że mi się gdzieś zapodziały.

Wszyscy czworo wróciliśmy do domu. Chłopcy trzy razy sprawdzali, czy drzwi są zamknięte na cztery spusty. W korytarzu, który prowadzi do mojego pokoju, zostawiłam im światło. Kiedy zauważyli lalki pani Pinto, poprosili o lampki nocne.

Weszliśmy z Julienem na górę, starając się nie poprzewracać lalek. On szedł za mną. W pewnej chwili się zatrzymałam. Czułam jego oddech na karku; zaczął mnie głaskać po plecach i szepnął: „Nie ma na co czekać”.

Ledwo zdążyliśmy zamknąć drzwi, a chłopcy zaraz je otworzyli, żeby się położyć w moim łóżku. Rozsunęliśmy się, żeby zrobić im miejsce, i dopóki nie zasnęli, głaskaliśmy ich po główkach; od czasu do czasu nasze dłonie się spotykały, odnajdowały, łączyły ze sobą we włosach Nathana.

Po czym zeszliśmy na dół na kanapę, by się kochać. Koło czwartej rano chłopcy wślizgnęli się nam pod pościel, żeby się przytulić. Leżeliśmy ciasno jak śledzie w beczce. Nie zmrużyłam oka, wsłuchując się w ich oddechy. Zatapiałam się w nich niczym w sonatach Chopina, które Sasha puszczał na okrągło.

O szóstej Julien wziął mnie za rękę i znów poszliśmy na górę do mojego pokoju się kochać. Nie sądziłam, że będę jeszcze uprawiać seks kilka razy z tym samym mężczyzną. Tylko z kimś przygodnym. Nieznajomym. Jednym z odwiedzających. Z wdowcem. Z kimś na skraju rozpaczy. Jeden raz, dla zabicia czasu.

A teraz szepczemy nad filiżankami z kawą. Nasze dłonie pachną cynamonem i tytoniem. Moje ciało pachnie miłością, różami i potem. Włosy mam potargane, wargi spierzchnięte. Boję się. Za chwilę, kiedy Julien odjedzie – bo odjedzie – powróci samotność, by dotrzymywać mi towarzystwa, wierna i nieśmiertelna.

– A pan, dlaczego nie miał pan innych dzieci po Nathanie?

– Tak samo. Nie spotkałem odpowiedniej matki.

– A co z matką Nathana?

– Kocha innego mężczyznę. Opuściła mnie dla niego.

– To ciężkie przeżycie.

– Oj tak, bardzo ciężkie.

– Wciąż ją pan kocha?

– Nie sądzę.

Wstaje i mnie całuje. Wstrzymuję oddech. To takie cudowne uczucie, jak ktoś człowieka całuje w piękne dni. Nie zawsze wiem, jak się zachować. Zapomniałam te gesty. Uczą człowieka ratować życie innych, ale nie przywracać do życia własne ciało.

– Jak tylko dzieci się obudzą, pojedziemy.

– …

– Jakby pani zobaczyła swoją minę, kiedy przyjechaliśmy… Bardzo źle się, kurwa, poczułem… Jeśliby nie było ze mną Nathana, od razu bym dał dyla.

– To dlatego, że nie jestem przyzwyczajona…

– Już nie wrócę, Violette.

– …

– Nie mam ochoty przyjeżdżać raz w miesiącu, żeby panią ratować na tym cmentarzu.

– …

– Pani życie to zmarli, książki, świece i trochę porto. Miała pani rację, nie ma tu miejsca dla mężczyzny. I to w dodatku takiego, który ma dziecko.

– …

– No i widzę w pani oczach, że nie wierzy pani w tę naszą historię.

– …

– Proszę coś powiedzieć. Niech pani coś powie.

– Wie pan dobrze, że ta nasza historia nie może długo trwać.

– Oczywiście, że to wiem. No, nie, właściwie nic nie wiem. To pani wie. Proszę się od czasu do czasu odezwać. Ale nie za często, bo będę czekał.

84

Oto dziś stanęliśmy nad brzegiem otchłani, bo wszędzie szukamy zagubionej twarzy

Dziennik Irène Fayolle

13 lutego 1999 roku

Nie wiem, jak Gabriel dowiedział się o śmierci Paula. Zauważyłam go dzisiaj rano na cmentarzu Saint-Pierre. Stał nieco dalej, schowany za innym grobem jak złodziej.

Chowają mojego męża, a ja nie mogę oderwać oczu od Gabriela. Kimże ja jestem? Jaki ze mnie potwór!

Spuściłam oczy, by odmówić w milczeniu modlitwę za Paula, a kiedy je podniosłam, Gabriela już nie było. Szukałam go rozpaczliwie wzrokiem, przeczesując każdy zakątek cmentarza, na próżno.

Zaczęłam płakać jak prawdziwa „wdowa”.

Kiedy kobieta traci męża, nazywa się ją wdową. A jak kobieta traci kochanka, to jak ją nazywają? To dobre na piosenkę.

8 listopada 2000 roku

Sprzedaję rozarium.

30 marca 2001 roku

Dziś rano zadzwonił do mnie Gabriel. Dzwoni mniej więcej raz na miesiąc. Za każdym razem, kiedy odbieram telefon, wydaje się zdziwiony, że słyszy mój głos. Wypytuje mnie: „Jak się czujesz? Co robisz? Jak jesteś ubrana? Masz związane włosy? Co teraz czytasz? Byłaś ostatnio w kinie?”. Jakby się upewniał, że naprawdę istnieję. Lub że nadal istnieję.

27 kwietnia 2001 roku

Gabriel przyszedł do mnie na obiad. Podobało mu się moje nowe mieszkanie, powiedział, że jest do mnie podobne.

– Pokoje są jasne i ładnie pachną, tak jak ty.

Rozbawiło go, że mieszkam przy rue Paradis[28]*.*

– Dlaczego?

– Bo ty jesteś moim rajem.

– Pańskim rajem to ja bywam.

– Kojarzysz te krzywe, którymi elektrokardiogram odwzorowuje bicie serca?

– Tak.

– Krzywe mojego serca to ty.

– Pięknie pan mówi.

– Mam nadzieję. Płacą mi za to fortunę.

Powiedział mi, że nie potrafię gotować, że mam większy talent do hodowania kwiatów niż do gotowania mięcha w garze.

Spytał, czy nie brak mi dawnej pracy.

– Nie. Może trochę. Kwiatów może trochę.

Spytał, czy może zapalić w kuchni.

– Tak. Znów pan wrócił do papierosów?

– Tak. To tak jak z tobą, nie mogę przestać.

Jak zazwyczaj, opowiadał mi o bieżących sprawach – dorosłej córce, od której ma bardzo mało wiadomości, i o malutkiej Cloé. Powiedział, że za bardzo mu jej brak, że chyba znów zacznie żyć z jej matką.

– Żeby móc mieszkać z córką, będę musiał wrócić do Karine. A takie powroty to nie moja specjalność.

Spytał mnie o Juliena.

Przed odjazdem złożył na moich ustach pocałunek. Tak jakbyśmy byli dwojgiem nastolatków. „Miłość” ma rodzaj męski czy żeński?

22 października 2002 roku

To dzień z Gabrielem.

Teraz za każdym razem, kiedy bawi przejazdem w Marsylii, przychodzi do mnie na obiad. Zamawia dwa dania dnia w garmażerii na parterze (bo to, co robię do jedzenia ja, jest ohydne: „Za mało masła, za mało śmietany, za mało sosu, robisz wszystko na wodzie, a ja wolę, żeby moje warzywa dusiły się w winie”).

Dzwoni do drzwi, przynosi nam jedzenie na aluminiowych tackach. I zawsze kończy moją porcję. Na ogół nie jadam wiele. A kiedy Gabriel jest w mojej kuchni, jem jeszcze mniej.

Żyje znowu z Karine, żeby być przy Cloé. Tak mi mówi. Co mu zresztą powtarzam: „Tak mi pan mówi”. A on odpowiada: „Nie bądź zazdrosna, nie powinnaś być zazdrosna. O nikogo”.

– Nie jestem zazdrosna.

– Chyba jednak trochę. Ja tam jestem zazdrosny. Widujesz się z kimś?

– A z kim miałabym się widywać?

– Nie wiem, skąd mam wiedzieć? Z jakimś kochankiem, mężczyzną, mężczyznami, jesteś piękna. Wiem, że patrzą na ciebie, kiedy gdzieś

wchodzisz. Wiem, że cię pożądają, gdziekolwiek się pojawisz.

– Widuję się z panem.

– Ale ze sobą nie sypiamy.

– Chce pan dokończyć moją porcję?

– Tak.

5 kwietnia 2003 roku

To dzień z Gabrielem. Zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem, wpadnie pod wieczór, po rozprawie. Muszę kupić aperitif Suze, Gabriel go uwielbia.

Są dni bez Gabriela i dni z Gabrielem.

25 listopada 2003 roku

Wczoraj wieczorem Gabriel zjawił się późno. Dojadł resztkę zupy, jogurt i jabłko. Wypił też kieliszek suze, ale miałam wrażenie, że tylko po to, żeby mi zrobić przyjemność.

– Gdybym usnął, obudź mnie jutro o siódmej, proszę.

Powiedział to tak, jakby miał w zwyczaju u mnie sypiać, chociaż to się nigdy nie zdarzyło. Dwadzieścia minut później zasnął na mojej kanapie. Przykryłam go kocem. Nie zdołałam zmrużyć oka, bo był w sąsiednim pokoju. Mężczyzna z sąsiedztwa. Gabriel to mój mężczyzna z sąsiedztwa, pomyślałam. Przypomniał mi się fragment z filmu Truffauta, Kobieta z sąsiedztwa, *kiedy Fanny Ardant wychodzi ze szpitala i myśląc o kochanku, mówi mężowi, że chce się zabić: „Dobrze, nie zapomniałeś mi przynieść białej bluzki, bardzo ją lubię (wącha bluzkę), bo jest biała”.*

Dziś rano znalazłam Gabriela leżącego na brzuchu, zdjął buty. W salonie unosił się zapach tytoniu; Gabriel wstawał w nocy, żeby zapalić. Jedno z okien było uchylone.

Z żalem pomyślałam, że nie przyszedł do mnie do łóżka. Wziął prysznic, wypił kawę. Między jednym łykiem a drugim powiedział: „Jesteś piękna, Irène”. Jak zwykle, zanim wyszedł, pocałował mnie w usta. Kiedy przychodzi, bierze głęboki oddech, przylgnąwszy do mej szyi. Kiedy wychodzi, całuje mnie w usta.

24 lipca 2004 roku

Postanowiłam przespać się z Gabrielem. W naszym wieku wszystko wolno. Po śmierci przecież nie nadrobimy już straconego czasu. Jak tylko otworzyłam drzwi mieszkania, już wiedział, zobaczył, wyczytał, wyczuł, że mam na niego ochotę.

– Oj, to początek kłopotów – powiedział.

– Nie pierwszy raz.

– Nie, nie pierwszy…

Nie dałam mu czasu na dokończenie zdania.

---

[28] *Paradis* (fr.) – raj.

85

Nie wylewajcie łez nad moją trumną, nie ma mnie tam, nie śpię. Jestem tysiącem wichrów, co wieją

Mój spis dla Nona skończony. W tym roku, podobnie jak w poprzednich, to on mnie będzie zastępował, to on zajmie się podlewaniem kwiatów na grobach rodzin, które wyjechały na wakacje. Elvis zaopiekuje się Éliane i kotami. Ksiądz Cédric zadba o warzywniak i kwiaty w ogrodzie. Dałam mu kartkę zapisaną ręką Sashy – przygotował taką na każdy miesiąc.

SIERPIEŃ

Priorytet miesiąca: podlewanie.

Trzeba podlewać wieczorem, gdyż przez całą noc powietrze jest świeże, byle nie za wcześnie: bo inaczej ziemia jest jeszcze gorąca i woda szybko wyparowuje, a więc zbyt wczesne podlewanie nic nie daje.

Trzeba podlewać tuż przed zmierzchem, konewką – używać wody studziennej lub deszczówki. W czasie podlewania konewką woda płynie małymi strużkami, a nie silnym strumieniem, jak wtedy, kiedy podlewa się wężem. Przy podlewaniu wężem ubija się ziemię i ta przestaje

oddychać. A ziemia oddychać musi. Toteż od czasu do czasu glebę wokół sadzonek należy ostrożnie spulchniać pazurkami, żeby ją napowietrzyć.

Zbierać dojrzałe warzywa.

Pomidory mogą parę dni poczekać.

Bakłażany co trzy dni, bo inaczej grubieją i twardnieją.

Fasolkę codziennie. I od razu spożywać. Albo robić z niej konserwy, albo zamrażać po usunięciu ogonka, albo porozdawać znajomym.

To samo z resztą. Nie zapominaj, że uprawiasz ogród po to, żeby się dzielić, bo inaczej to nie ma sensu.

Ksiądz Cédric nie będzie zajmował się warzywniakiem sam. Po likwidacji nielegalnych obozów pod Calais w zamku w Chardonnay zakwaterowano rodziny Sudańczyków. Jeździ tam trzy razy w tygodniu pomagać woluntariuszom. Młoda para, Kamal i Anita, mają po dziewiętnaście lat, spodziewają się dziecka. Ksiądz Cédric uzyskał w prefekturze pozwolenie, żeby ich zabrać do siebie. Będzie próbował zapewnić im ochronę jak najdłużej po przyjściu na świat dziecka. Chce dać im czas na powrót do nauki, uzyskanie jakiegoś dyplomu, a przede wszystkim prawa stałego pobytu. Sytuacja jest niepewna; ksiądz Cédric mówi, że żyje jak na beczce prochu, ale że ta niepewność napawa go radością. I że przez tyle czasu, ile to potrwa, będzie się cieszył, mogąc dzielić swoją codzienność z tą rodziną. Miesiąc czy dziesięć lat – będzie tym żył.

– Wszystko jest tylko na chwilę, Violette, jesteśmy pasażerami. Jedynie miłość Boga jest stałym punktem wszechrzeczy.

Odkąd Kamal i Anita mieszkają na plebanii, codziennie zaglądają do mojej kuchni i, w przeciwieństwie do innych, zostają dłużej. Anita bardzo

lubi Éliane, a Kamal mój warzywniak. Godziny całe spędza, odszyfrowując kartki Sashy i moje segregatory Willem & Jardins, albo mi pomaga. Jest bardzo pojętny. Kiedy pierwszy raz mu powiedziałam, że ma zieloną rękę, nie zrozumiał i odparł zaskoczony: „Ale, Violette, ja jestem czarny”.

Dałam Anicie elementarz do nauki czytania metodą Boschera *La Journée des Tout Petits*. Czyta mi na głos, a kiedy się pomyli, potknie na jakimś słowie, poprawiam ją, nawet nie zaglądając do książki, znam ją na pamięć.

Gdy Anita otworzyła ją po raz pierwszy, spytała mnie, czy należała do mojego dziecka, na co odpowiedziałam jej pytaniem: „Czy mogę dotknąć twojego brzucha?”. Odpowiedziała: „Tak, dotknij”. Położyłam dłonie na jej bawełnianej sukience. Anita zaczęła się śmiać, bo mój dotyk ją załaskotał. Dziecko kopnęło. Anita powiedziała, że ono też się śmieje. No i śmialiśmy się we troje u mnie w kuchni.

Jeżeli ktoś umrze i trzeba będzie zorganizować pogrzeb, zastąpi mnie Jacques Lucchini. A ponieważ musiałam też dać coś do zrobienia podczas mojej nieobecności Gastonowi, poprosiłam go, żeby odbierał moją pocztę i odkładał ją na etażerkę, która znajduje się obok telefonu. Jestem niemal pewna, że nie stłucze mi żadnego listu.

Z łóżka spoglądam na wciąż jeszcze niezamkniętą walizkę stojącą na komodzie. Skończę ją pakować jutro. Zawsze zabieram do Marsylii za dużo rzeczy. Kiedy jestem w domku, prawie niczego nie noszę. Za dużo mam w swoim bagażu rzeczy „na wszelki wypadek”.

Pierwszy raz zobaczyłam tę walizkę w 1998 roku. Philippe Toussaint wyjechał na zawsze, ale ja jeszcze tego nie wiedziałam. Cztery dni wcześniej pocałował mnie i powiedział cicho: „Do zobaczenia”. Miał porozmawiać z Éloïse Petit, drugą z wychowawczyń. Tylko z nią się jeszcze nie widział. Powiedział mi: „Potem daję sobie spokój. Potem

zmieniamy życie. Już dłużej nie dam tak rady… te groby. Przeprowadzimy się na południe”.

Zmienił życie sam.

W dniu, kiedy miał się spotkać z Éloïse Petit, zmienił zdanie. Zamiast się z nią rozmówić, pojechał w kierunku Bron, do Françoise Pelletier.

Od czterech dni byłam sama. Klęczałam w głębi warzywniaka z nosem w nasturcjach, które przywiązywałam do podpórek z bambusa. Tak jak zawsze, kiedy Philippe’a Toussainta nie było w domu, koty podchodziły bliżej, bawiły się w chowanego wokół mnie, biegały na wyścigi, jeden wywrócił w końcu miseczkę pełną wody i wszystkie aż podskoczyły, wpadając na siebie w panice. Dostałam napadu szaleńczego śmiechu. Usłyszałam, jak znajomy głos mówi do mnie z progu domu: „To dobrze słyszeć, jak się sama do siebie śmiejesz”.

Wydawało mi się, że mam halucynacje. Że to wiatr szumiący w drzewach robi mi kiepski kawał. Podniosłam oczy i zobaczyłam walizkę stojącą na stole pod pergolą. Była niebieska niczym Morze Śródziemne w słoneczne dni. Przed drzwiami stał Sasha. Podeszłam do niego i z niedowierzaniem pogłaskałam go po twarzy. Sądziłam, że o mnie zapomniał.

– Myślałam, że zostawił mnie pan na zawsze – powiedziałam.

– Nigdy, Violette, słyszysz? Nigdy cię nie zostawię.

Opowiedział mi o pierwszych dniach na emeryturze, nieskładnie. Pojechał do Sany’ego, swojego niemal brata, na południe Indii. W Chartres, Besançon, na Sycylii i w Tuluzie zwiedzał pałace, kościoły, klasztory, ulice, cmentarze. Pływał po jeziorach, rzekach i morzach. Leczył schorowane krzyże, kontuzje stawu skokowego i powierzchowne oparzenia. Wracał z Marsylii, gdzie urządził Célii żardiniery z ziołami. Chciał mnie ucałować

przed wyjazdem do Valence na grób Vereny, Émile’a i Ninon, żony i dzieci. Potem znów wyjedzie do Indii, do Sany’ego.

Zostawił rzeczy u pani Bréant. Zostanie u niej na parę nocy, żeby móc się spotkać z merem, Nonem, Elvisem, kotami i całą resztą.

Ta niebieska walizka jest dla mnie. Pełno w niej prezentów. Herbata, kadzidełka, szaliki, tkaniny, biżuteria, miód, oliwa, mydło marsylskie, świece, amulety, książki, płyty z muzyką Bacha, nasiona słoneczników ozdobnych. Wszędzie, gdzie zawitał, kupował dla mnie jakiś prezent.

– Przywiozłem ci ślad każdej podróży.

– Walizkę też?

– Oczywiście, ty też któregoś dnia wyjedziesz.

Ze łzami w oczach zrobił obchód ogrodu. „Uczennica przerosła mistrza… Byłem pewien, że ci się uda”, powiedział.

Zjedliśmy razem obiad. Za każdym razem, kiedy w oddali słyszałam warkot motoru, myślałam, że to może Philippe Toussaint wraca. Ale nie.

*

Dziewiętnaście lat później łapię się na tym, że czekam na innego mężczyznę. Rano, kiedy otwieram bramę, wypatruję na parkingu samochodu. Czasami, gdy idąc alejką, słyszę za sobą kroki, odwracam się z myślą: Jest, wrócił.

Wczoraj wieczorem wydawało mi się, że ktoś puka do drzwi od strony ulicy. Zeszłam, ale nie było nikogo.

A przecież kiedy Julien zatrzasnął drzwi samochodu i powiedział: „Do zobaczenia”, jakby mi mówił „Żegnaj”, nie zrobiłam nic, żeby go zatrzymać. Uśmiechnęłam się do niego i pewnym siebie głosem powiedziałam: „Tak, dobrego powrotu”, dokładnie tak, jakbym mu mówiła: „Tak będzie lepiej”. Gdy Nathan i Valentin machali do mnie rękami

z tylnego siedzenia samochodu, już wiedziałam, że nigdy więcej ich nie zobaczę.

Od tamtego dnia Julien odezwał się do mnie tylko raz. Przysłał kartkę pocztową z Barcelony, żeby dać znać, że Nathan i on spędzą tam razem dwa letnie miesiące. I że matka Nathana będzie ich od czasu do czasu odwiedzać.

Spotkanie Irène i Gabriela przysłużyło się Julienowi i matce Nathana. Ja byłam kładką, pomostem między nimi. Trzeba było, by Julien mnie poznał, aby zrozumiał, że nie może stracić matki swojego dziecka. A dzięki Julienowi ja wiem, że mogę się jeszcze kochać. Że mogę być pożądana. A to już coś!

86

Przyszliśmy tu poszukać, poszukać czegoś lub kogoś.
Poszukać tej miłości silniejszej od śmierci

Styczeń 1998 roku

Tego dnia, kiedy Violette widziała go w Mâcon, sam na sam ze Swanem Letellierem, Philippe poczuł na sobie jakieś spojrzenie. Jakąś znajomą obecność za plecami. Nie przejął się tym. W każdym razie nie do końca. Nie na tyle, żeby się odwrócić. Teraz Swan Letellier siedział na wprost niego. Szczurza twarz. Tak samo Philippe pomyślał już w sądzie. Malutkie, głęboko osadzone oczka, policzki wycięte jakby nożycami ogrodniczymi, cienkie usta.

Przez telefon Letellier powiedział mu: „Spotkajmy się w barze na rogu koło południa, to spokojne miejsce”.

Philippe zadawał mu takie same pytania jak pozostałym. Jego lodowaty głos, intonacja i spojrzenie wieściły zagrożenie: „Nie kłam, nie mam nic do stracenia”. Zawsze kładł nacisk na ostatnie pytanie: Kto mógł uruchomić rozpadający się stary bojler?

Letellier chyba nie wiedział, co stało się tamtej nocy. Zrobił się trupio blady, kiedy Philippe streścił mu jednym tchem to, czego dowiedział się od Alaina Fontanela: Geneviève Magnan idzie pocałować na dobranoc ich

chorego syna, następnie wraca do zamku i panikuje, znalazłszy ciała czterech zatrutych czadem dziewczynek, pomysł z podłożeniem ognia, żeby upozorować nieszczęśliwy wypadek, Fontanel walący w drzwi Letelliera na piętrze, żeby obudzić jego i resztę personelu.

Letellier nie uwierzył w tę historię. Fontanel to alkoholik, opowiedział byle co ojcu, który szuka wyjaśnienia dla czegoś, czego nie da się wyjaśnić.

Przypomniał sobie głuchy łomot do drzwi. Trudny powrót do rzeczywistości po tym, jak najarali się jointów z wychowawczynią. Swąd, dym, ogień. Że do pokoju numer jeden nie dało się wejść, płomienie sięgały już za wysoko, że to była przeszkoda nie do pokonania. Brama do piekieł. Ten moment, kiedy człowiek sobie powtarza, że to jakiś koszmar, że nic tu nie jest rzeczywiste. Przypomniał sobie dziewczynki stojące na zewnątrz w koszulkach nocnych, z gołymi nogami w chodakach lub niepozawiązywanych butach, i personel z obłędem w oczach. Starą Croquevieille, która nie mogła złapać tchu. I wszystkich pozostałych, zszokowanych, drżących, zawodzących. Czekanie na strażaków. Liczenie wyprowadzonych z zamku dzieci. Ich zaspane oczy, podczas gdy oni nigdy już nie będą mogli spać spokojnie. Zatrwożone widokiem płomieni i bladych twarzy dorosłych dziewczynki przywołują rodziców. Trzeba było do nich dzwonić, zawiadomić każdego po kolei. Trzeba ich było też okłamywać, nie mówić, że tam w środku zginęły cztery dziewczynki.

Swan Letellier dodał, że jeszcze dzisiaj ma poczucie winy. Wszystko to może by się nie zdarzyło, gdyby wychowawczyni została na parterze.

Lucie Lindon i on sam niczego nie powiedzieli władzom na temat Geneviève Magnan, bo czuli się winni. Lucie Lindon nie powinna była prosić tej kobiety o zastępstwo. Ale Letellier nalegał. Wszyscy nie dopełnili swoich obowiązków.

Croquevieille oszczędzała na czym się dało, byle tylko nie wydać ani centyma: źle przyklejone linoleum w pokojach, azbest pod dachem, wełna szklana, która przestała zapewniać jakąkolwiek izolację, dawno niemalowane ściany, ołowiane rury kanalizacyjne, toteż pożarowi, który zbyt szybko się rozprzestrzenił, towarzyszył trujący dym wydobywający się z przestarzałego wyposażenia kuchni. Nie, nikt nie był czysty, ani Magnan, ani Lindon, ani Fontanel, ani on. Wszyscy byli umoczeni po pachy i nie dawało mu to spokoju… Jedyna rzecz, której był pewien, to to, że nikt nie uruchomił rozmyślnie jednego z bojlerów. Cały personel wiedział, że nie wolno ich dotykać. Te stare urządzenia znajdowały się w szafkach i dzieci nie miały do nich dostępu. Doskonale pamiętał, co powiedziała Édith Croquevieille w przeddzień przybycia pierwszych letników: „Jest pełnia lata, nasi pensjonariusze będą mogli się odświeżyć zimną wodą, a myć się będą w ciepłej w niedawno oddanej do użytku łazience z prysznicami”. Swan Letellier pamiętał te słowa, bo to on zajmował się kuchnią i wydawaniem dań. Jego domeną były frytkownice i jadalnia. Zamkowe łazienki zupełnie go nie obchodziły.

Zamilkł. Wypił parę łyków kawy, oczy miał zmęczone; trawił w milczeniu to, co przed chwilą powiedział mu Philippe. Czy można dawać wiarę tej nieprawdopodobnej wersji? Że to niby Fontanel podłożył ogień w kuchni? Że niby dzieci zatruły się czadem wcześniej? Gestem dłoni zamówił jeszcze jedno espresso u kelnera. Widać było, że jest tu bywalcem. Ludzie mówili mu na ty.

Kiedy Letellier dowiedział się o samobójstwie Geneviève Magnan, nie zdziwiło go to. Od tamtej nocy była tylko cieniem samej siebie. Wystarczyło zobaczyć, w jakim stanie była podczas procesu. Ostatnim razem rozmawiał z nią w dzień spotkania z kobietą czekającą na niego przed restauracją, w której pracował. Zadzwonił spanikowany do

Geneviève, żeby powiedzieć jej, że ta kobieta go wypytywała. Philippe usłyszał swoje brutalne pytanie:

– Jaką kobietą?

– Pańską żoną.

– Musiał ją pan pomylić z kimś innym.

– Nie sądzę. Sama mi powiedziała: „Jestem matką Léonine Toussaint”.

– Jak wyglądała?

– Było ciemno, nie pamiętam. Czekała na mnie przed restauracją, na ławce. Nie wiedział pan o tym?

– Kiedy to było?

– Jakieś dwa lata temu.

Philippe dość już miał słuchania. Jeszcze za dużo powie. To on tu przyjechał zadawać pytania, a nie żeby jego przesłuchiwano. Podniósł się i mruknął „Do widzenia”. Letellier spojrzał na niego, nic nie rozumiejąc. Philippe’owi wydało się, że zobaczył Violette za szybą, na chodniku. Tracę rozum, pomyślał. Wrócił od razu do Brancion.

*

Po raz pierwszy zastał dom na cmentarzu pusty. Po raz pierwszy obszedł wszystkie alejki, na próżno.

Kim tak naprawdę jest Violette? Co robi, kiedy on znika na całe dnie? Z kim się spotyka? Czego szuka?

Wróciła dwie godziny po nim. Była bardzo blada, kiedy weszła do środka. Wpatrywała się w niego uważnie przez parę sekund, jakby się dziwiła, że w kuchni jest ktoś obcy. Po czym podała mu kawałek papieru. „Léonine umarła od zatrucia czadem?”, zapytała.

Na wyświechtanym papierku rozpoznał swoje pismo, nazwiska nagryzmolone na odwrocie serwetki, prawie niewidoczne. Rozmyty tusz

sprawiał, że stały się niemal nieczytelne.

Pytanie Violette wstrząsnęło nim. Szukał jakiegoś kłamstwa i nie znajdował go. Mamrotał coś bez ładu i składu, tak jakby Violette zastała go właśnie w ramionach jednej z kochanek:

– Nie wiem, może, szukam odpowiedzi… Nie wiem, czy wiem, czy chcę, jestem trochę zagubiony.

Podeszła do niego i pogłaskała go po twarzy z nieskończoną czułością. Po czym ruszyła na górę położyć się do łóżka, nie powiedziawszy ani słowa. Nie nakryła do stołu ani nie przygotowała kolacji. Kiedy położył się obok niej, ujęła jego dłoń i znowu spytała: „Léonine umarła od zatrucia czadem?”. Jeśli on będzie dalej milczał, nie przestanie zadawać tego pytania.

I wtedy Philippe opowiedział wszystko. Nie wspomniał tylko o znajomości z Geneviève Magnan. Opowiedział o rozmowach z Alainem Fontanelem – w tym o tej pierwszej, kiedy obił mu pysk w kafeterii, w szpitalu, gdzie ten pracuje – z Édith Croquevieille w Épinalu, na podziemnym parkingu supermarketu, i ze Swanem Letellierem, dzisiaj, w barze w Mâcon.

Violette słuchała w milczeniu, trzymając go za rękę. Opowiadał przez parę godzin w tonącej w mroku sypialni, nie widząc jej twarzy. Czuł, że słucha z uwagą, że wisi na jego ustach.

– Czy to prawda, że pojechałaś się spotkać z Letellierem?

Odpowiedziała bez zastanowienia:

– Tak. Już jakiś czas temu. Musiałam wiedzieć.

– A teraz?

– Teraz mam swój ogród.

– Z kim się jeszcze widziałaś?

– Z Geneviève Magnan, raz. Ale to już wiesz.

– Z kim jeszcze?

– Z nikim. Tylko z Geneviève Magnan i ze Swanem Letellierem.

– Przysięgniesz mi to?

– Tak.

87

Żadnych wyrzutów sumienia. Żadnych żalów. Życie całkiem spełnione

Jeszcze dzisiaj, jak oglądam *Fanny*, *Mariusa* czy *Césara* w telewizji, mam łzy w oczach, gdy słyszę pierwsze kwestie, chociaż znam je na pamięć. Łzy dzieciństwa, radości i podziwu, które się ze sobą mieszają. Lubię czarno-białe twarze Raimu, Pierre'a Fresnaya i Orane Demazis. Lubię każdy ich gest, spojrzenie. Ojciec, syn, młoda kobieta i miłość. Chciałabym mieć takiego ojca, który by na mnie patrzył tak, jak César patrzy na swojego syna Mariusa. Chciałabym mieć taką młodzieńczą miłość jak uczucie Fanny i Mariusa.

Kiedy po raz pierwszy obejrzałam *Mariusa*, pierwszą część trylogii, mogłam mieć jakieś dziesięć lat. Byłam sama w mojej rodzinie zastępczej. Pamiętam, że inne dzieci pojechały na wakacje lub w odwiedziny do krewnych. Było lato, następnego dnia nie mieliśmy szkoły. Moja rodzina podejmowała przyjaciół, urządzili grilla w ogrodzie. Pozwolono mi wstać od stołu. Kiedy weszłam do jadalni, zobaczyłam wielki ekran, telewizor był włączony. I wtedy odkryłam tę czarno-białą opowieść. Film leciał już od pół godziny. Fanny roniła łzy na kraciasty obrus w kuchni, siedząc na wprost matki krojącej chleb. Pierwsza kwestia, którą usłyszałam, brzmiała:

„No dalej, ty głupia, jedz tę zupę i nie płacz mi tylko w talerz, i tak jest przesolona”.

Od razu zafascynowały mnie twarze i dialogi, humor i czułość. Nie mogłam się oderwać. Tego wieczoru położyłam się spać bardzo późno, obejrzałam całą trylogię.

Wciąż mi się podoba uniwersalna i złożona prostota ich uczuć. Słowa, które mówią, tak piękne, tak słuszne. Melodia ich głosów.

Sądzę, że pokochałam Marsylię i marsylczyków, zanim ich poznałam; to było jakby przeczucie, proroczy sen. Czuję to piękno w stanie surowym za każdym razem, kiedy wracam do Sormiou, gdy schodzę stromą ścieżką nad morze. Rozumiem Marcela Pagnola, rozumiem, że postacie z jego trylogii biorą się właśnie stąd. Z tych stromych skał, wyblakłych od słońca, prażącego upału, z tej turkusowej i przejrzystej wody, bawiącej się w chowanego z błękitnym niebem, z tych sosen, które natura tak po prostu tu posadziła. Ten krajobraz nie jest zmanierowany, lecz prosty i majestatyczny. Oczywisty. Zamiłowanie Mariusa do morza. Pan Panisse, który „szyje żagle, żeby wiatr zabierał dzieci innych”, jak mówi César.

Kiedy wraz z Célią otwieram czerwone okiennice w domku, gdy widzę starą szafę w kuchni, stół z surowego drewna, ze stojącymi przy nim żółtymi krzesłami, i suszarkę do naczyń nad zlewem, niewielkie bukieciki suszonej lawendy, kafelki każdy z innej parafii i lazurową lamperię, zawsze przychodzi mi na myśl César, który nie pozwala Mariusowi i Fanny się całować, bo ona jest żoną innego mężczyzny: „Dzieci, nie, nie róbcie tego, Panisse to zacny człek, nie wystawiajcie go na pośmiewisko, bo drwić z niego będą nawet rodzinne meble”.

Domek zbudował w 1919 roku ojciec matki Célii. Przed śmiercią kazał jej obiecać, że go nigdy nie sprzeda. Bo ten dach wart jest wszystkich pałaców świata.

Teraz to już będą dwadzieścia cztery lata, jak tu przyjeżdżam. I każdego lata w przeddzień mojego przyjazdu Célia szykuje mi czystą pościel i napełnia lodówkę. Kupuje kawę i filtry, cytryny, pomidory i brzoskwinie, ser owczy, proszek do prania i wino z okolic Cassis. Na nic się zdają moje błagania, na próżno mówię, że sama mogę zrobić zakupy, a przynajmniej zwrócić jej za nie pieniądze; nie chce tego słuchać i za każdym razem mi powtarza: „Zaoferowałaś mi u siebie gościnę, chociaż mnie nie znałaś”. Próbowałam zostawić kopertę z pieniędzmi w szufladzie. Tydzień później Célia odesłała mi ją pocztą.

Gdy tylko otworzę okiennice i poukładam ubrania, schodzę na dół, do zatoczki, do paru rybaków, którzy tu mieszkają przez okrągły rok. Opowiadają mi o morzu, które traci coraz więcej ryb, podobnie jak tutejsi ludzie południowy akcent. Dostaję od nich w prezencie jeżowce, ośmiorniczki i słodkie desery przygotowane przez ich żony lub matki.

Célia stała przy wyjściu z peronu. Pociąg przyjechał z godzinnym opóźnieniem, pachniała kawą, którą wypiła, czekając na mnie. Cały rok jej nie widziałam. Padłyśmy sobie w ramiona i uściskałyśmy się.

– No i co tam nowego, Violette? – spytała.

– Philippe Toussaint nie żyje. No i przyszła do mnie Françoise Pelletier.

– Kto?

88

Tam, gdzie jestem, uśmiecham się, bo życie miałam piękne, a przede wszystkim kochałam

Philippe Toussaint nigdy nie wrócił i Sasha został u pani Bréant.

Nie wiedziałam tego jeszcze w dniu, w którym otworzyłam niebieską walizkę pełną prezentów. Powiedziałam Sashy, że mężczyzna, z którym dzielę życie, nigdy tak naprawdę go nie dzieląc, jest zapewne o wiele lepszy, niż to po sobie pokazuje.

Zanim się dowiedziałam, wyznałam Sashy, że ujrzałam w innym świetle mężczyznę, którego miałam za egoistę, którego już nie słucham i na którego przestałam patrzeć, który mnie porzucił, strącił w otchłań samotności – kiedy go zobaczyłam w barze w Mâcon ze Swanem Letellierem.

Zanim się dowiedziałam, zwierzyłam się Sashy, że tego wieczoru, po powrocie z Mâcon, Philippe Toussaint powiedział mi, że usiłował dojść prawdy o przebiegu wydarzeń. Że przeprowadzał rozmowy z personelem zamku, czasami natarczywe. W czasie procesu nie dawał wiary nikomu. Tylko Éloïse Petit do tej pory nie odnalazł.

Mąż opowiedział mi o Alainie Fontanelu i o innych. Wzięłam go za rękę z obawy, że spadnę na podłogę, chociaż leżeliśmy w łóżku jedno obok

drugiego. Wyobrażałam sobie słowa i twarze tych, którzy po raz ostatni widzieli moją córeczkę żywą. Tych, którzy nie zadbali o nią, o jej uśmiech. Tych, którzy dopuścili się zaniedbań.

Dzieci pozostały same, podczas gdy wychowawczyni i kucharz kopulowali na piętrze i palili jointy. Geneviève Magnan wyszła, zostawiła dzieci bez nadzoru. Dyrektorka, w stylu tych, co to zamiatają wszystko pod dywan, potrafiła tylko inkasować czeki od rodziców.

Żeby nie umrzeć, kiedy mi powtarzał słowa Fontanela o niedziałającym bojlerze i zaczadzeniu, koncentrowałam się na zapachu nowego proszku, którego użyłam wczoraj do prania pościeli, zapachu Pasat. Żeby nie krzyczeć, przypominałam sobie na okrągło motywy ozdobne pudełka z proszkiem, różowe i białe tahitańskie gardenie. Kwiaty te przeniosły mnie w świat motywów na sukienkach Léonine. Były one niczym wyimaginowane latające dywany, na które wsiadałam, kiedy teraźniejszość stawała się nie do zniesienia. Przez całą noc oddychałam zapachem tej czystej pościeli, słuchając, jak Philippe Toussaint chyba po raz pierwszy w życiu mi coś opowiada.

Zanim się dowiedziałam, znowu pogłaskałam go po twarzy i kochaliśmy się tak jak za młodu, dopóki jego rodzice nie zjawili się u nas bez uprzedzenia. Zanim się dowiedziałam, że jeździł pieprzyć Geneviève Magnan, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w Malgrange-sur-Nancy, po raz pierwszy mu uwierzyłam.

*

Philippe Toussaint nigdy nie wrócił i Sasha został u pani Bréant.

W 1998 roku, po miesiącu od zniknięcia męża, poszłam na posterunek żandarmerii, żeby to zgłosić. Zrobiłam to za radą mera. Inaczej bym się nie

pofatygowała. Brygadier, który mnie przyjął, zrobił dziwną minę. Dlaczego tak długo zwlekałam ze zgłoszeniem zaginięcia?

– Bo on często wyjeżdżał.

Zaprowadził mnie do biura obok recepcji, żeby wypełnić jakiś formularz, i zaproponował mi kawę. Nie ośmieliłam się mu odmówić.

Przedstawiłam rysopis Philippe’a. Policjant poprosił mnie, żebym mu przyniosła jakieś zdjęcie. Nie robiliśmy sobie żadnych zdjęć od czasu przyjazdu na cmentarz. Na ostatnim, pochodzącym z Malgrange-sur-Nancy, obejmował mnie ramieniem w pasie ku uciesze dziennikarza.

Brygadier poprosił, żeby mu powiedzieć, jakiej marki ma motocykl, jak był ubrany ostatnim razem, kiedy go widziałam.

– Dżinsy, buty z czarnej skóry do jazdy na motorze, kurtka typu bomber i czerwony golf.

– Jakieś znaki szczególne? Tatuaż? Znamię? Widoczne pieprzyki?

– Nie.

– Czy wziął ze sobą jakieś rzeczy, dokumenty, coś, co mogłoby wskazywać, że planuje długotrwałą nieobecność?

– Jego gry wideo i zdjęcia naszej córki zostały w domu.

– Czy zachowanie męża lub przyzwyczajenia uległy zmianie w ostatnich tygodniach?

– Nie.

Nie powiedziałam mu, że ostatnim razem, kiedy widziałam Philippe’a Toussainta, wybierał się do Valence, gdzie pracowała Éloïse Petit. Wpadł na jej trop; była tam bileterką w kinie. Zadzwonił do niej z domu, umówiła się z nim na spotkanie w czwartek następnego tygodnia o czternastej przed kinem.

Tego dnia Éloïse Petit zadzwoniła po południu. Musiała odnaleźć numer, z którego Philippe Toussaint się z nią skontaktował. Podnosząc słuchawkę, myślałam, że to z merostwa. Regularnie dzwonili do mnie o tej godzinie, żeby mnie poinformować o jakimś pochówku lub poprosić o udzielenie informacji na temat tych, które już się odbyły, o podanie nazwiska, imienia, daty urodzenia, numeru alejki. Kiedy Éloïse Petit się przedstawiała, jej głos drżał. Nie od razu zrozumiałam jej słowa. Kiedy sobie w końcu uświadomiłam, kim jest, znaczenie jej telefonu, dłonie mi zwilgotniały, zaschło mi w gardle.

– Był jakiś problem? – spytałam.

– Problem? Pan Toussaint się nie pojawił, mieliśmy się spotkać o czternastej, czekam na niego przed kinem od dwóch godzin.

Każdy od razu pomyślałby, że miał wypadek, zacząłby dzwonić do szpitali pomiędzy Mâcon i Valence, każdy spytałby Éloïse Petit: „Gdzie byłaś w nocy, kiedy pokój numer jeden się spalił? Spałaś spokojnie tuż obok?”. Ale ja jej powiedziałam, że tu nie ma czego rozumieć, Philippe Toussaint zawsze był i będzie nieprzewidywalny.

Po drugiej stronie nastąpiła długa chwila ciszy i w końcu Éloïse Petit odłożyła słuchawkę.

Nie powiedziałam brygadierowi, że siedem dni po „zniknięciu” Philippe’a Toussainta, siedem dni po spotkaniu z Éloïse Petit, na którym się nie zjawił, jakaś młoda kobieta przyszła odwiedzić grób dzieci, mojego dziecka. I że, poruszona, przyszła do mnie, podobnie jak wielu innych odwiedzających, kupić kwiaty i napić się czegoś ciepłego. Kiedy ją zobaczyłam przed moimi drzwiami, od razu ją poznałam: Lucie Lindon. Na zdjęciu, które zachowałam, była młodsza, ubrana kolorowo i uśmiechnięta. U mnie w kuchni była blada i miała podkrążone oczy.

Zrobiłam jej herbatę, do której dodałam parę kropel gorzałki – dziwne, bo wolałabym jej dodać trutkę na szczury. Kazałam jej wypić całą filiżankę i malutki kieliszeczek alkoholu, drugi kieliszeczek, potem trzeci. I tak jak się spodziewałam, w końcu się otworzyła.

Ciągle mam te ślady od paznokci po wewnętrznej stronie lewej dłoni. Zrobiłam je sobie, słuchając tego, co Lucie Lindon mówi. Od tamtego dnia moje linie życia pokryte są bliznami. Pamiętam skrzepłą krew na wewnętrznej stronie tej dłoni, zaciśniętej w pięść, żeby ona niczego nie zauważyła, żeby nigdy się nie dowiedziała.

Lucie Lindon powiedziała mi, że należała do personelu zamku Notre-Dame-des-Prés.

– Wie pani, te kolonie letnie, gdzie wszystko spłonęło pięć lat temu, czwórka dzieci leży tu pochowana. Od tamtej tragedii nie sypiam, ciągle widzę płomienie, od tej tragedii jest mi wciąż zimno.

Mówiła dalej. A ja nadal ją obsługiwałam. Z zaciśniętą lewą pięścią, paznokciami wbitymi w ciało, cierpiałam za bardzo, żeby odczuwać ból fizyczny. Kiedy skończyła swój monolog, w końcu wyrzuciła z siebie, że „ta biedna Geneviève Magnan” miała romans z ojcem małej Léonine Toussaint.

– Miała romans?

W ustach czułam jakby smak żelaza. Smak krwi. Jakbym miała w ustach stal. Udało mi się jednak powtórzyć: „Miała romans?”.

To ostatnie słowa, jakie wypowiedziałam w obecności Lucie Lindon. Później zamilkłam. Potem ona wstała, żeby wyjść. Patrzyła na mnie uważnie. Wierzchem dłoni otarła potoki łez z oczu, nosa i ust. Głośno pociągnęła nosem i miałam ochotę ją uderzyć.

– Tak, z ojcem małej Léonine Toussaint. To było rok lub dwa lata przed tą tragedią. Kiedy Geneviève pracowała w jakimś przedszkolu… Chyba

koło Nancy.

Nie powiedziałam brygadierowi, że krzyczałam z nienawiści i bólu w ramionach Sashy, gdy zrozumiałam, że to Magnan zabiła czwórkę dzieci, żeby się zemścić na nim, na nas, na naszej córce. Nie powiedziałam mu, że Philippe Toussaint wypytywał personel zamku, w którym nasze dziecko spotkała śmierć. I to po procesie, bo już nikomu nie wierzył. I nie bez przyczyny. Usiłował za wszelką cenę uwolnić się od winy. On nie szukał winnego, ale dowodu, że to nie on zawinił.

W końcu brygadier spytał mnie, czy Philippe Toussaint mógł mieć kochankę.

– Dużo.

– Jak to dużo?

– Mój mąż zawsze miał dużo kochanek.

Wyglądał jak człowiek, który się źle poczuł. Brygadier długo się wahał, zanim zapisał w swoim formularzu, że Philippe Toussaint rżnął wszystko, co się rusza. Z lekka poczerwieniał i podał mi jeszcze jedną filiżankę kawy. Zadzwoni, jak będzie coś nowego. Roześle informację o zaginięciu. Nie widziałam więcej tego człowieka, aż do dnia pochówku jego matki, Josette Leduc, z domu Berthomier (1935–2007). Uśmiechnął się do mnie smutno, kiedy mnie zobaczył.

*

Gdy dowiedziałam się, że Philippe Toussaint miał romans z Geneviève Magnan, straciłam Léonine po raz drugi. Jego rodzice zabrali mi ją w wyniku wypadku, on zabrał mi ją rozmyślnie. Z wypadku zrobiło się zabójstwo.

Niszczyłam swoje wspomnienia, szukając po raz tysiączny tych poranków, kiedy odprowadzałam córkę do szkoły, tych popołudni, gdy

szłam ją odebrać, robiłam wszystko, żeby sobie przypomnieć tę kobietę stojącą w głębi sali, na korytarzu, przy wieszakach, na placu zabaw, dziedzińcu, jakieś słowo, zdanie, które mogła do mnie powiedzieć. Choćby „Dzień dobry” albo „Do widzenia, do jutra”, „Ładna pogoda”, „Proszę ją ciepło ubrać, żeby się nie przeziębiła”, „Dzisiaj wyglądała na zmęczoną”, „Zapomniała dzienniczka, tego w niebieskiej okładce”. W czasie przedszkolnych imprez, między śpiewaniem piosenek i rzucaniem serpentyn, rozmowy, jakie mogła prowadzić z moim mężem. Spojrzenia, uśmiech, gest. Ciche wspólnictwo, zmowa kochanków.

Próbowałam dociec, kiedy się spotykali, na jak długo, dlaczego zemściła się na dzieciach, co Philippe Toussaint jej zrobił, że doprowadził ją do popełnienia takiego czynu. Szukałam tak uporczywie, że biłam głową w ścianę. Ale niczego nie znalazłam. Nawet siebie samej.

Widziałam ją kiedyś przelotnie, nawet jej się nie przyjrzałam; była jednym z tych przedszkolnych sprzętów, które zamykano przede mną na cztery spusty w szufladach. Nawet sobie nie możesz przypomnieć, Violette. Kiedy się dowiedziałam o tym, co było nie do przyjęcia, Sasha musiał codziennie zastępować mnie na cmentarzu. Do niczego się nie nadawałam. Siedziałam albo leżałam ogłupiała, wciąż szukając.

Gdyby nie przyjechał w tym momencie mojego życia z tą swoją niebieską walizką i prezentami, tym razem Philippe Toussaint by mnie załatwił. Sasha znowu się mną zajął. Nie po to, żeby mnie uczyć ogrodnictwa, ale żebym zdołała przetrwać tę nową zamieć, która się we mnie rozpętała. Masował mi stopy i plecy, robił mi herbatę, wodę z cytryną i zupy. Gotował makaron i poił mnie winem. Czytał mi książki i zajął się ogrodem na tyle, na ile było trzeba. Sprzedawał moje kwiaty, podlewał je i towarzyszył pogrążonym w smutku rodzinom. Powiedział pani Bréant, że zostanie u niej przez czas bliżej nieokreślony.

Codziennie zmuszał mnie, żebym wstała z łóżka, umyła się, ubrała. Nie pozwalał mi znowu się położyć. Przynosił mi na górę tace z posiłkami, zmuszał do jedzenia, narzekając: „Tylko mi nie mów o emeryturze po tym wszystkim, co tu muszę przez ciebie przeżywać”. Nastawiał w kuchni muzykę i zostawiał drzwi na korytarz otwarte, żebym ją mogła słyszeć z łóżka.

Po czym, podobnie jak cmentarne koty, poczułam ciepło słońca w sypialni, a nawet pod pościelą. Rozsunęłam firanki, otworzyłam okna. Zeszłam do kuchni, nastawiłam wodę na herbatę i wywietrzyłam całe pomieszczenie. Wróciłam wreszcie do ogrodu. W końcu zmieniłam kwiatom wodę. Znowu zaczęłam przyjmować rodziny, podawać ludziom coś ciepłego lub mocniejszego. Ciągle tylko narzekałam: „Zdaje pan sobie sprawę, Sasha? Philippe Toussaint i Geneviève Magnan byli kochankami!”. Przez cały dzień powtarzałam mu w kółko to samo: „Nawet nie mogę na nią donieść, bo nie żyje. Zdaje pan sobie sprawę, Sasha? Nie żyje!”.

– Violette, musisz przestać szukać powodów, inaczej się zatracisz – przemawiał mi do rozsądku. – To, że się znali, wcale nie znaczy, że się zemściła na dzieciach. To pewnie jakiś straszny zbieg okoliczności, wypadek. Naprawdę. Tylko wypadek.

Chociaż w kółko powtarzałam jedno i to samo, Sasha i tak mnie przekonał. O ile Philippe Toussaint rozsiewał wokół siebie samo zło, to Sasha siał samo dobro.

– Violette, bluszcz dławi drzewa, pamiętaj zawsze, żeby go przycinać. Zawsze. Jak tylko myśli zawiodą cię w mrok, weź sekator i tnij te swoje nieszczęścia.

Philippe Toussaint zniknął w czerwcu 1998 roku.

Sasha wyjechał z Brancion-en-Chalon dziewiętnastego marca 1999 roku. Zrobił to, gdy tylko zyskał pewność, że sobie uświadomiłam, że ta

tragedia to był wypadek, a nie rozmyślne działanie.

– Violette, jak już będziesz mieć w sobie to przekonanie, będziesz potrafiła dalej żyć.

Myślę, że wyjechał w początkach wiosny, żebym miała przed sobą całe lato na pogodzenie się z jego nieobecnością. Zakwitną znów kwiaty.

Często opowiadał o swojej ostatniej podróży. Ale jak tylko o tym wspomniał, czuł, że nie jestem jeszcze gotowa, żeby pozwolić mu odjechać. Chciał polecieć do Bombaju i pojechać na samo południe Indii, do Amritapuri w stanie Kerala. Chciał się tam zatrzymać, tak jak u pani Bréant, na czas nieokreślony. Często powtarzał:

– Pojechać umrzeć do Kerali, obok Sany'ego, to moje stare marzenie. Tak czy inaczej, w moim wieku żadne marzenie nie jest świeżej daty. Wszystkie są stare.

Sasha nie chciał zostać pochowany obok Vereny i dzieci. Pragnął, by ciało jego spłonęło na stosie, tam, nad Gangesem.

– Mam siedemdziesiąt lat i jeszcze parę lat przed sobą. Zobaczę, co da się zrobić z tą ich ziemią. W jaki sposób mogę przekazać tę swoją niewielką wiedzę o roślinach. No i będę dalej mógł przynosić ulgę cierpiącym. Cieszę się z tych planów.

– Podaruje pan swoje zielone ręce Hindusom?

– Temu, kto tylko zechce z nich skorzystać, tak.

Któregoś wieczoru jedliśmy kolację we dwoje i rozmawialiśmy o Johnie Irvingu, o *Regulaminie tłoczni win*. Powiedziałam Sashy, że jest moim osobistym doktorem Larchem, moim zastępczym ojcem. A on odparł, że nadejdzie niedługo taki dzień, kiedy przestanie mnie prowadzić za rękę, że czuje, że jestem już na to gotowa. Że nawet ojcowie zastępczy powinni dać dzieciom odejść. Że pewnego ranka nie przyjdzie do domu ze świeżym chlebem i „Journal de Saône-et-Loire".

– Ale chyba nie wyjedzie pan bez pożegnania?!

– Jeśli miałbym się z tobą żegnać, Violette, nigdy bym nie wyjechał. Wyobrażasz nas sobie, jak się obejmujemy na peronie? To byłoby nieznośne. Czy nie sądzisz, że już dosyć smutku nas spotkało w życiu? Moje miejsce już nie jest tutaj. Jesteś młoda i piękna, chcę, żebyś sobie ułożyła życie na nowo. Poczynając od jutra, codziennie będę ci mówił „Do widzenia”.

Dotrzymał obietnicy. Od następnego dnia każdego wieczoru, zanim poszedł do pani Bréant, brał mnie w ramiona, mówiąc: „Do widzenia, Violette, dbaj o siebie, kocham cię”, tak jakby to było po raz ostatni. A dzień później powracał. Kładł bagietkę i gazetę na stole, między puszkami z herbatą i magazynami na temat kwiatów, drzew i ogrodów. Po czym wdawał się w rozmowę z braćmi Lucchinimi, Nonem i całą resztą. Wychodził na cmentarz z Elvisem, żeby zajrzeć do kotów. Udzielał informacji odwiedzającym, którzy szukali właściwej alejki lub jakiegoś nazwiska. Pomagał Gastonowi przy odchwaszczaniu. A wieczorem po kolacji, którą jedliśmy razem, znowu brał mnie w ramiona i mówił: „Do widzenia, Violette, dbaj o siebie, kocham cię”, tak jakby to był ostatni raz.

Te jego pożegnania trwały przez całą zimę. Aż rankiem dziewiętnastego marca 1999 roku nie przyszedł. Poszłam do pani Bréant. Sasha wyjechał. Już od paru dni miał spakowaną walizkę i poprzedniego wieczoru w końcu postanowił zrealizować swoje stare marzenie, to najstarsze.

89

Żyliśmy razem szczęśliwi. Spoczywamy razem w pokoju

Dziennik Irène Fayolle

13 lutego 2009 roku

Zadzwoniła do mnie dawna ekspedientka z rozarium: „Pani Fayolle, w telewizji właśnie powiedzieli, że pani przyjaciel, ten adwokat, miał dziś rano w sądzie atak serca… Umarł na miejscu”.

Na miejscu. Gabriel umarł na miejscu.

Często mu mówiłam, że umrę przed nim. Nie wiedziałam jednak, że umrę razem z nim. Kiedy umiera Gabriel, umieram ja.

14 lutego 2009 roku

Dzisiaj są walentynki. Gabriel nie znosił walentynek.

Kiedy piszę jego imię – Gabriel, Gabriel, Gabriel – w tym dzienniku, czuję, że jest obok mnie. Może dlatego, że jeszcze nie został pochowany. Dopóki zmarłych się nie pochowa, są w pobliżu. Ten dystans pomiędzy nami i niebem jeszcze nie istnieje.

Ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy, pokłóciliśmy się. Powiedziałam mu, żeby wyszedł z mojego mieszkania. Zszedł po schodach, wściekły, nawet

się nie obejrzał. Czekałam na odgłos jego kroków, czekałam, aż znów wejdzie na górę, lecz nigdy już nie przyszedł. Zazwyczaj dzwonił do mnie co wieczór, ale od tej kłótni telefon milczał. Teraz już nigdy nie będę mogła zmienić biegu rzeczy.

15 lutego 2009 roku

Tym, co mi zostaje po Gabrielu, jest wolność, którą cieszę się każdego dnia, dzięki niemu. To ubrania kupione w Antibes, które leżą w głębi szuflady, napoczęta butelka suze w barku, parę biletów kolejowych kupionych na powrót, trzy powieści, Regulamin tłoczni win *i* Martin Eden *Jacka Londona. Podarował mi też* Kobietę *Anne Delbée w bardzo rzadko spotykanym wydaniu. Gabriela zafascynowała Camille Claudel.*

Parę lat temu przyjechałam do niego do Paryża na trzy dni. Zaraz po przyjeździe zabrał mnie do Muzeum Rodina. Razem ze mną odkrywał dzieła Camille Claudel. W ogrodzie pocałował mnie pod rzeźbą zatytułowaną Mieszczanie z Calais.

– To Camille Claudel wykonała dłonie i stopy. Popatrz, jak pięknie.

– Pan również ma piękne dłonie. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam pana przed sądem w Aix-en-Provence, patrzyłam tylko na nie.

Gabriel już taki był. Był skałą, twardą, potężną. Macho, który nigdy by nie zniósł, żeby kobieta zapłaciła rachunek czy sama nalała sobie kieliszek wina. Gabriel był wcieloną męskością. Kiedy ja myślałam, że uwielbia raczej Rodina niż Claudel, gdy sądziłam, że uklęknie przed jego Balzakiem *czy* Myślicielem, *zobaczyłam, jak skłonił głowę przed* Walcem *Camille Claudel.*

W muzeum trzymał mnie ciągle za rękę. Jak dziecko. Nie obchodziły go majestatyczne rzeźby Rodina.

Patrząc na Plotkarki*, niewielką rzeźbę Camille Claudel stojącą na cokole, bardzo mocno ścisnął mi palce. Pochylił się nad tą rzeźbą i przez dłuższą chwilę trwał tak, zawieszony w czasie. Jakby ją chłonął. Oczy mu błyszczały, kiedy patrzył na te cztery kobiece figurki z zielonego onyksu, wyrzeźbione ponad wiek temu. Usłyszałam, jak szepcze: „Są nieuczesane”.*

Kiedy wyszliśmy, zapalił papierosa i wyznał mi, że czekał na to, że pójdziemy razem do tego muzeum, bo wiedział, zanim tam wszedł, że będzie musiał trzymać mnie za rękę, żeby nie ukraść Plotkarek*. Jako student zakochał się w tych figurkach, kiedy zobaczył je na zdjęciu. Zawsze ich pragnął, do tego stopnia, że chciał je mieć. Wiedział, że jak zobaczy je po raz pierwszy w rzeczywistości, będzie potrzebował kogoś, kto go powstrzyma przed ich zabraniem.*

– To, że bronię złodziei, wcale nie znaczy, że sam nim nie jestem. One są takie delikatne, malutkie, te plotkarki, wiedziałem doskonale, że będę mógł wsunąć je pod płaszcz i z nimi uciec. Wyobrażasz sobie? Mieć je u siebie? Patrzeć na nie każdego wieczoru przed snem, odkrywać je każdego ranka, pijąc kawę?

– Spędza pan życie w hotelach, to jednak byłoby trochę skomplikowane.

Wybuchnął śmiechem.

– Twoja ręka nie dała mi popełnić przestępstwa. Powinienem ją pożyczać wszystkim tym cymbałom, których bronię. Nie pozwoliłaby im robić całej masy głupstw.

Wieczorem zjedliśmy kolację we dwoje w restauracji Jules Verne na wieży Eiffla. Gabriel powiedział mi: „Te trzy dni będą pełne stereotypów, nie ma nic lepszego na świecie od stereotypów”. Wypowiedziawszy to zdanie, założył mi na rękę wysadzaną brylantami bransoletkę. Świeciła na mojej jasnej skórze jak tysiące słońc. Błyszczała tak bardzo, że można ją

było wziąć za podróbkę. Jak te imitacje, które noszą aktorki w amerykańskich operach mydlanych.

Następnego dnia w Sacré-Cœur, kiedy zapalałam świeczkę u stóp złotej figury Marii Panny, zawiesił mi na szyi kolię z brylantami, całując mnie w kark. Ujął mnie za ramię, przyciągnął do siebie i szepnął mi na ucho: „Kochanie, wyglądasz jak bożonarodzeniowa choinka”.

Ostatniego dnia, na Dworcu Lyońskim, zanim wsiadłam do pociągu, ujął mnie za rękę i na środkowy palec wsunął mi pierścionek.

– Nie interpretuj opacznie moich intencji. Wiem, że nie lubisz klejnotów. Nie podarowałem ci ich, żebyś je nosiła. Chcę, żebyś sprzedała ten złom i zafundowała sobie podróż, chatę, wszystko, co zechcesz. I nigdy mi nie mów „Dziękuję”. To by mnie zabiło. Nie robię ci prezentów, żebyś mi dziękowała. Tylko żeby ci zapewnić ochronę, gdyby coś mi się stało. Wpadnę do ciebie w przyszłym tygodniu. Zadzwoń do mnie, jak dojedziesz do Marsylii. Już mi cię brak, za ciężkie te rozstania. Ale ja lubię, jak mi cię brak. Kocham cię.

Sprzedałam kolię, żeby sobie kupić mieszkanie. Bransoletka i pierścionek leżą w bankowym sejfie, odziedziczy je po mnie syn. Dostanie w spadku moją wielką miłość. Żeby było sprawiedliwie. Gabriel chciał sprawiedliwości.

Gabriel był człowiekiem o charakterze twardym jak stal. Nikt nie miał interesu w tym, żeby go denerwować. Ja też nie. Ostatnim razem, kiedy go widziałam, mimo wszystko to zrobiłam. Otwarcie zaatakował jedną ze swoich koleżanek, pisano o tym we wszystkich gazetach. Ta adwokatka podjęła się obrony kobiety, która przez wiele lat była ofiarą sadyzmu męża, aż w końcu go zabiła. Ośmieliłam się zarzucić Gabrielowi, że wystąpił przeciwko koleżance.

Siedzieliśmy u mnie w kuchni, wcześniej się kochaliśmy, był uśmiechnięty, beztroski, po prostu szczęśliwy. Jak tylko przekraczał próg mojego domu, odprężał się, tak jakby wyzbywał się ciężaru wielkich walizek. Popijając herbatę, zarzuciłam go pełnymi wymówek pytaniami: Jak mógł zaatakować adwokatkę, która broniła prześladowanej kobiety? Jak może być tak manichejski? Co z niego za człowiek? Za kogo się ma? Gdzie są jego ideały?

Gabriel poczuł się zraniony i wpadł w furię. Zaczął się wydzierać. Że się na tym nie znam i że ta sprawa jest o wiele bardziej złożona, niżby się mogło wydawać. Po co się mieszam? Mam pić herbatę i nie odzywać się, jedyna rzecz, jaką potrafię zrobić, to hodować te nieszczęsne róże, które w końcu ścinam, w sumie wszystko psuję.

– Bardzo się mylisz, Irène! Nigdy nie byłaś w stanie podjąć jakiejkolwiek decyzji w tym swoim kurewskim życiu!

W końcu zakryłam sobie uszy rękami, żeby przestać go słyszeć. Powiedziałam, żeby natychmiast opuścił moje mieszkanie. Kiedy zobaczyłam, że się ubiera, z poważną miną, od razu zaczęłam żałować. Ale było już za późno. Za bardzo byliśmy dumni, jedno i drugie, żeby powiedzieć „Przepraszam”. Zasługiwaliśmy na coś więcej niż rozstanie po kłótni.

Gdyby to się dało odwrócić…

Mam ochotę pootwierać okna i krzyczeć do przechodniów: „Pogódźcie się! Przeproście! Nie kłóćcie się z tymi, których kochacie! Zróbcie coś, zanim będzie za późno”.

16 lutego 2009 roku

Zadzwonił do mnie jakiś notariusz: Gabriel zrobił, co trzeba, żebym została pochowana razem z nim na cmentarzu w Brancion-en-Chalon,

w wiosce, w której się urodził. Poprosił mnie, żebym przyszła do kancelarii, gdzie zostawił dla mnie kopertę.

Kochana moja, słodka, czuła, cudowna miłości, od bladego świtu aż do końca dnia, wciąż Cię kocham, wiesz o tym. Kocham Cię.

Kiedy występuję w sądzie, zgłaszam wnioski, improwizuję, bronię zabójców, niewinnych, ofiar, podprowadzam słowa Jacques'a Brela, żeby Ci przekazać całą głębię moich myśli.

Jeżeli czytasz teraz ten list, to znaczy, że pożegnałem się już z życiem. Byłem szybszy od Ciebie, po raz pierwszy. Nie mam do napisania nic, czego byś już nie wiedziała, poza tym, że zawsze nienawidziłem Twojego imienia.

Irène, co za okropieństwo, Irène. Wszystko do Ciebie pasuje, możesz nosić wszystko. Ale takie imię to jak butelkowa czy musztardowa zieleń, do nikogo nie pasuje.

W dniu, kiedy czekałem na Ciebie w samochodzie, wiedziałem, że nie wrócisz, że na nic zda się czekać. I właśnie to nic nie pozwoliło mi od razu odjechać.

Ona nie wróci, nie zostaje mi już nic.

Tak mi Ciebie brakowało. A to był dopiero początek.

Nasze hotele, miłość po południu, ty w pościeli… Pozostaniesz każdą moją miłością. Pierwszą, drugą, dziesiątą i ostatnią. Pozostaniesz najpiękniejszym wspomnieniem. Moją wielką nadzieją.

Te prowincjonalne miasta, które stawały się stolicami, gdy tylko pojawiałaś się w nich na chodniku, nigdy tego nie zapomnę. Twoje ręce w kieszeniach, perfumy, skóra, apaszki, moje rodzinne strony.

Miłości ma.

Widzisz, nie skłamałem, zostawiłem Ci miejsce obok siebie na całą wieczność. Zastanawiam się, czy tam w górze nadal będziesz mi mówić per pan.

Nie przyspieszaj kroku, mam dużo czasu. Skorzystaj jeszcze trochę z widoku nieba od dołu. A przede wszystkim skorzystaj z ostatnich śniegów.

Do zobaczenia.

Gabriel

19 marca 2009 roku

Poszłam na grób Gabriela po raz pierwszy. Płakałam, miałam ochotę go odkopać, potrząsnąć nim, powiedzieć mu: „Proszę mi powiedzieć, że to nieprawda, proszę mi powiedzieć, że pan nie umarł". Położyłam nową szklaną kulę ze śniegiem na czarnym marmurze, pod którym spoczywa. Obiecałam Gabrielowi, że wrócę, żeby nią potrząsnąć od czasu do czasu. Patrzyłam na ten grób, który stanie się także moim.

Odpowiedziałam na jego list na głos:

> *Kochany, Pan też pozostanie najpiękniejszym moim wspomnieniem… Mniej miałam kobiet niż Pan, to znaczy, chcę powiedzieć: mniej mężczyzn niż Pan, niewielu ich poznałam. Panu wystarczyło skinąć, by uwieść. A i to nawet nie. Nie musiał Pan niczego robić, po prostu być sobą. Jest Pan moją pierwszą miłością, moją drugą miłością, moją dziesiątą miłością, moją ostatnią miłością. Zabrał mi Pan całe życie. Dołączę do Pana w wieczności, dotrzymam obietnicy. Proszę mi grzać miejsce jak w hotelowych pokojach, gdzie Pana znajdowałam, kiedy zjawiał się tam Pan przede mną, grzał mi Pan miejsce w tych wielkich przygodnych łożach… Przyśle mi Pan adres wieczności, bo do takiej podróży trzeba się przygotować. Zobaczę, czy znajdę Pana w pociągu, samolocie, czy na statku. Kocham Pana.*

Pozostałam przy nim przez dłuższą chwilę. Poustawiałam kwiaty na grobie, wyrzuciłam te, które zwiędły w plastikowych opakowaniach,

przeczytałam tabliczki nagrobne. Wydaje mi się, że to tak się nazywa.

Cmentarzem, gdzie został pochowany Gabriel, zajmuje się kobieta. To wspaniałe. On przecież tak bardzo kochał kobiety. Przeszła obok mnie, przywitała się. Zamieniłyśmy parę słów. Dozorczyni cmentarna – nie wiedziałam, że jest taki zawód. Że ludziom płaci się za to, żeby zajmowali się cmentarzami, pilnowali ich. Ona nawet sprzedaje kwiaty przy wejściu, obok bramy.

Ciągłe pisanie tego dziennika to ciągłe przywracanie do życia Gabriela. Ale, Boże mój, jakże dłużyć mi się będzie życie.

90

Listopad jest odwieczny, życie niemal piękne, wspomnienia to zaułki, w które nieustannie się zapuszczamy

Czerwiec 1998 roku

Chociaż pomiędzy Mâcon i Valence było niecałe dwieście kilometrów autostrady, droga mu się dłużyła. Kiedy Philippe jechał, gdzie oczy poniosą, żadna droga mu się nie dłużyła. Ale kiedy miał pojechać z miejsca A do miejsca B, robił to niechętnie. Nigdy nie znosił przymusu.

Odkąd Violette odkryła, że stara się dociec prawdy, przeszła mu ochota do prowadzenia śledztwa. Tak jakby trzymanie tego w tajemnicy popychało go do dalszych chimerycznych poszukiwań. A to, że o nich powiedział, zniechęciło go do nich. Całkowicie. Słowa nie przyniosły mu ulgi, tylko go wytrzebiły.

Nawet Violette zdawała się odwracać do przeszłości plecami.

Porozmawia z Éloïse Petit, a potem zajmie się czymś innym. To spotkanie z dawną wychowawczynią będzie jakby ostatnią randką z przeszłością.

Éloïse Petit czekała na niego, tak jak było umówione, przed kinem, gdzie pracowała. Stała przy tablicy, na której wypisano godziny seansów. Nad nią wisiał ogromny afisz *Angielskiego pacjenta.* Philippe od razu ją zauważył, mimo tłumu ludzi tłoczących się przed kasami. Wchodzących do sal kinowych i wychodzących. Widzieli się dwa lata wcześniej na procesie, od razu się rozpoznali.

Éloïse zaciągnęła go do kawiarni Relais H dwie ulice dalej, niedaleko dworca w Valence, jakby się bała, że ktoś ich zobaczy. Szli obok siebie w milczeniu. Philippe wciąż odczuwał pustkę i zniechęcenie. Zastanawiał się, co on tu robi na tym chodniku. Nie wiedział już nawet, o co spytać Éloïse. No bo co ją tam mógłby obchodzić jakiś bojler? Czy ona zna się na takich urządzeniach?

Zamówili dwa tosty z serem, małą butelkę wody i coca-colę. Z Éloïse emanowała moc ciepła. Philippe poczuł do niej zaufanie, w przeciwieństwie do wszystkich innych. Nie próbowała kłamać. Wydawała się szczera, zanim jeszcze otworzyła usta.

Opowiedziała o przyjeździe dzieci trzynastego lipca 1993 roku. O przydzielaniu pokoi z uwzględnieniem tego, że niektóre dzieci się znają. A te, które się znają, nie chcą, żeby je rozdzielać. Lucie Lindon i ona starały się je wszystkie zadowolić i chyba im się to udało. Z pomocą wychowawczyń dziewczynki poukładały ubrania i rzeczy osobiste w swoich szafkach stojących przy łóżkach w pokoju.

Potem był podwieczorek, a po nim spacer po przyzamkowym parku; poszły na łąki, żeby zobaczyć kucyki i zaprowadzić je na noc do stajni. Dzieciom bardzo się podobało mycie zwierząt wodą – polewały się nią nawzajem – czesanie koników, odprowadzanie ich do boksów, karmienie z pomocą dorosłych. Szczebiotały wesoło jak wróbelki, kiedy usiadły za stołem do kolacji. W jadalni zapanował harmider, dwadzieścia cztery

rozradowane dziewczynki robią sporo hałasu. Rozeszły się do swoich pokoi koło dwudziestej pierwszej trzydzieści, po umyciu się pod prysznicami we wspólnej łazience.

– Dlaczego nie umyły się w łazience w pokoju?

Pytanie to zaskoczyło Éloïse.

– Nie wiem… Sala prysznicowa została odnowiona. Pamiętam, że ja też się tam myłam.

Éloïse zastanawiała się chwilę, przygryzając wargi.

– Teraz sobie przypominam – odezwała się w końcu. – Nie było ciepłej wody w łazience w moim pokoju.

– Dlaczego?

Wydęła policzki, jakby akurat nadmuchiwała balonik, i odpowiedziała zmartwiona:

– Nie wiem… Tam były stare rury. Ten zamek trochę się rozsypywał. W środku wyraźnie czuć było pleśń. No i jak się poprosiło Fontanela o wymianę chociażby żarówki, to czekało się wieki.

Dzieci przyjechały z północy i ze wschodu Francji, ciągnęła Éloïse. Podróż, upał, pełne wrażeń popołudnie – wszystko to je zmęczyło. Poszły się położyć bez marudzenia. Lucie Lindon i ona zrobiły obchód pokoi koło dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Sześć pokoi w sumie, trzy na parterze i trzy na piętrze. Po czworo dzieci w pokoju. Wszystkie dziewczynki leżały w łóżkach. Niektóre czytały, inne rozmawiały, wymieniały się pomiędzy łóżkami zdjęciami czy rysunkami. Dziecinne rozmowy: „Ładną masz piżamę”, „Pożyczysz mi swoją sukienkę?”, „Chciałabym mieć takie same buty jak ty”. O kotach, o domach, rodzicach, rodzeństwie, szkole, nauczycielce, koleżankach. Ale przede wszystkim o kucykach. Myślały głównie o tym, że następnego dnia będą jeździć na kucykach.

Éloïse Petit zawahała się chwilę, zanim opowiedziała Philippe’owi o pokoju numer jeden. Nie wymieniła zresztą imion Léonine, Anaïs, Océane i Nadège. Powiedziała „dzieci z pokoju numer jeden” i nim podjęła opowieść, opuściła na chwilę oczy.

Był to ostatni pokój, do którego zajrzały wychowawczynie. Małe już zasypiały, kiedy Lucie Lindon i ona weszły tam, by spytać, czy wszystko w porządku, dać każdej z nich kieszonkową latarkę, na wypadek gdyby potrzebowały wstać w nocy. Powiedziały im, że Lucie znajduje się w pokoju obok, jeśli którejś z nich przyśniłby się jakiś koszmar czy rozbolałby ją brzuch. Światło na korytarzu będzie zapalone całą noc.

Następnie Éloïse poszła do swojego pokoju, a Lucie do Swana Letelliera. Geneviève Magnan miała w tym czasie kręcić się w pobliżu pokoi na parterze. Zanim obydwie wychowawczynie poszły na piętro, widziały, że Geneviève jest w kuchni. Czyściła miedziane garnki porozkładane na wielkim stole. Powiedziała im „Dobranoc”, wyglądała na smutną lub zmęczoną. Éloïse nie potrafiła sprecyzować.

– Poszłam do siebie na górę i usnęłam. W pewnej chwili obudziłam się, żeby zamknąć okno, które stukało o framugę.

Niebieskie oczy Éloïse Petit zajaśniały dziwnym blaskiem. Jakby ponownie przeżywała ten moment, jakby patrzyła przez okno na coś poruszającego się w oddali. Podobnie jak spogląda się ponad ramieniem rozmówcy, kiedy zauważy się znajomą sylwetkę czy jakiś niespodziewany ruch przyciągający uwagę.

– Zauważyła pani coś?

– Kiedy?

– Jak pani zamykała okno?

– Tak.

– Co?

– Ich.

– To znaczy kogo?

– Przecież pan wie.

– Geneviève Magnan i Alaina Fontanela?

Éloïse Petit wzruszyła ramionami. Philippe nie potrafił zinterpretować tego gestu.

– Czy to prawda, że miał pan romans z Geneviève?

Philippe zesztywniał.

– Kto pani to powiedział?

– Lucie. Powiedziała mi, że Geneviève się w panu kochała.

Philippe zamknął na parę sekund oczy i odpowiedział jej z wielkim oporem:

– Przyjechałem tu porozmawiać o mojej córce.

– Co pan chce wiedzieć?

– Chcę wiedzieć, kto uruchomił bojler w łazience pokoju numer jeden. Dzieci zatruły się tlenkiem węgla. A przecież wszyscy wiedzieli, że nie wolno dotykać tych kurewskich bojlerów!

Philippe wykrzyczał to zbyt głośno. Klienci z nosem w gazetach i ci stojący przy kasach odwrócili się w ich stronę.

Éloïse poczerwieniała na twarzy, jakby tu chodziło o kłótnię pary zakochanych. Mówiła do Philippe’a jak do kogoś, kto postradał rozum. Do wariatów mówi się wolno, żeby ich nie zdenerwować.

– Nie rozumiem, co pan mówi.

– Ktoś włączył bojler w łazience.

– W jakiej łazience?

– Tej, która była w spalonym pokoju.

Philippe widział, że Éloïse nie rozumie ani jednego słowa z tego, co do niej mówi. I w tej chwili ogarnęły go wątpliwości. Cała ta historia z bojlerem nie trzymała się kupy, nie była warta funta kłaków. Trzeba się pogodzić z oczywistością: Geneviève Magnan lub Alain Fontanel podpalili pokój numer jeden, żeby się na nim zemścić.

– Że to niby od tego się zapaliło? Od starego bojlera?

Pytanie Éloïse wyrwało go z tych ponurych myśli.

– Nie, ogień to sprawka Fontanela… żeby upozorować wypadek. Prawdopodobnie, żeby kryć Magnan.

– Ale dlaczego?

– No bo ona wyszła tego wieczoru. Nie została z dziećmi, a jak wróciła, to je miała niby… To już było za późno… Dzieci zatruły się czadem.

Éloïse zakryła oburącz usta. Jej wielkie oczy zajaśniały. Philippe przypomniał sobie dzień, kiedy podpłynął do Françoise kąpiącej się w Morzu Śródziemnym, jak go odganiała. Éloïse wyglądała na tak samo spanikowaną jak ona wtedy, kiedy o mało co się nie utopiła.

Philippe i Éloïse przez dobre dziesięć minut nie wypowiedzieli ani jednego słowa. Nie tknęli jedzenia. Philippe w końcu poprosił o espresso.

– Chce pani coś innego?

– To może oni?

– Fontanel i Magnan, tak.

– Nie, ci ludzie.

– Jacy ludzie?

– Taka para. Zna ich pan. Widziałam, jak odchodzili, kiedy zamykałam okno.

– Jaka para?

– Ludzie, z którymi się pan widział następnego dnia po pożarze. Pana rodzice… no, tak myślę, że to pana rodzice.

– Nic a nic nie rozumiem z tego, co pani mówi.

– No, ale przecież wie pan, że przyjechali tego dnia do zamku, nie?

– Jacy rodzice?

Philippe poczuł, że traci grunt pod nogami, jakby spadał z ostatniego piętra wieżowca.

– Czternastego lipca przyjechaliście razem. Myślałam, że pan wie, że oni pojawili się w zamku poprzedniego dnia. Często się zdarza, że rodziny przyjeżdżają w odwiedziny do dzieci, ale nigdy wieczorem. Dlatego mnie to zdziwiło.

– Zwariowała pani! Moi rodzice mieszkają w Charleville-Mézières. Nie mogli być w Burgundii wieczorem w dniu pożaru.

– Byli, ja ich widziałam. Przysięgam panu. Kiedy zamykałam okno, widziałam, jak wychodzili z zamku.

– To jakaś pomyłka…

– Nie. Pańska matka, ten kok na głowie, chód… To nie pomyłka. Widziałam ich potem ostatniego dnia procesu w Mâcon. Czekali na pana przed sądem.

I wtedy Philippe sobie przypomniał. To było jak grom z jasnego nieba, szok, jakby jakiś niepozorny szczegół drzemiący w jego podświadomości od lat, objawił mu się w pełnym świetle. Coś nienormalnego, niespójnego, co – zważywszy na okoliczności – całkiem do niego nie dotarło, a tylko mignęło mu przed oczami czternastego lipca 1993 roku.

Zadzwonił do rodziców i powiedział: „Léonine nie żyje”. Przyjechali po niego parę godzin później i po raz pierwszy siadł z przodu, obok ojca; matka położyła się na tylnym siedzeniu. Przybity, otępiały ze smutku, nie

otworzył ust przez całą drogę. Od czasu do czasu słyszał, jak matka pojękuje z tyłu, a ojciec po cichu odmawia zdrowaśki.

Myśląc o ojcu, Philippe widział zdominowanego przez żonę bigota. Marzył, żeby być synem Luca, swojego wuja. Matka natura dała ciała: przyszedł na świat z siostry, a wolałby z brata.

W chwili kiedy Éloïse napomknęła o jego rodzicach, przypomniał sobie, że ojciec wiedział, dokąd jechać, nie poprosił go o adres, pojechał tam, tak jakby znał drogę. Przy zjeździe z autostrady był drogowskaz na La Clayette, ale nic więcej, co by wskazywało, w którą stronę skręcić, żeby dojechać do zamku. A przecież kiedy był dzieckiem, rodzice zawsze się kłócili, bo ojciec nie miał za grosz orientacji, co denerwowało matkę. Jeżeli tamtego dnia się nie zgubił, to może dlatego, że już tam wcześniej był.

Éloïse patrzyła na niego, kiedy w myślach odbywał tę smętną podróż. Pomimo widocznej na jego twarzy trwogi pomyślała, że jest piękny. Próbowała sobie przypomnieć rysy Léonine, ale na próżno. Twarze czworga dzieci z pokoju numer jeden wyparowały z jej pamięci. Szukała ich ciągle, ale nie odnajdowała. Pozostały w niej tylko ich głosy, kiedy wypytywały o kucyki. Nie powiedziała Philippe’owi, że Léonine zgubiła przytulankę i że wszędzie jej razem szukały. Mała powiedziała jej: „Ta przytulanka to taki królik, który ma tyle lat co ja”. Éloïse przyniosła jej jakiegoś zapomnianego miśka z zaplecza na zastępstwo. Obiecała Léonine, że następnego dnia rano będzie szukać przytulanki po całym zamku aż do skutku.

Philippe przywrócił ją do rzeczywistości:

– Chcę, żeby pani przysięgła na głowę Léonine, że nikomu o tym pani nie powie.

Éloïse zaczęła się zastanawiać, czy Philippe czyta w jej myślach. Nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa.

– Nigdy się nie spotkaliśmy, nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy… Proszę przysiąc! – nalegał.

– Przysięgam – odpowiedziała, podnosząc prawą rękę jak przed sądem.

– Na głowę Léonine?

– Na głowę Léonine.

Philippe zapisał numer telefonu stacjonarnego do domu na cmentarzu w Brancion i podał jej kartkę.

– Za dwie godziny zadzwoni pani pod ten numer, odbierze moja żona, przedstawi się pani, powie jej, że nie przyjechałem na spotkanie, że czekała na mnie pani przez całe popołudnie.

– Ale…

– Proszę.

Éloïse zrobiło się go żal. Przytaknęła.

– A jak mnie będzie wypytywać?

– Nie będzie pani wypytywać. Za bardzo się na mnie zawiodła, żeby wypytywać.

Philippe wstał, zapłacił rachunek. Szybko pożegnał się z Éloïse, po czym sięgnął po kask i wyszedł. Widziała, jak wsiada na motor zaparkowany przed kinem.

Na widok tłoczących się przed kinem ludzi przypomniał sobie słowa matki: „Nie ufaj nikomu, słyszysz? Nikomu”.

Prawie siedemset kilometrów, będzie już noc, jak dojedzie do Charleville-Mézierès.

*

Philippe przez chwilę obserwował rodziców przez okno w salonie. Siedzieli obok siebie na trudno powiedzieć jak bardzo już starej kanapie,

pokrytej tkaniną z motywem zasuszonych kwiatów, jak te na nieodwiedzanych już grobach. Te, których Violette nie lubiła, więc je usuwała.

Ojciec usnął, wpatrzona w ekran matka oglądała powtórkę jakiegoś serialu. Violette już go oglądała. Historia miłosna księdza i młodej dziewczyny. Akcja toczy się w Australii albo w jakiejś innej odległej krainie. Violette momentami pochlipywała po cichutku. Czuł, jak ociera łzy o jego rękaw. Matka patrzyła na aktorów z zaciśniętymi ustami, jakby uważała, że dokonują złego wyboru, i miała ochotę się wtrącić. Dlaczego wybrała ten ckliwy serial? Gdyby sprawa nie była taka poważna, Philippe by się uśmiał.

Dorastał w tym domu. Teraz wydawał mu się wymuskany. Z biegiem lat krzewy urosły, a żywopłoty zgęstniały. Rodzice zastąpili metalowe ogrodzenie białym płotem, prosto z amerykańskich seriali, położyli nowy tynk na fasadach i postawili dwie rzeźby lwów po obu stronach bramy wjazdowej. Granitowe zwierzęta zdawały się śmiertelnie nudzić w tym domu jednorodzinnym z lat siedemdziesiątych. Ale trzeba było pokazać sąsiadom, że się jest urzędnikiem państwowym piastującym funkcję kierowniczą. Teraz są na emeryturze, pracowali obydwoje na poczcie, on początkowo jako listonosz, a ona w administracji, pięli się w hierarchii i wreszcie dorobili się stanowisk kierowniczych niższego szczebla. A kiedy w końcu pojawiły się pieniądze, zaczęli oszczędzać.

Philippe zawsze nosił klucze przy sobie. Ten sam pęk od dzieciństwa, przytroczony do miniaturowej piłki do rugby, która straciła swój kształt i kolory. Rodzice nie zmienili zamków. Po co? Kto chciałby wejść do środka i natknąć się na rozmodlonego mężczyznę i stetryczałą kobietę? Dwa korniszony w słoiku z zalewą octową.

Od lat już nie był w tym domu. Od spotkania z Violette. Violette. Nigdy jej nie zaprosili. Zawsze nią pogardzali.

Chantal Toussaint krzyknęła, ujrzawszy syna w drzwiach do salonu. Jej głos obudził męża, który aż podskoczył.

Philippe zobaczył wiszące na ścianach zdjęcia Léonine, w tym dwa zrobione w szkole. To przywiodło mu na myśl Geneviève Magnan, jej uśmiech na korytarzu pachnącym amoniakiem. Zakręciło mu się w głowie i musiał wesprzeć się na kredensie.

Violette pozdejmowała zdjęcia ich córki. Włożyła je do szuflady w stojącej przy łóżku szafce, do kartonowej teczki lub powkładała pomiędzy strony grubej książki, którą czytała na okrągło.

Matka ruszyła w jego stronę i cicho spytała: „Wszystko w porządku, mój mały?”. Gestem dłoni Philippe nakazał jej nie podchodzić bliżej, zachować dystans. Ojciec i matka spojrzeli po sobie. Czy ich syn jest chory? Zwariował? Był niesłychanie blady. Wyglądał tak samo jak rankiem czternastego lipca 1993 roku, kiedy zawieźli go na miejsce tragedii. Jakby postarzał się o dwadzieścia lat.

– Co wy, kurwa, robiliście w zamku wieczorem tamtego dnia, kiedy się spalił?

Ojciec spojrzał na matkę. Czekał na rozkaz, zanim odpowie. Jednak jak zwykle to ona się odezwała. Głosem ofiary, grzecznej małej dziewczynki, którą nigdy nie była.

– Zanim Armelle i Jean-Louis Caussinowie odwieźli Catherine… to znaczy Léonine i Anaïs do zamku, spotkali się z nami w La Clayette. Umówiliśmy się z nimi w kawiarni. Nie zrobiliśmy nic złego.

– Ale co wy tam, kurwa, robiliście?

– Byliśmy na ślubie, na południu kraju, no wiesz, twojej kuzynki Laurence… W drodze do Charleville skorzystaliśmy z okazji, żeby

odwiedzić Burgundię.

– Nigdy z niczego nie skorzystaliście. NIGDY. Chcę znać prawdę.

Matka się zawahała. Nim odpowiedziała, zacisnęła usta i wzięła głęboki oddech. Philippe od razu zareagował:

– Tylko mi się tu nie rozbecz, bądź tak miła.

Nigdy nie odzywał się do niej w ten sposób. Ten grzeczny chłopczyk, dobrze wychowany, który mówił: „Tak, mamusiu", „Nie, mamusiu", „Dobrze, mamusiu", umarł. Zaczął umierać, kiedy stracił córkę. I umarł ostatecznie, gdy zamieszkał przy jej grobie. Philippe uprzedził rodziców: „Zabraniam wam pokazywania się na cmentarzu, nie chcę, żebyście natknęli się na Violette".

Przed tragedią okazał matce nieposłuszeństwo jeden jedyny raz, kiedy pojechał na wakacje do jej brata, Luca, i jego młodej żony, która nosiła za krótkie spódniczki. Philippe'a zawsze pociągały kobiety niskiego stanu. Dziwki, najgorszy sort, rynsztok.

Głos Chantal Toussaint odzyskał swój twardy, nieznoszący sprzeciwu ton. Prokuratorski.

– Umówiłam się z Caussinami, bo chciałam zobaczyć, co ta twoja żona włożyła do walizki naszej wnuczki. Zobaczyć, czy niczego nie brak. Nie chciałam, żeby się musiała wstydzić przy koleżankach. Twoja młoda żona zbyt często zaniedbywała Catherine… Za długie paznokcie u dziecka, brudne uszy, ubrania poplamione albo zniszczone w praniu… Byłam od tego chora.

– Pleciesz bzdury! Violette bardzo dobrze dbała o naszą córkę! Która miała na imię Léonine! Słyszysz?! Léonine!

Zaciągnęła ciaśniej poły szlafroka niezręcznym i gwałtownym gestem.

– Armelle Caussin otworzyła bagażnik samochodu, sprawdziłam zawartość walizki, kiedy małe bawiły się w cieniu, obok twojego ojca

i Jean-Louisa. Brakowało wielu rzeczy. Musiałam wyrzucić te tanie czy wytarte ubrania i włożyć do środka nowe.

Philippe wyobraził sobie, jak matka prosi Armelle Caussin pod jakimś pretekstem o otwarcie bagażnika i grzebie w sukienkach jego córki. To prawo do ingerencji, jakie sobie od zawsze przyznawała, budziło w nim odrazę. Miał ochotę udusić tę kobietę. To ona zaszczepiła w nim pogardę dla innych. Spuściła wzrok, żeby nie widzieć więcej jego pełnego nienawiści spojrzenia.

– Około szesnastej Caussinowie pojechali z dziećmi do zamku. Twój ojciec i ja nie chcieliśmy wyruszać w drogę do Charleville przed wieczorem z powodu gorąca. Postanowiliśmy zostać w wiosce. Kiedy poszłam do łazienki, zobaczyłam przytulankę Léonine leżącą przy umywalce. Wiedziałam, że nie będzie mogła bez niej zasnąć.

Na twarzy Chantal Toussaint pojawił się grymas.

– Była bardzo brudna… Umyłam ją wodą i mydłem. Stwierdziłam, że w tym upale szybko wyschnie…

Poszła usiąść na kanapie, jakby te słowa stanowiły dla niej zbyt wielki ciężar. Mąż podążył za nią niczym grzeczna psina czekająca na nagrodę, spojrzenie, czuły gest, którego nie będzie.

– Weszliśmy do zamku bez najmniejszego trudu, nie było nikogo, żadnego nadzoru, wszystko stało otworem. Léonine znajdowała się za pierwszymi drzwiami, które otworzyliśmy. Już leżała w łóżku. Zdziwiła się, gdy nas zobaczyła. Jak zobaczyła przytulankę wystającą z mojej torebki, uśmiechnęła się i sięgnęła po nią dyskretnie, żeby inne dziewczynki niczego nie widziały. Musiała jej wszędzie szukać, ale pewnie nic nie powiedziała, żeby się z niej nie naśmiewały.

Matka zaczęła łkać. Kiedy mąż położył jej rękę na ramionach, wykonała niespieszny gest, żeby się od niej uwolnić. Przyzwyczajony,

cofnął dłoń.

– Spytałam dziewczynki, czy chcą, żeby im opowiedzieć jakąś bajkę. Powiedziały, że tak. Zaczęłam im czytać bajkę braci Grimm, *Tomcio Paluch.* Usnęły od razu. Przed wyjściem ucałowałam wnuczkę po raz ostatni.

– A bojler?! – wrzasnął Philippe.

Rodzice, we łzach, wtulili głowy w ramiona. Biedacy nie potrafili stawić czoła furii syna.

– Co bojler, jaki bojler? – wymamrotała w końcu matka, łkając.

– Ten w łazience! W pokoju była łazienka! I ten kurewski bojler! Majstrowaliście przy nim?!

Ojciec po raz pierwszy otworzył usta.

– A, to… – powiedział przytłumionym głosem.

W tamtej chwili Philippe oddałby wszystko, żeby się zamknął jak zazwyczaj. Albo odmówił modlitwę, pierwszą, która przyszła mu do głowy. Przez godzinę, jedną tylko godzinę, człowiek ten miał poczucie, że stał się użyteczny, że nie stał z opuszczonymi rękami, czekając, aż żona skończy opowieść o *Tomciu Paluchu*.

– Matka spytała Léonine, czy dobrze umyła zęby, zanim położyła się do łóżka. Powiedziała nam, że tak, ale inna dziewczynka wtrąciła, że nie ma ciepłej wody w kranie i od zimnej wody bolały ją zęby. Matka poprosiła, żebym poszedł zobaczyć, co się dzieje, i rzeczywiście, odkryłem, że bojler jest wyłączony, no to…

Philippe padł przed rodzicami na kolana, złapał ojca oburącz za poły szlafroka i zaskomlał błagalnie:

– Zamilcz, zamilcz, zamilcz, zamilcz, zamilcz, zamilcz, zamilcz, zamilcz, zamilcz, zamilcz, zamilcz…

Rodzice zesztywnieli. Philippe wybełkotał jeszcze parę ledwo słyszalnych słów, po czym opuścił ten dom tak, jak do niego wszedł, po cichu.

Kiedy wsiadł na motor, wiedział, że nie pojedzie w stronę cmentarza w Brancion. Wiedział, że nie ma już dla niego domu. Ani tego wieczoru, ani dnia następnego. Wiedział, odkąd poprosił Éloïse Petit, żeby zadzwoniła do Violette i jej powiedziała, że nie przyszedł na umówione spotkanie. Violette dawno już przestała na niego czekać.

Rano, kiedy powiedział jej, że chce zacząć wszystko od nowa, przeprowadzić się na południe, dostrzegł w jej oczach, że tylko udaje, że mu wierzy. Dzisiaj nie może już przed nią stanąć. Nie chciał nigdy więcej spojrzeć jej w oczy.

Chantal Toussaint wybiegła za nim w szlafroku, żeby mu przemówić do rozsądku. Niebezpiecznie wyruszać w podróż w takim stanie. Jest nazbyt zmęczony, u kresu sił, powinien odpocząć, przygotuje mu łóżko, niczego nie ruszyła w jego pokoju, nawet plakatów, zrobi mu strogonowa i budyń karmelowy, za którym przepada, jutro rozjaśni mu się umysł i…

– Szkoda, że nie umarłaś w połogu, mamo. To by mi dało szansę w życiu.

Uruchomił silnik i bez zastanowienia ruszył w kierunku Bron. W lusterkach wstecznych widział, jak matka pada na chodnik. Wiedział, że swoimi słowami podpisał na nią wyrok śmierci. Dzisiaj lub jutro. A ojciec będzie drugi. Zawsze był drugi.

Nie czuł niczego więcej prócz chęci, aby znaleźć się blisko Luca i Françoise, żeby im wszystko opowiedzieć. Będą wiedzieli, co zrobić, potrafią znaleźć odpowiednie słowa, zatrzymać go przy sobie, żeby już nigdy więcej nie musiał nikomu się tłumaczyć. Chciał na powrót stać się dzieckiem, synem Luca. To życie było dla niego skończone.

91

A kiedy biorąc mój grób za poduszkę, syrena zapadnie w lekki sen niemal naga, z góry proszę Jezusa o przebaczenie, jeśli cień krzyża na mym grobie nieco ją osłoni, za tę odrobinę pośmiertnego szczęścia

Dziennik Irène Fayolle

2013 rok

Weszłam do pani z cmentarza. Spojrzała na mnie jak na kogoś, kogo się zna, ale nie wie skąd. Była sama, siedziała przy stole. Kartkowała katalog ogrodniczy.

– Wybieram właśnie cebulki do posadzenia na wiosnę. Woli pani narcyzy czy krokusy? Ja uwielbiam żółte tulipany. – Jej palce spoczęły na zdjęciach kwietnych klombów. Mnóstwo odmian.

– Narcyzy, chyba wolę narcyzy. Ja też lubię kwiaty, miałam kiedyś rozarium.

– A gdzie?

– W Marsylii.

– Och… Jeżdżę do Marsylii co roku, do zatoczki w Sormiou.

– Jeździłam tam z moim synkiem Julienem, jak był mały. Dawno temu.

Pani z cmentarza uśmiechnęła się do mnie, jakbyśmy miały wspólny sekret.

– Chce się pani czegoś napić?

– Chętnie, zielonej herbaty.

Podniosła się, żeby mi przygotować herbatę. Pomyślałam, że jest chyba w wieku Juliena. Mogłaby być moją córką. Myślę, że nie chciałabym mieć córki. Nie wiem, co mogłabym jej opowiadać, co doradzać, jak ją ukierunkować. Chłopiec to trochę jak dziki kwiat, głóg, rośnie sam, jeśli ma co jeść, pić i w co się ubrać, kiedy mu się mówi, że jest ładny, silny. Chłopiec rośnie dobrze, jak ma ojca. Dziewczynka to bardziej skomplikowana sprawa.

Pani z cmentarza jest piękna. Miała na sobie prostą czarną spódnicę i szary sweter. Wyglądała elegancko. Sprawia wrażenie delikatnej. Przez nią zaczęłam niemal żałować, że nie miałam córki. Wsypała do czajniczka herbaty, a potem ją odcedziła. Postawiła na stole miód. Dobrze się u niej czułam. Ładnie pachniało. Powiedziała mi, że lubi róże. Ich zapach.

– Mieszka pani sama?

– Tak.

– Na tym cmentarzu chodzę na grób Gabriela Prudenta.

– Został pochowany w alejce dziewiętnastej, w kwartale Cedrów. Prawda?

– Tak. Zna pani miejsce pochówku każdego ze zmarłych?

– Większości. A on był wielkim adwokatem, na jego pogrzeb przyszło dużo ludzi. W którym to było roku?

– W dwa tysiące dziewiątym.

Pani z cmentarza podniosła się, żeby sięgnąć po rejestr, ten z 2009 roku, i zaczęła szukać nazwiska Gabriela. A więc to prawda, ona wszystko notuje w zeszytach. Przeczytała mi zapisek: „19 lutego 2009 roku, pogrzeb Gabriela Prudenta, ulewny deszcz. Przy składaniu ciała do grobu było obecnych sto dwadzieścia osiem osób, a wśród nich jego była żona i dwie córki – Marthe Dubreuil i Cloé Prudent. Zgodnie z wolą nieboszczyka żadnych kwiatów, żadnych wieńców. Rodzina kazała umieścić na nagrobku tabliczkę, na której można przeczytać: W hołdzie Gabrielowi Prudentowi, odważnemu adwokatowi. »Odwaga, w przypadku adwokata, to rzecz zasadnicza, bo bez niej reszta się nie liczy; talent, kultura, znajomość prawa, adwokatowi przydaje się wszystko. Lecz bez odwagi, w decydującym momencie są tylko słowa, następujące po sobie zdania, błyskotliwe, ale ulotne (Robert Badinter)«. *Bez księdza. Bez krzyża. Cała ceremonia trwała pół godziny. Kiedy dwaj pracownicy zakładu pogrzebowego umieścili trumnę w grobie, wszyscy sobie poszli. Ciągle taki sam ulewny deszcz”.*

Pani z cmentarza podała mi jeszcze jedną filiżankę herbaty. Poprosiłam ją, żeby mi przeczytała jeszcze raz tę notatkę z pogrzebu Gabriela. Chętnie to zrobiła.

Wyobrażałam sobie ludzi stojących wokół trumny Gabriela. Wyobrażałam sobie parasole, ciemne i ciepłe stroje. Szaliki i łzy.

Powiedziałam pani z cmentarza, że Gabriel złościł się, kiedy się mu mówiło, że jest odważny. Jak twierdził, nie ma żadnej odwagi w tym, że w zawoalowany sposób powie się przewodniczącemu składu orzekającego, że jest głupi. Że odważny jest ten, kto codziennie po pracy chodzi na Porte de la Chapelle, żeby wydawać posiłki biednym, czy ten, kto ukrywał u siebie Żydów w 1942 roku. Gabriel zawsze mi powtarzał, że on wcale nie jest odważny, że nie podejmuje żadnego ryzyka.

Spytała mnie, czy dużo ze sobą rozmawialiśmy, Gabriel i ja. Odpowiedziałam, że tak. I że cała ta sprawa z odwagą, której nie lubił, powinna pozostać między nami. Nie chciałam, żeby ludzie, którzy w dobrej wierze umieścili te słowa na tablicy ku jego pamięci, dowiedzieli się, że popełnili błąd.

Pani z cmentarza uśmiechnęła się do mnie.

– Nie ma sprawy. Wszystko, co jest mówione w tych ścianach, pozostaje w tajemnicy.

Czułam do niej zaufanie i rozmawiałam z nią tak, jakby mi dodała do herbaty serum prawdy.

– Przychodzę na grób Gabriela dwa lub trzy razy w roku, żeby potrząsnąć szklaną śniegową kulą, którą postawiłam przy jego nazwisku. Wycinam dla niego artykuły z gazet, kroniki sądowe, które by go zainteresowały, i mu je czytam. Przedstawiam mu wiadomości ze świata, przynajmniej z jego sfer. O sprawach kryminalnych, emocjonujących, odwiecznych. Częściej chodzę na grób mojego męża, Paula, który leży na cmentarzu Saint-Pierre w Marsylii. Za każdym razem proszę go o wybaczenie. Bo zostanę pochowana u boku Gabriela. Moje prochy spoczną obok niego. Gabriel zrobił, co potrzeba, u notariusza, i ja też. Nikt nie będzie się mógł temu sprzeciwić. Nie byliśmy małżeństwem. Wie pani, miałam ochotę wejść do pani, żeby pani powiedzieć, że w dniu, kiedy mój syn, Julien, się o tym dowie, przyjdzie panią wypytywać.

– Dlaczego mnie?

– Gdy się dowie, że moją ostatnią wolą jest spocząć obok Gabriela, a nie jego ojca, będzie chciał zrozumieć. Będzie chciał się dowiedzieć, kim był Gabriel Prudent, i pierwszą osobą, którą o to spyta, będzie pani. Bo pierwszą osobą, na którą się natknie, jak przejdzie przez bramę cmentarza, będzie pani. Tak jak ja, kiedy tu przyszłam po raz pierwszy.

– Czy chce pani, żebym mu powiedziała coś szczególnego?

– Nie. Jestem pewna, że znajdzie pani odpowiednie słowa. I że przynajmniej raz Julien znajdzie właściwe słowa w czasie rozmowy z panią. Jestem pewna, że będzie pani umiała mu pomóc, wesprzeć go.

Wyszłam od niej z żalem. Wiedziałam, że to moje ostatnie odwiedziny na cmentarzu w Brancion-en-Chalon. Odjechałam. Wróciłam do Marsylii.

2016 rok

Skończyłam pisać pamiętnik. Niedługo dołączę do Gabriela. Wiem o tym. Już czuję zapach jego papierosów. Spieszno mi. Jak pomyślę, że ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy, pokłóciliśmy się… Czas się pogodzić.

Pamiętam jej zapach. Nie pamiętam twarzy. Tylko jasne włosy, skórę, delikatne dłonie, płaszcz przeciwdeszczowy. Ale głównie zapach. Pamiętam ciepło tej chwili. Słowa o Gabrielu. Mam też w pamięci jej głos, jego echo, gdy mi mówi, że pewnego dnia przyjedzie do mnie jej syn.

Kiedy Julien zapukał do moich drzwi po raz pierwszy, nie pamiętałam o Irène. Wydał mi się piękny w tym swoim wymiętym ubraniu. Nie był podobny do matki. Ona miała cerę blondynki, gładką, jasną i delikatną, a jej syn był w każdym calu ciemny, rozwichrzone włosy i przesycona słońcem skóra. Lubiłam dotyk jego pachnących tytoniem rąk. Ale też bardzo się go bałam.

Przed wyjazdem do Marsylii parokrotnie do niego dzwoniłam, lecz numer nie odpowiadał. Jakby przestał istnieć. Zadzwoniłam nawet do jego komisariatu i powiedziano mi, że wyjechał. Ale że można do niego napisać, kazał sobie przesyłać pocztę.

Co mogłam mu napisać?

Julien,

wariatka ze mnie, samotna, niemożliwa. Uwierzył mi pan, a ja zrobiłam wszystko, żeby tak się stało.

Julien,
taka byłam szczęśliwa w pańskim samochodzie.

Julien,
taka byłam z panem szczęśliwa na mojej kanapie.

Julien,
taka byłam z panem szczęśliwa w moim łóżku.

Julien,
jest pan młody. Ale myślę, że to nam nie przeszkadza.

Julien,
jest pan zbyt ciekawski. Nienawidzę pana policyjnych manier.

Julien,
chętnie zostałabym macochą pańskiego syna.

Julien,
pan naprawdę jest w moim typie. Chociaż właściwie sama nie wiem. Wyobrażam sobie, że jest pan mężczyzną w moim typie.

Julien,
brak mi pana.

Julien,
umrę, jak pan nie wróci.

Julien,

czekam na pana. Wyczekuję. Chętnie zmienię swoje przyzwyczajenia, jeśli pan zmieni własne.

Julien,

zgoda.

Julien,

tak było dobrze, tak pięknie.

Julien,

tak.

Julien,

nie.

Zamykam dziennik Irène z ciężkim sercem. Tak jak zamyka się powieść, w której się człowiek zakochał. Powieść przyjaciela, z którą trudno się rozstać, bo chce się ją mieć przy sobie, pod ręką. W gruncie rzeczy cieszę się, że Julien zostawił mi dziennik matki na pamiątkę po nich. Kiedy wrócę do siebie, włożę go pomiędzy książki, które z miłością przechowuję na półkach w sypialni. Tymczasem wsuwam go do plażowego worka.

Jest godzina dziesiąta, siedzę na białym piasku, oparta o skałę, w cieniu sosny alepskiej. Drzewa te wyrastają tutaj w szczelinach skalnych. Gdy zamknęłam dziennik Irène, zaczęły śpiewać cykady. Słońce już mocno daje się we znaki. Czuję, jak pieką mnie palce u stóp. Latem można tu sobie spiec skórę na słońcu w parę minut.

Wczasowicze z plecakami zaczynają schodzić stromą ścieżką. W południe na niewielkiej plaży pełno będzie ręczników, podręcznych

lodówek, parasoli. Niewiele jest dzieci w Sormiou. W szczycie sezonu do zatoczki schodzi się na piechotę. Trzeba iść dobrą godzinę, żeby zejść z parkingu w Baumettes. Niełatwa to droga dla rodzin. Często dzieci, które się tu pojawiają, przebyły tę drogę na plecach ojca lub też mieszkają podczas wakacji w pobliskich domkach. Nazywani są „domkowiczami". Słowo to występuje wyłącznie w Marsylii, nie można go znaleźć w słownikach.

Tutaj wciąż pozwala się ludziom palić w barach. Listonosze, kiedy adresatów nie ma w domu, podpisują listy polecone, żeby oszczędzić mieszkańcom chodzenia na pocztę. W Marsylii niczego nie robi się tak samo jak gdzie indziej.

*

Wczoraj wieczorem Célia została u mnie na kolację. Przygotowała paellę z owocami morza, którą podgrzała na wielkiej patelni. Ja w tym czasie rozpakowałam swoją niebieską walizkę, porozwieszałam sukienki na wieszakach. Wyniosłyśmy na dwór niewielki stolik ogrodowy z kutego żelaza, nakryłyśmy go obrusem, do czerwonych karafek nalałyśmy wody i różowego wina. Do żółtej miseczki włożyłyśmy dużo kostek lodu, na stoliku położyłyśmy wiejski chleb i zdekompletowane talerze. W domku wszystko jest zdekompletowane. Ma się wrażenie, że te przedmioty dostawały się tu pojedynczo. Célii i mnie wiele radości sprawiło ponowne spotkanie, głupstwa, jakie sobie opowiadałyśmy, złocisty ryż i dobrze schłodzone różowe wino.

Rozmawiałyśmy tak długo, że Célia została na noc. Spała ze mną tak jak pierwszego razu w Malgrange-sur-Nancy, w czasie strajku na kolei. Po raz pierwszy została na noc.

Wyciągnięte na łóżku, ciągle piłyśmy różowe wino. Célia zapaliła dwie świece. Meble jej dziadka zaczęły tańczyć w ich świetle. Zostawiłyśmy otwarte oba okna, żeby zrobić przeciąg. Było nam dobrze. Pachniało jeszcze paellą. Ściany przesiąkły jej zapachem. Rozbudziło to we mnie apetyt, podgrzałam sobie dodatkową porcję. Célia nie chciała. Kiedy odstawiłam pusty talerz na podłogę, zobaczyłam profil Célii. A potem jej piękne niebieskie oczy świecące w mroku niczym dwie gwiazdy. Zdmuchnęłam świece.

– Célia, mam ci coś do powiedzenia. Nie da ci to spać, ale skoro jesteśmy na wakacjach, nic nie szkodzi. No i nie mogę ci „tego” nie powiedzieć.

– …

– Miłością Philippe’a Toussainta była Françoise Pelletier. To u niej mieszkał przez swoje ostatnie lata. Pojechał do niej w dniu, kiedy zniknął, w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym. Wiem, dlaczego zniknął. Dlaczego nigdy nie wrócił do naszego domu. Tamtej nocy to nie pożar zabił dzieci… to ojciec Toussainta.

Célia chwyciła mnie kurczowo za rękę i wydusiła z siebie tylko: „Co takiego?!”.

– Majstrował przy starym bojlerze w pokoju dzieci i go uruchomił. Nie wiedział, że nie wolno go było w ogóle dotykać. Urządzenie od lat nie było konserwowane. Tlenek węgla zabija podstępnie, jest bezwonny… umarły we śnie.

– Kto ci to powiedział?

– Françoise Pelletier. Philippe Toussaint o wszystkim jej opowiedział. I dlatego nie wrócił już do domu w dniu, w którym się o tym dowiedział. Nie potrafił mi już spojrzeć w oczy… Znasz chyba tę piosenkę Michela

Jonasza? *Powiedz, powiedz mi nawet, że ona odeszła do innego, ale nie z mojego powodu, powiedz mi to, powiedz mi to…*

– Tak.

– Ulżyło mi, kiedy się dowiedziałam, że Philippe Toussaint odszedł nie z mojego powodu. Ale z powodu swoich rodziców.

Célia ścisnęła moją dłoń jeszcze mocniej.

Nie zdołałam zmrużyć oka. Myślałam o starych Toussaintach. Umarli już dawno temu. Pewien notariusz z Charleville-Mézières skontaktował się ze mną w 2000 roku. Szukał ich syna.

Kiedy świt zajrzał do okien, gdy powiew powietrza stał się cieplejszy, Célia otworzyła oczy.

– Zrobimy sobie dobrej kawy.

– Célio, poznałam kogoś.

– Cóż, wciąż nie jest za późno.

– Ale to już skończone.

– Dlaczego?

– Mam swoje życie, przyzwyczajenia… Od tak dawna. A poza tym on jest ode mnie młodszy. Poza tym nie mieszka w Burgundii. Poza tym ma siedmioletnie dziecko.

– Dużo tych „poza tym”. Ale życie i przyzwyczajenia da się zmienić.

– Tak myślisz?

– Tak.

– A ty byś zmieniła przyzwyczajenia?

– Czemu nie.

92

Im dłużej się żyje, tym dłużej się traci wszystko to, co się kocha

Maj 2017 roku

Od dziewiętnastu lat Philippe mieszkał w Bron. Przejechał trasę z Charleville-Mézières do Françoise. Dziewiętnaście lat wcześniej pojawił się pewnego dnia rano w warsztacie samochodowym. Był w nędznym stanie. Postanowił tego dnia się odrodzić. Zapomnieć o dniu poprzedzającym jego przybycie. Dniu ostatniej rozmowy z rodzicami. Grubą kreską czarnego mazaka przekreślił przeszłość, od której chciał uciec. Umieścił tam lata spędzone z Violette i rodziców – wszystko zamknął na cztery spusty w ciemnym zaułku własnej pamięci.

Jakże łatwo mu przyszło kazać się nazywać Philippe’em Pelletierem, zostać synem swojego wuja. Siostrzeniec czy syn, w umysłach ludzi wychodziło na jedno. Philippe był „kimś z rodziny”, a więc Pelletierem.

Jakże łatwo mu przyszło odłożyć do szuflady swoje dokumenty tożsamości. Wycofać środki z konta bankowego, żeby matka niczego już nie wiedziała. Zamienić te środki na czeki na okaziciela. Nie brać udziału w wyborach. Nie korzystać z ubezpieczenia społecznego.

Od Françoise dowiedział się, że Luc zmarł w październiku 1996 roku. Luc, martwy i pochowany. Philippe mocno to przeżył, ale nie chciał odwiedzić jego grobu. Nie chciał już, by noga jego kiedykolwiek stanęła na jakimkolwiek cmentarzu.

Rok wcześniej Françoise sprzedała dom, teraz mieszkała w Bron, dwieście metrów od warsztatu. Była bardzo chora, mocno schudła, no i postarzała się. Niemniej Philippe pożądał jej jeszcze bardziej, bardziej niż w swoich wspomnieniach. Nic jednak nie powiedział. Wystarczająco dużo zła już uczynił wokół siebie. Część swoich nieszczęść przerzucił na innych.

Zamieszkał w pokoju gościnnym. W pokoju syna. W pokoju dziecka, którego nigdy nie było. Choć go oczekiwano. Kupił sobie nowe ubrania za pierwszą pensję, którą Françoise wypłaciła mu gotówką. Kiedy parę miesięcy po przeniesieniu się do Bron napomknął o przeprowadzce, o wynajęciu jakiegoś pokoiku nieopodal warsztatu, Françoise udała, że nie słyszy. No więc został u niej. W tym dziwnym układzie. Ta sama łazienka, ta sama kuchnia, ten sam salon, te same wspólne posiłki, osobna sypialnia.

Opowiedział Françoise o wszystkim. O Léonine, Geneviève Magnan, bojlerze, adresie, orgiach, cmentarzu, o tym, co usłyszał od rodziców na kanapie w Charleville. O wszystkim, z wyjątkiem Violette. Ją sobie zostawił. O Violette powiedział Françoise jedynie: „Ona niczemu nie jest winna”.

Z biegiem lat zapomniał, że kiedyś miał inne imię i życie.

U boku Françoise nabrał pewności siebie. Nauczył się dobrze zajmować warsztatem, kochać te swoje dni pracy, brudne smary, olej, awarie, pogięte blachy. Reperując silniki, nauczył się panować nad żądzą.

W grudniu 1999 roku Françoise bardzo się rozchorowała, wysoka gorączka, zbyt wysoka, paskudny kaszel. Zaniepokojony, wezwał lekarza z pogotowia. Wypisując receptę przy łóżku, lekarz spytał go, czy Françoise

to jego żona. Philippe odpowiedział bez zastanowienia, że tak. Po prostu tak. Leżąca na łóżku Françoise uśmiechnęła się do niego bez słowa. Blady był to uśmiech, zmęczony. Zrezygnowany.

Idąc za radą lekarza, Philippe napełnił jej wannę wodą o temperaturze trzydziestu siedmiu stopni, a potem zaprowadził Françoise do łazienki, rozebrał ją i pomógł jej wejść do wanny; trzymała się go kurczowo. Po raz pierwszy ujrzał ją nagą. Jej drżące ciało pod przezroczystą wodą. Myjką wodził po jej skórze, brzuchu, plecach, twarzy, karku. Polał jej wodą czoło. „Uważaj, mogę cię zarazić”, powiedziała, na co odparł: „Tak, od dwudziestu ośmiu lat o tym wiem”. Nocą z trzydziestego pierwszego grudnia 1999 roku na pierwszego stycznia 2000 roku kochali się po raz pierwszy. Przeszli z jednego roku w drugi w jednym łóżku.

Od dziewiętnastu lat Philippe mieszkał w Bron. Tamtego dnia rano, podczas rozmowy z Françoise, pojawiła się myśl, żeby sprzedać warsztat. Nie po raz pierwszy, ale tym razem na poważnie. Pragnęli słońca. Wyjechać i zamieszkać w okolicy Saint-Tropez. Posiadali wystarczająco dużo pieniędzy, żeby wieść sielskie życie. Françoise wkrótce skończy sześćdziesiąt sześć lat, miała za sobą lata pracy. Czas, by w końcu skorzystać z życia.

W porze obiadowej udała się do agencji nieruchomości wyspecjalizowanej w sprzedaży zakładów handlowych i przedsiębiorstw. Philippe wstąpił do mieszkania, żeby zmienić ubranie. Za ciepło się ubrał rano i spocił się w roboczym kombinezonie. Szybko wziął prysznic, włożył czysty T-shirt. W kuchni zjadł dwa jajka sadzone, kawałek chleba z poprzedniego dnia z topionym serkiem. Nalewając sobie kawy, usłyszał spadającą na posadzkę kopertę. Listonosz wsunął ją przez szczelinę w drzwiach. Philippe podniósł ją machinalnie i rzucił na kuchenny stół. Oprócz magazynu „Auto-moto”, który Françoise zaprenumerowała, żeby

zrobić mu przyjemność, nie czytał poczty. To Françoise zajmowała się papierami.

Mieszał łyżeczką kawę w filiżance, gdy przeczytał, tak naprawdę nie czytając: *Philippe Toussaint c/o Françoise Pelletier, avenue Franklin-Roosevelt 13, 69500 Bron*.

Przeczytał raz jeszcze z niedowierzaniem to nazwisko, Philippe Toussaint. Zawahał się, ale w końcu wziął kopertę, tak jakby chodziło o przesyłkę z bombą w środku. Koperta była biała, widniał na niej stempel kancelarii adwokackiej z Mâcon. Przypomniał sobie dzień, gdy zobaczył małe dziewczynki wychodzące z podstawówki. Tę, która miała taką samą sukienkę jak Léonine. Ten dzień, kiedy pomyślał, że córka żyje.

Przypomniało mu się wszystko. To było piorunujące, tak jakby dostał pięścią w brzuch. Śmierć dziecka, pogrzeb, proces, przeprowadzka, to, jak było mu źle, rodzice, matka, konsola do gier, ciepłe ciała chudych kobiet, zziębnięte sutki, tłuste brzuchy, twarze Lucie Lindon i Éloïse Petit, Fontanela, pociągi, groby, koty.

Philippe Toussaint.

Otworzył kopertę z drżeniem rąk. Przypomniały mu się dłonie Geneviève Magnan, kiedy ją widział ostatnim razem, gdy mu powiedziała: „Nigdy bym nie skrzywdziła dzieci”. Mówiła mu per pan, drżąc na całym ciele.

Violette Toussaint, z domu Trenet, udzieliła pełnomocnictwa, żeby uregulować polubownie sprawę rozwodową. Adwokat prosił pana Philippe’a Toussainta, żeby zadzwonił do kancelarii jak najszybciej, by umówić spotkanie.

Czytał strzępy zdań: *…z dowodem tożsamości… nazwa kancelarii notarialnej… akt małżeństwa został podpisany… zawód… obywatelstwo… miejsce urodzenia… dane dzieci… ugoda małżonków dotycząca rozstania…*

brak świadczenia kompensacyjnego… sąd rodzinny w Mâcon… porzucenie domowego ogniska… bez skutków.

Niemożliwe. To trzeba natychmiast zatrzymać. Zablokować tę machinę cofającą czas. Przestał czytać, wsunął kopertę do wewnętrznej kieszeni kurtki, zapiął pasek kasku i pojechał do Brancion. Chociaż sobie poprzysiągł, że już nigdy więcej jego noga tam nie postanie.

W jaki sposób Violette znalazła jego adres? Jak się dowiedziała o Françoise? Skąd znała jej nazwisko? Jego rodzice nie mogli jej powiedzieć, od dawna już nie żyją. A dopóki żyli, też nie znali miejsca zamieszkania Philippe’a. Nigdy się nie dowiedzieli, że ich syn mieszka w Bron u Françoise. Niemożliwe. Philippe nie pójdzie do tego adwokata. Nigdy.

Ona musi się od niego odpierdolić. Trzeba wyjechać, przeprowadzić się z Françoise, mówić, że jest Philippe’em Pelletierem. Nazwisko rodowe będzie mu ciągle przynosić nieszczęście. Toussaint. Nazwisko przywołujące na myśl cmentarz, śmierć, chryzantemy. Nazwisko kojarzące się z chłodem i kotami.

Dwa życia jakieś sto kilometrów jedno od drugiego. Nigdy sobie nie uświadomił, że Bron leży tak blisko Brancion-en-Chalon.

Zaparkował przed domem od strony ulicy. Jak ktoś obcy, przed domem, którego zawsze nienawidził. Domem starego dozorcy cmentarza. Drzewa posadzone przez Violette w 1997 roku wyrosły. Brama została odmalowana zieloną farbą. Wszedł, nie zapukawszy. Dziewiętnaście lat go tu nie było.

Czy ona ciągle tu mieszka? Czy ułożyła sobie życie na nowo? Oczywiście, dlatego chce rozwodu. Żeby móc ponownie wyjść za mąż.

Dziwny smak w ustach. Jakby lufa broni palnej wciśnięta do gardła. Chęć przywalenia w coś pięścią. Nienawiść brała górę. Już tak dawno nie czuł takiej goryczy. Przypomniała mu się słodka beztroska dziewiętnastu

ostatnich lat. I oto znów wraca zło. Znów staje się człowiekiem, którego nie lubił, człowiekiem, który nie lubi samego siebie. Philippe’em Toussaintem.

Trzeba wszystko zacząć na nowo od tego miejsca, w którym się znalazł tego ranka. Skończyć z tą okropną przeszłością raz na zawsze. Nie mieć litości. Nie, nie pójdzie do jej adwokata. Nie. Zniszczył swój dowód osobisty. Zniszczył przeszłość.

Na stole w kuchni puste filiżanki po kawie stały na magazynach ogrodniczych. Trzy szaliki i biała kamizelka wiszące na wieszaku. Jej zapach wyczuwalny w wiszących strojach. Różane perfumy. Ciągle tu mieszka.

Wszedł na górę, do sypialni. Zaczął kopać plastikowe pudełka z tymi okropnymi lalkami. To było silniejsze od niego. Miał ochotę walić pięściami w mur. Zobaczył odmalowaną sypialnię, jasnoniebieski dywan, bladoróżową kapę na łóżku, migdałową zieleń serwetek i zasłonek. Krem do rąk na białym stoliku nocnym, książki, zgaszoną świecę. Otworzył pierwszą szufladę komody, różowa bielizna, takiego samego koloru jak ściany. Wyciągnął się na łóżku. Wyobraził ją sobie śpiącą tutaj.

Czy ona jeszcze o nim myśli? Czy na niego czekała? Szukała go?

Sam przed sobą ukrył w swojej pamięci lata z Violette, ale bardzo długo jeszcze mu się śniła. Słyszał jej głos, wołała go, a on nie odpowiadał; chował się w ciemnym kącie, żeby go nie zobaczyła, i w końcu zatykał sobie uszy, by nie słyszeć jej błagalnego głosu. Przez długi czas budził się cały mokry, w pościeli przesiąkniętej winą.

W łazience perfumy, mydła, kremy, sól do kąpieli, znowu świece, znowu książki. W koszu na brudy bielizna, halka z białego jedwabiu, czarna sukienka, szara kamizelka.

Nie było mężczyzny w tym domu. Żadnego wspólnego życia. No to po co się do niego przypierdala? Po co rozgrzebuje gówno? Żeby wyciągnąć

pieniądze? Alimenty? Nie, w liście adwokata było: *Polubownie… bez skutków*. Usłyszał matkę: „Nie ufaj”.

Zszedł po schodach. Poprzewracał lalki, które jeszcze stały. Poczuł ochotę pójść na cmentarz, żeby zobaczyć grób Léonine, ale zrezygnował.

Zauważył jakiś cień poruszający się za nim i aż się wzdrygnął. Stary pies, który zwęszył go z daleka. Zanim Philippe zdążył wymierzyć mu kopniaka, pies zwinął się w kłębek na miękkim legowisku. W jednym z rogów kuchni zobaczył stojące na podłodze miski z karmą. Poczuł, że zbiera mu się na wymioty na myśl, że gdyby tu mieszkał, nosiłby na ubraniu sierść. Wyszedł na tyły domu przez drzwi prowadzące do ogródka.

Nie zauważył jej od razu. Wszystkie rośliny rozrosły się tu jak w książkach z bajkami Léonine. Bluszcz i dzikie wino na murach, drzewa żółte, czerwone i różowe, wielokolorowe rabaty z kwiatami. Można by sądzić, że – podobnie jak pokój – ogród także został odmalowany.

Była tu. Przykucnęła w warzywniaku. Dziewiętnaście lat jej nie widział. Ile ona teraz ma lat?

Żadnej litości.

Była odwrócona do niego plecami. Miała na sobie czarną sukienkę w białe grochy. Przewiązała się w pasie starym fartuchem ogrodowym. Na nogach miała gumowce. Średnio długie włosy ściągnęła z tyłu czarną gumką. Parę kosmyków opadało jej na kark. Na dłoniach rękawice z grubej tkaniny. Podniosła prawy nadgarstek do czoła, jakby chciała odgarnąć coś, co jej przeszkadzało.

Miał ochotę chwycić ją za szyję i przytulić. Ukochać i zadusić. Uciszyć ją, sprawić, żeby przestała istnieć, zniknęła.

Przestać się obwiniać.

Nie zmieniła się. Zobaczył ją za kontuarem w Tibourinie, małą szczupłą sylwetkę, jak podaje mu kieliszki alkoholu, do woli. Jej uśmiech. Teraz

zmarszczki i kosmyki mieszały się ze sobą na jej twarzy. Rysy wciąż miała delikatne, nadal wyraźny kształt ust, a z oczu ciągle biła ta sama słodycz. Upływ czasu pogłębił bruzdy przy ustach.

Zachować dystans.

Nie wymawiać jej imienia.

Nie mieć litości.

Zawsze była ładniejsza od Françoise, a przecież on wolał tamtą. O gustach i kolorach… Jak to mówiła matka.

Zobaczył siedzącego przy niej kota i dostał gęsiej skórki. Przypomniał sobie, po co tu przyjechał, po co wrócił na ten nieszczęsny cmentarz. Przypomniał sobie, że chce już zapomnieć. O niej, o Léonine, o tych pozostałych. Jego teraźniejszość to Françoise, jego przyszłość to Françoise.

Złapał Violette brutalnie, zacisnął palce na jej ramieniu, zbyt mocno, jakby chciał ją zmiażdżyć. Tak jak wówczas, kiedy człowiek staje się katem, żeby samemu nie czuć. Przyzwać nienawiść. Pomyśleć o rodzicach na kanapie w kwiaty. Walizka Léonine w bagażniku Caussinów, zamek, bojler, matka w szlafroku, osłupiały ojciec. Ścisnął Violette za ramię, nie patrząc jej w oczy, wpatrywał się w jeden punkt, między brwiami, lekkie wgłębienie u nasady nosa.

Pachniała ładnie. Nie mieć litości.

– Dostałem list od adwokata, przywiozłem ci go… Posłuchaj mnie uważnie, posłuchaj mnie uważnie: NIGDY więcej do mnie nie pisz na ten adres, słyszysz? Ani ty, ani twój adwokat, NIGDY. Nie chcę już więcej nigdzie widzieć twojego nazwiska, bo jak nie, to cię… to cię…

Puścił ją równie gwałtownie, jak chwycił; jej ciało cofnęło się jak pociągnięte za sznurki. Wcisnął jej kopertę w kieszeń fartucha, poczuł pod tkaniną jej brzuch. Jej brzuch. Léonine. Odwrócił się na pięcie i znów przeszedł przez kuchnię.

Zgarniając wszystko ze stołu, zrzucił *Regulamin tłoczni win*. Poznał czerwone jabłko na okładce, tę książkę Violette miała od czasów Charleville, czytała ją obsesyjnie w kółko. Siedem zdjęć Léonine wypadło z jej stron i rozsypało się na dywanie. Zawahał się, po czym schylił się, żeby je pozbierać. Roczek, dwa latka, trzy lata, cztery lata, pięć lat, sześć lat, siedem lat. To prawda, że była do niego podobna. Wsunął je w książkę, którą położył na stole.

W tej samej chwili ta skrytka, w której przez dziewiętnaście lat chował lata z Violette, wybuchła mu prosto w twarz. Wspomnienie dziecka zaczęło powracać najpierw fragmentami, potem w formie załamujących się fal. Na oddziale położniczym, kiedy ją zobaczył po raz pierwszy, pomiędzy sobą i Violette w ich łóżku, zawiniętą w kocyk, w kąpieli, w ogródku, przed drzwiami, przechodzącą przez pokój, rysującą, lepiącą z plasteliny, przy stole, w nadmuchiwanym baseniku, na szkolnym korytarzu, zimą, latem, czerwona sukieneczka trochę za bardzo połyskująca, jej rączki, magiczne sztuczki. I on, zawsze gdzieś daleko. Zawsze jakby tylko był gościem w życiu córki. Wolał mieć syna. Wszystkie te opowieści, których jej nie przeczytał, wszystkie te podróże, w jakie się z nią nie wybrał.

Kiedy wsiadł na motor, poczuł łzy kapiące mu z nosa. Jego wuj, Luc, mówił mu, że jak komuś łzy kapią z nosa, to znaczy, że to nos przejmuje pałeczkę, bo miarka dla oczu się przebrała. „To tak jak z silnikami, chłopcze”. Luc. A on okazał się takim draniem, że mu nawet podprowadził żonę.

Ruszył z kopyta, mówiąc sobie, że zatrzyma się trochę dalej, żeby uspokoić oddech i dojść do siebie. Zobaczył przez bramę cmentarne krzyże i pomyślał, że nigdy nie wierzył w Boga. Na pewno z powodu ojca. Modlitw, których nie cierpiał. Przypomniał sobie dzień pierwszej komunii, mszalne wino, Françoise trzymającą Luca pod rękę.

Ojcze nasz, który pierdzisz w niebie
Niech śmierdzi dupa twoja
Bądź wola twoja jako dla gnid tak i dla wszy
Jabola naszego powszedniego daj nam dzisiaj
I odpuść nam nasze gadki
Jako i my odpuszczamy
Tym, co nas wyruchali
I nie wódź nas na obciąganie, ale nas zbaw od syfa.
Omen.

Gdy przemierzał te trzysta pięćdziesiąt metrów, jadąc coraz szybciej wzdłuż muru cmentarza, trzy myśli kołatały mu się po głowie niczym gwałtowny karambol. Zawrócić i przeprosić Violette, przeprosić, przeprosić, przeprosić. Jak najszybciej wrócić do Françoise i wyjechać na południe, wyjechać, wyjechać. Odnaleźć Léonine, odnaleźć, odnaleźć, odnaleźć.

Violette, Françoise, Léonine.

Zobaczyć znowu córkę, poczuć ją przy sobie, usłyszeć, dotknąć, nasycić się jej zapachem.

Po raz pierwszy pragnął Léonine. Chciał jej, żeby zachować Violette przy sobie. Dzisiaj chciał jej tak, jak chce się dziecka. To pragnienie było silniejsze niż potrzeba wyjazdu na południe, Françoise i Violette. To pragnienie nie pozostawiało miejsca na nic innego. Léonine musi na niego gdzieś czekać. Tak, ona na niego czeka. Niczego nie rozumiał, bo był złym ojcem, zostanie tatusiem po raz pierwszy, tam gdzie ją odnajdzie.

Rozpiął pasek od kasku. Tuż przed tym, zanim przyspieszył na pierwszym zakręcie, przyspieszył, by polecieć prosto na drzewa państwowego lasu rosnącego poniżej, nie przewinęło mu się przed oczami

życie, nie pojawiły się żadne obrazy, jak wtedy, kiedy kartkuje się szybko książkę. Nie chciał tego. Tuż przed drzewami dostrzegł młodą kobietę na skraju drogi. Niemożliwe. Patrzyła na niego, jak pruje prawie dwieście kilometrów na godzinę. Widział tylko jej nieruchome spojrzenie. Zdążył jeszcze pomyśleć, że widział już ją kiedyś na jakiejś starej rycinie. Może na pocztówce. Potem było już tylko światło.

93

Koniec lata, upalne wieczory, powroty do domów,
a życie toczy się dalej

Nie weszłam jeszcze do wody. Każdego roku w sierpniu obawiam się momentu pierwszej kąpieli. Boję się, że nie odnajdę Léonine. Że jej nie poczuję. Że nie przybędzie na spotkanie z mojej winy. Że nie usłyszy, jak ją wołam i wabię, że mój głos do niej nie dojdzie. Że nie będzie wystarczająco czuć mojej miłości, żeby do mnie przyjść. Boję się, że już jej nie kocham, że stracę ją na zawsze. Ten strach jest nieuzasadniony, śmierć nigdy nie rozłączy mnie z dzieckiem i ja to wiem.

Wstaję, przeciągam się, rzucam kapelusz na ręcznik. Idę w stronę ogromnego szmaragdowego dywanu o perłowych refleksach. Światło tego poranka jest ostre, żywe.

Zapowiada się piękny dzień. Marsylia jak zawsze dotrzymuje obietnic.

O tej godzinie, gdy pojawia się cień, woda jest czarna. Fale chłodne jak zawsze. Posuwam się powoli do przodu. Zanurzam głowę. Płynę w głębię, zamknąwszy oczy. Ona już tu jest, zawsze tu jest, nigdzie się stąd nie ruszała, bo jest we mnie. Jej eteryczna obecność. Wącham jej ciepłą i słoną skórę, jak wówczas, gdy kładła się na mnie w czasie sjesty pod naszym

parasolem. Jej rączki przesuwające się po moich plecach, dwie małe kukiełki.

Kochana moja.

Kiedy wynurzam się na powierzchnię i spoglądam na niebieskie niebo, wiem, że zawsze będę ją nosić w sobie. I to właśnie jest wieczność.

Pływam dłuższą chwilę, już nie mam ochoty wychodzić, jak za każdym razem. Obserwuję pochylone od wiatru sosny, obserwuję życie, jestem tuż obok niej, ona jest tuż obok mnie. Zbliżam się powoli do brzegu. Pod stopami znów czuję piasek. Odwracam się plecami do plaży, obserwuję horyzont, zacumowane nieruchome statki, białe kamyczki uczepione przezroczystej toni. Nie ma na świecie nic bardziej zbawiennego od tego miejsca, gdzie wszystko jest piękne, gdzie żywioły reperują żywych.

Jest ciepło, sól pali mi twarz, a jeszcze bardziej wargi. Zanurzam głowę w wodzie, płynę z zamkniętymi oczami, uwielbiam odgadywać, słyszeć morze pod sobą.

Czuję jakąś obecność, inną obecność. Ktoś się o mnie ociera. Chwyta mnie za biodra i kładzie dłoń na brzuchu. Przytula się do moich pleców, wykonuje takie same gesty jak ja, taniec, walc niemalże. Czuję łomot serca aż na plecach. Zrozumiałam. To inna miłość, nowe serce, kogoś innego, w moim. Czuję jego usta na szyi, jego włosy na moich plecach, jego wciąż oplatające mnie dłonie, kroki lekkie i delikatne. Tak bardzo na niego czekałam, nie za bardzo w to wierząc, nie wierząc jemu. Wynurzam się na powierzchnię, otwiera i zamyka oczy, czuję na policzku jego rzęsy, jak motylki. Wdycha mnie. Kładę się na wodzie, a on mnie podtrzymuje, pozwalam się prowadzić; moje ciało jest wolne, nogi muskają lustro wody, odpływa, odnajduje mnie, sama siebie odnajduję.

Jesteśmy.

My.

Salwy śmiechu.

Dziecko.

Troje.

Inna dłoń chwyta mnie za rękę, po czym do mnie przylega. Niczym dłoń Léonine, mała, nerwowa, ciepła.

Mam nadzieję, że nie śnię, mam nadzieję, że żyję. Dziecko podskakuje i rzuca mi się w ramiona. Składa mokre pocałunki na moim czole, na włosach. Odchyla się do tyłu, krzycząc z radości.

– Nathan!

Wymawiam głośno jego imię niczym litanię.

Jego gesty są niezręczne, szybkie. Wytrzeszcza oczy, jak dziecko, które dopiero co nauczyło się pływać, dziecko, które chce i boi się zarazem. Śmieje się w głos, jego uśmiech stracił dwa zęby. Opuszcza okulary do pływania na oczy i zanurza głowę w wodzie. Chyba czuje się pewniej i kreśli wielkie koła. W usta włożył rurkę do nurkowania. Zdejmuje okulary, które zostawiły mu ślady wokół wielkich ciemnych oczu, jego wielkie oczy błyszczą w słońcu. Patrzy ponad moje ramię, patrzy na Juliena, który szepcze mi na ucho: „Chodź”.

94

Nie ma dnia, żebyśmy o Tobie nie myśleli

Sobota, siódmy września 2017 roku, niebo niebieskie, dwadzieścia trzy stopnie, dziesiąta trzydzieści. Pogrzeb Fernanda Occo (1935–2017). Trumna dębowa. Stela z czarnego marmuru. W grobie spoczywają już Jeanne Occo, z domu Tillet (1937–2009), Simone Occo, z domu Louis (1917–1999), Pierre Occo (1913–2001), Léon Occo (1933).

Wieniec z białych róż, szarfa: *Szczere kondolencje*. Wieniec z białych lilii w kształcie serca, szarfa: *Ojcu, Dziadkowi*. Na trumnie czerwono-białe róże, szarfa: *Kombatanci*.

Trzy tabliczki nagrobne: *Ojcu, Dziadkowi. Na pamiątkę życia, w którym my kochaliśmy Ciebie, a Tyś kochał nas*; *Przyjacielowi. Nie zapomnimy o Tobie, zawsze będziesz w naszych myślach. Przyjaciele wędkarze*; *Nie jesteś daleko, po prostu po drugiej stronie drogi*.

Obecnych jest około pięćdziesięciu osób, w tym wszystkie trzy córki Fernanda – Catherine, Isabelle i Nathalie – oraz siedmioro jego wnuków.

Elvis, Gaston, Pierre Lucchini i ja stoimy obok grobu. Nono nie przyszedł. Przygotowuje się do ślubu z hrabiną de Darrieux, który odbędzie się o godzinie piętnastej w merostwie w Brancion.

Ksiądz Cédric odmawia modlitwę. Ale to nie tylko w imieniu Fernanda Occo nasz ksiądz zwraca się do Boga. Teraz, za każdym razem, gdy z nim rozmawia, dołącza do swych modłów Kamala i Anitę: – Czytanie Pierwszego Listu Świętego Jana: *Umiłowani, miłujmy się wzajemnie, ponieważ miłość jest z Boga, a każdy, kto miłuje, narodził się z Boga i zna Boga. Kto nie miłuje, nie zna Boga, bo Bóg jest miłością. W tym objawiła się miłość Boga ku nam, że zesłał Syna swego Jednorodzonego na świat, abyśmy życie mieli dzięki Niemu. W tym przejawia się miłość, że nie my umiłowaliśmy Boga, ale że On sam nas umiłował i posłał Syna swojego jako ofiarę przebłagalną za nasze grzechy. Umiłowani, jeśli Bóg tak nas umiłował, to i my winniśmy się wzajemnie miłować. Nikt nigdy Boga nie oglądał. Jeżeli miłujemy się wzajemnie, Bóg trwa w nas i miłość ku Niemu jest w nas doskonała.* (…) *Dzieci, nie miłujmy słowem i językiem, ale czynem i prawdą*[29].

Rodzina poprosiła Pierre’a Lucchiniego, żeby składaniu ciała do ziemi towarzyszyła ulubiona piosenka Fernanda Occo. Utwór Serge’a Reggianiego pod tytułem *Ma liberté*[30].

Nie udaje mi się skupić na słowach, chociaż są takie piękne. Myślę o Léonine i o jej ojcu, myślę o Nonie wkładającym ślubny garnitur i o hrabinie de Darrieux, która mu wiąże krawat, myślę o Sashy, który podróżuje po wodach Gangesu, myślę o Irène i Gabrielu, którzy w końcu mówią sobie na ty w wieczności, myślę o Éliane, która odeszła, by biegać w ogrodzie swojej pani, Marianne Ferry (1953–2007), myślę o Julienie i o Nathanie, którzy przyjadą za niecałe pół godziny, myślę o ich ramionach, zapachu, myślę o Gastonie, który zawsze będzie się przewracał, ale którego za każdym razem będziemy podnosić, myślę o Elvisie, który nigdy nie będzie potrafił słuchać innych piosenek niż tych Elvisa Presleya.

Od paru miesięcy jestem taka jak Elvis, słyszę ciągle inną muzykę, tę samą. Zagłusza całą resztę, wszystkie szepty, wszystkie myśli. To piosenka Vincenta Delerma, której słucham na okrągło, a której tytuł brzmi *La vie devant soi*[31].

Dziękuję Tess, Valentinowi i Claude’owi, którzy byli mi zasadniczą wieczną inspiracją.

Dziękuję Yannickowi, mojemu ukochanemu bratu.

Dziękuję nieocenionej Maëlle Guillaud. Dziękuję całemu zespołowi wydawnictwa Albin Michel.

Dziękuję Amélie, Arlette, Audrey, Elsie, Emmie, Catherine, Charlotte, Gilles’owi, Katii, Manon, Mélusine, Michelowi, Michèle, Sarah, Salomé, Sylvie, Williamowi za Waszą pomoc, która miała dla mnie znaczenie zasadnicze.

Dziękuję Norbertowi Jolivetowi, który istnieje w prawdziwym życiu, którego imienia i nazwiska nie zmieniałam, bo niczego nie trzeba zmieniać w tym człowieku, który przez trzydzieści lat był grabarzem w Gueugnon. Kiedy pisałam tę książkę, zaprzyjaźniłam się z tym wynalazcą radości i przychylności. Mam nadzieję, że po wsze czasy będziemy pić razem kawę i białe wino z likierem z czarnej porzeczki.

Dziękuję Raphaëlowi Fatoutowi, który otworzył przede mną drzwi swojego pełnego ludzkich uczuć zakładu pogrzebowego Le Tourneurs du Val w Trouville-sur-Mer. Raphaël zaufał mi i opowiedział o umiłowaniu swojego zawodu, o śmierci i o teraźniejszości jak nikt.

Dziękuję Tacie za jego ogród i pasjonujące nauki.

Dziękuję Stéphane’owi Baudinowi za światłe rady.

Dziękuję Cédricowi i Carol za zdjęcia i przyjaźń.

Dziękuję Julienowi Seulowi, który dał mi zgodę na wykorzystanie jego imienia i nazwiska.

Dziękuję prawnikom, Denisowi Fayolle’owi, Robertowi Badinterowi i Éricowi Dupond-Morettiemu.

Dziękuję wszystkim swoim przyjaciołom z Marsylii i Cassis, mój domek na plaży to Wy.

Dziękuję Eugénie i Simonowi Lelouchom, którzy podszepnęli mi pomysł na tę książkę.

Dziękuję Johnny’emu Hallydayowi, Elvisowi Presleyowi, Charles’owi Trenetowi, Jacques’owi Brelowi, Georges’owi Brassensowi, Jacques’owi Prévertowi, Barbarze, Raphaëlowi Haroche’owi, Vincentowi Delermowi, Claude’owi Nougaro, Jean-Jacques’owi Goldmanowi, Benjaminowi Biolayowi, Serge’owi Reggianiemu, Pierre’owi Barouhowi, Françoise Hardy, Alainowi Bashungowi, Chetowi Bakerowi, Damienowi Saezowi, Danielowi Guichardowi, Gilbertowi Bécaud, Francisowi Cabrelowi, Michelowi Jonaszowi, Serge’owi Lamie, Hélène Bohy i Agnès Chaumié.

No i wreszcie DZIĘKUJĘ wszystkim tym, którzy mnie wspierali przy *Les Oubliés du dimanche*. To dzięki WAM napisałam tę moją drugą książkę.

---

[29] 1 J 4, 7–12, i 1 J 3, 18.

[30] Moja wolność.

[31] Życie przed sobą.